

Posłubiona Borgii



Kazirodztwo, trucizna, zdrada. Trzy prezenty ślubne dla żony Borgii...

Jeanne Kalogridis



Kalogridis Jeanne

Poślubiona Borgii

Jest rok 1494. Młodziutka Sancha, córka króla Neapolu, przybywa do Rzymu jako żona najmłodszego z Borgiów, rodu okrytego złą sławą. W pełnym bogactw i przepychu mieście, wśród politycznych spisków i moralnego zepsucia, zbrodni i rozwiązłości papieskiego dworu poznaje piękną i podstępną bratową, Lukrecję, której zawiść okazuje się równie wielka, jak jej uroda. Krążą plotki, że Lukrecja truje rywalki, które zdobyły serce jej przystojnego brata, Cezara. Uwikłana w pajęczą sieć intryg i zwodniczych więzów rodzinnych Borgiów, Sancha odnajduje w sobie spryt i odwagę, by podjąć niebezpieczną grę o przetrwanie.

Prolog

Zwą ją canterella: trujący proszek tak zabójczy, że szczypta może zabić człowieka w ciągu paru dni. Skutki jej zażycia są straszliwe. Ból rozsada czaszkę, oczy zachodzą mgłą, ciałem wstrząsają dreszcze. Trzewia wydają krwistą ciecz, żołądek ściskają skurcze, a ofiara wyje z bólu.

Plotka głosi, że tylko Borgiowie znają sekret jej przyrządzenia i przechowywania, a także wiedzą, jak ją podać, żeby ukryć smak. Rodrigo Borgia -a raczej Jego Świątobliwość Aleksander VI - poznał tajniki tej trucizny od swej ukochanej nałożnicy, ognistowłosej Vannozzy Catanei. Był wtedy jeszcze kardynałem. To starszy brat Rodriga, Pedro Luis, bez wątplenia zostałby papieżem... gdyby nie umiejętnie i dobrze zaplanowane podanie canterelli.

Jako szczerzy rodzice Rodrigo i Vannozza przekazali recepturę swym dzieciom - a w każdym razie słodkiej, piękności córce Lukrecji. Któż lepiej uspi czujność nieufnych, jeśli nie ona swym skromnym uśmiechem i łagodnym głosem? Kto może skuteczniej mordować i zdradzać, jeśli nie ta, którą sławią jako najbardziej niewinną istotę w Rzymie?

„Gorączka Borgiów” zdziesiątkowała Rzym niczym zaraza, przeredziwszy zastępy prałatów. Każdy kardynał z kawałkiem ziemi i odrobiną majątku zaczął żyć w strachu: gdy umiera duchowny, jego bogactwa trafiają w ręce Kościoła.

A trzeba wielu bogactw, by sfinansować wojnę. Wielu bogactw, by zebrać liczną armię, zdolną złamać opór każdego państwa-miasta w Italii, i ogłosić się przywódcą nie tylko duchowym, lecz i świeckim. Papież i jego bękart Cezar pragną czegoś więcej niż nieba; pożądają też ziemi.

Na razie siedzę w Castel Sant'Angelo z innymi kobietami. Z okna komnaty widzę pobliski Watykan, papieską rezydencję i Palazzo Santa Maria,

gdzie mieszkałam kiedyś z mężem. Pozwalają mi poruszać się po pałacu i traktują z honorami, ale utraciłam dawną pozycję, jestem więźniem, trzymają mnie pod strażą. Przeklinam dzień, w którym pierwszy raz usłyszałam o Borgiach; modłę się o dzień, gdy usłyszę bicie dzwonów wieszczące śmierć starego papieża.

Ale wcześniej muszę odzyskać wolność. Unoszę fiołkę do jasnego rzymskiego słońca, które zalewa przyznaną mi wspaniałomyślnie komnatę. Flakonik z weneckiego szkła o barwie szmaragdu lśni niczym klejnot, proszek w środku jest szaroniebieski, nieprzezroczysty i matowy.

Canterello, szepczę. Piękna canterello, wybaw mnie...

Jesień 1488

Nazywam się Sancha Aragońska, jestem córką człowieka, który na rok i jeden dzień został królem Neapolu Alfonsem II. Tak jak Borgiowie, moja rodzina przybyła na Półwysep Apeniński z Hiszpanii i tak jak oni w domu mówiłam po hiszpańsku, a publicznie po włosku.

Moje najżywsze wspomnienie z dzieciństwa dotyczy dziewiętnastego września roku pańskiego 1488, kiedy miałam jedenaście lat. To święto San Gennara, patrona Neapolu. Mój dziad, król Ferrante, wybrał tę szczególną datę, by uczcić trzydziestą rocznicę wstąpienia na tron neapolitański.

Zwykle my, rodzina królewska, nie uczestniczyliśmy w uroczystościach, które odbywały się w Gran Duomo, katedrze zbudowanej na naszą cześć. Woleliśmy obchodzić święto w zaciszu kościoła Santa Barbara, wzniesionego w obrębie murów wspaniałego królewskiego pałacu Castel Nuovo. Lecz tamtego roku, z racji okrągłej rocznicy, mój dziad uznał za rozropne wziąć udział w publicznych obchodach. W otoczeniu licznej świty wybraliśmy się do Duomo, obserwowani z oddali przez *zie* (ciotki) *di San Gennaro*, ubrane w czerń lamentujące niewiasty, które błagały świętego o opiekę i błogosławieństwo dla Neapolu.

Neapol potrzebował tego błogosławieństwa. Stoczono tu wiele wojen, moja rodzina z dynastii aragońskiej zdobyła miasto po krwawej bitwie zaledwie czterdzieści dwa lata temu. Chociaż Ferrante pokojowo przejął tron po ojcu, uwielbianym Alfonsie Mądrym, sam Alfonso zbrojną ręką odebrał Neapol Andegawenom, stronnikom Karola d'Anjou. Króla Alfonsa kochano za odbudowanie miasta, wytyczenie nowych placów, wzniesienie wspaniałych pałaców, wzmocnienie murów i wzbogacenie zbiorów królewskiej biblioteki. Mój dziad nie cieszył się już taką miłością. Zależało mu raczej na utrzymaniu

w ryzach możnowładców, w których żyłach płynęła krew Andegawenów. Całe lata spędził na wojnach ze zbuntowanymi baronami i nigdy nie zdołał zaufać własnym poddanym. A oni z kolei nigdy nie zaufali jemu.

Neapol padał też ofiarą trzęsień ziemi, włącznie z tym, którego świadkiem był w 1343 roku poeta Petrarca. Zburzyło ono pół miasta i zatopiło wszystkie statki w spokojnych zwykle wodach portu. Trzeba się było także liczyć z Wezuwiuszem, który wciąż groził wybuchem.

Dlatego właśnie udaliśmy się tamtego dnia do katedry prosić San Gennara o łaskę i przy odrobinie szczęścia doświadczyć cudu.

Orszak, w którym przybyliśmy do Duomo, był wspaniały. My, królewskie kobiety i dzieci, weszłyśmy pierwsze w eskorcie gwardzistów w granatowo--złoty strojach, którzy poprowadzili nas w głąb świątyni, między rzędami ubranych w czerń mieszczan, kłaniających się nam niczym łany zboża gnące się na wietrze. Pochód otwierała dojrzała Juana Aragońska, żona króla Ferrante, za nią kroczyły dwie moje ciotki, Beatriz i Leonora. Następna szła moja niezamężna jeszcze przyrodnia siostra Isabella, której wyznaczono opieką nademną, moim ośmioletnim bratem Alfonsem, a także najmłodszą córką króla Ferrante, a moją ciotką, Giovanną, urodzoną w tym samym roku co ja.

Starsze kobiety były ubrane w tradycyjny strój neapolitańskich szlachcianek: długie czarne suknie, ciasno zasznurowane gorsety i rękawy wąskie u góry, a potem rozkwitające do szerokości kościelnych dzwonów przy nadgarstku tak, że materiał spływał aż za biodra. Nam, dzieciom, pozwolono na barwne szaty: miałam na sobie suknię z soczyście zielonego jedwabiu i brokatowy gorset ściskający moje nierozwinięte jeszcze piersi. Szyję ozdobiły mi morskie perły i złoty krzyżyk, głowę okrywał delikatny czarny welon. Alfonso był ubrany w tunikę i nogawice z błękitnego aksamitu.

Trzymając brata za rękę, szłam tuż za przyrodnią siostrą i uważałam, żeby nie przydepnąć jej przepysznej sukni. Staralam się wyglądać dumnie i dostojnie, ze wzrokiem utkwionym w plecy Isabelli, podczas gdy brat rozglądał się ciekawie po zgromadzonych. Pozwoliłam sobie tylko na jedno spojrzenie na wielką ryse w łuku między dwiema potężnymi kolumnami z marmuru; powyżej okrągły portret świętego Dominika pękł na pół. Pod nim stało rusztowanie, znak ostatnich napraw po trzęsieniu ziemi, które zrujnowało Duomo dwa lata przed objęciem rządów przez króla Ferrante.

Byłam zawiedziona, że oddano mnie pod opiekę Isabelli, a nie matki, madonny Trusji Gazullo. Ojciec zwykle zapraszał Trusję, piękną złotowłosą szlachciankę, na wszystkie oficjalne uroczystości. Uwielbiał jej towarzystwo. Myślę, że był niezdolny do miłości, ale na pewno w objęciach mojej łagodnej matki doświadczał najlepszych uczuć.

Król Ferrante oświadczył jednak, że nie przystoi, by ojciec przyprowadzał nałożnicę do kościoła w królewskim orszaku. Równie stanowczo nalegał na obecność moją i mojego brata Alfonsa. My, dzieci, nie ponosiłyśmy winy za grzech rodziców. W końcu sam Ferrante też był bękartem.

Z tego względu brat i ja zostaliśmy wychowani jak królewskie potomstwo, ze wszystkimi prawami i przywilejami, w Castel Nuovo, pałacu monarchy. Moja matka mogła swobodnie przychodzić i odchodzić, jak sobie tego życzył ojciec, i często zostawała z nim w pałacu. Tylko subtelne sygnały ze strony naszego przyrodniego rodzeństwa i bardziej bezpośrednie przytyki ojca przypominały nam, że jesteśmy istotami niższego rzędu. Nie bawiłam się z prawowitymi dziećmi ojca, o kilka lat starszymi, ani z ciotką Giovanną i wujkiem Carlem, bliskimi mi wiekiem. Za to z młodszym bratem Alfonsem stworzyliśmy nierozłączną parę. Chociaż wziął imię po ojcu, był jego przeciwieństwem: złotowłosym chłopcem o buzi aniołka, dobrodusznym i obdarzonym bystrą inteligencją, pozbawioną chytryści. Miał ja-snobłękotne oczy madonny Trusji, ja zaś przypominałam ojca do tego stopnia, że gdybym była chłopcem, moglibyśmy być bliźniętami, które urodziły się w różnych pokoleniach.

Isabella zaprowadziła nas do pierwszej ławy, odgródzonej linami. Nawet gdy usiedliśmy, wciąż trzymaliśmy się z bratem za ręce. Katedra przytłaczała nas swoim ogromem. Wysoko nad głową, jakby powyżej kilku sfer niebieskich, widziałam złoconą kopułę, która lśniła w świetle sączącym się przez łukowate okna.

Następnie weszli mężczyźni z królewskiego rodu. Pochód otwierał mój ojciec, Alfonso, książę Kalabrii, rozległego wiejskiego regionu położonego daleko na południu królestwa. Był następcą tronu i słynął z zaciętości w boju; w młodości wyrwał z rąk Turków Otranto w zwycięskiej bitwie, która przyniosła mu chwałę. Nigdy jednak nie zaskarbił sobie miłości ludu. Każdy jego ruch, każde spojrzenie i gest były władcze i posępne, a efekt ten potęgował jeszcze surowy szkarłatno-czarny strój. Urodą przewyższał wszystkie obecne kobiety. Miał idealnie prosty, cienki nos i wysokie kości policzkowe, pełne, czerwone i zmysłowe wargi pod starannie przyszczyżonym wąsem i duże ciemnoniebieskie oczy pod grzywą lśniących kruczoczarnych włosów.

Tylko jedna rzecz go szpeciła: oziębły wyraz twarzy i oczu. Jego żona, Hipolita Sforza, zmarła cztery lata temu; służba i krewni szeptali, że w ten sposób chciała uciec przed okrucieństwem męża. Pamiętam ją jak przez mgłę jako kruchą i nieszczęśliwą kobietę o wyłupiastych oczach. Ojciec zawsze korzystał z okazji, by wypomnieć jej wady albo zwrócić uwagę na fakt, że ich małżeństwo podyktowały względy polityczne, gdyż pochodziła z jednej

z najznamienitszych i najpotężniejszych rodzin we Włoszech. Zawsze też przypominał biednej Hipolicie, że o wiele większą rozkosz znajduje w objęciach mojej matki.

Przyglądałam mu się, gdy stanął przed nami, kobietami i dziećmi, na wprost ołtarza, tuż przy pustym tronie, który oczekiwał na nadejście jego ojca, króla.

Za nim kroczyli moi stryjowie: Federico i Francesco. Następny szedł pierworodny syn mego ojca, który otrzymał imię po dziadku, lecz nazywano go zdrobnieniem Ferrandino. Miał wtedy dziewiętnaście lat, był drugim w kolejności pretendentem do tronu i drugim co do urody mężczyzną w Neapolu, ale ciepła i towarzyska natura czyniła go pierwszym. Gdy mijał zgromadzenie wiernych, za jego plecami słychać było kobiece westchnienia. Za nim podążał jego młodszy brat Piero, który na swoje nieszczęście przypominał z wyglądu matkę.

Król Ferrante wszedł ostatni, ubrany w nogawice i czepiec z czarnego aksamitu oraz srebrzystą tunikę haftowaną cienką złotą nicią. Przy biodrze miał przypasany ozdobiony szlachetnymi kamieniami miecz, który otrzymał podczas koronacji. Chociaż znałam go tylko jako starego człowieka z podagrą, tego dnia poruszał się z gracją i stapał pewnym, sprężystym krokiem. Jego ciało było wyniszczone przez wiek i obżarstwo. Siwe włosy przerzedziły się, odsłaniając zaróżowioną od słońca skórę; pod starannie przystrzyżoną brodą zwisał podwójny podbródek. Grube ciemne brwi budziły mój strach, zwłaszcza z profilu, bo każdy włoski sterczał w inną stronę. Pod nimi lśniły oczy równie niezwykle co moje i ojca - intensywnie niebieskie z odrobiną zieleni, zmieniające barwę w zależności od oświetlenia i kolorów otoczenia. Nos miał czerwony, usiany bliznami po wrzodach, policzki pokryte popękаныmi żyłkami. Ale trzymał się prosto i nadal samo jego pojawienie się sprawiało, że tłum milkł.

I teraz, gdy pojawił się w Duomo San Gennara, poważna mina przypominała o jego potędze i charyzmie. Poddani pochylili się jeszcze niżej i odczekali, aż król zajmie miejsce na tronie przy ołtarzu. Dopiero wtedy ośmielili się wstać; dopiero wtedy chór zaczął śpiewać.

Udało mi się dojrzeć ołtarz, gdzie przed płonącymi świecami ustawiono srebrne popiersie San Gennara w biskupiej infule. W pobliżu stał naturalnej wielkości marmurowy posąg świętego z insygniami, dwa palce wznosiły się w geście błogosławieństwa, w zgiętym ramieniu trzymał pastorał.

Kiedy król usiadł, a chór umilkł, na ołtarzu pojawił się biskup Neapolu, który wygłosił inwokację. Potem wyszedł młodszy ksiądz, niosąc srebrny relikwiarz w kształcie latarni. Za szkłem znajdowało się coś małego i ciemnego: nie mogłam się temu przyjrzeć dokładnie ze swojego miejsca, bo by-

łam za mała widok zasłaniały mi obleczone w czerń plecy ciotek i aksamitne czapki męskich członków rodziny. Wiedziałam, że jest to naczynie zawierające wyschniętą krew męczennika San Gennaro, torturowanego, a potem świętego z rozkazu cesarza Dioklecjana ponad tysiąc lat temu.

Biskup i jego pomocnik modlili się. *Zie di San Gennaro* zawodziły płaczliwie, błagając świętego o wstawiennictwo. Młodszy ksiądz ostrożnie, nie dotykając szkła, obrócił relikwiarz do góry nogami, najpierw raz, a potem drugi.

Zdawało się, że minęła cała wieczność. Obok mnie Isabella pochyliła głowę i zamknęła oczy, jej wargi poruszały się w bezgłośnej modlitwie. Z drugiej strony mały Alfonso również skłonił z powagą głowę, lecz zafascynowany, spod złocistych loków podpatrywał księdza.

Gorąco wierzyłam, że moc Boga i świętych wpływa na losy ludzi. Uznawszy, że najbezpieczniej jest pójść za przykładem Isabelli, pochyliłam głowę, zacisnęłam powieki i szeptem zaczęłam się modlić do świętego patrona Neapolu: „Błogosław nasze ukochane miasto i miej nad nim pieczę. Chroń króla, mojego ojca i matkę, i Alfonsa. Amen”.

Przez tłum przebiegł pomruk bogobojnego zdumienia. Zerknęłam na ołtarz: kapłan uniósł srebrny relikwiarz, dumnie pokazując go zebranym.

- *II miracolo e fatto* - obwieścił.

Stał się cud.

Chór i wierni zaśpiewali *Te Deum*, dziękując Bogu za okazanie łaski.

Z miejsca, gdzie siedziałam, nie widziałam, co się wydarzyło, lecz Isabella powiedziała mi to na ucho: sucha, ciemna substancja w fiołce roztopiła się, a potem zabulgotała, gdy starożytna krew ponownie stała się ciekłą. San Gennaro dał znak, że usłyszał nasze modły i jest zadowolony; będzie ochraniał miasto, w którym służył za życia jako biskup.

To dobry omen, szepnęła, zwłaszcza dla króla ze względu na jego rocznicę. San Gennaro obroni go przed wszystkimi wrogami.

Obecny biskup Neapolu wziął relikwiarz od młodszego księdza, zszedł z ołtarza i zbliżył się do tronu. Wyciągnął srebrną szkatułę w stronę Ferran-tego i czekał, aż monarcha wstanie i podejdzie.

Mój dziadek nie podniósł się ani nie uklęknął w obliczu cudu. Siedział dalej na tronie, zmuszając biskupa do przyniesienia mu relikwiarza. Dopiero wtedy zastosował się do pradawnego obyczaju i przycisnął wargi do szkła, pod którym przechowywano świętą krew.

Biskup wrócił na ołtarz. Następnie męscy członkowie królewskiego rodu, począwszy od mego ojca, zbliżali się po kolei i całowali świętą relikwię. Potem my, kobiety i dzieci, uczyniliśmy to samo - ja i brat nadal trzymaliśmy

się za ręce. Przytknęłam wargi do szkła ocieplonego oddechami krewnych i spojrzalam na ciemną ciecz w środku. Słyszałam wcześniej o cudach, lecz jeszcze nigdy żadnego nie widziałam. Byłam zdumiona.

Stałam obok Alfonsa, gdy przyszła jego kolej, a potem gęsiego wróciliśmy na swoje miejsca.

Biskup przekazał relikwiarz młodszemu kapłanowi i dwoma palcami prawej ręki zakreślił w powietrzu znak krzyża, błogosławiąc najpierw mego dziadka, a potem całą naszą rodzinę.

Chór zaczął śpiewać. Stary król wstał z wysiłkiem. Gwardziści opuścili stanowiska wokół tronu i orszak wyszedł przed kościół, gdzie czekały powozy. Myjak zwykle podążyliśmy za królem.

Obyczaj wymagał, aby wszyscy wierni, wraz z rodziną królewską, pozostali na miejscach podczas całej ceremonii, gdy wierni kolejno będą podchodzić do ołtarza i całować relikwią, lecz Ferrante był zbyt niecierpliwy, by czekać na pospólstwo.

Wróciliśmy prosto do Castel Nuovo, potężnego pałacu z błotnistoszarych cegieł, wybudowanego dwieście lat temu przez Karola d'Anjou. Wcześniej usunięto ruiny franciszkańskiego klasztoru pod wezwaniem Najświętszej Marii Panny. Karol wyżej sobie cenił bezpieczeństwo niż elegancją: każdy narożnik zamku, który nazwał *Maschio Angiono*, Twierdzą Andegaweńską, chroniły potężne baszty zwieńczone sterczącymi w niebo żabami blanków.

Pałac wzniesiono nad zatoką, tak blisko brzegu, że jako dziecko często wystawiałam rękę przez okno i wyobrażałam sobie, że głaszczę grzbiety fal. Tamtego ranka od morza wiała bryza i jadąc w otwartym powozie między Alfonsem a Isabellą, z radością wdychałam zapach soli. Nie można mieszkać w Neapolu bez ciągłego widoku wody i nie można jej nie pokochać. Starożytni Grecy nazwali miasto Parthenope - na cześć pół kobiety, pół ptaka, która z powodu nieodwzajemnionej miłości do Odyseusza rzuciła się do morza. Według legendy kąpała się przy neapolitańskim brzegu, a ja już jako dziewczynka wiedziałam, że to nie miłość do mężczyzny pchnęła ją w objęcia fal.

Zdjęłam welon, żeby pełniej rozkoszować się powietrzem. Aby lepiej widzieć wklęsły półksiężyc wybrzeża z ciemnofioletową, mroczną sylwetką Wezuwiusza na wschodzie i owalną fortecą Castel dell'Ovo na zachodzie, wstałam i się obróciłam. Isabella natychmiast usadziła mnie z powrotem mocnym szarpnięciem za ramię, lecz ze względu na tłumy gapiów zachowała dostojny wyraz twarzy.

Wóz przejechał z łoskotem przez główną bramę zamku między Wieżą Strażniczą a Wieżą Środkową. Mury obu baszt łączył wyciosany z białego

marmuru łuk triumfalny Alfonsa Mądrego wzniesiony przez mego pradziada dla upamiętnienia jego zwycięskiego wjazdu do Neapolu i objęcia tu rządów. Łuk był pierwszą z wielu prac renowacyjnych wykonanych na polecenie nowego króla w zrujnowanym zamku i gdy stanął na miejscu, Alfonso nazwał swoją siedzibą Castel Nuovo.

Przejeżdżając pod niższym z dwóch łuków, zadarłam głową i spojrzałam na płaskorzeźbę przedstawiającą Alfonsa w powozie, witanego przez szlachtę. Wysoko w górze, z ręką sięgającą ponad wieże, nadnaturalnej wielkości posąg szczęśliwego Alfonsa wskazywał gestem niebo. Ja też byłam szczęśliwa. Mieszkałam w słonecznym Neapolu, nad brzegiem morza, z ukochanym bratem. Nie wyobrażałam sobie, by ktokolwiek mógł mi tę radość odebrać. Gdy wjechaliśmy na dziedziniec i zamknięto bramę, wysiedliśmy z powozów i weszliśmy do głównej komnaty. Tam na olbrzymim stole czekała nas biesiada: misy z oliwkami i owocami, wszelkiego rodzaju pieczywo, dwa pieczone dziki z pomarańczami w pyskach, pieczone i nadziewane ptactwo, owoce morza, włącznie z małymi soczystymi langustami. Nie brakowało też wina - *Lacrima Christi*, czyli łez Chrystusa, które wyrabiano z winogron rosnących na żyznych zboczach Wezuwiusza. Ja i Alfonso piliśmy je rozcieńczone wodą. Komnatę ozdobiono wielką ilością przeróżnego kwiecica, potężne marmurowe kolumny obwieszono haftowanymi złotem draperiami z niebieskiego aksamitu, do których przymocowano girlandy krwistoczerwonych róż.

Nasza matka, madonna Trusja, czekała, by nas powitać. Podbiegliśmy do niej. Stary Ferrante lubił ją i ani odrobinę nie przeszkadzało mu, że urodziła memu ojcu dwoje nieślubnych dzieci. Jak zawsze powitała mnie i brata pocałunkiem w wargi i ciepłym uściskiem; pomyślałam, że jest najpiękniejszą kobietą w pałacu. Zdawała się jaśnieć na tle innych niczym niewinna złotowłosa bogini w stadzie podstępnych wron. Tak jak jej syn była po prostu dobra i martwiła się nie o to, jaką korzyść zyskać, lecz ile miłości ofiarować i jak przysłużyć się innym. Usiadła między mną a Alfonsem, po mojej prawej stronie usadowiła się Isabella.

Ferrante zajął honorowe miejsce w górze stołu. Za jego plecami łuk drzwi otwierał drogę do sali tronowej, i dalej do prywatnych komnat króla. Nad łukiem wisiał proporzec z neapolitańskim herbem, złotymi liliami na granatowym tle, pozostałością po rządach Andegawenów.

Owego dnia łuk ten budził we mnie szczególną fascynację; miał być moją bramą w nieznaną.

Kiedy skończyła się biesiada, sprowadzono muzykantów i rozpoczęły się tańce, którym stary król przyglądał się z tronu. Nawet przelotnie nie spojrzawszy

na nas, dzieci, ojciec wziął matkę za rękę i poprowadził do tańca. Skorzystałam z nieuwagi Isabelli i wyznałam bratu:

- Poszukam zmarłych Ferrantego. - Miałam zamiar wejść do komnat króla bez pozwolenia, co nawet dla członka rodziny królewskiej było niewybaczalnym naruszeniem protokołu. Dla obcego równałoby się zdradzie stanu.

Oczy Alfonsa się zaokrągliły.

- Nie rób tego. Nie wiadomo, co zrobi ojciec, jeśli cie złapią.

Ale mnie już od kilku dni dręczyła nieznośna ciekawość i nie potrafiłam jej dłużej tłumić. Podśledzałam, jak jedna ze służących mówiła donnie Esmeraldzie, mojej piastunce i kolekcjonerce dworskich plotek, że stary król ma sekretną „komnatą umarłych”, którą regularnie odwiedza. Do tamtej pory razem z resztą rodziny sądziłam, że to plotka rozpowszechniana przez wrogów dziadka.

Byłam znana ze śmiałości. W przeciwieństwie do młodszego brata, który pragnął tylko zadowolić dorosłych, dopuszczałam się licznych dziecięcych przestępstw. Wdrapywałam się na drzewo, żeby podglądać krewnych uprawiających miłość. Raz podczas spełnienia arystokratycznego małżeństwa, któremu przyglądali się w roli świadków król i biskup, zostałam przyłapaną na gapieniu się przez okno. Pod gorsetem przemycałam do pałacu ropuchy i wypuszczałam je na stół w czasie królewskich uczt. A w zemście za nałożoną karę ukradłam z kuchni dzban oliwy i wylałam jego zawartość w progu sypialni ojca. Oliwa nie martwiła moich rodziców tak bardzo jak fakt, że w wieku dziesięciu lat użyłam swoich najbardziej drogocennych klejnotów, by przekupić strażnika.

Zawsze strofowano mnie i zamykano w dzieciennym pokoju na czas stosowny do wagi występku. Nie przejmowałam się tym. Alfonso chętnie dotrzymywał mi towarzystwa i bawił się ze mną. Świadomość, że i tak będziemy razem, sprawiała, że wcale nie myślałam o poprawie. Tęga donna Esmeralda, mimo że była tylko dworką, nie bała się mnie i nie czuła przede mną respektu. Królewska krew nie robiła na niej wrażenia. Choć pochodziła z pospolitej rodziny, zarówno jej ojciec, jak i matka służyli na dworze Alfonsa Mądrego, a potem Ferrantego. Zanim się urodziłam, opiekowała się moim ojcem.

W owym czasie jako czterdziestokilkuletnia matrona budziła szacunek swoim wyglądem: była grubokoścista, szeroka w biodrach, o wydatnym biuście i mocna w gębie. Szpakowate włosy nosiła upięte pod ciemnym welonem; wечно chodziła w czarnej żałobnej sukni, choć jej mąż zginął ćwierć wieku wcześniej jako młody żołnierz armii Ferrantego. Po jego śmierci donna Esmeralda stała się żarliwie religijna; na jej obfitych piersiach lśnił złoty krzyżyk.

Nigdy nie miała dzieci. I mimo że nigdy nie polubiła mego ojca - w gruncie rzeczy ledwo kryła się z pogardą dla niego - od kiedy Trusja mnie urodziła, Esmeralda zachowywała się tak, jakbym była jej własną córką.

Chociaż mnie kochała i robiła, co w jej mocy, aby mnie ochraniać, nigdy nie omieszkała mnie zganić. Mrużyła oczy, wykrzywiła z niesmakiem wargi i kręciła głową. „Czy nie możesz zachowywać się jak twój brat?”

To pytanie nigdy mnie nie raniło; kochałam brata. Tak naprawdę pragnęłam być bardziej podobna do niego i matki, lecz nie mogłam stłumić tego, czym byłam. Potem Esmeralda mówiła coś, co raniło mnie do żywego: „Jesteś tak niegrzeczna jak ojciec, kiedy był w twoim wieku”.

W wielkiej jadalni obejrzałam się przez ramię na brata i powiedziałam:

- Ojciec nigdy się nie dowie. Spójrz na nich... - Wskazałam na dorosłych, którzy śmiali się i tańczyli. - Nikt nie zauważy, że mnie nie ma. A ty, Alfonso, nie chcesz się dowiedzieć, czy to prawda?

- Nie - odparł trzeźwo.

- Dlaczego?

- Bo to może być prawda.

Dopiero później zrozumiałam, o co mu chodzi. Posłałam mu zniecierpliwione spojrzenie i z szelestem zielonej sukni zaczęłam przemykać się przez tłum.

Niepostrzeżenie przekradłam się pod portalem i granatowo-złotym sztandarem. Wydawało mi się, że tylko ja uciekłam z zabawy.

Z zaskoczeniem stwierdziłam, że olbrzymie drewniane drzwi do apartamentów króla są niedomknięte. Po cichu rozchyliłam je szerzej, wślizgnęłam się i zamknęłam je za sobą.

Komnata była pusta, bo gwardziści trzymali straż w głównej sali. Choć nie tak imponujących rozmiarów, pomieszczenie budziło podziw: przy ścianie naprzeciwko drzwi stał tron z misternie rzeźbionego ciemnego drewna, obity szkarłatnym aksamitem i ustawiony na niewielkim podwyższeniu z dwoma schodkami. Nad nim wisiał baldachim z neapolitańskimi liliami, po bokach znajdowały się łukowate okna wysokie od podłogi aż po sufit. Przez nieosłonięte okiennicami szyby wlewało się słońce, a jego promienie odbijały się od marmurowej posadzki i bielonych ścian, sprawiając, że komnata olśniewała i robiła wrażenie przestronniejszej niż w rzeczywistości.

Zdawała się zbyt jasna, zbyt pełna blasku, by mogła kryć jakikolwiek sekret. Zatrzymałam się na chwilę i rozejrzałam dookoła, czując, jak narasta we mnie podniecenie, a jednocześnie strach. Bałam się, lecz jak zwykle ciekawość wzięła górę. Zerknęłam na drzwi do sypialni dziadka.

Wcześniej tylko raz tam byłam: parę lat wcześniej, gdy Ferrantego dopadła niebezpieczna gorączka. Przekonani, że kona, lekarze wezwali rodziną,

żeby mogła się z nim pożegnać. Nie sądziłam, że król w ogóle mnie pamięta - ale położył dłoń na mojej głowie i uśmiechnął się łaskawie.

Byłam wtedy zdumiona. Przez całe życie witał się ze mną i moim bratem pobieżnie, odwracał wzrok i z zafrasowaniem zdawał się skupiać na innych, ważniejszych sprawach. Nie należał do ludzi towarzyskich, lecz od czasu do czasu udawało mi się spostrzec, jak bacznie przygląda się dzieciom i wnukom. Nie zachowywał się oschle ani niegrzecznie, ale wydawał się roztargniony. Kiedy się odzywał, nawet podczas największych rodzinnych uroczystości, zwracał się zwykle do mojego ojca i mówił tylko o polityce. Jego ostatnie małżeństwo z Juaną Aragońską było związkiem zawartym z miłości - Ferrante nie potrzebował już nowych przymierzy, nie musiał się starać

o spłodzenie następcy tronu. Ta namiętność dawno się już wypaliła; teraz król i królowa przebywali w oddzielnych kręgach i rozmawiali ze sobą tylko wtedy, gdy wymagała tego sytuacja.

Kiedy więc tak leżał zmożony chorobą, która miała go rzekomo zabić,

1 położył dłoń na mojej głowie, a potem się uśmiechnął, uznałam, że jest miły i dobry.

Teraz, stojąc w komnacie tronowej, wzięłam głęboki oddech, żeby dodać sobie odwagi, i ruszyłam prędkim krokiem do prywatnych apartamentów Ferrantego. Nie spodziewałam się tam żadnych trupów; bałam się kary, jaka czekałaby mnie, gdybym została przyłapana.

Dobiegające zza ciężkich drzwi głosy biesiadników i dźwięki muzyki stawały się coraz cichsze. Słyszałam szelest swojej jedwabnej sukni, sunącej po marmurowej posadzce.

Ostrożnie uchylłam drzwi do pierwszej z prywatnych komnat króla. Był to gabinet z czterema krzesłami, dużym biurkiem, stołami, wieloma lichtarzami i kinkietami, które zapewniały wieczorem oświetlenie, i mapą Neapolu oraz Państwa Kościelnego na ścianie. Wisiał tam również portret Alfonsa Mądrego z wysadzonym szlachetnymi kamieniami mieczem. Miecz ten Alfonso przywiózł z Hiszpanii i to z tym orężem Ferrante pojawił się dziś w Duomo.

Zaczęłam obmacywać ściany; szukając zamaskowanego schowka albo korytarza; na marmurowej posadzce wypatrywałam szczelin, które zdradziłyby zejście na schody prowadzące do lochów. Niczego nie znalazłam.

Przez łukowate drzwi przeszłam do następnej komnaty, w której urządzone prywatną jadalnię króla. Tutaj też nie znalazłam niczego godnego uwagi.

Pozostała tylko sypialnia. Wejścia do niej strzegły ciężkie drzwi. Stłumiwszy obawę srogiej kary, śmiało je otworzyłam i wkroczyłam do najbardziej odosobnionej i najbardziej osobistej komnaty króla.

W przeciwieństwie do poprzednich, pełnych światła i radosnych pokojów sypialnia była mroczna i nieprzystępna. Okna zasłonięto ciemnozielonymi kotarami z aksamitu, które odcinały dostęp światła i powietrza. Łoża okrywała duża kapa z tego samego zielonego materiału oraz futra; najwyraźniej Ferrante cierpiał w nocy na dreszcze.

Komnata była stosunkowo skromnie urządzona, biorąc pod uwagę status właściciela. Jedyne oznaki jego wysokiej pozycji stanowiły złote popiersie króla Alfonsa na kominku oraz złote kandelabry po obu stronach łoża.

Mój wzrok przykuły otwarte na oścież drzwi w głębi sali. Za nimi znajdowało się małe, pozbawione okien pomieszczenie, w którym stały drewniany ołtarzyk, świece, posążek San Gennara i wyścielany klęcznik.

W głębi, za skromnym ołtarzem były następne drzwi, zamknięte. Przez szpary między drzwiami a framugą sączyło się słabe, migoczące światło.

Poczułam przyływ podniecenia i lęku. Czyżby służąca mówiła prawdę? Widziałam już śmierć. W ogromnej rodzinie królewskiej zdarzały się zgony, a podczas uroczystości pogrzebowych często przyprowadzano mnie przed blade, upozowane truchła niemowląt, dzieci i dorosłych. Lecz myśl o tym, co może się znajdować za zamkniętymi drzwiami, całkowicie pochłonęła moją wyobraźnię. Czy znajdę tam szkielety ułożone jedne na drugich? Stosy gnijącego mięsa? Rzędy trumien?

A może wyznanie służącej wypływało tylko z chęci podtrzymania starej plotki?

Nie mogłam dłużej zapanować nad ciekawością. Szybko przeszłam przez wąski pokój z ołtarzem i położyłam drżące palce na spiżowej klamce wrót w nieznaną. W przeciwieństwie do innych pałacowych drzwi, które były dziesięć razy szersze i cztery razy wyższe ode mnie, te były tylko na tyle duże, by zmieścić się w nich dorosły mężczyzna. Otworzyłam je.

Jedynie zimna arogancja odziedziczona po ojcu stłumiła we mnie okrzyk przerażenia.

Spowita mrokiem komnata nie od razu zdradzała swe rozmiary. W moich dziecięcych oczach zdawała się ogromna i niezmierna. Pozbawione okien pomieszczenie oświetlały tylko trzy świece: jedna w pewnej odległości ode mnie i dwie w dużych żelaznych kinkietach po obu stronach drzwi.

Tuż za nimi, z obliczem oświetlonym migotliwym złocistym światłem świec stał mój gościnny gospodarz. A właściwie nie stał, lecz opierał się o sterczącą pionowo żerdź. Miał na sobie granatową czapkę i złotą tunikę ozdobioną medalionami z heraldycznymi liliami. Na wysokości piersi i bioder przewiązano go liną, żeby nie upadł. Przymocowany do jednego z ramion drut unosił je zgięte w łokciu i z dłonią obróconą lekko do góry w zapraszającym geście.

„Proszę wejść, Wasza Wysokość”.

Jego skóra wyglądała jak lakierowany pergamin. Opinała ciasno kości policzkowe, odsłaniając brązowe zęby, wyszczerzone w upiornym uśmiechu. Ze wspaniałych zapewne za życia włosów zostało się ledwie kilka zmatowiałych kasztanowych kęp. A oczy...

Pozostałym elementom twarzy pozwolono skurczyć się makabrycznie. Wargi w ogóle zniknęły, uszy zmieniły się w grube, nieduże fałdy skóry przyklejone do czaszki. Nos, dwa razy cieńszy od mojego małego palca, utracił mięsiste nozdrza i teraz kończył się dwiema ziejącymi pustką dziurami. Lecz najwyraźniej braku oczu nie można było tolerować: w oczodołach spoczywały dwie dobrze dopasowane, wypolerowane kulki z białego marmuru, na których pieczołowicie wymalowano zielone tęczęwki i czarne źrenice. Miałam wrażenie, jakby szkielet mi się przyglądał.

Przełknęłam ślinę, zadrzałam. Do tej chwili byłam zwyczajnym dzieckiem, które myśli, że to tylko zabawa. Lecz to, co odkryłam, nie wywołało przyjemnego dreszczyku podniecenia ani rozkosznego poczucia przechytrzenia opiekunów, a jedynie przekonanie, że natrafiłam na coś przerażającego i że wkroczyłam do świata dorosłych.

Podeszłam do kościotrupa, mając nadzieję, że to, co widzę, jest tylko fałszerstwem: że ta postać nigdy nie była człowiekiem. Ostrożnie przytknęłam palec do obleczonego w atlas uda i wyczułam pod spodem kość. Nogi kończyły się cienkimi łydkami w pończochach i delikatnymi jedwabnymi trzewikami.

Cofnęłam rękę. Nie miałam już wątpliwości.

„Alfonso, nie chcesz się dowiedzieć, czy to prawda?”

„Nie. Bo to może być prawda”.

Jakże mądry okazał się mój młodszy brat: Za wszelką cenę pragnęłam zapomnieć o tym, co zobaczyłam. Wszystko, co sądziłam o dziadku, zmieniło się nieodwołalnie. Myślałam, że jest miłym staruszkim, co prawda surowym, ale to dlatego, że ciąży na nim odpowiedzialność rządu. Uważałam, że możnowładcy, którzy się przeciw niemu buntowali, byli źli i lubowali się w przemocy bez żadnego powodu z wyjątkiem tego, że byli Francuzami. Sądziłam, że śludzy, którzy twierdzili, że lud nienawidzi Ferrantego, kłamią. Słyszałam, jak królewska pokojówka szepnęła donnie Esmeraldzie, że monarcha popada w szaleństwo, i parsknęłam tylko śmiechem.

W obliczu tej niewyobrażalnej potworności już się nie śmiałam. Zadrzałam. Nie sprawił tego upiorny widok, lecz myśl, że w moich żyłach płynie krew Ferrantego.

Minąwszy kościotrupa stojącego na straży komnaty, ruszyłam głębiej w ciemność i zobaczyłam jeszcze około dziesięciu mumii, przywiązanych do pali, kamienookich i nieruchomych. Oprócz jednej.

Stojąca za szóstym trupem postać ze świecznikiem w dłoni obróciła się w moją stronę. Rozpoznałam dziadka. W świetle migotliwego płomienia si-wobroda twarz zdawała się biała i nierzeczywista.

- Sancha, prawda? - Uśmiechnął się lekko. - Więc to tak. Oboje wykorzystaliśmy czas tańców, żeby uciec przed tłumem. Witaj w moim muzeum umarłych.

Spodziewałam się, że wpadnie w złość, lecz zachowywał się jak gospodarz, który wita gości na przyjęciu w ścisłym gronie.

- Dobrze się spisałaś - powiedział. - Nawet nie pisnęłaś, w dodatku dotknęłaś starego Roberta. - Pokazał ruchem głowy na trupa stojącego najbliżej wejścia. - Jesteś bardzo odważna. Twój ojciec był znacznie starszy, kiedy pierwszy raz tu wszedł. Zaczął krzyczeć, a potem rozbeczał się jak baba.

- Kim są ci ludzie? - zapytałam. Musiałam poznać całą prawdę; ciekawość wzięła górę nad obrzydzeniem.

Ferrante splunął na posadzkę.

- To Andegawenowie - odparł. - Nasi wrogowie. Ten tutaj - wskazał na Roberta - był hrabią, dalekim krewnym Karola d'Anjou. Przysiągł, że odbierze mi tron. - Dziadek zachichotał z satysfakcją. - Sama widzisz, kto co komu odebrał. - Szttywnym krokiem zbliżył się do dawnego rywala. - Prawda, Robercie? I czyje na wierzchu? - Gestem ręki wskazał makabryczną kolekcję i podjął żarliwym szeptem: -Hrabiowie i markizowie, a nawet księżęta. Wszyscy mnie zdradzili. Wszyscy pragnęli mojej śmierci. - Umilkł na moment, żeby się uspokoić. - Przychodzę tu, kiedy chcę sobie przypomnieć swoje zwycięstwa. Żeby pamiętać, że jestem silniejszy od swoich wrogów.

Rozejrzałam się dookoła. Najwyraźniej muzeum powstawało przez długi czas. Niektóre ciała wciąż miały gęste włosy i sztywne brody, inne, jak Robert, wyglądały na lekko sponiewierane. Wszystkie były ubrane w stroje, które odpowiadały ich szlchetnemu urodzeniu: w jedwabie, brokaty i aksamit. Kilka mumii miało przypasane miecze w złotych pochwach, inne nosiły czapki podszyte gronostajami i ozdobione szlchetnymi kamieniami. Jedna miała czarny beret z pawim piórem przekrzywiony zawadiacko. Niektóre po prostu stały, inne specjalnie upozowano: jeden trup brał się buńczucznie pod boki, drugi sięgał po rękojeść miecza, jeszcze inny gestem dłoni wskazywał swych towarzyszy.

Wszyscy wpatrywali się ślepo przed siebie.

- Te oczy - powiedziałam. To było pytanie. Ferrante mrugnął do mnie.

- Szkoda, że jesteś dziewczynką. Byłabyś dobrym królem. Z całego potomstwa najbardziej przypominasz ojca. Jesteś zimna i twarda, ale w przeciwieństwie do niego miałabyś odwagę uczynić wszystko, co byłoby konieczne

dla dobra królestwa. - Westchnął. - Nie jak ten głuptak Ferrandino. Temu zależy wyłącznie na ładnych dziewczkach, które by go podziwiały, i na miękkim łożu. Ma pstro w głowie.

- Oczy - powtórzyłam. Nie dawały mi spokoju; kryła się w nich perwersja, której nie umiałam pojąć. Słyszałam, co Ferrante mi powiedział: były to słowa, których wołałabym nigdy nie usłyszeć. Pragnęłam skupić uwagę na czymś innym, zapomnieć o nich. Wcale nie chciałam być taka jak król i ojciec.

- Jesteś wytrwała - powiedział. - Oczy nie dadzą się zmumifikować. Nie ma na to rady. Pierwsi mieli zamknięte powieki i puste oczodoły. Wyglądali, jakby spali. Chciałem, żeby słyszeli, co do nich mówię. Chciałem widzieć, że mnie słuchają. - Znowu się roześmiał. - Poza tym efekt jest większy. Mój ostatni „gość” był przerażony, gdy zobaczył wpatrujących się w niego zaginionych pobratymców!

Usiłowałam spojrzeć na to wszystko z naiwnej, dziecięcej perspektywy.

- Bóg uczynił Waszą Wysokość królem. Jeśli ci ludzie byli zdrajcami, to sprzeciwili się woli Boga. Zabicie ich nie było grzechem.

Moja uwaga wywołała w nim obrzydzenie.

- Grzech nie istnieje! - Urwał na moment, a potem podjął tonem nauczyciela: - Sancho, cud San Gennara prawie zawsze dokonuje się w maju i we wrześniu. Jak myślisz, czemu gdy ksiądz pokazuje relikwiarz wiernym w grudniu, do cudu dochodzi tak rzadko?

Pytanie zupełnie mnie zaskoczyło. Nie wiedziałam, jaka może być odpowiedź.

- Pomyśl, dziecko!

- Nie wiem, Wasza Królewska Mość...

- Bo w maju i we wrześniu jest cieplej.

Nadal nic nie rozumiałam i to musiało się odbić na mojej twarzy.

- Pora, żebyś przestała wierzyć w głupstwa o Bogu i o świętych. Na ziemi jest tylko jedna władza, władza nad życiem i śmiercią. Na razie, przynajmniej w Neapolu, ja ją dzierżę. Zastanów się! Substancja w szkatułce jest na początku stała. Pomyśl o tłuszczu prosięcia albo jagnięcia. Co się dzieje, kiedy pieczesz zwierzę na ruszcie, czyli wystawiasz na działanie ciepła?

- Tłuszcz skapuje do ognia.

- Ciepło zmienia substancję stałą w ciecz. Może więc gdy wyjmiesz relikwiarz z chłodnej szafy, wniesiesz do Duomo w ciepły, słoneczny dzień i chwilę poczekaś... // *miracolo e fatto*. Ciało stałe zmieni się w ciecz.

Herezja dziadka jeszcze bardziej mnie oszołomiła. Przypomniała mi się zdawkowość, z jaką traktował wszystko, co wiązało się z religią, i niechęć, z jaką uczestniczył we mszy. Wątpię, czy choć raz klęknął przed ołtarzem,

za którym znajdowała się komnata, gdzie dawał upust własnym przekonaniom.

A jednocześnie zaintrygowało mnie wyjaśnienie cudu; moja wiara była odtąd skażona, naznaczona wątpliwościami. Mimo to wyrobione nawyki pozostały. Modliłam się w duchu, aby Bóg wybaczył królowi, a San Gennaro roztoczył opieką nad nim mimo popełnionych grzechów. Po raz drugi tego dnia modliłam się do San Gennara o ochronę Neapolu - choć niekoniecznie przed naturalnymi kataklizmami czy niełojalnymi baronami.

Ferrante wyciągnął kościstą, pokrytą węzłami błękitnych żył dłoń i wziął mnie za rękę.

- Chodź, dziecko. Będą się zastanawiali, gdzie jesteście. Dość już widziałas.

Pomyślałam o ludziach w muzeum umarłych - o tym, jak mój żądny krwi dziadek pokazywał im los, jaki ich czekał, a jak słabsi musieli płakać i błagać o zmiłowanie. Zastanawiałam się, jak ich zabito. Z pewnością w sposób, który nie pozostawiał śladów.

Ferrante uniósł wysoko świecznik i wyprowadził mnie ze swojej trupiej galerii. Kiedy czekałam w pokoiku z ołtarzem, aż zamknie drzwi, zastanawiałam się nad przyjemnością, jaką czerpał z towarzystwa swych ofiar. Był zdolny do zabijania bez mrugnięcia okiem, zdolny do rozkoszowania się tym czynem. Możliwe, że powinnam była lękać się o własne życie, bo w końcu nie byłam królowi potrzebna. A jednak się nie bałam. Przecież to był mój dziadek. Przyglądałam się jego twarzy w złocistym świetle: miała tę samą dobrotliwą minę i czerwone policzki pokryte pajęczyną pękniętych żyłek. Zajrzałam mu w oczy, tak bardzo podobne do moich własnych, szukając w nich śladu okrucieństwa i szaleństwa.

One też mi się przyglądały, przesywające i przerażająco błyszczące. Zdmuchnął świeczkę, odstawił kandelabr na ołtarz i znów wziął mnie za rękę.

- Nikomu o tym nie powiem, Wasza Królewska Mość - zapewniłam nie ze strachu i nie dlatego, że myślałam o własnym bezpieczeństwie, lecz po to, by dać Ferrantemu do zrozumienia, że jestem w pełni lojalna wobec rodziny.

Roześmiał się pod nosem.

- Nic mnie to nie obchodzi, moja droga. Jeśli o tym rozpowiesz, to tym lepiej. Wrogowie będą się mnie bardziej bali.

Ruszyliśmy z powrotem przez królewską sypialnię, jadalnię i gabinet do komnaty tronowej. Zanim otworzył drzwi, pochylił głowę i spojrzał na mnie.

- Życie nie jest łatwe dla nas, silnych, prawda? Zadarłam podbródek i popatrzyłam na niego.

- Jestem stary. Niektórzy sądzą, że umysł zaczyna mi szwankować. Mimo to wciąż mało jest rzeczy, które umykają mej uwagi. Wiem, jak kochasz

brata. - Zamyślił się. - Kochałem Juanę, ponieważ była dobroduszną i lojalną. Wiedziałem, że nigdy mnie nie zdradzi. Z tego samego powodu lubię twoją matkę, urocza kobieta. - Znów mi się przyjrzał. - Twój brat wdał się w nią, jest wspaniałomyślny i szczodry. Bezradny w polityce. Zauważyłem, jak bardzo jesteś mu oddana. Jeśli go kochasz, uważaj na niego. My, silni musimy opiekować się słabymi. Oni nie mają serca do tego, co trzeba robić, żeby przeżyć.

- Będę się nim opiekować - zapewniłam stanowczo. Choć nigdy nie pogodziłabym się z myślą, że opieka nad Alfonsem musi się wiązać z zabijaniem i okrucieństwem.

Ferrante pchnął drzwi, otwierając je na oścież. Trzymając się za ręce, weszliśmy z powrotem do głównej sali, gdzie nadal grała muzyka. Rozejrzałam się, szukając Alfonsa. Stał w odległym kącie komnaty i patrzył na mnie i dziadka szeroko otwartymi oczami. Moja matka i Isabella tańczyły i na chwilę całkowicie zapomniały o dzieciach.

Lecz mój ojciec, ksiązę Kalabrii, najwyraźniej zauważył zniknięcie króla. Podniosłam wzrok, gdy podszedł i powstrzymał nas jednym pytaniem.

- Wasza Królewska Mość, czy ta dziewczyna się wam naprzykrza? Nigdy nie słyszałam, by ksiązę zwracał się do ojca w inny sposób. Patrzył

na mnie wrogo i podejrzliwie. Starłam się przybrać minę grzecznego niewiniątka, lecz po tym, co zobaczyłam, nie byłam w stanie ukryć wstrząsu.

- Bynajmniej - odparł Ferrante radośnie. - Po prostu byliśmy na małej wycieczce.

Zrozumienie, a potem wściekłość błysnęły w pięknych, lodowatych oczach ojca. Bezbłędnie pojął, gdzie byliśmy, i wzięwszy pod uwagę moją reputację nieposłusznego dziecka, zorientował się, że nie zostałam tam zaproszona.

- Rozprawię się z nią- powiedział złowróżbnym tonem. Ojciec słynął z okrucieństwa wobec swoich wrogów, Turków. Po bitwie pod Otranto dołożył wszelkich starań, aby osobiście torturować i zabijać jeńców metodami tak nieludzkimi, że nam, dzieciom, nie pozwalano o tym słuchać. Mówiłam sobie, że się nie boję. Nie zdając sobie z tego sprawy, zadał mi już najgorszą z możliwych kar: nie kochał mnie i nie krył się z tym.

A ja, równie dumna jak on, nigdy nie przyznałabym się do tego, że rozpaczliwie pragnę zyskać jego miłość.

- Nie karz jej, Alfonso - powiedział Ferrante. - Dziewczyna ma charakter, to wszystko.

- Dziewczyny nie powinny mieć charakteru - odrzekł ojciec. - A ona tym bardziej. Moje inne dzieci są znośne, ale ona denerwuje mnie od dnia, gdy się narodziła, dnia, którego głęboko żałuję. - Zgromił mnie wzrokiem. -

Odejdź. Jego Królewska Mość i ja mamy sprawy do omówienia. O twoim zachowaniu porozmawiamy później. Ferrante puścił moją rękę. Dygnęłam i powiedziałam:

- Wasza Wysokość.

Pobiegłabym pędem, gdyby w sali nie roіło się od dorosłych, którzy na pewno zażądałoby ode mnie stosownego zachowania. Tak szybko, jak się da, podeszłam do czekającego na mnie brata.

Wystarczyło, że raz spojrział mi w twarz, i już wiedział. Przytulił się do mnie mocno.

- Sancho! To prawda... Tak mi przykro, że musiałaś to zobaczyć. Bardzo się bałaś?

Serce, skute lodem w obecności ojca i dziadka, odtajało przy Alfonsie. Nie chciał znać szczegółów, chciał tylko wiedzieć, jak się czuję. Trochę mnie zaskoczyło, że brat nie zdumiał się bardziej prawdziwością plotki. Chyba znał króla lepiej niż ja.

Cofnęłam się, nadal go obejmując.

- Ojciec wyglądał na wściekłego. Obawiam się, że cię ukarze. Wzruszyłam ramionami.

- Może nie. Ferrante wcale się tym nie przejął. Poza tym, co może mi zrobić? Zabroni wychodzić z pokoju? Nie da mi kolacji?

- Jeśli tak uczyni - szepnął Alfonso - będę przychodził i bawił się z tobą. Kiedy będziesz głodna, przyniosę ci jedzenie.

Uśmiechnęłam się i pogładziłam go po policzku.

- Sam widzisz, że nie ma się czym martwić. Ojciec nie może mi zrobić nic, co naprawdę by mnie zabolalo.

Jakże się myliłam.

Donna Esmeralda czekała przed salą balową, żeby zabrać nas do naszych pokojów. Przeszliśmy obok komnaty, gdzie gdyby nie święto, uczylibyśmy się łaciny pod kierunkiem nudnego jak flaki z olejem *fra* Giuseppe Marii. *Fra* Giuseppe był posepnym dominikaninem z pobliskiego klasztoru San Domenico Maggiore, gdzie dwieście lat wcześniej Chrystus na krucyfiksie przemówił do Tomasza z Akwinu. *Fra* Giuseppe był tak otyły, że z Alfonsem nazwaliśmy go *Fra Cena*, Ojczulek Wieczera. Gdy przechodziliśmy obok pokoju do nauki, poważnym tonem zaczęłam odmieniać nasz ulubiony czasownik.

- *Ceno* - powiedziałam. „Wieczeram”. Alfonso dokończył *sotto voce*:

- *Cenare. Cenavi. Cenatus.*

Donna Esmeralda uniosła oczy do góry, ale nic nie powiedziała.

Zachichotałam, ciesząc się z dowcipu o ojczulku Giuseppe, ale jednocześnie przypomniało mi się zdanie, za pomocą którego na ostatniej lekcji wyjaśniał nam zastosowanie celownika. *Deo et hominibus peccavit*. Zgrzeszył przeciw Bogu i ludziom. Pomyślałam o wpatrujących się we mnie marmurowych oczach Roberta. „Chciałem wiedzieć, że mnie słuchają”.

W pokoju dziecinnym służka wraz z Esmeraldą zdjęły nasze odświętne stroje, a my chichotaliśmy niecierpliwie. Ubrały nas w bardziej wygodne ubrania: mnie w luźną suknię, a Alfonsa w zwyczajną tunikę i nogawice.

Otworzyły się drzwi i stanęła w nich nasza matka, donna Trusja, w towarzystwie dworki, donny Eleny. Ta druga przyprowadziła syna, naszego ulubionego towarzysza zabaw, Artura, kościstego, pająkowatego podrostka, który świetnie biegał i wdrapywał się na drzewa. Moja matka zdążyła zamienić oficjalne czarne szaty na jasnożółtą suknię i na widok jej uśmiechniętej twarzy pomyślałam o neapolitańskim słońcu.

- Dzieci - oświadczyła - mam dla was niespodziankę. Idziemy na spacer. Alfonso i ja pisnęliśmy radośnie, chwytając madonnę Trusję za ręce, a ona wyprowadziła nas z pokoju na korytarz.

Niestety, zanim zdążyliśmy opuścić mury zamku, natknęliśmy się na ojca. Jego wargi krzywiły się ponuro pod czarnym wąsem, a brwi ściągnięte były gniewem. Domyśliłam się, że szedł właśnie do dziecięcego pokoju, aby wymierzyć mi karę. Biorąc pod uwagę okoliczności, mogłam też zgadnąć, na czym będzie polegała. Zatrzymaliśmy się.

- Wasza Wysokość - powiedziała słodko matka i się ukloniła. Donna Elena uczyniła to samo.

Ojciec powitał Trusję szorstkim pytaniem:

- Dokąd się wybieracie? Zabieram dzieci na spacer.

Książę potoczył wzrokiem po naszej małej grupce, w końcu spojrzał prosto na mnie. Wyprostowałam się i uniosłam zadziornie podbródek, żeby nie okazać rozzalenia, kiedy usłyszę wyrok.

- Ona zostaje.

- Wasza Wysokość, jest święto...

- Ona zostaje. Zachowała się dzisiaj nagannie. Trzeba ją natychmiast ukarać. -

Przerwał i posłał mojej matce spojrzenie, które sprawiło, że przygięła się jak kwiat pod palącym słońcem. - A teraz idźcie.

Madonna Trusja i Elena ukloniły się księciu. Matka i Alfonso popatrzyli na mnie z żalem, a potem ruszyli w dalszą drogę.

- Chodź - rozkazał ojciec.

W milczeniu poszliśmy do dziecinnego pokoju. Tam ojciec wezwał donnę Esmeraldę, aby była świadkiem jego nagany.

- Nie powinienem być zmuszony do poświęcania choćby odrobiny uwagi beużytecznej córce, która nie ma żadnych szans na objęcie tronu, a tym bardziej dziecku z nieprawego łoża.

Jeszcze nie skończył, ale zniewaga zapiekła mnie tak mocno, że musiałam się bronić.

- Jaka to różnica? Król też jest bękartem - wtrąciłam czym prędzej - co czyni z Waszej Wysokości bękarciego syna.

Spoliczkował mnie tak mocno, że łzy stanęły mi w oczach, ale nie dałam mu satysfakcji i powstrzymałam się od płaczu. Donna Esmeraldą drgnęła, gdy ojciec mnie uderzył, ale opanowała się prędko.

- Jesteś okropna - powiedział. - Nie mogę jednak dalej tracić czasu na ciebie. Nie jesteś warta nawet chwili mojej uwagi. Wychowanie dziecka to zadanie dla piastunek, a nie dla księżąt. Pozbawiałem cię jedzenia, zamykałem cię w pokoju, ale najwyraźniej moje kary wcale nie pomogły. A przecież jesteś już na tyle duża, że mogłabyś wyjść za mąż. Jak mam cię zmienić w grzeczną młodą pannę?

Umilkł i zastanawiał się przez dłuższą chwilę. Zmrużył powieki, a oczy błysnęły mu złowrogo. Na wargach pojawił się lekki lodowaty uśmiech.

- Pozbawiałem cię nie tego, co trzeba, prawda? Jesteś upartym dzieckiem. Możesz się obyć bez jedzenia i wychodzenia na dwór przez jakiś czas, bo chociaż lubisz jedno i drugie, nie są to rzeczy, które kochasz najbardziej. - Pokiwał głową, zadowolony z kary, jaką właśnie wymyślił. - Nie ma innego wyjścia. Nie zmienisz się, dopóki nie pozbawię cię tego, co kochasz najbardziej.

Poczułam dreszcz strachu.

- Na dwa tygodnie - powiedział, po czym zwrócił się do donny Esmeraldy. - Sancha ma się nie spotykać z bratem przez następne dwa tygodnie. Nie wolno im wspólnie jeść, bawić się, rozmawiać, nie mogą się nawet widywać. Twoja przyszłość od tego zależy. Rozumiesz?

- Rozumiem, Wasza Wysokość - odparła sztywno donna Esmeraldą, mrużąc powieki i odwracając wzrok.

- Nie możesz zabrać mi Alfonsa! - jęknęłam.

- To już postanowione. - W kamiennym, bezlitosnym wyrazie twarzy ojca dostrzegłam ślady zadowolenia. *Filius patri similis est*. Jaki ojciec, taki syn.

Gorączkowo szukałam argumentów, które zmieniłyby jego decyzję. Byłam coraz bliższa płaczu.

- Ale... ale Alfonso mnie kocha! Będzie mu przykro, że nie może się ze mną widywać, a przecież jest dobry i greczny. To niesprawiedliwe! Alfonso będzie cierpiał za coś, czego nie zrobił.

- No i jakie to uczucie, Sancho? - zadrwił ojciec. - Mieć świadomość, że jesteś odpowiedzialna za cierpienie kogoś, kogo najbardziej kochasz?

Popatrzyłam na człowieka, który mnie spółdził, a teraz z taką radością dręczył. Gdybym była dorosłym mężczyzną, a nie małą dziewczynką, gdybym miała sztylet, z wściekłości poderżnęłabym mu gardło. W tamtej chwili dowiedziałam się, co to znaczy czuć nieskończoną, bezwarunkową nienawiść do kogoś, kogo mimo wszystko kochałam. Pragnęłam skrzywdzić go tak, jak on mnie, i czerpać z tego przyjemność.

Gdy wyszedł, wreszcie wybuchłam płaczem i czując, jak łzy gniewu ciekną mi po policzkach, obiecałam sobie, że nigdy już nie pozwolę, aby ktokolwiek, a przede wszystkim ksiązę Kalabrii, doprowadził mnie do łez.

Następne dwa tygodnie były dla mnie katuszą. Widywałam wyłącznie służbę. Chociaż wolno mi było wychodzić na dwór, żeby się bawić, odmawiałam opuszczania pokoju i uparcie powstrzymywałam się od jedzenia większości posiłków. Sypiałam niespokojnie i śniłam o upiornym muzeum Ferrantego.

Byłam tak smutna, a moje zachowanie tak nieznośne, że donna Esmeralda, która nigdy wcześniej nie podniosła na mnie ręki, dwa razy straciła cierpliwość i dała mi klapsa. Dręczyło mnie wspomnienie chwili, gdy w nagłym odruchu gotowa byłam zabić ojca; przerażało mnie to. Im dłużej się nad tym zastanawiałam, tym bardziej byłam przekonana, że bez łagodnego wpływu Alfonsa stanę się okrutna i szalona jak ojciec i dziadek.

Kiedy minęły wreszcie dwa tygodnie, pobiegłam do brata i przytuliłam się do niego tak mocno, że oboje nie mogliśmy złapać tchu.

- Alfonso, musimy sobie obiecać, że już nigdy się nie rozstaniemy. Nawet kiedy weźmiemy ślub, musimy oboje pozostać w Neapolu blisko siebie, bo bez ciebie oszaleję.

- Obiecuję - powiedział Alfonso. - Ale z twoją głową wszystko jest w porządku. Nie musisz się obawiać szaleństwa bez względu na to, czy będziemy razem, czy nie. Prawie się rozplakałam.

- Jestem podobna do ojca: jak on zimna i okrutna. Nawet dziadek mówi, że jestem twarda jak on.

Po raz pierwszy zobaczyłam w oczach brata błysk prawdziwego gniewu.

- Nie ma w tobie ani odrobiny okrucieństwa: jesteś dobra i miła. A król się myli. Nie jesteś twarda, tylko... uparta.

- Chcę być taka jak ty - powiedziałam. - Jesteś jedyną osobą, z którą czuję się szczęśliwa.

Od tamtej pory ani razu nie dałam ojcu powodu, żeby mnie ukarał.

Późna wiosna 1492

Minęły trzy lata. Nadszedł rok 1492, a z nim wybór nowego papieża, Rodriga Borgii, który przyjął imię Aleksander VI. Ferrantemu zależało na dobrych stosunkach ze zwierzchnikiem Kościoła, zwłaszcza że poprzedni papież nie spoglądali na dynastię aragońską łaskawym okiem.

Alfonso i ja osiągnęliśmy wiek, w którym nie mogliśmy już dzielić pokoju, i przeprowadziliśmy się do osobnych komnat. Mimo to rozstawaliśmy się tylko na czas snu i wtedy, gdy wymagała tego nasza nauka. Ja uczyłam się poezji i tańca, Alfonso wprawiał się w fechtunku. Nigdy nie rozmawialiśmy o naszej największej obawie: miałam już piętnaście lat, byłam panną na wydaniu, a po ślubie czekała mnie przeprowadzka do domu męża. Pocieszałam się myślą, że Alfonso zaprzyjaźni się z moim przyszłym małżonkiem i będzie mnie codziennie odwiedzał.

Pewnego dnia, wczesnym rankiem, zostałam wezwana przed oblicze króla. Donna Esmeralda nie umiała ukryć podniecenia. Ubrała mnie w skromną czarną suknię o eleganckim kroju, uszytą z najprzedniejszego jedwabiu i tak mocno zasznurowała haftowany złotą nicią gorset, że ledwie mogłam oddychać.

Wraz z nią, madonną Trusją i donną Eleną wyszliśmy na pałacowy dziedziniec. Słońce zasnuwała gęsta mgła; drobne kropelki rosy okryły moją suknię, twarz i starannie utrefione włosy.

Dotarliśmy do królewskiego skrzydła pałacu. Kiedy rozwarły się drzwi sali tronowej, ujrzałam dziadka siedzącego na szkarłatnych poduszkach; obok niego stał jakiś nieznajomy - dość przystojny mężczyzna o krępej, muskularnej sylwetce. Tuż obok niego zobaczyłam ojca.

Czas nie wpłynął korzystnie na Alfonsa, księcia Kalabрії. Następca tronu stał się jeszcze bardziej wybuchowy i okrutny. Niedawno kazał sobie przynieść bat

i wychłostał kucharką za podanie zimnej zupy; siekł biedną niewiastę tak długo, aż zemdląła wskutek utraty krwi. Dopiero Ferrante go powstrzymał. Innym razem ojciec wyrzucił ze służby starego pokojowca za to, że źle wyczyścił mu buty. Jak mawiał dziadek: „Dokądkolwiek udaje się mój pierworodny syn, słońce chowa się za chmurami strachu”.

Twarz ojca, choć wciąż przystojna, wyglądała teraz jak studium przygnębienia. Wargi drgały od ledwo tłumionego gniewu, w oczach pojawił się wyraz nieszczęścia, którym chętnie się dzielił. Nie był już w stanie znieść dziecięcej wesołości, Alfonso i ja musieliśmy być w jego obecności cicho jak trusie. Pewnego dnia zapomniałam się i parsknęłam śmiechem. Za karę uderzył mnie tak mocno, że zatoczyłam się i o mało nie upadłam. Cios nie bolał jednak tak bardzo jak świadomość, że nigdy nie podniósł ręki na inne ze swoich dzieci - tylko na mnie. Pewnego razu Trusja, myśląc, że jej nie słyszę, zwierzyła się Esmeraldzie, że kiedyś weszła do komnat ojca i stwierdziła, że panuje tam zupełny mrok. Gdy sięgnęła po świecę, z ciemności dobiegł jego głos: „Nie zapalaj światła”. Matka ruszyła w kierunku drzwi, ale on rozkazał, żeby usiadła przed nim na posadzce, a gdy to uczyniła i odezwała się cichym, łagodnym głosem, krzyknął: „Milcz niewiasto!” Pragnął tylko ciszy, ciemności i świadomości, że moja matka jest przy nim. Pokłoniłam się królowi z wdziękiem, widząc, że każdy mój ruch jest obserwowany przez mężczyznę przy tronie. Byłam już kobietą i nauczyłam się dziecięcy upór i krnąbrność przetworzyć w rodzaj dumy. Inni mogli to nazywać arogancją - lecz od dnia, gdy ojciec tak boleśnie mnie zranił, przysięgłam sobie nigdy nie okazać bólu ani słabości. Byłam opanowana, niewzruszona, silna.

- Księżniczko Sancho Aragońska - zwrócił się do mnie oficjalnym tonem Ferrante. - Oto hrabia Onorato Caetani, szlachcic dobrego charakteru. Hrabia poprosił o twą rękę, a ja i twój ojciec wyraziliśmy zgodę.

Pochyliłam skromnie głowę i spod spuszczonej rzes zerknęłam na Caetaniego. Był zwyczajnym mężczyzną w wieku około trzydziestu lat i zaledwie hrabią - a ja byłam księżniczką. Przygotowywałam się w duchu do opuszczenia Alfonsa i pójścia do domu męża lecz nie tak pospolitego jak ten. Byłam zbyt wzburzona, by od razu odpowiedzieć. Na szczęście Onorato odezwał się pierwszy.

- Wasza Królewska Mość mnie okłamał - rzekł głębokim, dźwięcznym głosem. Zaskoczony Ferrante odwrócił głowę. Mój ojciec wyglądał, jakby miał za chwilę udusić hrabiego. Zdumieni bezczelnością Caetaniego królewscy dworzanie wstrzymali oddech, póki ten znów nie przemówił.

- Wasza Wysokość raczył powiedzieć, że jego wnuczka jest urocza. Słowo to wszakże nie oddaje sprawiedliwości przepięknej istocie, która przed nami stoi. Miałem się za wybrańca losu, że przypadnie mi ręka księżniczki królestwa, lecz nie byłem świadom, że jednocześnie zyskam najpiękniejsze dzieło sztuki Neapolu. - Położył dłoń na piersi, a potem wyciągnął ku mnie rękę i zajrzał mi głęboko w oczy. - Wasza Wysokość - powiedział. - Moje serce jest twoje. Błagam, racz przyjąć ten skromny dar, choć nie jest ciebie godny.

Być może, pomyślałam, ten cały Caetani nie będzie jednak takim złym mężem.

Onorato, jak się dowiedziałam, był bardzo bogaty. I wciąż rozpływał się w zachwytach nad moją urodą. Alfonsa traktował ciepło i jowialnie, nie wątpiłam więc, że przyjmie mojego brata w naszym domu, gdy tylko będę chciała. Podczas postępujących szybko konkurów zaskakiwał mnie prezentami. Pewnego ranka, gdy staliśmy na balkonie, patrząc na spokojną tafłę wody w zatoce, wykonał taki ruch, jakby chciał mnie objąć, lecz zamiast tego założył mi przez głowę naszyjnik.

Odsunęłam się, aby jak najszybciej obejrzeć nową błyskotkę - i zobaczyłam zawieszony na atlasowej wstążce oszlifowany rubin wielkości połowy mojej pięści.

- Za ogień twojej duszy - powiedział Onorato i pocałował mnie. Cały opór, który pozostał w moim sercu, roztopił się w tamtej chwili. Naoglądałam się bogactw i ciąglą ich obecność brałam za coś oczywistego, co nie wywierało na mnie żadnego wrażenia. Nie liczył się klejnot, ale gest.

Pierwszy miłosny uścisk okazał się przyjemny. Przyszczyżona złocisto-kasztanowa broda Onorata, która pachniała rozmarynem i winem, miło drażniła mój policzek. Nie pozostałam obojętna na namiętność, z jaką przylgnął do mnie silnym ciałem.

Wiedział, jak dogodzić kobiecie. Byliśmy zaręczeni, więc oczekiwano, że w samotności ulegniemy zewowi natury. Po miesiącu zalotów tak się stało. Onorato biegle uporał się z dotarciem pod mój fartuch, suknię i halkę. Najpierw palcami, a potem kciukiem, które wsunął mi między uda, jął pieścić mnie tak, że zdumiała mnie moja własna reakcja. Czynił to tak długo, aż doprowadził mnie do spazmu najwyższej rozkoszy. Potem pokazał, jak mam go zaspokoić. Nie czułam wstydu ani wyrzutów sumienia; uznałam, że to naprawdę jedna z największych przyjemności w życiu. Moja wiara w nauki księży jeszcze bardziej osłabła. Jak ktoś mógł uznać ten cud za grzech?

Robiliśmy to jeszcze kilka razy przy innych okazjach, aż wreszcie posiadł mnie jak mężczyzna kobietę; kiedy wszedł we mnie, byłam gotowa i nie

poczułam bólu, lecz przyjemność, a gdy doznał rozkoszy, zadbał o to, abym i ja zaznała spełnienia. Cieszyłam się tym aktem tak bardzo i domagałam się go tak często, że Onorato śmiał się i nazywał mnie niezaspokojoną.

Przypuszczam, że nie jestem jedyną dziewczyną, która pomyliła żądzę z miłością, ale narzeczony tak bardzo zawrócił mi w głowie, że pod koniec lata dla kaprysu odwiedziłam kobietę znaną z tego, że widzi przyszłość. Ludzie nazywali ją strega, „wiedźma”, lecz choć budziła szacunek i strach, nigdy nie oskarżono jej o nic złego, a od czasu do czasu słyszało się, że zrobiła coś dobrego.

W towarzystwie dwóch jeźdźców wyjechałam otwartym wozem z Castel Nuovo. Były ze mną trzy ulubione dworki: donna Esmeralda, która była wdową, donna Maria, kobieta zameżna, i donna Inez, młoda dziewczica. Donna Maria i ja żartowałyśmy na temat miłosnego aktu i chichotałyśmy przez całą drogę, donna Esmeralda krzywiła się z niesmakiem, słysząc nieprzyzwoitą rozmowę. Wóz przetoczył się pod łukiem triumfalnym lśniącym bielą na tle Sokolego Szczytu - *Pizzofalcone*. Powietrze było wilgotne, chłodne i pachniało morzem; na bezchmurnym niebie lśniło słońce. Jechałyśmy wzdłuż wybrzeży Zatoki Neapolitańskiej i minęłyśmy port, zachwycając się błękitem wody, który tak bardzo przypominał niebo, że trudno było stwierdzić, gdzie przebiega horyzont. Kierowałyśmy się ku Monte Vesuvio, na wschód. Za nami, na zachodzie, twierdza Castel dell'Ovo strzegła dostępu do zatoki.

Zamiast wjechać w miejską bramę i przyciągnąć uwagę gawiedzi, kazałam woźnicy wybrać drogę przez arsenał, a potem wzdłuż starych andegaweńskich murów, które biegną równolegle do linii wybrzeża.

Byłam odurzona miłością, kręciło mi się w głowie ze szczęścia. Słońce odbijało się od białych ścian pałaców i stiuków kamieniczek na wzgórzach, a rodzinny Neapol wydawał mi się piękniejszy niż kiedykolwiek. Choć nie wyznaczono jeszcze daty ślubu, już marzyłam o weselu, o tym, że obejmę obowiązki pani domu w siedzibie męża, uśmiechając się do niego przy otoczonym gośćmi stole, o dzieciach, które będą ubóstwiały wujka Alfonsa. To wszystko, czego oczekiwałam po wiedźmie: że potwierdzi moje życzenia, wyjawi imiona moich synów, że da mi i moim dworkom świeży temat do żartów i pogawędek. Byłam szczęśliwa, ponieważ Onorato zdawał się miłym, dobrym człowiekiem. Z dala od Ferrantego i ojca, w towarzystwie Ono-rata i brata nigdy nie stanę się taka jak ci, do których tak bardzo byłam podobna. Raczej zacznę przypominać tych, których kochałam.

Śmiejąc się, spojrzałam na Wezuwiusz, pogromcę człowieka. Masywny, spokojny i szarofioletowy na tle nieba wulkan zawsze zdawał się łagodny

i piękny. Tego jednak dnia cień, który rzucał, stawał się coraz ciemniejszy, w miarę jak się do niego zbliżyliśmy.

Od morza powiało chłodem. Umilkłam, wkrótce ucichły wszystkie moje towarzyski. Wóz wytoczył się z miasta i jechał teraz między polami winorośli i rosnącymi na łagodnych wzgórzach gajami drzewek ohwnych.

Kiedy przybyliśmy przed dom wróżki - walącą się chatynkę, zbudowaną u wejścia do jaskini -byliśmy już w ponurych nastrojach. Jeden z żołnierzy zeskoczył z konia i oznajmił moje nadejście, krzyżąc do otwartych drzwi drugi pomógł mnie i dworkom wysiąść z wozu. Kury rozbiegły się; zaryczał osioł przywiązany do słupka na ganku.

Z wnętrza dobiegł kobiecy głos: „Dajcie ją tutaj!” Ku memu zaskoczeniu był silny i dźwięczny, a nie skrzekliwy i słabowity, jak sobie wyobrażałam. Dworki zaniemówiły. Wzburzony żołnierz dobył miecza i przestąpił prog

Bezczelna jędo! Wylaż i błagaj Jej Wysokość Sanchę Aragońską o wybaczenie! Przyjmiesz ją, jak należy.

Nakazałam mu opuścić miecz i podeszłam pod drzwi. Choć wyteżałam wzrok, w środku widziałam tylko ciemność.

Kobieta znów przemówiła:

- Musi wejść sama.

Żołnierz znów instynktownie uniósł broń i zrobił krok do przodu Powstrzymałam go gestem. Ogarnął mnie osobliwy lęk, dreszcz przebiegł mi po plecach. Po chwili opanowałam się jednak.

- Wracaj do powozu i czekaj na mnie. Wejść sama.

Zmrużył oczy, ale że byłam córką przyszłego króla, me śmiał mi się sprzeciwić. Za plecami słyszałam, jak dworki wzdychają zawiedzione, ja jednak zignorowałam to i weszłam. .

Było nie do pomyślenia, aby księżniczka wybrała się dokądkolwiek samotnie Ciągle towarzyszyły mi dworki, gwardia i służba. Czasami spotykałam się sam na sam z Onoratem- ale on był szlachcicem, znanym mojej rodzinie. Jadłam posiłki wraz z rodziną i fraucymerem, sypiałam, mając do usług służki. Kiedy byłam małą dziewczynką, dzieliłam łozko z Alfonsem. Nie wiedziałam, co to znaczy być sama.

Mimo to zarozumiała prośba wiedźmy nie obraziła mnie. Moję instynktownie pojęłam, że wieści, jakie ma mi przekazać, nie okażą się dobre, i chciałam żeby były przeznaczone tylko dla moich uszu.

Pamiętam strój, jaki miałam owego dnia: z racji chłodu przywdziałam ciemnogranatową tunikę z aksamitu, gorset i halkę z jasnego szarobłękitnego jedwabiu ze srebrnymi wstążkami, a na to suknię z takiego samego aksamitu,

co tunika. Podkasałam sukienką, wzięłam głęboki oddech i weszłam do domu jasnowidzącej.

Nigdy wcześniej nie byłam w chłopskiej chacie, nigdy też nie widziałam w środku domostwa o tak nikczemnych rozmiarach. Pułap był niski, ściany popękane i brudne; klepisko śmierdziało kurzymi odchodami, co źle wróżyło moim jedwabnym trzewikom i spódnicy. Cały dom składał się z jednej malutkiej izdebki oświetlonej tylko promieniami słońca, które wpadały przez okna. Całe umeblowanie składało się z grubo ciosanego stolika, stołka, dzbana, paleniska z kociołkiem i sterty siana w kącie.

Ale nikogo tam nie było.

- Chodź - powiedziała strega głosem równie pięknym i melodyjnym, jak śpiew syren, które wabiły Odyseusza. Dopiero wtedy ją zobaczyłam: stała w odległym, zacienionym kącie chałupy, w wąskich łukowatych drzwiach, za którymi był mrok. Nosila czarny ubiór, nawet twarz osłaniał czarny welon. Była wysoka jak na kobietę, prosta i szczupła jak trzcina i przywołała mnie gestem ręki, który miał w sobie szczególną grację.

Ruszyłam w jej kierunku, zbyt zauroczona, by wypomnieć jej brak manier w stosunku do osoby z królewskiego rodu. Spodziewałam się garbatej, bezzębnej jędzy, a nie niewiasty w kwiecie wieku, która poruszała się z wdziękiem ary-stokratki. Weszłam w mroczny korytarz, a gdy z czarownicą wyłoniłyśmy się z niego po drugiej stronie, znalazłyśmy się w przestronnej, wysokiej pieczarze. Powietrze było chłodne i wilgotne. Cieszyłam się, że mam na sobie ciepłą tunikę, bo w jaskini nie było żadnego kominka ani paleniska. Przy ścianie płonęła samotna pochodnia, która dawała ledwie tyle światła, bym wiedziała, w którą stronę iść. Wiedźma zatrzymała się na chwilę przed pochodnią, aby podpalić od niej lampkę, po czym ruszyła dalej, mijając puchowe łoże okryte zielonym aksamitem, piękne wyściełone krzesło i kapliczkę z dużym, malowanym posążkiem Marii Panny na ołtarzu udekorowanym polnymi kwiatami.

Wiedźma wskazała mi miejsce przy stole, który był znacznie większy od tego w pierwszej izbie. Okrywał go obrus z czarnego jedwabiu. Usiadłam na krześle z mocnego drewna, pięknie zrobionym przez biegłego w rzemiośle stolarza - i starannie rozpostarłam klosz spódnicy. Strega postawiła obok nas oliwną lampkę, a potem zajęła miejsce naprzeciwko mnie. Twarz okrywał jej wciąż czarny welon, lecz z bliska mogłam rozpoznać rysy twarzy. Czarownica była około czterdziestoletnią matroną o ciemnych włosach i oliwkowej cerze; upływ lat nie pozbawił jej urody. Odezwała się, a ruch ust uwidocznili wdzięczny łuk jej górnej wargi.

- Sancho - powiedziała. Spospolitowała mnie w bardzo obraźliwy sposób, zwracając się do mnie bez tytułu, odzywając się jako pierwsza, siadając

bez pozwolenia. Ale było mi miło: wypowiedziała moje imię, jakby to była pieszczota. Nie mówiła do mnie, lecz raczej wypuszczała moje urnę w eter, odczuwając emanacje, jakie wytworzy. Próbowała je i smakowała, zadarła lekko głowę, jakby obserwowała, jak dźwięk rozplywa się w powietrzu. Potem spojrzała znowu na mnie; pod welonem bursztynowe oczy odbijały

plomień lampy. .

- Wasza Wysokość - zwróciła się do mnie wreszcie za pomocą oficjalnej formuły. - Zjawiaś się tutaj, pani, aby dowiedzieć się czegoś o swej przyszłości.

- Tak - potwierdziłam gorliwie.

Wiedźma kiwnęła poważnie głową. Z szuflady pod blatem wyciągnęła talię kart. Położyła ją na czarnym jedwabiu między nami, przycisnęła do mej dłonie i jęła modlić się szeptem w języku, którego nie rozumiałam. Potem wyćwiczonym gestem rozłożyła karty w wachlarz.

- Młoda Sancho, wybierz swój los.

Czułam podniecenie zmieszane z lękiem. Z drżeniem spojrzałam na karty, wyciągnęłam niepewną dłoń, a potem dotknęłam jednej z kart palcem i zaraz cofnęłam go jak oparzona.

Nie chciałam tej karty, lecz równocześnie wiedziałam, że los wybrał ją dla mnie. Moja dłoń zawisła nad talią jeszcze na kilka chwil, potem poddałam się, wyciągnęłam tę samą kartę i ją odwróciłam.

Jej widok napełnił mnie przerażeniem: pragnęłam zamknąć oczy, pozbyć się tego obrazu, a jednak nie potrafiłam odwrócić wzroku. Było to serce przebite dwoma ostrzami, które tworzyły wielką srebrną literę X.

Strega popatrzyła na kartę ze spokojem.

- Serce przebite dwoma mieczami. Zadrzałam.

Podniosła kartę, zebrała talię i schowała ją z powrotem pod blat.

- Podaj mi dłoń - powiedziała. - Nie, lewą. Jest bliżej serca.

Ujęła moją dłoń w obie ręce. Mimo chłodu w jaskini miała ciepły dotyk, który sprawił, że zaczęłam się uspokajać. Mruczała do siebie cichą, prostą melodię ze spojrzeniem utkwionym w moją dłoń.

Nagle wyprostowała się i wciąż trzymając mnie za rękę, popatrzyła mi prosto w oczy.

- Większość ludzi jest albo przede wszystkim dobra, albo przede wszystkim zła, ty jednak masz w sobie moc, by stać się zarówno dobrą, jak i złą. Pragniesz pomówić ze mną o rzeczach pozbawionych znaczenia, o małżeństwie i dzieciach. Tymczasem ja mam na myśli sprawy daleko ważniejsze. W twoich rękach spoczywają losy ludzi i narodów. Dwie siły, które są w tobie,

moc dobra i moc zła, muszą zostać użyte każda w swoim czasie, bo zmieniają bieg wypadków.

Kiedy mówiła, ogarnęły mnie okropne wizje: ojciec siedzący samotnie w mroku. Ujrzałam starego Ferrantego szepczącego coś do zwiędłych uszu martwych Andegawenów, wpatrującego się w ich kamienne, ślepe oczy... jego twarz i postać przemieniły się we mnie. Stałam na palcach, moje jędrne ciało przyciśnięte do zabalsamowanej skóry i szeptałam...

Pomyślałam o owej chwili, gdy zapragnęłam miecza, którym mogłabym rozplątać ojcu gardło. Nie pożałowałam władzy. Bałam się, jakbym ją wykorzystała.

- Nigdy nie ucieknę się do zła! - zaprotestowałam.

- W takim razie skazujesz na śmierć tych, których najbardziej kochasz. - Jej głos miał w sobie ostrość i chłód stalowej klingi.

Odmówiłam przyjęcia do wiadomości tych przerażających słów. Zamiast tego uchwyciłam się swego naiwnego marzenia.

- Ale co z małżeństwem? Czy będę szczęśliwa z moim mężem, Onoratem?

- Nigdy go nie poślubisz.

Kiedy zobaczyła, jak drżą mi wargi, dodała:

- Wyjdiesz za mąż za syna najpotężniejszego człowieka we Włoszech.

Nie wiedziałam, co o tym myśleć. Czyli za kogo? Włochy nie miały jednego króla; ziemie były podzielone, nikt nie panował nad wszystkimi państwami-miastami. Wenecja? Mediolan? Niezrównana Florencja? Sojusz między tymi państwami a Neapolem wydawał się mało prawdopodobny...

- Ale czy będę go kochać? - naciskałam. - Czy będziemy mieli wiele dzieci?

- Ani z jednym, ani z drugim - odparła z niemal brutalną szczerością. - Uważaj na siebie, Sancho, bo inaczej twoje serce zniszczy wszystko, co najbardziej kochasz.

Jechałam z powrotem do zamku w milczeniu, odrętwiała, wprawiona w osłupienie, niby nieświadoma niczego ofiara przysypana w mgnieniu oka popiołami Wezuwiusza.

Późne lato 1492-zima 1494

Tydzień po mojej wizycie u wiedźmy, kiedy właśnie jadłam śniadanie, wezwano mnie nagle na audiencją u króla. Pilny rozkaz był tak niespodziewany, że donna Esmeralda ubrała mnie w wielkim pośpiechu - choć wymogłam założenie na szyję rubinu od Onorata, klejnotu, który dodawał mi blasku mimo niedostatków stroju - a następnie obie stanęłyśmy przed obliczem monarchy. Wschodzące słońce świeciło przez łukowate okna po obu stronach tronu, na którym siedział Ferrante. Blask białego marmuru był tak oślepiający, że nie zauważyłam ojca, póki nie wystąpił o krok do przodu. Tylko on towarzyszył królowi, poza nami w olbrzymiej komnacie nie było nikogo.

Ferrante podupadł ostatnio na zdrowiu, jego zwykle różowa cera przybrała ciemnoszkarłatną barwę i często popadał w ponury nastrój. Tego ranka jednak uśmiechnął się, gdy złożyłam mu ukłon.

- Sancho, mam wspaniałe wieści. - Jego słowa odbiły się echem od wysokiego sklepienia. - Wiesz, że ojciec i ja od jakiegoś czasu staraliśmy się wzmocnić więzy Neapolu i papiestwa...

Oczywiście, że wiedziałam. Od dzieciństwa mówiono mi, że przychyłność papieża to dla nas najlepsze zabezpieczenie przeciwko Francuzom, którzy nigdy nie darowali memu pradziadowi zwycięstwa nad Karolem d'Anjou.

- Kłopot polegał na tym, że Jego Świątobliwość papież Aleksander przeznaczył obu synów na duchownych... ee, jakżeż oni mają na imię? - Ferrante skrzywił się i spojrzał na mojego ojca. Znałam te imiona, zanim książę zdążył odpowiedzieć. Wiedziałam też, że papież przed wyborem na Stolicę Piotrową nazywał się Rodrigo Borgia.

- Cezar, ma lat szesnaście i Jofre, jedenaście.

- Tak, Cezar i Jofre. - Oblicze króla znów się rozjaśniło. - Oto wreszcie udało nam się przekonać Jego Świątobliwość, że byłoby roztropnie, gdyby mocniej związał się z Neapolem. - Uśmiechnął się dumnie. - Jesteś zaręczona z synem papieża.

Zbladłam, a usta otworzyły mi się mimowolnie. Gdy próbowałam nad sobą zapanować, ojciec powiedział z okrutną rozkoszą:

- Jest wzburzona. Myśli, że czuje coś do Caetaniego.

- Ech, Sancho, Sancho - powiedział nie bez sympatii dziadek. - Poinformowaliśmy już Caetaniego o nowych ustaleniach, a co więcej, znaleźliśmy mu odpowiednią żonę. Ty musisz uczynić to, co przyniesie największe korzyści koronie, a ten mariaż jest zdecydowanie lepszy. Borgiowie mają bogactwa, jakich dotąd nie widziałas na oczy. A w dodatku kontrakt przedmałżeński stwierdza, że oboje będziecie mieszkać w Neapolu. - Mrugnął do mnie, aby pokazać, że wynegocjował ten zapis specjalnie dla mnie. Nie zapomniał o moim przywiązaniu do Alfonsa.

Wbiłam wzrok w ojca, ból złamanego serca przerodził się w furję.

- To ty do tego doprowadziłeś - zawołałam gniewnie - bo wiedziałeś, że kocham Onorata! Nie zniósłbyś mojego szczęścia. Nie wyjdę za twojego Cezara Borgię. Pluję na niego.

Rozgniewany Ferrante poderwał się z tronu z szybkością sokoła atakującego ofiarę.

- Sancho Aragońska! Nie mów do księcia Kalabrii tym tonem!

Z gorącymi wypiekami na twarzy skłoniłam głowę i wbiłam wzrok w posadzkę. Ojciec zaniósł się śmiechem.

- Pluj sobie na Cezara Borgię, ile chcesz - powiedział. - Masz wyjść za jego młodszego brata, Jofrego.

Nie potrafiąc zapanować nad gniewem, wyszłam z sali tronowej i ruszyłam z powrotem do swoich komnat. Maszerowałam tak szybko, że donna Esmeralda, która czekała na mnie za drzwiami, została w tyle.

Tego właśnie chciałam. Bo gdy dotarłam na balkon, gdzie Onorato podarował mi rubin, zdarłam klejnot z szyi. Uniosłam szlachetny kamień do nieba. Na chwilę mój świat skapał się w czerwieni.

Zacisnęłam na rubinie palce i wrzuciłam go do spokojnych wód zatoki.

Za moimi plecami donna Esmeralda wydała okrzyk szczerzego przerażenia: „Madonna!”

Nic mnie to nie obchodziło. Władcza i wzburzona, ruszyłam dalej. Myślałam o tym, że Onorato tak szybko zgodził się pojąć inną pannę młodą. Pokochałam go i obdarzyłam zaufaniem jak brata - a mimo to moje serce okazało

się dla niego nieważne tak jak dla Ferrantego i ojca. Byłam dla nich częścią kapitału, pionkiem w politycznych rozgrywkach.

Dopiero gdy dotarłam do sypialni i wyprosiłam wszystkie służki, rzuciłam się na poduszki. Nawet wtedy nie pozwoliłam sobie jednak na łzy.

Alfonso przyszedł, gdy skończyły się jego lekcje. Donna Esmeralda po cichu wpuściła go do komnaty, wiedząc, że tylko on może ukoić mój ból. Ponura i ogarnięta żalem leżałam twarzą do ściany.

Ale gdy poczułam na ramieniu łagodny dotyk ręki Alfonsa, odwróciłam się do niego.

W wieku dwunastu lat wciąż był chłopcem, lecz widać było oznaki nadchodzącej dorosłości. Przez ostatnie trzy i pół roku urósł o cały łokieć i teraz już stał się wyższy ode mnie. Głos nie zmienił mu się jeszcze do końca, ale utracił brzmienie dziecięcego falsetu. Twarz ujawniła teraz to, co najlepsze w rysach matki i ojca: zapowiadało się, że wyrośnie na niezwykle przystojnego mężczyznę.

Mimo iż coraz częściej przebywał w towarzystwie ojca i brał lekcje polityki, jego oczy wciąż były łagodne, nieskażone egoizmem ani pychą. Spojrzałam w nie.

- Obowiązek bywa ciężki - powiedział cicho. - Tak mi przykro, Sancho.

- Kocham Onorata - mruknęłam.

- Wiem. Ale nic nie można na to poradzić. Król podjął już decyzję. Ma rację, tak będzie lepiej dla Neapolu. - W jakiś przedziwny sposób słowa te, usłyszane od brata, nie były tak bolesne jak to, co powiedział Ferrante. Alfonso mówił mi tylko prawdę, i to z miłości. Umilkł na chwilę, a potem dodał: - Nie zrobili tego po to, żeby ci dokuczyć, Sancho.

A więc mój wybuch gniewu skierowanego przeciwko ojcu nie był już tajemnicą. Skrzywiłam się, nadal zbyt rozgoryczona, by przyznać mu rację.

- Przecież Jofre Borgia ma dopiero jedenaście lat, Alfonsie! Jest jeszcze dzieckiem!

- Tylko o rok młodszym ode mnie - zauważył lekko Alfonso. - Nie przejmuj się, dorośnie.

- Onorato już jest mężczyzną. Wie, jak traktować kobietę.

Mój młodszy brat się zarumienił. Podejrzewam, że niełatwo było mu wyobrazić sobie mnie w miłosnych objęciach. Ale opanował się i odparł:

- Jofre jest młody i można go wszystkiego nauczyć. Zapewne ma wiele zalet. Ja w każdym razie na pewno dołożę starań, żeby się

- Jak miałabym go polubić? - prychnęłam. - Przecie: ojciec Rodrigo Borgia podobno został papieżem nie dzięki pobożności, lecz

przez podstępny i łapówki. Przekupstwa były tak bezczelne, że wkrótce po wyborze Kolegium Kardynalskie zażądało śledztwa. Tajemniczym zbiegiem okoliczności nie minęło wiele czasu, gdy obiekcje ucichły, a człowiek, który przyjął imię Aleksander VI, cieszył się odtąd pełnym poparciem purpuratów. Mówiło się, że Rodrigo otrul najpoważniejszego konkurenta: własnego brata. Alfonso popatrzył na mnie z powagą.

- Nigdy nie spotkaliśmy Borgiów, więc nie możemy ich osądzać. Zresztą nawet jeśli plotki o Jego Świątobliwości są prawdziwe, jesteś niesprawiedliwa w stosunku do Jofrego. Synowie nie zawsze są tacy jak ojcowie.

Ostatnia uwaga powstrzymała moją dalszą krytykę. Mimo to płaczącym tonem zapytałam:

- Czemu w ogóle musimy się pobierać? Przez to oddziela się nas tylko od tych, których kochamy.

Ale ze względu na Alfonsa, przyrzekłam sobie w duchu, nie będę samolubna. Postaram się być taka jak on - dzielna i dobra, i skłonna do poświęceń dla królestwa.

Mijały kolejne miesiące, aż nadszedł rok 1493. Im dłużej rozważałam małżeństwo z Borgią, tym bardziej się martwiłam. Król Ferrante chciał, abym mieszkała z Jofrem w Neapolu, i zapewnił to sobie na piśmie, jednak słowo papieża miało większą wagę niż słowo króla. A jeśli Aleksander zmieni zdanie i wezwie syna z powrotem do Rzymu? Albo zacznie domagać się oddzielnego królestwa dla Jofrego gdzie indziej? Moim obowiązkiem będzie towarzyszenie mężowi. Tylko neapolitański małżonek mi odpowiadał - ktoś, kto nie miałby powodu opuszczać rodzinnego miasta.

Od dnia, w którym odkryłam upiorne muzeum Ferrantego, moja wiara w Boga stała się niepewna i nieszczerą. Teraz rozpaczliwie uchwyciłam się religii. Pewnego dnia zażądałam powozu i wymknęłam się z zamku w towarzystwie zaledwie jednego gwardzisty i woźnicy.

Pojechałam do Duomo i wprawiłam w zdumienie wiernych, których brutalnie wygonił ze świątyni mój gwardzista.

Uklęłam przed ołtarzem, gdzie wydarzył się cud. Z zapamiętaniem zaczęłam się modlić do San Gennara. Błagałam go, aby uwolnił mnie od narzeczeństwa z Jofrem Borgią i znalazł mi na męża dobrego Neapolitańczyka. Obiecałam, że w podziękowanie oboje podarujemy wielkie sumy pieniędzy na Duomo i pomoc dla biednych.

Kiedy wróciłam do zamku, zamówiłam obraz świętego. W sypialni urządziłam kapliczkę i powtarzałam swoją obietnicę każdego ranka i każdego wieczoru. Co tydzień jeździłam samotnie do Duomo. Esmeralda nie kryła radości.

„Jak miło - mówili wszyscy - że znalazła spokój w pobożności. Bez wątplenia dlatego, że w przyszłym roku ma poślubić syna papieża”.

Wciąż regularnie jeździłam do katedry i zanosłam modły do San Gennara, starając się nie zniechęcać. Prosty akt modlitwy przynosił ukojenie, a do pierwotnej samolubnej prośby dodawałam nowe. Modliłam się o zdrowie dla Alfonsa, matki i donny Esmeraldy; prosiłam o zdrowie dla starego króla Ferrantego, który miał się coraz gorzej. Modliłam się nawet o cud: aby serce ojca wypełniło się miłością, aby stał się szczęśliwy i dobry dla innych.

Pewnego letniego popołudnia dworzanin wezwał mnie na prywatne pokoje Ferrantego. Nie wiedziałam, co o tym myśleć, więc zwróciłam się o pomoc do donny Esmeraldy. Ostatnio nie zrobiłam nic, co mogłoby wprawić starszych w niezadowolenie, byłam bardzo ostrożna. Miałam akurat w rękę łaciński przekład Księgi Przysłów, a zanim zjawił się posłaniec od króla, czytałam *Poemat o dzielnej niewieście*:

*Niewiastę dzielną któż znajdzie?
Jej wartość przewyższa perły.
Serce małżonka jej ufa,
na zyskach mu nie zbywa;
nie czyni mu źle, ale dobrze
przez wszystkie dni jego życia. **

San Gennaro, modliłam się, spełnij me życzenie, a taką się stanę.

Ubrałam się w czarną suknię z sutymi rękawami, jak przystało na szlachciankę z Południa; nie nosiłam żadnych barwnych szat od chwili ogłoszenia moich drugich zaręczyn. Przed wyjściem odłożyłam książkę, dotknęłam złotego krzyżyka na szyi, a potem podążyłam za królewskim dworzaninem. Esmeralda szła u mego boku.

Drzwi sali tronowej były otwarte na oścież, sama komnata pusta. Kiedy jednak przemierzaliśmy marmurową posadzkę, usłyszałam krzyki wzburzenia i gniewu dochodzące z królewskiego gabinetu.

Dworzanin otworzył drzwi i wpuścił nas do środka.

Ferrante siedział przy biurku, jego okolona siwą brodą twarz była szkarłatna ze złości. Królowa Juana, która siedziała obok, próbowała go uspokoić, lecz tylko z rzadka udawało jej się pogłodzić jedno z jego dziko gestykulujących ramion. Jej kojący szept zagłuszały wrzaski dziadka. Obok stał z chmurnym obliczem mój ojciec.

** Biblia Tysiąclecia, Księga Przysłów 31,10-13.*

- Rzymski sukinsyn! - Ferrante spostrzegł mnie i dla wyjaśnienia machnął ręką, wskazując na leżący na biurku list. - Drań powołał nowych kardynałów do Kolegium. Nie ma tam nikogo z Neapolu, mimo że mieliśmy kilku odpowiednich kandydatów. A jakby tego było mało, wybrał dwóch Francuzów. Drwi sobie ze mnie! - Dziadek uderzył pięścią w stół; Juana próbowała ją złapać, ale na próżno. - Kłamliwy skurwysyn drwi sobie ze mnie!

Wciągnął gwałtownie powietrze i przyłożył rękę do czoła, jakby zakręciło mu się w głowie.

- Musisz się uspokoić - powiedziała Juana niespodziewanie stanowczym tonem - inaczej wezwę lekarza.

Ferrante odczekał chwilę, aż wrócił mu miarowy oddech. Kiedy znów się odezwał, był już bardziej opanowany.

- Mam lepszy pomysł. - Podniósł na mnie wzrok. - Sancho, nie zgodzę się na ślub, dopóki to się nie zmieni. Nie pozwolę, aby księżniczka z królewskiego rodu wyszła za syna człowieka, który stroi sobie z nas żarty. - Popatrzył na leżący przed nim list. - Aleksander musi dostać stosowną nauczkę.

Dziadek nie zapomniał o zniewadze, jaka spotkała go niegdyś ze strony wuja Aleksandra, Alonsa, papieża Kaliksta III. Kalikst, sprzeciwiając się objęciu neapolitańskiego tronu przez nisko urodzonego Ferrantego, poparł Andegawenów.

Bez względu na to, jak rozpaczliwie Ferrante potrzebował przymierza z nowym papieżem, nigdy do końca nie wybaczył rodowi Borgiów.

- Wasza Królewska Mość. - W głosie mojego ojca słychać było ton przestrogi. - Byłby to poważny błąd. Niektórzy z wybranych kardynałów są starzy. Wkrótce umrą i wtedy możemy zabiegać o zastąpienie ich lojalnymi Neapolitańczykami. Ale fakt, że Francuzi mają teraz w Watykanie tyle do powiedzenia, czyni związek z papieństwem jeszcze ważniejszym.

Ferrante spojrział na niego i ze szczerością, wypływającą ze złego zdrowia i podeszłego wieku, powiedział:

- Zawsze byłeś tchórzem, Alfonsie. Nigdy cię nie lubiłem.

Zapadła niemiła cisza. Wreszcie dziadek znów popatrzył na mnie i uciał:

- To wszystko. Możesz odejść.

Dygnęłam i wyszłam, a za drzwiami uśmiechnęłam się radośnie.

Przez cztery miesiące, od początku jesieni aż po głęboką zimę, byłam wniebowzięta. Codziennie do każdej modlitwy dołączałam słowa dziękczynienia. San Gennaro, jak wierzyłam, uznał, że dzięki pobożności zasłużyłam na prawo pozostania z bratem.

I wtedy wydarzyło się coś, czego spodziewali się wszyscy oprócz mnie.

Zarówno zima, jak i lato są w Neapolu łagodne, lecz pewnej niezwyklej nocy pod koniec stycznia 1494 roku chwycił tak ostry mróz, że zaprosiłam do łóżka donnę Esmeraldę i inną dworkę. Nakryłyśmy się futrami, a mimo to drżałyśmy.

Spałam niespokojnie z powodu zimna, a może przeczuwałam nadciągającą katastrofę, gdyż nie byłam tak zaskoczona, jak powinnam, gdy usłyszałam pukanie do drzwi. Męski głos zawołał:

- Wasza Wysokość! Wasza Wysokość, to pilne!

Donna Esmeralda wstała. W blasku kominka miękkie linie jej ciała w białej wełnianej koszuli nocnej nabrały barwy koralu. Trzęsąc się z zimna, owinęła się futrem; gruby warkocz opadł jej na ramię i zsunął się po piersi aż na biodro. Na jej twarzy malował się niepokój. Pobudka o tej porze nie mogła oznaczać nic dobrego.

Podniosłam się z łóżka i zapaliłam świecę. W komnacie obok słychać było stłumione szepty. Esmeralda wróciła szybko; po jej przerażonej minie od razu poznałam, co mi powie.

- Jego Wysokość król jest bardzo chory. Pragnie się z tobą widzieć. Nie było czasu, żeby się stosownie ubrać. Donna Esmeralda przyniosła

czarną wełnianą tunikę i przytrzymała ją za plecami, aż wsunęłam ją na ramiona i zapięłam złotą broszą na piersi. Taki strój, na jedwabnej koszuli nocnej, musiał wystarczyć. Poczekalam, aż zwinie mi warkocz w kok i upnie szpilką.

Wyszłam z komnaty i podażyłam za ponurym młodym gwardzistą, który trzymał latarnię, oświetlając nam drogę. W milczeniu zaprowadził mnie do sypialni króla.

Drzwi były szeroko otwarte. Mimo nocy i zaciągniętych zasłon w pokoju było widniej niż w dzień. Świeciły się wszystkie świece kandelabru, na stoliku przy łożu płonęły trzy oliwne lampki. W kominku huczał bijący falami gorąca ogień, a jego refleksy tańczyły na złotym popiersiu króla Alfonsa.

W kącie dwaj młodzi lekarze dyskutowali szeptem z poważnymi minami. Rozpoznałam w nich doktorów Galeana i Clementego, którzy mieli opinię najlepszych medyków w Neapolu.

Zasłony łóżka odsunięto, pośrodku leżał dziadek. Jego twarz przybrała barwę ciemnego szkarłatu, barwę *Lacrima Christi*. Oczy miał zamknięte, wargi rozchylone, jego oddech był krótki i urywany.

Juana siedziała obok niego na łóżku. Była bosa i nie wstydziła się, że ma na sobie tylko nocną koszulę. Kosmyki ciemnych rozpuszczonych włosów opadały jej na twarz. Wpatrywała się w męża z czułością i zatroskaniem, jakie wcześniej zdarzało mi się widzieć tylko u świętych na obrazach. W obu

dłoniach ścisnęła lewą rękę króla. Zdumiewał mnie ogrom miłości, jaką wzbudzał ten człowiek, zdolny do tyłu okrucieństw.

Nieco dalej, na krześle siedział mój ojciec. Pochylił się do przodu i wpatrywał w Ferrantego, rozczapierzone palce obu dłoni przyciskał do czoła i skroni. Choć nie był tego świadomy, na jego twarzy malowało się przerażenie. Oczy lśniły mu od neuronionych łez, odbijając niezliczone płomyki. Popatrzył na mnie, kiedy weszłam, lecz szybko odwrócił wzrok.

Obok niego stali bracia króla: Federico i Francesco. Obaj nie starali się nawet ukryć rozpacz; Federico płakał.

Wreszcie lekarze zauważyli moją obecność.

- Wasza Wysokość - powiedział Clemente. - Sądzymy, że Jego Królewska Mość cierpi na wylew krwi do mózgu.

- Nie da się na to nic poradzić? - spytałam. Doktor Clemente pokręcił głową.

- Przykro mi, Wasza Wysokość. - Przerwał na chwilę. - Zanim utracił mowę, wołał Waszą Wysokość po imieniu.

Byłam zbyt odrętwiała, by wiedzieć, jak zareagować. Do tego stopnia, że nawet nie zapłakałam, gdy w końcu pojęłam, że król umiera. Juana podniosła wzrok.

- Chodź - powiedziała. - Chciał cię zobaczyć. Usiądź przy nim. Podeszłam do łóżka i z pomocajednego z lekarzy usiadłam po prawej stronie dziadka. Juana siedziała po lewej.

Delikatnie podniosłam bezwładną rękę Ferrantego i ją uściśnęłam. Aż straciłam dech, gdy kościste palce uchwyciły się mojej dłoni niczym szpony.

- Widzisz - szepnęła Juana. - Poznaję cię. Wie, że przyszłaś.

Przez następnych parę godzin Juana i ja siedziałyśmy razem w ciszy przerywanej tylko od czasu do czasu łkaniem Federica. Rozumiałam, czemu Ferrante, umierając, uchwycił się żony; jej słodycz i dobroć bez wątpienia przynosiły mu ukojenie. Nie pojmowałam jednak, dlaczego wezwał mnie.

Stopniowo oddech króla stawał się coraz słabszy i mniej regularny. Odszedł z tego świata kilka minut przed tym, jak Juana wreszcie zdała sobie sprawę, że od dłuższego czasu nie zaczerpnął powietrza, i zawołała lekarzy.

Nawet po śmierci trzymał nas mocno; musiałam siłą uwolnić się z jego uchwytu.

Wstawałam właśnie z łóżka Ferrantego, gdy nagle wyrósł przede mną ojciec. Wszelkie oznaki żalu i lęku zdążyły zniknąć z jego twarzy: był opanowany i władczy.

Właśnie został królem.

Ciało dziadka leżało przez jeden dzień w katedrze Santa Chiara, którą my, rodzina królewska, upodobaliśmy sobie jako miejsce oficjalnych uroczystości ze względu na jej ogrom i przepych. W jej kaplicach i nawach chowano już szczątki andegaweńskich władców Neapolu. Za ołtarzem znajdował się grób Roberta Mądrego, pierwszego króla Neapolu z dynastii Andegawenów. Nad kryptą wznosił się monument, który składał się z dwóch części: u góry posąg ukazujący króla Roberta za życia w pełnej chwale, siedzącego na tronie w koronie, zaś niżej rzeźba przedstawiająca władcę na łożu śmierci, z rękoma pobożnie skrzyżowanymi na berle. Na prawo od ołtarza znajdował się nagrobek Karola, księcia Kalabrii, jedynego syna Roberta.

Późno w nocy, parę godzin przed nastaniem świtu, zanim resztę miasta zbudziła smutna wieść, nasza rodzina pokłoniła się umyтым i starannie upozowanym zwłokom króla.

Jego twarz była ściągnięta i surowa, ciało skurczone i kruche, bez śladu lwiego ducha, który je kiedyś zamieszkiwał. Stał się podobny do okazów w swoim muzeum i zupełnie bezsilny.

Przez całą noc zastanawiałam się, czemu dziadek tak mnie lubił i czemu wezwał mnie tuż przed śmiercią. Zimna i twarda, powiedział o mnie z dumą, jakby to były największe zalety.

Może potrzebował dobroci Juany, ale w równym stopniu potrzebował mojej siły.

Od razu zrozumiałam, że moje małżeństwo z Jofrem Borgią jest teraz nieodwołalne. Ojciec zdecydowanie wyraził swoją opinię w tej sprawie; ślub był tylko kwestią czasu. Nie miało sensu zachowywać się jak dziecko i obrażać na los. Nadeszła pora, żebym okazała siłę i zaakceptowała swoją dolę. Mogłam polegać wyłącznie na sobie: nawet jeśli Bóg i święci rzeczywiście istnieli, nie zajmowali się mało znaczącymi życzeniami dziewcząt o złamanym sercach.

Kiedy rodzina pożegnała Ferrantego, w głównej sali zamkowej urządzono biesiadę. Tego dnia nie było muzyki ani tańców, za to wiele gorących rozmów.

Samotnie i niezauważona przez nikogo wymknęłam się do sypialni Ferrantego. Zasłony łóżka wciąż były odsunięte, a baldachim okryty czernią; draperie z zielonego aksamitu również przystrojono kirem.

Jedna z lamp oliwnych na stoliku paliła się jeszcze słabym, niebieskawym płomieniem. Podniosłam ją, otworzyłam drzwi do pokoiku z kapliczką, a stamtąd przeszłam do królestwa umarłych.

Muzeum niewiele się zmieniło; martwy Andegawen o imieniu Robert znów przywitał mnie gestem kościstego ramienia. Tym razem się nie bałam. Nie

ma tu nic przerażającego, powiedziałam sobie, tylko kolekcja zmumifikowanych kościotrupów, przymocowanych do żelaznych prętów.

Ale od mojej ostatniej wizyty ponad cztery lata temu do zbioru dodano dwa nowe ciała. Podeszłam do mumii stojącej bliżej i przysunęłam lampkę do jej twarzy. Marmurowe oczy miały ciemnobrązowe tęczówki, broda i wąsy były gęste, kruczoczarne włosy lśniące i faliste. Tym razem miałam przed sobą nie jasnowłosego Andegawena, lecz Hiszpana albo Włocha. Rysy jego twarzy nie utraciły jeszcze w pełni miękkości, co świadczyło o niedawnym zgonie. Za życia był bez wątpienia przystojnym mężczyzną, który śmiał się i płakał, i może zaznał niepowodzenia w miłości; wiedział również, co to znaczy stać się ofiarą niepohamowanego okrucieństwa.

Bez lęku dotknęłam koniuszkami palców lśniącego od lakieru brązowego policzka.

Był zimny i twardy jak mój dziadek i ojciec. Jak ja.

Zima - wiosna 1494

Naprawa nadwerężonej przyjaźni między Neapolem a papieżem wymagała czasu. Nie byłam zaskoczona, gdy minął cały miesiąc, zanim zgodnie z tym, czego się spodziewałam, ojciec wezwał mnie do siebie.

Przygotowałam się do tego spotkania i pogodziłam z myślą o ślubie z Jofrem Borgia. Fakt ten napełniał mnie swoistą dumą: ojciec liczył na to, że wiadomość o małżeństwie sprawi mi ból, i będzie zawiedziony, gdy tak się nie stanie.

Żołnierz gwardii, który po mnie przyszedł, zaprowadził mnie do królewskich apartamentów. Tron był okryty kirem, ojciec nie mógł na nim zasiąść aż do uroczystej koronacji, która miała nastąpić dopiero kilka miesięcy później.

Dawny gabinet Ferrantego nosił już ślady ingerencji jego następcy: marmurową posadzkę pokrywał wspaniały dywan, łup zdobyty w bitwie pod Otranto, na ścianach wisiały mauretańskie kafelki. Słyszałam, że ojciec ściał głowy wielu Turków; zastanawiałam się, ilu musiał ich zabić, aby zdobyć te właśnie trofea. Spojrzałam pod stopy, na szkarłatno-złoty wzór kobierca, szukając plam krwi, byle tylko zająć czymś uwagę i zachować spokój, gdy dojdzie do nieprzyjemnej rozmowy.

Nowy król był zajęty, otaczał go wianuszek doradców. Kiedy weszłam, wpatrywał się w dokumenty rozrzucone na biurku. W owej chwili zdałam sobie sprawę, że Neapolitańczycy nie mogą już mówić o Alfonsie Mądrym po prostu jako o „królu Alfonsie”. Teraz byli Alfonso I i Alfonso II.

Przeniosłam wzrok za ojca i przez jedno z wychodzących na zachód okien spojrzałam na Castel dell'Ovo. Mówiono, że wielka kamienna forteca, wybudowana jakoby przez Wergiliusza, spoczywa na olbrzymim magicznym jajku ukrytym na dnie morza. Gdyby jajko pękło, cały Neapol runąłby do wody.

Po dłuższej chwili ojciec podniósł na mnie wzrok i zmarszczył brwi, jakby usiłował sobie przypomnieć, co tu robię. Byłam tylko jedną z mało istotnych spraw, jakie miał do załatwienia tego pracowitego dnia. Jego syn Ferrandino, teraz de facto księżę Kalabrii, zza jego ramienia popatrzył na mnie w tym samym momencie. Powitał mnie grzecznym, lecz oficjalnym skinieniem głowy, którego znaczenie było oczywiste: „To ja jestem następcą tronu i prawowitym dziedzicem, nie ty”.

- Wyjdiesz za mąż za Jofrego Borgię na początku maja - oznajmił mi oschle ojciec.

W odpowiedzi ukloniłam mu się uprzejmie i pomyślałam: nie możesz mnie zranić.

Król przeniósł uwagę z powrotem na Ferrandina i jednego z doradców. Wymamrotawszy do nich kilka zdań, znów podniósł wzrok, jakby z zaskoczeniem stwierdził, że wciąż przed nim stoję.

- To wszystko - rzekł.

Dygnęłam, dumna ze swego opanowania, lecz jednocześnie zawiedziona. Ojciec zdawał się zbyt zajęty, by to zauważyć. Odwróciłam się do wyjścia, lecz zanim gwardzista odprowadził mnie do drzwi, król znów się odezwał.

- Aha, jeszcze jedno. Aby udobruchać Jego Świątobliwość, zgodziłem się uczynić jego syna Jofrego księciem, co zresztą odpowiada twojej pozycji. Oboje będziecie rządili księstwem Squillace, dokąd się przeprowadzicie. - To rzekłszy, kiwnął mi na pożegnanie głową i wrócił do pracy.

Wysłałam czym prędzej z gabinetu, oślepiona bólem.

Squillace leżało kilka dni drogi na południe od Neapolu, po przeciwnej stronie Półwyspu Apenińskiego. Podróż z Neapolu do Squillace trwała dłużej niż podróż z Neapolu do Rzymu.

Gdy tylko wróciłam do swoich komnat, zerwałam obraz San Gennara z honorowego miejsca i rzuciłam nim o ścianę. Kiedy spadł z trzaskiem na posadzkę, donna Esmeralda krzyknęła i przeżegnała się z trwogą, po czym wybiegła za mną na balkon, gdzie stałam, kipiąc z gniewu.

- Jak śmiesz! Nic nie tłumaczy takiego świętokradztwa! - zganiała mnie ze srogą miną.

- Nic nie rozumiesz! - odwarknęłam. - Jofre Borgia i ja mamy zamieszkać w Squillace!

Natychmiast złagodniała. Przez chwilę milczała, a potem spytała:

- Myślisz, że Alfonso zniesie to lepiej niż ty? Znów zmusisz go, żeby cię pocieszał, choć jemu samemu będzie się krajało serce? Ty być może częściej okazujesz uczucia, Sancho, lecz nie daj się zwieść pozorom. To on ma bardziej wrażliwą duszę.

Odwrociłam się i spojrzałam na mądrą, naznaczoną zmarszczkami twarz donny Esmeraldy. Oplotłam ramionami piersi, westchnęłam głęboko i postarałam się uspokoić.

- Muszę zapanować nad emocjami - powiedziałam - zanim Alfonso się dowie.

Tamtego wieczoru jadłam kolację tylko z bratem. Z entuzjazmem opowiadał mi o lekcjach fechtunku i o wspaniałym wierzchowcu, którego kupił mu ojciec. Uśmiechałam się i słuchałam, niewiele dodając od siebie. Potem wybraliśmy się na spacer po pałacowym dziedzińcu, obserwowani z daleka przez samotnego wartownika. Był początek marca, a wieczorne powietrze rześkie i przyjemne.

Alfonso odezwał się pierwszy:

- Jesteś dziś małomówna, Sancho. Co cię trapi? Zawahałam się przed odpowiedzią.

- Zastanawiałam się, czy słyszałeś najnowsze wieści... Brat zebrał się w sobie i zauważył z udawaną bez troską:

- A więc bierzesz ślub z Jofrem Borgią. - Natychmiast zaczął mnie pocieszać:

- Nie będzie tak źle, Sancho. Jak już mówiłem, Jofre może się okazać porządnym młodzieńcem. Przynajmniej będziecie mieszkać w Neapolu; będziemy się mogli codziennie widywać...

Stałam w pół kroku, odwróciłam do niego i łagodnie przytknęłam koniuszki palców do jego warg.

- Drogi bracie. - Staralam się powstrzymać drżenie głosu i przybrać lekki ton. - Papież Aleksander pragnie dla syna nie tylko ręki księżniczki, chce też, aby on sam został księciem. Razem z Jofrem udam się do Squillace, żeby tam sprawować rządy.

Alfonso zamrugał zdumiony.

- Ale kontrakt przedmałżeński... - zaczął, lecz nie dokończył. - Ale ojciec... - Umilkł. Po raz pierwszy skupiłam się na jego uczuciach, a nie na swoich. Widząc, jak fala cierpienia przebiega po łagodnych, harmonijnych rysach jego twarzy, myślałam, że pęknie mi serce.

Objęłam go ramieniem i poprowadziłam dalej przed siebie.

- Zawsze mogę przyjechać do Neapolu z wizytą. A ty możesz odwiedzać Squillace.

Był przyzwyczajony do roli pocieszyciela, a nie pocieszanego.

- Będę za tobą tęsknił.

- A ja za tobą. - Uśmiechnęłam się z wysiłkiem. - Powiedziałeś mi raz, że obowiązek nie zawsze jest przyjemny. To prawda, ale postaramy się go sobie osłodzić listami i odwiedzinami.

Alfonso przystanął i przycisnął mnie do siebie.

- Sancho - powiedział. - Och, Sancho... - Był wyższy i musiał schylić głowę, żeby przytulić swój policzek do mojego.

Pogłaskałam go po czuprynie.

- Wszystko będzie dobrze, braciszku - zapewniłam. Trzymałam go mocno w objęciach, ale nie pozwoliłam sobie na łyzy. Ferrante, pomyślałam, byłby ze mnie dumny.

Maj nadszedł zbyt prędko, a wraz z nim pojawił się Jofre Borgia. Przybył do Neapolu z okazałą świtą, a mój stryj ksiązę Federico i brat Alfonso wyjechali mu naprzeciw i towarzyszyli mu do Castel Nuovo. Gdy mężczyźni rozgościli się w głównej komnacie, zesłam do nich po schodach wystrojona w haftowaną złotem zieloną suknię i szafirowy naszyjnik.

Po rozdziawionych ustach pana młodego od razu zorientowałam się, że wywarłam pochlebne wrażenie. Niestety, bez wzajemności.

Mówiono mi, że Jofre Borgia ma „prawie trzynaście lat”, więc spodziewałam się spotkać młodzieńca przypominającego brata. Nawet w niedługim czasie, jaki minął, odkąd powiadomiłam go o swoich zaręczynach, Alfonso rozrósł się w barach, a jego głos jeszcze się pogłębił. Teraz był ode mnie wyższy co najmniej o cztery palce.

Ale Jofre wciąż był dzieckiem. Od wizyty u wiedźmy zdążyłam skończyć szesnaście lat i byłam teraz kobietą o pełnych piersiach i szerokich biodrach. Zaznałam cielesnej rozkoszy i wprawnego dotyku rąk doświadczonego mężczyzny.

Najmłodszy z Borgiaów był ode mnie o głowę niższy, miał pyzată buzię, piskliwy głosik dziecka i tak drobną budowę ciała, że z łatwością mogłabym go podnieść. Co gorsza, nosił dziewczęcą fryzurę: loki rudych włosów opadały mu aż na ramiona.

Jak każdy we Włoszech, kto miał uszy, słyszałam o niepowstrzymanej namiętności Aleksandra do pięknych kobiet. Jako młody kardynał Rodrigo Borgia wywołał oburzenie swego leciwego stryja, papieża Kaliksta, gdy udzieliwszy sakramentu chrztu, zaprowadził wszystkie kobiety zgromadzone w świątyni na ogrodzony murem dziedziniec kościoła, po czym zatrzaskał bramę, pozostawiając po drugiej stronie rozsierdzonych mężczyzn. Przez kilka godzin zmuszeni oni byli słuchać chichotu i lubieżnych odgłosów. Niedawno zaś, już jako papież Aleksander, sprowadził swoją najnowszą kochankę, szesnastoletnią Giulie Orsini, do Watykanu i publicznie się z nią pokazywał, nie ukrywając czułości. Podobno żadna kobieta nie była przy nim bezpieczna.

Trudno uwierzyć, że Jofre jest synem kogoś takiego. Pomyślałam o krzepkich dłoniach Onorata, pieszczących moje ciało; pomyślałam o tym, jak wszedł we mnie, jak chwyciłam się jego mocnych pleców gdy ujarzmił mnie i doprowadził do szczytu rozkoszy.

Potem spojrzałam na to wątłe dziecko i o mało nie skrzywiłam się z obrzydzeniem na myśl o małżeńskim łożu. Onorato znał moje ciało lepiej niż ja sama; jak miałabym nauczyć zniewieściałego smarkacza wszystkiego, co mężczyzna powinien wiedzieć o sztuce miłosnej?

Popadłam w rozpacz. Następne kilka dni przepędziłam w niemym cierpieniu, odgrywając najlepiej, jak umiałam, rolę szczęśliwej panny młodej. Jofre przebywał w towarzystwie swej świty i nie czynił żadnych wysiłków, aby się do mnie zalecać; nie był jak Onorato, nie zależało mu na moich uczuciach. Przyjechał do Neapolu wyłącznie z jednego powodu: żeby przyjąć księżęcą koronę.

Najpierw odbyła się ceremonia państwowa w Castel Nuovo, którą poprowadził biskup Tropei, a w charakterze świadków wystąpili mój ojciec oraz księżę Federico. Mały Jofre miał taką treść, że z pośpiechem wykrzyczał swoją odpowiedź na długo przed tym, jak stary biskup skończył zadawać pytanie, co wywołało szmer rozbawienia wśród zebranych. Mnie jednak me było do śmiechu.

Potem nastąpiła prezentacja darów od mojego przyszłego męża: rubinów, pereł, brylantów, złotogłowiu, jedwabów i aksamitów, które w całości przeznaczono na suknie i ozdoby dla mnie.

Nasz związek musiał jeszcze uzyskać błogosławieństwo Kościoła, me mogliśmy go zatem cieleśnie skosztować; od ślubu dzieliły nas cztery dni. Miałam chwilę wytchnienia.

Następnego dnia odbyła się koronacja.

Czarne poranne niebo zrzuciło na miasto rzesistą ulewę i porywisty wiatr. Mimo złowróżbnej pogody nasza rodzina podążyła za moim ojcem do wielkiej katedry Santa Chiara, gdzie zaledwie parę miesięcy wcześniej spoczywało na katafalku ciało Ferrantego. Ołtarz został teraz przygotowany przez papieskiego mistrza ceremonii, który pieczołowicie ułożył insygnia w takim porządku, w jakim miano je przekazać nowemu królowi: wysadzaną szlachetnymi kamieniami i perłami koronę, ceremonialny miecz w drogocennej pochwie, srebrne berło zwieńczone złotą lilią Andegawenów oraz królewskie jabłko.

Ojciec wprowadził nas do kościoła. Nigdy wcześniej me wydawał się tak piękny i majestatyczny jak w owej chwili. Był ubrany w ciasno dopasowaną

tunikę, nogawice z czarnego atlasu i lśniąca szkarłatną szatę obszytą gronostajowym futrem. Nasza rodzina i dworzanie zatrzymali się w oznaczonych miejscach, lecz ojciec kroczył dalej wzdłuż głównej nawy.

Stałam u boku brata i ściszałam go za rękę. Żadne z nas nie patrzyło drugiemu w oczy; wiedziałam, że gdybym napotkała spojrzenie Alfonsa, zdradziłabym niezadowolenie, a powinnam czuć coś wręcz przeciwnego.

Wkrótce po odnowieniu zaręczyn z Jofrem dowiedziałam się o umowie między nowym królem a papieżem Aleksandrem. Alfonso II da Jofremu Borgii księstwo Squillace, w zamian Ojciec Święty wyśle swego legata (w tym wypadku wpływowego kardynała ze swojej rodziny), który dokona koronacji. W ten sposób Aleksander dawał swoje bezpośrednie, nieodwołalne błogosławieństwo panowaniu Alfonsa.

Wymiana była pomysłem króla, nie papieża - powiedział mi ojciec.

Z rozmysłem kupił sobie dodatkowy zaszczyt za cenę mojego cierpienia.

Człowiek, który wkrótce miał być znany jako Alfonso II, przystanął w chórze, gdzie powitali go arcybiskup Neapolu i patriarcha Antiochii, którzy następnie posadzili go na miejscu naprzeciw ołtarza, skąd wraz z resztą zebranych wysłuchał bulli papieskiej, stwierdzającej, że jest niekwestionowanym królem Neapolu.

Ojciec przykląkł na poduszce przed papieskim legatem, kardynałem Gio-vannim Borgią, i dokładnie powtórzył za nim słowa przysięgi.

Słuchałam go, a jednocześnie zastanawiałam się nad własnym losem.

Czemu ojciec tak mnie nienawidził? Był obojętny wobec reszty dzieci, z wyjątkiem następcy tronu, księcia Ferrandina - ale nawet pierworodnemu synowi okazywał zainteresowanie tylko o tyle, o ile wiązało się to z przygotowaniem go do objęcia w przyszłości rządów. Czy stało się tak dlatego, że sprawiałam więcej problemów od reszty rodzeństwa?

Być może. Ale możliwe też, że odpowiedzi należało szukać w słowach starego Ferrantego: „Z całego potomstwa jesteś najbardziej podobna do ojca”.

Ojciec jednak krzyknął z przerażenia, gdy ujrzał mumie Andegawenów, a ja nie. „Zawsze byłeś tchórzem, Alfonsie”.

Czy to możliwe, że okrucieństwo ojca wynikało ze strachu? I że okazywał mi wzgardę, ponieważ miałam coś, czego jemu zbywało - odwagę?

Przy ołtarzu ojciec skończył powtarzać przysięgę. Kardynał wręczył mu kartę pergaminu, uznając go tym samym za króla, po czym powiedział: „Mocą władzy apostolskiej”.

Teraz Jofre Borgia, książę Neapolu poprzez małżeństwo, wystąpił do przodu, skupiony i malutki, z koroną w rękach. Kardynał wziął ją od niego, a po-

tem włożył na skroń ojca. Była ciężka i zsunęła się trochę; prałat wyprostował ją jedną ręką, arcybiskup zapiął ojcu pod brodą pasek, który miał utrzymać ją na miejscu.

Nowemu królowi przekazano insygnia władzy: miecz, berło i jabłko. Ceremonia wymagała, aby teraz wszyscy papiescy prałaci ustawili się wokół ojca, lecz jego bracia, synowie i wierni możnowładcy wyrwali się z impetem do przodu, spontanicznie okazując mu swoje poparcie.

Śmiejąc się, król zasiadł na tronie, a zebrani wiwatowali: *Viva Re Alfonso! Viva Re Alfonso!*

Mimo gniewu i urazy popatrzyłam na niego w koronie i blasku chwały i ze zdumieniem poczułam, jak rozpiera mnie nagła duma i przywiązanie. Łamiącym się głosem wołałam wraz z innymi: *Viva Re Alfonso!*

Następne trzy dni upłynęły mi na przymiarkach wspaniałej ślubnej sukni. Stanik został uszyty ze złotogłowiu, który dostałam od męża, zaś sama suknia z czarnego aksamitu z naszytymi pasami atlasu i bluzką ze złocistego jedwabiu. Zarówno gorset, jak i spódnica miały naszyte perły od Jofrego, kolejną porcję brylantów i pereł starannie wpleciono w nagłówek wykonany z cienkiej szczerozłotej nici. Rękawy, które przywiązywało się do gorsetu, też były w czarne pasy z aksamitu i atlasu, i tak przepastne, że w każdym z nich zmieściłby się mój mąż. Jeszcze nie tak dawno byłabym dumna z tej szaty i nie szczędziłabym zainteresowania i wysiłku, aby jak najlepiej podkreślić swoją urodę. Teraz jednak patrzyłam na suknię tak jak więzień na okowy.

Dzień ślubu zaświtał szkarłatem, słońce ledwo przedzierało się przez chmury. Po długiej nieprzespanej nocy stałam na balkonie w Castel Nuovo, wiedząc, że wkrótce porzucę dom i wszystko, co znam, aby zamieszkać w obcym mieście. Rozkoszowałam się aromatem chłodnego morskiego powietrza, wciągając je głęboko w płuca; czy w Squillace również będzie pachniało tak słodko? Wpatrywałam się w szarozielone wody zatoki, nad którymi górował ciemny Wezuwiusz, lecz miałam świadomość, że to wspomnienie nie wystarczy mi do życia. Najważniejszy był dla mnie brat; rozmawiałam z nim każdego ranka, jadłam z nim kolację każdego wieczoru, prawie całe dni spędzaliśmy razem. Znał mnie lepiej i kochał bardziej niż własna matka. Jofre sprawiał wrażenie miłego chłopca, ale był dla mnie obcy. Jak mogłam witać z radością życie bez Alfonsa?

Tylko jedno trapiło mnie jeszcze bardziej: świadomość, że mój młodszy braciszek będzie cierpiał podobną samotność - może nawet gorszą, bo jak powiedziała donna Esmeralda, był ode mnie wrażliwszy. To było w tym wszystkim najgorsze.

W końcu wróciłam do komnaty i dam dworu, aby poddać się przygotowaniom do ceremonii ślubnej, którą zaplanowano na południe.

Im później, tym niebo stawało się bardziej pochmurne i ponure, doskonale oddając mój nastrój. Ze względu na Alfonsa ukrywałam cierpienie, robiąc dobrą minę do złej gry.

Jako panna młoda wyglądałam wspaniale w swojej sukni. Kiedy weszłam do kaplicy królewskiej, po zebranych przebiegł szmer zachwytu. To uznanie nie sprawiało mi przyjemności. Za bardzo przejmowałam się tym, jak unikać wzroku brata, i tylko mijając go, na moment zerknęłam na niego. W granatowej tunice i z mieczem w pozłacanej pochwie przy boku wyglądał majestatycznie i dorosło. Twarz miał ściągniętą, poważną i pozbawioną zwykłego blasku. Wpatrywał się przed siebie, skupiając wzrok na ołtarzu.

O uroczystości religijnej rzec mogę tylko tyle, że trwała bez końca, a biedny Jofre zachowywał się z całym książęcym wdziękiem, na jaki było go stać. Lecz gdy nadszedł czas, by mnie pocałować, musiał wspiać się na palce i drżały mu wargi.

Potem był koncert, potem biesiada, która ciągnęła się godzinami i obfitowała w toasty na cześć państwa młodych. Kiedy nadszedł zmierzch, Jofre udał się do pobliskiego pałacyku, przygotowanego dla nas. Zachodzące słońce całkowicie zakryły ciemne burzowe chmury nad zatoką.

Ja przybyłam do pałacyku wieczorem, przy wtórce pierwszych piorunów, w towarzystwie króla i kardynała Monreale Giovanniego Borgii. Kardynał był mężczyzną w średnim wieku o ordynarnych manierach i takiejż powierzchowności. Jego mniszą tonsurę zakrywała czerwona atlasowa czapeczka, tęgie ciało oblekała biała atlasowa sutanna i purpurowy płaszcz z aksamitu, krótkie grube palce lśniły brylantami i rubinami.

Zostawiłam obu mężczyzn w korytarzu i weszłam do sypialni, którą przygotowały dla nas moje służące. Donna Esmeralda rozebrała mnie, wynosząc nie tylko piękną suknię ślubną, lecz także jedwabną halkę. Nagą zaprowadzono mnie do łóża, gdzie czekał Jofre. Na mój widok jego oczy zrobiły się okrągłe; gapił się na mnie z dziecięcym brakiem umiaru. Jedna z dworskich panien odkryła kołdrę, odczekała, aż położyłam się u boku męża, a potem przykryła mnie do pasa. I tak leżałam z obnażonymi piersiami.

Jofre był zbyt nieśmiały i wystraszony, żeby rozmawiać ze mną podczas tego zawstydzającego rytuału - jednego z najbardziej nieprzyjemnych obowiązków królów i książąt, przed którym nic nie mogło nas uratować.

Kiedy król i kardynał Borgia, którzy mieli być świadkami spełnienia małżeństwa, weszli do komnaty, Jofre powitał ich uprzejmym uśmiechem.

Było widać, że kardynał Borgia podziela słabość do młodych kobiet, jaka charakteryzowała jego kuzyna Rodriga. Całkiem otwarcie wpatrywał się w moje piersi, a potem westchnął:

- Och, jakież one piękne. Jak róże.

Zwalczyłam w sobie odruch zasłonięcia się. Kipiałam ze złości, że ten starzec będzie czerpał cielesną przyjemność moim kosztem, ciążyła mi też świadomość, że ojciec po raz pierwszy widzi mnie nieubraną.

Król obrzucił mnie obojętnym wzrokiem i uśmiechnął się lodowato.

- Jak wszystkie kwiaty, rychło zwiędną.

W jego oczach nie było smutku; tego wieczoru płonął w nich żar. Osiągnął wszystko, czego pragnął na tym świecie - był królem z papieskiego błogosławieństwa, a do tego wkrótce miał się pozbyć kłopotliwej córki. To był moment jego największego triumfu nade mną, a zarazem mojego największego poniżenia.

Bodaj nigdy nienawiść do ojca nie płonąła we mnie tak gorącym płomieniem jak wówczas; nigdy nie czułam się tak upokorzona. Odwróciłam głowę, żeby Jofre i kardynał nie ujrzeli złości w moich oczach. Rozpaczliwie pragnęłam owinać się pościelą i wyskoczyć z łóżka, lecz gniew sprawił, że skamieniałam, nie mogłam się ruszyć.

Jofre przerwał krótką chwilę milczenia rozbijając szczerym wyznaniem:

- Wybaczcie mi, Wasza Królewska Mość i Wasza Ekszelencjo, jeśli zawiodą mnie nerwy.

Kardynał zarechotał lubieżnie.

- Jesteś młody, mój chłopcze. W twoim wieku żadne nerwy nie przeszkodzą ci w dziele.

- To nie mój wiek daje mi nadzieję powodzenia - odrzekł Jofre - lecz olśniewająca uroda mej żony.

Z ust kogokolwiek innego - może z wyjątkiem Alfonsa - podobne słowa można by odebrać jako piękny popis dworskiego dowcipu. Ale Jofre wypowiedział je szczerze, uciekając wzrokiem w bok.

Obaj mężczyźni parsknęli śmiechem - mój ojciec drwiąco, kardynał z zadowolaniem. Ten ostatni klepnął się po udzie.

- To bierz ją, chłopcze, bierz! Widzę z wybrzuszenia kołdry, żeś gotów! Jofre przysunął się nieporadnie w moją stronę. W tamtej chwili jego uwaga

skupiła się wyłącznie na mnie: nie dostrzegał już dwóch świadków, którzy pochylali się do przodu na krzesłach, dokładnie obserwując każdy jego ruch.

Z moją pomocą wdrapał się na mnie; był szczuplejszy i niższy niż ja, więc gdy przycisnął wydęte wargi do moich, jego członek wbił mi się mocno w brzuch. Znów zadrzał, lecz tym razem nie z nerwów. Przez jego zniewieściały wygląd

obawiałam się wcześniej, że Jofre może należeć do tych, co wolą chłopców od kobiet, lecz teraz okazało się, że niepotrzebnie.

Z całych sił starając się nie myśleć, w jak żalosalnej znalazłam się sytuacji, ustawiłam go lepiej i rozłożyłam nogi. Na nieszczęście, zaczął pchnięcie zbyt wcześnie, w moje udo. W przeciwieństwie do starszego Borgii najmłodszy syn papieża był zupełnym ignorantem w sprawach miłości. Sięgnęłam w dół, zamierzając go podprowadzić, lecz gdy tylko go dotknęłam, stęknął, a moja dłoń wypełniła się nasieniem.

Instynktownie wyciągnęłam rękę spod kołdry jak najdalej od siebie, niechcący wyjawiając świadkom niepowodzenie. Jofre znowu jęknął, tym razem w poczuciu klęski, i przewrócił się na plecy.

Mój ojciec uśmiechał się szeroko. Wyciągnął dłoń wnętrzem do góry, odwrócił się do chichoczącego kardynała i zażądał:

- Wasz mieszek, Ekscelencjo.

Ubawiony biskup pokręcił głową wydobyl z sutanny ciężką od grosiwa sakiewkę z purpurowego aksamitu i przekazał ją królowi.

- Zwyczajnie szczęście, Najjaśniejszy Panie. Szczęście, nic więcej.

Jedna z moich dworek wbiegła do komnaty i wytarła mi dłoń wilgotną szmatką. Jofre wsparł się na łokciach i spojrzał na obu mężczyzn. Policzki pokryły mu szkarłatne rumieńce, gdy pojął, że jego męska sprawność stała się przedmiotem zakładu.

Kardynał zauważył jego minę i parsknął śmiechem.

- Nie wstydź się, chłopcze. Przegrałem, bo nie wierzyłem, że zabrniesz tak daleko. Wytrzymałeś dłużej niż większość równolatków. Teraz możemy poważnie zabrać się do dzieła.

Ale oczy mego męża wypełniły się łzami przerażenia, odsunął się ode mnie i wtulił w poduszkę.

Jego cierpienie pozwoliło mi przemóc własny wstyd. Moje czyny nie wypływały z pragnienia jak najszybszego załatwienia tej nieprzyjemnej sprawy, lecz z chęci skrócenia męczarni Jofrego. Wydawał się dobrym chłopcem i nie zasługiwał na takie okrucieństwo.

Przysunęłam się do niego i szepnęłam mu na ucho:

- Śmieją się, bo nam zazdroszczą, Jofre. Popatrz na nich: są starzy. Ich czas przeminął. Ale my jesteśmy młodzi. - Przycisnęłam jego dłonie do własnych piersi.

- W komnacie nie ma nikogo, tylko ty i ja w naszym małżeńskim łóżku.

Ze zwykłego współczucia pocałowałam go - lekko i łagodnie, tak jak kiedyś całował mnie Onorato. Zamknęłam oczy, żeby nie widzieć naszych dręczycieli, i wyobraziłam sobie, że jestem z moim dawnym kochankiem. Prze-

sunęłam rękami po wąskim, kościstym grzbiecie Jofrego, a potem niżej, między uda. Zadygotał i jęknął, gdy pieściłam jego męskość tak, jak mnie nauczono; wkrótce stwardniał na tyle, żeby udało mi się wprowadzić go w siebie, tym razem z powodzeniem.

Wciąż zaciskałam powieki. Dla oczu mej duszy nie było na świecie nic poza mną, moim mężem i zbliżającym się grzmotem pioruna.

Jofre nie był podobny do Onorata i niewiele mógł mi ofiarować. Gdyby nie to, że poruszał się we mnie tak nerwowo, i fakt, że pomogłam mu wejść, mogłabym się nie zorientować, że doszło do aktu miłosnego.

Znosiłam to cierpliwie; a wskutek ciężaru na piersiach zaczęłam dyszeć. Miałam nadzieję, że Jofre odbierze to jako odgłosy rozkoszy.

Po jakiejś minucie mięśnie jego nóg napięły się, a tułów odchylił gwałtownie do tyłu. Otworzyłam powieki i zobaczyłam, jak jego oczy wybałuszają się ze zdumienia, a potem wędrują ku górze. Zorientowałam się, że osiągnęliśmy sukces.

Jofre opadł na mnie, ledwie zapiąc. Poczulałam, jak jego członek kurczy się we mnie, a potem wysuwa, a z nim wypływa ciepła ciecz.

Wiedziałam, że tym razem nie zaznam rozkoszy. Onoratowi zależało na spełnieniu moich pragnień, lecz dla trzech mężczyzn, którzy znaleźli się tej nocy w komnacie, nie miało to żadnego znaczenia.

- Dobra robota, dobra robota - pochwalił kardynał z lekkim tonem zawodu w głosie, jakby miał nadzieję, że jego zadanie nie zakończy się tak szybko. Pobłogosławił nas, a następnie nasze łóżce.

Tuż za jego plecami stał ojciec. Wciąż przygnieciona ciężarem Jofrego spojrzałam zimno i beznamietnie na człowieka, który mnie zdradził. Nie chciałam dać mu satysfakcji i okazać bólu, jaki mi zadał.

Wargi wykrzywił mu triumfalny uśmiezek; nie dbał o to, jak bardzo go nienawidzę. Pozbył się mnie, co cieszyło go tym bardziej, że w zamian otrzymał coś wartościowego.

Obaj mężczyźni wyszli, a ja i mąż wreszcie zostaliśmy sami. Dworki miały nam nie przeszkadzać aż do rana, kiedy to przyjdą zabrać pościel, kolejny dowód spełnienia małżeństwa.

Przez dłuższy czas Jofre leżał na mnie w milczeniu. Nic nie mówiłam, gdyż mimo wszystko był teraz moim panem i władcą i byłoby niegrzecznie mu się narzucać. Potem odgarnął mi kosmyk włosów za ucho i wyszeptał:

- Jesteś taka piękna. Opisywali mi, jak wyglądasz, ale żadne słowa nie oddają twojej urody. Jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką w życiu widziałem.

- Jesteś uroczy, Jofre - odparłam szczerze. Był chłopcem, ale miłym, całkowicie pozbawionym pychy, choć i inteligencji. Z czasem mogłam go polubić... ale nigdy pokochać. Nie tak, jak kochałam Onorata.

- Przepraszam - powiedział z nagłym przejęciem. - Tak mi przykro... Ja... ja... - Rozpląkał się.

- Och, Jofre. - Objęłam go i przytuliłam. - Przykro mi, że byli dla ciebie tacy okropni. To, co zrobili, jest niewybaczalne. A ty zachowałeś się normalnie.

- Nie - odparł. - Nie chodzi o zakład. Rzeczywiście to było podłe, ale ja jestem niezdarnym kochankiem. Nie mam pojęcia o tym, jak zadowolić kobietę. Wiedziałem, że cię zawiodę.

- Ćśś - szepnęłam. Próbował wstać i odsunąć się ode mnie, lecz przycisnęłam go znów do piersi. - Jesteś po prostu młody. Wszyscy jesteśmy na początku niedoświadczeni... a potem się uczymy.

- Nauczę się, Sancho - obiecał. - Dla ciebie się nauczę.

- Ćśś - powtórzyłam, tuląc go niczym dziecko, jakim właściwie wciąż był, i jęłam gładzić jego długie, puszyste włosy.

Na zewnątrz wreszcie wybuchła burza, zalewając świat strugami deszczu.

Lato 1494- zima 1495

Następnego dnia skoro świt ruszyłam z Jofrem w podróż do naszego nowego domu na południowych rubieżach Kalabrii. Wciąż starałam się dotrzymać postanowienia i okazać odwagę: objęłam brata i matkę i pocałowałam ich oboje na pożegnanie, nie uroniwszy jednej łzy; powtórzyliśmy obietnice, że będziemy się często odwiedzać i pisać listy.

Oczywiście król Alfonso II był zbyt zajęty, by zaszczycić nas swoją obecnością.

Squillace okazało się górzystym terenem zalanym słońcem. Samo miasto stało na szczycie wysokiego przylądka. Nasz pałac, boleśnie prowincjonalny dla Neapolitanki, znajdował się daleko od morza, którego widok przysłał starożytny klasztor, założony przez Kasjodora. Wybrzeże było proste i monotonne, brakowało mu wdzięcznych łuków i zakoli Neapolu, jedyną zielenią stanowiły zszarzałe liście rachitycznych drzewek oliwkowych. Największym wkładem regionu w sztukę i rzemiosło była czerwono-brązowa ceramika, którą lud tutejszy niezmiernie się szczycił.

Pałac okazał się ruiną; meble i okiennice były połamane, poduszki i obicia zerwane, ściany i sufity popękane. Pokusa, by poddać się rozpaczom i przekląć ojca za zesłanie do takiej dziury, była olbrzymia. Zamiast tego zajęłam się przekształcaniem pałacu w odpowiednią siedzibę książęcą. Zamówiłam najprzedniejszy aksamit, aby zastąpić nim przeżarte przez mole brokaty na starych tronach, kazałam odnowić meble i posłałam po najlepszy marmur, by zastąpić nim nierówne terakotowe płytki w sali audiencyjnej. Prywatne apartamenty książęcej pary - księcia po prawej od komnaty tronowej, księżnej zaś po lewej - były w jeszcze gorszym stanie, co zmusiło

mnie do zamówienia jeszcze większej ilości materiałów i zatrudnienia następnych rzemieślników.

Jofre zajmował się zupełnie innymi sprawami. Był młody i po raz pierwszy znalazł się z dala od opieki rodziny; stał się władcą własnego księstwa, nie miał jednak pojęcia, jak się zachować, zachowywał się więc niestosownie. Wkrótce po naszym przybyciu do Squillace zjechała nam na głowę grupka rzymskich przyjaciół Jofrego, którym aż się paliło do uczczenia szczęścia świeżo upieczonego księcia.

W czasie pierwszych paru dni naszego małżeństwa - włącznie z godzinami spędzonymi w wygodnej karecie podczas podróży na południe - Jofre bez przekonania starał się spełnić obietnicę zostania lepszym kochankiem. Niestety, okazywał się niezdarny i niecierpliwy; dając się ponieść żądzy, zapominał o moich potrzebach i dbał tylko o swoje. Po czułości i łzach nocy poślubnej żywiłam nadzieję, że znalazłam kogoś równie wspaniałomyślnego jak mój brat. Szybko wszakże pojęłam, że piękne słówka Jofrego nie brały się ze współczucia, lecz z chęci zjednania sobie sympatii. Istnieje ogromna różnica między dobrocią a słabością, zaś łagodność Jofrego brała się z tej drugiej.

Stało się to aż nazbyt jasne, gdy tydzień po naszym przyjeździe w Squillace pojawili się przyjaciele Jofrego. Wszyscy byli szlachetnie urodzonymi młodzieńcami, niektórzy mieli żony, większość nie, żaden zaś nie był starszy ode mnie. W grupie znalazło się też dwóch krewniaków mojego męża, którzy niedawno przeprowadzili się do Rzymu, by jak najlepiej wykorzystać rodzinne koneksje. Pierwszym był hrabia Ippolito Borja z Hiszpanii, który nie przyjął jeszcze włoskiej pisowni nazwiska, drugim młody, piętnastoletni kardynał Luis Borgia, który swoją pychą od razu wzbudził we mnie wstręt. Remont w pałacu jeszcze się nie zakończył: wszędzie stały rusztowania, na podłodze wciąż leżała popękana terakota. Don Luis nie omieszkał skomentować żalostnego stanu naszej siedziby i całego księstwa, zwłaszcza w porównaniu ze wspaniałościami Rzymu.

Kiedy przyjechali goście, odgrywałam rolę gospodyni tak dobrze, jak na to pozwalały wiejskie warunki. Wydałam dla nich uroczystą kolację i raczyłam ich naszym najlepszym winem *Lacrima Christi*, przywiezionym z Neapolu, jako że tutejsze trunki nie nadawały się do picia. Ubrałam się skromnie w czerń, jak na dobrą żonę przystało. Podczas biesiady Jofre chwalił się mną z dumą, mężczyźni zaś wznosili niezliczone toasty na cześć mojej urody.

Uśmiechałam się, byłam radosna i urocza, z zainteresowaniem wysłuchiwałam młokosów, którzy usiłowali wyrzucić na mnie wrażenie opowieściami o swojej odwadze i zamożności. Kiedy zrobiło się późno i wszyscy byli

już solidnie podpici, udałam się do swych komnat na spoczynek, zostawiając męża i jego gości samym sobie.

Wkrótce przed świtem ze snu wyrwał mnie przytłumiony krzyk dziecka. Donna Esmeralda, która spała obok, też go usłyszała: zaniepokojone popatrzyłyśmy na siebie, narzuciłyśmy płaszcze i pobiegłyśmy w stronę, z której dochodziły krzyki. Nikt, kto ma sumienie, nie mógłby zignorować tak żalosego i chwytającego za serce głosu.

Nie musiałyśmy daleko szukać. Gdy uchyliłam drzwi do sali tronowej, ujrzałam istne bachanalia.

Na posadzce leżały posplatane ciała, niektóre wiły się w pijanej rozkoszy, inne zastygły bez ruchu we śnie. Przyjaciele Jofrego i ladacznice, uzmysłowiłam sobie z obrzydzeniem, choć jako kobiecie nie przystało mi komentować zachowania gości męża.

Ale gdy spojrzałam na tron, wpadłam w niepohamowany gniew.

Na książęcym tronie siedział nieco krzywo Jofre; był nagi od pasa w dół, jego gacie, pończochy i spodnie leżały na posadzce. Blade, obnażone nogi oplatały biodra kobiety siedzącej mu na podołku. Nie była to bynajmniej kurtyzana szlachetnej krwi, lecz najpospolitsza karczemna dziewczka, ze dwa razy starsza od niego, z wargami pomalowanymi karminem i z nadmiarem tuszu na rzęsach. Była chuda, zabiedzona i pozbawiona wdzięku. Tanią czerwoną sukienkę podkasała do pasa, a małe przywiedle piersi wyjęła z gorsetu, aby mój młody mąż mógł je miętosić.

Był tak pijany, że nie zauważył mojego nadejścia i dalej zabawiał się dziewczką, która pojękiwała z afektacją przy każdym jego ruchu.

Od arystokratów oczekiwano miłosnych przygód; nie miałam prawa się skarżyć na nic, prócz tego, że Jofre okazał brak szacunku dla symbolu władzy. Chociaż próbowałam zawczasu oswoić się z myślą o nieuniknionej niewierności męża i tak poczułam piekącą zazdrość.

Ale świętokradztwa, które odbywało się obok, nie byłam w stanie zamilczeć.

Kardynał Luis Borgia - ten, który wychwalał wszystko, co rzymskie - siedział na moim tronie całkiem nagi, porzuciwszy purpurową szatę i kardynalski kapelusz wśród kotłujących się na podłodze nagich ciał. Na jego podołku wił się jeden z naszych podkuchennych, dziewięcioletek imieniem Matteo ze spodniami spuszczoneymi do kolan. Po policzkach chłopca spływały łzy; to on obudził mnie swoim krzykiem, teraz zaś jęczał z bólu, gdy młody kardynał z zapalem chędożył go brutalnymi pchnięciami, a jednocześnie trzymał w pół, żeby nie runął na podłogę.

- Dość tego! - zawołałam. Oszolomiona okrucieństwem i bezeceństwem kardynała zapomniałam o wstydzie i wypuściłam z rąk płaszcz, który osunął

się na posadzkę. Ubrana tylko w nocną koszulę podeszłam prosto do Mattea i zaczęłam go odciągać.

Z twarzą wykrzywioną pijackim gniewem kardynał uchwycił dzieciaka z całych sił.

- Niech krzyczy! Zapłaciłem smarkaczowi!

Nic mnie to nie obchodziło; chłopiec był zbyt mały, żeby wiedzieć, co czyni. Znow pociągnęłam, tym razem mocniej; trzeźwość dała mi determinację, której brakowało Luisowi. Jego uścisk osłabł, a ja wyrwałam zapłakanego Mattea i odprowadziłam do wzburzonej donny Esmeraldy. Natychmiast zabrała go z sali.

Rozsierdzony Luis Borgia wstał - ale zbyt prędko. Zatoczył się i siadł na jednym ze stopni prowadzących do tronu, a potem oparł głowę na obitym nowym aksamitem siedzisku, poplamionym teraz krwią Mattea.

- Jak śmiesz - powiedziałam drżącym od gniewu głosem. - Jak śmiesz krzywdzić dziecko, choćbyś nawet mu zapłacił, i jak śmiesz obrażać mnie, dokonując podobnego aktu na moim tronie! Od tej pory nie jesteś mile widziany w tym pałacu. Rano wyjeżdżasz.

- Jestem gościem twojego męża - wybełkotał - nie twoim, a to on tu rządzi. - Odwrócił się do Jofrego, który wciąż z zamkniętymi oczami i rozdziawionymi ustami chędożył dziewczkę. - Jofre! Wasza Wysokość! Twoja nowa żona to kłótniwa jędra!

Jofre zamrugał i znieruchomiał.

- Sancha?

Popatrzył na mnie niepewnie, zbyt pijany, by pojąć sytuację i się zawstydić.

- Ci ludzie muszą stąd wyjechać - powiedziałam wyraźnym, mocnym głosem, tak żeby mnie usłyszał. - Wszyscy z samego rana, a dziewczki mają się wynieść natychmiast.

- Suka - mruknął kardynał, po czym pochylił głowę nad moim nowiutkim aksamitnym obiciem i zwymiotował.

Tak jak zażądałam, goście Jofrego odjechali następnego popołudnia. Mój mąż był niedysponowany przez większość dnia, dopiero wieczorem mogłam z nim porozmawiać o wydarzeniach poprzedniej nocy. Pamiętał tylko, że przyjaciele nakłaniali go do picia. Nie przypominał sobie żadnych dziewczek, a z pewnością nigdy z własnej woli nie zbrukałby tronu podobnym bezeceństwem - kompani musieli go podkusić.

- Czy takie zachowanie jest w Rzymie typowe? - zapytałam z wyrzutem. -Ja na to pod swoim dachem nie pozwolę.

- Nie, nie - zapewnił mnie Jofre. - To przez kuzyna Luisa, to on jest rozpustnikiem, ale ja nie powinienem tak się upić, żeby stracić rozum. -Przerwał na chwilę. - Sancho... Nie wiem, czemu szukałem spełnienia w ramionach dziewczki, skoro mam najpiękniejszą żonę w całych Włoszech. Musisz wiedzieć... Jesteś miłością mojego życia. Wiem, że jestem niezdarny i bezmyślny, wiem, że nie jestem najbystrzejszy. Nie oczekuję, że odwzajemnisz moją miłość. Tylko miej nade mną litość...

Błagał o wybaczenie tak żałośnie, że mu go udzieliłam; uprzykrzanie sobie życia z powodu jednej urazy nie miało sensu.

Zapamiętałam jednak jego słabą wolę i doszłam do wniosku, że nie można na nim polegać.

Niecałe dwa tygodnie później przyjęliśmy nowego gościa, hrabiego Mari-gliano, którego wysłał sam Ojciec Święty. Marigliano był małomównym, statecznym mężczyzną w podeszłym wieku o posiwiałych włosach i stonowanym, lecz eleganckim stroju. Powitałam go wspianiałą wieczerzą, z ulgą stwierdzając, że w przeciwieństwie do innych znajomych Jofrego sprawia wrażenie zupełnie niezainteresowanego hulankami.

Wszelako to, czym się zainteresował, bardzo mną wstrząsnęło.

- Pani Sancho - powiedział poważnie, gdy po kolacji cieszyliśmy się resztkami *Lacrima Christi* (kompani Jofrego wypili prawie cały zapas). - Muszę teraz podjąć wielce trudny temat. Przykro mi, że poruszam go w obecności męża, ale oboje powinniście być powiadomieni o zarzutach, które pani postawiono.

- Zarzutach? - Popatrzyłam na starca z niedowierzaniem. Jofre też był zdumiony. - Obawiam się, że nie pojmuję.

Hrabia przybrał ton głosu, w którym równoważyły się stanowczość i delikatność.

- Pewni... goście donieśli, że podczas pobytu w pałacu byli świadkami nieprzyzwoitego zachowania.

Zerknęłam dyskretnie na męża, który wstydliwie wpatrywał się we własny puchar, obracając go w palcach tak, że zdobiące go kamienie rozbłyskiwały w świetle.

- Rzeczywiście, doszło do nieprzyzwoitych zachowań - powiedziałam -ale nie miały one nic wspólnego ze mną. - Nie zamierzałam obciążać Jofrego, ale nie mogłam przystać na oskarżenia. - Proszę powiedzieć, czy jednym z tych świadków był kardynał Luis Borgia?

Hrabia kiwnął lekko głową.

- Czy mogę zapytać, skąd to przypuszczenie?

- Zastałam kardynała w kompromitującej sytuacji - odrzekłam. - Było to tak oburzające, że kazałam mu się wynieść z pałacu tak szybko, jak się da. Nie spodobało mu się to.

Starzec znów pokiwał głową, jakby przetrawiając tę wiadomość. Jofre okrył się rumieńcem, który był oznaką zarówno wstydu, jak i gniewu.

- Moja żona nie zrobiła nic złego. Jest kobietą nieposzlakowanego charakteru. Jakie zarzuty przeciw niej wysunięto?

Hrabia spuścił skromnie wzrok.

- Ze przy różnych okazjach dogadzała w swych komnatach niejednemu, lecz kilku mężczyznom.

Prychnęłam pogardliwie.

- To absurd!

Marigliano wzruszył ramionami.

- Mimo wszystko Jego Świątobliwość jest bardzo wzburzony tą sprawą i w związku z tym wzywa was oboje do Rzymu.

Choć byłam w Squillace nieszczęśliwa, jeszcze mniej uśmiechało mi się życie wśród Borgiów. W Squillace byłam przynajmniej blisko morza. Jofre również spochmurniał na myśl o powrocie do Wiecznego Miasta. Tylko czasem i zdawkowo wspominał swoją rodzinę, lecz z tego, co mówił, wносиłam, że nie darzy jej zbyt dużą sympatią.

- Jak możemy obalić te oskarżenia? - zapytałam.

- Wysłano mnie, bym przeprowadził oficjalne śledztwo - powiedział Marigliano. Nie podobało mi się, że papieski wysłannik będzie grzebał w moim prywatnym życiu, ale doceniłam szczerłość starego hrabiego. Był uprzejmy, choć bezpośredni; miał charakter. - Będę musiał porozmawiać z pałacową służbą i dworzanami.

- Może pan przesłuchiwać każdego - zapewnił skwapliwie. - Wszyscy z radością opowiedzą panu prawdę o mojej żonie.

Uśmiechnęłam się do niego, wdzięczna za poparcie.

- Zrodziły się również wątpliwości co do zbytnej rozrzutności - podjął hrabia. - Jego Świątobliwość nie jest zadowolony z ilości wydatków przeznaczonych na waszą rezydencję.

- Wydaje mi się, że to akurat może waść rozstrzygnąć od razu - zauważyłam. - Proszę się rozejrzeć dookoła i ocenić, czy opływamy w luksusy.

Na te słowa nawet Marigliano musiał się uśmiechnąć.

Śledztwo zostało ukończone w ciągu dwóch dni. Do tego czasu hrabia zdążył przesłuchać każdego sługę i dworzanina w pałacu; ja ze swej strony

dopilnowałam, by porozmawiał sam na sam z małym Matteo. Wszyscy z naszej świty wykazali dość rozsądku, by nie oskarżyć Jofrego o nic złego.

Kiedy odprowadzałam Marigliana do karety, hrabia przystanął i przepuścił przodem giermka, żeby móc ze mną porozmawiać na osobności.

- Madonna Sancha - powiedział. - Ze względu na to, co wiem o Luisie Borgii, już przed rozpoczęciem śledztwa nie miałem wątpliwości, że jest pani niewinna. Teraz wiem, że prócz tego umiała pani sobie zaskarżyć wielkie przywiązanie i sympatię wszystkich, którzy panią otaczają. - Rozejrzył się ukradkiem dookoła. - Powinna pani poznać całą prawdę. Wysłano mnie tutaj nie tylko z powodu oskarżeń kardynała.

Nie miałam pojęcia, do czego zmierza.

- A z jakiego jeszcze?

- Świadkowie mówili również o pani wielkiej urodzie. Mąż opisywał panią w listach w najwznioślejszych słowach, co zaintrygowało Jego Świątobliwość. Teraz jednak mówi się, że jest pani piękniejsza niż *La Bella*.

La Bella, Pięknością, nazywano Giulię Orsini, obecną kochankę papieża, gdyż była ponoć najurodziwszą kobietą w Rzymie, a może nawet w całej Italii.

- I co przekaże pan Jego Świątobliwości?

- Jestem uczciwym człowiekiem, madonna. Muszę mu powiedzieć, że to prawda. Ale powiem również, że jest pani kobietą, która pozostanie wierna mężowi. - Zamilkł na chwilę. - Szczerze mówiąc, Wasza Wysokość, wątpię, aby to drugie miało jakiegokolwiek znaczenie.

Po raz pierwszy w życiu pochlebstwo nie sprawiło mi przyjemności. Nie chciałam ślubu z Jofrem Borgią, bo kochałam innego mężczyznę, pragnęłam zostać z bratem w Neapolu, a Jofre był jeszcze dzieckiem. Teraz miałam jeszcze jeden powód do niezadowolenia: teścia o lubieżnych zapędach... który w dodatku był zwierzchnikiem całego Kościoła.

- Niech Bóg ma cię w swojej opiece, Wasza Wysokość - powiedział Marigliano, a potem wsiadł do powozu, który miał go zawieźć do Rzymu.

Wkrótce przybyło mi zmartwienie większe od myśli o zalotnym teściu, a zarazem papieżu, pragnącym mnie uczynić swą kolejną kochanką.

Zaledwie miesiąc po ślubie do Kalabrii dotarły niepokojące wieści: król Francji Karol VIII planuje wyprawę przeciwko Neapolowi.

Ludzie nazywali go *Re Petito*, Małym Królem, gdyż urodził się z krótkim, pokrzywionym kręgosłupem i zdeformowanymi członkami: z wyglądu przypominał bardziej maskarona niżli człowieka. Urodził się także z żądzą podbojów i doradcy nie musieli go długo przekonywać, że Andegawenowie w królestwie Neapolu tęsknią za francuskim władcą.

Jego żona, piękna królowa Anna, ze wszystkich sił starała się odwieść Karola od marzeń o podbojach. Podobnie jak reszta Francji była pobożną katoliczką oddaną papieżowi, który wpadłby w szal, gdyby król wmieszał się w sprawy Italii.

Zaniepokojona pogłoskami, napisałam do młodszego brata, aby dowiedzieć się, jak rzeczy naprawdę stoją. Upłynęło parę tygodni, zanim otrzymałam niezbyt krzepiącą odpowiedź.

Nie bój się, Najdroższa Siostró!

To prawda, król Karol łaknie podbojów - lecz właśnie w tej chwili nasz ojciec spotyka się z Jego Świątobliwością Aleksandrem w Vicovaro. Zawarli wojskowe przymierze i skrupulatnie zaplanowali strategię. Gdy tylko Karol o tym usłyszy, ogarną go wątpliwości i odstąpi od niemądrego pomysłu, jakim jest najazd. Poza tym, skoro mamy tak silne poparcie papieża, Francuzi nigdy nie zgodzą się na atak na Neapol.

Alfonso postarał się o przedstawienie wszystkiego w jak najlepszym świetle, ale zrozumiałam jego list aż nazbyt dobrze. Francuzi stanowili rzeczywiste zagrożenie - do tego stopnia, że mój ojciec i papież udali się do miejscowości pod Rzymem, gdzie przygotowywali się do wojny.

Przeczytałam list Esmeraldzie.

- Jest tak, jak przewidział ksiądz Savonarola - stwierdziła mrocznie. - Zbliża się koniec świata.

Prychnęłam. Nie miałam cierpliwości dla florenckiego głupca, który uważa się za namaszczonego przez Stwórcę, ani do tłuszczy, która zbiera się, żeby słuchać jego apokaliptycznych wizji. Girolamo Savonarola ze swojej bezpiecznej, oddalonej od Rzymu ambony grzmiał przeciwko papieżowi Aleksandrowi, ale jednocześnie kadził Medyceuszom, którzy rządzą jego ojczystym miastem. Dominikański mnich przedstawił się nawet Karolowi Francuskiemu, twierdząc, że on, Savonarola, jest wysłannikiem samego Boga, wybranym, by zreformować Kościół i wygnąć rozmiłowanych w przyjemnościach pogan.

- Savonarola to wariat - powiedziałam. - Myśli, że król Karol jest sądem zesłanym przez Boga, a święty Jan przewidział najazd na Italię w Apokalipsie.

Esmeralda przeżegnała się, słysząc z moich ust tak bezbożną opinię.

- Skąd możesz mieć pewność, że się myli, madonna? - Zniżyła głos, jakby obawiała się, że Jofre może coś podsłuchać z drugiego końca pałacu. - Grzechy papieża Aleksandra i zepsucie jego kardynałów sprowadziły na nas karę. Jeśli nie zaczniemy pokuty, nie będzie dla nas nadziei...

- Czemu Bóg miałby karać Neapol za winy Aleksandra? - zapytałam kpiąco.

Na to nie umiała odpowiedzieć.

Od tej pory jednak jeszcze żarliwiej modliła się do San Gennara, a ja wciąż się martwiłam. Nie chodziło tylko o niebezpieczeństwo utraty tronu przez moją rodzinę. Mój młodszy brat był już dość dojrzały, by walczyć. Uczono go władania mieczem. Gdyby zaszła potrzeba, musiałby wziąć udział w bitwie.

Aż do końca lata życie w Squillace toczyło się swoją koleją. Byłam miłą dla Jofrego, choć ze względu na jego słaby charakter nie umiałam go pokochać. Publicznie okazywaliśmy sobie czułość, ale Jofre odwiedzał moją sypialnię coraz rzadziej, coraz częściej spędzając noce w towarzystwie okolicznych dziewczek. Ja zaś czyniałam, co w mojej mocy, by nie okazywać zazdrości ani urazy.

Nadszedł wrzesień, a z nim złe wiadomości.

Alfonso napisał:

Najdroższa Siostró,

może już słyszałaś: król Karol przeprowadził swe wojska przez Alpy. Stopa francuskiego żołnierza stanęła na włoskiej ziemi. Wenecjanie dobili z Francuzami targu, dzięki czemu ich miasto zostało oszczędzone, Karol spogląda teraz łakomym okiem na Florencję.

Nie wolno Ci się martwić. Zebraliśmy znaczną armię pod wodzą księcia Ferrandina, który poprowadzi swych ludzi na północ, aby powstrzymać wroga, nim ten zdąży zbliżyć się do Neapolu. Ja zostaję tutaj razem z ojcem, więc nie musisz się mną przejmować. Nasza armia, gdy dołączą do niej wojska papieskie, będzie niezwyciężona. Nie ma powodu do lęku, gdyż Jego Świątobliwość Aleksander publicznie stwierdził: „Prędzej stracimy naszą infule, nasze ziemie i nasze życie, niż zawiedzimy króla Alfonsa w potrzebie”.

Nie mogłam już dłużej kryć niepokoju. Jofre starał się mnie pocieszyć, jak umiał najlepiej.

- Nie dojdą dalej niż do Rzymu - przekonywał. - Wojska mojego ojca ich powstrzymają.

Tymczasem Francuzi nie tracili ani chwili. Złupili Florencję, to centrum kultury i sztuki, a teraz parli dalej na południe.

Nasze wojska posuwają się szybko naprzód, pisał Alfonso. Wkrótce złączą się z armią papieża i powstrzymają Karola.

Ostatniego dnia grudnia 1494 roku przewidywania mojego brata zostały poddane sprawdzianowi. Ciężko objuczeni zrabowanymi kosztownościami Francuzi wkroczyli do Rzymu.

Jofre dowiedział się o inwazji z pośpiesznie napisanego listu od starszej siostry, Lukrecji. Tym razem to ja go pocieszałam, gdy oboje wyobrażaliśmy

sobie krwawe bitwy toczone na wielkich placach Świętego Miasta. Przez wiele dni z rozpaczą czekaliśmy na wieści.

Pewnego popołudnia, gdy siedziałam na balkonie, pisząc długi list do brata, bo tylko tak mogłam ukoić nerwy, usłyszałam tętent kopyt. Podbiegłam do balustrady i zobaczyłam samotnego jeźdźca, który podjechał do bramy zamku i zsiadł z konia.

Był ubrany po neapolitańsku. Upuściłam pióro i zbiegłam po schodach na parter, wołając Esmeraldę, żeby sprowadziła Jofrego.

Pośpiesznie weszłam do głównej sali, gdzie czekał już na mnie przybysz. Był młody, miał ciemne oczy, kruczoczarne włosy i brodę, a na sobie bogaty strój szlachcica. Ubranie było pokryte kurzem, a on sam wycieńczony ciężką podróżą. Nie przywiózł żadnego listu; wiadomość, którą miał do przekazania, była zbyt ważna.

Poleciałam przynieść wina i jadła, które spożywał łąpczywie, gdy ja niecierpliwie czekałam na męża. W końcu wszedł Jofre, pozwoliliśmy więc biednemu posłańcowi usiąść i wysłuchaliśmy jego opowieści.

- Przyjechałem na prośbę waszego stryja, księcia Federica - wyjaśnił rycerz. - Księżę otrzymał wiadomość od samego księcia Ferrandina, który jak wiecie, był w Rzymie dowódcą naszych wojsk.

Słowo „był” natychmiast wzbudziło mój niepokój.

- A jakie są wieści z Rzymu? - zapytał niecierpliwie Jofre. - Czy mój ojciec... Jego Świętobliwość Aleksander, moja siostra i brat mają się dobrze?

- Tak - odpowiedział posłaniec, a Jofre z westchnieniem ulgi opadł na oparcie krzesła. - Z tego, co wiem, sąbezpieczni za murami Castel Sant'Angelo. To Neapolowi grozi teraz niebezpieczeństwo.

- Proszę mówić - rozkazałam.

- Księżę Federico zobowiązał mnie do przekazania następującej wiadomości: armia księcia Ferrandina weszła do Rzymu i podjęła tam walkę z Francuzami. Jednakże siły króla Karola przewyższają liczebnie nasze wojska, w związku z czym Ferrandino liczył na obiecaną pomoc Jego Świętobliwości. Tymczasem wcześniej za plecami papieża ród Orsinich związał się potajemnie z Francuzami i porwał Giulie, znaną jako *La Bella*, faworytę Aleksandra. Kiedy Jego Świętobliwość usłyszał, że madonna Giulia jest w niebezpieczeństwie, wstrzymał wojska i rozkazał księciu Ferrandinowi wycofać się z miasta. Księżę Ferrandino w obliczu pewnej klęski zmuszony był usłuchać. Teraz maszeruje w kierunku domu, gdzie przygotowuje się do następnego boju z Francuzami. Jego Świętobliwość przyjął króla Karola w Watykanie i tam podjął z nim negocjacje. W zamian za Giulie zaofiaro-

wał swego syna Cezara jako zakładnika. Ma towarzyszyć Francuzom w pochodzie. W ten sposób zagwarantował *Re Petito* bezpieczną drogę aż do królestwa Neapolu.

Wpatrywałam się w posłańca przez dłuższą chwilę, aż wreszcie wyszeptałam:

- Zdradził nas. Dla kobiety...

Byłam tak oburzona, że nie potrafiłam się ruszyć, mogłam tylko siedzieć i patrzeć z niedowierzaniem na młodego szlachcica. Pomimo przemówienia o poświęceniu infuły, ziem i życia Aleksander w istocie opuścił króla Alfonsa w potrzebie, gdy przyszło mu wybierać między lojalnością wobec sprzymierzeńca a kobietą.

Zmęczony posłaniec pociągnął spory wina, zanim podjął dalej:

- W Rzymie też sytuacja nie wygląda najlepiej, Wasza Wysokość. Francuzi złupili miasto. - Zwrócił się do Jofrego. - Wasza matka, Vannoza Cattanei... jej pałac został splądrowany i mówi się, że... - Spuścił wstydliwie oczy. - Proszę mi wybaczyć, ale mówi się, że ją zhańbili.

Jofre przycisnął dłoń do ust. Szlachcic mówił dalej:

- Madonna Sancha, pani stryj, ksiązę Federico, śle pilną wiadomość: Neapol potrzebuje pomocy wszystkich obywateli. Zachodzi obawa, że ośmieleni bliskością francuskiej armii andegaweńscy baronowie podniosą bunt. Ksiązę prosi was i waszego męża o tyle wojska i oręża, ile tylko Squillace może dać.

- Dlaczego przysyła pana mój stryj, a nie ojciec? - zapytałam.

Byłam przekonana, że ojciec nie wysłał wiadomości do mnie, bo jeszcze raz chciał mnie poniżyć. Ale odpowiedź posłańca okazała się zaskakująca.

- Ksiązę Federico musiał przejąć bieżące sprawy związane z rządem. Przykro mi, że to mówię, Wasza Wysokość, ale król źle się czuje.

- Źle się czuje? - Wstałam z krzesła, zdziwiona tym, jak bardzo przejęłam się wiadomością. - Co mu się stało?

Młody szlachcic wyraźnie unikał spojrzenia mi w oczy.

- Nie dolega mu nic cielesnego, Wasza Wysokość. Nic, czemu umieliby zaradzić lekarze. Król jest... głęboko wstrząśnięty zagrożeniem ze strony Francuzów. Nie jest sobą.

Powoli usiadłam, lekceważąc znaczące spojrzenie Jofrego. Nagle wszystko dookoła przestało istnieć: widziałam tylko twarz ojca. Po raz pierwszy nie myślałam o jego złośliwości i drwiącej minie. Zamiast tego zobaczyłam upiorny mrok w jego oczach i zdałam sobie sprawę, że nie powinna mnie dziwić wiadomość, iż jest nie w pełni zdrowy na umyśle. Był przecież synem

Ferrantego, który nie tylko zabijał nieprzyjaciół, ale na dodatek przebierał ich z mumifikowane zwłoki we wspaniałe kostiumy i przemawiał do nich, jakby wciąż żyli.

Nic nie powinno mnie zaskoczyć: od początku wiedziałam, że ojciec jest szaleńcem, a teść zdrajcą. Francuzi zaś przybyli mimo wysiłków Alfonsa, by przekonać mnie, że jest inaczej.

Wstałam.

- Możesz tu, waść, jeść i wypoczywać, ile tylko potrzebujesz - powiedziałam posłańcowi. - A kiedy odjedziesz i znów spotkasz się z księciem Federikiem, przekaż mu, że Sancha Aragońska przyjedzie na jego wezwanie. Spotkam go we własnej osobie niedługo po twoim powrocie.

- Sancho! -zaprotestował Jofre.-Nie słyszałaś, co się dzieje? Karol prowadzi na Neapol całą armię. To zbyt niebezpieczne! Znacznie rozsądniej będzie pozostać w Squillace: Francuzi nie mają powodu, by nas atakować. Nawet jeśli postanowią podbić nasze księstwo, upłynie wiele miesięcy...

Z szelestem spódnic obróciłam się w jego stronę.

- Drogi mężu - rzekłam głosem zimniejszym i ostrzejszym od stali - nie słyszałaś, co się dzieje? Stryj Federico prosi o pomoc, a ja jej nie odmówię. Czyżbyś zdążył zapomnieć, że poprzez małżeństwo ze mną sam stałeś się neapolitańskim księciem? Nie dość, że masz wystawić do walki oddział wojska, to jeszcze własnym mieczem powinienes bronić królestwa. Jeśli nie pojedziesz, wezmę twój oręż i sama pójdę w bój.

Jofre nie wiedział, co odpowiedzieć. Wpatrywał się we mnie blady i zawstydzony, że besztam go za tchórzostwo w obecności obcego szlachcica.

Czym prędzej wybiegłam z komnaty, aby oznajmić dworkom, że mają się spakować.

Wracałam do domu.

Zima 1495

Wóz, który przewiózł mnie i mojego męża do Squillace, został przygotowany do drogi powrotnej do Neapolu. Tym razem jechaliśmy z większym oddziałem gwardii, w bitewnym uzbrojeniu, przecinając Włochy ukośnie na północny wschód od jednego wybrzeża do drugiego. Z powodu rozmiarów naszej świty - trzy wozy służby i bagaży - podróż wymagała kilku dni.

W czasie jazdy z trwogą myślałam o spotkaniu z ojcem. „Głęboko wstrząśnięty”, określił go wysłannik. „Nie jest sobą”. Pozostawił rządy królestwa w rękach Federica. Czyżby popadł w takie samo szaleństwo, jakiego ofiarą padł Ferrante? Bez względu na sytuację, obiecałam sobie, że odsunę na bok osobiste urazy i niechęć. Ojciec jest królem i w niepewnych czasach wojennej zawieruchy potrzebuje całkowitej lojalności. Jeśli będzie w na tyle dobrym stanie, by mnie zrozumieć, przysięgnę mu to.

Ostatniego dnia podróży, kiedy zobaczyliśmy Wezuwiusz, górujący nad krajobrazem, z radością ścisnęłam rękę Esmeraldy. Jak to dobrze wreszcie ujrzeć wielką kopułę Duomo, ciemny kamień Castel Nuovo, potężne mury Castel dell'Ovo. Czułam radość, a jednocześnie smutek wobec świadomości, że miasto jest w niebezpieczeństwie.

W końcu nasz wóz przejechał pod łukiem triumfalnym Alfonsa Mądrego i zatrzymał się na pałacowym dziedzińcu. Wartownicy donieśli o naszym przybyciu i mój brat czekał już na nas, gdy wysiedliśmy. Uśmiechnęłam się: Alfonso miał czternaście lat, neapolitańskie słońce lśniło na jasnych włosach jego pierwszego zarostu. - Braciszku! - zawołałam. - Jesteś mężczyzną!

Uśmiechnął się do mnie, błyskając białymi zębami, a potem padliśmy sobie w objęcia.

- Sancho - powiedział głosem, który stał się prawie całkiem męski - jakże za tobą tęskniłem!

Minęła dłuższa chwila, nim się rozdzieliliśmy. Jofre czekał nieopodal Alfonso uścisnął mu dłoń, mówiąc:

- Jestem wdzięczny, że przyjechaliście.

- Nie mogliśmy postąpić inaczej - odrzekł uprzejmie Jofre, co było w pewnym sensie prawdą, dzięki moim naleganiom.

Słudzy zajęli się bagażem, Alfonso zaś zaprowadził nas do pałacu. Gdy minęła euforia spotkania po długiej rozłące, zauważyłam napięcie w twarzy brata, w jego gestach i ruchach. Niedawno musiało stać się coś złego, coś tak okropnego, że czekał na odpowiednią okazję, żeby nam o tym powiedzieć

- Przygotowaliśmy dla was komnaty - rzekł. - Pewnie chcecie się odświeżyć, zanim przywitacie się z księciem Federikiem.

- A co z ojcem? - zapytałam. - Czy nie powinnam najpierw pójść do mego? W końcu mimo kłopotów nadal jest królem.

Alfonso zawahał się; rumieniec przemknął mu przez oblicze, zanim zdążył się opanować.

- Ojca nie ma. - Popatrzył na mnie i Jofrego. W jego głosie pobrzmiwała ponura powaga, jakiej jeszcze nigdy nie słyszałam. - Uciekł dzisiejszej nocy. Najwyraźniej planował to od dłuższego czasu; zabrał większość swoich strojów i wiele kosztowności. - Spuścił głowę i zarumienił się - Nie sądziliśmy, że jest do tego zdolny. Położył się do łóżka i miał spać. Dopiero parę godzin temu odkryliśmy jego zniknięcie. Zrozumiałe, że obaj bracia zwłaszcza Federico, są w tej chwili zajęci tą sprawą.

- Uciekł? - zapytałam zdruzgotana i gorzko rozczarowana. Do tej chwili za najzdradhszego człowieka w chrześcijańskim świecie uważałam papieża, który opuścił Neapol w potrzebie, lecz okazało się, że mój własny ojciec jest zdolny do jeszcze podlejszej zdrady.

- Zniknął też jeden z jego służących - dodał ze smutkiem brat. - Przypuszczamy, że został wciągnięty do spisku. Nie jesteśmy pewni, dokąd ojciec się udał. Staramy się to ustalić.

Minęła długa, pełna udreki godzina. Przechadzałam się nerwowo po wytwornie urządzonej gościnnej sypialni; w moich dawnych komnatach rezydowała teraz Giovanna. Wyszłam na balkon, z którego widać było zatokę, Wezuwiusz i arsenał. Popatrzyłam na wodę. Przypomniało mi się, jak ze swego starego balkonu wyrzuciłam do morza rubin od Onorata. Żałowałam, że nie mogę cofnąć czasu i powstrzymać tamtego dziecinnego gestu; za klejnot można by kupić prowiant dla wielu żołnierzy albo tuzin armat z Hiszpanii.

Wreszcie przyszli po mnie Alfonso i Jofre. Razem udaliśmy się do królewskiego gabinetu, gdzie za biurkiem z ciemnego drewna siedział przygnębiony stryj Federico. Postarzał się, odkąd go ostatnio widziałam; kruczoczarne włosy zaczęły siwieć, cienie, jakie widywałam na twarzy ojca, teraz zbierały się pod brązowymi oczami Federica. Rysy twarzy były zatarte i nie tak piękne jak dawniej; mina surowa jak u starego Ferrantego, lecz mimo to przyjazna. Naprzeciw niego siedzieli jego młodszy brat Francesco i jeszcze młodsza siostra Giovanna.

Widząc nas, wszyscy wstali. Federico najwyraźniej objął przywództwo; pierwszy wystąpił do przodu i uściśnął Jofrego, a potem mnie.

- Masz wierne serce swojej matki, Sancho - powiedział. - A ty, Jofre, swoim przybyciem dowiodłeś, że jesteś prawdziwym rycerzem Królestwa Neapolu. Jako regent i książe witam was.

- Powiadomiłem ich o zniknięciu Jego Królewskiej Mości - wyjaśnił Alfonso. Federico pokiwał głową.

- Nie będę owijał w bawełnę. Neapol jest tak zagrożony jak nigdy. Moźnowładcy wszczęli bunt... szczerze mówiąc, mają ku temu powody. Wbrew wszelkim radom król opodatkował ich ponad wszelką rozsądną miarę, niesprawiedliwie odbierał im ziemię i posyłał na szafot tych, którzy śmieli za-protestować. Teraz, kiedy wiadomo, że Francuzi są już w drodze, baronowie podnieśli głowy. Przyłączają się do Karola, żeby walczyć przeciwko nam.

- Ale Ferrandino wraca z naszą armią - zauważyłam. Książe Federico popatrzył na mnie umęczonym wzrokiem.

- Tak, Ferrandino rzeczywiście wraca... a Francuzi depczą mu po piętach. Karol ma czterokrotnie więcej żołnierzy niż my, bez papieskich wojsk jesteśmy zgubieni - powiedział bez ogródek, a Jofre zaczął nerwowo przestępować z nogi na nogę. - Właśnie dlatego zwróciłem się do ciebie, Jofre. Potrzebujemy twojej pomocy: musisz wykazać przywiązanie do naszego królestwa i przekonać Jego Świątobliwość o przysłanie pomocy wojskowej tak szybko, jak to tylko możliwe. Zdaję sobie sprawę, że możesz narazić bezpieczeństwo swojego brata Cezara, ale niewykluczone, że znajdzie się jakieś rozwiązanie. - Umilkł, a potem mówił dalej. - Posłaliśmy po pomoc do Hiszpanii ... ale nie ma mowy o tym, żeby dotarła do nas w porę. - Westchnął głęboko. - A teraz nie mamy też króla.

- Macie króla - odparł bez wahania mój brat. - Alfonso II najwyraźniej zrzekł się korony na rzecz swego syna Ferrandina. Właśnie taką wiadomość trzeba przekazać można władcom i ludowi.

Federico spojrzał na niego z podziwem.

- Sprytnie. Bardzo sprytnie. Baronowie nie mają powodu, żeby nienawidzić Ferrandina. Jest bardziej lubiany niż twój ojciec. - Jął kiwać głową ze wzrastającym entuzjazmem. - Do diabła z Alfonsem. Masz rację, powinniśmy potraktować jego zniknięcie jako abdykację. Oczywiście nie będzie łatwo. Baronowie nam nie ufają... jeśli uznają, że to tylko manipulacja, i tak zwrócą się przeciwko nam. Ale Ferrandino ma większe szanse na zdobycie poparcia wśród poddanych.

Wreszcie głos zabrał mój stryj Francesco:

- Ferrandino jako król i najemnicy, po prostu nie mamy innego wyjścia. Musimy wziąć najemników, i to szybko, zanim nadejdą Francuzi. Oczywiście, to bardzo dobrze, że książę Jofre postara się przekonać Aleksandra, aby przysłał papieskie wojska, ale nie ma czasu na dyplomację. I tak żołnierze papieża są zbyt daleko na północy, aby dotrzeć tu w porę.

Federico skrzywił się boleśnie.

- Nie mamy pieniędzy. Z trudem możemy opłacić własną armię po wszystkich wydatkach Alfonsa na odbudowę pałaców i niepotrzebne dzieła sztuki...

- Nie mamy też wyboru - upierał się Francesco. - Albo to, albo przegramy z Francuzami. Po wojnie możemy pożyczyć pieniądze od Hiszpanii.

Federico nadal marszczył brwi. Otworzył usta, żeby odpowiedzieć, gdy rozległo się pukanie do drzwi.

- Wejść - rozkazał.

Poznałam siwego orlonosego mężczyznę, który pojawił się w drzwiach. Był to ochmistrz nadzorujący sprawy związane z prowadzeniem dworu, łącznie z finansami i królewskim skarbcem. Miał tak upiorną minę, że Federico zaledwie na niego spojrział, porzucił reguły protokołu. Podbiegł do sługi, a następnie pochylił się, żeby starzec mógł mu szeptać na ucho.

Po chwili oczy księcia rozszerzyła trwoga. Ochmistrz wycofał się i zamknął drzwi, stryj zrobił kilka niepewnych kroków i opadł ciężko na krzesło. Zwiesił głowę i przycisnął dłoń do serca. Z jego ust wydobył się zduszony jęk.

Przez moment myślałam, że umiera.

Francesco poderwał się i podbiegł do brata. Ukląkł i położył mu dłoń na ramieniu.

- Federico! Federico, co się dzieje?

- Zabrał wszystko - stęknął Federico. - Skarb korony. Zabrał cały skarb... Skarb korony stanowił lwią część bogactw Neapolu.

Minęła dłuższa chwila, nim zdałam sobie sprawę, że mowa o moim ojcu.

Zawsze wyobrażałam sobie, że powrót do domu i spotkanie z bratem będzie jednym z najszcześniejszych momentów w moim życiu, lecz następne

kilka dni w Castel Nuovo wypełniły zgryzoty. Mój mąż i ja spędzaliśmy czas w towarzystwie Alfonsa, ale nie było nam do śmiechu; krzywdy, jakie wyrządził nasz ojciec królestwu, wtrąciły nas w ponure odrętwienie. Mogliśmy tylko czekać i mieć nadzieję, że Ferrandino i jego wojska przybędą do Neapolu przed Francuzami.

Jeszcze bardziej bolesny był fakt, że matka również zniknęła. Trudno mi było się z tym pogodzić: „masz wieme serce swojej matki”, powiedział Federico, lecz nie potrafiłam zrozumieć, jak wierność kochankowi przeważała u Trusji nad lojalnością wobec Neapolu i własnych dzieci. Myśl o tym była tak przykra, że brat i ja nie mogliśmy znieść rozmowy na ten temat i nie wspominaliśmy o zdradzie matki ani słowem.

Następnego ranka po naszym przyjeździe donna Esmeralda wprowadziła do mojej komnaty Alfonsa. Uśmiechnęłam się do niego na powitanie, lecz brat nie okazał radości. Miał dla mnie prezent: drewniane pudełko niewiele dłuższe od mojej dłoni i dwukrotnie od niej szersze.

- Dla twojego bezpieczeństwa - powiedział śmiertelnie poważnym tonem. - Trudno przewidzieć, co może się zdarzyć, a nie będę spokojny, póki nie upewnię się, że będziesz umiała się obronić.

Roześmiałam się, próbując zbagatelizować sprawę.

- Nie śmiejesz się - obruszył się Alfonso. - To nie żart: Francuska armia maszeruje na Neapol. Otwórz.

Z wahaniem zrobiłam to, o co prosił. W pudełku, na czarnym aksamicie spoczywał długi, wąski kordzik o cienkiej srebrnej rękojeści.

- Sztylet - wyjaśnił brat, gdy wysunęłam ostrze z pochwy.

Rękojeść była naprawdę krótka, większość broni stanowiła klinga z cienkiej, polerowanej stali, zakończona niezwykle ostrym szpicem. Nie śmiałam nawet dotknąć go czubkiem palca, wiedziałam, że natychmiast się skaleczę.

- Wybrałem dla ciebie ten sztylet, ponieważ można go łatwo ukryć w sukni - powiedział Alfonso. - Mamy krawcowe, które mogą natychmiast zabrać się do pracy. Przychodzę tak wcześnie, bo nie mamy czasu do stracenia. Pokażę ci, jak się nim posłużyć.

Cmoknęłam z powątpiewaniem.

- Doceniam twoją zapobiegliwość, ale taki sztylet nie nadaje się do parowania ciosów miecza.

- Nie - przyznał Alfonso - i w tym tkwi jego urok. Każdy żołnierz uzna za oczywiste, że jesteś nieuzbrojona, i dlatego podejdzie do ciebie bez lęku. A gdy wróg się zbliży, weźmiesz go z zaskoczenia. Patrz. - Wziął ode mnie broń i pokazał, jak ją właściwie trzymać. - Tego typu sztyletem najlepiej wyprowadzić cios od dołu ku górze. - Zademonstrował mi to, rozrzynając

wyimaginowanego wroga od brzucha aż po gardło, po czym oddał mi broń.
-Masz. Teraz ty.

Dokładnie powtórzyłam jego ruchy.

- Dobrze, dobrze - mruknął z zadowoleniem. - Jesteś urodzoną wojowniczką.

- Jestem córą dynastii aragońskiej.

Wreszcie udało mi się poprawić mu trochę humor i uśmiechnął się pod nosem.

Przyjrzałam się stalowej klindze.

- Możliwe, że to broń odpowiednia przeciw Andegawenom - zauważyłam - ale wątpię, by zabiła zakutego w zbroję Francuza.

- Przeciwnie, Sancho, w niepozornym wyglądzie tkwi właśnie jej siła. Ostrze jest na tyle cienkie, że przebije się przez kolczugę i wsunie między płyty pancerza, a przy okazji metal jest tak mocny, że jeśli użyjesz odpowiedniej siły, przebijesz nim lżejszą blachę. Wiem, bo to był mój sztylet. -Zrobił pauzę. - Modlę się tylko o to, byś nigdy nie musiała go użyć.

Ze względu na niego udałam, że nie podzielałam jego obaw.

- Jest bardzo ładny - powiedziałam, unosząc go do słońca. - Jak biżuteria. Od tej pory będę go zawsze nosić przy sobie jako pamiątkę.

Ale przez następne dni, gdy do mojego gorsetu dodano specjalne kieszonki tuż nad kłosem sukni, ćwiczyłam w samotności: dobywałam szybko sztyletu i używając chwytu, którego nauczył mnie brat, raz za razem rozcinałam ciała niewidzialnych wrogów.

Minęły dwa kolejne dni, które królewscy bracia spędzili na ciągłych naradach i opracowywaniu oficjalnej strategii. Wydano i rozlepiano na ulicach edykt głoścący, że król Alfonso II zrzekł się tronu na rzecz swego syna Ferrandina. Mieliśmy nadzieję, że wiadomość ta udobrucha baronów i powstrzyma ich od stanięcia w walce po stronie Francuzów. Jofre napisał żarliwy list do ojca, papieża Aleksandra, podając oficjalną wersję historii o abdykacji i błagając o militarne wsparcie; księżę Federico przeredagował go znacznie, po czym wysłał do Rzymu przez tajnego kuriera.

Pewnego słonecznego lutowego poranka, krótko przed południem, jadłam drugie śniadanie z Jofrem i Alfonsem, gdy naszą cichą, niespokojną rozmowę przerwał grzmot z oddali. Trzy myśli jednocześnie przebiegły mi przez głowę: To nic, to tylko burza, która przejdzie bokiem. Czyżby Wezuwiusz się przebudził? O Boże, to Francuzi.

Z otwartymi szeroko oczyma spojrzałam najpierw na brata, a potem na męża, gdy dobiegł nas następny huk - tym razem na pewno od północnego zachodu,

bo odbił się echem od pobliskiego Pizzofalcone. Teraz już wszyscy pomyśleliśmy o tym, że nadchodzi Francuzi, gdyż skoczyliśmy na równe nogi i pobiegliśmy na wyższe piętro, gdzie z balkonu rozciągał się widok na zachód. Wkrótce dołączyła do nas donna Esmeralda, która wskazała palcem na północ od Wezuwiusza, za granice miasta. Podążyłam wzrokiem za jej gestem i ujrzałam w oddali chmurki ciemnego dymu. Znowu zagrzmiało.

- Ogień armatni - stwierdziła z przekonaniem Esmeralda. - Nigdy nie zapomnę tego dźwięku. Słyszę go w snach od czasów, gdy byłam młodą dziewczyną, a możnowładcy podnieśli bunt przeciw Ferrantemu.

Wpatrywaliśmy się jak zaczarowani w horyzont i nie śmieliśmy się odezwać w oczekiwaniu na odpowiedź na jedno pytanie: czy to salwy powitalne na cześć powracającego do Neapolu Ferrandina, czy też Francuzi dają znać

O swoim przybyciu?

Musnęłam dłonią rękojeść sztyletu ukrytego w gorsecie, upewniając się, że wciąż tam jest.

- Patrzcie! - zawołał Jofre tak gwałtownie, że aż drgnęłam. - O tam! Żołnierze!

Małe ciemne postaci maszerowały w luźnym szyku poprzez łagodne pagórki w kierunku miasta. Niepodobna było dojrzeć koloru ich mundurów

1 stwierdzić, czy są Neapolitańczykami czy Francuzami.

Alfonso jako pierwszy otrząsnął się z szoku.

- Federico musi się o tym natychmiast dowiedzieć! - krzyknął i ruszył pośpiesznie do zamku.

Esmeralda przywołała go z powrotem:

- Don Alfonso, myślę, że już wie!

Wskazała dłonią zewnętrzne mury pałacu, gdzie uzbrojeni wartownicy pośpiesznie zajmowali pozycje. Mimo to brat pobiegł się upewnić.

Przez dłuższą, pełną napięcia chwilę mrużyliśmy oczy, patrząc w dal, niepewni, czy mamy wyjść naprzeciw, czy też stawić zbrojny opór piechurom, którzy zbliżali się do miasta i królewskiego pałacu.

Wtem nad jednym z oddziałów ujrzałam sztandar: złote lilie na granatowym tle.

- Ferrandino! - krzyknęłam, a potem złapałam męża i obcałowałam mu szaleńczo usta i policzki. - Widzisz, to nasza flaga!

Wjazd Ferrandina do Neapolu daleki był od radosnego. Armatnie strzały, które omyłkowo wzięłam za salwy naszej artylerii, obwieszczające przybycie neapolitańskich wojsk, zostały oddane przez oddziały rozsiedzonych baronów gotowe do ataku na młodego księcia. Choć zbuntowani możnowładcy

nie mieli ani dość żołnierzy, ani broni, by przeprowadzić samodzielnie poważną kampanię, udało im się zabić kilku naszych ludzi. Jeden z wystrzałów spłoszył konia Ferrandina, o mało nie wysadzając jeźdźca z siodła.

Nasza rodzina czekała na następcę tronu w głównej sali. Tego dnia nie było żadnych kwiatów, sztandarów ani innych ozdób; wszystko, co przedstawiało jakąś wartość, spakowano na wypadek ucieczki.

Ferrandino różnił się teraz bardzo od aroganckiego młokosa, którego znałam jako dziecko. Był wciąż przystojny, ale zmęczony, wychudły i postarzały przez obowiązki, wojnę i rozczarowania. „Jemu zależy wyłącznie na ładnych dziewczkach, które by go podziwiały, i miękkim łożu”, powiedział wiele lat temu Ferrante, lecz było jasne, że książę nie zaznał od długiego czasu ani jednego, ani drugiego.

Wszedł do sali. Zdażył wprawdzie zmienić tunikę i zmyć kurz podróży, lecz twarz miał ogorzałą od słońca, a ciemne włosy i brodę w nieładzie. Córka Ferrantego, Giovanna, ciemnowłosa i ponętna siedemnastolatka zarzuciła mu ramiona na szyję i pocałowała go namiętnie. Mimo że była jego ciotką, zakochał się w niej już dawno temu, a ona w nim. Teraz byli zaręczeni.

- Mój chłopcze. - Federico pierwszy uściskał go ciepło. Ferrandino odwzajemnił uścisk Federica, a potem Francesca z widocznym zmęczeniem, a potem rozejrzał się po zebranych.

- Gdzie ojciec?

- Usiądź, Wasza Wysokość - powiedział Federico głosem, w którym po-brzmiewały czułość i żal.

Ferrandino popatrzył na niego z niepokojem.

- Nie mów mi, proszę, że nie żyje.

Giovanna pocieszycielskim gestem położyła mu dłoń na ramieniu. Wargi Federica zacisnęły się, tworząc cienką, prostą kreskę.

- Nie. - Gdy młody książę usiadł, stryj dodał pod nosem: - Choć tak byłoby lepiej.

- Mów - zażądał Ferrandino. Przebiegł wzrokiem po twarzach zebranych, którzy stali wokół stołu, i powiedział: - Siadajcie. A ty, stryju Federico, mów.

Z ciężkim westchnieniem Federico zajął miejsce na krześle obok bratanka.

- Twój ojciec nas opuścił, chłopcze. Opuścił pałac i możemy podejrzewać, że odpłynął na Sycylię, zabierając skarbiec korony.

- Odpłynął? - Książę wpatrywał się w niego z otwartymi ustami. - Jak to? Dla bezpieczeństwa? - Patrzył na nasze poważne twarze, jakby błagał o jakieś słowo, znak, który pomógłby mu zrozumieć.

- Raczej uciekł. Wyjechał pod osłoną nocy, nikomu nic nie mówiąc. I zostawił królestwo bez grosza.

Ferrandino skamieniał; przez długą chwilę nie odzywał się, nie patrzył nikomu w oczy. Mięsień policzka zadrgał nerwowo. Federico przerwał ciszę.

- Powiedzieliśmy ludziom, że król Alfonso postanowił odstąpić tron tobie. Tylko w ten sposób możemy odzyskać zaufanie baronów.

- Dzisiaj nie okazali nam zaufania - wycedził Ferrandino. - Strzelali do nas, straciliśmy kilku ludzi i parę koni. Jacyś durnie z mieczami ruszyli nawet z szarżą na naszą piechotę. - Umilkł na moment. - Moi ludzie potrzebują jedzenia i nowych zapasów. Nie mogą walczyć o pustym brzuchu. Dość już przeszli. Kiedy się dowiedzą.

Urwał i zakrył dłońmi twarz, a potem pochylił się w przód, dotykając czołem stołu. Zaległa martwa cisza.

- Dowiedzą się, że jesteś królem - powiedziała, zaskakując samą siebie tymi odważnymi słowami. -1 będziesz lepszym władcą niż ojciec. Jesteś dobrym człowiekiem, Ferrandino. Będziesz traktował poddanych sprawiedliwie.

Ferrandino wyprostował plecy i otarł twarz, jakby zmywał z mej przygnębienie. Książę Federico spojrział na mnie z głęboką wdzięcznością.

- Sancha ma rację - powiedział do bratanka. - Możliwe, że teraz baronowie ci nie ufają. Ale jesteś jedynym człowiekiem, który może zdobyć ich poparcie. Zobaczą, że w przeciwieństwie do Alfonsa jesteś sprawiedliwy.

- Nie ma czasu - odparł zmęczonym głosem Ferrandino. - Francuzi wkrótce tu będą, z armią dwa razy większą od naszej. A teraz nie mamy w dodatku pieniędzy.

- Francuzi rzeczywiście nadejdą - potwierdził ponuro Federico. - A kiedy tak się stanie, pozostanie nam tylko bronić się ze wszystkich sił. Ale Jofre Borgia napisał do swego ojca, papieża. Zdobędziemy więcej wojsk, Wasza Wysokość. Jeśli będę musiał popłynąć na Sycylię, wiosłując tymi starymi rękoma - uniósł je dramatycznie - to uczynię tak i odzyskam skarb. Przysięgam. Teraz musimy tylko przetrwać.

W instynktownym odruchu wstałam z krzesła, podeszłam do Ferrandina i uklęknęłam.

- Wasza Wysokość - powiedziała. - Przysięgam ci wierność jako memu suwerenowi, panu i władcy. Cokolwiek mam, należy do ciebie; jestem zawsze na twoje rozkazy.

- Kochana siostró - wyszeptał i wzięwszy mnie za rękę, podniósł z kolan. Stary Federico również uklęknął i złożył taką samą przysięgę lojalności.

Jeden po drugim, wszyscy zrobili to samo. Było nas niewiele, rozdzierały nas lęk, i niepewność, co stanie się z nami w nadchodzących dniach; i nasze głosy drżały, gdy zawołaliśmy: *Viva Re Ferrante!* Ale w naszych sercach mgdy me gościła większa szczerłość. Tak oto władzę objął król Ferrante II Neapolitański, bez ceremoniału, korony ani berła.

7

Od chwili przybycia Ferrandina Neapol zapełnił się żołnierzami. Arsenał przylegał do zamku królewskiego od strony brzegu, chroniony starym, andegaweńskimi murami i nowszymi, wytrzymałszymi, które kazali zbudować Ferrante i mój ojciec. Z balkonu sypialni miałam dobry widok na to co się tam działo: nigdy jeszcze nie widziałam tylu armat i olbrzymich stosów żelaznych kul, wielkości ludzkiej głowy. Za moich czasów do arsenału rzadko ktokolwiek zaglądał, a nieużywane działa pokrywały się rdzą od morskiej soli, wody. Teraz roilo się tam od hałaśliwych żołnierzy, którzy doglądali uzbrojenia, ćwiczyli musztrę i przekrzykiwali się nawzajem

Pałac też otaczali rycerze. W zimowe dni, gdy nie było zbyt chłodno i świeciło słońce, lubiłam jeść posiłki na balkonie - teraz jednak zaprzestałam tego obyczaju, gdyż widok wartowników porozstawianych na murach pode mną odbierał nu apetyt.

Każdego ranka Ferrandino przyjmował swoich oficerów. Całymi dniami siedział zamknięty w gabinecie, który należał najpierw do jego dziada, a później ojca, ze swoimi dowódcami i królewskimi braćmi dyskutował o strategii. Miał zaledwie dwadzieścia sześć lat, ale głębokie zmarszczki na czole zdawały się należeć do człowieka znacznie starszego.

O naszych planach wojennych wiedziałam tylko tyle, ile mówił mi Alfonso, który często uczestniczył w naradach. Ferrandino wydał dekret obniżający podatki dla szlachty i obiecał odszkodowania, a także zwrot ziemi tym którzy pozostaną wierni koronie i staną do walki przeciw Francuzom Rozpuszczono wieść, że nasz ojciec z własnej woli abdykował na rzecz syna i wyjechał do klasztoru, gdzie zamierzał odpokutować za swe liczne grzechy. Czekaliśmy też na odpowiedzi papieża i króla Hiszpanii w nadziei że obaj obiecują pomoc wojskową; Ferrandino wraz ze stryjami liczył na to, że dzięki nowym dekretem uda się przeciągnąć baronów na naszą stronę Tym

czego Alfonso mi nie mówił - a co i tak uznawałam za oczywiste - był fakt, że wszystkie te działania i oczekiwania były podszyte rozpaczą.

Z każdym mijającym dniem wyraz twarzy młodego króla stawał się coraz bardziej ponury.

Alfonso i Jofre, aby uspokoić nerwy, zajęli się fechtunkiem. Alfonso był lepszym szermierzem. Wyszkolono go w hiszpańskim stylu walki i z natury wydawał się bardziej zwinny od mojego męża; na Jofrem wywarło to wielkie wrażenie i obaj chłopcy się zaprzyjaźnili. Pragnąc zawsze przypodobać się towarzystwu - do którego teraz zaliczał się także mój brat - Jofre traktował mnie z większym szacunkiem i zaprzestał wizyt u kurtyzan. Nasza trójka - Alfonso, Jofre i ja - stała się nierozłączna; obserwowałam, jak dwaj mężczyźni mojego życia pojedynkują się na stępione szpady, i zachęcałam do tego obu.

Staralam się jak najbardziej docenić tych kilka miłych dni w Castel Nuovo, miałam bowiem świadomość, że nie potrwał długo.

Koniec nadszedł o świcie. Wybuch zatrzęsł posadzką pod moim łóżkiem i wyrwał mnie ze snu. Zrzuciłam kołdrę, otworzyłam drzwi i wybiegłam na balkon. Jak przez mgłę zobaczyłam, że Esmeralda jest tuż obok.

W pobliskim murze arsenału ziała wyrwa. W szarawym świetle brzasku widziałam ludzi na wpół pogrzebanych za życia pod gruzami, inni biegali w tę i z powrotem z krzykiem. Tłum żołnierzy w naszych mundurach i innych, w cywilnych ubraniach, wdarł się szturmem do arsenału przez wyłom, siekąc mieczami oszołomione ofiary.

Spodziewając się Francuzów, spojrzałam na horyzont. Nie było żadnej atakującej armii, żadnych ciemnych postaci maszerujących przez pagórki i doliny w kierunku miasta, żadnych koni.

- Spójrz! - Donna Esmeralda chwyciła mnie za ramię, a potem pokazała coś palcem.

Tuż pod nami, na murach Castel Nuovo, żołnierze, którzy tak długo nas strzegli, dobyli szabel. Ulice wokół pałacu zaroily się od ludzi, wylaniali się z każdej bramy, z każdego zaułka. Tłum natarł na naszą gwardię; spod balkonu dochodził szcęk i zgrzyt stali o stal.

Niestety, niektórzy żołnierze dołączyli do zbuntowanej cizby i rozpoczęli walkę przeciw własnym towarzyszom.

- Boże, dopomóż nam! - szepnęła Esmeralda i się przeżegnała.

- Pomóż mi! - rozkazałam. Zaciągnęłam ją z powrotem do komnaty. Włożyłam suknię i poprosiłam Esmeraldę, żeby ją zasznurowała. Nie traciłam czasu na zakładanie rękawów, za to chwyciłam sztylet i ukryłam go starannie w kieszeni przy prawym boku. Porzucając wszelkie dworskie obyczaje,

pomogłam Esmeraldzie się ubrać, a potem wzięłam aksamitną torbę i zapakowałam do niej wszystkie klejnoty, które zabrałam ze sobą ze Squillace

Do komnaty wbiegł Alfonso; miał rozwichrzone włosy, jego strój wskazywał na to, że ubrał się w pośpiechu.

- To nie są Francuzi - oznajmił. - Idę do króla po rozkazy. Pakujcie się - kobiety trzeba odesłać w bezpieczne miejsce.

Spojrzałam na niego.

- Jesteś nieuzbrojony.

- Wezmę miecz, ale najpierw muszę rozmówić się z królem.

- Pójdę z tobą. Spakowałam wszystko, co trzeba.

Nie protestował; nie było na to czasu. Wybiegliśmy na korytarz na zewnątrz znow huknęły działa, rozległy się jęki i krzyki rannych. W myślach zobaczyłam, jak wali się następny odcinek muru arsenału, i ludzi przygniecionych stosami kamieni. Mijałam w biegu białe ściany ozdobione portretami przodków. Miejsce, które zawsze uważałam za wieczne, potężne i niezdobyte wydało mi się teraz przemijające i nietrwałe. Wysokie sklepienia piękne okna z ramami z ciemnego hiszpańskiego drewna, marmurowe posadzki - wszystko, co przyjmowałam za oczywiste i dane raz na zawsze za chwilę mogło się obrócić w perzynę.

Biegliśmy w stronę apartamentów Ferrandina, który nadal jeszcze nie sypiał w królewskiej sypialni naszego ojca i pozostał w swych starych komnatach. Zanim tam dotarliśmy, znaleźliśmy młodego króla z koszulą nocną wepchniętą w spodnie, spoglądającego spode łba na księcia Federica w alkowie przy sali tronowej. Najwyraźniej przed chwilą doszło między nimi do ostrej wymiany zdań.

Federico, bez spodni i bosi, miał na sobie koszulę nocną, ale dzierżył w garści budzącą postrach mauretańską szablę. Między nim a królem stał kapitan don Inaco d'Avalos, krzepki żołnierz o groźnym spojrzeniu, słynący z odwagi; księciu Ferrandinowi towarzyszyło dwóch uzbrojonych strażników

W garmzonach żołnierze walczą między sobą - mówił właśnie don Inaco. - Baronowie musieli przekupić niektórych obrońców. Nie wiem nawet komu mogę nadal ufać. Radzę, aby Wasza Królewska Mość natychmiast opuścił zamek.

Twarz Ferrandina była nieruchoma i zimna niczym marmur: spodziewał się buntu, lecz jego ciemne błyszczące oczy zdradzały ból.

- Rozkaż tym, których uważasz za lojalnych, bronić zamku za wszelką cenę. Postaraj się nam kupić jak najwięcej czasu. Będę potrzebować twoich najlepszych żołnierzy, żeby odeskortowali moją rodzinę do Castel dell'Ovo Tam wsiądziemy na statek. Kiedy uciekniemy, daj rozkaz do odwrotu.

Don Inaco kiwnął głową i odszedł, aby zabrać się do wykonania królewskich rozkazów. Wówczas stryj Federico uniósł szablę i wymierzył ją oskarżająco w bratanka. Nigdy jeszcze nie widziałam starego księcia tak czerwonego ze złości.

- Oddajesz miasto Francuzom bez walki! Jak możemy opuszczać Neapol w chwili, gdy miasto najbardziej nas potrzebuje? Już raz zostało porzucone!

Ferrandino podszedł tak blisko, że zakrzywione ostrze szabli dotknęło jego piersi, jakby prowokował stryja do zadania ciosu. Strażnicy, którzy ochraniali króla, popatrzyli na siebie nerwowo, nie wiedząc, czy mają się wtrącić.

- Wolałbyś, żebyśmy wszyscy tu zostali, a dynastia aragońska wygasła? - zapytał gniewnie Ferrandino. - Wolałbyś, żeby nasi żołnierze zostali i dali się powyrzynać, abyśmy już nigdy nie mieli szansy odzyskania tronu? Myśl głową, anie sercem! Bez posiłków nie mamy szans na zwycięstwo. A jeśli będziemy musieli się wycofać, żeby na te posiłki poczekać, to właśnie tak uczynimy. Wyjeżdżamy z Neapolu tylko na jakiś czas; nie opuszczamy go na zawsze. Nie jestem swoim ojcem, Federico. Na pewno do tej pory już to dostrzegłeś.

Federico opuścił niechętnie broń; wargi mu drżały od mieszaniny emocji.

- Czy jestem twoim królem? - zapytał Ferrandino, gromiąc go wzrokiem.

- Tak, jesteś moim królem - z trudem odrzekł Federico.

- Powiadom brata. Pakujcie wszystko, co możecie. Musimy jak najszybciej wyjechać.

Stary książę przytaknął kiwnięciem głowy, a potem ruszył pospiesznie w głąb korytarza. Ferrandino odwrócił się do Alfonsa i do mnie.

- Przekażcie moje polecenie reszcie rodziny. Bierzcie kosztowności, byle szybko.

Ukłoniłam się. W tej chwili strażnik stojący bliżej mnie wyciągnął miecz i błyskawicznie, zanim ktokolwiek zdołał mu przeszkodzić, wbił ostrze w brzuch swego towarzysza.

Ranny żołnierz był tak zaskoczony, że nawet nie zdążył sięgnąć po broń. Szeroko otwartymi oczami popatrzył na napastnika, a potem na miecz, który przebił go na wylot i sterczał teraz z pleców poniżej klatki piersiowej.

Równie gwałtownie zabójca wyciągnął broń z ciała; z przeciągłym westchnieniem konający osunął się na ziemię i przetoczył na bok. Krew rozlała się szkarłatną plamą po białym marmurze.

Alfonso chwycił króla i odepchnął go z całej siły, używając własnego ciała jako tarczy. Niestety, zamachowiec ustawił nas dogodnie dla swoich celów: zarówno Ferrandino, jak i mój brat wycofali się w głąb alkowy i nie mieli dokąd uciec.

Spojrzałam na króla, potem na Alfonsa i z trwogą uświadomiłam sobie ze obaj są meuzbrojeni. Tylko żołnierz miał miecz - bez wątpienia wcześniej czekał na to, aż don Inaco i Federico ze swoją mauretańską szablą odejdą

Gwardzista - jasnowłosy młokos o rzadkiej bródce, z determinacją i strachem w oczach - postąpił jeszcze o krok w kierunku mojego brata. Zastąpiłam mu drogę, oddzielając go od Alfonsa i króla.

- Odejdź, pani - rozkazał żołnierz. Uniósł groźnie miecz i próbował przestraszyć mnie zdecydowanym tonem, lecz głos mu zadrzał. - Nie chcę zabijać niewiasty.

- Ale musisz - odparłam - gdyż inaczej ja zabiję ciebie

To jeszcze chłopiec, pomyślałam, w dodatku przerażony. Świadomość tego wywołała we mnie dziwne i nagłe poczucie dystansu. Mój strach się ulotnił czułam tylko obrzydzenie. Znaleźliśmy się w tak rozpaczliwej sytuacji, że jedno z nas będzie musiało zginąć z powodu polityki. Byłam zdecydowana dochować wierności koronie. Oddam życie za Ferrandina, jeśli okazałoby się to konieczne.

Na moje słowa gwardzista roześmiał się, choć nie umiał ukryć zdenerwowania. Byłam drobną niewiastą, a on roslym mężczyzną. Nie wydawałam się zbyt groźna. Opuszczając lekko miecz, zrobił jeszcze jeden krok w przód i wyciągnął rękę, żeby odepchnąć mnie na bok.

Nagle wezbrało we mnie jakieś zimne i twarde uczucie, zrodzone raczej z instynktu niż świadomej woli. Przysunęłam się, jakbym chciała go objąć - byłam zbyt blisko, by mógł mnie ugodzić długim mieczem, i zbyt blisko by zauważył, jak wyciągam sztylet.

Nasze ciała prawie się zetknęły, uniemożliwiając mi zadanie odpowiedniego ciosu. Zamiast tego uniosłam sztylet i uderzyłam z góry, tnąc ostrzem oko i policzek.

- Uciekajcie! - krzyknęłam do mężczyzn na plecami

Żołnierz zawył z bólu i przycisnął rękę do oka; spomiędzy palców spływała krew. Na wpół oślepiiony uniósł miecz i cofnął się, zamierzając rozplatać mi czaszkę.

Wykorzystałam dystans, jaki się między nami utworzył, żeby namierzyć gardło. Nie było czasu na subtelności: wspięłam się na palce i z całej siły zatopiłam sztylet w jego szyi. Naciskałam tak długo, aż poczułam opór i usłyszałam chrzęst kości.

Ciepła krew trysnęła mi na włosy, twarz, piersi; grzbietem dłoni otarłam oczy, żeby cokolwiek widzieć. Miecz młodego zabójcy upadł z brzękiem na marmurową posadzkę; przez chwilę wywijał ramionami młyńce, cofając się na niepewnych nogach. Z gardła wciąż sterczał mu sztylet. Odgłosy które

wydawał - rozpaczliwe świsty, gorączkowe ssanie zmieszane z gulgotem spienionej krwi, wysiłki, a jednocześnie niemożność wydobywania z gardła krzyku - były najpotworniejszymi dźwiękami, jakie do tej pory słyszałam.

W końcu runął ciężko na plecy, z dłońmi zaciśniętymi na rękojeści broni, która utkwiała mu w gardle. Obcasy butów tłukły o posadzkę, potem zaczęły się ślizgać w górę i w dół, jakby próbował uciec. Wreszcie wydał z siebie chrapliwe rżenie, a z rozwartych ust wylała mu się krew, i znieruchomiał.

Uklękałam przy nim. Twarz miał wykrzywioną w najbardziej przerażający sposób; oczy - jedno z nich przebite, czerwone i zalane krwią - były szeroko otwarte i wybałuszone. Z wysiłkiem wyciągnęłam ostrze z rany i wytarłam je o rąbek sukni, po czym wsunęłam sztylet z powrotem do pochwy ukrytej w gorsecie.

- Uratowałeś mi życie - powiedział Ferrandino.

Podniosłam wzrok i zobaczyłam, że klęczy naprzeciw mnie, po drugiej stronie żołnierza, a na twarzy maluje mu się zdumienie i podziw.

- Nigdy ci tego nie zapomnę, Sancho.

Przy jego boku przykucnął mój brat - blady i milczący. Przez długą chwilę patrzyliśmy sobie z Alfonsem w oczy. Jak upiornie musiałam wtedy wyglądać - z włosami, policzkami i biustem umazanymi krwią. Potem spojrzałam znów na niedoszłego królobójcę, który wpatrywał się ślepo w sufit.

- Przepraszam - wyszeptałam, choć wiedziałam, że nie może mnie usłyszeć. Ale Ferrante miał rację: naprawdę łatwiej mówić, kiedy oczy są otwarte. - Musiałam bronić króla.

Wyciągnęłam rękę i łagodnie położyłam dłoń na policzku przeciętym moim sztyletem. Skóra wciąż była miękka - i bardzo ciepła.

Alfonso i król uzbrowili się w miecze z komnaty Ferrandina, a potem odprowadzili mnie z powrotem na moje pokoje, chociaż udowodniłam już, że umiem się obronić.

Kiedy donna Esmeralda zobaczyła mnie umazaną od stóp do głów krzepnącą krwią, krzyknęła przeraźliwie i niechybnie by upadła, gdyby Alfonso jej nie podtrzymał. Gdy dowiedziała się, że nic mi się nie stało, prędko doszła do siebie. Jofre też tam był, gdyż zaczął mnie już szukać i wołał mnie z takim strachem i niepokojem w głosie, że aż zrobiło mi się miło. Nawet kiedy przekonał się, że nic mi nie jest, uścisnął mi dłoń - niezrażony tym, że jest lepka od krwi - i nie chciał się ze mną rozstawać, dopóki król nie wydał mu rozkazu.

Mężczyźni wyszli - obiecawszy wrócić ze stosownymi instrukcjami - a donna Esmeralda przyniosła miskę z wodą i zaczęła mnie myć.

Zanurzyła ściereczkę w wodzie, która zaróżowiła się od krwi mojej ofiary, i wyszeptała:

- Jesteś taka odważna, madonna! Jego Królewska Mość powinien dać ci order. Jak to jest: zabić człowieka?

- To... - Urwałam, szukając odpowiedniego słowa do opisanego swoich odczuć. - Konieczne. Zrobiłam to, co musiałam.

Tak naprawdę było to zdumiewająco łatwe. Na myśl o tym przeszedł mnie dreszcz - nie dlatego, że pozbawiłam kogoś życia, lecz dlatego, że nie sprawiło mi to trudności.

- Proszę. - Donna Esmeralda owinęła mi nagie ramiona ręcznikiem; wilgotną od krwi suknię zrzuciłam na podłogę, żeby potem ze zdziwieniem mógł ją znaleźć andegaweński zdrajca albo Francuz. - Wiem, że jesteś dzielna, ale to mimo wszystko wielki wstrząs.

Nie miałam jednak ochoty uzalać się nad sobą. Szybko ubrałam się w świeżą suknię, opłukałam sztylet w wodzie, starannie go wytarłam i schowałam w nowym gorsecie. Dopiero wtedy pomogłam Esmeraldzie spakować najważniejsze rzeczy.

Najcenniejsze klejnoty ukryłam na własnym ciele pod suknią. Wiele pięknych przedmiotów - wspaniałe futrzane kapy, dywany, jedwabne i wyszywane złotem gobeliny, a także ciężkie kandelabry ze srebra i złota, obrazy starych mistrzów - musieliśmy zostawić wrogom.

Potem mogliśmy już tylko czekać i wsłuchiwać się w huk armat.

Na krótko przed południem pojawił się Jofre ze służącymi, którzy mieli nieść nasz kufer, oraz parą uzbrojonych gwardzistów. Z przyzwyczajenia, zanim wyszłam, pogładziłam ręką włosy - odkryłam, że są sztywne od resztek zakrzepłej krwi.

Po raz kolejny szłam szybko korytarzami Castel Nuovo: teraz jednak nie pozwalałam sobie na luksus przyglądania się ścianom i meblom i oddawania żalowi za tym, co porzucam. Starłam się unikać jakichkolwiek uczuć. Przegrywaliśmy, ale wierzyłam, że Ferrandino ma rację, iż to tylko tymczasowe. Starłam się zachować godność i pewność siebie. Jofre, co mu się chwali, kroczył u mego boku poważny i skupiony, nie okazując strachu.

Wreszcie dotarliśmy do dwuskrzydłowych drzwi prowadzących na dziedziniec i przystanęliśmy; gwardziści pobiegli je otworzyć.

Stojąca obok mnie Esmeralda wybuchła głośnym płaczem.

Natychmiast przywołałam ją do porządku:

- Zachowaj łzy na chwilę, gdy będziemy same - rozkazałam. - Okaż dumę. Nie damy się wypędzić, wrócimy tu, a Neapol powita nas z radością.

Usłuchała mnie, ocierając oczy rękawem sukni.

Drzwi otworzyły się, ukazując scenę zupełnego chaosu. Na dziedzińcu roily się tłumy ludzi: dalekich krewnych i znajomych szlachciców, którzy zdołali znaleźć schronienie w murach zamku, gdy wybuchły walki, a także, rozgorączkowanych służących i pacholków, którzy porzucili pracę, gdy zdali sobie sprawę, że zostaną wydani na łaskę buntowników. Wszystkich spędzono w jedno miejsce i teraz oddział wojska pilnował, żeby nikt nie zbliżał się do przygotowanych dla nas powozów.

Byli tam też żołnierze - martwi leżeli po kątach, inni ranni jęczeli z bólu. Ci, którzy byli cali i zdrowi, otoczyli cztery kryte wozy, jakich używa się zwykle do krótkich wycieczek w okolice miasta; między nimi ustawili się dwójkami jeźdźcy, po zewnętrznej stronie piechurzy. Nasi ludzie w bitewnym rynsztunku mieli na sobie hiszpańskie hełmy z niebieskimi i złotymi piórami oraz ozdobnie ryte pancerze.

Każdy skrawek zieleni został zdeptany, włącznie z pierwszym wiosennym kwieciami. Nawet aromatyczne niedawno powietrze teraz było wypełnione dymem płonących domów i ostrym, siarkowym odorem armatniego prochu. Chaotyczny chór okrzyków rozpacz i przerażenia zagłuszał wszystko oprócz huku dział.

Gwardziści skłonili się, a ja majestatycznie wkroczyłam w całe to zamieszanie.

- Zróbcie przejście! - wołali. - Zróbcie przejście dla księcia i księżnej Squillace!

Przez tłum przebiegł cichy pomruk. Stojący w pobliżu żołnierze odwrócili się i ze szczerym podziwem, którego nie rozumiałam, ukłonili mi się czołobitnie.

- Przejście dla księżniczki Sanchy!

Przestrzeń była tak niewielka, że ludzie stali ramieniem przy ramieniu, a mimo to nikt mnie nie szturchnął ani nawet nie dotknął. Z tłumy wyłonił się kapitan.

- Mości książę, księżno - powiedział. - Jego Królewska Mość prosi, abyście mu towarzyszyli.

Kapitan sam nas poprowadził. Mineliśmy dwa wozy. Do pierwszego stryj Federico wpychał swego brata z takim samym zapamiętaniem, z jakim rano groził szablą królowi. Teraz mauretańska broń spoczywała w pochwie u jego boku; każdy mężczyzna, czy pochodził z rodziny królewskiej, czy nie, miał broń.

Piechurzy otaczający powóz króla rozstąpili się, robiąc nam przejście, jeźdźcy ściągnęli koniom cugle tak, że cofnęły się przed nami. Jeden z gwardzistów podał mi ramię, abym mogła łatwiej wejść do powozu i powiedział:

- To dla mnie zaszczyt, Wasza Wysokość. Jest pani największą bohaterką Neapolu.

W wozie siedzieli już Alfonso, Giovanna i Ferrandino. Mimo że sytuacja musiała być dla niego przerażająca, młody król zdobył się na lekki uśmiech; usłyszał uwagę gwardzisty.

- Usiądź koło mnie, Sancho. Będę się czuł bezpieczniej. Wiesz już pewnie, że dzięki swojej odwadze zdołałaś zyskać nie lada sławę.

Zmieszałam się, słysząc te słowa. Do tej pory nie uważałam swojego czynu za akt odwagi, lecz raczej za niepokojący objaw niechcianego dziedzictwa. Spuściłam oczy i gdy Jofre i Esmeralda weszli za mną do powozu, wyjąkałam:

- To zwykły przypadek, byłam jedyną osobą, która miała broń, Wasza Królewska Mość. Gdyby brat mój był uzbrojony, pierwszy by cię obronił; gdybyś zaś sam miał miecz, nie obawialibyśmy się o ciebie, wiedząc, że jesteś mistrzem fechtunku.

Usiadłam obok króla, po drugiej jego stronie siedziała już Giovanna. Naprzeciw niej zajął miejsce Alfonso, potem Jofre, a na końcu, naprzeciwko mnie, Esmeralda.

- Czy to przypadek, czy nie, na pewno nie siedziałbym tutaj teraz, gdyby nie ty - odparł Ferrandino - i jestem ci za to niezmiernie wdzięczny. Jesteś moim talizmanem, Sancho.

Król umilkł, gdy powóz ruszył gwałtownie, a z zewnątrz dało się słyszeć wołanie wartowników z wieży, którzy dawali sprawozdanie z sytuacji za murami zamku żołnierzom na dole. Najwyraźniej siły nieprzyjaciela przewidywały naszą ucieczkę z Castel Nuovo, bo duży oddział piechurów ruszył wspomóc tych, którzy już nas ochraniali na czele orszaku.

Kilku strażników pośpieszyło do bramy i otworzyło jąna oścież, ukazując splątany tłum walczących.

Na zewnątrz murów nasi ludzie bili się ze zdrajcami z własnych szeregów, a także z pospólstwem i szlachtą. Gdy otwarto bramę, nasza obstawa ruszyła do boju, wznosząc straszliwe okrzyki, i wkrótce zwarła się z wrogiem w bitwie na miecze, które śmigały tak szybko, że ledwo nadażałam za nimi wzrokiem.

Przejechaliśmy przez bramę, lecz po chwili koła wozu zatrzymały się z chrzęstem pod łukiem triumfalnym Alfonsa I. Byliśmy praktycznie uwięzieni na nieogrodzonym dziedzińcu, a żołnierze próbowali nam wyrąbać drogę poprzez linię wroga.

Wyjrzałam z wozu.

- Nie patrz! - ostrzegł mnie Jofre, a Ferrandino zawtórował:

- Nie patrz! Przykro mi, że wy, kobiety, musiałyście doświadczyć okrucieństwa wojny.

Lecz ja byłam zafascynowana tym widokiem, podobnie jak wcześniej w gabinecie zmumifikowanych ciał Ferrantego. Obserwowałam, jak Andegawen bez zbroi, z piękną brokatową tuniką mokrą od potu i krwi, twarzą umazaną

sadzą tłucze niemiłosiernie mieczem piechura, stojącego w zewnętrznym rzędzie po mojej prawej stronie. Szlachcic był w średnim wieku i posługiwał się mieczem z mistrzowską biegłością; nasz żołnierz był młody i przerażony i niedługo po wszczęciu walki potknął się, o mało nie upadając. To wystarczyło, by starszy rozstrzygnął potyczkę na swoją korzyść: jeden, drugi cios i młody piechur obrócił się z wrzaskiem i wlepił wzrok w swoje prawe ramię - nie miało ono już miecza ani dłoni, ani łokcia. Było tylko krwawiącym kikutem. Młody żołnierz padł, tracąc przytomność.

Szlachcic pokonał drugiego piechura, potem trzeciego, i wtedy mogłam już usłyszeć triumfalny okrzyk: „Śmierć dynastii aragońskiej! Na pohybel

Ferrandinowi!”

Nie skończył jeszcze krzyczeć, gdy jeden z naszych konnych - jadący tuż przy moim oknie - pochylił się i machnął szablą, odcinając mu głowę.

Głowa spadła z karku, odbiła się od końskiego zadu i potoczyła pod kopyta, a potem dalej, pod nasz powóz; z szyi trysnęła fontanna krwi a potem ubrany w brokaty korpus runął na ziemię. Nasz woźnica usiłował ruszyć, lecz koła zatrzymały się, jakby natrafiły na wielki głaz; woźnica ciął konie batem tak długo, aż zaczęły przeć z całych sił. Wreszcie z gwałtownym szarpnięciem wóz wyrwał do przodu, miażdżąc przeszkodę. Na szczęście hałas bitwy sprawił, że nie usłyszeliśmy chrzęstu łamanej czaszki.

Donna Esmeralda drżącym głosem jęła się modlić do San Gennara, błagając o nasze bezpieczeństwo; bladolica Giovanna złapała Ferrandina za rękę i ścisnęła ją mocno.

Za oknem w słońcu połyskiwały miecze. Zobaczyłam knechta, który zaatakował naszych żołnierzy, i stratowały go kopyta ich rumaków; inny piechur został ranny w udo. Walczył póki mógł, a potem padł z upływu krwi. Choć nie widziałam, jak umiera, bo inni żołnierze zasłonił, mi widok, zobaczyłam pochylonego buntownika, który z zapamiętaniem dzgał go mieczem.

Po jakimś czasie wóz przyspieszył i wyjechał na ulice miasta. Odwróciłam się, aby po raz ostatni spojrzeć na Castel Nuovo. Brama wciąż była otwarta na oścież, mimo że przejechały nią już wszystkie królewskie wozy. Andegawenowie i pospólstwo obiegli łuk triumfalny. Na próżno szukałam wzrokiem hełmów z niebiesko-złotymi pióropuszami.

Arsenał płonął żywym ogniem, kamienne mury były poszarpane i podziurawione. Jeszcze dalej widziałam szarawe kłęby dymu, unoszące się z trawionych pożarami domów rozsianych u podnóża Wezuwiusza. Można by pomyśleć, że wulkan zalewa miasto rozgrzaną lawą, lecz tym razem był on tylko niemym świadkiem zniszczenia, które niósł człowiek.

Zanim zdążyłam zobaczyć więcej, Alfonso, który siedział obok Esmeraldy, powiedział stanowczo:

- Daj spokój, Sancho. To nie ma sensu...

Oczywiście, miał rację. Odwróciłam głowę i spojrzałam przed siebie. Stłumiłam myśli o biednych ludziach, pozostałych na dziedzińcu, o domu mego dzieciństwa, który padnie łupem wroga.

Jechaliśmy z łoskotem brukowanym traktem, biegnącym wzdłuż wybrzeża. Po lewej stronie miałam spokojne wody zatoki, po prawej ogrody królewskiego pałacu, które teraz stały się polem bitwy, a za nimi zbocza Pizzofalcone, gdzie płonęły aragońskie pałace. Za moimi plecami rozciągało się miasto.

Poruszaliśmy się równym tempem, lecz dość wolno z powodu wojskowej obstawy, ale cel naszej podróży, starodawna twierdza Castel dell'Ovo, która strzegła portu Santa Lucia, rosła przed nami w oczach. Teraz, gdy przedarliśmy się przez bitewny gąszcz, po raz pierwszy pomyślałam nie o tym, co ja i moja rodzina porzucamy, lecz o tym, dokąd się udajemy. Ferrandino zażądał okrętu: czyżby wiedział już, dokąd popłyniemy?

Gdybym była na miejscu władcy rozdartego wojną narodu i utraciłabym skarb korony, mogłabym się schronić tylko w jednym miejscu. Myśl o tym wprawiła mnie w drżenie - lecz natychmiast moją uwagę zwrócił oburzający widok: dwaj knechci uciekali z królewskiego pałacu, taszcząc zwinięty turecki dywan, który zdobił podłogę w gabinecie mego ojca. Co gorsza, towarzyszył im trzeci człowiek, niosący złote popiersie Alfonsa z sypialni dziadka.

Moje oburzenie nie trwało długo. Uszy wypełnił mi straszliwy huk. W tym samym momencie wóz skręcił gwałtownie w lewo, rzucając mną o Ferrandina, a nim o Giovannę. Z gardła wyrwał mi się mimowolny krzyk. Na wpół ogłuszona ledwo słyszałam własny głos i krzyk pozostałych pasażerów. Z okna bryznęła na mnie krew. Przez krótką, zapierającą dech chwilę wóz balansował na dwóch kołach, oparty o krzyczących ludzi i konie. Wszyscy próbowaliśmy się czegoś złapać, w końcu podbiegli żołnierze, którzy pchnęli nas, i kareta opadła z powrotem na cztery koła.

Kiedy doszliśmy do siebie, wyjrzałam przez okno. Przyczyną całego zamieszania była kula armatnia. Leżała teraz niegroźnie na bruku, lecz wcześniej zdążyła zebrać krwawe żniwo. Obok leżał jeden z naszych jeźdźców, jego udo i brzuch nieszczęsnego wierzchowca były rozplątane na pół. Krew,

pogruchotane kości i mięso człowieka i konia zmieszały się tak, że niepodobna było je rozróżnić.

Spotkała ich tylko jedna łaska: obaj wyglądali tak, jakby natychmiast zginęli, bo oczy i twarz młodego żołnierza wyrażały skupienie, a nie zdumienie; zmarły wciąż trzymał lejce w zaciśniętej dłoni. Duża, piękna głowa konia była uniesiona, zwierzę wciąż zagryzało uzdę, jego otwarte oczy lśniły inteligencją, jedno z kopyt zastygło z wdziękiem w górze. Zarówno jeździec, jak i koń - jeśli nie liczyć paskudnych, ziejących czerwoną miazgą ran, zdawali się pięknym przykładem młodości i siły.

Tak bardzo chciałam być wytrzymała, opanowana i dzielna ze względu na innych. Teraz jednak spuściłam głowę, nie mogąc dłużej znieść widoku tyłu okropności. Tak przebyłam resztę drogi do Castel dell'Ovo. Obraz młodego jeźdźca i jego konia towarzyszył mi aż do końca. Tak naprawdę wciąż mi towarzyszy.

Wychowałam się i wyrosłam w Neapolu, lecz nigdy nie miałam powodu odwiedzać warowni, która wzięła nazwę od mitycznego jaja Wergiliusza. Nie było to odpowiednie miejsce zabaw dla młodej księżniczki: w kamiennej trapezoidalnej budowli znaleźć można było tylko broń. Wzniesiono ją jako wieżę obserwacyjną, a zarazem pierwszy przyczółek do odpierania ataków ze strony morza i ostatnie schronienie w razie natarcia z głębi ładu. W twierdzy cuchnęło nieprzyjemną wilgocią; wytarte niezliczonymi podszwami, nierówne ceglane schodki były śliskie od pleśni.

Zamiast zostać w bezpieczniejszych pomieszczeniach na dole nalegałam, aby pozwolono mi się wdrapać na samą górę, skąd żołnierze obserwowali okolicę. W każdej wieżyczce stało po kilka armat gotowych do ostrzelania miasta leżącego poniżej. Wszyscy, którzy przybyli w wozach - włącznie z członkami rodziny przybyłymi przed nami albo dopiero po nas - byli głęboko wstrząśnięci nie tylko niegodziwością wymuszonej ucieczki, lecz i cierpieniem, jakie rozgrywało się przed naszymi oczami. Nie mogłam znieść siedzenia i biadania razem z Esmeraldą w oczekiwaniu na ratunek, zajęłam się więc wypatrywaniem statku, którym mieliśmy odpłynąć.

Ale statku nie było widać. Całymi godzinami na morzu nie pojawiał się żaden żagiel, a ja przechadzałam się nerwowo po starych ceglach tarasu. Od czasu do czasu z dołu wyłaniał się Alfonso i pytał, czy zauważyłam okręt.

„Nie”, odpowiadałam, a on wracał na dół, gdzie król i jego generał dyskutowali nad dalszą strategią. Patrzyłam na zachód, nie chcąc obserwować zniszczenia, jakie dokonywało się w moim ukochanym mieście. Słońce chyliło się coraz bardziej ku horyzontowi.

Kiedy następnym razem brat zapytał o statek, zażądałam wyjaśnień:

- Dokąd właściwie mamy popłynąć?

Pochylił się i powiedział mi na ucho, jakby powierzając tajemnicę, której żołnierze nie powinni poznać, mimo że odpowiedź zdawała się tak oczywista, że równie dobrze mógł ją wykrzyknąć:

- Na Sycylię. Podobno królowi dano schronienie w Mesynie. Kiwnęłam głową.

Wkrótce zaszło słońce i zesłam na dół do rodziny. Zaczęliśmy już wątpić, czy generał dotrzymał słowa i czy statek rzeczywiście jest w drodze: lecz gdy tylko zapadł zmierzch, rozległo się wołanie jednego z wartowników.

Pospieszyliśmy na pokład, nie przestrzegając dworskiego protokołu, bez uroczystego orszaku i fanfar. Statek był mały i zwrotny, stworzony do rozwijania dużych prędkości, a nie dla komfortu podróżnych; ze względu na bezpieczeństwo wywiesiliśmy żółto-czerwoną banderę hiszpańską zamiast neapolitańskiej.

Gdy postawiliśmy żagle i wypłynęli z portu Santa Lucia, mimo nalegań Esmeraldy, abym zesła do kajuty, stałam na pokładzie. Choć był wieczór, miasto jaśniało łunami pożarów, a strzelające armaty rozświetlały niebo niczym błyskawice, dzięki czemu udało mi się rozróżnić charakterystyczne punkty krajobrazu: arsenał i Santa Chiara, gdzie koronowano mojego ojca, stały w płomieniach; Poggio Reale, wspaniały pałac wzniesiony przez ojca, kiedy był jeszcze księciem, spalił się prawie doszczętnie. Z ulgą zobaczyłam, że Duomo nadal stoi.

Najjaśniej ze wszystkich budowli płonął Castel Nuovo. Zastanawiałam się, jak ludzie zareagowali, odkrywszy upiorne muzeum Ferrantego.

Długo jeszcze stałam na pokładzie, słuchając szumu fal i patrząc, jak Neapol oddala się coraz bardziej niczym czerwony błyszczący klejnot.

Wiosna-lato 1495

Płynęliśmy na południe ciepłymi wodami Morza Tyrreńskiego i w ciągu kilku dni dobiliśmy do Mesyny, nazywanej kiedyś przez Greków *Zankle*, czyli „sierp”, z powodu portu o kształcie sierpa. Widząc ląd, poczułam ulgę; nie najlepiej znosiłam podróż statkiem, a ten rejs był najdłuższy w moim życiu. Pierwsze dwa dni stały się dla mnie koszmarem.

Przez ostatnich dwadzieścia siedem lat Sycylią rządził król Ferdynand Aragoński, który dążąc do zjednoczenia Hiszpanii, złączył swe królestwo z królestwem żony, Izabelli Kastyljskiej. Nie tylko więzy krwi skłaniały Ferdynanda do okazania przychylności Borgiom. Jak wyjaśnił Jofre, kiedy jego ojciec Rodrigo był jeszcze kardynałem Walencji, Ferdynand poprosił papieża Sykstusa IV o oficjalną sankcję dla inkwizycji, z pomocą której miał nadzieję pozbyć się z królestwa wszystkich Maurów i Żydów.

Sykstus z miejsca odmówił. Dopiero po długich, intensywnych namowach ze strony potężnego kardynała Rodriga Borgii papież ustąpił - zezwalając na inkwizycję w samej tylko Kastylii.

- Król Ferdynand był tak wdzięczny mojemu ojcu - powiedział mi Jofre z naiwnością, która mogłaby być wzruszająca, gdyby nie przeszedł mnie zimny dreszcz - że zapewnił mu swoje całkowite poparcie, kiedy wybierano go na papieża.

Od tamtej pory Rodrigo Borgia zawsze mówił o hiszpańskim królu „Ferdynand Katolicki”.

Kiedy już postawiliśmy stopę na suchym lądzie, a wieści o naszej ucieczce z Neapolu obiegły miasto, zostaliśmy powitani przez hiszpańskiego ambasadora don Jorgego Zunigę. Znaleźliśmy mieszkanie w willi, która była dla nas za mała. Królewscy bracia zajęli jedną sypialnię, Alfonso i Jofre

następną, zaś Giovanna, Esmeralda i ja trzecią, tak aby Ferrandino, jak na monarchę przystało, mógł mieć komnatę tylko dla siebie.

Don Jorge zjawił się wieczorem pierwszego dnia naszego pobytu. Robił wspaniałe wrażenie, wystrojony w jaskrawą karminową tunikę, ze szczerym, przyjaznym uśmiechem pod czarnym sumiastym wąsem. Sądzę, że oczekiwał ciepłego powitania ze strony naszej rodziny oraz rozpaczliwych próśb o pomoc; z całą pewnością nie spodziewał się tego, jak go przyjęto.

- Wasze Książęce Mości - powiedział, kłaniając się nam nisko i zamaszystym ruchem zdejmując aksamitną czapę. - Z wielkim zaiste żalem dowiedziałem się o okolicznościach związanych z waszą podróżą na naszą piękną wyspę. - Tu uczynił pauzę. - Nasi szpiedzy powiadomili nas o powstaniu wszczętym przez baronów; przypuszczamy, że ośmieliły ich wydarzenia, do których doszło w Kapui. - Miasto Kapua leżało w głębi lądu, nieco na północ od Neapolu. - Tamtejsi obywatele tak bardzo przerazili się armii Karola, że otworzyli bramy i dobrowolnie wpuścili Francuzów. - Znów umilkł. - Nasz Najjaśniejszy Pan król Ferdynand wita was i gotów jest zaoferować wszelką pomoc, jakiej potrzebujecie.

Ferrandino siedział na honorowym miejscu, pośrodku, reszta z nas stała, okazując szacunek należny koronowanej głowie. Don Jorge wszak nie zauważył tego, czym naraził się na gniewne ofuknięcie ze strony stryja Federica:

- Nie możesz waść zwracać się do Ferrandina „Wasza Książęca Mość”. Jest teraz królem Ferrantem II Neapolitańskim.

Don Jorge zamrugał, zmieszany:

- Ale król Alfonso... - Potem jak na dyplomatę przystało, wyczuł nasze niezadowolenie i uklonił się po raz drugi. - Wasza Królewska Mość. Kornie błagam o wybaczenie.

- Wybaczam - odparł Ferrandino. Jak każdy z nas, był wycieńczony, lecz zachowywał się z podziwu godnym majestatem. Nawet jednak niezachwiana władczość nie była w stanie zatrzeć zmarszczek na jego czole ani rozpaczy w oczach. Mimo namów Giovanny niewiele jadł i wydatne kości policzkowe stały się jeszcze wyraźniejsze niż dotąd. - Nie wiem, pod jakim pretekstem przybył tu do Mesyny mój ojciec. Mogę jedynie przypuszczać, że nie chciał zdradzać okoliczności swego wyjazdu. Jestem też przekonany, że mogę waści, jako człowiekowi dyskretnemu, powierzyć prawdę.

- Oczywiście - rzekł gładko ambasador.

- Mój ojciec opuścił nas w godzinie największej potrzeby - podjął Ferrandino - i ukradł wielką sumę państwowych pieniędzy. Przybyliśmy tu, aby je odzyskać.

Stryj Federico, w którym od początku wzbierało oburzenie, nie mógł się dłużej powstrzymać:

- Gościecie złoczyńce! Nie dość, że wasz król nie przysłał nam na czas wsparcia... Mój przyrodni brat odwrócił się i uciał ostro:

- Dość, stryju. Nie będziesz więcej wtrącał się do naszej rozmowy. Federico odął wargi.

- Jak najkorniej przepraszamy - powiedział don Jorge. - Kiedy Jego Królewska Mość... kiedy Jego Książęca Mość Alfonso przybył na wyspę, uznaliśmy za oczywiste, że ze względu na zdrowie pragnie skorzystać z dobrodziejstw tutejszego klimatu. Myśleliśmy, jak najnieśluszniej, że rodzina wie o jego pobycie. - Zawiesił głos, przekrzywił głowę, aby przyjrzeć się każdemu z nas z osobna, po czym podjął: - Wszyscy jesteście z królewskiego rodu; nie wątpię, że można wam powierzyć najbardziej poufne informacje.

- W rzeczy samej - potwierdził Ferrandino.

- Przynoszę dobre wieści dla dynastii aragońskiej. Wasze prośby o pomoc zostały wysłuchane. Papież, cesarz, król Ferdynand, Mediolan, Wenecja i Florencja stworzyli ligę. Wybaczcie, że nie udało nam się zawiadomić was o tym wcześniej, niebezpieczeństwo przechwycenia posłania przez Francuzów było zbyt duże. Ale armia liczebniejsza od wojsk Karola wkrótce pomaszeruje na południe od Rzymu.

Mina Ferrandina natychmiast się rozpogodziła, jakby patrzył na coś niewyraźalnie drogiego, na przykład nowo narodzonego syna albo uwielbianą kochankę; przez moment miałam wrażenie, że się rozplacze. Mimo wzruszenia zebrał się w sobie na tyle, że odrzekł niskim głosem:

- Niech Bóg błogosławi papieża i cesarza. Niech Bóg błogosławi króla Ferdynanda.

Don Jorge zapewnił nam wozy, które nazajutrz miały nas zawieźć do ojca. Federico zasugerował jednak, aby Ferrandino został na miejscu, bo - jak powiedział - „królowi nie wypada błagać o coś, co mu się prawnie należy”. Plan był taki, by łagodną perswazją - a jeśli trzeba, groźbą - skłonić ojca do stanięcia przed obliczem nowego władcy, przyrzeczenia wierności, ukorzenia się i co najważniejsze, przekazania mu skarbów korony, których nadal potrzebowaliśmy, o ile nasze wojska miały walczyć u boku ligi. Z całą pewnością zaś były niezbędne do rządzenia królestwem - na co mieliśmy teraz większą nadzieję.

Ferrandino - przeobraziwszy się w młodo wyglądającego człowieka dzięki prawdopodobnie pierwszej od roku porządnie przespanej nocy - zgodził się

na plan Federica. Obaj stryjowie chcieli podjąć się misji tylko we dwóch, lecz mój brat przekonał ich, że lepiej będzie postąpić inaczej.

- Sancha i ja musimy wam towarzyszyć - nalegał Alfonso. - Mamy prawo zobaczyć się z ojcem i matką i osobiście zapytać o przyczyny ich postępowania.

Tak oto wszyscy nawiedziliśmy pałac, gdzie rezydował teraz dawny Alfonso II - wspinała budowlę stojącą na łagodnym zboczu nad portem. Osobliwe, że żaden wartownik nie pilnował niezaryglowanej bramy; nasz woźnica zeskoczył z kozła i otworzył ją oścież, wjechał na dziedziniec, a potem znów zatrzasnął wrota.

Przy drzwiach nie powitał nas żaden sługa. Don Federico wołał tak długo, aż z oddali odezwały się dwa kobiece głosy jednocześnie:

- Kto tam?

Jeden z nich należał do Eleny, dworki mojej matki, drugi zaś do samej Trusji.

Stryj Federico przekroczył próg i zawołał gromko:

- Nikt inny jak księżęta aragońscy! Przybyliśmy wyrównać rachunki!

W korytarzu pojawiła się Trusja. Czas dobrze jej służył; młodsza od mojego ojca wreszcie osiągnęła wiek najpełniejszego rozkwitu kobiecości. Na chwilę zaparło mi dech w piersiach, po długiej rozłące byłam zdumiona urodą matki.

Gdy zobaczyła nas stojących w drzwiach, natychmiast się rozpromieniła i podbiegła, żeby się przywitać.

Jej twarz wyrażała żywą radość; spochmurniała dopiero, gdy dostrzegła nasze ponure miny i wrogość Federica.

- Wasze Książęce Mości - zwróciła się do królewskich braci, dygając. Potem wyciągnęła szyję i spojrzała za nich, na Alfonsa i na mnie. - I moje dzieci! Jak za wami tęskniłam! Sancha... minęło tyle czasu!

Rozchyliła ramiona. Pomimo urazy i niechęci podeszłam do niej i dałam się przytulić i wycalować, ale nie odwzajemniłam uścisku.

- Jak to możliwe? - spytałam z goryczą. - Jak mogłaś uczestniczyć w takiej niegodziwości?

Cofnęła się, zmieszana.

- Twój ojciec jest chory. Jak mogłabym go porzucić? Poza tym jego gwardzista zmusił mnie do pójścia razem z nim.

Zanim zdążyłam przyprzeć ją do muru, podszedł Alfonso. Na jej uściski zareagował z większą ufnością - ale także z pewnym dystansem. Najwyraźniej uważał, że jest niezdolna do złych uczynków, i czekał na wytłumaczenie.

Stryj Federico był zdegustowany.

- Nie przyszedliśmy tutaj dla rodzinnych czułości. Popelniono zbrodnię przeciwko królestwu, zbrodnię, madonna, której jesteś współwinna.

Matka zbladła i przycisnęła dłoń do piersi.

- To prawda, Alfonso porzucił tron, ale nie wiedział, co czyni. Przysięgam na Boga, nie zdawałam sobie sprawy z tego, że zamierza uciec, póki w nocy mieczem nie zmuszono mnie, abym mu towarzyszyła. - Urwała, a potem wyprostowała się i zadarła podbródek. - Jego jedyną zbrodnią jest szaleństwo. Potrzebuje mojej opieki, don Federico. Patrzac wstecz, myślę, że poszłabym z nim nawet po dobroci. Jeśli może być mowa o jakiejś przewinie, to tylko tej, że nie napisałam do was, aby wytłumaczyć okoliczności ucieczki. Ale do dzisiejszego ranka, kiedy to uciekli gwardziści, nie miałam takiej możliwości.

Federico przyglądał się jej przez dłuższą chwilę. Zawsze lubił Trusję, która zresztą nigdy nie uczyniła nic, co zraziłoby do niej kogokolwiek na dworze. Kiedy się wreszcie odezwał, mówił tonem poważnym i spokojnym:

- Donna Trusja, proszę nas wpuścić do środka, żebyśmy mogli porozmawiać na osobności.

- Oczywiście.

Zaprowadziła nas do jednej z komnat. Usiedliśmy i Federico opowiedział jej całą smutną historię - o zniknięciu skarbu korony, o tym, jak Ferrandino powrócił do Neapolu, gdzie okazało się, że nie ma ani króla, ani żołdu dla żołnierzy, wreszcie o naszej pełnej niebezpieczeństw ucieczce przed buntownikami.

Trusja była wstrząśnięta wieściami. Gdy już doszła do siebie, powiedziała:

- Wszyscy wiecie, że zawsze byłam uczciwa. Nigdy nie poparłabym ohydnej kradzieży. Może jestem głupia i osamotniona w tej niewiedzy, ale dziś rano zdumiałam się, odkrywając, iż zniknęła cała służba z wyjątkiem Eleny. Wczorajem usłyszeliśmy pogłoskę, że przyplłynęliście do Mesyny.

- Służący wiedzieli - zauważył mój brat - i obawiali się kary.

- W rzeczy samej - wtrącił oburzony Federico - jeśli ich znajdę, każę ich powywieszać za zdradę. - Uspokoił się już nieco. - Na razie musimy odzyskać skarb korony, o ile ktoś z nim nie uciekł. To nasza jedyna nadzieja. Bez tych funduszy Ferrandino nie ma żadnej szansy na odzyskanie i utrzymanie tronu.

Odpowiedź matki była prosta:

- Powiedzcie, co mam robić.

Zostaliśmy zaprowadzeni do pokoju, gdzie mój ojciec spędzał teraz całe dnie - samotnie, powiedziała Trusja, z wyjątkiem nielicznych okazji, gdy żądał

czegoś od sługi lub miał coś szczególnego do przekazania swej ukochanej. Przy drzwiach matka z błagalną miną zwróciła się do Federica i Francesca.

- Pamiętajcie, jaki był w dniach poprzedzających ucieczkę...

- Tak - odparł Francesco. Zachowywał się łagodniej, bardziej wyrozumiale niż Federico. - Leżał w łóżku, otumaniony i zdezorientowany. Ale czasami, gdy pytaliśmy go o radę, myślał całkiem jasno.

- Te czasy minęły - odrzekła smutno Trusja. - Teraz nie pamięta, że tu przyплыliśmy, i nie pojmuje swej sytuacji. Będziecie potrzebowali ogromnej cierpliwości, żeby oddał skarb.

Otworzyła drzwi.

Za nimi znajdowała się przestronna, skąpo umeblowana komnata. Najbardziej przykuwającym uwagę elementem było szerokie łukowe okno sięgające od podłogi aż po sufit, dające wspaniałą widok na mesyński port.

Pod przeciwną ścianą stało niezwykle duże, bogato rzeźbione krzesło, nad nim wisiał masywny żyrandol z kutego żelaza na czterdzieści świec. Wyglądało to jak tron pod baldachimem. Na krześle siedział mój ojciec.

Jego oblicze mnie zaskoczyło. Włosy z prawie kruczoczarnych stały się szpakowate, cera przybrała popielatą bladość. Był bardzo chudy, a królewski strój - niebieska jedwabna tunika wyszywana złotą nicią, przepasana szarfą z medalami z Otranto - wisiał na nim jak na strachu na wróble.

Pustym wzrokiem wpatrywał się w okno. Kiedy weszliśmy, obrzucił nas tylko przelotnym spojrzeniem, jak gdyby codziennie nas widywał i nie uciekł z Neapolu pod osłoną nocy.

- Tak? - zapytał, a ponieważ po dłuższej chwili wszyscy, nawet wygadany Federico, nadal milczeli, tupnął nogą z irytacją. - Nie stójcie tak i nie gapcie się na mnie! Macie się uklonić i zwracać do mnie jak należy!

Federico błysnął gniewnie oczami. Lekceważąc ostrzegawcze spojrzenie Trusji, wystąpił do przodu.

- Nie uklonię się, ale zwrócę się do ciebie jak należy, Wasza Wysokość. Bo tylko tym teraz jesteś: księciem, który zrzekł się królewskiej korony.

Twarz ojca poczerwieniała ze złości; oskarżycielskim gestem wskazał brata palcem i zażądał:

- Pojmijcie tego człowieka i ukarźcie za jego bezczelność!

Po kolejnej chwili ciszy Federico zwrócił się do mego ojca z drapieżnym uśmiechem:

- Twoje rozkazy na nic się nie zdadzą, Alfonso. Nie pamiętasz? Porzuciłeś tron. Zostawiłeś nas samym sobie, kiedy nadchodzili Francuzi, a Trusja przyплыła tu z tobą. Zrzekłeś się praw do korony, bo uciekłeś jak ostatni tchórz i ukradłeś pieniądze, których Ferrandino potrzebował dla wojska.

Mój ojciec podniósł się z ogniem w oczach.

- Jestem królem obojga Sycylii i okażesz mi odpowiedni szacunek!

- Przestań strugać wariata! Neapol i Sycylia od pokoleń są oddzielnymi królestwami - przypomniał mu Federico. - Twój syn jest teraz królem i lepiej błagaj go na kolanach o życie, bo dopuściłeś się zdrady!

Twarz ojca wykrzywiła się gniewnie.

- Łżesz! - krzyknął. - Straże... - Z oburzeniem zwrócił się do Trusji: -Gdzie są straże? Każ im pojmać tego łajdaka!

- Wszyscy gwardziści odeszli - odpowiedziała łagodnie Trusja.

- Posłuchaj mnie uważnie - powiedział Federico. - Tylko tak możesz ocalić głowę. Powiedz, gdzie jest skarb korony, a zostawimy cię w spokoju.

- Nie dość, że kłamca, to jeszcze złodziej - powiedział szyderczo ojciec.

-Ukradłbyś mi koronę. Mój miecz! Trusjo, przynieś mi mój miecz!

Był tak wzburzony, że odszedł od krzesła i zamachnął się pięścią na Federica, który w porę zrobił unik, ale i w nim krew zawrzała. Obaj bracia zwarli się w uścisku i jęli siłować nawzajem, gromiąc się wzrokiem i dysząc ciężko.

- Jesteś równie szalony, jak ojciec! - krzyczał Federico. - A nawet bardziej !

- Zabiję cię własnymi rękami! - wrzeszczał mój ojciec.

Mój brat Alfonso wkroczył do walki i z pomocą Francesca udało mu się ich rozdzielić.

- Zabierzcie go sprzed moich oczu! - zawołał ojciec i ponownie zajął miejsce na wymyślanym tronie. Madonna Trusja pośpieszyła do jego boku, szepnęła mu coś na ucho, po czym podeszła do Alfonsa i Francesca, którzy wciąż usiłowali uspokoić Federica.

- Jest teraz zbyt wzburzony - powiedziała. - Będziemy musieli spróbować innej taktyki. - Gestem ręki pokazała, żebyśmy wyszli, po czym wróciła do ojca i pogładziła go uspokajająco po ramieniu.

Federico, choć niechętnie, ostatecznie dał się wyprowadzić z komnaty. Zaczęliśmy się zastanawiać, co teraz zrobić.

- Logika jest w tym wypadku bezużyteczna - stwierdził Alfonso. - Nie można przemówić mu do rozumu. Aby coś od niego wydobyć, musimy udawać, że wierzymy w to, co sobie ubrał.

- Jest słaby - nie zgodził się Federico. - Wystarczy oskarżyć go o zdradę, pokazać stryczek i ustąpi.

Alfonso potrząsnął głową.

- Widziałeś go. Znowu skoczycie sobie do gardeł. Pora spróbować innego podejścia.

- To prawda, Federico - powiedział Francesco, nie zgadzając się ze starszym bratem, co zdarzało się nader rzadko. - On nie udaje, on rzeczywiście oszalał.

W tej właśnie chwili z komnaty wyłoniła się madonna Trusja i cicho zamknęła za sobą drzwi.

- Don Francesco ma rację. Uspokoiliam go trochę, ale myślę, że lepiej będzie, jeśli wy, Federico i Francesco, zostanieie na zewnątrz. - Popatrzyła na mojego brata i na mnie. Alfonso, Sancha... Jeśli pójdziecie do ojca i powiecie, że skarby są niezbędne do ocalenia królestwa, którym, jak się ludzi, wciąż rządzi, może wam go odda. Ma do was zaufanie.

Pokręciłam głową.

- Niech idzie Alfonso. Ojciec mu ufa, ale nie będzie słuchał niczego, co ja miałabym mu do powiedzenia. Nienawidzi mnie.

Matka wzdrygnęła się, jakby same te słowa były dla niej policzkiem, a potem popatrzyła na mnie z niedowierzaniem.

- Ojciec zawsze cię podziwiał. Często mówił mi, że gdybyś urodziła się mężczyzną, wyrosłabyś na kogoś, kim sam pragnie się stać.

Wezbrał we mnie gniew zmieszany z dotkliwym poczuciem straty. Dlaczego nigdy mi tego nie powiedział? Dlaczego zawsze traktował mnie z pogardą? Czemu ranienie mnie sprawiało mu taką przyjemność?

Sprzeczne uczucia musiały odbić się na mojej twarzy, bo matka podeszła i wzięła mnie łagodnie za rękę.

- Chodź - powiedziała tonem, który pocieszał, a zarazem dodawał odwagi. - Wprowadzę ciebie i Alfonsa do środka. Pozwól, żeby brat mówił, a wszystko pójdzie dobrze.

We trójkę wróciliśmy do komnaty.

- Wasza Królewska Mość - powiedziała matka, nie zważając na niesmak, jaki budziło we mnie użycie tego tytułu. - Patrz, twoje dzieci przyszły cię odwiedzić.

Poprzednio, gdy wszyscy weszliśmy do jego komnaty, niedawny król Alfonso II był władczy i opanowany. Teraz jednak siedział na swym widmowym tronie i zgarbiony wpatrywał się w mesyński port niepokojąco pustymi oczami.

- Wezuwiusz - powiedział w końcu, marszcząc brwi. - Z tego okna jest zły widok; nie widać Wezuwiusza. Będziemy musieli zatrudnić architekta, aby temu zaradzić.

- Oczywiście. Wasza Królewska Mość, don Alfonso i donna Sancha przyszli się z wami zobaczyć - powiedziała Trusja, a następnie cofnęła się o krok, gestem głowy przywołując mojego brata.

- Wasza Królewska Mość - ozwał się Alfonso wyraźnym i donośnym głosem. - Muszę porozmawiać z wami w nadzwyczaj pilnej sprawie.

Ojciec mruknął coś i przeniósł wzrok z okna na swoje najmłodsze dziecko.

- Alfonso. Zdaje się, że stałeś się mężczyzną.

- Tak jest, panie.

- Ożeniłeś się już?

- Nie. - Brat umilkł na chwilę. - Neapol jest w wielkich kłopotach, ojczy. Baronowie się buntują, a królestwo najechali Francuzi. Naszym wojskom rozpaczliwie brakuje funduszy; musimy sięgnąć do skarbu korony. To jedyny sposób, by zachować władzę.

Ojciec odwrócił głowę i omiół mnie wzrokiem.

- I Sancha. Poślubiłaś tego małego bękarta papieża. Powiedz, czy wyrosła mu już broda?

Poczułam wzbierający gniew, ale zapanowałam nad sobą; poza tym żal mi było patrzeć na człowieka zredukowanego do tak nikczemnej postaci. Przez swoje zimne, niepoahamowane okrucieństwo zniszczył królestwo, zerwał więzi rodzinne i popadł w obłąd. Tylko moja matka pozostała mu wierna.

- Jest już starszy - odparłam cicho.

Ojciec pokiwał głową, a potem znów spojrział przez okno na obce wybrzeże.

- Ile pieniędzy potrzeba? - spytał nagle.

- Bardzo dużo - odrzekł brat. - Ale wezmę tylko tyle, ile jest konieczne.

- Pozostaje kwestia klucza... - mruknął ojciec pod nosem. Gestem ręki dał Alfonsowi znak, aby się zbliżył. Potem zdał sobie sprawę, że ja i matka nadal stoimy w pobliżu. - Kobiety muszą wyjść - rozkazał.

Matka skłoniła się, ja uczyniłam to samo, po czym wyszłam za nią, dołączając do obu królewskich braci, którzy czekali z niepokojem w korytarzu.

- Ufa Alfonsowi - powiedziała im Trusja. - Myślę, że się uda.

Jej intuicja okazała się trafna. Chwilę później z komnaty wyłonił się mój brat. Uśmiechał się, a w dłoni trzymał złoty klucz.

Klucz rzeczywiście otwierał szafę, gdzie ojciec ukrył skarby, a mnie zastanowiło, że łagodność i cierpliwość matki i brata poskutkowały tam, gdzie zawiodły gniew i groźby. Po raz kolejny postanowiłam być mniej uparta i częściej brać przykład z dobroduszości brata.

Ferrandino i stryj Federico posprzeczali się o to, czy powinni zostawić ojcu dość funduszy, aby mimo szaleństwa mógł spędzić resztę życia w godziwych warunkach. Federico nie chciał mu dać ani grosza, lecz ostatecznie stało się tak, jak życzył sobie król. Ferrandino przekazał na ręce Trusji rozsądną sumę i nakazał mądrze nią gospodarować.

W Mesynie spędziliśmy parę pełnych oczekiwania tygodni. W tym czasie hiszpański ambasador przyniósł nam trzy zadziwiające wiadomości. Pierwsza, której się spodziewaliśmy, a jednocześnie baliśmy, była taka, że nasze wyczerpane wojska w Castel dell'Ovo poddały się ostatecznie Francuzom: Jajko Wergiliusza pękło.

Druga wiadomość sprawiła, że Jofre odetchnął z ulgą, a nasze nastroje znacznie się poprawiły. Nigdy nie wybaczyłam papieżowi Aleksandrowi, że tak łatwo poddał się królowi Karolowi i oddał syna, Cezara, jako zakładnika. Cezar i Aleksander okazali się jednak chytry; zanim armia wkroczyła do Neapolu, Cezar uciekł pewnej nocy z francuskiego obozu, kradnąc tyle łupów wojennych, ile zdołał unieść. Dokonał tego, przekupując kilku żołnierzy Karola, którzy mu pomogli.

Trzecia informacja nadeszła zaskakująco szybko po drugiej. Usłyszawszy o zawarciu ligi, której potężna armia znacznie przewyższała liczebnością jego własne wojska, Karol VIII wystraszył się i wycofał z Neapolu kilka tygodni po jego zajęciu, pozostawiając w mieście tylko jeden garnizon. (Wiadomość ta ukazała jeszcze większą przemyślność papieża i Cezara, który zadbał o to, by uciec, zanim Karol dowiedział się o lidze). Ferrandino uradował się, kiedy usłyszał, że *U Re Petito* okazał się złośliwym i nikczemnym władcą, który potraktował buntowniczych baronów tak źle, iż ci zwrócili miecze przeciwko Francuzom i głośno domagali się powrotu dynastii aragońskiej.

To poddało Ferrandinowi pomysł, by dołączyć do resztek wojsk, które pod dowództwem kapitana Inaco d'Avalosa rozbiły obóz na wyspie Ischia w Zatoce Neapolitańskiej. Ischia leżała niedaleko brzegów miasta, co pozwalało królowi na dokonywanie szybkich wypadów w głąb kraju.

Zdecydowałam się popłynąć razem z nim, a Jofre nie śmiał się sprzeciwić - byłam tak pełna optymizmu, że spodziewałam się, iż wrócimy zwycięsko do domu już po paru dniach. Alfonso również postanowił pozełdować na Ischię na wypadek, gdyby mogły się na coś przydać jego wojskowe umiejętności, natomiast Francesco i Federico mieli zostać na Sycylii do czasu oswobodzenia Neapolu.

Wieczorem na dzień przed rejsem odwiedziłam Trusję. Usiadłyśmy we dwie w jednej z komnat, ojciec siedział w ciemnościach w swojej wymyślonej sali tronowej, wpatrując się w migoczące światła odbite od ciemnych wód mesyńskiego portu.

- Popłynij z nami - powiedziałam - Alfonso i ja tak bardzo za tobą tęskniliśmy. Tutaj nic już ci nie zostało; ojciec nie wie nawet, kto z nim przebywa. Możemy wynająć służbę, która się nim zajmie.

Pokręciła melancholijnie głową, a potem spuściła oczy i spojrzała na swe białe, piękne dłonie złożone na podółku.

- Ja też za wami tęsknię. Ale nie mogę go zostawić. Nie rozumiesz tego, Sancho.

- Masz rację - odparłam szorstko. Byłam zła na ojca za to, że rzucił na nią taki urok: że nawet obłąkany i zdawałoby się bezsilny, potrafi zadawać cierpienie tak dobrej osobie. - Nie rozumiem. Zdradził rodzinę i poddanych, a mimo to ty jesteś mu wierna. Twoje dzieci cię uwielbiają i zrobią wszystko, żebyś była szczęśliwa; on może cię tylko zranić. - Zawahałam się, ale potem zadałam pytanie, które dręczyło mnie całe życie. - Jak mogłaś w ogóle pokochać tak okrutnego człowieka?

Trusja uniosła podbródek i spojrzała na mnie z dziwną intensywnością; w jej głosie słychać było nutkę oburzenia. Pojęłam, że miłość do ojca przewyższała wszystko inne.

- Mówisz tak, jakbym miała wybór - odparła.

Dotarliśmy na Ischię w środku wiosny. Wyspa była okrągła i pagórkowata, porośnięta drzewkami oliwnymi, wonnymi sosnami i obfitością flory, dzięki której nazywano ją Zieloną Wyspą. W krajobrazie dominował wulkan Monte Epomeo, wybuchający co kilka stuleci, użyźniając ziemię.

Jofre, Alfonso i ja zamieszkaliśmy z Ferrandinem w Castello, samotnym zameczku, połączonym z główną wyspą mostem zbudowanym przez mojego pradziada Alfonsa Mądrego. Nie mieliśmy tam zbyt wielu zajęć, gdy kwiecień zmienił się w maj, a potem maj ustąpił czerwcowi - mogliśmy się tylko modlić o pomyślność dla naszych wojsk, które parły coraz dalej w głąb królestwa. Kampania szła dobrze: rzadko przegrywaliśmy w polu, gdyż mieliśmy teraz poparcie baronów i ligi. Francuzi ustępowali.

Ani Jofre, ani Alfonso nie musieli walczyć - ku ich rozpaczy, jak myślę, a mojej uldze. Znów staliśmy się nierozłączni; jadaliliśmy razem, razem odwiedzaliśmy miasteczka Ischię i Sant'Angelo i braliśmy kąpiele w gorących źródłach, które miały podobno zbawienny wpływ na zdrowie.

Każdy dzień zaczynałam samotnie od porannego spaceru na piaszczystą plażę, gdzie wyteżałam wzrok, usiłując dojrzeć przeciwległy brzeg zatoki. W bezchmurną pogodę widać było wybrzeże Neapolu, podobny do latarni morskiej szczyt Wezuwiusza, a nawet twierdzę Castel dell'Ovo, która wyglądała jak mała ciemna plamka. Stałam na plaży tak długo, że słońce osmalilo mnie na brąz, a donna Esmeralda często przybiegała do mnie i zmuszała do okrycia głowy chustą.

W mgliste dni przychodziłam tam i jak ojciec na próżno szukałam wzrokiem Wezuwiusza.

W Squillace wydawało mi się, że tęsknię za domem, ale byłam pewna, że mam dom, do którego mogę wrócić. Teraz zaś nie wiedziałam, czy pałac, w którym spędziłam dzieciństwo, jeszcze stoi. Tęskniłam za Santa Chiarą i Duomo jak za ukochanymi osobami i obawiałam się o ich bezpieczeństwo. Myślałam o pełnych gracji łodziach i ich kolorowych żaglach, o pałacowych ogrodach, które gdyby nie zostały zniszczone, byłyby teraz pełne kwiatów, i czułam, jak pęka mi serce.

Ferrandino nieustannie spotykał się z wojskowymi doradcami. Prawie wcale nie widywaliśmy go aż do nadejścia lipca, kiedy wszyscy troje zostaliśmy wezwani do jego gabinetu.

Siedział za biurkiem, za jego plecami stał kapitan don Inaco. Z zadowolonych uśmiechów obu domyśliłam się, jakie wieści król ma nam do przekazania.

Ferrandino ledwo mógł się pohamować; zanim jeszcze skończyliśmy się kłaniać, przemówił tonem tak radosnym, jak nigdy dotąd:

- Wasze Książęce Mości, pakujcie kufry.
- Ja swoich w ogóle nie rozpakowałam - odparłam.

Lato 1495-późna wiosna 1496

Podróż na drugi brzeg Zatoki Neapolitańskiej była krótka. Załadowanie statku prowiantem i naszymi rzeczami zajęło służbie więcej czasu niż sama podróż z Ischii do portu Santa Lucia.

Nasz królewski dwór, który składał się z Jego Królewskiej Mości Ferrandina, jego narzeczonej Giovanny, Jofrego, Alfonsa i mnie, wszedł na pokład w radosnym nastroju. Gdy statek podniósł kotwicę, Alfonso kazał przynieść dzbany wina i puchary i wielokrotnie wznosiliśmy toasty za króla, dynastię aragońską i miasto, do którego wracaliśmy. Były to bodaj najszcześniejsze chwile mojego życia i przypuszczam, że to samo czuł Ferrandino, gdyż jego oczy nigdy nie błyszczały tak jasno, a uśmiech nie był tak szeroki. W pewnej chwili złapał Giovannę wpół, przyciągnął do siebie i pocałował namiętnie - ku wielkiej radości zebranych.

Jofre naigrawał się z kazań Savonaroli i jego ponurych prorocstw, że najazd Karola VIII oznacza koniec świata.

- Mój ojciec, Jego Świątobliwość, rozkazał Savonaroli przybyć do Rzymu i bronić swych poglądów o apokalipsie, która okazała się odrobinę przedwczesna. Savonarola zaś, jak ostatni tchórz, tłumaczy się chorobą i twierdzi, że nie jest w stanie podróżować.

Ryknęliśmy śmiechem, a Jofre zaproponował nowy toast:

- Oby Savonarola jak najdłużej chorował.

Cieszyłam się, że Esmeralda jest pod pokładem i nie słyszy złośliwych drwin z duchownego, którego darzy takim uwielbieniem.

Gdy zbliżyliśmy się do neapolitańskiego wybrzeża, zapadło milczenie. Wezuwiusz, który podczas wygnania był dla mnie symbolem nadziei, nadal czuwał nad miastem, lecz jego fiolet był jedyną plamą koloru w zielonym

niegdyś krajobrazie. Teraz zostały tylko zgliszcza. Pola i zbocza, które powinny mienić się barwami kwiatów i falować zbożem, były czarne, jakby wielki wulkan znowu wybuchł.

Tylko Ferrandino nadal się uśmiechał; on widział rozmiary zniszczenia już wcześniej.

- Nie rozpaczajcie - powiedział. - Wprawdzie Francuzi dopilnowali, byśmy nie zebrali w tym roku plonów, lecz ogień, który podłożyli, użyźnił glebę, za rok będziemy więc mieli wspaniałe zbiory.

Mimo to nadal milczeliśmy, wstrząśnięci. Gdy zawinęliśmy do portu, przepływając między zwęglonymi szkieletami okrętów, nastrój poprawił nam nieco widok nietkniętych murów Castel dell'Ovo. Spojrzałam z niepokojem w głąb miasta, za postrzępione, częściowo zburzone mury i podekscytowana ścisnęłam Alfonsa za ramię.

- Patrz! - zawołałam. - Kościół Santa Chiara wciąż stoi! I Duomo! Istotnie, mimo płomieni, które zdawały się ogarniać kościół Santa Chiara, gdy wyjeżdżałam, jego mury wyglądały na prawie wcale niezniszczone, jeśli nie liczyć przeg sadzy. Katedra Duomo zdawała się nietknięta.

Lecz gdy jechaliśmy wozem do Castel Nuovo, z wysiłkiem skrywałam gniew i nienawiść - nie byłam w tym osamotniona. Nawet Ferrandino spochmurniał; Giovanna ledwie powstrzymywała łzy, a Alfonso całą drogę trzymał twarz odwróconą do okna.

Jazda z portu do pałacu nie trwała długo - nawet jednak tak krótka dała nam pojęcie o rozmiarze zniszczeń dokonanych przez Francuzów. Wszystkie kamienice i wille, wszystkie chaty zostały spalone albo zburzone armatnimi kulami. Arsenał, w którym nie tak dawno pełno było żołnierzy i artylerii, a dostępu do niego strzegły podwójne mury, stał się tylko osmalonym stosem kamieni i uwięzionych pod gruzem gnijących zwłok.

Giovanna zakryła nos. Z obrzydzeniem stwierdziłam, że wraz z zapachem słonejskiej wody, który tak uwielbiałam, z zatoki unosił się teraz subtelny, ale upiorny odór rozkładającego się mięsa. Najwyraźniej łatwiej było powierzyć zmarłych morzu niż ziemi.

Mury otaczające Castel Nuovo szczyrzyły się nierównym, szczyrbatym uśmiechem wariata.

- Nieważne - powiedział Ferrandino i pokazał w górę. - Patrzcie, kto nas wita. Zadarłam głowę i po raz pierwszy od powrotu do Neapolu uśmiechnęłam się; łuk Alfonsa I stał dumny i nienaruszony, a nasz wóz przejechał pod nim i minął gwardzistów, którzy przytrzymywali otwartą bramę.

Na dziedzińcu, teraz zwykłym placu ubitej ziemi, pozbawionym wszelkiej zieleni, jakiś kapitan zostawił swój oddział i podbiegł do wozu, otworzył drzwiczki i ukłonił się nisko.

- Witam Waszą Królewską Mość - powiedział i pomógł Ferrandinowi wysiąść. - Musimy przeprosić za stan królewskiego pałacu. Mieliśmy nadzieję, że uda nam się go przygotować na dzisiejsze przybycie Waszej Królewskiej Mości, lecz niestety większość służących została zabita. Musieliśmy zatrudnić ludzi z pospólstwa i zubożalej szlachty, naprawy idą im bardzo wolno.

- Nie szkodzi - odparł łaskawie Ferrandino. - Cieszymy się, że jesteśmy w domu.

Ale resztki szczęścia, jakie czułam, gdy wpuszczano nas do zamku, wkrótce przysły. Kapitan poprowadził nas w kierunku sali tronowej, gdzie ochmistrz miał się spotkać z królem i omówić plany odbudowy pałacu oraz uporania się z klęską głodu w okolicy. Przechodziliśmy korytarzami, których posadzkę i ściany szpeciły rysy mieczy i pociemniałe plamy krwi. Portrety naszych przodków wyrwano z ram i pocięto; złocone oprawy zrabowano, a strzępy malowanego płótna wały się po podłodze. Rzeźby, dywany, gobeliny, kinkiety - wszystkie ozdoby, które widywałam od dziecka i uważałam za trwałe, równie wieczne jak prawa mojej rodziny do korony, skradziono. Stąpaliśmy po nagich posadzkach, mijając nagie ściany.

- Wszystko zabrali - powiedziała z goryczą Giovanna. - Wszystko.

- Tak to już jest z wojnami - odparł zaskakująco twardo Ferrandino. - Nic nie można na to poradzić; próżne żale.

Zamilkła, lecz nienawiść w jej oczach nie zniknęła.

W alkwie, gdzie zabiłam zdradzieckiego gwardzistę, nadal widać było plamy krwi na podłodze i ścianach; ślady mojego morderczego czynu trzeba było zmyć.

Wejście do sali tronowej tylko spotęgowało moje oburzenie. Okna z widokiem na port wybito; potłuczone gąsiory po winie wały się we wszystkich kątach. Wieśniaczki pośpiesznie zamiatały odłamki szkła.

- Najjaśniejszy Pan, król Ferrandino - oświadczył kapitan.

Kobiety wstrzymały pracę, tak onieśmielone widokiem króla i dworu, że jedna przeżegnała się, zamiast złożyć ukłon. Inna służka klęczała na najwyższym stopniu prowadzącym do tronu i energicznie szorowała siedzisko szmatą; na kolanach odwróciła się i ukloniła, jak umiała najlepiej. Sam tron usiłowano najwyraźniej porąbać; rzeźbione ozdoby były oszpecone głębokimi rysami po mieczach.

Tronowa poduszka leżała z boku na podłodze. Została rozpruta i poplamiona ciemnym płynem, który w pierwszej chwili uznałam za krew. Podeszłam bliżej, pochyliłam się i cofnęłam z obrzydzeniem, czując smród moczu.

- Wasza Króлева Mość, Wasze Książęce Mości! - zawołała służka. -Wybaczcie. Tyle jest rzeczy do wyczyszczenia... Francuzi dopuścili się niewymownych czynów w całym pałacu, zanim uciekli. Zbrukali nawet tron.

- Naprawdę zbrukaliby tron, sadzając na nim koślawy zad króla Karola - zauważyłam.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem, lecz mało w nim było radości.

Drzwi do królewskiego gabinetu stały otworem; wielkie biurko Ferrantego zostało porąbane na podpałkę, niewykorzystane szczapy leżały na stosie przy kominku. Kilka prostych, wiejskich krzeseł zarekwirowanych z czyjejś chaty zastąpiło wspaniałe meble, które kiedyś były ozdobą komnaty. Ochmistrz już czekał, stojąc na baczność.

- Przepraszam Waszą Królewską Mość za tak marne warunki - powiedział. - Sprowadzenie odpowiednich mebli zajmie trochę czasu.

- Nie szkodzi - odparł Ferrandino i wszedł do środka, aby odbyć zaplanowaną rozmowę.

Wróciliśmy do swoich dawnych komnat, by nadzorować wypakowywanie rzeczy. Nie spodziewałam się, że moje meble przetrwały, lecz nie spodziewałam się też ujrzeć donny Esmeraldy przypląną tym samym statkiem co my, lecz przyjechała innym wozem - siedzącej na podłodze sypialni z twarzą wykrzywioną nienawiścią.

- Twoje łóżko - powiedziała, kipiąc z gniewu. - Twoje piękne łóżko. Podpalili je, lotry, psie syny. Cały sufit jest w sadzy.

Zamilkłam. Nigdy dotąd nie słyszałam z jej ust tak ordynarnych słów. Jej mąż zginął jednak w walce przeciw pochodzącym z Francji Andegawenom, a ci prawdopodobnie w jej oczach nie różnili się niczym od żołnierzy, którzy przymaszerowali z Karolem.

- Nie szkodzi - powtórzyłam za Ferrandinem. - Nieważne, bo psie syny odeszły, a my tu jesteśmy.

I tak znowu zamieszkałam w Neapolu. Przez pierwszych parę miesięcy było ciężko. Brakowało pożywienia, a ze względu na wydatki na remont ochmistrz nie pozwalał nam sprowadzać z zagranicy wina ani jada; polegaliśmy na zręczności i powodzeniu nielicznych myśliwych i rybaków, którzy przeżyli wojnę. Piliśmy wodę i musieliśmy obywać się bez służby, do jakiej przywykliśmy; często pomagałam Esmeraldzie, mojej jedynej dworce, w wykonywaniu drobnych prac domowych.

Każdy dzień przynosił jednak poprawę i tryskaliśmy optymizmem, zwłaszcza że Ferrandino cieszył się poparciem poddanych.

W przypadkowym przypląwie zniechęcenia Jofre, który miał już dość wyrzeczeń na każdym kroku, powiedział, że lepiej by nam było w Squillace. Natychmiast poprosiłam o audiencję u Ferrandina i szybko uzyskałam zgodę na widzenie.

Do tego czasu król miał już biurko - choć nie tak wspaniałe, jak dawniej-i odpowiednie krzesło. Teraz, gdy sytuacja w kraju się ustabilizowała, ustały walki i mógł nareszcie wyznaczyć datę oficjalnej koronacji oraz ślubu z Giovanną, rozpiełała go energia.

- Powiedziałeś kiedyś, że moja obecność przynosi ci szczęście. Wierzysz w to? - zapytałam. Uśmiechnął się i z lekką przekorą w głosie odparł, że tak.

- Pozwól więc mnie i mojemu mężowi zostać w Neapolu. Wydadź oficjalny dekret, że nie muszę wracać do Squillace, o ile nie będą tego wymagały szczególne okoliczności.

Ferrandino spoważniał.

- Mówiłem ci kiedyś, Sancho, że możesz mnie prosić, o co zechcesz, a ja ci to dam. To drobna przysługa, ja zaś bez wahania ją spełnię.

- Dziękuję - powiedziałam i ucałowałam jego dłoń. Wierzyłam, że w końcu uniknęłam konsekwencji bezdusznej decyzji ojca i nareszcie będę się mogła cieszyć bezpiecznym życiem w rodzinnym mieście.

Mojemu mężowi nie spodobała się obietnica, jaką uzyskałam od Ferrandina ale nie śmiał zaprotestować. Nadeszła jesień, a z nią, jak doniósł mi Jofre', papieski rozkaz żądający, by wieszczący koniec świata Savonarola zaprzestał kazań, czego jednak niesubordynowany mnich nie uczynił. Potem nastąpiła zima. W okresie świąt pałac Castel Nuovo zaczął w końcu przypominać królewską siedzibę. Czyniliśmy co w naszej mocy, aby wspomóc biednych i głodujących; jako rodzina królewska na Boże Narodzenie mogliśmy się rozkoszować pierwszą uroczystą biesiadą.

Do tego czasu donna Esmeralda i ja spałyśmy już na porządnym łóżku, a pałacowe okna zostały naprawione lub dla ochrony przed mrozem zakryte grubym sukniem. Zmęczona świąteczną kolacją położyłam się już spać, gdy Esmeralda zawołała mnie z komnaty obok.

- Donna Sancha! Madonna Trusja tu jest!

- Co? Usiadłam na łóżku, zaspana. Przez moment wiadomość zdawała mi się zupełnie oczywista; było Boże Narodzenie, a matka przyszła odwiedzić dzieci, jak czyniła to w każde święta. Zapomniałam, że zamieszkała na Sycylii, zapomniałam nawet o powstaniu i Francuzach.

- Co?! - powtórzyłam, tym razem z odpowiednim zdumieniem, jako że wróciłam do rzeczywistości. Zarzuciłam na ramiona płaszcz i pobiegłam do komnaty obok.

Na chwilę miałam nadzieję, że odzyskała rozsądek i wreszcie przyjęła moją propozycję zamieszkania w Neapolu. Serce krwawiło mi na myśl o niej odciętej

od świata, uwięzionej z człowiekiem, który może kochał ją na swój pokretny sposób, lecz nigdy nie wiedział, jak tę miłość okazać; teraz gdy oszalał, przestał ją nawet rozpoznawać.

Kiedy ją wreszcie zobaczyłam, zamarłam z przerażenia. Spodziewałam się uśmiechniętej, promiennej piękności, zamiast niej tuż za progiem, przy donnie Esmeraldzie, stała zmęczona stara kobieta ubrana w czerń. Nawet złociste włosy okrywał welon, ciemny niczym burzowa chmura zasłaniająca słońce. Była krucha i chuda, miała kredowo bladą twarz i szare cienie pod oczami. Wyglądało to tak, jakby całe cierpienie i ból mego ojca zostały przeniesione na nią i zdusiły w niej radość życia i urodę.

Matka opadła na najbliższe krzesło i nie patrząc na żadną z nas, powiedziała do Esmeraldy:

- Sprowadź mojego syna.

Potem nie wymówiła już ani słowa; nie musiała, i tak od razu pojęłam, co się stało. Przysunęłam sobie krzesło i wzięłam ją za rękę; skłoniła głowę, nie chcąc spojrzeć mi w oczy. Siedziałyśmy w milczeniu i czekałyśmy. Żal ścisnął mi gardło, lecz nie pozwoliłam sobie na łzy.

Po jakimś czasie zjawił się Alfonso. On też ledwie rzucił wzrokiem na matkę i zorientował się, co się wydarzyło.

- Umarł? - szepnął.

Trusja kiwnęła głową. Brat ukląkł przed nią i położył głowę na jej kolanach. Pogładziła go po włosach; ja patrzyłam na to z dystansem, bo najbardziej bolała mnie nie śmierć ojca, lecz cierpienie, jakie sprawiła dwu osobom, które najbardziej kochałam.

W końcu Alfonso podniósł głowę.

- Rozchorował się?

Matka przytknęła dłoń do ust i pokręciła głową. Przez dłuższą chwilę nie mogła mówić. Kiedy wreszcie odzyskała panowanie nad sobą, opuściła rękę i tonem, który sprawiał wrażenie przecwiczonego, rozpoczęła swą opowieść.

- To było trzy tygodnie temu... Wydawało się, że doszedł do siebie, zdał sobie sprawę z tego, co się stało, lecz potem przestał w ogóle sypiać, a szaleństwo wróciło ze wzmożoną siłą. Był zdenerwowany, niespokojny, często chodził bez celu tam i z powrotem i krzyczał, nawet kiedy był sam w swojej komnacie. Pamiętacie tę salę, tę z wielkim krzesłem i żelaznym żyrandolem. Tamtej nocy - mówiła z coraz większym trudem - obudziły mnie głośnie zgrzyty dobiegające z komnaty Alfonsa. Bałam się, że może sobie coś zrobić, więc natychmiast tam poszłam... Wzięłam świecę, bo zawsze siedział w ciemności. Zastałam go przy przesuwaniu krzesła, a gdy spytałam, czemu to robi, odparł zirytowany, że znudził mu się widok. Cóż miałam

począć? - Umilkła, jakby poczuła wyrzuty sumienia. - Służba spała, postawiłam więc świecę i pomogłam mu przenieść to krzesło. Potem zostawiłam go samego. Wróciłam do łóżka dziwnie zaniepokojona. Nie mogłam zasnąć... i zaledwie parę chwil później usłyszałam inny dźwięk, tym razem nie tak głośny, ale było w nim coś... czy ja wiem... coś znaczącego... - Zakryła dłońmi twarz i pochyliła się pod ciężarem wspomnień.

Od tamtej chwili była w stanie mówić tylko urywanymi zdaniami, więc streszczę tu, co powiedziała.

Ojciec wniósł drugie krzesło, znacznie lżejsze od jego urojonego tronu, i ustawił je pod żyrandolem z kutego żelaza, potem stanął na siedzisku. Wziął kawał liny i związał ją z szarfą, na której nosił medale za zwycięstwo nad Turkami w bitwie pod Otranto.

Linę przywiązał do ramienia żyrandola, a szarfą owinął mocno szyję.

Dźwięk, który usłyszała moja matka, był odgłosem upadającego krzesła.

Serce często wie to, czego umysł jeszcze nie zdążył wywnioskować; trzask drewna uderzającego o marmur wzbudził w Trusji taki lęk, że w samej koszuli i bez świecy pobiegła do komnaty ojca.

W słabym świetle gwiazd i latarni morskiej mesyńskiego portu zobaczyła ciemną postać kochanka dyndającą na stryczku.

Z twarzą zastygłą w maskę bez wyrazu, bezdźwięcznym głosem matka oświadczyła: .

- Odtąd nie zaznałam ani chwili spokoju, gdyż wiem, że cierpi piekielne męki. Jest w Lesie Samobójców, gdzie wiją gniazda Harpie, bo powiesił się we własnym domu.

Alfonso, który wciąż przed nią klęczał, ujął ją czule za rękę.

- Dante posługuje się alegoriami, mamó. W najgorszym razie ojciec jest w czyścicu, ponieważ nie wiedział, co czyni. Kiedy z nim rozmawiałem, nie wiedział nawet, że jest w Mesynie. Żaden człowiek nie potępiłby innego za czyn nieświadomy, Bóg zaś jest łaskawszy i mądrzejszy od najświatlejszych ludzi.

Matka podniosła na niego wzrok z nadzieją w oczach. Potem spojrzała na mnie.

- Sancho, czy wierzysz, że to możliwe?

- Oczywiście - skłamałam. Lecz gdyby dać wiarę słowom Dantego, król Alfonso II byłby teraz w siódmym kręgu piekła, w rzece krwi, gdzie gotują się dusze okrutnych tyranów. Jeśli była na świecie jakaś sprawiedliwość, znalazł się tuż obok swego ojca Ferrantego, wielbiciela tortur i twórcy muzeum umarłych.

Należało mu się jeszcze jedno miejsce - w najgłębszej z piekielnych czeluści, w paszczy szatana, tam, gdzie trafiają najgorsi zdrajcy. Zdradził bowiem

nie tylko swą rodzinę, lecz cały lud. Nie było tam siarki, ognia i żaru - tylko najdotkliwszy mróz przesywający aż do szpiku kości. Tak mroźny jak serce mojego ojca, tak lodowaty jak wyraz jego oczu.

Matka została w Neapolu i powoli dochodziła do siebie. Ja zaś modliłam się z rozpaczą do Boga, w którego wątpiłam: „Zachowaj me serce ode złego; nie pozwól mi stać się taką, jaki był mój ojciec”. W końcu zabiłam już człowieka. Często budziłam się ze strachem, czując krople ciepłej krwi na czole i policzkach i widząc zdumione oczy konającej ofiary. „Szlachetny czyn”, mówili wszyscy. Ocaliłam życie króla. Możliwe, że uratowałam Ferrandina, lecz mimo to w odebraniu komuś życia nie dostrzegałam niczego szlachetnego.

Mimo tragicznej śmierci ojca - której okoliczności ukrywano przed światem i służbą i nigdy nie rozmawiano o niej nawet w kręgu rodziny - życie w Neapolu znów toczyło się szczęśliwie. Ferrandino i Giovanna wzięli ślub podczas wspianej uroczystości, odnowiony pałac znów obfitował w luksusy, a ogrody rozkwitły. Pod wpływem Alfonsa Jofre stał się wiernym i porządnym mężem.

Upłynęło pięć miesięcy. Do maja 1496 roku zdążyłam się przyzwyczać do swego szczęścia i nie śniłam już co noc o armatnich salwach i ciepłej krwi ani o ciele ojca wirującym powoli na linie w ciemnej komnacie. Ferrandino obiecał, że nie będę musiała wyjeżdżać z mężem z Neapolu, cieszyłam się towarzystwem brata i matki i nie pragnęłam niczego ponad to. Po raz pierwszy zaczęłam się zastanawiać nad wychowaniem w Neapolu synów i córek, w otoczeniu rodziny, która okazywałaby im ciepło i miłość.

Papież Aleksander miał jednak inne plany.

Siedziałam właśnie z matką i bratem przy kolacji, gdy pojawił się Jofre z przerażoną miną i pergaminem w dłoni. Natychmiast odgadłam, że musi mi opowiedzieć treść listu i boi się mojej reakcji.

Miał dobre powody do obaw. List był od jego ojca. Domyślając się, że rozmowa może mieć nieprzyjemny przebieg, wstałam od stołu i poszłam omówić sprawę z Jofrem na osobności.

Według Aleksandra, „wojna w królestwie Neapolu przypomniła nam o naszej własnej śmiertelności, a także o kruchości wszelkiego życia. Pragniemy przeto przepędzić resztę naszych lat w otoczeniu naszych dzieci”.

Wszystkich dzieci - włącznie z Jofrem, a zwłaszcza jego żoną.

Przypomniał mi się hrabia Marigliano, który odwiedził nas w Squillace na polecenie papieża, kiedy oskarżono mnie o cudzołóstwo i rozwiązłość. Ostrzegł mnie wtedy dyskretnie, że pewnego dnia Jego Świątobliwość nie

będzie już w stanie powściągnąć ciekawości i zechce zobaczyć na własne oczy kobietę, którą pojął za żonę jego najmłodszy syn, a która była ponoć piękniejsza niż jego własna kochanka *La Bella*.

Przeklinałam i wymachiwałam gniewnie rękami na oczach biednego, wystraszonego Jofrego. Upierałam się, że nie pojedę do Rzymu, choć wiedziałam że na nic zda się moja odmowa. Poszłam do Ferrandina i błagałam, aby przekonał Jego Świątobliwość, że powinnam zostać w Neapolu - lecz oboje zdawaliśmy sobie sprawę, że słowo króla liczy się mniej od słowa papieża. Nic nie można było na to poradzić. Znowu musiałam opuścić ukochane miasto.

Pozna wiosna 1496

Wjechaliśmy do Rzymu dwudziestego maja 1496 roku o dziesiątej rano przy dźwiękach katedralnych dzwonów w piękny słoneczny dzień. Ku uciechu tłumów szlachty i pospólstwa ustawiliśmy się w paradny orszak, w którym mieliśmy się spotkać z Lukrecją Borgia, jedyną córką papieża, aby wspólnie udać się do Watykanu.

Aleksander VI uczynił coś, czego nie odważył się zrobić żaden papież przed nim: otwarcie przyznał się do swoich dzieci, zamiast nazywać je „bratanicami” lub „siostrzeńcami”, jak mieli w zwyczaju postępować papieże w przeszłości. Mówiło się, że bardzo je kocha, i tak musiało być w istocie, gdyż zaraz po rozpoczęciu pontyfikatu sprowadził je do Pałacu Watykańskiego, aby z nim zamieszkały. Zanim jeszcze poślubiłam Jofrego, słyszałam o Lukrecji: krążyły pogłoski, że jest wyjątkowo piękna.

- Jaka jest twoja siostra? - spytałam Jofrego, gdy wyruszyliśmy w podróż na północ.

- Słodka - odpowiedział po chwili zastanowienia. - Skromna i urocza. Polubisz ją.

- Czy jest piękna? Zawahał się.

- Jest... ładna. Ale oczywiście nie tak jak ty.

- A twoi bracia?

- Cezar? - Oblicze mego męża spochmurniało na wspomnienie brata, którego mogłam poślubić. - Jest bardzo przystojny.

- Miałam na myśli to, jakim jest człowiekiem.

- Ambitnym. Bardzo inteligentnym. - Znów wyczułam niechęć, lecz Jofre umiał unikać prawdy, gdy dotyczyła nieprzyjemnych spraw. Gdy jednak

przycisnęłam go na temat drugiego brata, Juana, skrzywił się nienawistnie i odparł: - O niego nie musisz się martwić. Mieszka z żoną w Hiszpanii.

Wielka uroda ma swoją cenę. Choć cieszyłam się, że los obdarzył mnie pięknymi rysami, wiedziałam również, jaką zazdrość wywołuję u innych kobiet. W związku z tym starannie zadbałam o to, by nie przyćmić urodą szwagierki: włożyłam prostą czarną suknię zameżnej szlachcianki, z ogromnymi rękawami modnymi na Południu; na wierzchowcu w czarnym czapraku jechałam w odpowiednim odstępnie za mężem.

Jofre pragnął jednak wywrzeć wrażenie na rzymianach i swojej rodzinie i olśnić ich książęcym orszakiem. Nalegał, aby towarzyszyło mi aż dwadzieścia dworek, a także znaczna świta, w której nie zabrakło nawet błaznów ubranych w jaskrawe odcienie żółci, czerwieni i fioletu.

Wjechaliśmy do miasta od południa. Nigdy wcześniej nie byłam w Rzymie, gdy więc minęliśmy bramę i rozejrzałam się dokoła, wpadłam w zachwyty.

- Tam - zawołał do mnie z wierzchowca Jofre i wskazał ręką w prawo, gdy jechaliśmy Via del Circo Massimo. Moim oczom ukazał się łuk triumfalny Konstantyna, starożytny pierwowzór łuku mojego pradziada. Dalej na wschód wznosiło się wielkie Koloseum, wielopiętrowa kamienna elipsa, gdzie zginęło tak wielu chrześcijan, oraz Panteon, świątynia wszystkich bogów, z niezliczonymi białymi kolumnami i olbrzymią kopułą, największą w całym Rzymie - jak na ironię znacznie większą niż w jakimkolwiek chrześcijańskim kościele.

Miasta, które do tej pory poznałam, składały się co najwyżej z paru królewskich rezydencji, kilku skromniejszych pałacyków, paru kościołów i mnóstwa bielonych wapnem domków stłoczonych obok siebie przy wąskich uliczkach na górskich zboczach lub wzdłuż wybrzeża. Rzym miał w sobie przepych i rozmach, o jakich nie śniłam. Aż po horyzont ciągnęły się rzędy budowli o rozmiarach, elegancji i zdobieniach, od których zapierało dech. Ulice były szerokie, zatłoczone powozami bogaczy; pałace kardynałów i arystokracji olbrzymie, o klasycznych prostokątnych bryłach i fasadach udekorowanych rzeźbami i reliefami przedstawiającymi postaci i sceny z pogańskiej mitologii. Najskromniejszy z nich był daleko piękniejszy od ceglanego Castel Nuovo z jego dziwną, nieforemną architekturą.

Tylko Tybr mnie zawiódł. Kiedy dotarliśmy do Ponte Sant'Angelo, mostu przy wielkiej fortecy Castel Sant'Angelo, zwieńczonego posągiem archanioła Michała, po raz pierwszy zobaczyłam sławną rzymską rzekę. Po jej cuchnących wodach pływały śmieci i łodzie handlarzy. Wkrótce jednak zaabsorbował mnie inny widok: przede mną rozciągał się brukowany plac

Świętego Piotra, a za nim wielka świątynia, licząca ponad tysiąc lat bazylika, w której spoczywały kości pierwszego papieża. Tuż obok, od strony północnej, stał Watykan.

Na chwilę, zanim wjechaliśmy na plac, spotkaliśmy na swej drodze ubranych w szkarłaty kardynałów na koniach i pieszy oddział gwardii papieskiej; do Jofrego podjechał z powitaniem hiszpański ambasador. Gdy nasz orszak ruszył dalej, ujrzałam ją z oddali i od razu wiedziałam, że to Lukrecja.

Zbliżała się do nas na białym wierzchowcu, na czele licznej grupy dworzan, jadących na koniach ciemnej maści. Jej dworki były ubrane w czerwono-złote brokаты, ona sama miała na sobie suknię z lśniącego białego atłasu i haftowany złotą nicią gorset ozdobiony perłami. Na włosach nosiła złotą siateczkę wysadzaną brylantami, a na szyi naszyjnik z wielkim rubinem, okolonym mniejszymi diamentami.

Podjechała do brata. Wszyscy troje - ja, Jofre i Lukrecja - zsiadliśmy z koni, a ona uśmiechnęła się i pocałowała go na powitanie. Potem odwróciła się do mnie.

Jak wyjaśnił wcześniej Jofre, wybrano ją do powitania nas dlatego, że cieszyła się szczególną sympatią rzymian. Dla nich była Madonną: łagodną i czystą, darzącą miłością swych poddanych. Nawet jej imię symbolizowało niewinność i honor: ochrzczono ją na cześć starożytnej Lukrecji, która zgwałcona przez nieprzyjaciół męża wybrała samobójstwo jako jedyne szlachetne wyjście, gdyż nie mogła żyć zbrukana u boku małżonka.

Mimo wygiętych ku górze bladych warg i uprzejmości, natychmiast dostrzegłam czającą się w niej zazdrość - a także przenikliwą inteligencję. I od razu uwierzyłam we wszystkie słyszane wcześniej historie o chytrłości i przemyślności papieża Aleksandra: te same cechy widziałam w jego córce.

Wygląd nie uzasadniał jej reputacji: nie była piękną - choć nosiła się z taką dumą, że z oddali mogła się wydawać pociągająca. Jej twarz była równie zwyczajna jak twarz Jofrego: miała zbyt drobny podbródek, pod którym widać było fałdę tłuszczu, a oczy, choć duże, były w dość bezbarwnym odcieniu szarości. Jej włosy, podobnie jak u młodszego brata złocistomiedzia-ne, zostały specjalnie na uroczystą okazję uczesane w idealne, małe loczki, które opadały luźno na ramiona tak jak u niezamężnych dziewczyn.

Zresztą równie dobrze wciąż mogła być nadal panną. Jofre podzielił się ze mną rodzinną plotką: mąż Lukrecji, hrabia Giovanni Sforza z Mediolanu, od samego ślubu wykorzystywał każdą możliwą okazję, aby unikać żony. Teraz zaszył się w swej posiadłości w Pesaro i ku zawstydzeniu Lukrecji kategorycznie odrzucał papieskie wezwania do powrotu do żony. Wprawiło mnie to w najwyższe zdumienie, a gdy spytałam Jofrego: „Czemu do niej

nie wróci?" - mąż, zwykle naiwnie szczery w innych sprawach, odpowiedział tylko: „Boi się”.

Boi się gniewu papieża Aleksandra, domyśliłam się. Książęta Mediolanu, Sforzowie, zawarli przymierze z Francuzami i nie należeli do przyjaciół Neapolu. Mąż Lukrecji mógł się obawiać politycznej zemsty.

A jednak gdy dokładniej się nad tym zastanowiłam, uprzytomniłam sobie, że Sforza unikał Lukrecji na długo przed tym, jak Karol Francuski zaczął śnić o podboju Italii. Czyżby tak bardzo nienawidził żony?

Tamtego ranka na placu wyraz jej twarzy, ostrożny, uprzejmy i odpowiedni do okazji, nie pozwalał mi się niczego domyślić.

- Siostro - powiedziała na tyle głośno, by usłyszeli ją gapie, a zarazem na tyle cicho, by sprawiać wrażenie skromnej. - Witaj w domu.

Objęłyśmy się i pocałowałyśmy w policzek. Trzymając mnie mocno za ramiona, nie pozwoliła mi się zanadto przysunąć, a gdy mnie puściła, zauważyłam błysk nienawiści w jej oczach.

Lukrecja, ukochana pani Rzymu, poprowadziła nas przez plac do Watykanu i zawiodła do wspaniałej komnaty, gdzie papież Aleksander siedział na złotym tronie otoczony najpotężniejszymi kardynałami Italii. Jego podobieństwo do Lukrecji było uderzające: miał ten sam drobny podbródek, a pod nim liczne fałdy (jako że wkroczył już w szóstą dekadę życia) oraz oczy tego samego kształtu i rozmiaru, tyle że brązowe. Jego nos był bardziej wydatny, a włosy stalowoszare, z wygoloną tonsurką zakrytą białą piuską. Wielki złoty krzyż, lśniący od brylantów, zwisał mu z szyi; na palcu nosił rubinowy pierścień świętego Piotra. Biła od niego aura tężyzny, jego tors i barki były szerokie i muskularne, a twarz pełna życia.

Kiedy weszliśmy, uśmiechnął się promiennie niczym zakochany młokos.

- Jofre, mój synu! Sancho, córo moja! A więc to prawda, jesteś istotnie tak piękna, jak pisał Jofre w swoich listach! Słowa nie oddają tak wspaniałej urody! Patrzcie! - zwrócił się do zebranych. - Jej oczy są zielone jak szmaragdy!

Nie zawahałam się ani na chwilę. Byłam przyzwyczajona do spotkań z głowami państw, wiedziałam, jak się zachować. Nie czekając na męża, ruszyłam do przodu, wspierałam się na schody prowadzące do tronu, po czym uklęknęłam i pocałowałam obutą w atłasowy trzewik stopę papieża tak, jak wymagał obyczaj. Po paru chwilach przykląkł koło mnie Jofre.

Aleksander był zadowolony ze śmiałości, z jaką okazałam mu szacunek. W geście błogosławieństwa położył mi na głowie dużą, chłodną dłoń, a potem wskazał czerwoną aksamitną poduszkę leżącą na marmurowym stopniu tuż na lewo od tronu.

- Proszę, moja droga! Usiądź koło mnie. Zarezerwowałem dla ciebie specjalne miejsce.

Jofre uściskał ojca, a potem ruszył stanąć w grupie kardynałów, ja zaś za-siadłam na aksamitnej poduszce. Nie uszło mojej uwagi, że po drugiej stronie tronu leży druga, identyczna.

Wszystkie moje dworki wstępowały kolejno na tronowe podwyższenie i witały papieża tak samo jak ja. Po zakończeniu tego wstępnego rytuału na schody weszła Lukrecja i usiadła na drugiej poduszce przy tronie.

Kiedy popatrzyłam jej w oczy, znowu obdarzyła mnie subtelnym i przelotnym spojrzeniem czystej nienawiści. Zazdrość córki, uznałam wtedy; dopiero później miałam poznać jej głębię i rzeczywistą przyczynę.

- Bóg jest dla mnie naprawdę dobry - wykrzyknął serdecznym głosem Aleksander, unosząc ramiona, żeby wskazać na mnie i Lukrecję - bo otacza mnie tak pięknymi kobietami!

Zebrane towarzystwo wybuchnęło śmiechem. Uśmiechnąwszy się z kieteryjną skromnością, zerknęłam na męża, żeby sprawdzić, czy jest zadowolony z mojego występu.

Był. Lecz obok niego stał ktoś, kto zdawał się równie zadowolony - o ile nie bardziej. Jeden z kardynałów, mężczyzna w moim wieku, szczupły i brodaty, o ciemnych oczach i atramentowo czarnych włosach patrzył mi prosto w oczy. Poczułam wypieki na policzkach; odwróciłam wzrok, uśmiech zadrżał mi na wargach.

Ale nie mogłam oprzeć się pokusie i jeszcze raz zerknęłam na przystojnego kardynała - tylko po to, by przekonać się, że wpatruje się we mnie z nieskrywanym zainteresowaniem. Jak on śmie? - pomyślałam, usiłując wywołać w sobie poczucie oburzenia i niesmaku. Tu, przy moim mężu i Jego Świątobliwości, na dodatek jest księdzem, kardynałem...

Wcześniej, gdy miałam piętnaście lat, wydawało mi się, że jestem zakochana w Onorato Caetanim. Tamto uczucie było pielęgnowane przez jego dobroć i umiejętności kochanka.

Uczucie, które ogarnęło mnie tego ranka - dwudziestego maja - gdy siedziałam na aksamitnej poduszce u boku papieża i patrzyłam na mężczyznę stojącego przy moim mężu, było błyskawiczne, niepohamowane i gwałtowne, i przeszło mnie niczym sztylet. Zadrżałam. Nie chciałam go i nie szukałam, a mimo to byłam teraz na jego łasce. I nie wiedziałam nic o człowieku, który właśnie skradł mi serce.

Przybyłam na dwór papieża Aleksandra, pragnąc wyrzeć korzystne wrażenie i być dobrą żoną dla jego syna Jofrego, teraz jednak byłam zupełnie zgubiona.

Po oficjalnym powitaniu Jofre i ja wraz z dworzanami i bagażami zostaliśmy zaprowadzeni do pałacu Santa Maria in Portico tuż obok Pałacu Watykańskiego. Była to pełna wdzięku budowla z dużymi łukowymi oknami i słonecznymi komnatami, którą wzniesiono tylko z tej przyziemnej przyczyny, by żeńska świta papieża Aleksandra miała gdzie mieszkać. Na piętrze była loggia z widokiem na rozległe ogrody; Aleksander nie szczędził swoim kobietom luksusów. Mieszkały tu Lukrecja, a także młoda nałożnica papieża, Giulia Orsini, oraz jego podstarzała siostrzenica Adriana, która stręczyła mu kochanki. Inne piękności, które wpadły Jego Świątobliwości w oko, również pomieszkowały tu od czasu do czasu, znając więc reputację pałacu, nie czułam się najlepiej, prowadzona do środka, mimo że towarzyszył mi Jofre.

Jeszcze mniej spodobało mi się, że sypialnia mojego męża mieściła się w innym skrzydle pałacu niż moja, która znajdowała się w pobliżu prywatnych komnat zarówno Lukrecji, jak i Giulii. W normalnych okolicznościach zameężnej kobiecie nie przeszkadzałoby zakwaterowanie obok pokoiów innych kobiet, lecz Aleksander zdawał się mieć szczególną słabość do mężatek. Nawet nadzwyczaj urodziwa Giulia Farnese nie wzbudziła w nim tak wielkiej namiętności, by sprowadził ją do Watykanu - dopóki nie wydał jej za męża za syna siostrzenicy Adriany, nieszczęsnego Orsino Orsiniego. Jego Świątobliwość czerpał szczególną przyjemność z gwałcenia świętości małżeństwa innych mężczyzn.

Tak więc gdy miałam się rozstać z Jofrem, aby każde z nas udało się do swych apartamentów, położyłam dłoń na jego wciąż gładkim, chłopięcym policzku. Odwrócił się do mnie i uśmiechnął promiennie, nadal zarumieniony po wrażeniach związanych z wielkim powrotem do rodzinnego miasta. Miał piętnaście lat i wreszcie dorównywał mi wzrostem, a jego włosy wciąż były długie i kędzierzawe. Kiedy tak trzymałam rękę na jego policzku, obiecałam sobie, że nigdy nie pozwolę, aby własny ojciec zrobił z niego rogakza.

Jednocześnie modliłam się o to, bym już nigdy więcej nie natknęła się na młodego kardynała, którego spojrzenie przyprawiło mnie o taką namiętność.

Odpooczywałyśmy po podróży. Usiłowałam zasnąć, ale bez skutku, mimo że łóżko z brokatowymi i aksamitnymi poduszkami, delikatną pościelą i futrzaną narzutą było wygodne i o wiele wspanialsze od tych w Castel Nuovo. Bor-giowie nie wstydzili się okazywać swego bogactwa. Kiedy dworki rozpakowywały kufry i układały moje rzeczy w komnacie, wypatrzyłam w ręce donny

Esmeraldy małą książeczkę obłożoną w poprzecieraną skórę. Zanim zdążyła ją odłożyć, wyrwałam ją z jej dłoni, siadłam na poduszce i zaczęłam czytać.

Były to *Canzonere* Petrarcki, jego wiersze miłosne dedykowane tajemniczej Laurze; tomik wielkości dłoni dostałam w prezencie od Onorata. Petrarka zawsze budził we mnie mieszane odczucia. Z jednej strony uważałam za niesłychanie śmieszne, że popada w tak wielką ckliwość, opisując miłość jako strzałę, która przeszła mu serce, a mimo to błogosławiąc dzień, w którym został nią ugodzony. Ciągłe mówił o palącym bólu lub zimnych dreszczach. Czasami czytałam jego wiersze na głos swoim dworcom tak poważnym tonem i z tak wielkim sarkazmem, że po chwili nie byłam w stanie dłużej deklamować i wszystkie wybuchaliśmy śmiechem. „Biedny Petrarka! -wzdychałam. - Myślę, że cierpi nie tyle z miłości, ile raczej na malarię”.

Niektóre z panien nie śmiały się jednak tak głośno i mówiły wstydliwie:

- Istnieje coś takiego. Pewnego dnia, madonna Sancha, może się przytrafić także tobie.

Jakże z nich drwiłam! A mimo to w skrytości ducha zastanawiałam się, czy miały rację, i potajemnie pragnęłam doświadczyć tej magii; czy Petrarka pisał prawdę, kiedy stwierdzał, że wystarczyło jedno spojrzenie Laury, aby na zawsze ją pokochał? Oczywiście, Petrarka zawsze szczególną uwagę zwracał właśnie na oczy.

W południe dwudziestego maja usiadłam i jak zwykle zaczęłam czytać jego wiersze prześmiewczym tonem ku rozbawieniu krzątających się po komnacie służek. Aż dotarłam do wersu: „Lękam się i czekam w nadziei; płonę i jestem z lodu”.

Głos uwiązał mi w gardle. Nie mogąc nad sobą zapanować, odwróciłam twarz. Zamknęłam książeczkę i położyłam ją obok na poduszce. Te słowa opisywały dokładnie to, czego doznałam, kiedy napotkałam wzrokiem spojrzenie pięknego kardynała; znów poczułam się bezbronna. Przypomniała mi się matka: „Mówisz to tak, jakbym miała wybór”. Wreszcie pojęłam, o co jej chodziło.

Służące oderwały się od zajęć i popatrzyły na mnie; ich uśmiechy zastąpiło zaniepokojenie.

- Tęskni za domem - orzekła Esmeralda. - Nie smuć się, Sancho. Jofre jest z tobą, my wszystkie z tobą jesteśmy, twoje serce też wkrótce tu będzie.

Jak mogłam jej powiedzieć, że moje serce już tu jest - tylko zupełnie wbrew mej woli?

Zła, że pozwoliłam sobie tak łatwo zawrócić w głowie nieznanemu, wstałam i wyszłam na balkon.

Pod wieczór udaliśmy się z Jofrem na ucztę wydaną przez Jego Świątobliwość na naszą cześć. Feta odbywała się w papieskich apartamentach. Z moimi

dworkami i oddziałem straży za plecami wyszliśmy z pałacu, trzymając się za ręce niczym para zakochanych; wiosenna pogoda była piękna, a chylące się ku horyzontowi słońce rzucało złoty blask na wielki plac i śnieżnobiałe marmurowe budowle, które go otaczały. Jofre uśmiechnął się do mnie z dumą. Przytuliłam się do niego - z czułości, pomyślał, i odwzajemnił się mocniejszym uściskiem dłoni i wdzięcznym spojrzeniem - ale tak naprawdę bałam się. Częściowo niepokój brał się stąd, że nie wiedziałam, jak poradzę sobie z zalotami papieża; bardziej jednak martwiło mnie zauroczenie tajemniczym kardynałem.

Przeszliśmy do siedziby Borgiów. Gdybym przy bramie odwróciła się do tyłu, za przytłaczającym ogromem Castel SanfAngelo zobaczyłabym zieleń - starannie pielęgnowane ogrody i winorośle - rozciągającą się nieprzerwanie aż do odległych gór. Orzeźwiający powietrze pachniało kwiatami.

Zaanonsowano nas i weszliśmy do środka razem ze świtą.

Apartamenty nie były olbrzymich rozmiarów, lecz ich wystrój zapierał dech w piersiach; sufity były złote, ściany świeżo pokryte freskami Pinturicchia, ukazującymi sceny mitologiczne i biblijne. Pod freskami wisiały jedwabne gobeliny, na posadzkach leżały orientalne dywany. Wszędzie było mnóstwo miejsc do siedzenia: poduch z aksamitu i brokatu, stołków i krzesel.

Papież z szerokimi barami okrytymi śnieżnobiałym płaszczem stał uśmiechnięty u drzwi do jadalni. W przeciwieństwie do Jofrego był roslym i postawnym mężczyzną i z rozłożonymi w powitalnym geście ramionami zdawał się wypełniać framugę; szerokie bary, kark i pierś przywodziły na myśl potężnego byka.

- Dzieci moje! - zawołał, uśmiechając się bez śladu przymusu. - Jofre, Sancha, chodźcie!

Objął najpierw syna, a potem pocałował mnie w usta z niepokojącym entuzjazmem.

- Jofre, usiądź przy stole. A jeśli chodzi o was, Wasza Wysokość - zwrócił się do mnie - pozwól pani, że oprowadzę ją po naszych apartamentach.

Nie śmiałam protestować; Aleksander objął mnie wpół ramieniem i zaprowadził do oddzielnej komnaty. Byliśmy sami.

- To *Sala dei Santi* - oświadczył. - Tutaj nasza Lukrecja wzięła ślub. - Nie zadał sobie trudu, by wspomnieć o panu młodym.

Rozejrzałam się dokoła, starając się stłumić westchnienie zachwytu; czułam się jak prosta kobieta z pospólstwa, która pierwszy raz widzi wnętrze pałacu.

Castel Nuovo, który do tej pory ucieleśniał w moim przekonaniu ideę królewskiego przepychu, był urządzony w stylu hiszpańskim: miał bielone ściany, łukowe okna i sufity belkowane ciemnym drewnem. Na ozdoby składały się

dywany, pociemniałe obrazy i rzeźby. Uważałam, że to szczyt dekoracyjnego wyrafinowania.

Kiedy jednak weszłam do Sali Świątych, oślepił mnie taki blask, jakbym patrzyła prosto w słońce. Nigdy nie widziałam tak intensywnych kolorów, takiej obfitości ornamentów. Łukowe sklepienie było pokryte niezliczonymi malowidłami, pooddzielanymi od siebie złoconą sztukaterią. Farba, której użyto jako tła, miała najgłębszy odcień błękitu, jaki zdarzyło mi się oglądać, z czystego kruszonego lazurytu, z którym kontrastowały soczyste czerwienie, żółcie, zielenie i szczere złoto. Na każdej ścianie widniał inny fresk: zwróciłam uwagę na świętą Zuzannę z aureolą, ubraną w powłóczystą niebieską suknię, nagabywaną przy fontannie przez dwóch lubieżnych starców; na pierwszym planie widać było króliki, symbol chuci.

- Zapłaciliśmy Pinturicchiowi ładną sumkę za tę robotę. Piękna, prawda? - szepnęła gospodarz, a potem z poządlwym uśmiechem dodał: - Choć nie tak piękna jak ty, moja droga.

Odsunęłam się i podeszłam do malowidła przedstawiającego Katarzynę dyskutującą w obecności cesarza Maksymiliana z pogańskimi filozofami; w tle był widoczny łuk Konstantyna. Młoda święta, ubrana jak rzymska ary-stokratka w czerwono-czarną szatę, ze złocistymi włosami opadającymi do pasa, wydała mi się znajoma.

- Przecież to Lukrecja - zauważyłam. Papież zachichotał, zadowolony.

- W rzeczy samej. - Nie było w nim żadnej pobożności, tylko przyziemna miłość życia. Bardzo stosownie, wstąpiwszy na papieski tron, przybrał imię macedońskiego zdobywcy, a nie chrześcijanina.

Podniosłam wzrok na sufit. Namalowano tam różne sceny - męczeństwo świętego Sebastiana, świętego Antoniego, który odwiedza pustelnika, Pawła... dominował jednak fresk przedstawiający poganina i poganę, którzy wskazywali na wielkiego byka. Zauważyłam, że mniejsze postaci byka powtarzają się wszędzie, przeplatane z godłem papieżstwa, tiarą nad skrzyżowanymi kluczami świętego Piotra.

- Byk Apis - wyjaśnił Aleksander. - W starożytnym Egipcie czczono go jako wcielenie boga Ozyrysa. Byk pojawia się w naszym rodowym herbie. -Zanim zdążyłam coś powiedzieć, znów zbliżył się i objął mnie w pasie. -Jest symbolem męskiej tężyzny i potencji. - Nagle przycisnął mi rękę do piersi i usiłował pocałować; jeszcze raz wymknęłam mu się z objęć i odeszłam szybkim krokiem. Zrozumiałam, dlaczego pobożny Savonarola nazwał Aleksandra Antychrystem... w papieskich apartamentach symbolika pogańska przeważała nad chrześcijańską.

Papież pozwolił mi odejść i roześmiał się:

- Trudna do zdobycia. Nie szkodzi, lubię takie.

- Wasza Świątobliwość, proszę - powiedziałam otwarcie. - Pragnę tylko być wierną żoną waszego syna. Nie chcę być niczyją faworytą, a Wasza Świątobliwość ma do wyboru tyle kobiet...

- Tak - zauważył - ale żadna nie jest tak piękna.

- Dziękuję za komplement - odparłam. - Ale proszę, niech mi Wasza Świątobliwość pozwoli pozostać waszą wierną synową.

Uśmiechnął się i kiwnął głową, lecz nie wyglądało na to, by zmienił wobec mnie zamiary. Rozłożył ręce.

- Jak sobie życzysz. W takim razie dokończmy zwiedzanie. Przechodziliśmy przez różne komnaty, wszystkie równie wspaniałe co

pierwsza. Wystrój każdej podporządkowany był innemu tematowi: były więc Sala Wiary z dużym freskiem przedstawiającym pokłon trzech króli, Sala Sybilińska ze starotestamentowymi prorokami obwieszczającymi gniew Boży, którym towarzyszyły sybille, pogańskie wieszczki o surowych obliczach. Jeszcze nigdy nie widziałam takich wspaniałości i przepychu; właściwie cieszyłam się, że zwiedziłam inne wnętrza, zanim wróciliśmy do jadalni - dzięki temu uniknęłam gapienia się na wszystko z otwartymi ustami.

Jego Świątobliwość nie próbował mnie już dłużej uwodzić i w końcu dołączyliśmy do reszty gości. Uczta odbywała się w Sali Sztuk Wyzwolonych. Pod obrazem Arytmetyki - jasnowłosej niewiasty ubranej w szatę z zielonego aksamitu i trzymającej złotą księgę - papież zaprosił mnie gestem ręki.

- Usiądziesz obok mnie.

Kiedy prowadził mnie do długiego stołu rzęsiście oświetlonego i zastawionego najrozmaitszym jadłem - pieczonym drobiem, dziczyzną i jagnięciną, winem i winogronami, serami i chlebem - minęłam kilku kardynałów, wszystkich z rodu Borgiów, ubranych w tradycyjne purpurowe szaty. Przyjrzałam się ich twarzom, lecz nie znalazłam wśród nich swego pięknego młodzieńca.

W głowie stołu stało krzesło papieża, wyższe i bardziej ozdobne niż reszta; po jego prawicy siedziała Lukrecja. Dygnęłam, a ona kiwnęła lekko głową, zaciskając mocno drobne wargi i mrużąc oczy z nienawiścią, którąjed-nak sprytnie ukryła przed innymi. Jofre niczego nie zauważył, mimo że siedział tuż obok siostry.

Krzesło bezpośrednio obok papieża po jego lewej stronie czekało na mnie; po raz kolejny usadzono mnie naprzeciw Lukrecji. Już miałam usiąść, gdy papież zatrzymał mnie stanowczym, a zarazem czułym ruchem ręki.

- Ależ czekajcie! Nasza droga donna Sancha nie poznała jeszcze szwagra!

Podążyłam wzrokiem za gestem wskazującym miejsce tuż obok mojego. Siedzący tam młody mężczyzna zdążył już wstać: był to nadzwyczaj przystojny młodzieniec o cienkim prostym nosie i mocnym podbródku zarośniętym brodą.

- Cezarze, ucałuj swoją bratową Sanchę!

Miał rysy twarzy matki i włosy czarne jak węgiel, dlatego nie rozpoznałam w nim Borgii. W przeciwieństwie do innych kardynałów przebrał się w czarną księżą sutannę o prostym, lecz eleganckim kroju. Spojrzenia, jakie wymieniliśmy, były nie mniej namiętne od porannych.

Wiedziałam, że Jofre ma starszego brata, Cezara, kardynała Walencji, nazywanego przez niektórych Valentino. Mimo to podczas porannej audiencji u papieża nie skojarzyłam osoby z imieniem, chociaż Jofre stanął właśnie obok niego.

Odwróciliśmy się do siebie i objęliśmy zgodnie z dworskim obyczajem. Podstawiłam mu policzek, lecz zaskoczył mnie, gdy schylił się i złożył pocałunek na moim czole. Jego broda była gęsta, bujna i męska; zadrżałam, gdy musnęła mi skórę.

- Wasza Świątobliwość musi przyjąć moją spowiedź - powiedział, nie odrywając ode mnie wzroku. - Zazdroszczę bratu; usidlił prawdziwie piękną kobietę.

Wszyscy roześmiali się uprzejmie.

- Wasza Ekszelencja jest aż nazbyt miły - odparłam półgłosem. Aleksander zajął swoje miejsce - dzięki czemu pozostali również mogli

usiąść - i uśmiechając się, wskazał na Cezara.

- Czyż nie jest dowcipny? - powiedział. - Zostałem obdarzony najpiękniejszymi i najbystrzejszymi dziećmi w całym chrześcijańskim świecie. Dziękuję Bogu, że każde z was jest teraz ze mną.

Uznałam za obrzydliwe, że papież nie jest w stanie zapanować nad swoją żądzą - lecz teraz zauważyłam, że jego synowie i córka są dumni z wypowiedzianej ze szczerego serca pochwały. Najwyraźniej pomimo wad Aleksander był człowiekiem szczodrym w okazywaniu miłości i nagle pozazdrościłam im takiego ojca.

Podczas kolacji jadłam i mówiłam mało, choć inni śmiali się i rozmawiali swobodnie; cały czas słuchałam Cezara. Niewiele pamiętam z tego, co mówił, lecz jego głos i maniery były jak aksamit.

Uczta była ograniczona do rodziny - ale rozległej i rozgałęzionej, musiałam więc zapamiętać wiele imion. Znałam już kardynała Borgię z Monreale, który był świadkiem spełnienia mojego małżeństwa z Jofrem.

Długo po wschodzie księżyca papież oparł masywne ręce o stół i podźwiwnął się z miejsca - czym dał innym znak do powstania.

- A teraz tańce - oświadczył podpitym głosem.

Opuściliśmy jadalnię i weszliśmy do największej sali papieskiej rezydencji, gdzie czekał już tłumek gości. Na nasz widok muzycy zaczęli grać na swoich

instrumentach. Chociaż mnie jej nie przedstawiono, od razu rozpoznałam tę, którą Rzym zwał La Bella - słynną Giulię o rysach tak delikatnych i licu tak pięknym jak u starożytnego posągu: długie jasne włosy były upięte i okryte siateczką ze złotej nici, tylko twarz okalały kosmyki skręcone w fantazyjne loki. Miała na sobie jasnorożową jedwabną suknię o nieprzeliczonych fałdach, faluj ących przy każdym ruchu. Jej oczy były duże, o ciężkich powiekach - wyrażały nieśmiałość i wstydlivość osobliwe u kobiety, która zdobyła serce tak potężnego mężczyzny. Nie wyczułam w niej żadnej złośliwości ani pretensji. Najwyraźniej względy Jego Świątobliwości przypadły jej bez starań ani manipulacji; sprawiała raczej wrażenie dziecka, które dostało nazbyt wspaniałą zabawkę.

Był z nią mąż, Orsino Orsini, który rozglądał się wokół jednym okiem, gdyż drugie utracił kilka lat wcześniej. Był niski i krępy, miał posępną, zrezygnowaną minę. Oboje małżonków obserwowała uważnie matka Orsiniego, a zarazem siostrzenica papieża, Adriana Mila, tęga matrona o bystrym, oceniającym spojrzeniu i wiecznie zmarszczonym od trosk czole. Adriana była umiejętnym strategiem, zyskała wielkie względy papieża, nie tylko stręcząc mu Giulję, lecz również wychowując Lukrecję. Z pewnością nikt, kto wyrósł pod opieką tej kobiety, nie nauczył się ufać innym.

Byli też inni goście - szlachta, papiescy dworzanie, kardynałowie oraz podejrzane kobiety bez świty, którym mnie nie przedstawiono. Na przyjęciu panowała nieoficjalna atmosfera, zupełnie inna od tej, do jakiej przywykłam w Neapolu czy w Squillace, gdzie Jofre i ja zasiadaliśmy na tronach, zaś szlachta i krewni zajmowali miejsca stosowne do hierarchii i byli odpowiednio do niej obsługiwani. Dla Jego Świątobliwości wniesiono tron, który postawiono tak, aby papież miał jak najlepszy widok, lecz poza tym wszyscy poruszali się po sali swobodnie, od czasu do czasu spoczywając na poduszce lub krześle, gdzie tylko mieli ochotę.

To akurat mi nie przeszkadzało; na różnych dworach obowiązują różne obyczaje. Wtedy wniesiono krzesło dla Giulii, aby mogła usiąść bezpośrednio przy papieżu, a gdy ten ją zobaczył, podszedł i na oczach zebranych pocałował ją bez zażenowania, a następnie zaprosił na miejsce obok siebie.

Byłam tym doprawdy zdumiona. Moja matka była kochanką księcia, lecz ojciec nigdy nie usiadłby przy niej ani nie pocałował jej w towarzystwie, a to był w końcu Watykan. Poza tym uznałam za obrzydliwe, że zaledwie parę godzin wcześniej dłonie, które teraz pieszczą Giulję, wyciągały się tak łapczywie ku mnie. Mimo to nie pozwoliłam sobie na żadną uwagę; Jofre, który był moim przewodnikiem, przyjmował zachowanie ojca jako coś zupełnie naturalnego, sama więc też próbowałam to przyjąć spokojnie.

Tymczasem lało się wino. Ja mieszałam je z wodą i wypiałam tylko parę kieliszków.

- Byłam w Neapolu i coś o nim wiem - zwróciła się do mnie Lukrecja, poddając temat do rozmowy - ale nigdy nie odwiedziłam Squillace. Opowiedz mi o nim.

Ona też pilnowała się, żeby nie wypić za dużo wina; była zbyt zajęta ocenianiem mnie, szacowaniem możliwej rywalizacji między nami.

- Na swój sposób jest tam bardzo pięknie. Miasto leży nad Morzem Jońskim, a chociaż wybrzeże nie ma tak wspaniałych widoków jak Neapol, sam port jest uroczy. Mieszka tam wielu artystów, garncarzy, którzy słyną z wyrobu ceramiki.

- Nie jest tak duże jak Neapol?

- Ależ nie - prychnął Jofre.

Cezar, który milczał do tej pory, dodał uprzejmie:

- Ale mimo wszystko urocze, jak słyszałem. Wielkość i piękno nie są powiązane.

Lukrecja przekrzywiła głowę, mrużąc lekko oczy.

- Tak, czasami naprawdę tęsknię za prowincjonalną prostotą. Rzym jest tak olbrzymi, a oczekiwania tak wybujałe, że niekiedy przytłaczające. Mimo to mamy obowiązek zadziwiać ludność przy wszystkich publicznych okazjach. Tutaj, obawiam się, ludzie są o wiele bardziej wybredni niż w Squillace i spodziewają się czegoś więcej.

Zadarłam podbródek, urażona. Czyżby była to subtelna zniewaga odnosząca się do mojego stroju, rozmyślnie skromnego i statecznego, żeby nie przyćmić jej podczas pierwszego spotkania? Jeśli tak, to drugi raz nie popełnię tego samego błędu.

- Lukrecjo! - zawołał papież, który robił się wyraźnie pijany. - Zatańcz dla nas! Zatańcz z Sanchą! - Objął Giulie ramieniem; zachichotała, gdy przyciągnął ją do siebie i pocałował.

Lukrecja posłała mi kolejne lekko drwiące spojrzenie.

- Oczywiście znasz hiszpański styl... czy też może nie uczą was tego na południu?

- Jestem księżniczką Aragonii - odparłam oschle.

Wzięłyśmy się za ręce. I gdy papież klaskał od czasu do czasu z radości, a muzycy grali, zaczęłyśmy tańczyć stary kastylijski taniec.

W tamtej chwili cieszyłam się, że zostałam wychowana przez ojca i wiem, że mężczyźni i kobiety mogą się zachowywać z wszelkimi pozorami uprzejmości, a jednocześnie fałszywie; wyczułam, że Lukrecja jest właśnie taką osobą. Tak więc gdy rozmawiałyśmy w tańcu, miałam się na baczności. I rzeczywiście w pewnym momencie Lukrecja specjalnie opuściła jeden krok i postawiła stopę dokładnie tak, abym się potknęła i skompromitowała.

Byłam na to przygotowana. Możliwe, że powinnam zachować się łagodniej i po prostu uniknąć potknięcia, udając, że nie pomyliła się celowo; ale wezbrała we mnie ojcowska złośliwość. Z premedytacją przydepnęłam jej stopę.

Lukrecja pisnęła cicho i odwróciła się do mnie gwałtownie; chociaż kontynuowałyśmy taniec, wymieniłyśmy szczerze spojrzenia rywali w pojedynku.

- Jak to rozegramy, madonna? - spytałam łagodnym tonem, choć patrzyłam jej hardo w oczy. - Nie przyjechałam do Rzymu z własnej woli, a już z całą pewnością nie przybyłam tu robić sobie wrogów. Pragnę być dla ciebie wyłącznie dobrą siostrą, nikim innym.

Świadoma, że nas obserwują, uśmiechnęła się ładnie; był to najzimniejszy, najbardziej przerażający wyraz twarzy, jaki widziałam.

- Nie jesteś moją siostrą. I nigdy nie będziesz mi równa, Wasza Wysokość. Zapamiętaj to sobie.

Umilkłam, nie wiedząc, jak ułagodzić jej zazdrość.

Podczas naszego tańca na sali pojawili się służący z tacami wypełnionymi czekoladkami. Aleksander zrobił wielkie widowisko, karmiąc jedną z nich Giulie, która następnie odwzięczyła się tym samym. Właśnie gdy kończyłyśmy tańczyć, a widzowie zaczęli uprzejmie klaskać, Aleksander - z chłopięcym uśmiechem rzucił czekoladkę przed siebie i trafił w Cezara.

Ubrany w czerń młody kardynał zareagował z doskonałym wdziękiem; uśmiechnął się bez śladu zaskoczenia, podniósł czekoladkę i zjadł ją ze smakiem ku radości roześmianego ojca.

Wtedy Aleksander przesadnym gestem upuścił czekoladkę w dekolt Giulii.

Na moment na twarzy dziewczyny pojawił się wyraz konsternacji. Nie chciała zniszczyć drogiej sukni.

Zauważyłam ostre spojrzenie, które posłała jej Adriana Mila: to było ostrzeżenie, wręcz groźba.

Giulia od razu się uśmiechnęła, a potem zachichotała ze szczerością, w jaką mógł uwierzyć tylko mężczyzna zaślepiony miłością. Papież też roześmiał się niczym niegrzeczny chłopczyk, a następnie wetknął rękę głęboko w jej gorset między śnieżnobiałe piersi, poruszając brwiami z lubieżną miną, obliczoną na rozbawienie gości.

Zebrani zareagowali gromkim śmiechem.

Nagle Adriana podeszła do Aleksandra i szepnęła mu coś na ucho; papież pokiwał głową, odwrócił się do Giulii, ujął jej piękną twarz w masywne dłonie, pocałował ją w usta i powiedział coś półgłosem. Podejrzywałam, że umówił się na schadzki. Zaczęłam się zastanawiać, czy plotka, którą słyszałam, jest prawdziwa: ponoć papież nakazał wybudować przejście między Palazzo Santa Maria a Watykanem, aby móc potajemnie odwiedzać swoje kobiety, kiedy tylko zechce.

Giulia pokiwała głową roześmiana, po czym razem z nieszczęśliwym Or-sinem i Adrianą opuściła przyjęcie.

Dla gości był to sygnał, którego nie zrozumiałam: natychmiast przy tronie Jego Świątobliwości uformowała się kolejka kardynałów, którzy kłaniali się i żegnali; większość świeckich gości poszła za ich przykładem.

Wieczór wciąż był wczesny, lecz na przyjęciu została teraz tylko bliska rodzina - i nieznane, pozbawione świty, ekstrawagancko ubrane kobiety.

Ladacznice, uzmysłowiłam sobie z niepokojem, jeszcze zanim papież rzucił następną czekoladkę, która zniknęła w dekolcie najbardziej biuściastej kobiety na sali. Kurewka zaśmiała się. Była atrakcyjną dziewczyną o złocistych włosach, lecz zimnych oczach. Pochyliła się do przodu, eksponując piersi, i truchtem na niepewnych nogach podbiegła do Aleksandra.

Papież był już przygotowany. W chwili gdy okryty brokatem biust pojawił się pod jego nosem, zanurzył w nim z radością twarz i jął szukać ukrytej czekoladki jak pies polujący na kawałek mięsa zrzuconego przez pana pod stół.

Dziewczyna chichotała piskliwie, mocno przyciskając go do piersi. Wreszcie zadarł głowę z triumfem, ukazując twarz umazaną czekoladą.

Cezar wpatrywał się z rezerwą w swój puchar. Najwyraźniej był przyzwyczajony do podobnych ekscesów, nawet jeśli ich nie aprobował.

Popatrzyłam na Jofrego; mój młody mąż rechotał pijackim śmiechem i sam zamachał na jednego ze służących roznoszących tace ze słodyczami. Zapomniałam się: nie udało mi się w pełni ukryć obrzydzenia.

Lukrecja natychmiast to zauważyła.

- Ach, madonna Sancha, rzeczywiście jesteś prowincjonalna - rzekła i aby udowodnić, że sama jest inna, wrzuciła czekoladkę między swoje piersi.

Cezar zręcznym ruchem, w którym nie było ani śladu niestosowności, wziął pralinę w dwa place i odłożył z powrotem na tacę.

- Musisz dać naszej bratowej czas - powiedział gładko, bez cienia przy-gany - żeby nas poznała, zanim zaczniemy ją zadziwiać naszymi rzymskimi obyczajami.

Lukrecja oblała się ostrym rumieńcem. Odstawiła puchar na tacę, wzięła na wpół roztopioną czekoladkę i ponownie wetknęła między piersi.

Bez słowa podeszła do tronu ojca i gestem ręki kazała odejść ladacznicy, która teraz siedziała papieżowi na kolanach, poruszając lubieżnie biodrami.

Kobieta usłuchała, kłaniając się ze słodką minką, choć było jasne, że nie jest zadowolona. I Lukrecja zajęła jej miejsce.

Usiadła ojcu na kolanach i przycisnęła mu twarz do swoich drobnych piersi; Aleksander był oczywiście pijany - lecz nie na tyle, by nie zauważyć, że kobieta się zmieniła.

Gdy wargami i językiem próbował wyłowić czekoladkę, Lukrecja odwróciła się do mnie i zmrużyła z triumfem oczy. Szeleszcząc suknią, odwróciłam się i wyszłam.

12

Esmeralda i trzech gwardzistów szli za mną aż do drzwi, lecz odwróciłam się i zażądałam, żeby zostawili mnie samą. Powiedziałam to takim głosem, że nawet moja stara piastunka nie śmiała protestować. Zwykle nie pozwoliłaby mi wyjść samej po zmroku, lecz była na tyle bystra, by wiedzieć, że jestem w tak złym nastroju, iż nie zniosłabym sprzeciwu. Poza tym nie bałam się: jak zawsze miałam przy sobie sztylet od Alfonsa.

Wyszłam samotnie w rzymską noc. Powietrze było chłodne, plac przede mną spowity w mrok; za jedyne oświetlenie musiały mi wystarczyć migoczące złotym blaskiem okna Borgiowskich apartamentów i księżyc, którego poświata odbijała się od marmurowych gzymsów. Zadarłam spódnice i bardzo ostrożnie zeszałam po wysokich schodach, potem odwróciłam się i ruszyłam w kierunku słabych światełek palących się na parterze Palazzo Santa Maria.

Nie byłam pruderyjna. Zdarzyło mi się doświadczyć rozpusty na dworze ojca, a także własnego męża. Igraszki z kurtyzanami nie były dla mnie niczym dziwnym. Ale zawsze zachowywało się pewną dozę dyskrecji, dopuszczając się podobnych zachowań wyłącznie w obecności garstki zaufanych osób.

Najwyraźniej papież ufał wielu ludziom. A może nikt nie śmiał o tym mówić. Tak czy inaczej, było jasne, że człowiek, który doprowadził do skandalu, zabawiając się w przykatedralnym ogrodzie z kilkoma mężatkami, nie zmienił się ani na jotę, odkąd przywdział papieską tiarę.

Mogłam przymknąć na to oko, choć spodziewałam się większej dyskrecji. Po tym, jak łatwo Jego Świątobliwość zrezygnował z naprzykrzania mi się, uznałam, że wystarczy, iż odmówię mu parę razy i w końcu zostawi mnie w spokoju.

Bardzo ujęło mnie to, jak serdecznie Aleksander odnosi się do swoich dzieci; tęskniłam za ojcowską czułością i żałowałam, że mój własny rodziciel nie okazywał mi takich względów.

Jednak dziwny triumf na twarzy Lukrecji, gdy przyciskała twarz papieża do swojego biustu, sprawił, że zatęskniłam za domem, w którym się wychowałam.

Nie byłam w stanie ukryć obrzydzenia na widok takiej sceny między ojcem a córką - na krótką chwilę zobaczyłam w wyobraźni własnego ojca na miejscu Aleksandra, a siebie w roli Lukrecji. Na myśl, że Alfonso II mógłby przyciskać wargi do moich piersi i obłapiać mnie w pijackim szale, przeszedł mi dreszcz. Był to pomysł tak odpychający, że natychmiast go w sobie zdusiłam.

Teraz aż nazbyt dobrze pojęłam przyczynę zazdrości Lukrecji... i nie miała ona nic wspólnego z tym, że przyćmię jej urodę podczas jakichś publicznych uroczystości.

Jej miłość do Aleksandra wykraczała daleko poza to, co czuje córka do ojca. Spojrzenie, jakie mi posłała, należało do kobiety zazdrosnej o kochanka i zwracającej się do rywalki: „Zostaw go, on jest mój”.

Wyobraziłam sobie jej dziewczęce blade ciało wtulone w postarzałe, obwisłe cielsko papieża, i zrobiło mi się niedobrze; chwiejnym krokiem szłam skrajem placu, wdychając głęboko wieczorne powietrze, przesiąknięte błotnistym zapachem pobliskiego Tybru, jakbym w ten sposób mogła wyrzucić z pamięci to, co właśnie widziałam.

Intuicja podpowiadała mi, że Lukrecja jest zdeprawowana i zepsuta do szpiku kości. To, jak bezczelnie się zachowała, prowadziło do potwornego wniosku, że dopuszcza własnego ojca - papieża - do swojej łóżnicy.

Wzięłam głęboki oddech i uspokoiłam się nieco. Byłam cyniczna, skłonna do pochopnych ocen. Dopiero niedawno rozstałam się z bratem i już myślałam o wszystkich jak najgorzej. Co powiedziałyby na to Alfonso? - zastanawiałam się.

Na pewno się myślę, pomyślałam. Niemożliwe, aby tych dwoje łączyła cielesna miłość; byłoby to zbyt potworne. Lukrecji imponował po prostu ojciec, tak jak zdarza się to wielu młodym dziewczynom, a do tego miała silny temperament. Była zazdrosna o jego względy, a musiała już znosić Giulię; i oto pojawiłam się ja, jeszcze jedna kobieta, która odrywa od niej uwagę Aleksandra. I podczas tańca tak bardzo wzburzyła ją moja reakcja, że straciła nad sobą panowanie i za wszelką cenę chciała mnie zadziwić.

To wszystko, wmówiłam sobie. A może była w dodatku bardziej pijana, niż mi się zdawało.

Ta myśl uspokoiła mnie do pewnego stopnia; kiedy dotarłam do Palazzo Santa Maria, zdążyłam przekonać samą siebie, że Lukrecja zachowała się tak niestosownie z dziecięcej przekory, Aleksander zaś był z pewnością zbyt pijany, by dostrzec, że zagłębia twarz w dekolcie córki.

Gwardziści od razu mnie rozpoznali i wpuścili do pałacu. Loggia na parterze była dobrze oświetlona, lecz korytarze na piętrze nie, więc błąkałam się po nich zagubiona, aż wreszcie znalazłam wejście do swoich apartamentów.

Wyciągnęłam rękę, by otworzyć drzwi do pierwszej komnaty, wtem ktoś z brutalną siłą chwycił mnie za nadgarstek.

Obróciłam się. Obok mnie w mroku czaił się Rodrigo Borgia. Nawet słabe światło nie mogło ukryć brzydoty jego rysów - cofniętego podbródka, który zniknął w fałdach starczej skóry, wydatnego, lekko bulwiastego nosa i grubych warg wykrzywionych w lubieżnym uśmiechu. Powieki opadały mu od nadmiaru alkoholu. Złocisty płaszcz zniknął; teraz miał na sobie tylko czerwoną atlasową szatę i aksamitną piuskę.

Więc to prawda, pomyślałam z dziwną obojętnością. Między Watykanem a Santa Maria rzeczywiście istnieje sekretne przejście. Jak inaczej Jego Świątobliwość mógł opuścić przyjęcie tak szybko, żeby tu na mnie czekać?

Stojąc przy nim, nie mogłam nie zauważyć, że ma fizyczną przewagę: nie byłam postawną kobietą, a on w przeciwieństwie do Jofrego był wysoki i wciąż silny, pomimo sześćdziesięciu lat. Nie sięgałam mu nawet do barczystych ramion. Miał duże i grube kości, a moje były filigranowe: jego olbrzymie dłonie mogły objąć mnie w pasie albo z łatwością skrócić mi kark.

- Sancho, moja kochana, mój śnie - szepnął, ciągnąc mnie do siebie; uścisk na nadgarstku wzmógł się i stał bolesny, ale powstrzymałam się od krzyku. - Czekałem cały dzień na to spotkanie - wybełkotał - nie, co ja mówię, całe lata, od chwili gdy mi cię pierwszy raz opisano. Ale wojna nie dawała nam się spotkać... aż do dziś.

Otworzyłam usta, żeby go skarcić. Lecz nim zdążyłam wymówić pierwsze słowo, objął mnie ramieniem, złapał dłonią za tył głowy i przycisnął moje wargi do swoich. Opierałam się, lecz na próżno. Pocałował mnie, wargi przywarły mi do zębów; od odoru mięsiwa zmieszanego z winem zebrało mi się na wymioty.

Puścił mój nadgarstek i cofnął się z miną urażonego młodego kochanka oczekującego wzajemności. I doczekał się: z całej siły wymierzyłam mu policzek.

Zatoczył się i zrobił krok do tyłu, zanim odzyskał równowagę. Oczy zwięzły mu się z zaskoczenia i gniewu; dotknął uderzonego policzka, a potem opuścił rękę i roześmiał się drwiąco.

- Przeceniasz swoją pozycję, droga Sancho. Wprawdzie jesteś księżną, ale nie zapominaj, że ja jestem papieżem.

- Zawołam sługi! - syknęłam. - Są tuż za drzwiami.

- To wołaj. - Uśmiechnął się. - A ja ich oddalę. Naprawdę myślisz, że sprzeciwią się mojej woli?

- Są mi wierni.

- Jeśli tak, to gorzko tego pożałują - powiedział zaskakująco ujmującym i nonszalanckim tonem.

- Jak ci nie wstyd? - zapytałam. - Jestem żoną twojego syna!

- Jesteś kobietą. - W jego twarzy i głosie pojawiła się nagle hardość, złośliwość, którą wcześniej widziałam tylko w oczach jego córki. - A ja tu rządzę. Tak długo, jak mieszkasz pod moim dachem, jesteś moją własnością i mogę tobą rozporządzać wedle uznania.

Aby udowodnić te słowa, z zaskakującą jak na kogoś tak pijanego szybkością doskoczył do mnie, wsunął rękę w mój gorset i ścisnął dłońią pierś.

- Sancho, kochanie - powiedział z urazą - jestem tak stary, tak ohydny, że nie wyobrażasz sobie miłości ze mną? Uwielbiałbym cię ponad wszelkie słowa; niczego bym ci nie odmówił. Miałabyś, czego tylko byś zapragnęła. Tylko powiedz, czego chcesz! Jestem zawsze dobry dla tych, które mnie kochają.

Zanim zdążył skończyć, wyszarpnęłam mu dłoń spod gorsetu. W odpowiedzi złapał mnie za rękę i ruchem tak silnym, że straciłam dech, pchnął mnie plecami na ścianę. Naparł na mnie całym ciężarem; wiłam się i kopałam, lecz trzymał mnie mocno. Złapawszy mnie za nadgarstki, przygwoździł mnie do ściany w barbarzyńskiej parodii ukrzyżowania - a potem jął całować.

Prychałam, plułam na niego; krztusiłam się, gdy wetknął mi do ust język. Potem zadarł mi ramiona nad głowę i chwycił oba jednym potężnym łapskiem. Drugą ręką sięgnął w dół i pochylił się, zadzierając mi spódnice. Był jednak tak pijany, że gwałtowny ruch przyprawił go o zawrót głowy. Zatoczył się niepewnie.

Wykorzystałam okazję i się wyrwałam. W mgnieniu oka sięgnęłam po sztylet ukryty pod stanikiem. Zamierzałam go tylko postraszyć, a nie zranić. Lecz gdy uświadomił sobie, że się oswobodziłam, i sięgnął znów po moje ramiona, jego dłoń nadziała się na ostrze.

Wrzasnął i odskoczył. Oczy przyzwyczały mi się już do ciemności i widziałam, jak podniósł rękę, rozczapierzając palce. Oboje patrzyliśmy na nią zdumieni. Sztylet wbił się we wnętrze dłoni, tworząc doskonały stygmat, a krew spływała po nadgarstku. Skaleczenie było błahe, lecz efekt dramatyczny.

Aleksander utkwiał we mnie wzrok. Teraz dopiero zobaczyłam piekielną nienawiść, która na chwilę tylko zatliła się w oczach Lukrecji. Wydał przeciągły świst. Lecz pomimo gniewu, na jego twarzy zagrało też inne uczucie: strach.

„Znęca się nad słabszymi, ale tak naprawdę jest tchórzem - przebiegło mi przez myśl - zupełnie jak ojciec". Z tą wiedzą jęłam się do niego zbliżać z groźnie uniesioną klingą.

Nagle Rodrigo się uśmiechnął, pijany dyplomata przybrał pochlebny ton.

- Więc to prawda, co mówią: rzeczywiście jesteś nieustraszona. Słyszałem, że uratowałaś życie królowi Neapolu, zabijając kogoś.

- Właśnie tym sztylitem - potwierdziłam. - Poderżnęłam mu gardło.

- Tym bardziej zasługujesz na miłość - oświadczył z fałszywą wesołością. - Na pewno, Sancho, nie jesteś tak głupia, by odrzucić okazję...

- Jestem, Wasza Świątobliwość. Za każdym razem spotkasz się z tą samą odpowiedzią. - Zgromiłam go wzrokiem. - Jesteś ojcem, który twierdzi, że kocha własne dzieci. Jak poczułby się Jofre, gdyby nas teraz zobaczył?

Rodrigo zwiesił głowę i stał w milczeniu, ślaniając się lekko. Ku memu zdumieniu, wybuchnął płaczem i ukląkł.

- Jestem złym człowiekiem - jęknął skruszony. - Starym, pijanym i głupim. Czuję się bezradny w towarzystwie kobiet; to przekleństwo mojego życia. Donna Sancha, nie rozumiesz, że twoja uroda pozbawiła mnie rozumu. Teraz jednak zdobyłaś mój szacunek, bo jesteś nie tylko piękna, lecz także dzielna. Wybacz mi. - Zapłakał jeszcze bardziej rozpaczliwie. - Wybacz mi brak szacunku wobec ciebie i mojego biednego syna...

Jego skrucha, choć nagła, wydawała się szczerą. Opuściłam sztylet i zbliżyłam się o krok.

- Wybaczam Waszej Świątobliwości. Nigdy nie wspomnę o tym incydencie. Tylko to nie może się powtórzyć.

Potrząsnął olbrzymią głową.

- Przysięgam, że to się nie powtórzy, madonna. Przysięgam... Podeszłam jeszcze bliżej, zamierzając podać mu rękę i podnieść go z klęczek. Nagle natarł na mnie głową i ramionami z taką siłą, że przewróciłam się

na zimną kamienną podłogę, a sztylet wyleciał mi z ręki. Nie mogłam zobaczyć, gdzie upadł; zaplątana w fałdy sukni, próbowałam wstać. Obfite spódnice i aksamitne trzewiki sprawiały, że nie znajdowałam zaczepienia. Potężny Rodrigo zamajaczył przede mną i wyciągnął rękę...

W tej samej chwili pojawił się ktoś inny, równie wysoki, lecz szczuplejszy, bardziej proporcjonalnie zbudowany, i chwycił papieża za ramię.

- Ojczy - powiedział Cezar z takim spokojem i swobodą, jakby budził starego ze snu, a nie przerywał gwałt.

Zdezorientowany Rodrigo odwrócił się do syna, wciąż gotów do walki. Zamachnął się - ale Cezar, silniejszy od ojca, capnął go za rękę, a potem roześmiał się, jakby to był tylko dobry żart.

- Ojczy! Wypiłeś za dużo wina. Gdybyś chciał mnie pobić, na trzeźwo z łatwością byś to uczynił. Chodź, Giulia o ciebie wypytuje.

- Giulia? - Papież popatrzył na mnie niezdecydowany. Aż nazbyt pewny siebie, gdy mnie napastował, teraz nagle wydał się zagubionym staruszkiem.

Cezar niedbale kiwnął głową w moim kierunku.

- Nie jest ci potrzebna. Giulia zrobi się zazdrosna, jeśli szybko do niej nie pójdziesz.

Papież spojrział na mnie spode łba, a potem odwrócił się i ruszył w głąb korytarza. Cezar obserwował go jeszcze przez chwilę - po czym upewniwszy się, że ojciec nie zawróci, podbiegł i ukląkł przy mnie.

- Madonna Sancha, czy jesteś pani ranna? - zapytał z wielkim niepokojem. Pokręciłam głową. Bolały mnie ramiona i żebra, a nadgarstki miałam posiniaczone, ale nie doznałam poważniejszych obrażeń.

- Pójdę i dopilnuję, żeby Jego Świątobliwość trafił do odpowiedniej komnaty. Muszę za niego przeprosić, madonna; jest pijany. - Podał mi ręce i pomógł wstać. - Za pozwoleniem, przyjdę do pani wkrótce, aby dokonać lepszych przeprosin. Teraz muszę się zająć ojcem.

I zniknął.

Znalazłam sztylet na marmurowej posadzce i wsunęłam go do pochwy; po raz kolejny prezent od brata dowiódł, ile jest wart. Kiedy weszłam na swoje komnaty, służki popatrzyły na mnie szeroko otwartymi oczyma, oniemiale; dopiero gdy obejrzałam się w lustrze, zdałam sobie sprawę, że piersi prawie wypadły mi z gorsetu, spódnica jest podarta, a włosy wysypały się spod złotej siatki na ramiona.

Cezar dotrzymał słowa. Po kilku chwilach - zanim służące zdążyły zdjąć złotą siateczkę i uczesać mi włosy - rozległo się dyskretne pukanie.

Poprawiłam gorset, oddaliłam służki i sama podeszłam do drzwi. Wciąż trzęsłam się po stoczonej walce - co wielce mnie irytowało.

Cezar, opanowany, lecz zarazem zaniepokojony, czekał na korytarzu. Zaprosiłam go do komnaty. Wszedł, ale odmówił, gdy zaproponowałam, by usiadł.

- Madonna Sancha, czy na pewno nic się nie stało?

- Tak, na pewno. - Staralam się zwracać do niego z równą godnością, jak on do mnie. Prawdę mówiąc, mniej obchodziła mnie napaść, której dopuścił się jego ojciec, niż to, co pomyśli o mnie Cezar.

- Błagam panią o wybaczenie - powiedział. - Jego Świątobliwość nazbyt często próbuje zapomnieć o problemach wagi państwowej przy kielichu wina. Teraz już smacznie śpi. Podejrzewam, że do rana zapomni o całym incydencie.

„I twierdzisz, że ja też powinnam o nim zapomnieć”, chciałam powiedzieć, lecz byłoby to niestosowne. Nie miałam wyboru i tak musiałam o wszystkim zapomnieć, gdyż papież miał nade mną pełną władzę. Gdyby chciał, mógł mnie wtrącić do więzienia w zamku Sant' Angelo pod zarzutem zdrady albo kazać zamordować jednemu ze swych siepaczy. Byłam wdzięczna Cezarowi, że okazał mi zainteresowanie, bo to znaczyło, że nie tylko bezsilny Jofre jest moim sprzymierzeńcem na dworze Borgiów.

Zamiast tego odparłam:

- Istnieje dowód tego zdarzenia. Zraniłam go... sztyletem. Ma skaleczoną dłoń.
- Niemożliwe, by rana była poważna - odrzekł Cezar. - Nie zauważyłem jej, a ojciec wcale się nie skarżył.
- To prawda. Ale pozostał ślad.
Cezar zastanawiał się przez dłuższą chwilę; jego mina przypominała powierzchnię jeziora niezmaconą najmniejszą falą. Wreszcie zaproponował:
- Jeśli ojciec nie będzie pamiętał, co się stało, uzgodnijmy oboje tu i teraz, że rana jest skutkiem kłótni z jedną z kurtyzan. Powiem mu, że osobiście byłem tego świadkiem, a kobietę surowo ukarano.
Pokiwałam głową.
Cezar powtórzył mój gest, dając do zrozumienia, że zostaliśmy współnikami, a potem się uklonił.
- Do widzenia, madonna.
Ruszył do wyjścia, lecz zatrzymał się i popatrzył na mnie przez ramię tym samym intensywnym, ciemnookim spojrzeniem.
- Jesteś pani jedyną kobietą, jaką znam, która mu odmówiła. To wymaga wielkiej odwagi i stanowczości.
Spuściłam wzrok.
- Jestem żoną jego syna. - Nie odpowiadałam po prostu Cezarowi, sama również przypominałam sobie o tym fakcie.
Umilkł na chwilę, a potem rzekł:
- Szkoda, madonna, że poznałaś najmłodszego przed najstarszym. - Znowu popatrzył na mnie, lecz tym razem śmiało spojrziałam mu w oczy.
- Szkoda - powiedziałam. Uśmiechnął się pod nosem i wyszedł.

13

Donna Esmeralda i inne dworki odczekały stosowne pół godziny, zanim wróciły z przyjęcia. Do tej pory służące zdążyły mnie rozebrać do samej halki i zdjąć z włosów złotą siatkę. Gdy Esmeralda weszła do komnaty, rozplotły już finezyjnie upięte warkocze i rozczesały włosy, lecz myślę, że wciąż drżałam - a minę musiałam mieć nietęgą. Z pewnością z podartej szaty i stroju w nieładzie służki domyśliły się, że przydarzyło mi się coś złego,

lecz okazały się na tyle bystre, by zauważyć, że nie jestem w nastroju do zwierzeń, i milczały.

Ze sposobu, w jaki stara Esmeralda zmrużyła oczy, gdy mnie zobaczyła, zorientowałam się, że też wie - ale i ona nie zadawała pytań. Nie było sensu jej się zwierzać; pogłębiłoby to tylko jej niechęć do papieża i wiarę w Savo-narolę - jedno zaś i drugie było w Watykanie niebezpieczne. Poza tym wkrótce i tak się o wszystkim dowie, miała przecież prawdziwy talent do zbierania informacji.

Dopóki moim domem był Palazzo Santa Maria in Portico, przestałam być Sanchą Aragońską, księżną i córką króla Neapolu. Nie miałam żadnego obszaru władzy, nie mogłam swobodnie wyrażać zdania bez obaw o konsekwencje, moje działania przestały być wolne i nieograniczone. Byłam donną Sanchą, żoną najmłodszego, najmniej utalentowanego bękarta papieża i żyłam na łasce Jego Świątobliwości.

Nie mówiłam kobietom ze świty niczego, tylko ułożyłam się do snu w nowym wspaniałym łożu i wtuliłam głowę w miękką puchową poduszkę.

Bałam się. Jeśli papież zapamięta nasze spotkanie, jego gniew może być straszliwy. Cezar powiedział, że nie odmówiła mu do tej pory żadna kobieta.

Pocieszałam się jednak, że nie muszę się obawiać o życie. Możliwe, że Rodrigo był zdolny do zabójstwa z racji politycznych albo dla zysku, aleja byłam jego synową i wiedział, że Jofre mnie kocha. Poza tym nigdy nie skrzywdziłby kobiety.

Niepokój o reakcję papieża rozpraszały również po tysiącokroć przywoływane w pamięci słowa Cezara i łagodny łuk uśmiechu, który zadrgał na jego wargach.

„Szkoda, madonna, że poznałaś najmłodszego przed najstarszym”.

Na wspomnienie o tym czułam dreszcz podniecenia i bezgraniczną radość. Zdałam sobie sprawę, że nie tylko ja zapalałam afektem. Cezar też był mną zauroczony.

Nazajutrz, w Zielone Świątki, wstałam wczesnym rankiem.

Choć poprzedniego dnia przez wzgląd na Lukrecję zadbałam o dobranie stonowanego, wręcz statecznego stroju, teraz rozpierała mnie dziwna energia. Rozkazałam służkom, aby przyniosły jedną z moich najwspanialszych szat, przepyszną suknię z soczyście zielonego atłasu z ciemnozielonym aksamitnym stanikiem wiązany złotymi sznurkami. Rękawy były z takiegoż aksamitu - wielkie skrzydła z wąskimi atłasowymi mankietami w jaśniejszym odcieniu zieleni.

Donna Esmeralda wyduła podejrzliwie wargi, patrząc na to wszystko, ale nie odezwała się słowem. Kiedy wzięła szczotkę i zaczęła zaplatać warkocz,

aby później upiąć go w skromny kok tak jak każdego ranka, odkąd wyszłam za męża, zaprotestowałam:

- Tylko je uczesz. Chcę mieć rozpuszczone włosy. Zmarszczyła brwi i popatrzyła na mnie z dezaprobatą.

- Donna Sancha, jesteś mężatką.

- Lukrecja też, a chodzi z rozpuszczonymi.

Zgromiła mnie wzrokiem i bez słowa zaczęła szcztokować włosy, bynajmniej nie łagodnie. Była mi bliższa od własnej matki, nie narzekałam więc. Powstrzymałam się też od pisku, gdy natknęła się na splątany kosmyk i jęła targać go niemiłosiernie.

Gdy już byłam uczesana, zażądałam klejnotów. Na szyi zawiesiłam jeden ze ślubnych prezentów od Jofrego: szmaragd wielkości kciuka, nad czołem zaś założyłam złoty łańcuszek z mniejszym szmaragdem. W efekcie moje oczy lśniły zielenią bardziej od szlachetnych kamieni. Wyglądałam, jakbym się wybierała na bal, a nie na mszę.

Tak wystrojona udałam się do apartamentów męża - i w korytarzu tuż przed jego drzwiami natknęłam się na jedną z kurtyzan, która wychodziła właśnie z jego pokoju. Najwyraźniej spędziła tam noc, a potem została przepędzona przez służbę, gdyż opuszczała komnatę w wielkim pośpiechu: miała potargane włosy, w rękę trzewiki, suknię założyła tak niedbale, że zapomniała wpuścić koszulę w rozcięcia rękawów, drobne piersi ledwie trzymały się w zbyt luźno zasnurowanym gorsecie.

Na przygiętych nogach, niemal w kucki, wykradała się, wkładając w to tyle nadmiernego wysiłku, że efekt był wręcz komiczny. Włosy, opadające w nieładzie na ramiona, miały nieokreślony rudokasztanowy kolor; błękitne oczy podniosły się na mnie ze strachem, gdy stanęłam jej na drodze. Odgrywając rolę urażonej małżonki, wyprężyłam się jak struna i spiorunowałam ją wzrokiem z pogardą godną Lukrecji.

- Madonna! - wymamrotała drżącymi wargami i skłoniła się nisko. W tej pozycji wycofała się przede mną rakiem, po czym wykonała obrót i puściła się biegiem w głąb korytarza, czemu towarzyszyły donośne plaśnięcia bosych stóp o marmurową posadzkę.

Dyskretnie odczekałam chwilę i weszłam do antekamery, gdzie pokojowiec Jofrego powiedział mi, że pan wciąż śpi z powodu nadmiaru wypitego wina.

Śniadanie zjadłam samotnie w swoim apartamencie, a potem zaczęło mi się nudzić. W pałacu panowała martwa cisza; bez wątplenia Jofre nie był dziś jedynym śpiochem.

Do mszy wciąż zostało dużo czasu. Miało to być nabożeństwo bardziej uroczyste niż zwykle z racji znaczenia dzisiejszego dnia: Zielone Świątki

upamiętniały zdarzenie sprzed tysiąca pięciuset lat, gdy ogień Ducha Świętego tak wypełnił apostołów, że jęli nauczać językami, których nie znali.

Cud ów zdawał mi się tamtego ranka całkiem odległy i pozbawiony sensu: to, co wydarzyło się pierwszego dnia mojego pobytu wśród Borgiów, wprawiało mnie w huśtawkę nastrojów, od radości po lęk. Niespokojna, zesłam po schodach na dół i przez wyłożoną marmurowymi płytami loggię do ogrodu. Dzień był ciepły i słoneczny, a ogród oszałamiająco pachnący: wzdłuż ścieżki stały gliniane donice z miniaturowymi drzewkami pomarańczowymi - idealnie przycięte kule zieleni obsypane białym kwieciem. Po drugiej stronie rosły starannie wypielegnowane krzewy różane, wypuszczające delikatne pąki.

Szłam samotnie tak długo, aż znalazłam się poza zasięgiem wzroku domowników. W końcu, jako że robiło się coraz cieplej, siadłam na rzeźbionej ławeczce w cieniu drzewa oliwkowego, aby się ochłodzić.

- Madonna - odezwał się męski szept i drgnęłam, nagle przeświadczona, że mściwy Rodrigo nasłał na mnie zabójcę. Z gardła wyrwało mi się westchnienie i przycisnęłam rękę do piersi.

Obok mnie stał mężczyzna ubrany w czerń - w szatę, która mogłaby uchodzić za księżą sutannę, gdyby kołnierz i mankiety nie były z najprzedniejszego aksamitu, zaś reszta z jedwabiu.

- Wybacz pani, że cię przestraszyłem - powiedział Cezar. Powaga stroju podkreślała surową urodę jego rysów. Nie przypominał swojego rodzeństwa; włosy miał kruczoczarne, proste, sięgające do połowy karku, z grzywką zasłaniającą wysokie czoło. Broda i wąs były starannie przystrzyżone, wargi i dłonie delikatne, zupełnie niepodobne do ojcowskich; miał ciemną karnację Rodriga, lecz urodę swej matki Vannozzy, a do tego wdzięk, rodzaj uroku i godności, której mimo całej biżuterii i eleganckich strojów nie mieli pozostali członkowie rodu. W Lukrecji i papieżu Aleksandrze dostrzegałam przebiegłość; w Cezarze wyczuwałam zapierającą dech w piersiach inteligencję.

- To doprawdy nie twoja wina, panie - odrzekłam. - Nie doszłam jeszcze w pełni do siebie po wydarzeniach ostatniej nocy.

- Ze zrozumiałych powodów, madonna. Przysięgam, że uczynię wszystko, co w mej mocy, aby nigdy więcej nie dopuścić do tak strasznego naruszenia przyzwoitości.

Spuściłam oczy, cieszyłam się, że mam na sobie jedną z najlepszych sukni.

- Obawiam się, że Jego Świątobliwość...

- Jego Świątobliwość nadal śpi. Zapewniam panią, że uważam za swój obowiązek naprawę stosunków między wami. Teraz, gdy posunął się w latach, nadmiar wina mąci mu pamięć. Jeśli jednak zapamiętał cokolwiek

z wczorajszej nocy, podprowadzę go tropem, który będzie dla pani najkorzystniejszy.

- Jestem wdzięczna - powiedziałam i z opóźnieniem zdałam sobie sprawę, że uprzejmość kazała mu stać w prażącym słońcu, podczas gdy ja siedziałam wygodnie w cieniu. - Proszę... - Wskazałam mu miejsce obok siebie, po czym dodałam: - Tymczasem wywarłam na waszej rodzinie niezbyt korzystne wrażenie.

Zanim zdążyłam dokończyć, odparł czym prędzej:

- Na jednym z nas wywarła pani wrażenie nader korzystne. Przyjęłam komplement z uśmiechem, lecz nie ustąpiłam:

- Lukrecja mnie nie lubi. Nie rozumiem dlaczego i chciałabym temu zaradzić.

Cezar spojrział w dal, na zielone wzgórza.

- Jest zazdrosna o każdego, kto odciąga od niej uwagę ojca. - Odwrócił się do mnie i popatrzył na mnie szczerze. - Proszę zrozumieć, madonna, że jej własny mąż, Giovanni, nie chce z nią mieszkać pod jednym dachem. Jest to źródłem wielkiego wstydu, czemu mój ojciec wielokrotnie próbował zaradzić, błagając Giovanniego o powrót do Rzymu. Poza tym ojciec zawsze ją rozpieszczał. Ale kiedy zobaczy, że nie rywalizujesz z nią, pani, o jego względy, zaczniesz ci ufać. - Zawiesił głos. - Tak samo odnosiła się do donny Giulii; długo nie umiała zdać sobie sprawy, że miłość ojca do innej kobiety i miłość do córki nie są jednym i tym samym. Nie zamierzam oczywiście twierdzić, że kiedykolwiek związałaś się, pani, w ten sposób z Jego Świątobliwością...

- Istotnie - powiedziałam stanowczo - nigdy bym tego nie zrobiła. Dziękuję za wyjaśnienie mi tego, kardynale.

- Proszę. - Błysnął uśmiechem; miał drobne i równe zęby. - Proszę mówić do mnie „Cezarze”. Kardynałem jestem nie z powołania, tylko z powodu nalegań ojca.

- Cezarze - powtórzyłam.

- Lukrecja potrafi być bardzo uczuciowa - powiedział - i bardzo wierna tym, których obdarza zaufaniem. A przede wszystkim uwielbia się bawić, igrać jak dziecko. Ma ku temu niewiele okazji z racji swoich obowiązków. Bo widzi pani, ona ma intelekt mężczyzny. Ojciec polega na jej radach bardziej niż na moich.

Słuchałam, kiwając głową i z wysiłkiem starałam się skupić na słowach, a nie na ruchu jego warg, na wysokich, niby wyciosanych pewnym dłutem kościach policzkowych, na rudawych odblaskach światła w jego brodzie. Siedząc obok niego, czułam ciepło rozchodzące się po łonie, jakby mięśnie, kości i organy dolnej połowy ciała roztopiały się niczym śnieg w jasnym słońcu.

Skończył swój wywód; to, co czułam, musiało się ujawnić w wyrazie twarzy, gdyż nagle stał się dziwnie tkliwy. Pochylił się ku mnie i łagodnie położył dłoń na moim policzku.

- Jesteś, pani, dzisiaj jak królowa - powiedział półgłosem. - Jak najpiękniejsza królowa świata, o najcudowniejszych oczach pod słońcem. Szmaragdy przy nich wyglądają jak pospolite błyskotki.

Te słowa wprawiły mnie w drzenie; przysunęłam się, lgnąc do jego ręki niczym łaszcząca się kotka. To, co czułam do Cezara, było tak potężne, że z łatwością zapomniałam o małżeńskiej przysiędze.

Cofnął rękę i skoczył na równe nogi.

- Jestem nikczemnikiem! - oświadczył. - Największym łotrem na ziemi! Obiecałem bronić pani przed lubieżnymi zapędami ojca, a teraz jestem nie lepszy od niego!

- To nie to samo - powiedziałam, starając się powstrzymać drzenie głosu. Obrócił się ku mnie, zgnębiony.

- Jak to? Jesteś, pani, żoną mojego brata!

- Rzeczywiście, jestem żoną twojego brata - wyszeptałam.

- Więc czymże moje zachowanie różni się od zachowania ojca?

- Nie jestem zakochana w twoim ojcu. - Zarumieniłam się, zdumiona własnymi słowami i ich bezczelnością; miałam wrażenie, że utraciłam kontrolę nad sobą i tym, co czynię. Byłam jak matka, zupełnie bezsilna.

A mimo to nie żałowałam swego wyznania. Zobaczyłam namiętność i radość w jego oczach. Podałam mu rękę. Wziął ją i usiadł koło mnie.

- Nie śmiałem żywić nadziei... - zająknął się, a potem zaczął od nowa: - Odkąd cię ujrzałem, Sancho...

Umilkł. Które z nas zainicjowało pocałunek, nie potrafię powiedzieć. Odchylił się, przyciągnął mnie do siebie, całując raz po raz, a czasem delikatnie kęsając mi wargi. Wzięłam jego rękę i przycisnęłam ją do piersi.

- Nie tutaj - wydyszał, choć nie cofnął dłoni. - Nie teraz. Ktoś może zobaczyć.

- Więc dzisiaj w nocy - powiedziałam, drżąc na myśl o własnej śmiałości. - Ty wybierz najbezpieczniejsze miejsce i porę.

- Tutaj. Dwie godziny po północy.

I tak staliśmy się współnikami spisku. Wtedy tamte słowa brzmiały dla mnie słodko jak muzyka; zupełnie zapomniałam o proroctwie sprzed lat, że moje serce może zniszczyć wszystko, co kocham. Lecz nawet gdybym pamiętała tę przestrożę, bawiąc owego słonecznego poranka w ogrodzie z Cezarem, nie pojęłabym jej, nie umiałabym dostrzec, jak nasza namiętność z biegiem lat zmieni się w swe przeciwieństwo.

Kiedy w końcu Jofre wstał i się ubrał, musiał zaprowadzić mnie do Świętego Piotra na mszę. Uczynił to, mrużąc boleśnie oczy przed blaskiem rzymskiego słońca, gdy we dwoje szliśmy wraz ze świtą do bazyliki obok Watykanu.

Na szczęście nadmiar alkoholu i uciech z obcymi kobietami sprawił, że stał się otepiały i milczący; wprawdzie z zaciekawieniem obrzucił spojrzeniem moją wspaniałą suknię, lecz nie pytał o przyczynę nagłej zmiany w doborze garderoby. Zdawał się również nie zauważać rozpierającej mnie radosnej energii.

Za każdym razem, gdy przypominałam sobie pocałunek Cezara, nie potrafiłam powstrzymać uśmiechu. Już nie przejmowałam się tym, co sądzą

o mnie Jego Świątobliwość i Lukrecja. Nie obchodziło mnie, czy papież pamięta, że mu odmówiłam, ani czy zamierza się zemścić: jeśli tylko dożyję schadzki z Cezarem w ogrodzie, będę szczęśliwa. Wszystkie moje myśli

i uczucia skupiały się na tej jedynej wyczekiwanej z utęsknieniem chwili, gdy znajdę się z moim ukochanym sam na sam.

Weszliśmy do bazyliki. Świątynię zbudowano ponad tysiąc lat wcześniej i jej wnętrze świadczyło o tym wieku. Spodziewałam się przepychu i blasku, lecz kamienne mury były od wewnątrz popękane, a posadzka tak wysłużona i nierówna, że musiałam uważać, żeby się nie potknąć. Ani setki zapalonych świec, ani złocenia ołtarza nie mogły rozproszyć mroku; dym kadzideł potęgował jeszcze wrażenie zamknięcia i duszności. Czułam się, jakbym weszła do ogromnej krypty, co w pewnym sensie było prawdą, jako że pod ołtarzem spoczywały ponoć szczątki świętego Piotra.

Nic jednak nie było w stanie popsuć mi humoru. Odłączyłam się od męża i poszłam zająć miejsce przeznaczone dla kobiet z papieskiego dworu. Lukrecja jeszcze się nie pojawiła, ale delikatna, eteryczna Giulia już tam była razem z bystrooką Adrianą i świtą. My, kobiety, stałyśmy z przodu w głównej nawie, nieco z boku, przodem do ołtarza, postawiono wielki tron dla Jego Świątobliwości, a za nim siedzenia dla kardynałów i członków rodu Borgiów. Wielu kardynałów zajęło już miejsca, lecz ja szukałam wzrokiem tylko jednego, Cezara.

Jeszcze nie przyszedł. Minęło trochę czasu, nim usłyszeliśmy dźwięk fanfary; wreszcie pojawił się Jego Świątobliwość ubrany w białą atlasową szatę, także piuskę i długi złocisty płaszcz. Kiwnął do mnie głową z dobrotliwym uśmiechem; jeśli chował wobec mnie urazę, to umiał jej nie okazywać -ja natomiast ukloniłam się z największym szacunkiem. Po nim nadszedł Cezar, który zajął miejsce obok tronu; przy nim usiadł Jofre, a reszta krzesel zapełniła się prędko kardynałami.

Za Cezarem weszła Lukrecja z tuzinem dworek. Była ubrana w błękitno-szarą jedwabną suknię doskonale dopasowaną do koloru oczu. Byłam w takiej euforii, tak radowało się moje serce, że uśmiechnęłam się do niej pro-

miennie na powitanie, gdy zbliżyła się, żeby stanąć koło mnie, i uściskałam ją z takim entuzjazmem, że wprawiłam ją w zdumienie.

Z racji święta do wygłoszenia kazania zaproszono gościnnie hiszpańskiego prałata. Duchowny z desperacją usiłował zachwycić szacownych słuchaczy erudycją i głądził nieznośnie długo. Nigdy nie sądziłam, że Duch Święty, który pod postacią języków ognia obdarzył apostołów nadludzką mądrością, może być tematem tak nudnym.

Ksiądz gadał ponad godzinę - w tym niewybaczalnie długim czasie Jego Świątobliwość dwukrotnie ucierpiał wskutek napadów kaszlu, a liczni kardynałowie bez skrepowania wierzili się na stołkach. Pewien leniwy Borgia odchylił głowę do tyłu i z rozwartymi ustami jął głośno chrapać.

Nie mogłam się powstrzymać od chichotu. Udało mi się stłumić śmiech na tyle, że nie dobiegł uszu papieża, ale cała się trzęsłam. Spotkanie z Cezarem wprawiło mnie w dziwnie dziecinny nastrój; w normalnych okolicznościach nigdy nie pozwoliłabym sobie na tak niegodne zachowanie.

Ale mój chichot był tak nieopanowany, że Lukrecja, zwykle tak ostrożna, sama się nim zaraziła. Z trudem łapiąc oddech, spjrzałam jej w oczy... i obie musiałyśmy chwycić się za ręce, żeby nie upaść na kamienną posadzkę.

Wtedy naszła mnie diabelska myśl. Oto my, biedne niewiasty, zmuszone jesteśmy stać na niemilosiernym kamieniu tak długo, że aż nogi bołą, gdy tymczasem mężczyźni siedzą sobie wygodnie na krzesłach. Ale po lewej były wąskie schodki prowadzące do drewnianych stall, skąd zazwyczaj śpiewano Ewangelię. Tej niedzieli ławy były puste.

Pociągnęłam Lukrecję lekko za rękaw i oczami wskazałam na stalle. Lukrecja rozwarła szeroko powieki, zdumiona nieco niestosownością propozycji. Pobożność nakazywała nam stać podczas kazania bez ruchu; było to szczególnie ważne w przypadku krewnych papieża. Gdy się jednak zastanowiła, zdziwienie zastąpiła złośliwa radość.

Wyminęłam inne damy i nie mogąc powstrzymać wesołości, wbiegłam po schodkach jak mała dziewczynka, a potem z kompletnym brakiem taktu siadłam w ławie.

Lukrecja ruszyła za mną - wspinała się po schodach z przesadnym hałasem, zwracając na siebie większą uwagę zgromadzenia. Usiadła, wydawszy tak donośne westchnienie, że prałat przerwał kazanie i zmarszczył z oburzeniem brwi. Dworki musiały podążyć za nami na górę, co wywołało spore zamieszanie, a ksiądz, zgubiwszy wątek, trzy razy powtarzał jedno zdanie, zanim przypomniał sobie następne.

Zerknęłam na papieża; uśmiechał się szeroko, zachwycony figlarnością swoich kobiet. Przeniosłam wzrok na Cezara; jego wargi nawet nie drgnęły, ale ciemne oczy skrzyły się humorem.

Nie patrząc na nią, pochyliłam się ku Lukrecji i szepnęłam: - Uwierz mi, proszę: nie mam żadnych planów wobec twojego ojca. Pragnę być tylko żoną twojego brata.

Udała, że nie słyszy. Ale gdy upłynęło kilka chwil i zerknęłam na nią, patrzyła na mnie radośnie i z sympatią. Zdobyłam w Watykanie kolejną przyjazną duszę.

14

Wieczorem odesłałam najbliższe dworki z sypialni, tłumacząc, że pragnę spać sama. Były przyzwyczajone do moich kaprysów i o nic nie pytały, tylko przeniosły się na noc do sąsiedniej komnaty. Zanim wyszły, poprosiłam najmłodszą służkę, Felicję, o przyszykowanie mi czarnej jedwabnej sukni i welonu, ponieważ bardzo tęsknię za Neapolem i zamierzam przez cały tydzień nosić żałobę.

Wiedziałam, że powinnam naradzić się z donną Esmeraldą - która bez wątpienia znalazła już kilka poufnych źródeł i zebrała mnóstwo wiadomości o członkach rodziny Borgiów. Tak jednak mocno się zadurzyłam, że o nic nie pytałam; jeśli Cezar był rozpustnikiem równie lubieżnym i niestałym co ojciec, nie chciałam o tym wiedzieć. Nawet gdyby mi coś takiego powiedziano, nie uwierzyłabym.

Ledwie miałam czas zdmuchnąć płomyk oliwnej lampki na stoliku, gdy rozległo się niecierpliwe pukanie do drzwi - serce mi zamarło, gdyż rozpoznałam Jofrego. Nie czekając na odpowiedź, wszedł do komnaty; w żółtawym świetle zobaczyłam głupkowaty uśmieszek na jego twarzy.

- Sancho, kochanie - powiedział. - Czy dziś znajdzie się dla mnie miejsce w twoim łóżu?

Zamknął za sobą drzwi. Słaniał się lekko na nogach i miał przymrużone powieki; był pijany, co zdarzało mu się często, odkąd zamieszkaliśmy z jego rodziną. Zbladłam.

- Ja... źle się czuję - bąknęłam i jakbym była dziewczicą, zasłoniłam dekolt, żeby nie zobaczył zbyt wiele nagiego ciała.

Jofre zdawał się nie słyszeć moich słów. Napędzany winem, podreptał do mnie, zataczając się, i położył ręce na moich piersiach.

- Mam najpiękniejszą żonę na świecie - wybełkotał - posiadę ją teraz.

Czułam dwie rzeczy: żałowałam go, bo nie odwzajemniałam jego uczuć, i bałam się, że wino sprawi, iż zaśnie w moim łóżku właśnie w noc, na którą zaplanowałam pierwszy akt niewierności.

Gdyby był choć trochę bardziej pijany, w ogóle nie mógłby dokonać dzieła. Położyłam się ulegle na łóżku i rozłożyłam uda. On zaś spuścił w dół nogawice, zadarł mi do pasa spódnice, wdrapał się na mnie i wsunął do środka członek

To co nastąpiło później, nie natchnęłoby nawet poetyckiego Petrarcki. Jofre leżał na mnie niezdolny do podparcia się na własnych rękach, z twarzą w moim biuście. Przez chwilę miotał się we mnie dziko i niezdarnie, a potem przerwał, bo dostał zadyszki.

- Czy kiedykolwiek mnie pokochasz? - zapytał płaczącym głosem.

- Jesteś moim księciem - odpowiedziałam. Mogłam spotykać się za jego plecami z Cezarem, lecz nie potrafiłam mu kłamać w żywe oczy. - Im dłużej cię znam, tym bardziej cię lubię.

Opadła mu głowa; przestraszyłam się, że za chwilę zaśnie.

Wykorzystałam kobiecy trik, który wyjaśniono mi przed nocą poślubną: napięłam mięśnie wokół organu Jofrego i pobudziłam go na tyle, że jął znowu mnie chędożyć. Wkrótce wytrysnął i opadł bez sił.

Odsapnął i przewrócił się na plecy; wyczułam, że znowu jest bliski zaśnięcia, więc podciągnęłam mu rajtuzy, a potem postawiłam go na nogi.

- Musisz szybko wrócić do swojej komnaty - powiedziałam bez dodatkowych wyjaśnień. - Czekaj. Pomogę ci.

Wino i miłość sprawiły, że był zbyt oszołomiony, by protestować. Podtrzymałam go i zaprowadziłam z powrotem do drzwi. Jak mieliśmy w zwyczaju, cmoknęłam go na pożegnanie.

- Dobranoc, mój słodki.

Wróciłam do łóżka. Jeśli wszystko, co wiedziałam o Bogu, było prawdą, to byłam potępiona; ogarnęły mnie wyrzuty sumienia. Nie chciałam zdradzać męża, ale serce nie pozwalało mi postąpić inaczej. Jestem zła - mruknęłam do siebie. Zła i występna. Jak mogę być tak okrutna dla kogoś, kto mnie kocha? Nawet jednak z nogami lepkimi od nasienia Jofrego marzyłam o schadzce z jego bratem. Siła uczucia do Cezara nie pozostawiała mi wyboru. Zdawało się ironią losu, że tak olśniewająca, wspaniała rzecz jak miłość przydarzyła się zbyt późno, gdy obie strony złożyły przysięgi, które zabraniały czerpania z niej radości.

Wytarłam się ręcznikiem. Wreszcie nadszedł czas; wstałam i po omacku zaczęłam się ubierać.

Inne dworki spały już głęboko - ale donna Esmeraldą me dała się oszukać. Kiedy męczyłam się ze sznurowaniem gorsetu, stara tęga matrona, odziana tylko w białą koszulę nocną, weszła do komnaty.

Nie odezwała się słowem. W mroku nie widziałam jej miny, lecz wyczułam jej dezaprobatę i wyobrażałam sobie karcące spojrzenie.

- Nie mogłam zasnąć - powiedziałam wyniośle. Wciąż milczała, zażądałam więc: - Pomóż mi chociaż zawiązać gorset.

Esmeralda usłuchała, naciągając sznurówkę bolesnymi szarpnięciami.

- Będą z tego same kłopoty, madonna.

Byłam zbyt niecierpliwa, zbyt odurzona miłością, aby przyjąć do wiadomości tę prawdę.

- Przecież mówię, że nie mogę zasnąć! Odetchnę świeżym powietrzem.

- Nie wypada młodej kobiecie wychodzić o tej porze samotnie. Pozwól, że z tobą pójde albo zawołam gwardzistę.

- Po prostu zawiąż mi gorset, a potem zostaw mnie w spokoju! Wczoraj wieczorem wyszłam sama z uczty i bezpiecznie wróciłam do komnaty, prawda? Umiem o siebie zadbać.

Nie odpowiedziała. Skończyła sznurować suknię i cofnęła się o parę kroków. Wreszcie westchnęła głęboko; zbyt dobrze mnie знаła, żeby przemilczeć sprawę.

- To nie było tak, madonna. Wczoraj bardzo potrzebowałam pomocy.

Zaniemówiłam ze zdumienia. Jak ktoś oprócz mnie i Cezara mógł się dowiedzieć o ataku Jego Świątobliwości? Jeśli donna Esmeralda już wie, nie mogłam się łudzić, że zdołam utrzymać w sekrecie romans z Cezarem.

Wmówiłam sobie jednak, że nic mnie to nie obchodzi.

- Nic więcej nie powiem - stwierdziła wreszcie Esmeralda. - Wiem, że jesteś uparta i głucha na głos rozsądku. Ale posłuchaj: to, co zamierzasz zrobić, sprawi, że znajdziesz się w jeszcze większym niebezpieczeństwie niż wczoraj wieczorem. Jesteś Ewą w rajskim ogrodzie, a on jest wężem.

- Zostaw mnie w spokoju - rozkazałam i zakryłam twarz welonem.

Nocne powietrze ochłodziło się tylko trochę po upalnym dniu; byłam przyzwyczajona do mgieł przybrzeżnego klimatu, lecz rzymska pogoda nie zapewniała takiej osłony. Liczyłam wszakże na to, że mrok i ciemny welon wystarczą, by nikt mnie nie rozpoznał.

Chmury na niebie zasłaniały częściowo księżyc. W słabym świetle, z oczami zakrytymi gęstą jedwabną tkaniną, poruszałam się prawie po omacku. Ogród zdawał się zupełnie obcy, jaskrawe kolory kwiatów zmieniły się w odcienie szarości, róże i drzewka pomarańczy stały się nagle dziwnie nieznanym. Szłam ścieżką z wahaniem, z trudem tłumiąc panikę. Czy poprzednio skręciłam tutaj, czy przy następnym rozwidleniu? A jeśli zabłądzę, czy Cezar uzna, że go zlekceważyłam i pójdzie sobie?

A może to on wystawił mnie do wiatru?

Skarciłam się za dopuszczanie do siebie takich obaw; nie podobało mi się, że miłość do Cezara czyni mnie słabą.

Zaczerpnęłam powietrza, podjęłam decyzję i skręciłam na najbliższym rozwidleniu. Po chwili zobaczyłam kamienną ławkę pod rozłożystym drzewem i coś ciemnego na szarym tle kamienia - sylwetkę mężczyzny.

Cezar. Chciałam krzyknąć jak mała dziewczynka i podbiec do niego, ale powściągnęłam się i podeszłam wolnym, majestatycznym krokiem.

On też był ubrany na czarno; tylko twarz i dłonie nie wtapiały się w tło nocy.

Czekał, wysoki i dystyngowany, aż się zbliżyłam - a potem oboje porzuciliśmy wszelkie hamulce. Nie potrafię powiedzieć, kto wykonał pierwszy ruch: może zrobiliśmy to równocześnie, ale wydawało się, że nie minęła ani sekunda między chwilą, gdy podeszłam do niego, a momentem, gdy welon powędrował do góry i przywarliśmy w uścisku, wargi do warg, ciało do ciała, tak mocno, że miałam wrażenie, jakbym stopiła się z nim w jedno. Tak wielka ogarnęła mnie namiętność, że gdybyśmy nie obejmowali się ramionami, padłabym bez zmysłów.

Ku mej rozpacz, odsunął się ode mnie.

- Nie tutaj - powiedział chrapliwie. - Nie jesteś dziewczką kuchenną, by brać cię na gołej ziemi. Zaufaj mi, o wszystko się zatroszczyłem. Będziemy bezpieczni.

Okryłam twarz welonem, a Cezar wziął mnie za rękę. Szedł pewnym krokiem, dobrze znał drogę. Poprowadził mnie wzdłuż tyłów pałacu do niestrzeżonego wejścia, a potem nieznanym mi korytarzem. Dotarliśmy do ciężkich drewnianych drzwi, które otwierały się na kolejny korytarz, tym razem długi i niedawno zbudowany, surowo wykończony i nieurządzony. Drogę oświetlały nam pochodnie przymocowane do ścian.

Po pewnym czasie dotarliśmy znowu do jakichś drzwi, a Cezar otworzył je przede mną z galanterią. Zmarszczyłam brwi. Moim oczom ukazała się wielka kaplica, stara i bogato zdobiona; na ołtarzu paliły się lampki, z boku stał papieski tron, obok ławy dla kardynałów.

Cezar uśmiechnął się lekko.

- To Kaplica Sykstyńska - powiedział, pomagając mi przejść przez próg. - Jesteśmy wewnątrz bazyliki Świętego Piotra.

Welon musnął moje wargi, gdy rozchyliłam je w zdumieniu. A więc to tędy Jego Świątobliwość tak szybko przedostał się do Pałazzo Santa Maria.

- Chodź - ponaglił Cezar.

Szybkim krokiem przemierzaliśmy kaplicę, a potem poprzez bazylikę dotarliśmy do watykańskich korytarzy. Ani razu nie natknęliśmy się na żadnego wartownika; Cezar zadbał o zapewnienie nam prywatności.

Zaprowadził mnie do apartamentów, w których odbywało się wczorajsze przyjęcie; nie czułam się zbyt bezpiecznie ze świadomością, że papież jest tak blisko. Na szczęście Cezar powiódł mnie w innym kierunku, a potem na piętro. Wreszcie otworzył przede mną drzwi do komnaty.

- Przyprowadziłem cię do mojej własnej sypialni i dałem wołne całej służbie aż do rana - powiedział, zamykając za nami drzwi. - Jak długo zechcesz tu zostać, zależy wyłącznie od ciebie, madonna.

- Na zawsze - szepnęłam.

Padł przede mną na kolana, obejmując mi ramionami nogi, i uniósł głowę. Z obezwładniającą szczerością oświadczył:

- Powiedz tylko słowo, Sancho, a zrezygnuję z kapłaństwa. Ojciec chce, bym został papieżem, muszę więc być kardynałem, ale nie czuję powołania. Jego Świątobliwość uczyni wszystko, o co poproszę; unieważni twoje małżeństwo z Jofrem. Na pewno wiesz, że twój mąż nie jest naprawdę jego synem...

Jofre nie jest synem papieża?

- A czym? - zapytałam nieprzytomnie, gorączkowo rozmyślając o propozycji Cezara i rozpaczliwie pragnąc ją przyjąć.

- Najzupełniej prawym potomkiem mojej matki Vannozzy i jej męża-odparł z lekkim uśmiechem.

Pomyślałam o sobie i o Cezarze, o tym, jak wspaniale byłoby móc go swobodnie kochać i wychowywać mu dzieci. Ale byłam żoną Jofrego; mój własny ojciec i kardynał z rodu Borgiów byli świadkami spełnienia naszego małżeństwa. Nie było podstaw do unieważnienia.

Stanowczym gestem przycisnęłam mu palec do warg, powstrzymując potok słów.

- Małżeństwo zostało skonsumowane na oczach świadków i nie można go anulować - powiedziałam. - Teraz nie pora mówić o dalszej przyszłości: teraz weź mnie do łóżka.

Podniósł się i nadal zwrócony twarzą do mnie, wziął mnie delikatnie za rękę i wprowadził do sypialni.

Okiennice były zamknięte, lecz komnatę rozświetlało dwadzieścia świec w złotych kinkietach. Na ścianie widniał niedokończony fresk o pogańskiej tematyce, a łoże okrywała szkarłatna narzuta z aksamitu. Podłoga była wyściełana futrami, zaś na pięknie rzeźbionym stoliku stał gąsior wina i dwa złote puchary wysadzone rubinami. Była to sypialnia księcia, a nie kapłana.

Byłam gotowa rzucić się na pościel i zdrzeć spódnice do szybkiej miłości, do jakiej przyzwyczaiłam się z Jofrem. Gdy jednak zbliżyłam się do łoża, Cezar mnie zatrzymał.

- Mogę zobaczyć cię, Sancho, jak cię Pan Bóg stworzył?

Zdjęłam welon i odwróciłam się do niego, zaskoczona tą prośbą. Drżałam niemal z desperacji, łaknąc spełnienia w ramionach kochanka; widziałam drżenie rozchylonych warg Cezara. Intensywność jego spojrzenia graniczyła z obłędem, lecz ton i zachowanie cechowała łagodność.

Byłam zdecydowana.

- Tylko wówczas, jeśli odwzajemnisz się tym samym.

Rozpiął sutannę i zdjął ją, odsłaniając czarną tunikę uszytą z naprzemian ułożonych pasków atlasu i aksamitu, sztylet u boku i czarne rajtuzy - strój rzymskiego szlachcica. Szybko i zręcznie pozbył się najpierw trzewików, a potem tuniki, ukazując dobrze umięśniony tors z rzadkim, ciemnym owłosieniem na piersi. Był bardzo szczupły: obojczyki, biodra i żebra zarysowały się wyraźnie pod skórą, gdy zsuwał z muskularnych ud nogawice. Kiedy skończył, wyprostował się i stanął przede mną, pokornie poddając się osądowi.

Wpatrywałam się w niego z przejęciem. Nigdy wcześniej nie widziałam całkiem nagiego mężczyzny. Nawet Onorato nie zdejmował tuniki i zsuwał rajtuzy tylko o tyle, o ile było to niezbędne do naszych amorów. Jofre nigdy nie pozbywał się przy mnie koszuli, jeśli nie liczyć nocy poślubnej, kiedy obyczaj wymagał, abyśmy oboje byli nadzy, i wydaje mi się, że tylko raz zdjął nogawice. Najbliżsi nagości byliśmy z Jofrem w chwilach takich jak dzisiejszego wieczoru, gdy miałam na sobie tylko halkę. Ale nawet wtedy daleko nam było do nagości.

I oto miałam przed sobą Cezara rozebranego i pięknego. Nie mogłam oderwać wzroku od miejsca między nogami, gdzie z gęstwiny kruczoczarnych włosów sterczał do góry jego męski organ. Był większy niż u Jofrego i wyciągnęłam rękę, pragnąc go dotknąć.

- Jeszcze nie - szepnął Cezar. Podeszedł do mnie od tyłu i z zaskakującą zręcznością zaczął odwiązywać rękawy. Ściągnęłam je z siebie, śmiejąc się z nagłego poczucia swobody, a potem poczekałam, aż rozsznurował gorset.

Kiedy skończył, zsunęłam suknię do kostek i z niej wyszłam. To taki wielki ciężar do noszenia, ubranie. Spieszyłam się, żeby ściągnąć przez głowę halkę, ale Cezar znów się odezwał.

- Stań przed świecą, o tam.

Przekrzywił głowę, ciemne oczy błysnęły z podziwu.

- Jakbyś stała w półprzeźroczystej poświacie. Jak anioł w chmurach.

- E tam! - Ściągnęłam bieliznę i rzuciłam ją na podłogę. - Do łóżka!

- Nie - odparł z przejęciem niczym artysta, który domaga się uznania dla arcydzieła. - Spójrz na siebie - westchnął. - Niepodobna kwestionować Bożej mądrości.

Uśmiechnęłam się - częściowo z powodu jego uwielbienia, a częściowo z próżności. Byłam wciąż młoda i nigdy nie karmiłam piersią; Onorato uznał

mój biust za doskonały, ani za duży, ani za mały, jędrny i ładnie ukształtowany. Wiedziałam też, że mam kobiece biodra i nie jestem zbyt chuda.

Podszedł do mnie od tyłu i jął rozplatać warkocz. Kiedy skończył, potrząsnęłam głową, a włosy opadły mi na plecy, aż do pasa; wzdychając, przeczesał je palcami najpierw raz, potem drugi. Wreszcie stanął znów kilka kroków przede mną i zaczął mi się przyglądać niczym malarz, który ocenia swe dzieło.

I znowu mnie zaskoczył. Kiedy tak stałam, poddając się jego spojrzeniu, zbliżył się do mnie, ukląkł z czcią pielgrzyma i pocałował ciemny wzgórek Wenus. Drgnęłam, lekko zdziwiona - a potem zdumiałam się jeszcze bardziej, gdy rozchylił kciukiem dolne wargi i jął pieścić mnie językiem.

Wstyd mieszał się z rozkoszą. Drżałam, przestępowałam z nogi na nogę, a w pewnym momencie, przytłoczona potęgą wrażeń, próbowałam mu się wyrwać, lecz obejmował mnie w pasie i trzymał mocno.

- Przestań - błagałam, bo odchyłona do tyłu bałam się, że upadnę. Wówczas uniósł mnie i przycisnął do ściany. - Przestań - stęknęłam znowu, bo nie mogłam wytrzymać uczucia tak intensywnego...

Dopiero gdy przestałam błagać i zaczęłam jęczeć, podniósł wreszcie głowę i z figlarnym uśmiechem triumfu rzekł:

- Teraz do łóżka.

Wbrew moim nadziejom, przestał mnie lizać; zamiast tego pocałował mnie prosto w usta, jego broda przesiąkła moim zapachem. Po raz pierwszy doświadczyłam ciepła ciała przyciśniętego do ciała, od głowy poprzez pierś, płeć i nogi aż po stopy, i zadrżałam z rozkoszy: jakże to może być grzech, a nie najwyższa łaska?

Tarzaliśmy się w pościeli. Nie mogłam, jak niegdyś z Onoratem, leżeć biernie na plecach i wyłącznie przyjmować pieśszoty kochanka. Nie byłam już tą naiwną dziewczką, czekającą, aż zostanie zdobyta: kiedy Cezar sprawiał mi rozkosz, starałam się uczynić to samo dla niego. Pragnęłam go zaspokoić. Ogarnęła mnie dziwna, nieznana wcześniej moc - zwierzęca i święta zarazem. Czułam, jak pożera mnie płomień - nie z zewnątrz, lecz od środka, wybuchając żarem gdzieś nad głową, niczym ogień Ducha Świętego, który zstąpił na apostołów.

Zwlekał z wejściem we mnie: kazał mi czekać, prosić, błagać. Dopiero gdy byłam bliska obłędu, wsunął się we mnie, a ja uczepliłam się go rękami i nogami tak mocno, że poczułam ból w mięśniach, lecz nie przejmowałam się; miałam go teraz i nie zamierzałam pozwolić mu uciec. Zaśmiał się cicho z zapamiętania, z jakim się go chwyciłam, lecz nie było w tym śmiechu ironii. W ciemnych oczach widziałam odbitą własną dziką żądzę: zatraciliśmy

się w sobie. Nie byłam dla niego zwykłą miłośką, tak jak on nie był nią dla mnie. Złączyła nas namiętność, jakiej nie wszyscy ludzie mogą doświadczyć.

Kto miał inicjatywę, on czyja, nie potrafię orzec, gdyż poruszaliśmy się w jednym tempie - na przemian z porywcznością i łagodnie. Kiedy zwalniał, mrużył oczy, a jego oddech stawał się cięższy i chrapliwy, ja zaś wiłam się pod nim, rozpaczliwie próbując wymusić na nim bardziej gwałtowne pchnięcia, lecz przytrzymał mi ramiona rozciągnięte nad głową, szepcząc: „Cierpliwości, księżniczko...”

Ile czasu upłynęło, odkąd weszłam do jego komnaty, nie wiem. Może całe godziny.

Gdy nie mogłam już dłużej wytrzymać, oderwał się ode mnie. Byłam przerażona i nieszczęśliwa - czegoś takiego nie można było znieść. Ale on okazał się górą; męską siłą i czułym słowem, jakby uspokajał wystraszone zwierzątko, nakłonił mnie do położenia się na plecach, a potem językiem i palcami zajął się deltą między moimi nogami.

Myślałam, że doświadczyłam już rozkoszy; myślałam, że wiem, co to namiętność i żądza. Lecz to, co wzniecił we mnie Cezar owej nocy, zaczęło się powoli, stopniowo, niczym rozżarzony węgiel, który rozpala się żywym płomieniem. Zdawało mi się, że zstąpiło na mnie z góry, z nieba gdzieś nad moją głową, i czułam, jak opada na mnie owa niewyrażalna, święta moc, niepowstrzymana i wszechogarniająca. Komnata przede mną: łóżko, moja własna naga skóra, ściany i sufit, migoczące płomyki świec - nawet twarz Cezara o oczach rozszerzonych i pałających blaskiem - wszystko to zniknęło.

Z pewnością trafię za powiedzenie tego do piekła, ale zdawało mi się, że na świecie nie ma nic prócz Boga, rozkoszy, miłości czy jak tylko można nazwać wrażenie, że wszelkie granice między jaźnią a światem przestają istnieć. Nawet ja zniknęłam...

Mimo oderwania od rzeczywistości znów czułam jedność z Cezarem, który wszedł we mnie podczas ekstazy, zanurzając się w niej, żeglując na jej fali, aż nasze głosy połączyły się w jeden.

Wcześniej zdążyłam przywyknąć do tłumienia jęków rozkoszy i pozwalania sobie tylko na szepty, żeby nikt mnie nie usłyszał. Teraz wyrwał mi się z gardła okrzyk, którego nie mogłam opanować. Nie byłam w tym osamotniona; Cezar też krzyknął. Ja jednak nie umiałam odróżnić jednego od drugiego; krzyknęliśmy jednym głosem - który na pewno słychać było w każdym zakamarku papieskich apartamentów.

Przez jakiś czas leżeliśmy na łóżku. Żadne z nas nic nie mówiło; ja z pewnością nie byłam w stanie - miałam wrażenie, że zupełnie zachryłam i byłam

wycieńczona, włosy kleiły mi się do spoconych ramion, pleców i piersi. Wreszcie Cezar odwrócił się do mnie i odgarnął mi włosy z czoła i policzka.

- Nigdy jeszcze nie doświadczyłem czegoś tak niewiarygodnego z kobietą. Do tej pory nie wiedziałem, czym jest miłość.

Odkaszlnąłem i udało mi się wyszeptać:

- Moje serce należy do ciebie, Cezarze. I oboje jesteśmy za to przekleci. Podniósł się, żeby przynieść wina. Ogarnęła mnie nagła swawolność - ten sam niefrasobliwy nastrój, który naszedł mnie rano w bazylice - może wskutek poczucia swobody, spowodowanego ekstazą. Nie zamierzam, pomyślałam radośnie, pozbawić się najlepszego kochanka, jakiego znam, a przynajmniej nie tak prędko. Kiedy spróbował wstać, oplotłam mu ramionami uda.

Roześmiał się - dystygowany Cezar, zawsze taki opanowany, parsknął niepohamowanym śmiechem, zaskoczony moim niespodziewanym wybrykiem. Mimo to próbował dalej, brnąc z wysiłkiem w kierunku karafki, bez wątpienia przekonany, że nie będę się długo upierać przy tak dziecinnym zachowaniu.

Śmiejąc się, wzmocniłam chwyt; on zaś z kolei nie dał się zniechęcić.

Trzymałam się go, nawet gdy wstał, wkrótce więc wylądowałam na wyścielanej futrami podłodze. Cezar zaniósł się śmiechem, zdumiony tym faktem, i przeszedł krok, a potem dwa, ja zaś uparcie go nie puszczałam. Był zmuszony wlec mnie za sobą.

Wreszcie dał za wygraną i padł na mnie. Chichotaliśmy na podłodze jak dzieci.

Po powrocie do własnej sypialni leżałam przez pewien czas, słuchając równego posapywania Esmeraldy i wpatrując się w mrok. Z początku dałam się ponieść sennej euforii i przeżywałam w pamięci chwile szczęścia z Cezarem... a potem znów opadły mnie wyrzuty sumienia, przywracając mnie do pełnej, pobudzonej świadomości.

Jak moi przodkowie byłam aż nazbyt zdolna do okrucieństwa i oszustw -zwłaszcza z dala od dobrego i łagodnego wpływu brata. Tylko dwa dni wśród Borgiów i już byłam cudzołożnicą. Co by się ze mną stało, gdybym miała spędzić w Rzymie resztę życia?

Lato 1496

Choć maj był w Rzymie przyjemny, czerwiec okazał się gorący, a lipiec jeszcze cieplejszy. Sierpień zaś był nieznośnie upalny w porównaniu z łagodnym morskim klimatem, do jakiego przywykłam. Jego Świątobliwość wraz z rodziną, podobnie jak wszyscy inni majątni obywatele, mieli w zwyczaju wyjeżdżać na ten miesiąc w chłodniejsze miejsce. Na ten jednak akurat sierpień przypadał powrót syna papieża, Juana, z dworu Hiszpanii i z tej przyczyny mimo kanikuły szykowano wspaniałe festyny, biesiady i bale.

Wbrew wcześniejszym obawom nie musiałam już znosić zalotów ze strony Aleksandra; nie mogłam pozbyć się myśli, że Cezar jakimś sposobem przekonał go do zostawienia mnie w spokoju. Sam Cezar nie mówił mi nic

o tym; poradził tylko, abym ilekroć to możliwe, unikała siadania obok Jego Świątobliwości podczas suto zakrapianych winem biesiad, zachowywała się i ubierała skromnie w jego towarzystwie, a także oddalała się, gdy tylko zauważę, że robi się pijany.

Stosowałam się do wszystkich tych rad. Na papieskich audiencjach wciąż jednak siadywałam naprzeciwko Lukrecji, na jednej z aksamitnych poduszek przy tronie. Przypuszczam, że Aleksander uważał nas dwie, jedną ciemno- i jedną jasnowłosą, za odpowiednie kobiece ozdoby swego tronu.

Lukrecja, jak przyznał Cezar, była najbardziej szanowanym doradcą ojca; często przerywała posłom, aby szepnąć coś Aleksandrowi na ucho. Miała własny mały tron, gdzie często sama przyjmowała petycje. Słyszałam ją przy paru okazjach i jej inteligencja wywarła na mnie duże wrażenie. Zarówno ona, jak i ojciec byli zręcznymi dyplomatami; bez względu na to, jak Rodri-go Borgia został wyniesiony na Stolicę Piotrową, wywiązywał się z obowiązków w podziwu godny sposób.

Mój romans z Cezarem trwał i nadal spotykaliśmy się potajemnie w jego komnatach. Nie posiadałam się wprost ze szczęścia; trudno było mi ukryć radość przed innymi i powstrzymać się od publicznego wyrażania uczuć Cezarowi. On zaś opowiadał o tym, że pragnie porzucić stan duchowny.

Pewnej nocy, gdy padliśmy ze zmęczenia po miłosnej ekstazie, delikatnie odgarnął mi za ucho niesforny kosmyk.

- Chcę się z tobą ożenić, Sancho.

Jego słowa sprawiały mi przyjemność, lecz nie mogłam lekceważyć faktów.

- Jesteś kardynałem - odparłam. - A ja jestem już zamężna. Dotknął mojego policzka.

- Chcę ci dać dzieci. Pozwalałbym ci odwiedzać Neapol, wiem, jak za nim tęsknisz. Zamieszkalibyśmy tam, gdyby to miało cię uszczęśliwić. Musiałbym tylko wyjeżdżać do Rzymu kilka razy w roku.

Byłam bliska łez; Cezar czytał mi w myślach i w sercu. Miał rację - nic innego nie uszczęśliwiłoby mnie bardziej. Coś takiego zdawało się jednak zupełnie niemożliwe, uciszałam go więc za każdym razem, gdy podnosił tę sprawę: nie chciałam żyć fałszywą nadzieją ani narażać Jofrego na złośliwe plotki. Cezar wkrótce zrozumiał, że nie może nalegać, ale było jasne, że frustracja spowodowana koniecznością odgrywania roli kardynała się wzmaga.

Dziesiątego sierpnia Juan, drugi co do starszeństwa syn papieża, przybył wreszcie do Rzymu, pozostawivszy w Hiszpanii ciężarną żonę i małego synka. Po francuskiej inwazji Aleksander często mówił, że pragnie mieć wszystkie dzieci przy sobie, gdyż coraz dotkliwiej odczuwa własną śmiertelność i kruchość życia. Pozornie właśnie z tego powodu Jofre i ja zostaliśmy wezwani do Rzymu - teraz, po przyjeździe Juana, życzenie papieża się spełniło. Cała czwórka jego dzieci znalazła się w domu. Wydało mi się dziwne, że Juan nie przywiózł ze sobą rodziny, ale nikt z Borgiów nie uważał tego za osobliwe.

Istniał jeszcze jeden powód jego wizyty w Rzymie: Juan, księżę Gandii, był również naczelnym dowódcą wojsk papieskich, a ojciec wezwał go po to, by ukarać dom Orsinich, którzy w czasie wojny poparli Francuzów. Armia Juana miała zaatakować i podporządkować sobie każdy zbuntowany ród arystokratyczny Rzymu i w ten sposób pokazać siłę zemsty Borgiów. Póki Aleksander jest papieżem, w Państwie Kościelnym będzie panował pokój.

Wszyscy kardynałowie w mieście wyszli powitać młodego księcia Gandii, który jechał na rumaku przybranym w czaprak zdobny srebrnymi i złotymi dzwoneczkami. Jeździec ani myślał dać się przyćmić wierzchowcowi:

czerwony aksamitny kapelusz i kaftan z brunatnego aksamitu lśniły od niezliczonych pereł i szlachetnych kamieni; bez wątpienia w tak ekstrawaganckim stroju musiał się gotować pod prażącym sierpniowym słońcem. Z okna w Palazzo Santa Maria przyglądałam się, jak Cezar, wyjechawszy bratu naprzeciw, odprowadził go do nowego domu, Pałacu Apostolskiego.

Wieczór stał się okazją do wielkiej uczyty - na której musiałam się pojawić wraz z resztą rodziny. Ubrałam się skromnie, w czerń; Esmeralda nie omieszkała wspomnieć o wszystkich plotkach, jakie słyszała na temat Juana, który był podobno łotrem jakich mało. Może bała się, że zlekceważę przestrogi tak samo, jak odmawiałam słuchania niepoehlebnych uwag na temat Cezara.

Uroczystość zaczęła się od kolacji w gronie Borgiów i spokrewnionych z nimi kardynałów. Nauczyłam się dyskretnie siadać z dala od papieża, aby nie zwracać jego uwagi; tego wieczoru miał po bokach Juana i jak zwykle Lukrecję. Ja siedziałam między Jofrem a Cezarem.

Jak najlepiej opisać Juana? Był niczym spadająca gwiazda: olśniewał urokiem, który blakł jednak szybko, gdy do głosu dochodził jego prawdziwy charakter. Przybył na salę spóźniony - niewiele myśląc o tym, że Jego Świątobliwość musi czekać. Aleksander nie wypomniął mu tego nawet słowem, choć gdyby chodziło o kogokolwiek innego, byłby bardzo urażony.

Juan wszedł w wielkim stylu: oczy lśniły mu radością (lecz zarazem chytrze), uśmiech miał szeroki (a zarazem arogancki), a jego głos niósł się echem po korytarzach. Miał mięsiste, grube wargi ojca, a włosy ani jasne, ani prawdziwie ciemne; był gładko ogolony i ani tak przystojny jak Cezar, ani tak przeciętny jak Lukrecja. Zjawił się w towarzystwie wysokiego ciemnoskórego Maura (później dowiedziałam się, że to Djem, turecki książę, przetrzymywany na papieskim dworze jako zakładnik) - obaj byli ubrani w podobne stroje: jedwabne turbany oraz atlasowe szaty w czerwono-żółte pasy. Na szyi Juan nosił tyle złotych łańcuchów, że aż trudno było uwierzyć, iż ma siłę trzymać się prosto pod ich ciężarem.

Turban Juana ozdabiał rubin dwa razy większy od oka, a nad nim powiewało pawie pióro.

Aleksander zadrzał z radości, jakby właśnie dostał nową dziewicę do roz-prawiczenia.

- Dziecko moje! - westchnął. - Synku mój najdroższy! O, jakże mroczne były dni bez ciebie! - wykrzyknął i przycisnął Juana do siebie, przepelnięny szczęściem.

Juan przytulił policzek do twarzy ojca, zasłaniając ją, lecz równocześnie spod na wpół przymkniętych powiek obserwował reakcję rodzeństwa. Wszyscy

wstaliśmy, gdy wszedł. Rzuciło mi się w oczy, że twarz Lukrecji nagle stężała, a jej uśmiech sprawiał wrażenie wymuszonego.

Zauważyłam też wymianę spojrzeń między Juanem a Cezarem - triumfalne samozadowolenie na twarzy Juana i wystudiowaną obojętność na twarzy jego brata. Wiedziałam jednak, że tuż obok mnie dłoń Cezara zwinęła się w pięść.

Usiedliśmy. Przez całą wieczerzę Jego Świątobliwość nie odezwał się ani słowem do nikogo oprócz Juana, ten zaś zasypywał wszystkich żartobliwymi opowiastkami o życiu w Hiszpanii i dowcipnie tłumaczył, czemu cieszy się z powrotu do Rzymu. Pytany o żonę, Marię Henriques, kuzynkę króla Hiszpanii, odpowiadał wzruszeniem ramion i słowami: „W ciąży. Ta kobieta wiecznie jest chora”.

- Mam nadzieję, że dobrze ją traktujesz - powiedział Aleksander tonem łagodnego napomnienia. Eskapady Juana w towarzystwie kurtyzan stały się legendarne - dwukrotnie uprowadził też i zhańbił młode dziewice ze szlacheckich rodów, gdy przygotowywały się już do zamążpójścia. Tylko kufry złota uratowały go od śmierci z rąk rozjuszonych krewnych dziewcząt.

- Bardzo dobrze, ojcze. Wiesz, że zawsze biorę sobie twe rady do serca. Jeśli w tych słowach był sarkazm, Jego Świątobliwość wcale go nie usłyszał. Uśmiechnął się tylko z ojcowską czułością.

Przez całą wieczerzę Juan prowadził swoiste przesłuchanie, zwracając się do każdego z nas po kolei i wypytując o nasze życie. Jofrego zapytał:

- A ty co, bracie? Czym zasłużyłeś sobie na tak wspaniałą żonę? Zanim Jofre, okrywszy się rumieńcem, zdążył wymyślić odpowiednio dowcipną odpowiedź, Juan sam sobie odpowiedział:

- To dlatego, że jesteś Borgią, a więc szczęściarzem; tak jak my wszyscy, dzieci Borgii.

Jofre umilkł i spochmurniał; przypomniałam sobie, jak Cezarowi wyrwało się raz, że mój mąż nie jest uznawany za prawdziwego syna papieża. Wiedza o tym czyniła z uwagi Juana zawołowane szyderstwo.

Sam Juan zaśmiał się przy tym serdecznie - był już dość pijany, najwyraźniej miał nawet większą słabość do wina niż ojciec. Aleksander zachichotał, przyjmując słowa syna za komplement, lecz Lukrecja i Cezar nawet się nie uśmiechnęli. Pod stołem położyłam dłoń na kolanie męża, okazując mu poparcie.

Rozmowa Lukrecji z Juanem była przyjemniejsza i bardziej ożywiona, a słowa, które wymienił z bratem Cezar, zdawkowe, lecz uprzejme. Następnie książe Gandii skupił uwagę na mnie.

- Jak ci się, pani, podoba Rzym? - zapytał z błyskiem w oku i ciepłym, ujmującym uśmiechem. W tej chwili łatwo było dojrzeć w nim towarzyską naturę ojca.

Odparłam szczerze.

- Tęsknię za morzem. Ale Rzym ma inne zalety. Budowle są wspaniałe, ogrody przepiękne, a słońce... - Zawahałam się, szukając słowa, które naj-celniej ujęłoby istotę światła, malującego wszystko złotem.

- ...okrutnie praży w sierpniu - dokończył Juan i zarechotał. Uśmiechnęłam się lekko.

- Rzeczywiście, bardzo praży. Jestem przyzwyczajona do wybrzeża, gdzie klimat jest w lecie łagodniejszy. Ale światło jest tutaj naprawdę piękne. Nie dziwi mnie, że powstało tu tak wiele dzieł sztuki.

Wszyscy przy stole przyjęli to z zadowoleniem, zwłaszcza Aleksander.

- Tęsknisz za domem? - spytał Juan. Wsunęłam rękę pod ramię Jofrego.

- Tam, gdzie mój mąż, tam i dom. A on jest tutaj, jak więc mogę tęsknić?

To wzbudziło nawet większą aprobatę. Mój gest wyphywał po części z przekory: nie spodobało mi się, że ten człowiek obraził Jofrego w obecności rodziny. Miłość do Cezara wywoływała we mnie poczucie winy; wiedziałam, że to, co mówię, jest czystą hipokryzją. Ale choć nie kochałam męża, uważałam, że powinnam być wobec niego lojalna.

Arogancki uśmieszek zniknął z warg Juana; w jego oczy wkradła się zaskakująco szczerą melancholia.

- Los uśmiechnął się do ciebie, bracie - rzekł cicho do Jofrego - że dał ci taką żonę. Widzę, że jest dla ciebie źródłem wielkiego szczęścia.

Papież rozpromienił się, zadowolony z tego, jak ładnie się zachowaliśmy. Rozmowa zesłała na inne tory i w końcu, gdy wszyscy najedliśmy się do syta, Aleksander rozkazał uprzątnąć talerze. Przenieśliśmy się do sali Wiary, gdzie znów podano wino. Na ścianie widniał prawie ukończony fresk Pintu-ricchia i jego uczniów, ukazujący papieża klęczącego w modlitwie i oddającego cześć zmartwychwstałemu Chrystusowi.

Aleksander zasiadł na swoim tronie i gestem ręki dał muzykom znak, żeby zaczęły grać. Tamtego wieczoru zapragnął zobaczyć w tańcu Juana i Lukrecję. Gdy zagrała skoczna melodia, Juan zaprowadził na parkiet Lukrecję, która ustawiła się po prawej, i zaczęli tańczyć szybko: jeden krótki krocze w lewo, podskok w prawo, potem następny w lewo i pauza. Oboje byli dobrymi tancerzami, a Juanowi rychło znudziły się proste kroki. Po trzecim taktie obrócił się twarzą do partnerki i ująwszy ją za rękę, zainicjował volta-tonde, tańczone w kierunku odwrotnym do ruchu wskazówek zegara kółko, na które składają się takie same kroki jak w zwykłej piewie. Aleksander zaklaskał z aprobatą.

Tancerze wrócili, oboje spoceni i z wypiekami na twarzy.

- A teraz - powiedział do mnie Juan - twoja kolej, pani, ze mną zatańczyć.

Uklonił się nisko, zamaszystym gestem ściągając z głowy turban, który odrzucił nonszalancko na bok, jakby był zwykłym zwojem szmat, a nie jedwabiem zdobionym klejnotami. Pot kleił krótkie ciemne włosy do czaszki.

Muzycy zagrali nieśpieszną, prawie żalobną melodię; Juan wybrał wolną bassadanę i jęliśmy krążyć po sali w poważnym, rytmicznym marszu. Przez pewien czas nie odzywaliśmy się, tylko skupiliśmy uwagę na jak najładniejszym wykonywaniu kroków ku uciesze Jego Świątobliwości.

W pewnej chwili Juan zauważył:

- Byłem najzupełniej szczery, gdy mówiłem, że brat ma szczęście, poślubiając taką niewiastę.

Odwrociłam skromnie wzrok.

- Jesteś waść bardzo miły. Roześmiał się.

- To oskarżenie rzadko kto przeciw mnie kieruje. Daleko mi do bycia miłym; bywam jednak szczery, gdy mi to w smak. A ty, donna Sancha, jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką widziałem.

Nie odpowiedziałam.

- Jesteś również na tyle śmiała, żeby bronić męża w towarzystwie... on zaś jest zbyt słaby, by uczynić to samemu. Zdajesz sobie sprawę, że Jego Świątobliwość nie wierzy, iż Jofre jest jego synem, lecz przyjął zapewnienia swojej kochanki z dobrego serca?

Byłam zbyt zagniewana, by spojrzeć Juanowi w oczy.

- Słyszałam o tym. To bez znaczenia.

- Ależ przeciwnie. Widzisz, Jofre dostał swoje małe księstwko Squilla-ce i na tym się skończą jego zaszczyty. Nie może już liczyć w życiu na więcej, a jak przypuszczam, dama o tak przenikliwej inteligencji jak ty musiała już odgadnąć, że Jofre nie ma prawdziwego rozumu Borgii.

Trzymaliśmy się w tańcu za ręce i niczego nie pragnęłam tak bardzo, jak odepchnąć go od siebie za te zniewagi. Ale papież patrzył na nas i kiwał głową w rytm muzyki.

- Ty, mój panie - odrzekłam głosem drżącym ze złości - okazałeś właśnie arogancję, która świadczy, że sam posiadasz ten rozum w znikomym stopniu. Gdybyś miał go choć krztę, tak jak ja doceniłbyś brata za jego szczerość i dobre serce.

Roześmiał się, jakbym właśnie powiedziała coś szczególnie uroczonego.

- Naprawdę cię podziwiam, Sancho. Mówisz, co masz na myśli, i nie obchodzi cię, kogo obrażasz. Szczerość i uroda to kombinacja, której nie

sposób się oprzeć. - Zawiesił głos. - Mogę, doprawdy, zrozumieć, dlaczego żal ci Jofrego i nie chcesz go ranić. Ale czasami warto milczeć. Ja też nie będę owijał w bawełnę, Sancho. Mam na ciebie ochotę. Będzie roztropnie z twojej strony związać się ze mną, bo jestem ulubionym dzieckiem papieża, dowódcą papieskiej armii... a pewnego dnia świeckim władcą Państwa Kościelnego.

Nie mogłam już dłużej wytrzymać, opuściłam rękę i przestałam tańczyć.

- Nigdy nie mogłabym pokochać kogoś tak godnego pogardy jak ty. Sarkastyczny uśmieszek powrócił; lekko skośne oczy zmrużyły się, gdy mówił:

- Nie zgrywaj przede mną świętoszki, madonna. Przespałaś się już z dwoma braćmi. - W jego twarzy dostrzegłam zazdrość i zdałam sobie sprawę, że chodzi tu nie tyle o mnie, ile o rywalizację z Cezarem. - Cóż ci szkodzi zrobić to z trzecim?

Zamachnęłam się i spoliczkowałam go tak mocno, aż zapiekła mnie dłoń.

Aleksander poderwał się z tronu, zaniepokojony; Lukrecja zakryła ręką usta.

Juan dobył sztyletu, który nosił przy boku; widząc morderczy szal w jego oczach, pomyślałam, że to ostatnia chwila mojego życia. Jego złość była dzika i niepomahowana, daleka od chłodnej, wykalkulowanej nienawiści, jaką po raz pierwszy ujrzałam w oczach jego siostry.

Cezar podbiegł i stanął między nami. Błyskawicznym ruchem chwycił Juana za rękę i wykręcił mu nadgarstek tak, że ten krzyknął z bólu, a sztylet upadł na kamienną posadzkę.

- Zamorduję sukę! - syknął Juan. - Jak ona śmie...

Tym razem to Cezar uderzył brata przez twarz. Gdy scysja przerodziła się w brutalną bójkę, wyszłam pospiesznie z sali.

16

Po powrocie do komnat w pałacu Santa Maria byłam jeszcze bardziej wzburzona. Dopiero tu w pełni dotarł do mnie fakt, że spoliczkowałam ulubionego syna papieża na oczach świadków i że Juan nie spocznie, póki się nie zemści.

Co gorsza, w mojej obronie stanął Cezar, a nie mąż. Gwałtowna reakcja Cezara sprawi, że ludzie na dworze wezmą go na języki... a takie plotki

mogą głęboko zranić Jofrego. Nie dość, że zaszkodzą mojemu małżeństwu, to jeszcze rozwścieczą Aleksandra i zniszczą przyjaźń z Lukrecją.

Ale najgorsza była świadomość, że wieści o tym mogłyby dotrzeć do Neapolu i Alfonsa... a jego nie umiałabym okłamać, nawet w liście. Konieczność przyznania się ukochanemu bratu do cudzołóstwa zawstydzilaby mnie najbardziej.

Na szczęście tej samej nocy byłam umówiona z Cezarem i skupiłam myśli na schadzce, próbując w ten sposób ukoić nerwy. Niezrównane umiejętności dyplomatyczne Cezara uchronią mnie przed gniewem Juana tak samo, jak uratowały przed niechcianymi awansami Aleksandra; z napięciem czekałam więc na chwilę, gdy będę mogła z nim to omówić.

W końcu nadeszła pora schadzki. Zamiast sukni z gorsetem i rękawami, które wymagały sznurowania, zaczęłam nosić czarną jedwabną halkę, a na to prostą sukienkę, którą łatwo się zakładało. I oczywiście zawsze miałam welon, aby nikt mnie nie rozpoznał, i sztylet, na wypadek napaści.

Tak przebrana mijałam właśnie korytarz, który prowadził do apartamentów Giulii i Lukrecji, gdy usłyszałam kobiecy krzyk.

Powinnam być roztropna, znieczulić serce i pójść swoją drogą - w końcu narażałam swój związek z Cezarem. Ale rozpaczliwy głos obudził we mnie niepokój i zaciekawienie. I tak nieodwołalnie skręciłam w niewłaściwy korytarz.

Gdy tylko to uczyniłam, zamarłam w bezruchu, choć z początku nie wiedziałam, co widzę. Wkrótce jednak w półmroku rozpoznałam bladą twarz Lukrecji. Była w sukni, którą miała na sobie na przyjęciu, i najwyraźniej dopiero stamtąd wracała; oczy miała zamknięte, wargi na wpół rozchylone i wydawała ciche, regularne pojękiwania.

Pochylała się w przód, rozkołysana i stanowczo pijana, jakby za chwilę miało się jej zrobić niedobrze. Postanowiłam jej pomóc pod pozorem, że nie mogę zasnąć; możliwe, że nazajutrz nie będzie pamiętała tego spotkania.

Na szczęście zdrowy rozsądek powstrzymał mnie od działania, bo w następnej chwili zdałam sobie sprawę, że patrzę nie tylko na Lukrecję, lecz na kogoś jeszcze. Wielkie męskie dłonie ścisnęły piersi, które wysunęły się jej z gorsetu, duża ciemna postać pochylała się nad nią od tyłu.

Kochanek, pojęłam, i już miałam się oddalić. Trudno mi było ganić Lukrecję za coś, co sama robiłam - zwłaszcza że mąż jawnie ją opuścił.

Wtedy usłyszałam, jak krzyczy z pijackim, pożądlivym zapamiętaniem:

- Tato...!

Zimny dreszcz przebiegł mi po plecach. Rozpoznałam zwalistą postać -białą szatę, piuskę i twarz tak podobną do twarzy Lukrecji.

To gwałt, usiłowałam sobie wmówić. Powinnam zająć go od tyłu ze sztyletem... Biedna dziewczyna, musi być zbyt pijana, by wiedzieć, co czyni...

- Tato! - zawołała znowu z uniesieniem kochanki i przypomniał mi się wieczór, gdy próbowała mnie zgorszyć, podstawiając wargom ojca swoje piersi.

Uniosłam rękę do ust i o mało nie zwymiotowałam. Na szczęście odruchowi nie towarzyszył żaden odgłos, a kochankowie byli zbyt zajęci sobą, by cokolwiek zauważyć. „Kochankowie”, mówię, lecz to słowo tu nie pasuje; pomyślałam o ustępie z Apokalipsy: o nierządniczy babilońskiej dosiadającej rogatej Bestii. Kłębowisko ciał i szat, które pulsowało przede mną w mroku, było zaiste równie monstrualne.

- Moja kochana - usłyszałam szept Bestii. - Lukrecjo. Do nikogo tak nie należysz jak do mnie.

Słowa brzmiały wyraźne, bez bełkotu. To nie był pijacki wybryk, lecz świadome kazirodztwo.

Żółć zapiekła mnie w gardle, oczy zaszyły łzami. Odwróciłam się i tak cicho, jak przyszałam, czym prędzej się wycofałam.

Z początku chciałam wrócić do komnaty i opanować obrzydzenie. Ten sekret był jednak zbyt ohydny, by znosić go w samotności; pragnęłam ukojenia w ramionach Cezara. Gdybym była krewną Lukrecji, chciałabym znać prawdę. Staralam się wierzyć, jak zrobiłby na moim miejscu Alfonso, że jest młoda i zagubiona, a Rodrigo to wykorzystuje. Jako jej starszy brat Cezar musi zainterweniować, obronić ją. Z całej rodziny on wydawał się najbardziej odpowiedzialny i opanowany; będzie wiedział, jak najlepiej zająć się tą paskudną sprawą.

Pośpiesznie przemknęłam przez korytarz i wyszłam z pałacu niestrzeżonym tylnym wejściem. Szybkim, nerwowym krokiem ruszyłam ogrodową ścieżką: teraz o wiele lepiej rozumiałam, dlaczego Lukrecja okazywała mi zazdrość, gdy pojawiałam się w Rzymie. To nie było dziewczęce zadurzenie, jak starałam się samą siebie przekonać, ani zawiść o to, że papież okazuje mi więcej uwagi; w rzeczywistości uważała, że jestem jej rywalką, jeśli chodzi o miłosne względy Rodriga. Także uwaga Cezara wydała mi się teraz wielce znamienita: „Tak samo odnosiła się do donny Giulii; długo nie umiała zdać sobie sprawy, że miłość ojca do innej kobiety i miłość do córki nie są jednym i tym samym”.

Nigdy nie zdała sobie z tego sprawy - ojciec zresztą też.

Mogłam mieć tylko nadzieję, że ani papież, ani Lukrecja nie zobaczyli mnie i nie rozpoznali pod welonem.

Wreszcie dotarłam do ławki pod drzewem i z ulgą ujrzałam Cezara, czekającego na mnie jak zawsze. Zwykle padaliśmy sobie w ramiona i całowaliśmy się namiętnie, lecz tej nocy przytrzymałam mu rękę.

Między ciemnymi brwiami pojawiła się pionowa zmarszczka.

- Co się stało, madonna?

Nie mogłam ukryć wzburzenia.

- Po pierwsze, muszę wiedzieć, czy nic ci nie jest? Kiedy wychodziłam, ty i Juan...

- Juan jest głupcem - oświadczył lodowatym tonem. - Pokazałem mu, gdzie jego miejsce. Jeśli kiedykolwiek będzie ci się znowu naprzykrzał, od razu daj mi znać. Na szczęście nie zabawi tu długo; wkrótce poprowadzi wojska papieskie do boju. - Przekrzywił głowę, przyglądając mi się uważnie. - Chodzi ci o coś znacznie poważniejszego niż o Juana. - Podniósł mi welon i położył dłoń na policzku. - Spójrz na siebie. Cała drżysz.

- Widziałam... - zaczęłam i nie byłam w stanie wykrztusić nic więcej.

- Siadaj. Usiądź, zanim upadniesz. Posadził mnie na ławce obok siebie.

- Twój ojciec i twoja siostra... - spróbowałam, a potem nagle urwałam. Nie musiałam mówić nic więcej.

Puścił moje ręce, jakby zmieniły się w parzące macki, i czym prędzej odwrócił twarz - wcześniej dostrzegłam jednak w jego oczach ból i poniżenie.

- Widziałas ich razem - szepnął, a potem wydał z siebie dźwięk, który bardzo przypominał jęk bólu. Po chwili dodał: - Modliłem się, miałem nadzieję, że to się skończyło.

- A więc wiedziałeś... - W moim tonie nie było oskarżenia, tylko zdziwienie.

Spuścił wzrok. W słabym świetle widziałam jego profil; twarz napięła się, pod policzkiem zadrgał mięsień.

- Mojemu ojcu nie sposób przemówić do rozsądku, madonna. Próbowałem. Naprawdę próbowałem... - Głos załamał mu się na ostatnim słowie. Potem zebrał się w sobie i spojrzał na mnie z nagłą trwogą. - Powiedz mi, że cię nie widzieli!

Z niepokojem w oczach złapał mnie za rękę.

- Nie.

- Bogu dzięki. - Przygarbił się i odetchnął z ulgą, która okazała się krótkotrwała.

- Nie mówiłaś o tym nikomu? Nawet donnie Esmeraldzie?

- Tylko tobie.

Cezar znów się uspokoił.

- To dobrze. Dobrze. - Czułym gestem pogładził mnie palcem po policzku. - Przykro mi. Przykro mi, że musiałaś to zobaczyć...

- Nie możesz zmusić ojca, żeby z tym skończył? - zapytałam. - Zagrozić, że powiesz o tym Kolegium Kardynalskiemu, że powiadomisz lud?

Zasepił się i wreszcie odrzekł:

- Musisz obiecać, że wszystko, co ci teraz powiem, zachowasz w tajemnicy.

- Możesz na mnie polegać, nawet gdyby chodziło o życie - odparłam.

Uśmiechnął się niewesoło.

- Właśnie o nie chodzi. - Po długiej chwili zastanowienia zaczął: - Mój ojciec... jest dobrym człowiekiem. Kocha swoje dzieci ponad wszystko. Widziałas, że nie szczędzi nam czułości. - Umilkł na chwilę. - Jego miłość jest prawdziwa i głęboka... i tak samo jest z jego nienawiścią. Jeśli się go sprowokuje, staje się wyjątkowo groźny. Nawet... kiedy prowokują go własne dzieci. - Zesztywniałam, a on położył mi dłoń na ramieniu i pocieszając, powiedział: - Tak, pamiętałem mgliście, co między wami zaszło. Ale nie musisz się martwić. Uznał to za zabawny finał gry miłosnej. Woli bardziej uległe kobiety, nie tak „ogniste”, jak to ujął. Innymi słowy, okazałaś się dla niego zbyt kłopotliwa i nie dość pełna podziwu, by zaspokoić jego dumę. Wątpię, by kiedykolwiek zechciał ci się znowu naprzykrzać. - Spochmurniał. - Gdy jednak chodzi o politykę, o rzeczywiste korzyści lub straty, może być straszny. I choć nigdy nie brakowało takich plotek, ujawnienie jego związku z Lukrecją zagroziłoby jego politycznej pozycji. Rozumiesz, co mówię, Sancho?

- Zagroził ci śmiercią, kiedy próbowałeś go nakłonić do zostawienia jej w spokoju? - Ogarnęła mnie szaleńcza nienawiść. Jaki człowiek wykorzystuje w ten sposób własną córkę, a potem grozi, że zabije syna? Poderwałam się na równe nogi. - Żałuję, że nie zabiłam go tym sztyletem!

- Uważaj na to, co mówisz - przestrzegł Cezar i przyciągnął mnie do siebie. Dotknął palcami moich warg. - Taka jest cena życia u boku nadzwyczaj ambitnego człowieka. Nie wiem, jak przekonać cię o konieczności milczenia, mogę tylko powiedzieć jedno: wielu zginęło z błahszych powodów. To tajemnica, którą musisz zachować dla siebie do końca życia. - Popatrzył na mnie uważnie. - Przeżywasz wszystko bardzo intensywnie i reagujesz szybko, namiętnie. Musisz nauczyć się panować nad impulsem, jeśli pragniesz tu przetrwać.

- Słyszałam pewną plotkę - powiedziałam spokojniejszym tonem. - O śmierci brata Rodriga, który na pewno zostałby papieżem...

Patrząc mi w oczy, odparł powoli:

- To nie jest plotka.

- Jak możesz to znieść? - wyszeptalam. Mój ojciec był okrutnym tyranem, lecz nawet on nigdy nie posunąłby się do zamordowania członka rodziny. Na pewno nigdy by mnie nie tknął i nie zagroził Alfonsowi śmiercią, gdyby ten próbował mu w tym przeszkodzić.

Cezar wzruszył ramionami; w jego oczy wkradł się chłód. - Taka jest cena bycia Borgia.

Tamtej nocy nie byłam w nastroju do miłości; Cezar zrozumiał to i rozstaliśmy się z ponurym wahaniem. Zastanawiałam się, co mój brat powiedziałby na takie zepsucie - nie śmiałam jednak przekazać mu tych wieści, gdyż bardzo by się zdenerwował, poznawszy prawdę o moim życiu w Rzymie.

Później, gdy wróciłam do łóżka, przyśniła mi się karta, którą wybrałam u wróżki: serce przebite dwoma mieczami - złem i dobrem. Rodrigo Borgia stanął przede mną uśmiechnięty i rozchylił poły białej atlasowej szaty, ukazując bijące, czerwone serce przeszyte dwoma sztyletami, które krzyżowały się, tworząc srebrną literę X.

Jeden sztylet był znacznie większy od drugiego; podeszłam bliżej i wyciągnęłam go. Po klindze spływała krew, lecz z łatwością przeczytałam napis pod szkarłatną plamą: *ZŁO*.

Jesień 1496 - wczesna wiosna 1497

Moje schadzki z Cezarem powtarzały się regularnie przez parę następnych miesięcy. Z wyjątkiem owej niespokojnej nocy w ogrodzie, gdy powiedziałam mu o Lukrecji i Aleksandrze, Cezar zachowywał się tak jak zawsze - coraz więcej i częściej mówił o tym, że nie może znieść życia w kardynalskiej purpurze. Marzył o ślubie ze mną, o domu pełnym naszych dzieci. Słuchałam tych słów, chcąc, by się ziściły, a jednocześnie cierpiałam z powodu poczucia winy. Mój mąż najwyraźniej nie wiedział o moim romansie, a jego szczęśliwa niewinność raniła mi serce.

Mogłam tylko przypuszczać, że bójka między Cezarem a Juanem zniechęciła Juana, gdyż nie naprzykrzał mi się już ani w sierpniu, ani we wrześniu.

A potem, gdy skończyły się letnie upały i nadszedł październik, dostałam list od brata, a w nim smutne wieści.

Najdroższa Siostrze,

z najgłębszym żalem muszę donieść Ci o odejściu naszego przyrodniego brata, Jego Królewskiej Mości Ferrantego II, który zmarł na ostre zapalenie brzucha. Jego żona, królowa Giovanna, jest pogrążona w nieutulonym żalu, jak my wszyscy. Doczesne szczątki zmarłego złożono już do tymczasowego grobu w Santa ch iara i rozpoczęto prace nad budową krypty.

Trudno mi pisać do Ciebie o tak smutnych wieściach. Mimo to zarówno matka, jak i ja mamy wielką nadzieję, że spotkamy się z Tobą w nadchodzących miesiącach z okazji koronacji naszego ukochanego stryja, Fe-derica.

Nie byłam w stanie dalej czytać, kartki wypadły mi z ręki na podłogę. Los zdawał się kapryśny i okrutny, że kazał młodemu Ferrandinowi walczyć tak długo i ciężko o tron tylko po to, by tak szybko zabrać go z tego świata. Co

gorsza, oboje z Giovanną nie doczekali się dziedzica, korona musiała więc trafić w ręce starszego o pokolenie Federica.

Teraz miałam wymówkę, żeby wrócić do Neapolu. Niegdyś od razu skorzystałabym z okazji ale nie mogłam znieść myśli o powrocie pod pretekstem śmierci Ferrandina; nie uśmiechała mi się również rozłąka z Cezarem. Tak więc zostałam w Rzymie i z oddali wysłałam rodzinie kondolencje.

W tym samym miesiącu, w którym dowiedziałam się o zgonie Ferrandina, Juan Borgia ruszył na wojnę. Z inkrustowanym klejnotami mieczem u boku i tytułem generała wojsk Kościoła wyjechał z Rzymu na czele papieskiej armii z wielką pompą.

Wkrótce jał odnosić sukcesy - ku zgorszeniu i goryczy Cezara („Bóg drwi ze mnie, pozwalając wygrywać memu głupiemu bratu przez przypadek, a nie dzięki umiejętnościom!"). W szybkim tempie papieskie wojska zajęły dziesięć zbuntowanych zamków, które walczyły pod francuską chorągwią. Jego Świątobliwość nie posiadał się z radości; przy wieczerzy czytał listy od Juana - z których każdy obfitował w samochwalcze szczegóły. Lukrecja uśmiechała się i kiwała głową, widząc podniecenie ojca; wargi Cezara zaś stawały się coraz cieńsze, aż wreszcie całkiem zniknęły.

I wtedy Bóg wymierzył Juanowi sprawiedliwość w postaci krzepkiej i nieustraszonej szlachcianki Bartolommei Orsini. Dowodziła ona sprzymierzonymi siłami, które broniły potężnej warowni stojącej o dzień forsownej jazdy na północny wschód od Rzymu, w Bracciano, nad wielkim jeziorem, od którego miasto wzięło nazwę. Papieska armia miała szczególny powód, by pokonać Orsinich: ich zdradliwy sojusz z Francuzami i porwanie Giulii umożliwiły Karolowi wejście do Rzymu i zmusiły Aleksandra do wydania Ferrandinowi rozkazu powrotu do Neapolu. Nadszedł czas, uznał Jego Świątobliwość, aby nauczyć Orsinich moresu. Żadna inna ze zbuntowanych arystokratycznych rodzin nie posiadała włości w Państwie Kościelnym - klęska rodu Orsinich miała posłużyć za nauczkę tym wszystkim, którzy nie złożyliby hołdu papieżowi nie tylko jako swemu duchowemu, lecz i świeckiemu władcy.

Cezar opowiedział mi o całym zdarzeniu z najdrobniejszymi szczegółami i z wielką uciechą. Po początkowych wojennych sukcesach księżę Gandii, naczelnny wódz hufców papieskich, wpadł w jeszcze większy samozachwył. Napisał do Bartolommei list z pogrózkami, ta jednak roześmiała się w głos i splunęła na pergamin. Nie szczędził władczych odezwo do jej żołnierzy, w których żądał, aby się poddali, obiecując bezpieczeństwo w zamian za opuszczenie posterunków i przyłączenie się do armii Państwa Kościelnego.

Ludzie Bartolommei śmiali się do rozpuku.

- Chodź - mówili. - Chodź i stań do walki. Posmakuj prawdziwej wojenki, mości generale.

Juan studiował masywne wały obronne zamku Bracciano; sporządził nawet kilka uproszczonych planów przypuszczenia szturm na potężne mury. W końcu jednak, według Cezara, który czytał list wielkiego generała do Jego Świątobliwości, Juan zorientował się, że sytuacja wygląda zupełnie inaczej niż poprzednio: jego armia mogła rzeczywiście przegrać.

Dlatego też bez uroczystej pompy, pod osłoną nocy, jego wojska wyma-szerowały z Bracciano na północ, ku mniej imponującej twierdzy Trevignano, bronionej przez skromniejszą załogę. Nad zwycięską warownią Bartolommei nadal powiewała francuska chorągiew.

W Trevignano ludzie Juana stoczyli srogą bitwę, podczas której dowódca wydawał im rozkazy z bezpiecznej odległości. Nie było lekko, ale papieska armia w końcu zdobyła zamek i zajęła miasto.

Nie dane jej wszak było spocząć na laurach, gdyż członkowie klanu Orsinich, pod dowództwem patriarchy rodu, Carla, zaciągnęli pożyczkę u Francuzów i zebrali wojsko złożone z Toskańczyków i Umbryjczyków. Siły te maszerowały właśnie na południe ku twierdzy w Soriano, dzierżonej przez kardynała z rodu Orsinich, który uważał, że papież powinien ograniczyć się do władzy w Kościele i nie wtykać nosa w sprawy doczesne.

Wojska Juana zmuszone były zetrzeć się z wrogiem w Soriano, kilka dni jazdy na północ od Rzymu. Orsini okazali się przemyślnymi strategami; szybko doprowadzili do podzielenia armii naczelnego wodza na dwa oddziały, a następnie przypuścili kontratak. Tym razem Juan dał się zaskoczyć na polu bitwy i nie mógł się wycofać na bezpieczne pozycje. Odniósł lekką ranę ramienia i stracił pięciuset żołnierzy.

Najwyraźniej takiego obrotu spraw w ogóle się nie spodziewał. Uciekł, a jego armia się poddała.

Teraz przy wieczerzy Aleksander kipiał ze złości; zerwał się z krzesła, chodził tam i z powrotem i krzyczał, wymyślając na głupotę Juana i swoją, że nie opłacił większych oddziałów wojska, większej liczby koni, więcej broni. Zaklinał się, że opróżni wszystkie kufry w Rzymie, że sprzeda nawet tiarę...

Lecz ostatecznie Jego Świątobliwość okazał się człowiekiem praktycznym. Zawarł rozejm z Orsinimi w zamian za dwie twierdze i pięćdziesiąt tysięcy złotych dukatów. Oprócz obietnicy zachowania pokoju Aleksander zgodził się też poprosić mego stryja, króla Federica, o wypuszczenie jeńców z rodu Orsinich, przetrzymywanych w Neapolu.

A tymczasem Juan zawitał do domu.

W Rzymie jesienne dni zrobiły się chłodne, zwiastując mroźną zimę. Wielu Włochów uznałoby taką pogodę za łagodną, gdyż tylko z rzadka starożytne budowle i place przysypywał śnieg. Ja jednak przywykłam do zim, które niewiele różniły się od lata, oczekiwałam więc nadchodzących przymrozków z pewnym przerażeniem.

Starłam się jak najwięcej czasu spędzać z dala od dam dworu: nigdy nie umiałam maskować uczuć, a odkrycie prawdziwej natury związku Lukrecji i papieża nadal mnie dręczyło. W duchu złościłam się na Cezara: gdybym była mężczyzną, już dawno zabiłabym Aleksandra w obronie Lukrecji, bez względu na konsekwencje.

W rzeczywistości sama stałam się współniczką zbrodni, gdyż zachowałam przerażającą tajemnicę dla siebie, chroniąc własną skórę. Nie czułam się też lepsza; byłam cudzołożnicą, zdradzałam męża. Dlatego starałam się być jak najlepszą przyjaciółką dla Lukrecji, która zaczęła mi do pewnego stopnia ufać, choć teraz rozumiałam, czemu nikomu nie mogła zawierzyć do końca. Tańczyłyśmy razem na przyjęciach, żartowałyśmy, grałyśmy w szachy (Lukrecja grała jak mistrz i zawsze mnie pokonywała), czasem jeździłyśmy na wycieczki po rzymskich lasach, otoczone strażą i dworzanami.

Mimo to nasza zażyłość dręczyła mnie; nie mogłam zapomnieć zazdrości, jaką mi okazała, zaborczo dbając o względy ojca - w pamięci utkwiała mi też wyraźnie szczerza namiętność w jej głosie, gdy parzyła się z Aleksandrem.

Usiłowałam ją usprawiedliwić we własnych oczach, tak jak mógłby to uczynić Alfonso: Może przeżywszy tyle lat w domu, gdzie panowało zepsucie, nie potrafiła rozróżnić dobra i zła. A może udawała rozkosz, żeby uchronić się przed gniewem Aleksandra.

Jadłam niewiele, straciłam na wadze i snułam się po rozległych, podobnych do labiryntu ogrodach za Palazzo Santa Maria niczym widmo za dnia -i czarny duch po nocy, gdy spotykałam się tam z Cezarem.

Dwudziestego czwartego stycznia 1497 roku Juan, bohaterski książę Gandii, dzielny generał wojsk papieskich, powrócił do Rzymu - tym razem z jeszcze większą pompą niż ostatnio, jakby przywoził zwycięstwo, a nie klęskę.

Jego Świątobliwość miał dla niezdarne go syna same słowa uznania; wszystkie przekleństwa, które miotał na niego podczas wojny, poszły już dawno w niepamięć. Przy kolacji słuchaliśmy, jak Aleksander prawił Juanowi, że jest wielką nadzieją Kościoła i okryje wiekopomną chwałą ród Borgiów, gdy ozdowieje na tyle, by wrócić do boju. Juan zaś odpowiadał swoim drażniącym aroganckim uśmiechem. (Kiedy dokładnie Juan miałby „ozdowieć”,

nie wspomiano, ja natomiast nigdy nie widziałam śladu rany, która sprawiła, że uciekł przed wrogiem).

Wiedziałałam, że Cezar ma niezwykle silną wolę - lecz zazdrość o brata była tak przemożna, że nie potrafił jej ukryć. Pewnej nocy w jego sypialni, po miłosnym spełnieniu, wyjaśnił mi szczegółowo, jak można było pokonać Bartolommeę, a potem gdy leżeliśmy na wznak i patrzyliśmy w złocone sklepienie, jał opisywać, jak rozszerzyć terytorium Państwa Kościelnego.

- Gdybyśmy zdobyli wsparcie znacznie silniejszej armii - oświadczył -Romania mogłaby być nasza. Spójrz. - Palcem narysował w powietrzu krzywy but Półwyspu Apenińskiego, a potem wskazał lewy górny róg. - To zachodnia granica z Francją - powiedział - a zaraz po prawej leży Mediolan. Niemal w linii prostej na wschód leży Wenecja - przesunął palcem na ukos w dół - a niżej Florencja. Na północ od niej rozciągają się ziemie zwane Ro-manią, na północny zachód od Rzymu, w samym środku półwyspu. Wystarczy wymusić lojalność na lennikach Państwa Kościelnego... ale Juan nie ma ani wytrwałości, ani sprytu, żeby tego dokonać... a ja mam. -Nagle usiadł podniecony ze wzrokiem skupionym na wymyślonej mapie ziem do podbicia. - Kiedy Państwo Kościelne się wzmocni... i będziemy mieli poparcie Hiszpanii, a może - spojrzał na mnie z ukosa - Neapolu, będziemy mogli zawładnąć całą Romanią. - Gestem wyciągniętej ręki ogarnął obszar rozciągający się od północnego zachodu od Rzymu aż po wybrzeże. - Imola, Faenza, Forli, Cesena... wszystkie te fortece poddadzą się nam jedna po drugiej.

- A co z D'Este'ami? - wtrąciłam. Był to potężny ród, który od pokoleń władał księstwem Romanii. Ich dziedzic Ercole był pobożnym człowiekiem, głęboko lojalnym wobec Kościoła.

Cezar się zamyślił.

- Wojska D'Este'ów są zbyt potężne. Wolałbym się z nimi sprzymierzyć, żeby walczyli po naszej stronie.

Kiwnęłam głową, zadowolona. D'Este'owie byli moimi kuzynami po kądzieli.

Cezar mówił dalej.

- Potem zdobędziemy Florencję. Wciąż nie otrząsnęła się po utracie Wawrzyńca Medyceusza, pod względem politycznym panuje tam chaos. O ile więc nasze wojska będą na tyle silne, by pokonać Francuzów...

- A Wenecja? - zapytałam rozbawiona i zaciekawiona. Pomijając miłość, nigdy wcześniej nie dostrzegłam u niego takiej żarliwości. Zaskoczyła mnie moc jego ambicji. - Tam nie musisz pokonywać żadnego rodu, żadnych możnowładców. Obywatele są przyzwyczajeni dowolności, niełatwo zrezygnują z obieralnej rady na rzecz pojedynczego władcy.

- Będzie trudno - przyznał całkiem poważnie - ale z dostatecznie silną armią da się to zrobić. Kiedy zobaczą nasze zwycięstwa, może nawet otworzą nam bramy bez walki.

Roześmiałam się, zdumiona jego determinacją. Wyraźnie poświęcał tym sprawom wiele uwagi; mówił o nich tak, jakby już się dokonały.

- Przypuszczam, że zamierzasz też podejść do wrót Francji i sprzątnąć Sforzom Mediolan - powiedziałam. - Jesteś nadzwyczaj pewny siebie.

Popatrzył na mnie i uśmiechnął się szeroko.

- Nie wiesz nawet jak, madonna.

- Ale jeżeli będziesz zajęty toceniem wojen - spytałam tylko na wpół żartem, bo nigdy nie zapomniałam bliskich memu sercu obietnic Cezara - jak znajdziesz czas, żeby zabrać mnie do Neapolu i dać mi dzieci?

Złagodniał; jego głos stał się czuły.

- Dla ciebie, Sancho, znajdę.

Ale Aleksander postanowił już inaczej: Cezar miał przejąć po nim godność papieża, Juan zaś zapewnić rodowi Borgiów świecką potęgę. Nieważne, że temu pierwszemu nie podobały się plany ojca, a drugi nie nadawał się do wyznaczonej mu roli. Decyzja Aleksandra była ostateczna.

Pewnego chłodnego popołudnia zapuściłam się daleko w głąb ogrodu i znalazłam w labiryncie bukszpanowych żywopłotów i krzewów różanych.

Tamtego dnia znów rozmyślałam o dzieciach - a właściwie ich braku. Kiedy przybyłam do Rzymu, Aleksander bezustannie nagabywał Jofrego i mnie, kiedy będziemy mieć dzieci - lecz po jakimś czasie, gdy wciąż nic nie zapowiadało przyjscia na świat potomka - przestał pytać. Nie zdawało się to zbyt martwić Jofrego, lecz myślę, że potajemnie oboje przyglądaliśmy się sobie nawzajem z rosnącą podejrzliwością: czy to ja jestem bezpłodna? Czy to może przez lewe jądro Jofrego, które nigdy do końca nie zstąpiło?

Przez pierwsze dwa lata małżeństwa nie chciałam mieć dzieci, robiłam więc częsty użytek z wody i soku cytryny. Jednak w ciągu ostatnich kilku miesięcy przyszło mi do głowy, że dziecko nie tylko poprawiłoby moją pozycję w oczach Jego Świątobliwości, lecz może również w jakimś stopniu zagwarantowało fizyczne bezpieczeństwo.

Chociaż wszyscy w rodzinie Borgiów zdawali się uznawać za oczywiste, że Jofre nie jest synem Aleksandra, w specjalnie wydanej papieskiej bulli został uznany za jego potomka. Nasze dzieci byłyby wnukami Rodriga i otrzymałyby wszystkie należne im prawa. Pozory zawsze liczyły się dla Borgiów bardziej niż fakty.

W dodatku uwielbiałam Cezara tak bezgranicznie, że myśl o urodzeniu jego dziecka była dla mnie jak magia; miłość sprawiła, że zaczęłam pojmować macierzyństwo niejako obowiązek, ale jako przywilej.

Skreśliłam w następną ścieżkę roślinnego labiryntu i znalazłam się w ustronnym miejscu, gdzie spiżowy cherubin z wielkiego dzbana wylewał wodę do marmurowej misy fontanny.

Okazało się, że nie jestem tam sama. Przede mną stał Juan ubrany w szkarłatny atlasowy kaftan i szafranowe nogawice; po raz pierwszy widziałam go takim. Od rozpoczęcia pechowej kampanii wojskowej jał zapuszczać brodę, lecz podobnie jak Jofre miał tylko rzadki, mizerny zarost.

Z rękami wspartymi pod boki stał pewnie na rozstawionych nogach i uśmiechał się jak zwykle z wyższością. Zlustrował mnie od stóp do głów.

- No, no - powiedział z zadufaniem. - Wspaniały, słoneczny dzień. Trochę chłodny... ale w sam raz na miłość.

- Odejdź i poszukaj jej gdzieś indziej - odrzekłam. Prawą ręką instynktownie sięgnęłam po ukryty sztylet. - U mnie jej nie znajdziesz.

Twarz mu stężała, jakby zmieniła się w kamienną maskę.

- Jestem upartym człowiekiem - powiedział takim tonem, że rozejrzałam się, czy w pobliżu jest ktoś, kogo mogłabym zawołać na pomoc. - Powiedz mi, donna Sancha - zrobił krok do przodu, a ja krok w tył - jak to się dzieje, że tak bardzo pociąga cię Cezar, a mną tylko pogardzasz?

- Cezar jest mężczyzną. - Położyłam szczególny nacisk na ostatnie słowo.

- A ja nie? - Rozłożył ręce w pytającym geście. - Cezar to tylko mol książkowy. Marzy o bitwach, ale zna się wyłącznie na prawie kanonicznym. Niech sobie gada, ile chce, o strategii, ale nadaje się wyłącznie do klepania łacińskich formułek. Nigdy nie przeszedł próby bojowej, a ja tak.

- To prawda - odparłam. - I okazałeś się tchórzem. Wystarczyło, że miecz drasnął ci skórę, a uciekłeś, becząc jak niemowlę.

Kąćki jego warg wygięły się ku dołowi; doskoczył do mnie szybciej, niż się spodziewałam, i z całej siły uderzył pięścią w twarz, aż odrzuciło mnie do tyłu na krzak róży.

- Ty suko - warknął. - Nauczę cię szacunku dla lepszych od ciebie. Zdobędę, co zechcę, i ani ty, ani Cezar nie powstrzymacie mnie od tego.

Zamachałam w powietrzu rękami; zdrewniałe kolce wbiły mi się w skórę i podarły suknię. Zanim zdążyłam odzyskać równowagę, Juan dopadł mnie, chwycił oburącz, poderwał do góry i rzucił na wysypaną żwirem ścieżkę.

Na chwilę przed tym, jak zwałił się na mnie, wyciągnęłam sztylet i zamachnęłam się, tnąc go od lewej piersi aż po prawy obojczyk. Ostrze łatwo

przeszło przez delikatny atlas i poczułam, że zraniło ciało; potwierdził to skowyt Juana i ciemniejąca plama na jego kaftanie.

Spodziewałam się, że ucieknie jak na wojnie; rzeczywiście, cofnął się i z przerażoną miną dotknął rany, a potem popatrzył na zakrwawione palce. Na widok krwi - choć było jej tylko trochę - oczy zapalały mu nienawiścią i zawołał chrapliwie:

- Giuseppe!

Zaszeleściły gałęzie bukszpanu i z gąszczu wyłonił się sługa. Giuseppe miał bary dwa razy szersze od Juana i był prawie o połowę wyższy od swego pana. Wtedy naprawdę wpadłam w panikę. Z trudem podźwignęłam się i zamachnęłam dziko sztyletem. Giuseppe zaśmiał się, choć w jego oczach dostrzegłam smutek.

Zręcznym ruchem przycisnął mnie do ziemi i chwycił za nadgarstki tak mocno, że poczułam się, jakby gruchotał mi kości. Sztylet wypadł mi z dłoni. Nabrałam powietrza i z furją wrzasnęłam mu w twarz, modląc się, by ktoś był w pobliżu i mnie usłyszał - odpowiedział mi tylko szum wody w fontannie.

Giuseppe przykucnął obok. Nadal trzymał mnie za rękę, a ja wiałam się i wierzgałam nogami. Tymczasem Juan stanął nade mną i zaczął rozsznuro-wywać sącdek.

- Klaczka wciąż jest nieujędzona - zażartował. - Ale i tak jej dosiędziemy. Postarałam się, żeby nie było to dla niego ani łatwe, ani przyjemne; musiał

użyć całego ciężaru ciała, żeby mnie unieruchomić, a ponieważ był drobniejszej postury niż Cezar, kosztowało go to wiele wysiłku. Ostatecznie jednak to on okazał się silniejszy, a ja słabsza, i udało mu się dopiąć swego. Rozłożył mi nogi, wpijając palce głęboko w uda, rozdrapując je i siniacząc. Potem wdarł się we mnie tak brutalnie, że musiałam przygryźć wargę, żeby nie dać mu satysfakcji i nie krzyknąć z bólu.

Giuseppe trzymał mnie za rękę, a Juan wbijał się we mnie niczym taran, postępując, klnąc i lżąc słowami, jakich żaden mężczyzna nie użyłby wobec najgorszej wywłoki. Przy każdym uderzeniu żwir pod plecami wrzynał mi się coraz głębiej w ciało. Miałam wrażenie, jakby trwało to całą, przerażającą wieczność. Zmuszałam się do obojętności wobec tego, co się dzieje, próbowałam odsunąć od siebie gniew, który graniczył z obłędem. Mnie tu nie ma, wmawiałam sobie. Nie ma mnie tu, a to się nie dzieje naprawdę... Starłam się powstrzymać od krzyku i przywołać wspomnienia z dzieciństwa, gdy byłam bezpieczna i szczęśliwa i bawiłam się z bratem.

Hańba, jaką Juan mi zgotował, nadmiernie go podnieciła; wkrótce wydał z siebie gwałtowny ryk i wytrysnął, mrugając szybko powiekami.

Z głębokim westchnieniem wyszedł ze mnie; ciepły płyn spłynął mi po nogach.
- Masz, suko. Teraz możesz powiedzieć, że miałaś mężczyznę. Wyszarpnęła mi jedną dłoń z rąk sługi i popatrzył na mały palec, na którym nosiłam złotą obrączkę od matki.

- Pamiątka - powiedział z uśmiechem. - Właśnie tego potrzebuję od nowej kochanki, żeby na zawsze zapamiętać tę chwilę. - Ściągnął pierścionek, a potem podniósł się i wyprostował dumnie. - A teraz, donna Sancha, jeśli masz za grosz rozumu w swojej kobiecej głowce, porzucisz Cezara i przybiegniesz do mnie, błagając o więcej.

Splunęłam mu w twarz. Niestety, Giuseppe wciąż mnie przytrzymywał i plwocina nie dosięgła celu. Juan roześmiał się, zapinając spodnie, a potem rzucił do sługi:

- Bierz ją, jeśli chcesz. Dla mnie to bez znaczenia. Wszystkie dziury są takie same.

I odszedł, pyszny jak paw.

Obróciłam głowę, żeby lepiej widzieć oczy Giuseppego i syknęłam:

- Dotknij mnie, a przysięgam, że zapłacisz głową. Ku memu zdumieniu odparł:

- Wybacz mi, madonna. Aby ocalić własne życie, pomogłem w tym haniebnym czynie, lecz nie skrzywdzę cię i każdego dnia będę się modlił do Boga o wybaczenie, choć nie oczekuję, że je otrzymam.

I zniknął.

Przewróciłam się na bok i złapałam sztylet: przez cały czas wiedziałam, gdzie upadł. Drżącą ręką ukryłam go z powrotem w brudnym gorsecie. Przepelniał mnie gniew, wstyd i ból; jakimś cudem zdołałam nie tylko się podźwignąć i zapanować nad sobą tak, by moja twarz nie wyglądała jak złowroga maska, lecz także dowlec się o własnych siłach do domu.

Wróciłam do swoich komnat i wyprosiłam wszystkie służki oprócz donny Esmeraldy. Pozwoliłam jej się umyć, natrzeć maścią najboleśniej rany i ubrać w świeżą koszulę nocną.

Potem dopadły mnie dreszcze tak gwałtowne, że bałam się, iż ciało rozpęka mi się na dwoje, później nadszedł atak spazmów, ledwie łapałam oddech. Ale nie płakałam, nie zamierałam uronić nawet jednej łzy tylko dlatego, że skrzywdził mnie mężczyzna, choć w końcu wszystko opowiedziałam Esmeraldzie. Przez cały czas tuliła mnie mocno jak matka swoje dziecko.

Wiosna – lato 1497

Tego samego wieczoru wysłałam przez Esmeraldę wiadomość, którą tylko Cezar mógł zrozumieć: czarna dama jest chora. Nie miałam ochoty tłumaczyć komukolwiek tego, co się stało, spędziłam więc noc sama, tylko z dobrą Esmeraldą, z którą dzieliłam łóżko. Jej cicha, niewzruszona obecność okazała się wielką pociechą. Z szacunku dla mojego cierpienia odezwała się tylko raz - cicho, lecz z mrozącą krew w żyłach stanowczością: „Nie bój się, Sancho. Bóg jest świadkiem zbrodni przeciwko tobie i we właściwym czasie pomści twoją krzywdę”.

Następnego ranka nie byłam nawet pewna, czy powinnam powiedzieć kochankowi o tym, czego dopuścił się jego brat. Obawiałam się, że Cezar może stracić głowę i odpowiedzieć przemocą - mimo że sama marzyłam

o zamordowaniu Juana. Książę Gandii był jednak ulubieńcem Aleksandra, a wiedząc, że ojciec groził już Cezarowi śmiercią, bałam się, że zemściłby się na nim okrutnie, gdyby Juanowi coś się stało.

Przez dwa dni udawałam chorobę - pod tym samym pretekstem nie dopuszczając do siebie Jofrego - potem zaś Cezar przekazał mi przez Esmeraldę odpowiedź, błagając, abym spotkała się z nim tam, gdzie zwykle.

Zgodziłam się, bo tęskniłam za nim, lecz zdążyłam już wymyślić wymówkę, czemu tej nocy nie powinniśmy się kochać. Sińce na moich plecach - odciski każdego przekłętego kamyczka na ścieżce, gdzie zostałam zgwałcona - a także ślady na udach i nadgarstkach zaczęły się goić, lecz nadal były widoczne.

Owinięta w czerń poszłam o umówionej godzinie na wyznaczone miejsce i po raz pierwszy nikogo tam nie zastałam. Cezar nie czekał na mnie, jak miał w zwyczaju; ba, w ogóle się nie pojawił.

Ponieważ jestem królewskiej krwi i niecierpliwej natury, w pierwszej chwili zawrzałam gniewem. Jak śmie tak mnie obrażać?

Potem zaczęłam się bać. A jeśli dowiedział się o zbrodni Juana i zranił go lub zabił, szukając sprawiedliwości?

Długo jeszcze stałam w mroku, mając nadzieję, że Cezar przybędzie z wyjaśnieniem, które oddali wszelkie wątpliwości. On jednak nie przyszedł, a ja wróciłam do siebie, pełna niepokoju.

Następnego dnia Cezar był zajęty sprawami Watykanu i nie zjawił się na rodzinnej kolacji. Wysłałam mu ostrożny list z pytaniem, czy zaszło jakieś nieporozumienie, lecz minął dzień, a potem drugi, i wciąż nie otrzymałam odpowiedzi.

Byłam coraz bardziej zgnębiona. Nawet jeśli Cezar jakimś cudem dowiedział się o zbrodni Juana, nie mogło to stanowić przyczyny jego nagłego milczenia. Raczej starałby się mnie pocieszyć i poprzysiągłby Juanowi zemstę.

Okazja do wyjaśnienia sprawy nadarzyła się wreszcie na jednym z przyjęć zaplanowanych przez Lukrecję. Na miejsce wybrała wielką loggię pałacu Santa Maria, gdzie było dość przestrzeni do tańców. Jego Świątobliwość siedział na tronie i bawił się, dobierając tancerzy w pary.

W pewnym momencie zażądał, żebym zatańczyła z Cezarem.

Na szczęście muzyka była głośna i nie byliśmy jedynymi tancerzami na parkiecie. Dzięki temu mogłam porozmawiać z Cezarem całkiem otwarcie.

Lukrecja zażyczyła sobie maskarady; ja miałam maskę z farbowanych na niebiesko piór, on ze złoconej skóry. Z maską czy bez jego mina byłaby równie nieodgadniona.

Ujął moją rękę z ostentacyjną obojętnością i ograniczał nasz kontakt do niezbędnego minimum. Ciemne oczy w lśniącej skórzanej oprawie maski były nieprzeniknione.

- Nie odpowiadasz na moje listy - powiedziałam, gdy zaczęliśmy tańczyć. Trudno mi było nie okazać udręczenia; czułam się podwójnie zraniona, podwójnie zdradzona. - Czemu?

- Nie pojmuję - odrzekł z chłodem, który zmroził mi krew. - Donna Sancha, zadajesz pytanie, mimo że znasz odpowiedź.

- Wiem tylko - odparłam drżącym głosem - że nie chcesz się ze mną widzieć. Umówiłeś się ze mną i kazałeś na siebie czekać, choć nie miałeś zamiaru przyjść. Jaka jest przyczyna tego okrucieństwa?

Wzgarda w zachowaniu i tonie Cezara była nieznośna.

- Spytaj Juana.

Zatrzymałam się w pół kroku; Cezar musiał popchnąć mnie do dalszego tańca.

- Powiedział ci, co mi zrobił? - zapytałam z niedowierzaniem. - Czemu więc, kardynale, masz pretensje do mnie?

Popatrzył na mnie z niewymownym obrzydzeniem i przez jakiś czas się nie odzywał. Wreszcie rzekł:

- Doprawdy, nie rozumiem, o co ci chodzi, madonna. Najpierw wdajesz się w romans z moim bratem, a teraz pytasz o przyczynę mej złości?

- Romans? - Cofnęłam się, jakby mi wymierzył policzek. - Juan zbezczeszczył mnie wbrew mej woli!

Cezar pozostał niewzruszony.

- Jest świadek, który twierdzi co innego.

- I przedkładasz jego słowo nad moje?

- Madonna, Juan nosi złotą obrączkę twojej matki na łańcuszku pod szyją jako dowód waszej miłości. Chowają pod ubraniem, żeby nikt nie zobaczył, ale ja ją widziałem. Poza tym, nie wiedząc o nas, wyznał mi, że się kochacie.

Oniemiałam. Przez dłuższą chwilę nie byłam w stanie się odezwać - zbyt oburzona i zraniona, aby wiedzieć, jak odpowiedzieć na zemstę Juana - zemstę zaiste straszliwą za odtrącenie i jeden publicznie wymierzony policzek. Swymi kłamstwami zniszczył jedyną rzecz, która od przybycia do Rzymu przynosiła mi szczęście.

- To ohydne oszustwo! - zawołałam. - Jaki człowiek... - urwałam, usiłując odzyskać panowanie nad sobą, bo przestałam tańczyć i podniosłam głos do krzyku. Inni tancerze patrzyli na nas i wymieniali między sobą szeptem uwagi; byłam tak wściekła, że nie zważałam na to, choć nawet Aleksander przyglądał nam się ze zmarszczonymi brwiami.

Zniżywszy głos, syknęłam:

- Wiem, jaki człowiek. Twój brat jest nikczemnikiem, pełzającym gadem najgorszej natury... Nie dość, że zbrukał mój honor, to jeszcze dopuścił się najohydniejszego kłamstwa, aby odegrać się za to, że go spoliczkowałam przy świadkach. Zabrał mi tę obrączkę. Nie poszłam do ciebie tamtej nocy, bo byłam zbyt roztrzęsiona i rozżalona... a poza tym bałam się, że mógłbyś zrobić coś pochopnego. Tak pochopnego, że obawiałam się o twoje bezpieczeństwo. Teraz widzę, że bardzo się pomyliłam.

Pod maską wargi drgnęły mu nieznacznie, ale nie odezwał się słowem.

- Pokaż mi tego „świadka”... Giuseppe, prawda? Każ mu spojrzeć mi w oczy, a zobaczymy, czy będzie w stanie powtórzyć to kłamstwo, bo właśnie on mnie przytrzymał podczas gwałtu. Przyciśnij go, a prawda wyjdzie na jaw.

- Giuseppe od lat jest moim zaufanym sługą - powiedział Cezar. - Gardzi Juanem. Nic nie zdołałoby go skłonić do pomocy Juanowi i to w takim czynie.

- A jednak zrobił to, kardynale. - Umilkłam, choć moje ciało wciąż wykonywało wyzute ze znaczenia taneczne ruchy w rytm muzyki, która zdawała się pozbawiona melodii. - Juan kłamie, gdy mówi, że nie wie o naszym romansie. Przy pierwszym spotkaniu spoliczkowałam go, bo stwierdził, że skoro sypiam już z dwoma braćmi, równie dobrze mogę się przespać i z nim.

Cezar zawahał się, lecz ostatecznie urażona duma wzięła górę.

- Nie pozwolę przyprawiać sobie rogów, donna. Nie ma sensu dłużej roztrząsać tej sprawy.

- A więc - odparłam cicho, z godnością i opanowaniem, na które ledwie mogłam się zdobyć - postanowiłam zaufać raczej Juanowi niż mnie.

Nie odpowiedział.

- To twój brat, Cezarze, wystrychnął cię na dudka, nie ja - dodałam. Do końca tańca nie zamieniliśmy już ani słowa.

Owej nocy nawet nie próbowałam położyć się spać. Miłość odarła mnie z całego szacunku do siebie; choć tak bardzo potępiałam matkę za pozbawione rozsądku poświęcenie dla ojca, teraz znalazłam się w tym samym położeniu. Upokorzona ubrałam się w czarną sukienkę i okryłam welonem, a potem przeszłam sekretnym korytarzem z Santa Maria do bazyliki Świętego Piotra. Wartownicy orientowali się w sytuacji na tyle, żeby mnie przepuścić gwardzista przy drzwiach do apartamentów Cezara dyskretnie oddalił się w głąb korytarza. Zapukałam.

Pora była późna. Cezar sam mi otworzył, wciąż ubrany. Z ulgą zdałam sobie sprawę, że też nie mógł spać. Z tym większą otuchą stwierdziłam, że jest sam.

Ujrzawszy mnie osłoniętą woalem i niemą, przez chwilę przyglądał mi się z chmurnym czołem, a potem oschłym gestem ręki zaprosił do środka.

Podniosłam welon.

- Cezarze - powiedziałam - nie mogę znieść rozłąki z tobą. Gotowa jestem się poniżyć, byle tylko odzyskać twoje zaufanie.

Stał w milczeniu, czekając na dalsze słowa z głową przekrzywioną na bok i ramionami skrzyżowanymi na piersi, lecz ja przeszłam do czynów. Zdjęłam suknię i ściągnęłam przez głowę czarną halkę. Stanąwszy przed nim naga, wyciągnęłam ku niemu ramiona.

- Tak wyglądają moje ręce w miejscach, gdzie mnie trzymał Giuseppe - powiedziałam, obracając je powoli, aby lepiej widział zażółcone już sińce. Potem odwróciłam się, pokazując mu plecy, na których, jak powiedziała Esmeralda, wciąż miałam ślady po żwirze. Gdzieś w głębi duszy spodziewałam się, że Cezar westchnie współczująco albo przeklnie brata. Ale odpowiedziała mi tylko cisza.

Odwróciłam się do niego; widząc zwątpienie w jego minie, poniżyłam się ostatecznie i rozchyliłam nogi.

- Proszę - powiedziałam, pokazując ciemne sińce pozostawione przez ręce Juana na bladej skórze.

Zaległa długa cisza; z wypiekami na policzkach powoli zebrałam swoje rzeczy i się ubrałam. Ale nie mogłam się zdobyć na to, żeby go opuścić. Czekałam zrozpaczona, z walącym sercem, na najmniejszy znak, że odzyskałam jego zaufanie.

Wreszcie powiedział:

- To mogą być równie dobrze ślady wielkiej namiętności. Podniosłam na niego wzrok, wstrząśnięta i oniemiała. Potem wyszłam

szybko, aby nie zobaczył, jak głęboko mnie zranił.

Nie wróciłam do swojej sypialni. Poszłam do spowitego mrokiem ogrodu i siedziałam tam, zmartwiała z bólu, aż zaczęło świtać.

19

Traktowaliśmy się z Cezarem z chłodną uprzejmością, ilekroć nie udawało nam się uniknąć spotkania. Juan z kolei dopilnował, by plotki o naszym „romansie” rozprzestrzeniły się po Rzymie. Poza tym zostawił mnie w spokoju - tylko od czasu do czasu posyłał mi triumfalne spojrzenie, zwłaszcza gdy widział, jak mijamy się z Cezarem w milczeniu. Najwyraźniej wystarczyło mu, że raz mnie poniżył - nie musiał tego powtarzać.

Jofre, choć słyszał plotki, wytrwale okazywał mi dobroć - co tylko pogłębiało moją melancholię. Sypiałam słabo i mało jadłam; mąż przysyłał lekarzy, którzy badali mnie i podawali eliksiry, lecz nie mieli lekarstwa na chorobę, która mnie dręczyła.

Przed oczami wciąż majaczyła mi twarz Cezara; nie umiałam uwolnić się od myśli o nim. Cóż jeszcze mogłam zrobić, żeby go odzyskać? Poniżyłam się dla niego jak dla żadnego innego mężczyzny i nie pojmowałam, jak mógł wątpić w moją miłość lub lojalność. Jak mógł mi nie wierzyć, skoro na własne oczy zobaczył sińce? Jak mógł mnie uznać za tak zakłamaną?

Odpowiedź często przychodziła mi na myśl, lecz za każdym razem usiłowałam ją zdławić: tylko człowiek zdolny do wielkiej niegodziwości może podejrzewać innych o to samo.

Byłam tak przygnębiona, że zupełnie przestałam zabiegać o towarzystwo. Przy każdej okazji kładłam się do łóżka. listy od matki i Alfonsa, nieprzeczytane i bez odpowiedzi, rosły w coraz większą stertę na stoliku w sypialni.

Lukrecja spostrzegła mój smutek - i ku memu zaskoczeniu starała się poprawić mi humor. Zapraszała mnie na obiady, na których podawano potrawy przyrządzane specjalnie po to, by pobudzić słabnący apetyt; wyciągała mnie z domu na przejażdżki i pikniki wiejskie. Byłam wzruszona jej wysiłkami. Kiedy zostawałyśmy same, próbowała stać się moją powiernicą, dowiedzieć się, co jest źródłem mojej rozpaczy.

Milczałam jak zaklęta; Cezar dostatecznie mocno uświadomił mi bezpośredni związek między przetrwaniem i trzymaniem języka za zębami, gdy w grę wchodzi sprawy Borgiów. Uśmiechałam się więc i przyjmowałam dowody przyjaźni, lecz niczego nie tłumaczyłam.

Pewnego dnia Lukrecja i kilka dworek przyszły do moich komnat.

- Zbieraj się! - zakomenderowała. - Jedziemy rozdawać biednym jałmużnę! Leżałam w łóżku, apatyczna i znudzona.

- Jest za zimno - marudziłam. Choć w rzeczywistości na niebie nie było nawet chmurki.

- Też coś! - powiedziała Lukrecja. Podeszła do łóżka, wyrwała mi książkę i pociągnęła za rękę. - Jest cudowna pogoda! Zaraz znajdziemy ci odpowiednią suknię!

Weszłyśmy do mojej garderoby i tak, jakby była donną Esmeraldą przygotowującą mnie na bal, wybrała jedną z najszycowniejszych szat, suknię z ciemnozielonego aksamitu i błękitnego jak morze tiulu; rękawy sznurowało się złożonymi wstążkami. Kiedy obie byłyśmy już odpowiednio wystrojone - ona w szafirowy błękit - rzekła:

- O Sancho! Jesteś zbyt piękna na to, żeby się tak smucić! Spójrz na siebie, jesteś najładniejszą kobietą w Rzymie. Gdy ludzie cię zobaczą, pomyślą, że zawitała do nich boginka!

Uśmiechnęłam się z wdzięcznością. Trudno było uwierzyć, że to ta sama osoba, która świdrowała mnie nienawistnym wzrokiem, kiedy przyjechałam do Rzymu - na mnie jej troska sprawiała wrażenie szczerą. Może gdy ktoś raz zaskarbił sobie jej zaufanie, umiała okazywać to całym sercem. Może wcześniej źle ją osądziłam i potajemnie tęskniła za życiem dobrym i prostym.

Pojechałyśmy więc do miasta otwartym wozem z herbem Borgiów: ognistoczerwonym bykiem, wymalowanym na lakierowanych drzwiach.

Nie zajęłyśmy zbyt daleko, gdy ludzie wypatrzyli nas i zaczęli podbiegać do karety, wykrzykując błogosławieństwa. Lukrecja pochyliła się do mnie

i z aksamitnego trzosa wysypała mi na kolana Jałmużnę", którą miałam rozrzucać.

Popatrzyłam na lśniące monety.

- Lukrecjo, to są złote dukaty!

Za jednego dukata chłop mógł kupić całe gospodarstwo, a mieszczanin dom... Była to niewiarygodna szczodrość. Lukrecja uśmiechnęła się beztrudnie.

- Tym bardziej będą nas uwielbiać.

Wstała i rzuciła garść monet w czekający tłum. Wkrótce podniosły się gromkie wiwaty.

Spojrzałam na nią, na zaróżowioną od słońca twarz, na oczy lśniące radością z tego, że może uszczęśliwić innych.

Jak mogłam jej odmówić? Uśmiechnęłam się, nabrałam garść dukatów i sygnęłam nimi w stłoczoną gawiedź.

Giovanni Sforza, od dawna nieobecny małżonek Lukrecji, przyjechał w styczniu do Rzymu. Najwyraźniej nie mógł dłużej ignorować coraz bardziej nagłych listów od papieża, który żądał, by wrócił i zachowywał się, jak na męża przystało.

I tak oto Sforzę powitano z powrotem w Wiecznym Mieście - bez fanfar zarezerwowanych dla dzieci Jego Świątobliwości i z całą pewnością bez celebry. Giovanni hrabia Pesaro sprawiał raczej marne wrażenie. Był chuderlawy i pozbawiony wdzięku, miał nadmiernie rozrośniętą grdykę i duże, wyłupiaste oczy, które nadawały mu wiecznie zdziwiony wyraz twarzy. Jego charakter okazał się równie drażniący: był wylewny w nieodpowiednich chwilach, a kiedy indziej tchórzliwy; podejrzewałam, że Aleksander wybrał go dlatego, że łatwo dawał się urabiać. Lukrecja powinna z łatwością nad nim zapanować.

Nikt jednak nie wziął pod uwagę potęgi lęku Giovanniego: hrabia Pesaro słusznie obawiał się Borgiów, zwłaszcza odkąd Mediolan, gdzie sprawowała rządy jego rodzina, poparł króla Karola podczas najazdu Francuzów. W każdym razie temu przypisywano oficjalnie jego bojaźliwość.

Przez trzy miesiące Sforza odgrywał rolę małżonka Lukrecji - według służących Jego Świątobliwość kazał mu wybierać między powrotem do żony a losem niepewnym i nieokreślonym. Małżonkowie byli dla siebie uprzejmi, ilekroć występowali razem publicznie, co czynili tylko wtedy, gdy to było konieczne. Nawet jeśli połączyła ich jakaś czułość, niczego nie okazywali. Lukrecja grała rolę żony z wielką godnością, choć oczywista chęć Giovanniego, by być gdzie indziej, musiała ją bardzo krępować. Starłam się

złagodzić cierpienia Lukrecji, organizując rozmaite drobne rozrywki, tak jak ona czyniła to wcześniej dla mnie.

Giovanniego nigdy nie spotkało nic złego. Przeciwnie, papież i jego dzieci robili wszystko, aby czuł się mile widziany i szanowany; podczas wszystkich ceremonii przyznawano mu honorowe miejsce tuż za Juanem i Cezarem. W Niedzielę Palmową Giovanni znalazł się w wyróżnionej garstce ludzi, którzy otrzymali palemkę poświęconą przez Jego Świątobliwość.

A jednak wczesnym rankiem w Wielki Piątek Sforza wsiadł na konia i pogalopował z powrotem do rodzinnego Pesaro, skąd nie chciał się już więcej ruszać.

Zaroiło się od plotek. Jedni mówili, że sługa Sforzy podsłuchiwał, jak Lukrecja i Cezar planowali otrucie jego pana; tę wersję powtarzano najczęściej.

Najokrutniejsze słowa wyszły jednak nie z ust plotkarzy, lecz od samego Giovanniego - choć ośmielił się wypowiedzieć je dopiero z bezpiecznych murów twierdzy w Pesaro. Lukrecja była, jak twierdził w słanych na prawo i lewo listach, „nieprzywoita”. Pojawiły się sugestie, że ów brak cnotliwości wiąże się z bezceństwem tak wielkim, że żaden normalny małżonek nie mógłby go tolerować.

W mig pojęłam, o co chodzi: Sforza widział, co łączy papieża i Lukrecję. Wiedział to, co ja - i najwyraźniej dowiedział się o ich kazirodczych stosunkach wkrótce po ożenku. A słabe nerwy nie pozwalały mu żyć w takim napięciu.

Nie mogłam go za to winić, ale serce krajało mi się na myśl o Lukrecji. Zdawało się, że powrót męża przyniósł jej ulgę - a teraz przez jego ucieczkę znalazła się w oku cyklonu plotek. Nikt nie śmiał mówić źle o Jego Świątobliwości ani oskarżać go o kazirodczy związek, ale Lukrecji nie szczędzono obelg. Nazywano ją ladacznicą, żoną i córką papieża.

We Florencji Savonarola zażarcie piętnował grzechy Rzymu, w czym posuwał się tak daleko, że domagał się użycia siły przeciw papieżowi i jego Kościołowi. Mnich reformator pisał do władców Europy, żądając pozbawienia Aleksandra tiary; nawoływał króla Francji Karola, by znów zaatakował Italię i ponownie „wydał osąd”.

Papież natychmiast zabrał się do pracy nad unieważnieniem małżeństwa Lukrecji... a w maju ekskomunikował Savonarolę.

Lukrecja znosiła to wszystko tak długo, póki się dało; potem, w czerwcu, bez wiedzy i zgody Jego Świątobliwości zebrała kilka zaufanych dworek i ukryła się w klasztorze San Sisto. Jak powiedziała ojcu, zamierzała zostać zakonnica. Skończyła z małżeństwami i mężczyznami.

Aleksander wpadł w furję. Córka, którą można wydać za męża, stanowiła pożyteczne narzędzie polityczne i ciężko mu było je tracić. W ciągu kilku dni od jej przybycia do klasztoru wysłał tam oddział uzbrojonej gwardii, domagając się, by zakonnice przekazały mu Lukrecję, jako że najlepiej będzie dla niej pozostać pod opieką ojca".

Była to woda na młyn rzymskich plotkarzy. „Widzicie? Nie może bez niej wytrzymać nawet jednego dnia".

Przeorysza klasztoru, siostra Girolama, rozpoczęła pertraktacje z żołnierzami. Bez wątpienia była to dzielna i elokwentna niewiasta, bo oddział wojska opuścił San Sisto bez swej zdobyczy, ku wielkiemu oburzeniu Aleksandra.

Lukrecja nie chciała wracać. Zaczęłam wierzyć, że została zmuszona do kazirodczego związku z ojcem. Głęboko i szczerze jej współczułam.

Po pewnym czasie Aleksander ochłonął i pozwolił Lukrecji zostać w San Sisto. Myślał, że wkrótce znudzi się klasztornym życiem i zateśni za wystawnymi przyjęciami i balami.

Było jednak coś, o czym nie wiedział.

Udałam się z potajemną wizytą do Lukrecji w San Sisto. Jedna z sióstr w milczeniu odprowadziła mnie do jej komnat. Lukrecja nie mieszkała w spartańskich warunkach; komnaty, w których ją zakwaterowano, były przestronne i wytwornie urządzone - przygotowano je specjalnie dla szlachetnie urodzonych gości, a Lukrecja szybko sprowadziła własne meble, żeby dzięki temu mniej tęsknić za domem.

Nie zastałam jej w domu; przywitała mnie Pantsilea, sama niewiele starsza od Lukrecji, lecz zachowująca się jak kobieta dojrzała. Pantsilea była ładną i dobrą istotą, szczupłą i piękną. Gęste czarne włosy nosiła zaczesane do tyłu, odsłaniając czoło, które, zwykle gładkie, tego dnia marszczyła zgryzota.

- Jak ona się czuje? - zapytałam zaniepokojona miną donny Pantsilei.

- Madonna Sancha - powiedziała żałośnie i pocałowała mnie w rękę. Byłyśmy same, mogła więc mówić otwarcie; Lukrecja i dwie pozostałe panny poszły do kaplicy, a Perotto został odesłany do kuchni. - Tak się cieszę, że pani przyjechała. Jeszcze nigdy nie widziałam, żeby donna Lukrecja czymkolwiek się tak zamartwiała. Nie chce jeść, nie może spać. Boję się... madonna, naprawdę się boję, że zrobi coś strasznego.

- To znaczy? - zapytałam ostro.

- To znaczy - zniżyła głos do szeptu - że spróbuje odebrać sobie życie. Te słowa tak mną wstrząsnęły, że nie wiedziałam, co odpowiedzieć - i dobrze, bo właśnie w tym momencie usłyszałyśmy odgłos zbliżających się

kroków. Po chwili otworzyły się drzwi i stanęła w nich Lukrecja, a obok niej dwie dworki.

Ubrana całkowicie na czarno była bardzo blada i miała ciemne cienie pod oczami; wszelkie ślady dawnej radości zniknęły, zamiast nich pojawiła się posepność, której widok łamał serce.

- Donna Sancha! - powiedziała i obdarzyła mnie słabym uśmiechem. Objęłyśmy się i przez ciało poczułam kości; bardzo straciła na wadze. - Jak dobrze cię widzieć!

- Tęskniłam za tobą - wyznałam szczerze. - Chciałam sprawdzić, jak się miewasz.

Lukrecja gestem odprawiła dworki do drugiej komnaty, abyśmy mogły porozmawiać na osobności.

- Cóż - rzekła, wciąż uśmiechając się smutno - sama widzisz. Usiadła na dużej poduszce leżącej na podłodze. Usadowiłam się obok i wzięłam ją za rękę.

- Lukrecjo, proszę. Martwię się o ciebie. Nawet Pantsilea się niepokoi. Okazałaś mi tyle dobroci, że nie mogę patrzeć, jak cierpisz przez złośliwe plotki.

Zdumiała mnie kompletnie, wybuchając płaczem. Przytuliłam ją i dałam się wypłakać, a jednocześnie próbowałam sobie wyobrazić, przez jakie piekło musi teraz przechodzić.

Potem zadziwiła mnie jeszcze bardziej, kiedy podniosła wzrok i powiedziała:

- Jest gorzej, niż myślisz, Sancho. Chyba jestem w ciąży. Nie byłam w stanie wykrztusić słowa.

- To nie Giovanni jest ojcem - podjęła rozedrganym głosem. - Gdybym ci powiedziała...

Uniosłam dłoń.

- Wiem, kto jest ojcem. Popatrzyła na mnie zdziwiona.

- Ale nie wymówimy jego imienia - rzekłam. - Bo mogłoby mnie to kosztować życie. Więc zgódźmy się, że ci współczuję, ale zgódźmy się również, że nigdy nie wypowiedziałam imienia ojca na głos. Nie można zatem z pewnością twierdzić, że znam prawdę.

- Sancho, skąd...

- O nic cię nie winię, Lukrecjo. Serce mi krwawi, gdy widzę cię w tak trudnym położeniu. Mogę ci tylko zaoferować pomoc i przyjaźń.

Widziałam, jak zaciekawienie znika z jej twarzy i roztapia się znowu w żalu. Objęłam ją, dziękując losowi, że moje życie nie jest tak pełne cierpienia. Wreszcie doszła trochę do siebie i spojrzała na mnie uważnie.

- Wyświadczysz mi przysługę? - spytała tonem, który brzmiał niebezpiecznie podobnie do prośby na łożu śmierci. - Czy wybaczysz Cezarowi to, jak źle się z tobą obszedł?

Zesztywniałam. Poczułam zarazem ból i gniew na myśl, że Cezar zwierzył się komuś z naszej miłości, a zwłaszcza opowiedział o mojej przygodzie z Juanem - nawet jeśli tym kimś była jego siostra.

- Musisz zrozumieć, że Cezar cierpi bez ciebie - podjęła. - Zachował się jak głupiec, bo wcześniej wielokrotnie kobiety go zdradzały... a twoja uroda sprawia, że jest straszliwie zazdrosny. Ale jeszcze nigdy nie widziałam, żeby był w kimś tak zakochany jak w tobie. Miej dla niego litość, Sancho.

- Niech Cezar sam za siebie mówi - odparłam zimno. - Tylko wtedy mu odpowiem.

Wieczorem tego samego dnia wróciłam do pałacu Santa Maria. Ani na chwilę nie uwierzyłam, że Cezarowi odmieniło się serce; uznałam, że Lukrecja stara się tylko załagodzić stosunki między nami z poczucia lojalności.

Ale godzinę po zachodzie słońca rozległo się pukanie do drzwi i młoda służka przekazała donnie Esmeraldzie zapieczętowany list.

Wyrwałam go jej łapczywie i przeczytałam w samotności, na balkonie wychodzącym na ogród. Natychmiast rozpoznałam skrupulatny, równy charakter pisma Cezara:

Najdroższa Sancho,

byłem największym głupcem na świecie, że Ci nie uwierzyłem, i zasługuję na karę nie mniejszą niż męki w ostatnim kręgu piekieł. Z całą pewnością będę je cierpieć już na tym świecie, jeśli nie ulitujesz się i nie spotkasz ze mną dzisiejszej nocy... Ale tylko one mi się należą. Będę czekał z sercem na dłoni dla Ciebie w darze. Jeśli wszak postanowisz nie przychodzić, zrozumieć to i pozostanę Twój na zawsze.

Cezar

Nie chciałam iść. Chciałam go ukarać: niechby czekał jak ja, czując, jak traci nadzieję, która zmienia się w ból.

Ale chciałam pójść, żeby serce mu się rozradowało tylko po to, bym chwilę później mogła złamać je na pół i splunąć mu w twarz.

Nie, chciałam pójść, żeby zarzucić mu ramiona na szyję, cieszyć się, że znów jest mój, wyznać mu do ucha dozgonną miłość.

I poszłam.

Cezar wiedział, jak zdobywać serca. Gdy tylko mnie ujrzał, padł na kolana i przycisnął czoło do żwiru.

- Nie wstanę stąd, póki nie udzielisz mi wybaczenia, madonna.

Przyglądałam mu się przez chwilę, myśląc o Juanie, o śladach, które podobne kamyki pozostawiły na mojej skórze, o poniżeniu i bólu, jakich od tamtego dnia doznałam.

- Wstań - powiedziałam wreszcie, odsłaniając welon.

20

Tamtej nocy mój romans z Cezarem rozkwitł ponownie z równą namiętnością co przedtem. Cezar poprzysiągł zemstę na Juanie - ale „w odpowiednim czasie i miejscu”. Uciszyłam go. Co moglibyśmy zrobić Juanowi, oczku w głowie papieża i nie narazić się jednocześnie na niebezpieczeństwo? Chciałam tylko zapewnienia, że już zawsze będzie mnie chronił przed bratem, i przyrzekł mi to z przerażającą żarliwością.

Następnego ranka pojechałam znowu do San Sisto odwiedzić Lukrecję. Tym razem przywiozłam ciastka i słodycze, na które chciałam ją skusić. Był początek czerwca i wspaniała pogoda; wszystko pachniało kwiatami, a ja tryskałam radością po nocnej schadzce z Cezarem - i czułam się nawet trochę nieswojo, że w takim nastroju zobaczę się z Lukrecją, która jest tak nieszczęśliwa.

Kiedy przybyłam do klasztoru, dowiedziałam się, że Lukrecja znowu jest w kaplicy: powitała mnie jak wczoraj Pantsilea, tym razem jeszcze bardziej zatroskana. Odprawiła resztę służby, a kiedy zostałyśmy same, pokazała mi oficjalny dokument leżący na stole.

Nieźle znałam łacinę i przeczytałam tekst po cichu, z rosnącym zdziwieniem. Stwierdzał on, że Lukrecja była w rodzinie Sforzów „*triennium et ultra translata absque alia exus permixtione steterat nulla nuptiali commi-xtione, nullave copula carnali conjuxione subsecuta, et quod erat parata jurara et indicio ostreticum se subiicere*”.

Na dole widniał wstydlivy podpis Lukrecji.

Był to wniosek o rozwód, dopuszczalny w prawie kanonicznym, o ile, jak mówił dokument, małżeństwo nie zostało spełnione przez trzy lata. Dodatkowo Lukrecja wyrażała zgodę poddania się oględzinom akuszerki, aby udowodnić swe dziewictwo.

Ciemne oczy Pantsilei pały niepokojem.

- Jego Świątobliwość już przyjmuje propozycje od kawalerów. Myśli tylko o politycznych korzyściach, nie biorąc pod uwagę uczuć Lukrecji. Zapo-

wiedziała mi, że prędzej umrze, niż wyjdzie powtórnie za męż. Ostatnio dziwnie się zachowuje, madonna, jakby próbowała się pożegnać... Przysunęła się bliżej i wyszeptała:

- Mogą mnie zabić za to, co mówię, donna Sancha, ale podejmę ryzyko, jeśli zdołam ocalić życie Lukrecji. Lukrecja ma zapas canterelli, a trochę przywiozła do klasztoru...

Zmarszczyłam brwi, nie znałam tego słowa.

- Canterella?

Była zaskoczona moją niewiedzą.

- Trucizna, z której słyną Borgiowie. Bardzo zabójcza. Boję się, że Lukrecja zamierza się otruć... i to wkrótce. Płakała, kiedy podpisywała ten dokument, donna Sancha. Myślę, że teraz poszła pogodzić się z Bogiem.

Oślupiałam z przerażenia.

- Czemu wyjawiasz mi te sekrety? Co mogę na to poradzić?

- Szukałam canterelli, żeby Lukrecja nie mogła jej zażyć, ale nie wiem, gdzie ją ukryła. Pomożesz mi, pani? Liczy się każda chwila.

Popatrzyłam na nią. Prosiła mnie o narażenie życia - ale przypomniałam sobie, że to dla dobra Lukrecji, która okazała mi tyle ciepła i przyjaźni, kiedy ogarnęła mnie rozpacz. Kiwnęłam twierdząco głową.

- Jest w małej, zakorkowanej fiolce z zielonego weneckiego szkła - podjęła szybko Pantsilea. - Przeszukiwałam właśnie jej kufer, biżuterię... ale może schowała fiolkę w którejś sukni.

Wskazała ręką wielką garderobę. Podeszłam do niej i otworzyłam drzwi, Pantsilea zabrała się znowu do przetrząsania kufra. Lukrecja przywiozła tylko cztery skromne sukienki; nie przyjechała tu, żeby się stroić, i najwyraźniej nie zamierzała tu długo zabawić. Doskonale rozumiałam tę potrzebę skrytości: wszystkie moje suknie miały w gorsie kieszonkę na sztylet. Może Lukrecja zaprojektowała coś podobnego...

Żeby dokładnie obszukać suknie, musiałam wejść do szafy. Rękawy wydawały się najbardziej oczywistym miejscem na schowek, więc od nich zaczęłam.

Ledwie przesunęłam dłoń po delikatnej tkaninie, usłyszałam męski głos na korytarzu - bardzo znajomy głos, wołający Lukrecję. Zanim zdążyłam coś zrobić, donna Pantsilea zamknęła drzwi garderoby, szepcząc:

- Proszę się nie ruszać i nie odzywać ani słowem.

Uznałam to za absurd. Wystarczyłoby, żebyśmy wyszła, zamknęła drzwi i niewinnie się zachowywała - ukrywanie się w szafie mogło ściągnąć na mnie wielkie podejrzenia, gdyby mnie znaleźli.

Ale stało się; znieruchomiałam i wyjrzałam przez szparę w drzwiach. Do komnaty wszedł Cezar i przelotnie rzucił okiem na dokument rozwodowy.

- Wezwij Lukrecję - polecił oschle Pantsilei - a potem dopilnuj, żeby zostawiono nas samych.

Kiwnęła głową. Kiedy odeszła, już miałam wyjść z szafy i powiedzieć Cezarowi, że usłyszawszy jego głos w korytarzu, schowałam się dla żartu w szafie i chciałam go zaskoczyć. Im więcej jednak czasu upływało, tym mniej zabawna, a bardziej podejrzana stawała się moja obecność w garderobie; mimo wszystko pogodziliśmy się dopiero niedawno. Zarówno Cezar, jak i Lukrecja patrzyliby krzywym okiem na głupi psikus, tkwiłam więc dalej w kryjówce.

Cezar przechadzał się po komnacie, niecierpliwy i w złym humorze. Najwyraźniej załatwiał sprawy ojca, ale nie sprawiało mu to przyjemności.

Nadeszły Lukrecja i jej dworki. Na widok Cezara posepna twarz rozpoznała się; natychmiast odprawiła wszystkie panny i wzięła brata za rękę.

Oboje spojrzeli na oświadczenie rozwodowe.

- A więc stało się - rzekł Cezar.

Lukrecja westchnęła smutno - lecz na pewno nie rozpaczliwie, jak obawiała się Pantsilea.

- Stało się - przyznała z rezygnacją. Brat pogładził ją pocieszająco po policzku.

- Zadbam, żebyś miała odpowiedniego męża. Kogoś lepszego rodu niż Sforza. Kogoś młodego, przystojnego i uroczonego.

- Nikt nie będzie tak uroczy jak ty.

Zarzuciła mu rękę na szyję, a on objął ją w pól. Pocałowali się. To nie był pocałunek brata i siostry.

Stojąc nieruchomo za drzwiami garderoby, wzięłam cichy, głęboki oddech. Nagle dotarło do mnie to, co zobaczyłam. Zachwiałam się z niewymownego obrzydzenia; ostrożnie wyciągnęłam rękę i bezgłośnie przycisnęłam ją do gładko wypolerowanego drewna, żeby nie upaść.

Lukrecja powiedziała:

- Chcę, żeby dziecko zostało w rodzinie.

- Stary cap jest przekonany, że to jego - odrzekł Cezar. - Już namówiłem go do podpisania tajnej bulli. Dziecko będzie pełnoprawnym Borgią. Wiesz, że dopilnuję, aby zawsze o nie dbano.

Uśmiechnęła się i wzięła go za rękę; pocałował jej otwartą dłoń.

- Biedna Lukrecja - powiedział. - To nie jest dla ciebie łatwe. Wzruszyła ze smutkiem ramionami.

- Ty też masz swoje kłopoty.

- Juan to bufon. Niebawem wpakuje się w sytuację, która pozwoli nam się go pozbyć.

- Jesteś dla niego zbyt surowy - napomniała go łagodnie.

- Jestem zbyt szczery - odparł. - I jako jedyny Borgia mam w głowie dość oleju, żeby zostać naczelnym dowódcą papieskiej armii.

- Jako jedyny Borgia płci męskiej - poprawiła, a on się uśmiechnął.

- To prawda. Gdybyś była mężczyzną, nie miałbym szans na dowództwo; przechytryłabyś mnie, zanim ośmieliłbym się spróbować. - Puścił jej dłoń, zwinął dokument w rulon, a potem obwiązał wstążką. - Zniosę to Jego Świątobliwości. Zobaczymy się jutro?

Jego głos nie pozostawiał wątpliwości, że wizyta będzie miała charakter więcej niż braterski.

- Proszę. - Lukrecja uśmiechnęła się, a po chwili dodała dziwnym tonem: - Bądź dobry dla Sanchy.

Zmarszczył brwi, zdezorientowany.

- Oczywiście, że jestem dobry dla Sanchy. Czemu miałoby być inaczej?

- Okazała mi tyle ciepła.

- Będę dla niej dobry - obiecał, a potem lżejszym tonem dodał: - Ale kiedy zostanę królem całych Włoch, wiesz, kto będzie moją prawdziwą królową.

- Wiem - odrzekła. Najwyraźniej rozmawiali już wcześniej na ten temat; mimo to gdy Cezar ruszył do drzwi, powtórzyła raz jeszcze: - Ale bądź dobry dla Sanchy.

Nie upłynęło wiele czasu, jak Pantsilea wróciła i wymyśliwszy jakąś wymówkę, pozbyła się Lukrecji z komnaty, abym mogła uciec.

Nie wspomniałam Pantsilei ani słowem o tym, co widziałam i słyszałam. Nie wątpiłam, że wepchnęła mnie do szafy po to, bym odkryła prawdę bardziej niebezpieczną niż wiadomość o canterelli.

Zanim wyszłam, nie zobaczywszy się z Lukrecją, w kieszonce wszytej w rękaw jednej z jej sukni znalazłam małą szklaną fiolkę. Nic nie mówiąc, schowałam ją w swoim gorsecie. Byłam w takim stanie ducha, że po powrocie do komnat w Santa Maria wiele czasu spędziłam, zastanawiając się nad tym, czy i jak jej użyć.

21

Tego samego dnia wieczorem wysłałam Cezarowi liścik z wiadomością, że jestem chora. Przeczucie, że Cezar mi nie uwierzył, bo sam był

zakłamanym niegodziwcem, okazało się słuszne. Nigdy jednak nie wyobrażałam sobie ogromu jego dwulicowości: mówił z takim bólem, z takim gniewem o kazirodczym związku ojca i Lukrecji, choć sam czynił podobnie. W nic, co kiedykolwiek powiedział, nie można było wierzyć.

Aleksander został przekonany, że dziecko Lukrecji jest jego - w rzeczywistości spłodził je jej rodzony brat. Jedna myśl pojawiała się bez końca w mojej głowie, gdy wyglądałam z balkonu na spowite mrokiem ogrody: cóż to za potworna rodzina?

Nie mogłam ufać nikomu z nich; nawet w kontaktach z Lukrecją musiałam się pilnować. Możliwe, że szczerze mnie lubiła i dlatego błagała brata o okazanie mi dobroci, jej pojęcia miłości i lojalności były tak spaczzone, że trudno się było w nich rozeznąć. Namawiała mnie do pogodzenia się z Cezarem, choć nie zamierzała przestać być jego kochanką.

Tamtej nocy ogarnął mnie żal bliski obłędu. Ściszałam w dłoni fiolkę cante-relli i zastanawiałam się, czy nie połknąć zawartości. Znienawidziłam Cezara całą duszą... a równocześnie pozostałam przerażająco, gwałtownie w nim zakochana. Ta świadomość przepelniała mnie rozpaczą. Jak to się stało, że nie dostrzegłam jego zdradliwej natury? Przecież musiały być jakieś znaki - nieznaczny chłód w oczach, okrucieństwo warg... Powinnam je zauważyć, bo widziałam te cechy wcześniej w twarzy własnego ojca; i choć nie dały się poznać w wyglądzie Ferrantego, wyczuwałam je w jego złym sercu.

Przekradłam się chyłkiem przez sypialnię, gdzie spała Esmeralda, do drugiej komnaty. Ostrożnie przedarłszy się przez mrok, nalałam sobie puchar wina i drżącymi palcami jęłam otwierać szklaną fiolkę.

Obraz jakby ze snu zamajaczył w ciemnościach: ciało ojca zwisające z wielkiego żelaznego żyrandola na tle mesyńskiego portu.

Zacisnęłam wargi; wyprostowałam się i spojrzałam na fiolkę z obrzydzeniem. W owej chwili przysięgam sobie, że nic ani nikt — a z pewnością nie Cezar Borgia - nie sprowokuje mnie do odebrania sobie życia. Nigdy nie okażę tchórzostwa, jakiego dopuścił się mój ojciec.

Przez resztę nocy siedziałam na balkonie i przeklinałam się za niemożność zapanowania nad uczuciami do Cezara. Nie wiedziałam, jak długo wytrwam - ale postanowiłam bez względu na to, jak długo pożyję, nigdy więcej nie dać się im ponieść.

Rankiem, o świcie, napisałam list, w którym stwierdzałam, że ze względu na plotki wokół „członków rodziny” w Watykanie, najlepiej będzie, jeśli powstrzymamy się od następnych schadzki - przynajmniej na razie, aby nie podsycać atmosfery skandalu. Donna Esmeralda przekazała list jednemu ze służących Cezara.

Nie odpowiedział mi ani osobiście, ani listownie; jeśli moja prośba go zraniła, nie okazywał tego jawnie i traktował mnie uprzejmie.

Przez następne dwa dni nie pojawiałam się na rodzinnych wieczerzach, odrzucałam też zaproszenia Lukrecji do San Sisto. Po tym, czego się dowiedziałam, nie mogłabym spojrzeć jej w twarz. Całe dni leżałam w łóżku, chociaż nie spałam. W nocy też nie znajdowałam odpoczynku; siedziałam w mroku na balkonie i ze smutkiem wpatrywałam się w rozgwieżdżone niebo.

I tak użalałam się nad sobą, gdy późną nocą na balkon wyszła donna Esmeralda w koszuli nocnej.

- Donna Sancha, musisz z tym skończyć. Rozchorujesz się.

- Może już jestem chora - zauważyłam niedbale. Zmarszczyła brwi, z jej twarzy bił matczyzny niepokój.

- Martwię się o ciebie - powiedziała. - Zachowujesz się jak ojciec, kiedy zbierały się nad nim czarne chmury.

I zniknęła z powrotem w sypialni.

Popatrzyłam za nią, jakby rażona gromem. Potem znowu spojrzałam w niebo, jakbym szukała tam odpowiedzi. Pomyślałam o Jofrem, moim mężu, człowieku, któremu byłam coś winna. Może miał słaby charakter, ale zachował dobroć pośród morza niegodziwości i w przeciwieństwie do swych rzekomych braci nikomu źle nie życzył. Zaslugiwał na dobrą żonę.

Potem pomyślałam o Neapolu i o tych, których tam kochałam.

Wreszcie wstałam. Nie położyłam się do łóżka, lecz poszłam do drugiej komnaty i zapaliłam świecę, potem znalazłam pióro i pergamin.

Drogi Bracie,

upłynęło zbyt wiele czasu, odkąd dostałam od Ciebie wieści o życiu w Neapolu. Proszę, napisz, jak się z matką miewacie. Nie szczędź żadnego szczegółu...

Jeśli chodzi o Juana, Cezar miał rację, mówiąc, że wkrótce sam da rodzinie pretekst do pozbycia się go.

Kilka dni później kardynał Ascanio Sforza - brat władcy Mediolanu Ludwika Sforzy i krewniak Giovanniego - wydał wielkie przyjęcie w pałacu wicekanclerza w Rzymie. Zaproszono wielu dostojnych gości. Lukrecja nadal nie opuszczała murów San Sisto, ale Jofre błagał mnie, żebym z nim poszła. Chcąc być posłuszną żoną, zgodziłam się - mimo że na liście gości znalazły się imiona dwóch mężczyzn, których towarzystwa pragnęłam uniknąć: księcia Gandii i jego brata kardynała Walencji.

Pałac wicekanclerza był wprost wspaniały: ogrody rozciągały się tak daleko, że musieliśmy podjechać do wejścia powozami. Wprowadzono nas do głównej

sali - trzykrotnie większej od tej w Castel Nuovo. My, Borgiowie, przybyliśmy razem i zaprezentowano nas w porządku ważności w oczach papieża: najpierw Juana, który zdjął zdobioną piórami czapkę i zamachał tłumowi, wiwatującemu na cześć dowódcy kościelnych wojsk; potem Cezara, milczącego i ubranego w czerni, wreszcie Jofrego i mnie, księcia i księżną Squillace.

Sceneria zapierała dech w piersiach; w komnacie wzniesiono dużą, trzypiętrową fontanną. Wokół niej ustawiono setki płonących świec, których światło odbijało się w każdej kropelce wody, malując ją złotem. Na posadzce rozrzucono płatki róż, ich zapach unosił się w powietrzu, mieszając ze wspaniałymi aromatami potraw, wnoszonych przez służbę na złotych tacach. Sala była tak ogromna, że nawet duże posągi z białego marmuru - piękni nadzy mężczyźni i kobiety, najwyraźniej starożytni Rzymianie - wydawały się stosunkowo małe.

Zdobyłam się na uśmiech i przywitałam tych gości, których znałam, dałam się też przedstawić tym, których wcześniej nie miałam okazji poznać. Przede wszystkim zaś starałam się omijać Juana i Cezara.

Kiedy tak szłam trzymana pod ramię przez męża przez tłum, natknęliśmy się na Giovanniego Borgię, kardynała Monreale, który był świadkiem naszej nocy poślubnej. Kardynał jeszcze bardziej się roztył, włosy pod czerwoną piuską prawie całkowicie osiwały, lecz na jego palcach jak zwykle lśniły brylanty.

- Wasze Książęce Mości! - wykrzyknął z entuzjazmem, który przypominał mi jego kuzyna Rodriga. - Jakże miło was widzieć! - Po szelmowsku obrzucił wzrokiem mój biust, puścił oko do Jofrego i szturchnął go łokciem. - Widzę, że róże wciąż kwitną.

Jofre roześmiał się, lekko zażenowany tą uwagą, ale odparł:

- Stała się nawet piękniejsza, czyż nie, Eminencjo? Kardynał uśmiechnął się szeroko.

- To prawda. A ty, don Jofre, stałeś się prawdziwym mężczyzną... bez wątpienia dlatego, że masz prawdziwą kobietę za żonę.

Uśmiechnęłam się uprzejmie, a Jofre znowu zachichotał. Już mieliśmy ruszyć dalej, gdy dołączył do nas, ku memu rozczarowaniu, Cezar.

- Don Giovanni - powiedział ciepło. - Widzę, że zdrowie ci dopisuje. Kuzyn papieża uśmiechnął się.

- Los dobrze się ze mną obchodzi... a widzę, że i wam sprzyja. Ale Jofre - zniżył głos do konspiracyjnego szeptu - musisz lepiej karmić żonę. Zrobiła się trochę za chuda. Czy nie zajeżdżasz jej, chłopcze?

Zmieszany Jofre otworzył usta, żeby odpowiedzieć; na szczęście w tym momencie kardynał przestał zwracać na nas uwagę, gdyż odwołał go nasz gospodarz, Ascanio Sforza.

Mąż popatrzył na mnie; ostatnio martwił się o moje zdrowie.

- Tak właśnie uczynię. Znajdę sługę, żeby przyniósł ci coś do jedzenia -oznajmił i oddalił się, zostawiając mnie sam na sam z Cezarem.

Ruszyłam, żeby dołączyć do innej grupy, lecz Cezar zastąpił mi drogę.

- Teraz ty jesteś dla mnie niemiła, madonna - powiedział tonem zranionego kochanka. - Rozumiem twój list i doceniam chęć zachowania dyskrecji ze względu na to, co dzieje się wokół mojej siostry, ale...

Przerwałam mu.

- Chodzi o coś więcej. Juan rozsiewa plotki na nasz temat; musimy uczynić wszystko, co w naszej mocy, aby je rozproszyć.

Staralam się zapanować nad sobą i udawać, że robię to dla naszego wspólnego dobra, a nie dlatego, że nim pogardzam.

A jednak jakaś częśćka mnie wciąż go pożądała - i to przepelniało mnie wstydem. Patrzyłam na niego, przystojnego, pewnego siebie, eleganckiego i tak złego.

Zrobił krok do przodu, a ja cofnęłam się instynktownie, myśląc o tym, jak objął Lukrecję i oświadczył, że będzie jego królową...

- Jeśli płotki już krążą, dlaczego mamy dodatkowo cierpieć? Czemu nie postępujemy jak przedtem? Spędziliśmy wspólnie tylko jedną noc, odkąd się pogodziliśmy... - Spuścił głowę, westchnął i znów spojrział na mnie. -Wiem, że masz rację, Sancho, ale to takie trudne. Daj mi przynajmniej nadzieję. Powiedz, kiedy mogę się z tobą znowu spotkać.

Na szczęście Jofre już wracał; odwróciłam się z wdzięcznością do męża, a on podał mi talerz migdałów w cukrze i ciasteczek. Zająłam się jedzeniem i za wszelką cenę starałam się unikać spojrzenia Cezara.

Naszą uwagę przykuło głośne pijackie wołanie z drugiego końca sali. Odwróciliśmy się wszyscy w kierunku źródła hałasu.

- Miarkujcie się, obzartuchy! - wybełkotał Juan.

Stał w towarzystwie swojego oficera, który próbował go uciszyć, i wskazywał na jednego z gości: tłustego Antonia Orsiniego, krewniaka męża Giu-lii i kardynała Sforzy. Orsini siedział za stołem obok pulchnej żony i dwóch synów - obu biskupów - i właśnie łądował do ust olbrzymi kawał pieczonej kaczki. Był nadzwyczaj gruby - do tego stopnia, że ledwie mógł objąć rękami wielki brzuch; pod tłustą, napuchniętą twarzą falowały mu co najmniej trzy podbródki, których nie maskowała nawet ciemna broda.

- Może, don Antonio - zawołał Juan tak głośno, że było go słyhać w całej sali - gdybyś nie przesiadywał przy stołach zamożniejszych krewniaków, nie roztyłbyś się tak bardzo!

Niektórzy zachichotali.

Don Antonio odłożył pieczyście i lekceważąco zamachał grubymi, okapu-jącymi tłuszczem palcami.

- Może, don Juanie, gdybyś nie uciekał chyżo przed wrogami, nie byłbyś tak chudy.

Wielu w tłumie parsknęło śmiechem.

Juan dobył miecza i niepewnym krokiem ruszył w kierunku szyderycy.

- Zapłacisz mi za tę obrazę, mój panie. Pozwałbym cię na pojedynek, ale jako szlachcic nie mogę walczyć z kimś niezdolnym do fizycznego wysiłku.

Don Antonio wstał i wyszedł z za stołu; nawet ta odrobina ruchu sprawiła, że dostał zadyszki.

- Jestem zdolny odpowiedzieć na twoje wyzwanie, panie, ale ty nie jesteś szlachcicem. Jesteś tylko tchórzem i bękartem, ot co.

Juan zmrużył gniewnie oczy. Spodziewałam się, że z niepohamowaną furją rzuci się na Orsiniego, zamiast tego blady na twarzy i oniemiały obrócił się na pięcie i opuścił pałac.

Don Antonio roześmiał się hałaśliwie.

- Tchórz, jak zawsze. Widzicie? Znowu ucieka.

Ascanio Sforza, który jako gospodarz starał się łagodzić wszelkie spory, dał muzykom znak, by zagrali. Zaczęły się tańce; kilka razy zaproszono i mnie, ale stanowczo odmawiałam. Wkrótce szepnęłam Jofremu na ucho, że jestem zmęczona i chcę wrócić do domu. Poszliśmy szukać kardynała Sforzy, żeby się pożegnać.

Przeszkodziło nam głośnie zamieszanie przy wejściu do komnaty: ku zdziwieniu zebranych do środka wmaszerowało dwudziestu czterech żołnierzy papieskiej gwardii z dobytymi pałaszami i groźnymi obliczami.

- Szukamy don Antonia Orsiniego - oznajmił dowódca. Kardynał Sforza pośpieszył do przodu.

- Bardzo proszę - powiedział do dowódcy. - To prywatna rezydencja i prywatna sprzeczka między gośćmi, w dodatku błaha, wywołana nadmiarem wina. Nie ma powodu do aresztowania.

- Jestem tu z rozkazu Jego Świątobliwości papieża Aleksandra - odrzekł oficer. - Zarówno generał, jak i Jego Świątobliwość zostali zniesławieni. Takiego przestępstwa nie można odpuścić.

Pod nosem zdumionego kardynała poprowadził oddział w głąb sali i na oczach wszystkich pochwycił nieszczęsnego don Antonia.

- To skandal! - krzyczał Orsini; jego żona zawodziła płaczliwie i załamywała ręce. - Skandal! Nie zrobiłem nic, za co można by mnie uwięzić.

Ale wtrącenie go do lochu wcale nie było zamiarem żołnierzy. Nie, wywlekli go do pałacowego ogrodu, gdzie paru ich towarzyszy już przywiązało

sznur do gałęzi starego drzewa oliwnego. Dwie duże pochodnie płonęły po bokach: to wydarzenie miało być oglądane przez świadków. My, goście, podążyliśmy za gwardią, zdumieni.

Na widok stryczka don Antonio padł na kolana i zawołał:

- Przepraszam! Proszę, już dość! Powiedzcie generałowi, że błagam go o wybaczenie i mogę uczynić to publicznie, jeśli tego zapragnie!

Na tym z pewnością skończy się ta głupia dziecinada, pomyślałam. Dowódca jednak nie odpowiedział, tylko kiwnął głową na podkomendnych. Drżący i jęczący don Antonio został doprowadzony do szubienicy. Żołnierze z trudem podsadzili go na stołek.

Do ostatniej chwili nie wierzyłam, że do tego dojdzie; myślę, że nikt nie wierzył. Chwyciłam Jofrego za ramię, Cezar stał tuż obok. Wszyscy troje wpatrywaliśmy się w tę scenę jak sparaliżowani.

Pętlę trzeba było poluzować, żeby don Antonio mógł włożyć w nią grubą szyję. Kiedy ją zaciskano, łkał bezwstydnie.

Nagle dowódca dał znak, aby wytrącić mu stołek spod nóg.

Zebrani wstrzymali oddech z niedowierzaniem. Tylko Cezar nie okazał zdziwienia.

W chłodnym wieczornym powietrzu don Antonio dyndał przed nami z szeroko otwartymi, wybałuszonymi oczami. Zapadła taka cisza, że przez chwilę jedynym dźwiękiem było skrzypienie gałęzi pod ciężarem chyboczącego się tam i z powrotem martwego ciała.

Odwróciłam wzrok - najpierw ku Jofremu. Łagodne rysy jego twarzy stężały w wyrazie upiornego przerażenia. A potem spojrzałam na Cezara.

Kardynał miał skupioną, zamyśloną minę ambitnego człowieka, który właśnie opracowuje plan działania. Patrzył na zwłoki don Antonia - lecz tak, jakby były przezroczyste, a liczyła się tylko okazja, jaka rysuje się gdzieś w oddali.

Tydzień później, w połowie czerwca, kiedy Lukrecja była już w San Sisto od dwu tygodni, Vannozza Cattanei wyprawiała na cześć synów rodzinne przyjęcie. Przybyliśmy Jofre i ja, a także Cezar i Juan, jak zwykle arogancki, oraz kardynał Borgia z Monreale.

Wykorzystując wspaniałą pogodę, spotkanie urządzono w należącej do Vannozzy winnicy. Ustawiono wielki stół, przy którym mieliśmy się wszyscy pomieścić razem z dworzanami; przystrojono go kwiatami i złotymi kandelabrami, a w pobliżu zamocowano pochodnie - choć uczta zaczęła się po południu, miała trwać do późnego wieczora.

Kiedy jechaliśmy do posiadłości Vannozzy, trzymałam Jofrego za rękę. Wciąż nie stronił od kurtyzan i wina, ale przymykałam oko na jego wysoki;

skupiłam się za to na jego dobroci i postanowiłam poświęcić się mu, bo nie wiedziałam, jak inaczej nadać życiu sens.

Gdy dotarliśmy na miejsce, przedstawiono mnie jego matce. Vannozza była urodziwą kobietą o rudokasztanowych włosach i wielkiej pogodzie ducha; przebyte cięższe pogrubili ją nieco w pasie, wciąż jednak miała atrakcyjną figurę z pełnym biustem i smukłymi, delikatnymi ramionami; jej oczy były równie jasne jak oczy Lukrecji. Twarz przypominała rysy Cezara -mocny podbródek, wyraziste kości policzkowe i prosty, wydatny nos. Tego dnia była ubrana w gołębioszary jedwab, który podkreślał kolor oczu i ogni-stość włosów.

Puściłam ramię Jofrego i podałam dłoń Vannozzy, która przyglądała mi się bacznie, a zarazem z sympatią.

- Wasza Wysokość. Donna Sancha. - Objęłyśmy się. Oczekwała, aż Jofre odejdzie dość daleko, by nie mógł nas usłyszeć, i powiedziała: - Mój syn kocha cię bardzo mocno. Mam nadzieję, że jesteś dla niego dobrą żoną.

Otwarcie i szczerze spojrzałam jej w oczy.

- Staram się, jak umiem najlepiej, donna Vannozza.

Uśmiechnęła się z dumną satysfakcją do trzech synów, gdy Jofre dołączył do Juana i Cezara i otrzymał od służącego puchar wina.

- Powiodło im się w życiu, prawda?

- Istotnie, donna.

- Dołączmy do nich.

Tak też uczyniłyśmy. Od razu zauważyłam, że Cezar jest ubrany nie w zwykłą czerń, lecz we wspaniałą szkarłatną szatę haftowaną złotą nicią; Juan też był wystrojony w rubiny, złoty brokat i jaskrawoniebieski aksamit, ale kardynał Walencji wyglądał o wiele lepiej.

Podeszłam do Jofrego i posłałam uprzejmy uśmiech jego starszym braciom.

- Wasza Eminencjo - przywitałam Cezara, uciekając wzrokiem, gdy pocałował mnie raz w jeden i raz w drugi policzek, jak tego wymagała rodzinna zażyłość.

- Generale - powitałam Juana. Ku memu zaskoczeniu w oczach księcia Gandii nie było zadufania, prowokacji ani gniewu; jego pocałunek okazał się uprzejmy i nienatrzętny. Zachowywał się, jakby został skarcony i obiecywał poprawę.

Przywitałam się z pozostałymi gośćmi. Kiedy nadszedł czas, by zasiąść do stołu, Vannozza wzięła mnie za ramię i powiedziała stanowczo:

- Proszę cię, Sancho. Wybrałam dla wszystkich miejsca.

Ku swemu przerażeniu zostałam posadzona między Juanem a Cezarem.

Na szczęście na początku biesiady rozpraszały nas toasty wznoszone przez Vannożę. Najpierw wypiliśmy za zdrowie Juana.

- Za generała wojsk papieskich - powiedziała Vannozza z zapałem - który przyniesie nam wszystkim pokój i bogactwo.

Odpowiedziały jej wiwaty dworaków Juana, który uklonił się niczym łaskawy władca.

- Za mądrego i uczonego kardynała Walencji - rzekła następnie Vannoż-za. Przy stole odezwały się tu i ówdzie uprzejme pomruki, wreszcie nastąpił ostatni toast.

- Za księcia i księżną Squillace.

Te słowa powitano milczącymi uśmiechami.

Kolacja, choć zdawała się trwać bez końca, nie poszła tak źle, jak się obawiałam. Juan nie odezwał się do mnie ani słowem i zwracał się tylko do kardynała Giovanniego Borgii, który siedział po jego prawej stronie. Cezar natomiast od czasu do czasu zaglądał mi w oczy, robiąc zboląłą, błagalną minę. Raz próbował powiedzieć mi coś na ucho, lecz odsunęłam go łagodnie, mówiąc:

- To nie jest właściwa pora, kardynale. Nie przysparzajmy sobie dodatkowych cierpień rozmową o naszej sytuacji.

Nie dał jednak za wygraną i szepnął:

- Spójrz na siebie, Sancho. Masz ściągniętą twarz, wychudłaś. Przyznaj, że jesteś równie nieszczęśliwa jak ja. Ale widzę, jak kurczowo trzymasz się teraz Jofrego; nie mów mi, że pozwoliłabyś zniszczyć naszą miłość czemuś tak głupiemu jak wyrzuty sumienia.

Popatrzyłam na niego, dotknięta. Nie mogłam zaprzeczyć, że cierpiałam, lecz przyczyna sięgała znacznie głębiej, niż Cezar podejrzewał.

Nie powiedzieliśmy do siebie już nic więcej. Wreszcie zaszło słońce i zapalono świece i pochodnie.

Właśnie wtedy do naszego zgromadzenia dołączył nieznajomy - wysoki, szczupły mężczyzna w kolorowej weneckiej masce. Maską, z otworami na oczy i usta, przedstawiała surową minę, a na czole miała wymalowany symbol wagi. Włosy i ciało zakrywała długa opończa z kapturem, jeszcze bardziej utrudniając jego rozpoznanie. Przybysz znał wszystkich w towarzystwie i powitał każdego po imieniu, lecz mówił specjalnie zmienionym głębokim głosem. Zaintrygowani, próbowaliśmy zgadnąć, kim jest. Był czas karnawału, w mieście organizowano wiele maskarad i wszyscy uznaliśmy, że gość przychodzi z jednej z nich.

Vannozza zaprosiła go do stołu, a służący przynieśli dla niego krzesło; ucieszyłam się, gdy ustawiono je między mną a Juanem, oddzielając nas od siebie.

Książę Gandii bardzo zainteresował się dziwnym przybyszem i długo zarzucał go pytaniami, które miały pomóc w odgadnięciu jego tożsamości. Nieznajomy zupełnie go oczarował, pochylili ku sobie głowy i z tego, co usłyszałam, zaczęli planować dalsze rozrywki po zakończeniu przyjęcia. W pewnej chwili Juan oddalił się, aby uwolnić się od nadmiaru wypitego wina, zaś Jofre i ja postanowiliśmy się pożegnać i pojechać do domu.

Zanim jednak wstałam, zwróciłam się do tajemniczego mężczyzny i zapytałam sotto voce:

- Wychodzę, mój panie. Ciekawi mnie tylko, czy zechce mi pan wyjawić swe imię? Obiecuję, że nikomu go nie zdradzę.

Popatrzył na mnie i zobaczyłam dziwny błysk w ciemnych oczach pod maską:

- Nazywaj mnie Sprawiedliwością, madonna - odparł cicho. - Bo przybyłem tu po to, by wyrównać krzywdy.

Jego odpowiedź wzbudziła we mnie zimny dreszcz. Przyjrzałam mu się w milczeniu, po czym wstałam i dołączyłam do męża. Kiedy wymienialiśmy pożegnalne uściski i pocałunki z Vannozą, Juan wrócił do stołu i uznał, że już czas, aby z tajemniczym kompanem udać się na poszukiwanie zalotnych kobiet.

Nie pożegnawszy się z gospodynią, we dwóch opuścili przyjęcie. Zerknęłam na Cezara.

Kardynał podnosił właśnie do warg puchar wina, ale widziałam jego oczy. Były skupione na Juanie i nieznajomym i miały ten sam wyraz co wtedy, gdy patrzyły na tłuste ciało Antonia Orsiniego, dyndające na gałęzi drzewa.

Nikt z nas - włącznie z Jego Świątobliwością - nie zauważył, że Juan nie pojawił się w domu następnego ranka. Gdy budził się w łóżku obcej kobiety, miał zwyczaj czekać aż do zmierzchu i pod osłoną mroku wracał do Watykanu.

Wieczór zmienił się w noc. Jofre i ja zostaliśmy zaproszeni na wieczerzę do papieża i wysłuchaliśmy jego obaw. Wkrótce pojawił się porucznik i oznajmił, że generał nie wypełniał dziś swoich obowiązków.

Aleksander załamał rękę.

- Gdzie on może być? Z jakiego powodu chciałby przysparzać biednemu ojcu zmartwień? A jeśli coś się stało...

Jofre położył mu dłoń na ramieniu.

- Nic się nie stało, ojcze. Przecież wiesz, jak Juan się zachowuje, kiedy znajdzie nową dzierlatkę. Po prostu nie potrafi odmówić sobie następnej nocy miłości... jestem przekonany, że do rana wróci.

- Tak, tak... - wymamrotał Aleksander, skwapliwie przyjmując pocieszenie.

Nic nie powiedziałam, ale nie mogłam zatrzeć w myślach wspomnienia zamaskowanego nieznajomego, który nazwał się Sprawiedliwością.

Uspokoiwszy Jego Świątobliwość, udaliśmy się na spoczynek. Kilka godzin później zostałam zbudzona przez uzbrojonego żołnierza i zaprowadzona do Watykanu. Papież nie siedział na tronie, czekając na tradycyjne ucałowanie pantofla, lecz chodził tam i z powrotem po komnacie i wyglądał przez okno na pochodnie rozświetlające plac. Jeszcze nie wiedziałam, że była to gwardia hiszpańska, patrolująca ulice miasta w poszukiwaniu dowódcy. Obok papieża stał Jofre, który usiłował uspokajająco objąć ramieniem zdenerwowanego ojca.

Dopiero później zwróciłam uwagę na to, że Aleksander nie wezwał Cezara.

- Co się dzieje, ojcze? - spytałam; sytuacja nie sprzyjała oficjalnym formułom. - Co się stało?

Aleksander odwrócił się do mnie. Szerokie czoło znaczyły głębokie zmarszczki, w oczach lśniły łzy.

- Juan zniknął. Obawiam się najgorszego.

- Ojcze - jał go pocieszać Jofre - za bardzo się tym przejąłeś. Juan po prostu zapomniał się w objęciach kobiety. Mówiłem, że do rana na pewno wróci.

- Nie. - Aleksander pokręcił głową. - To ja jestem sprawcą tego wszystkiego. Zbyt pochopnie rozprawiłem się z gościem Ascania Sforzy: nie powinienem skazywać go na powieszenie. Bóg karze mnie za to, odbierając najukochańszego syna.

Trzeba przyznać, że Jofre nawet nie mrugnął, słysząc słowa ojca.

Ogarnęła mnie zimna pewność. Juan rzeczywiście nie żył, ale nie z powodów, jakich doszukiwał się Aleksander.

Starłam się znaleźć w sobie choć odrobinę współczucia: Aleksander wezwał mnie tutaj, abym go pocieszyła. Lukrecji nie było w pobliżu, brakowało mu więc ciepłej kobiecej obecności, która zwykle koła mu duszę. Jak miałam spełnić jego oczekiwania?

Podążając za przykładem męża, delikatnie położyłam dłoń na drugim ramieniu Aleksandra.

- Wasza Świątobliwość, wszystko jest teraz w rękach Boga. Martwienie się przed czasem nie ma sensu; dowiemy się, jaki los spotkał Juana. Nie powinniśmy się przejmować, póki nie nadejdzie ranek.

Odwrócił się do mnie.

- Ach, Sancho. Cieszę się, że cię wezwałem; jesteś naprawdę mądra. - Ścisnął moje dłonie w wielkich rękach. Z oczu popłynęły mu łzy.

- Może powinniśmy zmówić za Juana różaniec - zasugerował zupełnie poważnie Jofre. - Bez względu na to, czy spotkało go coś złego, czy nie, jego dusza może na tym tylko skorzystać.

Papież i ja popatrzyliśmy na niego sceptycznie; zdałam sobie sprawę, że Aleksander wierzy w skuteczność modlitwy nie bardziej niż ja. Był wszakże tak zrozpaczony, że przytulił syna.

- Ty pomódl się w moim imieniu, Jofre. Moje serce jest zbyt zatroskane, ale dobrze mi robi, kiedy usłyszę twoją modlitwę.

Jofre posłał mi pytające spojrzenie. Dałam mu do zrozumienia, że nie zamierzam się do niego przyłączać. Nawet gdybym była dobrą chrześcijanką, nie mogłabym się modlić za kogoś takiego jak Juan; jakaś część mnie wciąż domagała się zemsty.

Uświadomiwszy sobie, że nikt inny nie chce się modlić, Jofre wyciągnął z kieszeni różaniec - co wielce mnie zaskoczyło - i z przejęciem zaczął deklamować:

O Vergin benedetta, sempre tu Ora per noi a Dio, che ciperdoni E diaci grazia a viver si quaggiu, Che 'l paradiso al nostro fin ci doni. „O błogosławiona Dziewico, zawsze módl się za nami, by Bóg wybaczył nam grzechy i obdarzył łaską takiego życia, by mógł nas nagrodzić rajem po śmierci”.

Ponury nastrój sprawił, że nie okazałam zdumienia, ale zaskoczyło mnie to, że mąż odmawia *Yergin benedetta*, modlitwę przedkładaną przez lud, a nie łacińską *ve Maria, gratia piena*, która została uznana przez jego własnego ojca za wersję „właściwą”. W przeciwieństwie do papieża Jofre najwyraźniej wierzył w Boga; modlitwy musiał go nauczyć pobożny sługa i teraz wybrał ją zamiast tej, którą kazano mu sobie przyswoić na lekcję łaciny.

Nawet jeśli Aleksander zauważył różnicę, nie okazał tego; podszedł znowu do okien i jął wypatrywać syna.

Raz za razem Jofre powtarzał modlitwę; podobno święty Dominik zalecał sto pięćdziesiąt zdrowasiek dziennie i Jofre z pewnością zbliżył się do tego wyniku, zanim mu przeszkodzono. Kojąca, monotonna melodyka modlitwy przyniosła i mnie, i Aleksandrowi nieco spokoju. Jego Świątobliwość usiadł w końcu na tronie.

Niestety, spokój zburzyło pojawienie się żołnierza w poplamionym krwią mundurze. Spojrzeliśmy na niego przerażeni.

- Wasza Świątobliwość - wydusił bez tchu i ukląkł, by ucałować stopę papieża. Oniemiały Aleksander nerwowym gestem nakazał mu wstać i złożyć raport.

- Znaleźliśmy pacholka księcia Gandii - powiedział żołnierz - na ulicy nieopodal Tybru. Zadano mu kilka pchnięć szpadą; umiera i nie może mówić.

Aleksander ukrył twarz w dłoniach i zsunął się z tronu na klęczki.

- Zostaw nas teraz - rozkazał Jofre. - Wróc, kiedy będziesz miał wieści o księciu.

Żołnierz skłonił się i wyszedł, a my podbiegliśmy do łkającego Aleksandra i objęliśmy go z obu stron, nie pozwalając mu upaść. Jako dobra synowa zrobiłam to, czego ode mnie oczekiwano - lecz z zaskoczeniem stwierdziłam, że choć nim gardzę, jednocześnie współczuję cierpiącemu starcowi.

- To moja wina. O Boże! - zawołał głosem tak szczerym i ściskającym za serce, że nie wątpiłam, iż wzniósł się do samego nieba. - Zabiłem syna, mojego ukochanego syna! Pozwól mi teraz umrzeć, pozwól mi umrzeć zamiast niego!

Lamentował tak przez godzinę. Inny papieski żołnierz wszedł do komnaty w towarzystwie jakiegoś kmiecia.

- Wasza Świątobliwość - ozwał się żołnierz. - Mam tu świadka, który widział podejrzanе zdarzenie związane ze zniknięciem księcia.

Podziwu godnym wysiłkiem woli Aleksander zdołał nad sobą zapanować. Wstał - odmówiwszy pomocy Jofrego i mojej - z godnością podszedł do tronu i usiadł.

Świadek - mężczyzna w średnim wieku o gęstej ciemnej brodzie, ubrany w połatany, brudny kaftan, od którego bił smród ryb - zdjął czapkę i roztrzęsiony wstąpił na schody, aby ucałować papieski pantofel. Potem cofnął się, międląc w dłoniach czapkę i aż podskoczył, gdy Aleksander rozkazał:

- Powiedz, co widziałeś i słyszałeś.

Historia była prosta. W noc zniknięcia Juana rybak był na pokładzie łodzi blisko brzegu. Na wpół ukryty za mgłą zobaczył mężczyznę na białym koniu, który podjechał do rzeki. Samo w sobie nie było to niczym niezwykłym, lecz uwagę rybaka zwróciło ciało przerzucone przez koński grzbiet, które podtrzymywali dwaj słudzy. Gdy jeździec dotarł do brzegu rzeki i zawrócił konia, słudzy wzięli ciało i spuścili je do wody.

- Utonęło? - zapytał mężczyzna na koniu.

- Tak, mój panie - odparł jeden z pacholków.

Zwłoki jednak odmówiły współpracy; zaledwie sługa odpowiedział, płaszcz trupa wzdął się od powietrza, wypychając ciało z powrotem na powierzchnię.

- Czyńcie, co trzeba - rozkazał pan.

Słudzy rzucali w ciało kamieniami tak długo, aż wreszcie zatoneło w czarnych wodach Tybru.

Obejmowałam Jofrego, który słuchał tego przerażony. Jego Świątobliwość przez cały czas zachowywał surowy, zacięty wyraz twarzy. Kiedy opowieść dobiegła końca, zapytał rybaka:

- Czemu natychmiast tego nie zgłosiłeś?

- Wasza Świątobliwość - odparł mężczyzna drżącym głosem - widziałem ponad sto trupów wrzucanych nocą do Tybru. Nikt nigdy się o nie nie zatroszczył.

Choć stwierdzenie to brzmiało zdumiewająco, nie wątpiłam, że jest prawdziwe. Każdej nocy popełniano w Rzymie co najmniej dwa lub trzy morderstwa, Tybr zaś był ulubionym miejscem, gdzie pozbywano się ofiar.

- Zabierzcie go - rozkazał twardo Aleksander. Gwardzista wyprowadził rybaka z komnaty. Gdy obaj zniknęli, papież znów ukrył twarz w dłoniach.

Jofre podbiegł po schodkach do tronu.

- Tato - powiedział, obejmując ojca ramieniem. - Wiemy, że doszło do zabójstwa, lecz wciąż nie mamy dowodów, że ofiarą był Juan.

Nikt z nas nie śmiał wspomnieć, że ulubionym wierzchowcem Cezara był biały rumak.

- Może to nie on - mruknął Aleksander. Z nadzieją w oczach podniósł wzrok na najmłodszego syna. - Może niepotrzebnie rozpaczamy. - Roześmiał się drżącym głosem. - Jeśli tak, musimy obmyślić okrutną karę dla Juana, że tak nas przestraszył!

Miotał się między nadzieją i rozpaczą. Zostaliśmy z nim przez następną godzinę, aż w drzwiach stanął trzeci papieski gwardzista.

Ujrawszy minę żołnierza, Aleksander jęknął przeciągle. Jofre zalał się łzami, gdyż strach w oczach młodzieńca nie pozostawiał wątpliwości, z jaką wiadomością przyszedł. Odczekał, aż odgłosy żalu przycichły na tyle, by było go słychać.

- Wasza Świątobliwość... znaleziono ciało księcia Gandii. Zabrano je do Castel SanfAngelo, gdzie umyją je do pogrzebu.

Aleksander nie chciał słuchać głosu rozsądku: uparł się, by od razu obejrzeć ciało, inaczej nie uwierzy w śmierć syna.

Ja i Jofre towarzyszyliśmy mu. Weszliśmy do sali, gdzie zbierały się właśnie kobiety, które miały umyć zwłoki; niewiasty ukloniły się zdumione widokiem Jego Świątobliwości i prędko zostawiły nas samych.

Ciało Juana leżało pod płótnem; Jofre odkrył je z szacunkiem.

Natychmiast uderzył nas smród. Zwłoki spoczywały w rzece przez jeden dzień i jedną noc, w pełni lata.

Juan był groteskowo rozpoznawalny. Ciało wzdęło się w wodzie do podwójnych rozmiarów; ubranie było rozdarte, spęczniały brzuch wystawał

spod tuniki, palce zrobiły się grube jak serdelki. Ciężko było na niego patrzeć w tym stanie: ze spuchniętym językiem wystającym spomiędzy zębów, otwartymi oczami okrytymi mlecznym bielmem, włosami przyklejonymi błotem do twarzy. Gardło miał poderżnięte od ucha do ucha, w otwartej ranie zebrał się szlam, liście i kawałki drewna.

Aleksander krzyknął i zemdłał. Mimo wspólnych wysiłków nie mogliśmy postawić go z powrotem na nogi.

Z powodu upału Juana pochowano, gdy tylko został wymyty i ubrany. Trumnę nieśli dworzanie księcia i jego najbliżsi kompani, za nimi szedł żałobny kondukt duchownych. Jofre i ja przyglądaliśmy się z okien papieskich apartamentów, jak rozświetlona pochodniami procesja udała się do katedry Santa Maria del Popolo, gdzie ciało Juana złożono do krypty obok jego dawno zmarłego brata Pedra Luisa.

Papież nie wziął udziału w pogrzebie - ale płakał tak głośno, że razem z Jofrem nie mogliśmy usłyszeć innych żałobników. Zostaliśmy z nim tamtej nocy - choć nie udało nam się go przekonać do snu ani do zjedzenia lub wypicia czegokolwiek - i nigdy, ani wtedy, ani później, nie pozwoliliśmy sobie na żaden komentarz na temat nieobecności Cezara.

Jesień 1497

Po śmierci Juana wszczęto śledztwo prowadzone przez najbardziej zaufanych papieskich kardynałów włącznie z Cezarem, który z wielkim dramatyzmem ciskał gromy na podejrzanych. Pierwszym, kogo posądzono, był Ascanio Sforza, kardynał, którego gość podczas przyjęcia obraził Juana i został za to powieszony. Cezar obwinił go o śmierć brata, lecz kardynał okazał się mądrzejszy: nie uniósł się oburzeniem, zadeklarował pełną współpracę, zapewniając, iż nie ma nic do ukrycia - co też wkrótce się potwierdziło. Cezar musiał go przeprosić.

Przesłuchano również innych wrogów Juana - a narobił ich sobie wielu - ale mimo upływu czasu i wytrwałości niczego nie wykryto.

A może przeciwnie: śledztwo ujawniło zbyt wiele? Tak czy inaczej, niecałe trzy tygodnie po przestępstwie Aleksander wstrzymał poszukiwania mordercy. Przypuszczam, że w głębi duszy wiedział, kto jest sprawcą, i w końcu przestał się łudzić, że może to być ktoś inny.

Do tego czasu Cezar mądrze wyjechał z Rzymu, aby jako kardynał legat poprowadzić koronację mojego stryja Federica na nowego króla Neapolu. W innych okolicznościach z radością skorzystałabym z okazji odwiedzenia Alfonsa i madonny Trusji, lecz nie tylko papież Aleksander pogrążony był w żałobie. Śmierć Juana głęboko wstrząsnęła Jofrem mimo zazdrości, jaką odczuwał wobec faworyzowanego brata. Uznałam za swój obowiązek pozostać przy jego boku.

Jofre myślał nie tylko o własnym żalu; poprosił, żebym odwiedziła Lukrecję.

- Proszę - błagał. - Jest w San Sisto sama jak palec, a ja za bardzo cierpię, by ją pocieszyć. Potrzebuje wsparcia innej kobiety.

Nie ufałam Lukrecji; jej sympatia wobec mnie nie przeszkodziła jej w kontynuowaniu romansu z Cezarem, chociaż wiedziała, że go kocham. Wiedziała również o jego ambicji zostania wodzem papieskich wojsk i możliwe, że zaaprobowwała śmierć Juana lub nawet przyłożyła do niej rękę.

Mimo to pojechałam do klasztoru przez wzgląd na męża. Po raz kolejny przy drzwiach przywitała mnie młoda Pantsilea i znowu na pięknej twarzy słuźki malowała się rozpacz.

- Zabranie canterelli niewiele pomogło, madonna - wyszeptwała. - Nie dziw się tak, pani: wiem, że ją zabrałaś, bo Lukrecja odchodzi niemal od zmysłów, szukając jej na próżno. Teraz próbuje się zagłodzić. Od tygodnia niczego nie zjadła, a od dwóch dni nic nie pije.

Pantsilea wprowadziła mnie do sypialni, gdzie mimo południa ubrana tylko w nocną koszulę Lukrecja siedziała w łóżku okryta do pasa pościelą. Była jeszcze bledsza niż zwykle, oczy i policzki miała zapadnięte, twarz wyrażała zupełną apatię. Popatrzyła na mnie obojętnie, a potem odwróciła się do ściany.

Podeszłam i usiadłam obok.

- Lukrecjo! Pantsilea mówi, że nie chcesz jeść ani pić, ale musisz! Wiem, że rozpaczasz po śmierci brata, ale chyba nie chcesz zaszkodzić sobie albo dziecku.

- Do diabła ze mną - mruknęła Lukrecja. - I do diabła z dzieckiem. I tak jest już przekłete. - Spojrzała groźnie na Pantsileę. - Wyjdź. I nie podsłuchuj pod drzwiami. I tak wiesz już o wiele za dużo: dziwię się, że nadal żyjesz.

Pantsilea zakryła dłonią usta - nie dlatego, że zdumiała ją słowa pani, lecz z żalu, jaki budziło w niej przygnębienie Lukrecji. Odwróciła się, zgarbiwszy plecy pod ciężarem trosk, i wyszła, bezgłośnie zamykając za sobą drzwi.

Lukrecja zwróciła się do mnie ze śmiertelną szczerością:

- Mówisz, że wiesz, kto jest ojcem mojego dziecka. Zapewniam cię, San-cho, że się mylisz. Nie wiesz, jak okrutnie zostałaś oszukana...

Nie wahałam się. Jeśli ona była gotowa zaryzykować wyznanie mi prawdy, to ja też.

- To Cezar.

Patrzyła na mnie długo. Jej oczy rozszerzyły się, a twarz wykrzywiła w maskę żalu, gniewu i przerażenia. Chwyciła mnie za ręce z siłą rodzącej kobiety i zaczęła wydawać rozdzierające, gardłowe dźwięki, w których dopiero po chwili rozpoznałam płacz.

- Moje życie... to same kłamstwa - załkała. - Najpierw żyłam w strachu przed Rodrigiem - nie powiedziała „ojcem” - a teraz boję się Cezara. - Wskazała na brzemienny brzuch. - Myślisz, że zrobiłam to z miłości...

- Zmusił cię? - zapytałam. Jej cierpienie było zbyt upodlające, by mogła udawać. Lukrecja utkwiała wzrok w ścianie.

- Ojciec miał przede mną córkę - powiedziała nieobecny głosem. - Umarła wiele, wiele lat temu, ponieważ nie potrafiła bez oporów przyjąć jego zalotów. - Zniosła się gwałtownym, gorzkim śmiechem. - Udaję już od tak dawna, że nie wiem, co naprawdę czuję. Byłam o ciebie zazdrosna, kiedy przyjechałaś do Rzymu, bo widziałam w tobie rywalkę.

- Ale ja odrzuciłam twojego ojca, a mimo to żyję - wyrwało mi się i ponieważ zamilkłam, uświadomiwszy sobie, że to wyznanie tylko spotęguje jej cierpienie.

Twarz Lukrecji stężała, w oczach pojawił się chłód.

- Żyjesz, bo gdyby Aleksander spróbował cię znowu uwieść albo skrzywdzić, Cezar by go zabił. Jeśli nie natychmiast, to po jakimś czasie, gdy byłoby to dla niego korzystne. Żyjesz, ponieważ mój brat cię kocha. - Jej twarz znów skrzywiła się na chwilę. - Ale chciał zająć miejsce Juana... a Juan cię skrzywdził, i teraz nie żyje. Nawet ojciec, chociaż zna prawdę, nie będzie śmiało oskarżyć Cezara. Ja zaś jestem bezpieczna, ponieważ można mnie wydać korzystnie za męża. Ale nie chcę dalej żyć. - Zrobiła żalostną minę, zamknęła oczy. - Po prostu daj mi umrzeć, Sancho. To byłaby dla mnie największa łaska. Daj mi umrzeć i ucieknij z Jofrem do Squillace, jeśli tylko możesz.

Przyglądałam się jej przez chwilę. Nigdy nie zapomniałam jej prośby, aby Cezar był dla mnie dobry.

Moje najgorsze obawy co do Cezara właśnie się potwierdziły. Moje życie było zagrożone; jeden fałszywy krok, a człowiek, który mnie kochał, znenawidzi mnie do tego stopnia, by zabić. Mój los zależał od kaprysu Cezara, a wiedziałam, że nie będę w stanie zawsze trzymać go od siebie z daleka.

Nie tylko mnie należało się współczucie; brzemień Lukrecji było o wiele cięższe. Od dzieciństwa manipulowali nią dwaj niewyobrażalnie źli ludzie i nie miała szans im uciec. Była doprawdy najbardziej nieszczęśliwą kobietą na ziemi i bardzo potrzebowała przyjaciółki.

Przytuliłam ją mocno. Bez względu na to, w jak beznadziejnej sytuacji obie się znalazłyśmy, mogłyśmy się nawzajem pocieszyć.

- Nie pozwolę ci umrzeć i nie zostawię cię - obiecałam. - Nie opuszczę tej komnaty, póki czegoś nie zjesz i nie wypijesz.

Powoli, dzięki moim wizytom i zachętom, Lukrecja odzyskała apetyt, a jej wygląd i zdrowie się poprawiły. Często powtarzałam, że jej nie zostawię, a ona w zamian przysięgała, że zawsze mogę liczyć na jej przyjaźń.

Podczas moich wycieczek do San Sisto Aleksander otrzymał list od Savo-naroli, który nadal głosił kazania wbrew papieskiemu brewie. Przekazywał w nim wyrazy żalu z powodu utraty przez Jego Świątobliwość syna, a jednocześnie karcił papieża za prowadzenie grzesznego żywota. Jeśli Aleksander okaże skruchą, przekonywał kaznodzieja, powstrzyma apokalipsę. W przeciwnym razie Bóg ześle na niego i jego rodziną wiążącą nieszczęść.

Po raz pierwszy Jego Świątobliwość wziął sobie słowa Savonaroli do serca. Oddalił swoje kobiety - i dzieci. Cezar i Lukrecja już opuścili Watykan, Jofre otrzymał rozkaz wyjazdu razem ze mną do Squillace aż do czasu, gdy Aleksander wezwie nas z powrotem.

Jofre czuł się zdruzgotany decyzją ojca, którą uznał za karę; ja żałowałam, że muszę zostawić Lukrecję w godzinie największej rozpacz, czułam jednak podszytą wyrzutami sumienia ulgę. Spakowaliśmy rzeczy i ruszyliśmy na południowe wybrzeże, gdzie spędziliśmy dwa miesiące - sierpień i wrzesień - wolni od rzymskich upałów i skandali. Squillace było tak samo kamieniste, nieurodzajne i prowincjonalne, jak je zapamiętałam; po wspaniałościach Rzymu nasz pałac wydał mi się żalostną wiejską rudera, a tutejsze jadlo i wino trudne do przełknięcia. Mimo to cieszyłam się z tego braku przepychu; bielone ściany dawały uczucie świeżości; nieobecność złocen kojąca. Pod palącym słońcem spacerowałam po rachitycznych ogródkach bez obaw, że za krzakiem może się czaić napastnik; chodziłam korytarzami, nie przejmując się, że zobaczę coś potwornego. Patrzyłam na błękitne morze -choć z balkonu widziałam tylko jego skrawek - i doceniałam jego piękno, mimo że nie dorównywało widokowi Zatoki Neapolitańskiej. Jadłam ryby przyrządzone bez uduwnień z oliwkami i cytryną i uważałam, że są równie smaczne, co potrawy serwowane na papieskich przyjęciach.

Ale najlepsze było to, że Alfonso przyjechał do nas z wizytą.

- Jakże się zmieniłeś! - Zaśmiałam się, przytuliwszy go mocno, a potem odsunęłam się, by mu się lepiej przyjrzeć. Wyrósł na wysokiego, przystojnego osiemnastoletniego mężczyznę z elegancko przystrzyżoną blond brodą, która lśniła w słońcu niczym złoto. - Jak to możliwe, że się nie ożeniłeś? Musisz doprowadzać wszystkie kobiety w Neapolu do szaleństwa!

- Staram się jak mogę - odparł z uśmiechem. - Ale popatrz na siebie, Sancho! Ty też bardzo się zmieniłaś! Wyglądasz tak pysznie, tak strojnie! Jesteś teraz wielką damą!

Spojrzałam na swoją suknię. Zapomniałam o południowym obyczaju ubierania się skromnie; stałam przed bratem, uginając się niemal pod ciężarem brylantów i rubinów wokół szyi i we włosach, w sukni ze srebrzystego aksamitu z bordowym obszyciem, i to gdzie... w Squillace, najskromniejszym

ze wszystkich miejsc na ziemi. Ten nienaturalny przepych zdawał się odzwierciedlać to, jak zdemoralizowali mnie Borgiowie; pragnęłam, by obecność Alfonsa oczyściła mnie, uwydatniła dobroć, która gdzieś się skryła. Uśmiechnęłam się z wysiłkiem.

- W Rzymie rzadko nosimy czern.

- Bez wątplenia z powodu upału - zakpił dobrodusznie i zdałam sobie sprawę, jak bardzo za nim tęskniłam. Wspaniale było znaleźć się w obecności kochającej, szczerzej osoby i cieszyłam się z jego towarzystwa tak długo, jak długo mógł mi go używać. Wiedziałam, że nie pozwolą nam zostać w Scaillace na zawsze; to był tylko krótki wyjazd. Żyłam tak, jakby to były moje ostatnie dni, gdyż ostatecznej konfrontacji z Cezarem nie można było odwlekać w nieskończoność.

Pod wpływem dobroci Alfonsa moje serce, tak poniżone brutalnością Juana i zakłamaniem Cezara, zaczęło goić rany; często myślałam o Lukrecji i pisałam do niej wiele podnoszących na duchu listów.

Niestety, Aleksander prędko znudził się nowo odkrytą pobożnością i wkrótce wezwał nas do Rzymu.

Wróciliśmy do Rzymu późną jesienią, tuż przed nadejściem zimy. Cezar też ściągnął do domu - nadal jako kardynał, choć zdążył już przekonać Aleksandra do wszczęcia działań prawnych, koniecznych do uwolnienia go od purpury. Na szczęście sprawy te pochłonęły go do tego stopnia, że nie pojawiał się nawet na rodzinnych kolacjach. Wciągu tych tygodni rzadko go widywałam.

Lukrecja pozostała w San Sisto prawie do samych świąt, kiedy to kardynałowie, którzy mieli udzielić jej rozvodu, wezwali ją do Watykanu.

Odwiedziłam Lukrecję w jej komnatach w chwili, gdy Pantsilea próbowała ją ubrać - ciąża była tak zaawansowana, że nawet płaszcz obszyty puszystym sobolim futrem nie mógł tego ukryć. Objęłyśmy się i pocałowałyśmy; uśmiechnęła się, choć wargi jej lekko drżały.

- Uczynią, co rozkaże im twój ojciec - przypomniałam.

- Wiem - odparła niepewnym głosem.

- Twoja sytuacja stanie się lepsza - podjęłam. - Niedługo twoje odosobnienie się skończy i będziemy mogły jeździć razem na wycieczki. Byłaś bardzo dzielna, Lukrecjo. Twoja odwaga zostanie nagrodzona.

Odzyskała równowagę i położyła dłoń na moim policzku.

- Cieszę się, że ci zaufałam, Sancho. Okazałaś się dobrą przyjaciółką. Później doniesiono mi, że przed konsystorzem zachowała się w sposób godny podziwu i nawet nie drgnęła, gdy ogłoszono, że akuszerki zbadały ją

i uznały za *virgo intacta*. Żaden z kardynałów nie śmiał zauważyć, że dopiero po raz drugi w dziejach Bogu spodobało się, by dziewica zaszła w ciążę.

Od tamtej chwili Lukrecja przeniosła się do Palazzo Santa Maria, gdzie przebywała w odosobnieniu. Z racji brzemienności było niestosowne, aby siadała przy tronie ojca podczas audiencji, nie ruszała się więc ze swych komnat.

Pod nieobecność córki Aleksander prosił od czasu do czasu, abym siadała na aksamitnej poduszce, którą niegdyś dla mnie przeznaczył; nie mogłam odmówić czemuś, co w istocie było rozkazem.

Pewnego ranka w lutym siedziałam posłusznie, słuchając wniosku, jaki pewien arystokrata składał w sprawie unieważnienia małżeństwa swej najstarszej córki. Byłam dość znużona, podobnie jak Aleksander, który kilka razy ziewnął i wciąż poprawiał na ramionach gronostajowe futro, żeby lepiej się ogrzać w zimowy mróz. Leciwi kardynałowie stojący w komnacie trzęśli się, mimo że w kominku huczał ogień.

Nagle z któregoś z przyległych pomieszczeń dobiegły krzyki.

- Bękart! Skurwysyn! Jak śmiesz jej dotykać!

Głos wyrażał niepohamowaną złość; a należał do Cezara.

Arystokrata zamilkł; wszyscy w komnacie audiencyjnej z szeroko rozwartymi oczyma spojrzeliśmy w stronę, skąd dochodziły hałasy.

Dały się słyszeć coraz głośniejsze pośpieszne kroki; Cezar gonił kogoś, kto zmierzał prosto w naszym kierunku.

- Zamorduję cię, chłystku! Za kogo się masz, że ją obłapiasz?

Do komnaty wpadł młodzieniec. Rozpoznałam w nim Perotta, sługę, który towarzyszył mi w podróży do San Sisto, gdy przebywała tam Lukrecja.

Za nim wbiegł Cezar. Był czerwony na twarzy i wymachiwał szpadą, okazując dziwny dla siebie gniew.

- Cezarze...? - spytał papież tak zdumiony, że wydobył z gardła ledwie szept. Odchrząknął i już majestatycznie zażądał wyjaśnień: - O co chodzi?

- Pomocy, Wasza Świątobliwość! - wykrzyknął przestraszony Perotto. - On oszalał, bredzi, wygaduje jakieś głupstwa i nie ustanie, póki mnie nie zabije!

Wspiął się na schody, rzucił Aleksandrowi do stóp i chwycił rąbek białej wełnianej szaty. Tak mnie to zdumiało, że bez pozwolenia zerwałam się z poduszki i zbiegłam z podwyższenia na bok.

Cezar zamachnął się szpadą.

- Stój! - rozkazał papież. - Cezarze, wytłumacz się!

Złożenie wyjaśnień, a także powstrzymanie się od użycia przemocy, było teraz konieczne, gdyż chwycenie szaty papieża było aktem świętym, który dawał większą ochronę niż azyl w kościele.

A jednak Cezar skoczył do przodu, odwrócił skamłającego i wykrzywionego ze strachu Perotta i poderżnął mu gardło.

Cofnęłam się i instynktownie zasłoniłam ręką. Aleksander otworzył usta ze zdumienia, krew obryzgała białe szaty, gronostajowe futro i twarz papieża.

Perotto rzeźił i miotał się spazmatycznie przez długą, straszliwą chwilę, potem znieruchomiał.

Cezar patrzył na to, zaciskając zęby z ponurą satysfakcją. Kiedy Perotto umilkł na zawsze, powiedział wreszcie:

- To kochanek Lukrecji. To on jest ojcem dziecka. Jako jej brat nie mogłem pozwolić mu żyć. Byłem zobowiązany dopełnić zemsty.

Aleksander niezbyt troszczył się o wyjaśnienia, a bardziej o krew spływającą mu po policzkach.

- Dajcie mi ręcznik - rozkazał, a potem z obrzydzeniem popatrzył na zwłoki leżące u stóp tronu. - I uprzątnijcie ten bałagan.

Następnego ranka ciało Perotta ze związanymi rękami i nogami znaleziono w Tybrze. Obyczaj wymagał wyrazistej demonstracji tego, co stanie się z każdym, kto zbezczęści córkę papieża.

Nieopodal dryfowały zwłoki Pantsilei. Jej nie spętano; została uduszona, w usta miała wetknięty knebel - był to czytelny sygnał dla innych służących, którzy za dużo wiedzą i za dużo mówią.

Wczesna wiosna 1498

Lukrecja powiła dziecko wczesną wiosną. Przed porodem wywieziono ją z Santa Marii, żeby jej krzyki nie zdradziły Rzymowi tajemnicy, którą i tak wszyscy znali. Podsypane plotkami ataki Savonaroli na papieża stały się jeszcze bardziej napastliwe: mnich domagał się stworzenia międzynarodowej rady, która pozbawiłaby Aleksandra tiary.

Chłopca - dzięki naleganiom Lukrecji - nazwano na chrzcie imieniem Giovanni. Ciekawe, co Giovanni Sforza, zniesławiony i znieawidzony przez Borgiów byłym mężem Lukrecji myślał o tym, że niemowlę nazwano jego imieniem, tak jakby sam je spłodził.

Dziecko sprowadzono do pałacu i oddano pod opiekę mamki. Ulokowano je w odległym skrzydle, aby jego płacz nie przeszkadzał mieszkańcom. Lukrecja odwiedzała synka tak często, jak jej na to zezwalano, w jej przekonaniu zbyt rzadko. Gdy byłyśmy same, nieraz zwierzała mi się, jak bardzo cierpi, nie mogąc przyznawać się do macierzyństwa. Czasami płakała i nie dawała się pocieszyć.

Kiedy powiła już dziecko, do jej ręki ustawiła się kolejka konkurentów, którzy albo nie uwierzyli w oskarżenia Sforzów, albo zupełnie na nie nie zważali. Korzyści polityczne tego mariażu były w końcu znaczne.

Papież i Cezar długo naradzali się w sprawie kandydatów; imiona niektórych zdradzali Lukrecji, a ta z kolei powierzała je mnie. W grę wchodził Francesco Orsini, książę Graviny, i hrabia Ottaviano Riario. Faworytem jednak wydawał się niejaki Antonello Sanseverino, Neapolitańczyk, zarazem stronnik Andegawenów, popierający Francję. Takie małżeństwo poważnie osłabiłoby moją pozycję polityczną w rodzinie.

Niepokoilo mnie równiez to, ze stalam sie przyjaciółką i powiernicą Lukrecji. Widzialam, jaki los spotkal niewinnego Perotta i Pantsileę, i domyslalam sie, ze Borgiowie nie bada zważac na wieloletnią lojalność, gdy ktos stanie na przeszkodzie ich planom. Jesli kogos trzeba bylo uciszyc - bez wzgladu na to, jak ukochana lub zaufana bylaby to osoba - po prostu go uciszano.

Smierc Pantsilei sprawila, ze snily mi sie koszmary. Nigdy nie widzialam ciala, ale Esmeralda opisala mi je szczegolowo. Stara dworka do tego czasu zdazyła rozwinac w Watykanie imponujaca siec informatorow i szpiegow. Czesto budzilam sie bez tchu, widzac zwloki Pantsilei wynurzajace sie niczym korek z ciemnych wod Tybru i martwe oczy otwierajace sie powoli, zeby na mnie spojrzec. Spuchniete ramie podnosilo sie, aby wytknac mnie oskarzajaco palcem: „Ty. Ty jesteś winna mojej smierci”.

Zabrałam canterelle, trucizne ukryta w szacie Lukrecji, i nie moglam oprzec sie myśli, ze biedna sluzka zostala zamordowana z powodu znikniecia fiolki. Przypuszczalam, ze Cezar dal siostrze trucizne wraz z odpowiednimi instrukcjami. Jesli zażadal jej zwrotu, Lukrecja musiala przyznac, ze ja zgubila.

Podejrzenie padloby przede wszystkim na Pantsileę.

W chwilach, gdy wyrzuty sumienia dawaly mi sie we znaki mniej dotkliwie, wmawialam sobie, ze mloda dama dworu zginela z powodu, ktory symbolizowal knebel znaleziony w jej ustach: wiedziala za duzo i nie umiala zachowac tego dla siebie. Czyz to nie ona wepchnela mnie do szafy, by w ten sposob podzielic sie ze mną tym, o czym nie mogla mowic: prawda o związku Lukrecji i Cezara?

Lukrecja nie byla tamtej wiosny jedyną osobą, ktorej myśli kierowaly sie ku małżeństwu.

Pewnego dnia wezwano mnie do Watykanu, do gabinetu Cezara. Wiadomosc byla podpisana: *Cezar Borgia, kardynal Walencji*.

Usiadlam na lozku z pergaminem w dloni. Chwila, ktorej najbardziej sie obawialam, nadeszla. Cezar zażada, bym zadeklarowala, jak daleko siega moja miłosc i lojalność; nie przyjmie juz zadnych wymowek.

W plonnej nadziei, ze zapobiegne osobistemu spotkaniu, wzielam do towarzystwa Esmeralde i dwie mlode dworki. Pieszoz przemierzylismy plac i weszylismy do Watykanu; stamtad dwuch gwardzistow odeskortowalo nas do biura kardynala; przy drzwiach straznik zagrodzil droge moim damom.

- Jego Eminencja prosil o spotkanie z ksiezna Saquillace w cztery oczy.

Esmeralda zmarszczyla brwi, oburzona niestosownoscia ządania, lecz dworki zostaly odprowadzone na bok, a ja weszlam do gabinetu kardynala sama.

Cezar siedział za wielkim, złożonym biurkiem z hebanu. Oprawne w skórę tomy prawa kanonicznego wypełniały półki za jego plecami; na blacie paliła się oliwna lampka. Kiedy gwardzista wprowadził mnie za próg, Cezar wstał i gestem ręki wskazał obity aksamitem fotel naprzeciwko siebie.

Usiadłam. Żołnierz zostawił nas samych, a Cezar pospiesznie wstał zza biurka i ukląkł przede mną. Miał na sobie piuskę i kardynalskie szkarłatne szaty; jedwabna sutanna zaszeleściła o marmurową podłogę.

- Donna Sancha - powiedział. Minęły miesiące, odkąd ostatni raz kochaliśmy się, ale mimo urzędowej sytuacji mówił z czułością kochanka. - Otrzymałem od ojca wiadomość, że wkrótce będę mógł zrzucić brzemię duchownego życia.

Nie dałam mu poznać, że się boję; zachowałam serdeczny ton.

- To musi być dla ciebie naprawdę wielka ulga.

- Chodzi o coś więcej - odparł. - To wielka okazja... dla nas. - Ujął mnie delikatnie za rękę i przytrzymał. Zanim zdążyłam cokolwiek uczynić, szybkim ruchem wsunął mi na mały palec złotą obrączkę.

Tę, która należała niegdyś do mojej matki, a później zabrał mi ją Juan, gdy mnie zgwałcił.

- Skąd ją wzięłeś? - wyszeptałam.

- Czy to ważne? - zapytał z uśmiechem. - Donna Sancha, wiesz, że jesteś i zawsze byłaś największą miłością mojego życia. Daj mi pełnię szczęścia. Powiedz, że weźmiemy ślub, kiedy stanę się wolny.

Odwróciłam wzrok, owładnięta obrzydzeniem, ale zmuszona odgrywać zupełnie inne uczucie. Milczałam przez dłuższą chwilę, szukając odpowiednich słów - nie istniały wszakże słowa, które mogłyby mnie ocalić.

- Ja nie jestem wolna - powiedziałam wreszcie. - Jestem żoną Jofrego. Wzruszył ramionami, jakby to nie stanowiło poważniejszej przeszkody.

- Możemy zaproponować Jofremu kardynalską purpurę. Nie wątpię, że ją przyjmie. Małżeństwo można unieważnić.

- Nie - odparłam obojętnym tonem. - Kardynał Borgia z Monreale osobiście był świadkiem naszego pierwszego małżeńskiego stosunku. Nie ma wątpliwości, że małżeństwo zostało spełnione.

Pierwsze oznaki irytacji wkradły się do jego głosu, gdy zaczął sobie uświadamiać, że jego sprawa jest przegrana, a on tak naprawdę nie wie dlaczego - co złościło go jeszcze bardziej.

- Kardynał Borgia powie to, co będziemy chcieli. Nie kochasz mnie? Nie chcesz być moją żoną?

- Nie o to chodzi - odparłam szczerze. - Nie chcę okryć wstydem Jofrego. Coś takiego na pewno by go zdruzgotało.

Popatrzył na mnie jak na wariatką.

- Jofre da sobie radę. Na otarcie łez dostanie urząd kardynalski z całą związaną z tym władzą i bogactwami. Wysłałibyśmy go do Walencji, żeby sytuacja stała się mniej niezręczna; moglibyście nigdy więcej się nie spotkać. - Zawiesił głos. - Madonna, nie jesteś głupia, przeciwnie, niezwykle inteligentna. Wiesz przecież, że zostanę naczelnym wodzem papieskiej armii.

- Tak - odparłam cicho.

- A nie jestem niezdarnym durniem jak Juan. Widzę możliwości, jakie stwarza takie stanowisko. Zamierzam powiększyć terytorium Państwa Kościelnego.

- Od dawna wiem, że masz wielkie ambicje - powiedziałam tym samym, pozornie uległym tonem.

- Mam zamiar - powiedział stanowczym głosem, pochylając się ku mnie - zjednoczyć Włochy i stać się ich władcą. Proszę cię, byś zechciała zostać moją królową.

Musiałam odegrać zaskoczenie, udać, że nie słyszałam o tym, gdy ukrywałam się w szafie Lukrecji.

- Nie kochasz mnie? - upomniał się znowu, ujawniając siłę targających nim uczuć. - Sancho, myślałem.... na pewno nie myliłem się co do tego, co nas połączyło.

Jego słowa przedarły się przez mój obronny puklerz. Pochyliłam głowę.

- Nigdy bardziej nie kochałam żadnego mężczyzny - wyznałam z żalem. Znałam siebie: łatwo mogłabym ulec pokusie i zostać królową u boku Cezara.

To dało mu nadzieję; pogładził mnie palcem po policzku.

- A więc postanowione. Pobierzemy się. Za bardzo przejmujesz się Jo-frem; wierz mi, to mężczyzna. Przeboleje wszystko.

Odchyliłam głowę, odsuwając się od jego wyciągniętej dłoni, i powiedziałam stanowczo:

- Nie słuchałeś mnie, kardynale. Moja odpowiedź brzmi: nie. Jestem wzruszona i wdzięczna. Ale nie jestem osobą, której potrzebujesz do tej roli.

Czerwony ze złości opuścił rękę i wstał sztywno.

- Najwyraźniej tak jest, madonna. Możesz odejść.

Nie próbował mnie przekonywać; nie pozwoliła mu na to urażona duma. Mimo to gdy wstałam i ruszyłam ku wyjściu, dostrzegłam, że jest zupełnie zagubiony, a nawet zraniony moją odmową. Nie mógł uwierzyć, że podany przeze mnie powód - troska o Jofrego - jest prawdziwy.

Z ulgą stwierdziłam, że nie domyśla się rzeczywistej przyczyny.

Spodziewałam się zemsty z jego strony. Na wszelki wypadek trzymałam sztylet pod poduszką, lecz i tak tamtej nocy spałam nerwowo. Każdy szum

wiatru za oknem, każde skrzyknięcie drzwi w korytarzu brałam za odgłosy zbliżającego się zabójcy. Odrzuciłam Cezara i uznałam, że przypłace to śmiercią. Spodziewałam się, że nie pożyję dłużej niż kilka dni; codziennie budziłam się z przekonaniem, że to mój ostatni ranek.

Powiedziałam Lukrecji, że odrzuciłam oświadczyły jej brata. Nie byłam do końca pewna, czy powinnam się jej zwierzać; wcześniej poradziłam się donny Esmeraldy, lecz nawet z zebranych przez nią plotek trudno się było zorientować, czy Lukrecji można zaufać. Mimo to musiałam przynajmniej spróbować dowiedzieć się, jakiego odwetu mogę się spodziewać po jej bracie.

Wysłuchiwała moich wiadomości z powagą. Była szczerą - nie powiedziała, że uniknę zemsty. Ale zapewniła mnie przynajmniej o jednym.

- Zrozum - rzekła. - Rozmawiałam już z bratem. On wciąż ma nadzieję, że wróci ci rozsądek. Nie sędzę, żeby był zdolny do wyrządzenia ci krzywdy; wciąż jest w tobie beznadziejnie zakochany.

Przyniosło mi to pewną pociechę, wciąż jednak dręczyła mnie myśl, jaką zemstę zgotuje mi Cezar, gdy zda sobie sprawę, że nigdy nie zmienię zdania.

Lukrecja i ja przyjaźniłyśmy się nadal i spotykałyśmy niemal codziennie. Pewnego wiosennego poranka przyszła do moich komnat z prośbą, abym towarzyszyła jej podczas spaceru po ogrodzie, a ja chętnie się zgodziłam.

Kiedy znalazłyśmy się daleko od idących za nami dworek, tak że nie mogły nas podsłuchać, Lukrecja powiedziała nieśmiało:

- Mówiłaś mi o bracie. Twierdzisz, że Alfonso jest jednym z najprzystojniejszych mężczyzn w całej Italii.

- Nie twierdę - odparłam z humorem. - Tak po prostu jest. To złoty bóg, madonna. Widziałam go ostatniego lata w Squillace i nawet jeszcze wyprzystojniał.

- A czy jest miły?

- Milszego nie znajdziesz pod słońcem. - Zatrzymałam się w pół kroku i spojrzałam na nią z nagłym radosnym przeświadczeniem. - Przecież wiesz to wszystko. Wielokrotnie opowiadałam ci o bracie. Lukrecjo, powiedz mi, czy przyjeżdża do Rzymu nas odwiedzić?

- Tak! - zawołała i zaklaskała niczym dziecko; wzięłam ją z radością, uśmiechając się radośnie. - Ale jest coś jeszcze lepszego, Sancho!

- Cóż może być lepszego od wizyty Alfonsa? - zapytałam. Jakaż byłam głupia, jaka nieświadoma!

- Alfonso i ja weźmiemy ślub. Czekala uśmiechnięta na moją reakcję.

Zaparło mi dech w piersiach. Czułam, jakby wciągał mnie straszny, czarny wir, dławiąca Charybda, z której nie mogłam się wydobyć.

A jednak wybrnęłam z tego dzięki mimowolnemu odruchowi. Nie uśmiechałam się, bo nie mogłam, lecz uratowałam sytuację, mocno przytuliwszy Lukrecję do siebie.

- Sancho - powiedziała stłumionym głosem - Sancho, jesteś taka miła. Nigdy nie widziałam, byś była tak wzruszona.

Kiedy odzyskałam nad sobą panowanie, puściłam ją i uśmiechnęłam się z wysiłkiem.

- Od dawna trzymałaś to przede mną w sekrecie?

W duchu przeklełam Alfonsa. Nie powiedział mi nic o propozycji małżeństwa. Gdyby to uczynił, miałabym szansę go ostrzec, wyjaśnić, jak wygląda krąg piekielny, do którego wkroczy. Ale teraz napisanie do niego listu nie wchodziło w rachubę; moja korespondencja na pewno trafiłaby w ręce Aleksandra i Cezara, którzy dokładnie by ją przeczytali, ze względu na polityczną wagę planowanego mariażu. Musiałam więc czekać, aż przyjedzie do Rzymu - jako pan młody.

Czyżby jednak nie słyszał o zarzutach Giovanniego Sforzy? Czy był na tyle głupi, że w nie nie uwierzył? Poza tym całe Włochy wiedziały, że Lukrecja właśnie urodziła dziecko. Bez wątplenia Alfonso przyjął za dobrą monetę kłamstwo, że ojcem jest Perotto, i skłonny był przyznać oczy na młodzieńcze szaleństwo Lukrecji.

To wszystko moja wina, powiedziałam sobie w duchu. Bo oszczędziłam Alfonsowi żalostnej prawdy o życiu w Rzymie.

Chciałam go chronić. I jak na Borgię przystało, nauczyłam się trzymać język za zębami.

- Od całkiem niedawna - odpowiedziała na moje pytanie Lukrecja. - Ojciec i Cezar powiadomili mnie dopiero dziś rano. Jestem taka szczęśliwa! Wreszcie będę miała męża w swoim wieku, kogoś przystojnego i miłego. Jestem najszczęśliwszą kobietą w Rzymie! Twój brat zgodził się tu zamieszkać. Wszyscy będziemy pod jednym dachem w Santa Maria. - Chwyciła mnie za rękę. - Ledwie parę miesięcy temu byłam tak zrozpaczona, że chciałam odebrać sobie życie. Ale ocaliłaś mnie, za co będę ci zawsze wdzięczna. Teraz znów mam nadzieję.

Cezar nie mógł wymyślić lepszego sposobu, żeby zmusić mnie do milczenia i uległości. Wiedział, jak kocham Alfonsa; często opowiadałam o nim przy rodzinnych kolacjach i na naszych schadzkiach. Wiedział, że uczynię wszystko, żeby chronić brata.

- Tak się cieszę z twojego szczęścia - rzekłam.

- Wiem, jak strasznie za nim tęskniłaś. Może ojciec i Cezar też o tym myśleli, kiedy go wybierali.

Naiwność tego stwierdzenia wprawiła mnie w zdumienie.

- Nie wątpię, że tak - odparłam, wiedząc, że nie zrozumie kryjącej się w tych słowach ironii.

Kiedy wieczorem weszłam do sypialni, zastałam zapłakaną donnę Esmeraldę, klęczącą przed ołtarzykiem San Gennara.

- Nadchodzi koniec świata - wyszlochała, ściskając w dłoni złoty krzyżyk, który nosiła na piersi. - Zabili go. Zabili i wszyscy za to zapłacimy.

Podźwignęłam ją z klęczek i posadziłam na brzegu łóżka.

- Kogo, Esmeraldo? Kogo zabili?

- Savonarolę - powiedziała. - I papieskich wysłanników. Ponieważ nie przestał głosić kazań, powiesili go, a potem spalili ciało. - Pokręciła głową, szepcząc: - Bóg ukarze Aleksandra, madonna. Zapamiętaj moje słowa: nawet papież nie może żyć dłużej w takiej niegodziwości.

Położyłam jej dłonie na ramionach.

- Nie bój się o siebie, Esmeraldo. Jeśli to prawda, że Bóg widzi serca wszystkich ludzi, widzi też twoje i wie, że jesteś dobrą niewiastą. Nigdy nie miałby powodu, żeby cię ukarać.

Trudno mi było powiedzieć to samo o sobie.

Kiedy Esmeralda wreszcie usnęła, przez wiele godzin zastanawiałam się nad sytuacją mojego brata. Przypomniały mi się słowa starego Ferrantego: „Jeśli go kochasz, uważaj na niego. My, silni, musimy się opiekować słabymi. Oni nie mają serca, żeby robić to, co konieczne do przeżycia”.

Zrobiłabym wszystko, by ocalić życie bratu - i Cezar aż nazbyt dobrze zdawał sobie z tego sprawę. Przypuszczałam, że wybrał go na męża Lukrecji, ponieważ liczył na to, że dzięki temu skłoni mnie do zamążpójścia.

Myśl, która kiedyś mnie zachwycała, teraz przyprawiała mnie o dreszcze, bo wiedziałam, że w obronie Alfonsa będę musiała opuścić biednego Jofrego i poślubić mordercę.

Lato 1498

Alfonso przybył do Rzymu w środku lata, a ja, rozpaczliwie pragnąc porozmawiać z nim na osobności, udałam niecierpliwą siostrę i wyjechałam samotnie na spotkanie jego orszaku, zanim dotarł do Ponte Sant'Angelo, mostu, który prowadził na Wzgórze Watykańskie.

Alfonso w towarzystwie kilku dworzan jechał konno na przedzie kawalkady, którą zamykały wozy załadowane jego rzeczami i podarkami dla narzeczonej. Od razu dostrzegłam złotą czuprynę w jasnym słońcu i spięłam wierzchowca ostrogami. Ujrawszy mnie, Alfonso krzyknął i pogalopował w moją stronę.

Zsiadliśmy z koni i objęliśmy się; mimo zmartwień związanych ze zbliżającym się ślubem, uśmiechnęłam się radośnie na jego widok. Wyglądał wspaniale, ubrany w błękitny atłas.

- Alfonso, kochanie!

- Jestem tu, Sancho! Nareszcie tu jestem! I już nigdy nie będę musiał się z tobą rozstawać.

Dworzanie podjechali do nas kłusem.

- Czy mogę spędzić chwilę sam na sam z bratem? - zapytałam słodko. Usłuchali i zawrócili, aby dołączyć do powolnie toczących się wozów. Wtuliłam twarz w jego policzek.

- Alfonso - szepnęłam mu do ucha - choć bardzo się cieszę, że cię widzę, nie wolno ci brać tego ślubu.

Zaśmiał się z niedowierzaniem.

- Ależ Sancho - powiedział głośno - to nie miejsce ani pora na takie rozmowy.

- Przeciwnie, to jedyny odpowiedni moment. Kiedy dotrzemy do Watykanu, nie będziemy już mogli swobodnie rozmawiać.

Słyszając, z jakim mówią przekonaniem i żarliwością, natychmiast spoważniał.

- Jestem już po słowie. Złamanie umowy byłoby niegodne, tchórzliwe...

Westchnęłam głęboko. Miałam mało czasu na przedstawienie sprawy, a Alfonso był bardzo ufnym człowiekiem. Jak w krótkich słowach przekazać mu ogrom niegodziwości Borgiów?

- Honor i duma na nic ci się tu nie zdadzą. Wiesz, co piszą aragońscy poeci o Lukrecji - powiedziałam. Miałam wyrzuty sumienia, gdy wyobraziłam sobie, jak poczułaby się Lukrecja, gdyby wiedziała, co mówię jej narzeczonemu.

- Proszę cię. - Zarumienił się; wiedział, do czego czynię aluzję. Zacytowałam Sannazara:

- *Hic jacet in tumulo Lucretia nomine, sedre Thais: Alexandra filia, sponsa, nurus.*

Było to epitafium, jakie wymyślił dla Lukrecji poeta: „W tym grobie leży Lukrecja z imienia, lecz w rzeczywistości Taida: córka, kochanka i synowa Aleksandra". Pansilea albo inna wtajemniczona osoba musiała powiedzieć komuś o kazirodczym związku Cezara i Lukrecji, bo nawet poeci w Neapolu i Hiszpanii zaczęli układać obraźliwe kuplety na jej temat (w tym przypadku porównując ją do egipskiej świętej grzesznicy Taidy, która pokajała się przed Bogiem za swe kazirodztwo).

Nie musiałam mówić, że plotki są prawdziwe; Alfonso był na tyle bystry, że pojął, czemu zacytowałam ten wierszyk.

- Sancho - powiedział pośpiesznie cichym głosem. - Nawet jeśli wszystkie zarzuty przeciw niej są prawdziwe, zobowiązałam się do tego dla dobra Neapolu. Ojej rękę ubiegali się też inni kawalerowie, związani z Francją, a nie możemy pozwolić, żeby Francuzi mieli jakikolwiek wpływ na Jego Świątobliwość. Bez papieskiego poparcia dynastia aragońska jest zgubiona. Nowy król Francji już ogłosił się władcą naszych terytoriów; musimy mieć papieża po swojej stronie na wypadek kolejnego najazdu.

Pilnowałam, aby wyraz twarzy nie zdradzał mojej udręki; członkowie świty Alfonsa nie mogli zobaczyć niczego poza radością.

- Nie rozumiesz: będziesz musiał uważać na każdym kroku. To mordercy - szepnęłam z tak błogą miną, jakbyśmy rozmawiali o pięknej pogodzie.

- Jak większość władców, między którymi nie zabrakło naszych krewnych - odparował. - Czyż nie jestem czarującym, Sancho?

- Jesteś najbardziej czarującym człowiekiem, jakiego znam... prawie. - Znów próbował mnie rozbawić, ale byłam zbyt zrozpaczona.

- Oczaruję nawet Borgiów. Zdobędę ich zaufanie. Nie jestem głupcem; nie dam im powodu, aby chcieli się mnie pozbyć. A dzięki temu małżeństwu

zyskam księstwo Bisciglie. - Przerwał i przybrał figlarny ton, próbując zmienić moją rozpacz w radość: - Czy Lukrecja jest zła do szpiku kości? Będzie mnie niedobrze traktować? Jest ohydną maskarą?

- Nie, nie, po trzykroć nie. - Westchnęłam przygnębiona, gdyż zdałam sobie sprawę, że zostałam pokonana. Nic nie mogło powstrzymać tego ślubu.

- W listach pisałaś, że się przyjaźnicie. Zdaje się, że jak dotąd udało ci się przetrwać.

- W pewnym sensie tak. - Umilkłam. - Lukrecja była dla mnie bardzo miła.

- A zatem nie jest potworem bez serca. Ja zaś nie przybyłem tu, by ją osądzać. Będę ją dobrze traktował i postaram się być dla niej dobrym mężem. Nie przychodzi mi do głowy lepszy sposób na zdobycie zaufania jej ojca i Cezara.

Pogłaskałam go po brodatym policzku.

- Po prostu nie mógłbyś być złym mężem, braciszku. Ale, na Boga, uważaj na siebie.

Wjechałam z nim do miasta. Cezar czekał przed Watykanem. Kardynał Walencji zachowywał się serdecznie i zarazem chłodno; próbował ocenić człowieka, który mógł mieć niekorzystny wpływ na jego siostrę, i myślę, że był słusznie zaniepokojony. Ja zaś starałam się nie ujawniać wewnętrznego rozdarcia.

Zsiadliśmy z koni i podążyłam za bratem, którego wprowadzono po schodach do Pałacu Watykańskiego i komnaty audiencyjnej, gdzie czekał na tronie Aleksander ubrany w białe atłasy, z ciężkim brylantowo-złotym krzyżem na piersi.

Lukrecja siedziała na aksamitnej poduszce obok niego. Jak jej przyszły mąż była ubrana w jasny błękit - jedwabną suknię haftowaną srebrną nicią, wyszywany perłami stanik i pasujący do reszty strój głowy; z zarumienionymi policzkami wyglądała całkiem ładnie; włosy opadały jej w złocistych kędziorach na ramiona. Na widok Alfonsa twarz jej zajaśniała niczym słońce; nie było wątpliwości, że oczarował ją od pierwszej chwili.

Aleksander też wydawał się oczarowany. Uśmiechnął się radośnie i powiedział:

- Pan młody i nowy książę Bisciglie! Witaj, Alfonso! Witaj, drogi synu, w naszej rodzinie! A więc, Lukrecjo, pogłoski okazały się prawdą: twój przyszły mąż j est nadzwyczaj przystojnym mężczyzną!

Alfonso ukląkł i posłusznie ucałował papieski pantofel; gdy tylko tej formalności stało się zadość, Aleksander podniósł się, zszedł z podwyższenia i objął przyszłego zięcia.

- Chodź, chodź. Przygotowaliśmy wspaniałą wieczerzą, choć uważam, że nie powinienesz za dużo jeść, bo jutro wesele!

Wybuchnął śmiechem, a Alfonso uśmiechnął się uprzejmie. Lukrecja wstała z poduszki i zeszła po schodkach. Alfonso przywitał ją ukłonem i pocałunkiem w rękę.

- Madonna Lukrecja - powiedział, a tylko mój brat umiał mówić ze szczerością, która sprawiła, że jego słowa zabrzmiały przekonująco - lśniesz niczym gwiazda w nocy. W porównaniu z twoją urodą wszystko, co cię otacza, jest ciemnością.

Zachichotała jak mała dziewczynka; Aleksander rozpromienił się, słysząc taki ładny komplement. Znow objął Alfonsa i razem ruszyli do papieskich apartamentów, gdzie czekał bankiet, za nimi zaś podążyła rozmarzona Lukrecja. Cezar szedł z dobroduszną miną, lecz przeszywającym spojrzeniem; ja zamykałam pochód z uśmiechem przyklejonym do twarzy.

Ślub odbył się w *Sala dei Santi*, gdzie panna młoda zawarła wcześniej niefortunne małżeństwo z Giovannim Sforzą. Gości było niewielu, głównie watykańscy domownicy i niektórzy kardynałowie.

Lukrecja wyglądała uroczo w szacie z czarnego atłasu ze stanikiem haftowanym złotem i ozdobionym brylantami. Ją i Alfonsa można było wziąć za siostrą i brata, bo oboje mieli podobne złociste włosy i jasne oczy - tak jak mnie, o ironio, można było pomylić z siostrą ciemnowłosego Cezara, który na tą okazję ubrał się w czarny aksamit. Z szacunku dla panny młodej założyłam poważny neapolitański strój.

Podczas ceremonii stałam przy Jofrem - niepokojąco blisko Cezara, który zajął miejsce po drugiej stronie mojego męża. Gdy kardynał Giovanni Borgia poprosił państwa młodych o złożenie przysięgi, pełniący obowiązki naczelnego wodza wojsk papieskich Juan de Cervillon obnażył piękną, wysadzaną szlachetnymi kamieniami szpadę i przytrzymał ją nad głowami księcia i księżnej Bisciglie. Gest ten symbolizował, że tych dwoje nigdy nie powinno się rozłączyć; gdy patrzyłam na lśniącą klingę, pomyślałam o karcie u wróżki - o sercu przebitym dwoma mieczami. Zdążyłam wyrzucić z pamięci tamto wydarzenie, lecz teraz wspomnienia powróciły z dziwną mocą.

„Nigdy nie ucieknę się do zła!” - oświadczyłam wtedy hardo. Teraz trudno mi było sobie wyobrazić zło gorsze od konieczności poślubienia Cezara.

„W takim razie skazujesz na śmierć tych, których najbardziej kochasz”, odrzekła strega.

Przyglądałam się uroczystości z lękiem.

Za to Alfonso i Lukrecja rozpływali się w uśmiechach. Zdawało się, że nie mogą być bardziej szczęśliwi; uczepliłam się rozpaczliwie tego faktu w nadziei, że zaoszczędzi memu bratu cierpienie, jakie spotkały mnie z rąk Borgiów.

Alfonso złożył przysięgę stanowczym, mocnym głosem; Lukrecja odpowiedziała cicho i nieśmiało, patrząc na niego ze szczerym uwielbieniem. Wystarczyło mi jedno spojrzenie i już wiedziałam: trafiła ich ta sama strzała, która ugodziła mnie w dniu, gdy poznałam kardynała Walencji.

Wkrótce legat ogłosił ich mężem i żoną. Promieniejąc ze szczęścia, Alfonso i Lukrecja wyszli pod rękę z sali, a za nimi podążyli kapitan de Cervillon i kardynał Borgia.

Niestety, gdy goście zaczęli opuszczać prywatną kaplicę, wywiązała się sprzeczka.

- Księżna Squillace jest siostrą pana młodego i jej dwór pójdzie przodem -jęła się domagać donna Esmeralda ostrym tonem, po czym odepchnęła jednego ze służących Cezara, którego świta żądała pierwszeństwa.

Nie sposób całkowicie ukryć tego, co się czuje, przed własną służbą i w ciągu paru chwili ludzie Cezara i moi zaczęli sobie skakać do gardeł. Jeden z dworzan Jofrego wystąpił do przodu i zażądał:

- Przejście dla księcia i księżnej Squillace!

W odpowiedzi dostał pięścią w szczękę i upadł do tyłu w ramiona towarzyszy. Donna Esmeralda i moje dworki zaczęły krzyczeć; sytuację komplikowała też obecność świty papieża, która dała się złapać w dwa ognie.

Posypały się ciosy, dobyto broni; papiescy słudzy tak się wystraszyli, że wbiegli po schodkach za ołtarz i uciekli z kaplicy, pozostawiając Aleksandra bez ochrony, pośrodku burdy.

- Dostyc! - krzyczał Jego Świątobliwość, wymachując rękoma, a jego złocistego płaszcza o mało nie dosięgła klinga. - Dość! To jest radosna okazja!

Jego nawoływania utonęły w ogólnym hałasie. Dworzanin Jofrego otrząsnął się po ciosie i rzucił na napastnika. Powalił go na posadzkę; dwaj walczący blokowali teraz wejście i wyjście z kaplicy.

- Przestańcie! - zawołał Jofre, a jego głos wzmógł tylko hałas. - Natychmiast przestańcie!

Zadanie spadło na barki Cezara. Bez słowa wyciągnął sztylet i błyskawicznym ruchem pochylił się nad dwoma mężczyznami tak, że mógł z łatwością sięgnąć ostrzem obu gardeł. Jego groźny wzrok przekonał walczących, że nie zawaha się przed rozlewem krwi, nawet tu i teraz, w dniu ślubu siostry.

W kaplicy zaległa cisza.

- Koniec walki - wycedził Cezar przez zęby.

Dworzanie przestali się szamotać i wstali, patrząc na niego szeroko otwartymi oczami, skruszeni.

- Gdzie jest świta Jego Świątobliwości? - zapytał niskim i spokojnym, lecz zarazem przerażającym głosem.

Jego dworzanie wskazał na ołtarz i schody, które prowadziły do prywatnych apartamentów papieża.

- Ukryli się, Wasza Eminencjo.

- Ściągnij ich tu. Jego Świątobliwość ma iść jako następny, a nie można go zostawić bez opieki.

Dworzanie podbiegł do ołtarza, a potem na schody. Cezar, wciąż z dobytym sztyletem, lecz opuściwszy ostrze, popatrzył na kawalera ze świty Jofrego.

- Bez wątpienia przyda mu się pomoc - powiedział.

Z przesadną skwapliwością dworzanie Jofrego ruszył śladem niedawnego przeciwnika. Upłynęło trochę czasu, nim zjawila się cała świta, i wreszcie papież mógł opuścić kaplicę. Wspaniałomyślnie - a raczej z pozorami wspaniałomyślności - Cezar nalegał, aby mój dwór wyszedł jako następny.

Po ceremonii ślubnej była długa wieczerza, a potem tańce. Alfonso jak zawsze czarował towarzystwo i tryskał takim humorem, że nawet Borgiowie nie umieli się mu oprzeć. Po raz pierwszy, odkąd przyjechałam do Rzymu, papież osobiście tańczył - najpierw z Lukrecją, a potem ze mną. Mimo znacznej tuszy miał ten sam wdzięk co jego syn Cezar.

Szczególnie cieszyłam się z braku kurtyzan, nie było nawet nałożnicy papieża Giulii. Wyraźnie Aleksander starał się przekonać Alfonsa, że plotki, które krążyły na temat skandalu ze Sforzą i porodu Lukrecji, były nieprawdziwe; tak czy inaczej, odetchnęłam z ulgą, że zabawa nie stoczyła się do poziomu Borgiów. Papież pił znacznie mniej wina, niż to miał w zwyczaju, po raz pierwszy wykazując troskę o szczęście Lukrecji. Nawet Cezar był miły.

Wraz z Alfonsem wykonałam dla Jego Świątobliwości neapolitański taniec; oczy mojego brata lśniły, uśmiech był szczery. Wiedziałam, że po części jego radość wypływa ze świadomości, że znów będziemy razem - ale dostrzegłam też, że Lukrecja wzbudziła w nim prawdziwy zachwyt. Było jasne, że jak to żartobliwie ujął Jego Świątobliwość, „tych dwoje ma się ku sobie”:

- Tylko spójrzcie! Zachowują się, jakby reszta z nas nie istniała. Czy powinniśmy wycofać się na paluszkach, żeby im nie przeszkadzać?

Nie mogłam pojąć, dlaczego mój młodszy brat, który miał do wyboru piękniejsze i szlachetniejsze kobiety, zakochał się właśnie w Lukrecji; żywiłam tylko nadzieję, że będzie szczęśliwy.

Po długich tańcach na małej, wzniesionej tymczasowo scenie pokazano widowiska teatralne. W jednym z nich przepięknie ubrana dziewczyna nakła-

niała jednorożca, aby złożył łeb na jej kolanach. Dziewicę grała sama Giulia, kochanica papieża, ale nie to stanowiło największą ironię, bo z ruchów ciała rozpoznałam też człowieka w ciężkiej masce jednorożca, okrywającej całą głowę, ze złoconym rogiem i otworami na oczy i usta. W roli symbolu czystości i wierności wystąpił Cezar Borgia.

Gdy nadszedł świt, Lukrecja i Alfonso oddalili się, a za nimi podążył uśmiechnięty Giovanni Borgia. Mój biedny brat miał się teraz poddać temu samemu poniżeniu, którego i ja doświadczyłam - jego pierwszemu cielesnemu zespoleniu z oblubienicą będzie się przyglądał lubieżny kardynał. Przynajmniej, pomyślałam, Alfonso uniknął dodatkowego wstydu, jakim byłaby obecność ojca. Zastanawiałam się, czy kardynał skomentuje różę.

Parę tygodni po ślubie Cezar otrzymał szansę, o której marzył od lat: stanął przed zgromadzeniem kardynałów, prosząc ich o uwolnienie go od powołania, którego nigdy nie czuł. W zamian obiecał, że odda się w służbę Kościoła i natychmiast pojedzie do Francji, gdzie uczyni wszystko, aby ocalić Włochy przed najazdem następnego króla Francji.

To, że prośba Cezara zostanie spełniona, nie budziło wątpliwości, tak jak wcześniej nikt nie wątpił, że Lukrecja zostanie uznana za *virgo intacta*.

Cezar dostał wreszcie to, czego chciał. Wkrótce potem jął się rozglądać za odpowiednią żonę. Przygotowałam się na najgorsze, oczekując kolejnego wezwania do jego gabinetu: ku memu zdumieniu Lukrecja wyjawiała mi, że wybrał Carlottę Aragońską - moją kuzynkę, prawowitą córkę stryja Federica, króla Neapolu.

Byłam wniebowzięta; uznałam, że nie doceniłam Cezara. Lukrecja mówiła, że naprawdę mu na mnie zależy - i może dlatego nie zamierza mnie ani zmuszać, ani krzywdzić. Co więcej, taki a nie inny wybór panny młodej sprzyjał Alfonsowi jako księciu Neapolu i jego pozycji w domu Borgiów.

Carlotta przebywała we Francji, pobierając nauki na dworze pobożnej katoliczki i popierającej Borgiów królowej Anny Bretońskiej, wdowy po *Re Petite*, Karolu VIII, który umarł tej wiosny. Cezar wystroił się w swe najlepsze szaty i na grzbiecie siwego konia podkutego srebrnymi podkowami wyruszył na północ. Był przekonany, że zdobędzie rękę Carlotty, ponieważ nowy król, Ludwik XII, usilnie starał się o rozwód z kaleką i bezpłodną żoną, królową Joanną, aby móc poślubić Annę, którą kochał.

Cezar zaś, jako syn papieża, był najodpowiedniejszą osobą, by przekazać na ręce Ludwika świadectwo rozwodowe - oczywiście za pewną cenę.

Z westchnieniem ulgi patrzyłam, jak odjeżdża, przekonana, że kłopoty mojego kraju wreszcie się skończyły.

Jesień-zima 1498

Gorące, upalne lato ustąpiło wreszcie jesieni, która zmieniła się w łagodną zimę. Moje życie w Rzymie nigdy nie było przyjemniejsze; Juan nie żył, Cezar był zajęty polityką i staraniami o pannę młodą we Francji, a ja zostałam w towarzystwie męża, brata, Lukrecji i Aleksandra.

Nienarażony na poniżające przytyki ze strony Cezara i Juana Jofre stał się miłszy i spokojniejszy. Alfonso był z natury pogodny, a miłość do Lukrecji czyniła go jeszcze bardziej jowialnym i uroczym, na dodatek wydobył z Lukrecji słodycz, jaką tylko z rzadka obserwowałam u niej wcześniej, a która teraz stała się nieodłączną cechą jej charakteru. A ponieważ rodzina była szczęśliwa, szczęśliwy był również Aleksander. Jego córka zawarła korzystne małżeństwo i była teraz księżną, a nie tylko hrabiną; najstarszy syn miał zdobyć jeszcze lepszą partię, on sam zaś mógł liczyć na prawowitych wnuków.

Lukrecja i ja, obie kochając Alfonsa, zbliżyłyśmy się do siebie jeszcze bardziej. Zdradzałam jej wszystkie drobne dziwactwa Alfonsa, a ona uwielbiała słuchać opowieści o jego dzieciństwie - jak podpalił ogon pieska królowej, żeby zobaczyć, czy będzie płonął jak świeczka, jak w wieku czterech lat wpadł do morza i o mało nie utonął. Ona zaś odwdzięczyła mi się, na przykład pokazując, jak jej mąż chrapie - wciągała kilkakrotnie powietrze, a potem wypuszczała je z potężnym, przeciągłym świstem.

Zapomniałam o canterelli, którą ukryłam z klejnotami w swojej sypialni. Zapomniałam o tym, skąd ją mam; zapomniałam nawet o Lukrecji obłapianej przez ojca i całującej się namiętnie z własnym bratem. (Lukrecja doniosła mi z wielką ulgą, że papież zostawił ją w spokoju, odkąd zaszła w ciążę, czy to dlatego, że z wiekiem stracił wigor, czy też po prostu nie chciał podsycać plotek o narodzinach bękarta, którego jakoby sam spłodził). Wyznała

mi też, że każdą noc spędza w swej sypialni z Alfonsem, który rzadko sypia we własnych komnatach w skrzydle pałacu zarezerwowanym dla mężczyzn.

- Nigdy nie śmiałam żywić nadziei - rzekła melancholijnie - że mój mąż będzie również żarliwym kochankiem.

Pewnego zimowego poranka, gdy jasne słońce rozgrzało mroźne powietrze, postanowiłyśmy zrobić sobie piknik w winnicy kardynała Lopeza. Pogoda była zbyt wspaniała na siedzenie w domu, a Lukrecję zdawała się rozpierać energia, jakby nie mogła się czegoś doczekać. Zrozumiałam ją dopiero, gdy siadła obok mnie w powozie i wyznała:

- Mam tajemnicę. Nie zdradziłam jej nikomu, nawet Alfonsowi, ale tobie muszę. Wystawiłam twarz do słońca i leniwie rozkoszowałam się ciepłem.

- Tajemnicę? - Sądząc po zadowolonym uśmiechu Lukrecji, musiało chodzić o coś miłego. Podejrzewałam, że o przyjęcie albo prezent, który kupiła dla nowego męża.

- Jestem w ciąży. Od dwóch miesięcy nie mam okresu.

- Lukrecjo! - Szczerze ucieszona chwyciłam ją za rękę. - Jesteś pewna? Nie ma innej przyczyny?

Roześmiała się, zachwycona.

- Jestem pewna. Moje piersi są tak wrażliwe, że ledwo mogę znieść, gdy Alfonso ich dotyka. I muszę jeść i jeść na okrągło albo przeciwnie, robi mi się niedobrze na sam zapach jedzenia. Ale musisz udawać, że nic nie wiesz: chcę mu zrobić niespodziankę dziś przy kolacji.

- Będzie zachwycony. Twój ojciec też. - Uśmiechnęłam się na myśl o tym, że zostanę ciotką.

Kiedy dotarłyśmy do winnicy, znalazłyśmy doskonałe, idylliczne miejsce: zagajnik wysokich sosen, niżej łąkę porośniętą trawą i polnymi kwiatami, a dalej rzędy winnych krzewów o powyginanych kłęczach, pozbawionych listowia i owoców. Teren opadał łagodnie, zapewniając przyjemny widok. Przyniesiono stół i gdy służące zajęły się wypakowywaniem jadła i wina, Lukrecja rozejrzała się dookoła, beztrąsco rzuciła gronostajową pelerynę na trawę i orzekła:

- Doskonały dzień na wyścig.

Roześmiałam się. Była to zupełnie dziecinna zachcianka - lecz gdy spojrzałam jej w oczy, przekonałam się, że mówi serio.

- Ale twój stan, madonna... - przypomniałam cicho.

- Nie bądź śmieszna! - odparła. - Nigdy nie byłam zdrowsza! Nie mogę się doczekać, kiedy powiem o wszystkim Alfonsowi: jestem tak podekscytowana, że jeśli czegoś nie zrobię, zwariuję.

Z uśmiechem na ustach przyjrzałam się jej bacznie: odkąd wyszła za mojego brata, przybrała trochę na wadze i tryskała energią. Była przyzwyczajona do długich spacerów i konnej jazdy; w ciąży czy nie, bieg na krótki dystans nie mógł jej zaszkodzić.

- Dobrze, księżno - powiedziałam. Popatrzyłam na idealnie proste rzędy winorośli. - Miejsce jest rzeczywiście idealne.

- Pościgajmy się. - Wskazała pierwszy prześwit między krzewami. - To będzie nasza meta. Ta, która pierwsza tam dobiegnie, wygrywa.

Zdjęłam pelerynę i długą wierzchnią tunikę, żeby nie zaplatać się w fałdy materiału. Lukrecja też pozbyła się swojej tuniki.

- A jaka będzie nagroda? - zapytałam. Zmarszczyła brwi, a potem uśmiechnęła się półgębkiem.

- Brylant. Albo ty dostaniesz brylant ode mnie, albo ja od ciebie.

- Ale który? - chciałam wiedzieć.

- Ta, która przegra, wybiera - odparła, nagle spłoszona. Skrzyżowałam ręce na piersiach i pokręciłam głową, a ona parsknęła śmiechem.

- W porządku, niech będzie, zwycięzca wybiera. W takim razie będę musiała wygrać.

Zakasałyśmy wysoko spódnice, zawołałyśmy donnę Esmeraldę, żeby dała sygnał do startu, a potem puściłyśmy się biegiem przed siebie.

Trudno było nazwać wyścig sprawiedliwym. Byłam wyższa i miałam dłuższe nogi, więc z łatwością wygrałam, wzbijając w powietrze tumany kurzu na mecie.

- Wybiorę twój najwspanialszy brylant - zaczęłam się przechwalać. Lukrecja przewróciła oczami i udawa strapioną, choć obie wiedziałyśmy, że nie mam zamiaru upominać się o nagrodę.

Lukrecja zażądała rewanżu; kiedy odmówiłam (bo nie chciałam, żeby się nadmiernie forsowała), przekonała do wyścigu młodsze dworki. Do biegu zgłosiły się cztery panny, które ustawiły się po dwie w każdej z szerokich alejek, czekając, aż donna Esmeralda da sygnał do startu.

Zaczęłam się trochę niepokoić, bo Lukrecja miała wypieki i zaczęła się pocić, a dzień był dość chłodny. Postanowiłam, że położę kres dalszym wyczynom, żądając podania jedzenia, lecz właśnie w tej chwili donna Esmeralda dała sygnał.

Gdy rozpoczął się ostatni wyścig, odeszłam od winnych krzewów i zbliżyłam się do stołu, zastawionego teraz kuszącą obfitością wiktuałów; Lukrecja po wysiłku będzie bez wątpienia głodna jak wilk.

Nie patrzyłam na zawody, gdy dał się słyszeć cichy, lecz niepokojący odgłos ciała uderzającego o ziemię. Sekundę później rozległ się krzyk. Odwróciłam

się i zobaczyłam, jak donna Esmeralda biegnie co sił ku dwóm kobietom na ścieżce między winoroślami. Zauważyłam też rozpostartą w powietrzu zieloną brokatową suknię drugiej kobiety, która właśnie padała na ziemię. Podbiegłam w ich stronę i wkrótce stałam przy Lukrecji i młodej dworce, która przewróciła się na nią.

- Lukrecjo! - zawołałam, kucając przy niej. Była nieprzytomna i przerażająco blada. Popatrzyłam oskarżycielsko na biedną dworcę, stała roztrzęsiona, przyciskając dłoń do ust. - Co się stało?

- Nie wiem, madonna — odparła płacząco. — Pani biegła i chyba potknęła się na luźnym pantoflu. Upadła, a ja nie mogłam się zatrzymać... - Spoglądała na nas z wystraszoną miną. Bała się kary albo nagany, ale my nie interesowałyśmy sięniadłużej, gdyż nic się jej nie stało. Ciało Lukrecji osłabiło jej upadek.

Poklepałam Lukrecję po policzkach; były chłodne, ale nadal się nie ocknęła. Podniosłam wzrok na donnę Esmeraldę.

- Księżna Bisciglie jest przy nadziei - oznajmiłam. - Musimy zabrać ją z powrotem do pałacu i wezwać lekarza i akuszerkę.

Donnie Esmeraldzie zaparło dech, gdy to usłyszała, i zaraz pobiegła po woźniców, którzy korzystając z wolnego czasu, poszli polować. W ciągu pół godziny byliśmy w powozie. Esmeralda i ja ułożyłyśmy sobie Lukrecję na kolanach. Cały czas przyciskałam dłoń do jej czoła w obawie przed gorączką, przeklinając się w myśli za to, że w ogóle pozwoliłam jej biegać.

Zanim dotarliśmy z powrotem do pałacu, Lukrecja zdążyła dojść do siebie, choć musiała doznać wstrząsu, bo trzeba jej było przypomnieć o upadku.

- Przeklęty pantofel! - syknęła.

Dopiero po długich namowach zgodziła się, żeby woźnica zaniósł ją do pałacu. Gdy ze względu na obyczajność zostawił ją przed drzwiami do sypialni, przytrzymałyśmy ją i pomogłyśmy jej dokuśtykać do łóżka.

Każdy krok wywoływał ból.

- To tylko kręgosłup - powiedziała nonszalancko - i głowa. Jutro będzie mi już lepiej.

Przybyła akuszerka i Lukrecja potulnie poddała się badaniu. Kiedy stara kobieta wyłoniła się wreszcie z sypialni, donna Esmeralda i ja zerwałyśmy się na równe nogi, nie mogąc doczekać się wieści.

- Księżna mocno potłukła głowę i plecy - oznajmiła akuszerka. - Nie ma gorączki, krwotoku ani innych objawów poronnych, ale jest za wcześnie, żeby wiedzieć coś pewnego.

Donna Esmeralda i ja naradziłyśmy się z ochmistrzynią Lukrecji i postanowiłyśmy nie wzywać lekarza. Jego przybycie mogłoby zwrócić niepotrzebną uwagę, gdyż zawsze pojawiał się w wypadku poważnej choroby, a akuszerka często pomagała przy błahych kobiecych dolegliwościach. Nie było powodu, by wzbudzać niepokój papieża i Alfonsa. Zatrzymamy akuszerkę i przez następnych parę godzin będziemy obserwować Lukrecję, żeby zobaczyć, co się z nią dzieje.

Zrobiło się już popołudnie. Na szczęście na wieczór nie zaplanowano rodzinnej kolacji, gdyż my, kobiety miałyśmy wrócić późno z pikniku.

Na prośbę Lukrecji weszłam do sypialni i usiadłam przy niej. Miała duszności i odmawiała jadła i napitku; głowa bardzo ją bolała, z trudem otwierała oczy. Mimo to starała się zachować pogodę ducha, rozmawiając ze mną, z kompresem ze zwilżonego chłodną wodą ręcznika na czole.

- Całe to zamieszanie z powodu głupiego pantofla - powiedziała. - Lewy zawsze był za luźny; chciałam go nawet zdjąć i biegać boso. Szkoda, że tak nie zrobiłam. Uniknęłybyśmy tych wszystkich ceregieli.

- Donna Esmeralda nigdy by na to nie pozwoliła w takie zimno - odparłam żartobliwie, naśladując jej dobry humor, choć dręczyły mnie wyrzuty sumienia i obawa. - Bałaby się, że złapiesz grypę, i tak musiałabyś nosić ten przeklęty pantofel.

- Alfonso będzie się martwił - szepnęła. - Mówiłaś mu już?

- Jeszcze nie.

- Dobrze. - Zamknęła oczy. - W takim razie muszę poczekać z niespodzianką do chwili, gdy poczuję się lepiej. - Westchnęła. - Wkrótce i tak dowie się o moim upadku. Przyjdzie tu niedługo po zapadnięciu zmierzchu.

- Jest silnym mężczyzną - powiedziałam. - Jakoś to przeżyje. Uśmiechnęła się słabo, a potem umilkła. Wkrótce zasnęła. Poczułam ulgę,

sądząc, że ból osłabł i teraz będzie już tylko lepiej. Akuszerka wołała jednak czuć w pobliżu.

Lukrecja obudziła się parę godzin po zachodzie słońca, z głośnym, przerażającym jękiem. Pochyliłam się do przodu i chwyciłam ją za rękę. Szczękała zębami; cierpiała tak bardzo, że nie mogła nawet mówić.

Akuszerka uniosła kołdrę i zbadała ją, a potem - z ponurym spojrzeniem, które zламаło mi serce - pokręciła głową.

- Krwawi - oznajmiła. - Musimy się przygotować na najgorsze. - Odwróciła się do donny Esmeraldy i poleciła przynieść kilka ręczników, prześcieradło i miskę wody, potem znowu popatrzyła na mnie. W jej posępnej minie zdawały się przemawiać lata smutnych doświadczeń. - Najlepiej będzie, madonna Sancha, jeśli pani wyjdzie.

- Nie! - krzyknęła Lukrecja. Była blada jak kreda, na czole perliły się krople potu. - Sancho, nie zostawiaj mnie!

Ścisnęłam mocniej jej dłoń.

- Nie zostawię cię - zapewniłam głosem, w którym słychać było siłę, jakiej nie czułam. - Zostanę tu z tobą aż do chwili, gdy powiesz, bym odeszła.

Uspokoila się na chwilę; wkrótce chwyciła ją kolejna fala bólu i ścisnęła moją dłoń z miazdzącą siłą.

Esmeralda wróciła do sypialni, polecivszy młodszym służkom przynieść wymagane rzeczy.

- Wezwij Jego Świątobliwość i księcia Bisciglie do komnaty obok - powiedziałam. - Pora ich zawiadomić.

- Sancho! - stęknęła Lukrecja. - Będą się tak martwić... Czy mogłabyś im to powiedzieć sama?

- Tak - uspokoila ją i zdjęłam jej okład z czoła. Strona dotykająca skóry zrobiła się ciepła, odwróciłam więc kompres na drugą i delikatnie położyłam z powrotem na czole. - Dopilnuję, żeby nie martwili się przesadnie.

- Tak, tak. Obaj tak bardzo się martwią... - szepnęła, a potem zacisnęła zęby, gdyż owładnął ją następny spazm.

Alfonso mieszkał w pałacu, zjawił się więc pierwszy; wysłałam do niego donnę Esmeraldę z wieścią, że Lukrecja upadła w winnicy i że przyjdę ze szczegółowymi wieściami, gdy przybędzie Jego Świątobliwość. Esmeralda była zdolną aktorką i odegrała swoją rolę wspaniale; przez drzwi słyszałam jej spokojny, zrównoważony głos. Wróciła do sypialni i kiwnęła głową na znak, że jej się udało; bez wątpienia brat pomyślał, że żona po prostu skreśliła kostkę.

Wkrótce jednak krzyki stały się tak donośne, że Alfonso na pewno je usłyszał. Musiały wstrząsnąć nim do żywego, zostawiłam więc Lukrecję, żeby wyjaśnić sytuację. Na szczęście papież przybył właśnie w chwili, gdy obejmowałam brata.

Na widok naszych niespokojnych twarzy, Aleksandrowi, który zawsze miał nadmiernie uczuciową naturę, oczy wypełniły się łzami.

- Boże! Czy ona umiera? Nie wiedziałem, że to coś aż tak poważnego. Sancho, co się stało naszej córce?

Odsunęłam się od Alfonsa.

- Lukrecja jest młoda i silna; na pewno to przeżyje. Zdaje się, że była w ciąży, dziecko jest już stracone. Ściagała się z dworkami w winnicy...

- Ściagała się w winnicy! Kto na to pozwolił? - Aleksander gniewnie jął się domagać wyjaśnień. - Nie wiedziała, że jest w ciąży?

- Sądzę, że wiedziała. To zwyczajny wypadek, Wasza Świątobliwość. Bieganie nie powinno jej było zaszkodzić. Miała za luźny pantofel, potknęła się, a inna dziewczyna upadła na nią.

- Kto? - W tonie Aleksandra zabrzmiała mściwa nuta.

Alfonso nie zwracał uwagi na pretensje teścia; wysłuchał tego, co mówiłam, a potem ukrył twarz w dłoniach i wyszeptał:

- W ciąży... - Gdy Aleksander zażądał imienia winowajczyny, Alfonso uniósł głowę i spytał: - Jesteś pewna, że Lukrecja wyzdrowieje? - Popatrzył wymownie na drzwi, zza których dobiegały jęki żony.

Położyłam dłoń na jego ramieniu.

- Teraz Lukrecja cierpi, ale akuszerka twierdzi, że jest młoda i przeżyje, z Bożą pomocą. - Potem zwróciłam się do Aleksandra i skłamałam: - Nawet nie pamiętam, która dziewczyna upadła, Wasza Świątobliwość. To zrządzenie Boga, a nie wina dziewczyny, że pantofel był za luźny.

Papież zakrył twarz i jęknął udręczony.

- Och, moja biedna córeczka! Moja biedna Lukrecja!

- Bądźcie silni - poprosiłam. - Lukrecja chce, żebym przy niej siedziała. Wyjdę do was z wieściami, jak tylko będę mogła.

Zostawiłam ich, aby pocieszali się nawzajem, i wróciłam do Lukrecji.

Męki Lukrecji trwały jeszcze dwie godziny, potem poroniła mały, krwawy płód; widziałam biedne maleństwo, gdy akuszerka położyła je na ręczniku i zbadała. Było za wcześnie, aby się zorientować, czy Lukrecja straciła syna czy córkę.

Dzięki Bogu, od razu przestała krzyczeć, lecz rozplakała się, gdy zrozumiała, że nie nosi już dziecka. Krwawienie, które nastąpiło później, było niewielkie, co stanowiło dobry znak. Wkrótce też zapadła w dobrotliwy sen.

Na moich barkach spoczął obowiązek poinformowania ojca i męża o dobrych i złych wiadomościach: o tym, że Lukrecja poroniła, że nie doszło do żadnych trwałych uszkodzeń i że powinna szybko wyzdrowieć.

Dotrzymałam też danego Lukrecji słowa; wróciłam do jej sypialni i zdrzemnąłam się na dużej aksamitnej sofie, ona spała całą noc. Nie opuściłam jej aż do następnego ranka, do chwili gdy uznałam, że wszystko jest w porządku.

Wiosna-zima 1499

Na szczęście przewidywania akuszerki okazały się trafne: Lukrecja wyzdrowiała i po jakimś czasie zaczęła ją drażnić nadopiekuńczość ojca, Alfonsa i moja. Choć na początku między donną Esmeraldą a nową przełożoną służby Lukrecji, donną Marią, nie brakowało zazdrosnej nieufności, teraz obie połączyły siły w imię wspólnego celu: dopilnowania, aby księżna Bisci-glie była zawsze ogrzana, najedzona do syta i by nie brakowało jej niczego.

W ciągu zaledwie paru miesięcy nasza troskliwość się opłaciła. Pewnego kwietniowego wieczoru, gdy po kolacji wracałyśmy z Watykanu do pałacu, Lukrecja odciągnęła mnie od idących za nami dworek i szepnęła:

- Znowu jestem w ciąży. Ale nie powinnyśmy o tym nikomu mówić, dopóki nie nabiorę pewności, że dziecko jest bezpieczne.

- Żadnych wyścigów - upomniałam ją półgłosem, a ona miała na tyle poczucia humoru, by uśmiechnąć się figlarnie.

- Żadnych wyścigów - zgodziła się.

Uśmiechnęłyśmy się i wzięłyśmy pod rękę, ciesząc się ze wspólnego sekretu. Rzym zdawał się tamtego wieczoru bezpieczną przystanią: latarnie łodzi na Tybrze migotały w dole, a złocista poświata rozświetlała łukowe okna pałacu, do którego szłyśmy.

Tymczasem we Francji sprawy nie toczyły się po myśli Cezara Borgii. Dokument rozwodowy miał być doręczony i przekazany królowi wyłącznie w zamian za rękę Carlotty Aragońskiej.

Tak uzbrojony, Cezar wyjechał do Francji, a ja przestałam myśleć o całej sprawie, sądząc, że pozycja polityczna zarówno Alfonsa, jak i moja jest na papieskim dworze pewna i bezpieczna.

Przybywszy do Francji, Cezar dostał od Carlotty i jej ojca, króla Federica, polecenie zwrócenia się do Ludwika z prośbą o jej rękę; król jednak, choć przyjął Cezara uprzejmie, odmówił dyskusji na ten temat. Ludwik jał się dopominać przekazania pisma rozwodowego tak gwałtownie, że Cezar zaczął wątpić w swoje osobiste bezpieczeństwo. Grał na zwłokę tak długo, jak się dało, ostatecznie jednak ugiął się przed żądaniem Ludwika.

W chwili gdy Ludwik dostał to, na czym mu zależało, Cezar utracił najważniejszy atut i król nie chciał już dłużej słuchać o Carlocie.

Zawiedziony Cezar zwrócił się znowu do ojca Carlotty, Federica Neapo-litańskiego - który najpierw długo unikał odpowiedzi, a potem stanowczo odrzucił propozycję Cezara. Z typową dla siebie swadą stryj Federico stwierdził, że nie pozwoli, by jego córka wyszła za mężczyznę o reputacji „awanturnika”. Innymi słowy, pragnął dla córki lepszej partii, a nie papieskiego bękarta, który tak łatwo zapomniał o kapłańskim ślubowaniu, a do tego miał, jak głosiły plotki, mordercze skłonności.

Apele Cezara do Ludwika zostały zlekceważone, mijały kolejne miesiące. Cezar zagroził, że wróci do Italii, a papież zaczął rozpuszczać wieści, że szuka dla syna włoskiej żony - tyle że księżę Walencji nie dostał pozwolenia na opuszczenie ani Francji, ani nawet królewskiego dworu.

Zamiast tego zaproponowano mu rękę najpierw jednej, a potem następnej francuskiej księżniczki; wkrótce mógł już wybierać spośród całego zastępu piękności i zapewne w końcu zdał sobie sprawę z sytuacji. Mimo że dobrze go traktowano, w rzeczywistości stał się więźniem króla do czasu, aż podporządkuje się planowi Ludwika i pojmie za żonę Francuzkę.

Późną wiosną don Garcia, kurier Cezara, przyjechał do Rzymu. Wieści były na tyle ważne, że Jego Świątobliwość poprosił, aby dołączył do nas przy rodzinnej kolacji - Garcia jednak stał na baczność, składając raport.

Cezar był zaręczony, a król Francji wyraził zgodę na ślub. Narzeczoną była Charlotte d'Albret, córka króla Nawarry i kuzynka Ludwika.

Siedzący obok mnie Alfonso słuchał uważnie, z miną niezdradzającą wewnętrzznego niepokoju, Jofre zaś głośno uradował się szczęściem brata. Nie przyszło mu do głowy, że jego żona i szwagier znaleźli się w niebezpieczeństwie.

. Po śmierci Juana to Lukrecja stała się ulubionym dzieckiem Aleksandra; syn wszakże zawsze ma pierwszeństwo przed córką, papież wiązał więc swe nadzieje i obawy przede wszystkim z Cezarem. A Cezar sprzymierzył się z Francją - z nienawiści i żądzy zemsty na mnie i całym domu aragońskim po nazbyt bolesnym odrzuceniu, jakiego doznał ze strony Carlotty i jej ojca. Papież okazał umiarkowaną radość.

- Wreszcie wszystkie moje dzieci będą po ślubie - westchnął - i może wkrótce zostanę dziadkiem.

Lukrecja posłała mi konspiracyjny uśmiezek, ale trudno mi go było odwzajemnić.

Po kolacji udało mi się widzieć z Alfonsem w jego komnatach, zanim poszedł na noc do Lukrecji. Byłam tak zaniepokojona i podejrzliwa, że poleciłam, by oddalił całą służbę - włącznie z najbardziej zaufanymi ludźmi, którzy przez lata służyli mu w Neapolu. Nalegałam, abyśmy zamknęli na klucz drzwi do apartamentu i zaszyli się w sypialni, gdyż obawiałam się, że ktoś mógłby nas podsłuchać.

Odezwałam się pierwsza, zanim Alfonso zdążył zabrać głos.

- Jeśli Cezar zrealizuje ten plan, Francuzi znowu zaatakują i będziemy zgubieni. Wiesz, jak łatwo Lukrecja pozbyła się pierwszego męża.

Usiadłam na otomanie i zadrzałam, owijając się mocniej futrzaną peleryną.

Alfonso stał plecami do mnie, zwrócony twarzą do balkonu. Wcześniej otworzył okiennice i teraz wdychał głęboko ciepłe wiosenne powietrze, wyglądając w noc. Ciemność otaczała jego złocistą głowę i szerokie, muskularne barki, odziane w jasnozielony brokat. Wyglądał silnie i stanowczo, ale w jego postawie dostrzegłam niepokój.

Z dziwnym skupieniem zamknął okiennice i odwrócił się od balkonu ruchem, który zdradzał wzbierający gniew. Miał ściągnięte rysy; wiedziałam, że sprowokowała go moja uwaga, ale nie było to jedyne źródło jego złości.

- To nie jej wina. Sprzeciwiała się rozwodowi, póki mogła, i nadal głęboko się go wstydzi. Ojciec ją zmusił.

- Tak czy inaczej, posłusznie wykonuje jego polecenia. Okazał mi niespodziewany chłód.

- Nie bądź tego taka pewna. My się kochamy, Sancho. Ojciec przez lata źle traktował Lukrecję i jej zaufanie do niego jest nadwreżone. Ona wie, że ja nigdy jej nie skrzywdzę ani nie zdradzę.

- Mogę mieć tylko nadzieję, że się nie mylisz. Są jednak inni, o których losie nie śmiem nawet mówić... - Myślałam o Perotcie, Pantsilei... i przede wszystkim o Juanie, którego nie ocaliły nawet więzy krwi.

Alfonso rozgniewał się.

- Nie zamierzam słuchać takich rzeczy. Lukrecja jest moją żoną i nie jest zdolna do okrucieństwa.

Przybrałam pojednawczy ton.

- Kocham Lukrecję jako bratową i przyjaciółkę. Nie oskarżam jej o nic. Za to Cezar... - Zniżyłam głos. - Jeśli postanowi zawiązać sojusz z Francją...

Alfonso spoważniał.

- Wiem. Musimy odtąd bardzo uważać. Pojawią się szpiedzy; nie wolno nam wypowiadać się swobodnie nawet w obecności służby i musimy baczyć, co piszemy w listach. - Przerwał na chwilę. - Spotkam się potajemnie z ambasadorami Hiszpanii i Neapolu. Są jeszcze kardynałowie, których łączą mocne związki z Hiszpanią i Neapolem i którym można zaufać. Papież ceni ich zdanie. - Uśmiechnął się, próbując dodać mi otuchy. - Nie przejmuj się, Sancho. Jeszcze nie wszystko stracone; zrobię, co w mojej mocy, żeby nie dopuścić do tego małżeństwa. Poproszę też Lukrecję, żeby porozmawiała z ojcem; ma na niego większy wpływ niż ktokolwiek inny.

- Lukrecja?! - zawołałam. - Alfonsie, nie waż się wspominać jej o tym nawet słowem.

Popatrzył na mnie, urażony i wzburzony.

- Rozmawiam z Lukrecją o wszystkim - oświadczył bez ogródek. - Jest moim życiem, moją duszą. Nie mógłbym niczego przed nią zataić.

Ogarnęła mnie czarna rozpacz.

- Musisz zrozumieć, braciszku, że Lukrecja zawsze będzie lojalna przede wszystkim wobec rodziny. - Otworzył usta, żeby zaprotestować, ale uniosłam dłoń, nie dając mu dojść do głosu. - To nie jest wada, raczej zaleta jej charakteru. Sam przyznaj, Alfonso: wobec kogo czujesz się bardziej lojalny? Wobec Borgiów czy domu aragońskiego?

Westchnął.

- Masz rację, siostró. Będę pilnował tego, o czym z nią mówię. Tymczasem, nie trać nadziei: postaram się nie dopuścić do tego francuskiego mariażu.

Usiłowałam nie tracić nadziei. Alfonso dotrzymał obietnicy i przedstawiciele zarówno hiszpańskiego, jak i neapolitańskiego króla przestrzegli papieża przed surowymi konsekwencjami ślubu Cezara z krewną Ludwika. Aleksander zdawał się to rozumieć.

Pewnego ranka w połowie maja, gdy siedziałyśmy z Lukrecją na naszych aksamitnych poduszkach przy tronie, a papież wysłuchiwał próśb i skarg, oznajmiono przybycie gościa. Wyłaniec Cezara, don Garcia, właśnie zsiadł z konia po forsownej czterodniowej jeździe z Blois we Francji.

Miał wieści dla Jego Świątobliwości, szczęśliwe wieści, doniósł paż, lecz prosił Aleksandra o wybaczenie: od dawna nie zmrzył oka i nie może ustać na nogach. Poprosił więc o możliwość złożenia raportu po kilku godzinach odpoczynku.

Podeksytowany Aleksander nie chciał nawet o tym słyszeć. Oddalił wszystkich petentów, po czym wezwał Jofrego, Alfonsa i strudzonego kuriera.

Rodzina przybyła szybko, a wkrótce po niej zjawił się don Garcia, podtrzymywany przez służbę.

- Wasza Świątobliwość, proszę mi wybaczyć - powiedział błagalnie. - Rzeknę tyle: wasz syn Cezar Borgia, książę Valentinois, jest od czterech dni szczęśliwie żonaty z Charlotte d'Albret, księżniczką Nawarry, a małżeństwo zostało spełnione na oczach samego króla Ludwika.

Zdrętwiałam. Aleksander klasnął w dłonie, szczerze zadowolony. Później dowiedziałam się, że pomógł przypieczętować małżeństwo kilka miesięcy wcześniej, przyznając bratu Charlotty kapelusze kardynalski - choć równocześnie zdawał się dawać posłuch hiszpańskim i neapolitańskim posłom.

- A więc stało się! - Spojrzał na wyczerpanego kuriera i rozkazał: - Niech ktoś przyniesie krzesło! Don Garcia, pozwalam waści usiąść w mojej obecności, o ile złożysz mi pełne sprawozdanie ze ślubnych uroczystości. Nie pomijaj żadnego szczegółu.

Wniesiono fotel; Garcia usiadł z wahaniem i - podpytywany przez papieża - przez siedem godzin opowiadał. Po paru godzinach wniesiono jadło i napitek dla mówcy i słuchaczy. Siedziałam i słuchałam coraz bardziej przerażona, a Aleksander coraz bardziej się radował.

Usłyszałam o tym, jak Cezar i jego oblubienica - „piękna, o bladej, delikatnej cerze i jasnych włosach”, według Garcii - wymienili obrączki podczas pełnej powagi ceremonii. Cezar, popisując się męskim wigorem, skonsumował małżeństwo cieleśnie sześć razy na oczach króla Ludwika, który bił brawo i nazwał go „lepszym mężczyzną niż on sam”. Na weselu zjawiło się tylu szacownych gości, włącznie z królem i jego dworem, że zabrakło miejsca i trzeba było przenieść zabawę na świeże powietrze, na błonia.

Papież zachwycił się małżeństwem Cezara. Każdy gość w Watykanie musiał wysłuchać opowieści o ślubie i obejrzeć stosy klejnotów, które Jego Świątobliwość zamierzał podarować synowej.

Alfonso i ja mogliśmy się tylko starać ograniczyć zakres szkód. Kardynał Ascanio Sforza, do którego zwrócił się o pomoc mój brat, delikatnie wy badał papieża podczas rozmowy o sprawach Kościoła. Powiedział Jego Świątobliwości, że raczej nie wierzy, by Francuzi znów zaatakowali Neapol, skoro królowa Anna i jej ludzie się temu sprzeciwiają. Zresztą Francuzi dostali już nauczkę, gdy król Karol musiał się wycofać z Włoch jak niepyszny.

Papież roześmiał się Sforzy w twarz. Król Federico powinien się mieć na baczności - zauważył z satysfakcją - bo wkrótce może się znaleźć w takiej samej sytuacji, co jego brat, który najpierw nie wierzył w nadejście Francuzów, a gdy ci zbliżyli się do miasta, uciekł, gdzie pieprz rośnie.

Usłyszawszy o tym, straciłam wszelką nadzieję - mimo że Alfonso nadal prowadził potajemne dyplomatyczne starania. Czerpałam za to złośliwą uciechę z wieści, że paryskie żaki odgrywają komiczne parodie ślubu Cezara; rzymski przepych uznawano nad Sekwaną za wulgarny i przesadny. Podkute srebrem konie Cezara wystawiły go na pośmiewisko.

Jofre zrozumiał wreszcie, że wypadłam z łask Jego Świątobliwości, i uznał, że najlepiej zrobi, jeśli udowodni, że jest prawdziwym Borgią jak jego bracia. W towarzystwie hiszpańskich żołnierzy włóczył się nocami po ulicach i pijany wywijał szpadą niczym błada imitacja Juana; łagodna natura nie obdarzyła go jednak cechami niezbędnymi do walki.

Zachowywał się tak, choć błagałam, by przestał. Myślę, że moja troska sprawiła, że poczuł się bardziej męski. Nie mogę go za to winić: chciał mi pomóc i może myślał, że gdyby zyskał pozycję równie wysoką co rodzeństwo, zdobyłby też posłuch u ojca. Ale nie miał na to szans i nic nie mogło przekonać Jego Świątobliwości do mojej osoby.

Przynajmniej więc mógł się zachowywać jak Borgia. Bez wątpienia to, swoim zdaniem, czynił, gdy pewnej nocy obudziły mnie krzyki za drzwiami sypialni.

- Donna Sancha! Donna Sancha!

Usiadłam na łóżku, przyciskając rękę do łomoczącego serca, wyrwana z głębokiego snu przez męski głos w drugiej komnacie. Leżąca obok donna Esmeralda natychmiast się obudziła; inne dworki też pobudziły się z zaskoczenia.

- Kto tam? - zażądałam odpowiedzi najbardziej władczym głosem. Wyplątałam się z pościeli, jedna ze służących zapaliła lampkę.

- Federico, sierżant gwardii hiszpańskiej, człowiek pani męża. Don Jofre jest poważnie ranny. Położyliśmy go do łóżka i wezwaliśmy lekarza; pomyśleliśmy, że powinniśmy panią powiadomić.

- Poważnie? Jak poważnie? - spytałam, przestraszona. Do tego czasu zdążyłam owinać się aksamitnym płaszczem i wyjść do przedpokoju, gdzie stał Federico, trzymając latarnię. Ubrany w cywilny strój, mógł mieć może osiemnaście lat. Ciemna jak u Maura twarz i włosy przyklejone do czoła pokryte były potem. Dolna część tuniki zwisała nisko, przecięta klingą, która nie sięgnęła ciała; ziejąca dziura ukazywała część nagiego brzucha i górę rajtuzów. Czarne oczy sierżanta lśniły od nadmiaru wina.

Mówił jednak wyraźnie i pewnie stał na nogach. Najwyraźniej wytrzeźwiał ze strachu.

- Został ugodzony strzałą w udo, madonna.

Taka rana mogła spowodować śmierć. Nie zawoławszy dworek, wybiegłam boso na korytarz. Nie pamiętam, jak przemierzyłam budynek ani jak weszłam po schodach do apartamentów Jofrego; przypominam sobie tylko kłaniających się ludzi i otwierane drzwi.

Kiedy wpadłam do jego sypialni, leżał blady i spocony na łóżku, z piwnymi oczami rozszerzonymi od bólu. Służący rozcięli mu rajtuzy, odsłaniając ranę i na wpół złamaną strzałę, która utkwiała głęboko w udzie. Ciało wokół strzały było fioletowoczerwone i opuchnięte, krew płynęła obficie, ściekając strumieniami po obu stronach nogi. Kilkakrotnie złożone prześcieradło, które położono pod udem, całkiem przesiąkło.

Jofre był przytomny i wziął mnie za rękę; uściśnął mi z wdzięcznością dłoń i spróbował się uśmiechnąć, ale wyszedł mu słaby grymas.

- Mój drogi - powiedziałam; tylko to byłam w stanie wykrztusić.

- Nie gniewaj się na mnie, Sancho - wyszeptał.

Oddech i ubranie śmierdziały alkoholem; pojęłam, że kompani prawdopodobnie oblali winem ranę, żeby ją oczyścić. Zarówno on, jak i cała świta byli pijani, a to bez wątpienia przyczyniło się do wypadku.

- Nie gniewam się - odparłam. - Wcale. - Wiedziałam, że cokolwiek uczynił, nie wypływało to z samolubnego zadufania. Próbował mi tylko pomóc. - Kto ci to zrobił?

Jofre był zbyt słaby, żeby odpowiedzieć; zamiast tego za plecami usłyszałam głos Federica. Młody żołnierz razem ze mną dotarł do sypialni swego pana, lecz byłam zbyt roztrzęsiona, by to zauważyć.

- Jeden ze strażników miejskich, madonna. Przechodziliśmy przez most przy Castel SanfAngelo, gdy strażnik kazał nam się zatrzymać i chciał nas przeszukać. Don Jofre przedstawił się jako ksiązę Squillace, ale strażnik mu nie uwierzył, madonna, i... - Umilkł, wyraźnie opracowywał historię na mój użytek. - Doszło do wymiany zdań. Któryś ze strażników poczuł się widać urażony, bo wystrzelił, i sama widzi pani, co się stało.

Byłam przerażona.

- Czy strażnik, który strzelał, został aresztowany?

- Nie, madonna. Troszczyliśmy się przede wszystkim o księcia. Natychmiast przynieśliśmy go tutaj.

- Coś trzeba z tym zrobić. Winnych trzeba ukarać.

- Tak, madonna. Niestety, nie mamy takiej władzy.

- A kto ma? Federico zamyślił się.

- Z całą pewnością Jego Świątobliwość.

Pojawił się papieski lekarz, podstarzały krepy mężczyzna w stroju tak wspaniałym, jakie zwykli nosić sami Borgiowie, i oczywiście niezadowolony,

że wyciągnięto go z łóżka w środku nocy. Ściągnął czarne krzaczaste brwi i skrzywił się na mój widok.

- Żadnych niewiast. Muszę usunąć strzałę i nie chcę tu spazmów. Zgromiłam go wzrokiem. Nie zamierzałam pozwolić na lekceważące traktowanie ani co ważniejsze, nie zamierzałam opuścić Jofrego.

- Nie jestem delikatną panienką - ofuknęłam go. - Rób swoje, a ja zostanę, żeby dodać mu otuchy.

Tym razem Jofre zdobył się na blady uśmiech.

Trzymałam go za rękę i ocierałam zimny pot z czoła, gdy doktor oglądał, macał, a potem rozcinał ranę. Przyniesiono mocne wino i przytknęłam do drżących warg Jofrego srebrny puchar, namawiając go do picia.

Kiedy wypił tyle, ile lekarz uznał za stosowne, rozpoczęła się najgorsza część operacji. Doktor chwycił oburącz drzewce strzały i zaczął ciągnąć. Jofre zaciskał zęby i jęczał, na koniec jał płakać na głos i krzyczeć jak kobieta podczas porodu.

Po kilku próbach strzała wyszła z rany, a Jofre opadł bezwładnie na poduszki. Razem z grotem wypłynęło dużo krwi, co doktor uznał za dobroczynne, bo rana lepiej się oczyściła, zmniejszając ryzyko zakażenia. Ranę znów przemyto mocnym winem, a potem zabandażowano.

Czuwałam tamtej nocy przy Jofrem i nie śmiałam się zdrzemnąć, nawet gdy zasnął wreszcie pomimo bólu.

Wiosna- Lato 1499

Z samego rana zostawiłam pogrążonego we śnie męża, włożyłam odpowiednią suknię i poszłam do apartamentów Jego Świątobliwości dość wcześnie, by nie zdążył zająć się bieżącymi sprawami urzędowymi.

Przyjął mnie w swoim gabinecie, siedząc za wspaniałym, pozłacanym biurkiem. Dygnęłam, a potem niecierpliwym głosem oznajmiłam:

- Wasza Świątobliwość, wasz syn Jofre został wczoraj w nocy ranny podczas sprzeczki ze strażą miejską.

- Ranny? - Poderwał się zaniepokojony. - Jak do tego doszło?

- Wczoraj w nocy, dość późno, Jofre i jego ludzie przechodzili przez most SanfAngelo, kiedy straż zatrzymała ich i zażądała wyjaśnień.

- I słusznie - zauważył Aleksander. - Rozmawiałem z Jofrem na temat jego nocnych eskapad. Włóczy się ze swoimi Hiszpanami i szuka guza. Okazuje się, że wreszcie mu się udało.

Słyszając lekceważący ton, wbiłam wzrok w papieża, fuknęłam z irytacją i powiedziałam:

- Wasza Świątobliwość, ludzi odpowiedzialnych za zranienie Jofrego trzeba ukarać!

Aleksander usiadł, najwyraźniej straciwszy zainteresowanie sprawą; popatrzył na mnie wielkimi brązowymi oczami, które wydawały się tak dobroduszne, a ukrywały tak podstępłą duszę.

- Wygląda na to, że wykonywali swoje obowiązki. Nie mogę ich za to „ukarać”. Jofre otrzymał to, na co zasłużył.

Spojrzał w dokument leżący na biurku, jakby mnie nie było.

- To wasz syn! - zawołałam, nie próbując już ukryć gniewu. Popatrzył na mnie zimno.

- Oczywiście zostałaś źle poinformowana, madonna. Temperament wziął we mnie górą nad rozsądkiem i odparowałam ostro:

- Powiedziałaś światu coś przeciwnego, co czyni cię kłamcą i rogaczem!

Aleksander poderwał się z miejsca, zdenerwowany, zanim jednak zdążył odpowiedzieć, odwróciłam się na pięcie, z rozmysłem nie poprosiwszy o pozwolenie odejścia, i jak burza wybiegłam z gabinetu, trzasnąwszy za sobą drzwiami.

Później nabrałam przekonania, że tym wybrykiem pogorszyłam sytuację Alfonsa i swoją. Tak bardzo się niepokoiłam, że poszłam szukać brata. Musiałam czekać na niego kilka godzin, aż wróci z polowania.

Znów spotkaliśmy się potajemnie w jego sypialni, zamknąwszy na klucz drzwi do komnaty. Brat odpoczywał w fotelu po całym dniu spędzonym w siodle - zbyt zmęczony, by nawet zdjąć pelerynę - ja przechadzałam się przed nim nerwowo, opowiadając o głupstwie, które palnęłam, i dręczących mnie wyrzutach sumienia.

Pokręcił pobłaźliwie głową i westchnął.

- Posłuchaj, Sancho: twój wybuchowy temperament może bardzo irytować Aleksandra, ale ostatecznie nawet on rozumie, że broniłaś męża. Nie spotka cię za to nic złego.

Westchnęłam. Nie było sensu przekonywać go, że jest przeciwnie; za bardzo przywykł do myślenia o ludziach jak najlepiej. Bez względu na to, jak długo przebywa w Rzymie, nigdy nie potrafiłby zrozumieć perfidii Borgiów.

Po chwili dodał:

- Nie pogorszyłaś naszej sytuacji. Właściwie trudno, aby nasza sytuacja stała się jeszcze gorsza.

Potem opowiedział mi wreszcie o fackie, który ukrywał przede mną od dobrych kilku dni: posłowie króla Ferdynanda byli oburzeni działaniami Aleksandra i następnego ranka mieli wypłynąć do Hiszpanii, aby osobiście spotkać się ze swoim monarchą. Ich wyjazd miał być w zamierzeniu afrontem dla papieża, a przed podróżą podzielili się z Jego Świątobliwością podejrzeniem, że papieska armia otrzymuje od Francuzów proch i amunicję, przemycane w beczkach po winie.

Alfonso przekazał mi te wieści, wzdychając ciężko nie tylko z fizycznego wyczerpania. Ze skronią opartą na pięści powiedział znużony:

- Papieżowi udało się tak rozgniewać Hiszpanów ciągłym wychwalaniem króla Ludwika, że otwarcie go obrazili. Garcillaso de Vega miał odwagę powiedzieć Aleksandrowi prosto z mostu: „Mam, Ojczyści, nadzieję, że będziesz zmuszony udać się za mną do Hiszpanii... jako wygnaniec na marnej barce, a nie na tak wspaniałym statku jak mój”.

Parsknęłam śmiechem na myśl o tym, jak de Vega pokazał Aleksandrowi, gdzie jego miejsce; wiedziałam jednak, że taka szczerłość może tylko ściągnąć zemstę.

- Co na to papież?

- Prychnął - odparł Alfonso. - A potem powiedział, że de Vega obraża go, sugerując spisek z Francją. Zapewnił, że wciąż jest wierny Hiszpanii.

Milczałam, przyglądając się bratu uważnie. Bałam się, że Lukrecja wciąż ma na niego tak znaczny wpływ, że zaraz zbagatelizuje odjazd hiszpańskiego poselstwa jako przesadnie dramatyczną reakcję. On jednak tego nie uczynił. Jego mina wciąż była ponura i zatroskana.

Po dłuższej chwili znów się odezwał, tym razem z bolesną rezygnacją:

- Ostatnio często rozmawiam z Ascaniem Sforzą. Kardynał zwrócił mi uwagę, że choć Lukrecja mnie kocha, papież pozostanie głuchy na jej głos w tej sprawie. Żarliwie protestowała przeciwko rozwodowi z Giovannim Sforzą, ale ostatecznie niczego to nie zmieniło.

Ugryzłam się w język i łaskawie nie przypominałam, że mówiłam to samo wiele tygodni wcześniej i że wówczas nie przyznał mi racji. Zamiast tego powiedziałam:

- Tylko jedna osoba ma posłuch u Aleksandra, a jest nią Cezar. To największe niebezpieczeństwo, z jakim musimy się zmierzyć.

Alfonso myślał przez chwilę, a potem podjął:

- Sforza myśli o opuszczeniu Rzymu. Nie jest pewny, jak długo będzie tu bezpiecznie dla sprzymierzeńców domu aragońskiego.

Zamarłam. Wiedziałam, że polityczne knowania Cezara z Francuzami stawiają mnie i brata w groźnej sytuacji. Ale osobiste niebezpieczeństwo - fakt, że Borgiowie zechcą zamordować Alfonsa - nie wydawało się realne aż do tej chwili. Patrząc na mego łagodnego brata, nagle uświadomiłam sobie, co Cezar naprawdę zrobił: Aragończycy byli w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Sojusz z Francją dał papieżowi czelność wyparcia się przede mną ojcostwa Jofrego.

Czyżby Cezar tylko udawał, że pragnie pojąć za żonę Carlottę Aragońską? Czyżby od początku zamierzał ożenić się z panną wskazaną przez króla Ludwika i zawrzeć sojusz z największym wrogiem mojego kraju? Jeśli chciał się na mnie zemścić, nie mógł wybrać celu lepszego od Alfonsa, bo na bracie zależało mi bardziej niż na własnym życiu.

Z francuską armią Cezar mógł mi odebrać nawet więcej: cały Neapol.

Od razu przeniosłam się w myślach do dawno minionej przeszłości. Siedziałam w ciemnej jaskini wiedzy u podnóży Wezuwiusza, widziałam, jak harmonijne rysy jej twarzy łagodnieją za delikatnym czarnym welonem.

Usłyszałam jej melodyjny głos: „Uważaj na siebie, Sancho, bo inaczej twoje serce zniszczy wszystko, co najbardziej kochasz”.

Cesarze, pomyślałam w chwili nagłej grozy i instynktownie położyłam dłoń na sztylecie jak zawsze ukrytym w gorsecie. Cesarze, moje serce... Moje czarne, złe serce. Nie pozwolę ci zniszczyć mojego brata.

Jofre wrócił całkowicie do zdrowia i zarzucił głupie nocne eskapady. Alfonso i ja zostaliśmy w Rzymie nawet w lipcu, po tym jak Ascanio Sforza wyjechał do Mediolanu, aby wesprzeć brata Ludovica Sforzę. Francuskie wojska przekroczyły Alpy i przygotowywały się do ataku na to północne miasto.

Martwiłam się tylko o Alfonsa: był mężczyzną, uznawanym za zdolnego do wywierania politycznych wpływów. Ja byłam tylko kobietą, postrzegano mnie więc raczej jako niewygodną żonę, a nie bezpośrednie zagrożenie. Oboje staraliśmy się wmówić sobie, że jesteśmy bezpieczni, zwłaszcza że Lukrecja była wczwartym miesiącu ciąży, a Aleksander z entuzjazmem oczekiwał przyjścia na świat pierwszego prawowitego wnuka - potomka dynastii aragońskiej i rodu Borgiów.

Papież wciąż powtarzał, że król Ludwik nie zaatakuje Neapolu; Francuzom zależało wyłącznie na Mediolanie, twierdził uparcie, to wszystko. Gdy Ludwik zdobędzie Mediolan, wróci za Alpy.

Rozpaczliwie staraliśmy się uwierzyć słowom Aleksandra.

Ale Alfonso mógł w nie wierzyć tylko do pewnego czasu. Ukrywał przede mną sekret, czego wciąż nie mogę mu wybaczyć, choć wiem, że próbował mnie w ten sposób chronić.

Król Ludwik z łatwością zdobył Mediolan; obywatele, w obawie o swoje głowy, wylegli tłumnie na ulice, aby go powitać. Jeśli chodzi o księcia Ludovica i jego kuzyna kardynała Sforzę, nie udało im się zebrać dostatecznie dużych sił, by odeprzeć najazd. Uświadomiwszy to sobie, uciekli, zanim jeszcze miasto otworzyło bramy francuskiej armii.

Razem z królem jechał Cezar Borgia.

Był dopiero drugi sierpnia, a poranki wciąż przyjemnie chłodne, gdy Lukrecja zaprosiła mnie na drugie śniadanie na tarasie pałacu. Rozmawiałyśmy wesoło jak to dwie kobiety, z których jedna wkrótce ma urodzić, gdy przerwało nam pojawienie się papieskiej świty, a potem samego Ojca Świętego.

Kroczył w naszym kierunku z niezwykłym pośpiechem, pochylając do przodu szerokie bary. Natychmiast przypomniał mi się herb Borgiów: Aleksander wyglądał jak rozjuszony, szarżujący byk.

Biel atlasowych szat kontrastowała z czerwienią okrągłej twarzy i ciemnymi zmrużonymi oczami. Jego spojrzenie przeszywało niczym sztylet, zwracając się to na mnie, to na Lukrecję. Najwyraźniej zrobiliśmy coś, co go rozwścieczyło.

Wstałyśmy, Lukrecja z wysiłkiem z powodu brzemienia, które nosiła; Aleksander gestem ręki dał nam sygnał, żebyśmy usiadły.

- Nie! - krzyknął ostrym tonem. - Siadajcie! Będzie to wam potrzebne. Z chmurnym obliczem podszedł do stołu i rzucił jakiś list na blat, koło talerza Lukrecji. Siedziałam nieruchomo, nie śmiałam wręcz zaczerpnąć oddechu.

Lukrecja pobladła - może podejrzewała to, czego ja w osłupieniu nie potrafiłam się domyślić. Podniosła list i zaczęła czytać. Westchnęła zdumiona, a potem zaśmiała się nerwowo z niedowierzaniem.

- Co to jest? - zapytałam jak najciszej, żeby nie prowokować papieża. Popatrzyła na mnie, oszłomiona; myślałam, że zaraz zemdleje. Ale opanowała się i powiedziała, bliska łez:

- To od Alfonsa. Pisze, że nie jest już w Rzymie bezpieczny. Wyjechał do Neapolu.

- I błaga cię, żebyś do niego dołączyła! - zagrział Aleksander, wskazując wielką łapą na list; Lukrecja drgnęła, jakby bała się, że ją uderzy. - Lepiej przysięgnij przed Bogiem, że nic o tym nie wiedziałas.

Lukrecja, mrugając gwałtownie powiekami, szepnęła:

- Nic nie wiedziałam. Przysięgam. Aleksander nadal się pieklił.

- Jakim trzeba być zdradzieckim łotrem, żeby oskarżać własną rodzinę, oskarżać mnie, o nielojalność, i zostawić biedną, brzemienną żonę? A co gorsza, jakim trzeba być potworem, by prosić tę żonę o porzucenie najbliższych krewnych, wiedząc o jej rodzinnych i politycznych obowiązkach?

Sama zapragnęłam go uderzyć. Byłam wściekła, że obraża mojego brata, człowieka bardziej prawego, niż Aleksander mógł sobie wyobrazić; byłam też wściekła na Alfonsa, że uciekł z Rzymu, nie powiedziawszy mi o tym.

Ale rozumiałam, dlaczego milczał; taka tajemnica mogłaby mnie kosztować głowę. Pozostawiając mnie, najwyraźniej niewtajemniczoną w jego plany, Alfonso dopilnował, aby Borgiowie zobaczyli, jaka jestem niegroźna.

- Oczywiście nie odpowiesz mu - ostro rozkazał Aleksander córce, niewzruszony łzami, które spływały po jej policzkach na pergamin, leżący obok niedojedzonego śniadania. - Od tej chwili twój każdy ruch będzie w tym domu uważnie obserwowany i nie pojedziesz nigdzie bez mojego pozwolenia, zapewniam cię!

Następnie zwrócił się do mnie.

- Jeśli chodzi o ciebie, donna Sancha, możesz zacząć pakować kufry. Król Federico na pewno nie chciałby zostawić tu nic swojego, pojedziesz więc za bratem do Neapolu.

Na policzki wypłynął mi piekący rumieniec. Wstałam i głosem zimnym, lecz rozedrganym ze złości oświadczyłam:

- Zrobię to, co powie mi mąż.

- Twój mąż - Aleksander pochylił się niebezpiecznie blisko - nie ma nic do gadania w tym domu, o czym dobrze wiesz. Oczekuję, że opuścisz pałac nie później niż jutro i zabierzesz ten aragoński temperament i arogancję ze sobą.

Obrócił się na pięcie i odmaszerował z wigorem znacznie młodszego mężczyzny, a za nim papieska świta.

Lukrecja siedziała osłupiała, wpatrując się w list napisany przez najbliższego jej człowieka, który był teraz tak daleko. Podeszłam do niej, uklękłam i ją objęłam. Zamknęłam oczy, bo nie mogłam patrzeć, jak łamie się jej serce.

- Sancho - powiedziała, pochlipując. - Czemu nie mogę po prostu żyć szczęśliwie z mężem? Czy jestem aż tak złą, niegodziwą kobietą i taką okropną żoną, że mężczyźni ode mnie uciekają?

- Nie - powiedziała jej szczerze. - To polityka, która wiąże się z twoim ojcem i Cezarem, ale z tobą nie ma nic wspólnego. Wiem, jak bardzo Alfonso cię kocha. Mówił mi to wielokrotnie.

To tylko pogłębiło jej rozpacz.

- Sancho, nie mów, że i ty mnie opuszczasz.

- Droga Lukrecjo - szepnęłam. - Czasami jesteśmy zmuszeni do zrobienia czegoś, czego najmniej pragniemy.

Jofre przekonywał ojca, ale rozumieliśmy, że na nic się to nie zda. W przeciwieństwie do Alfonsa, nie nalegałam, aby mąż do mnie dołączył. Nie wierzyłam, że Jofre ma dość odwagi, by wyprzeć sięjedyne przywileju, jakim się kiedykolwiek cieszył: że jest Borgią, choćby tylko z nazwiska.

Tego samego ranka poleciłam służącym, żeby zaczęły pakowanie.

O zmierzchu Jofre przyszedł do mojej komnaty i odesłał Esmeraldę i inne panny.

- Sancho - powiedział drżącym głosem. - Ojciec wyrządził ci okropną krzywdę. Nigdy mu tego nie wybaczę. I nigdy nie będę szczęśliwy bez ciebie. Byłem żalonym mężem; nie jestem ambitny ani przystojny i nie mam silnej woli Cezara, ale kocham cię całym sercem.

Zarumieniłam się na wspomnienie o Cezarze i zaczęłam się zastanawiać, czy Jofre wiedział o naszym romansie. Byłoby niemożliwe mieszkać w Rzy-

mie i nie słyszeć plotek, ale żywiłam nadzieję, że mąż, który zawsze chciał wierzyć w dobroć ludzi, nie zwracał na nie uwagi.

- Jofre - westchnęłam. - Jak udało ci się zachować taką poczciwość wśród tych intryg i knowań?

Wzięłam go w ramiona i tamtej nocy kochaliśmy się, nie wiedząc, czy nie robimy tego po raz ostatni.

Jofre wyszedł przed świtem. Następnego dnia do południa moja służba zapakowała do kufrów wszystko, co chciałam; większość klejnotów i eleganckich sukni zostawiłam.

Gdy zamknęłam drzwi do swoich komnat i ruszyłam do oczekującego wozu, w korytarzu pojawiła się Lukrecja z zaczerwienionymi oczami.

- Siostro! - zawołała. Nie mogła już biegać, ciąża była zbyt zaawansowana. - Nie zostawiaj mnie bez pożegnania!

Kiedy zarzuciła mi ramiona na szyję, szepnęłam:

- Nie wolno ci tego robić. Służący nas zobaczą i doniosą o wszystkim papieżowi. Będzie na ciebie zły.

- A niech go diabli - odparła porywczo.

- Naprawdę cieszę się, że okazałaś taką odwagę i przyszałaś - szepnęłam. - Serce mi się kraje, że musimy się pożegnać.

- Ale nie na zawsze - odrzekła. - Obiecuję ci, że jeszcze się spotkamy. Jak mi życie miłe, dopilnuję, żebyście z Alfonsem wrócili do łask w rodzinie. Nie pozwolę, żebyście mnie opuścili.

Przytuliłam ją mocno.

- Kochana Lukrecjo - szepnęłam - masz moją dozągonną przyjaźń i wierność.

- A ty moją - oświadczyła solennie.

Odsunęłyśmy się i popatrzyłyśmy na siebie. Lukrecja zaśmiała się z wysiłkiem.

- No, już. Dość tych smutków. Spotkamy się jeszcze i będziesz przy mnie, kiedy urodzi się pierwsze dziecko twojego brata. Myśl o tych szczęśliwych chwilach, które nadejdą, gdy tylko zbierze ci się na płacz, a ja będę robiła to samo. Obiecujemy to sobie.

Uśmiechnęłam się z trudem.

- Obiecuję.

- Dobrze - orzekła. - A teraz zostawiam cię i wierzę, że nasza rozłąka będzie krótka.

Odwróciła się z taką odwagą i determinacją, że naprawdę poczułam otuchę. Był rok 1499. Wieść gminna, którą głoszone też z wielu ambon, mówiła, że Bóg zaplanował koniec świata w jubileuszowym roku 1500. A ja,

przygotowując się do opuszczenia murów Palazzo Santa Maria, okryta wstydem, czułam, że mój świat już się kończy... ale tak naprawdę lud miał rację. Koniec świata się zbliżał, lecz miał nadejść dopiero za rok.

Późne lato 1499

Kiedy wyjeżdżałam z Rzymu, trzymałam głowę wysoko. Nie chciałam przyznać się sama przed sobą do upokorzenia tym, że Aleksander bezceremonialnie wyrzucił mnie z miejsca, które stało się moim domem. Wstyd należał się nie mnie i bratu, gdyż nie uczyniliśmy nic złego, lecz Cezarowi i jego niestałemu ojcu. Mimo to serce krwawiło mi na myśl o opuszczeniu Lukrecji i Jofrego; widziałam też ironię w fakcie, że byłam kiedyś tak nieszczęśliwa, przyjeżdżając do Rzymu, a teraz jestem równie nieszczęśliwa, że wyjeżdżam z niego do miasta, które kocham najbardziej na świecie.

Drugiego dnia podróży zobaczyliśmy wybrzeże - widok, który jak zawsze podziałał na mnie niczym balsam. Gdy dotarłam do Neapolu, nie smuciłam się już tak bardzo i cieszyłam na myśl o powrocie do domu; moją radość mącił tylko szczery żal Alfonsa. Widziałam osłupienie Lukrecji, gdy papież powiedział jej o ucieczce męża. Bardzo go kochała, ale to on kochał ją mocniej - i każdego dnia w Neapolu musiałam patrzeć na twarz bardziej zatroskaną i zrozpaczoną niż twarz Lukrecji.

Utrzymywali stałą korespondencję - czytana zarówno przez szpiegów Jego Świątobliwości, jak i króla Federica - w której wyznawali sobie niesłabnące oddanie, a Alfonso powtarzał błagalne prośby o przyjazd Lukrecji do Neapolu, choć ona nigdy mu na to nie odpowiadała.

Wkrótce dowiedzieliśmy się, że została „uhonorowana” nominacją na gubernatorkę Spoleto - miasta położonego daleko na północ od Rzymu, a więc jeszcze dalej od Neapolu. Było niesłychane, wręcz nieprawdopodobne, aby niewiasta sprawowała taki urząd, i musiało to wywołać nie lada szum wśród kardynałów. Takie jednak było zaufanie papieża do intelektu i rozsądku córki, a zarazem brak wiary w możliwości Jofrego - Aleksandrowi

nawet przez myśl nie przeszło, by przyznać tytuł gubernatora mojemu mężowi. A może wolał dać ten przywilej rodzonej córce niż przybranemu synowi.

„Honor” ten jednak wcale nie był nagrodą, lecz sposobem na to, by zatrzymać dzieci przy sobie niczym więźniów i zapobiec ich ucieczce w ramiona małżonków. Jofre napisał mi sztywny list, w którym wyjaśniał, że służy mu świta sześciu paziów „zaprzysiężonych, by dzień i noc dotrzymywać mi towarzystwa i chronić, i nigdy nie opuszczać mojego boku”. Innymi słowy, nie mógł uciec, żeby do mnie dołączyć, nawet gdyby chciał. Nie miałam wątpliwości, że Lukrecji zapewniono podobne towarzystwo.

Nie zaskoczyły mnie środki ostrożności podjęte przez Aleksandra; Alfonso opowiedział mi, że gdy rano uciekał z Rzymu, gonili go ludzie papieża. Ścigali go aż do zapadnięcia zmroku, kiedy udało mu się dotrzeć do Genezzano, posiadłości przyjaciół króla Federica; dopiero wtedy zaprzestali pościgu.

- Gdyby mnie schwytali - stwierdził Alfonso - nie jestem pewien, czy byłbym teraz żywy i rozmawiał tu z tobą.

Te opowieści przeraziły mnie nie na żarty i zaczęłam z niepokojem myśleć o ponownym spotkaniu mojego brata i Lukrecji w Rzymie. Czułam się rozdarta: z dala od Lukrecji zaczęłam sobie przypominać chytrą Cezara. Możliwe, że Lukrecja zrobiłaby wszystko, by ochronić męża, lecz czy to powstrzymałoby Cezara od wyrządzenia mu krzywdy?

A Cezar nienawidził całego rodu neapolitańskich Aragończyków z osobistych, a teraz także politycznych pobudek.

Dwa tygodnie po przybyciu do Neapolu rozkoszowałam się poranną przejażdżką za miastem. Powietrze było chłodne i wilgotne od morskiej bryzy, lecz słońce zapewniało ciepło; nie mogłam oprzeć się myśli o tym, jak potwornie musieli się męczyć ci, którzy zostali w rzymskim skwarze.

Wróciłam do pałacu i odkryłam, że Alfonso przyjmuje znamienitego gościa: hiszpańskiego kapitana Juana de Cervillona, który uczestniczył w ceremonii ślubnej mojego brata i Lukrecji. Choć stanowisko wymagało od niego mieszkania w Rzymie, dzieci i żona kapitana Cervillona mieszkali w rodzinnej posiadłości w Neapolu. Przypuszczałam, że przyjechał na południe w sprawach osobistych i wpadł przy okazji z kurtuazyjną wizytą.

Natknęłam się na niego, gdy witał się z Alfonsem u wejścia do głównej sali; zatrzymałam się po drodze do komnaty, gdzie zamierzałam się przebrać, i przywitałam z kapitanem.

Miał około czterdziestu lat i ciemną karnację, był eleganckim i przystojnym żołnierzem. Prezentował się wspaniale w mundurze udekorowanym licznymi medalami, które otrzymał za wieloletnią dzielną służbę dla Jego Świą-

tobliwości, a także innych papieży i koronowanych głów. Kiedy podeszłam, uklonił się nisko i ucałował mi dłoń.

- Wasza Wysokość, to honor i przyjemność widzieć panią znowu. Dobrze wyglądasz, pani.

- Neapol mi służy - powiedziałam otwarcie. - Pana też zawsze miło widzieć, kapitanie. Jakimż to szczęśliwym okolicznościom zawdzięczamy tę wizytę?

Zwrócony bokiem do Alfonsa, nie zauważył ostrzegawczego spojrzenia, które posłał mu mój brat. Byłam zaniepokojona i zaintrygowana. A więc nie powinnam wiedzieć o przyjeździe de Cervillona. Uświadomiwszy to sobie, tym bardziej zapragnęłam zostać i uczestniczyć w ich rozmowie.

- Jestem tu na oficjalną prośbę króla Federica - odrzekł szczerze kapitan. - Jego Królewska Mość jest ostatnio w ciągłym kontakcie z Jego Świątobliwością papieżem Aleksandrem, który chętnie podejmie pertraktacje na temat powrotu księcia Bisciglie do Rzymu. Oczywiście - dodał, żeby mnie nie urazić - wiązałoby się to również z pani powrotem.

- Rozumiem. - Z wysiłkiem powstrzymałam się od okazania niepokoju. Odwróciłam się i gestem ręki dałam dworcom znak, aby mnie zostawiły i wróciły do komnat. Potem popatrzyłam na brata i kapitana de Cervillona. - W takim razie muszę wziąć udział w tej rozmowie. Proszę, panowie. - Wskazałam im drzwi do sali. - Nie chciałabym narażać was na zbędną zwłokę.

Alfonso posłał mi spojrzenie, w którym gniew mieszał się z pobłażaniem; gniewał się, bo przekroczyłam wyznaczone granice, wdawszy się w rozmowę, która nie była przeznaczona dla moich uszu; pobłażliwość zaś wynikała ze świadomości, że wszelkie próby wykluczenia mnie z tego spotkania byłyby daremne. Westchnął, zawołał służbę i polecił przynieść wino i coś do jedzenia dla kapitana de Cervillona, po czym wprowadził nas do sali.

Obawiałam się, że papież zacznie się odnosić z większą sympatią do Neapolu, a choć dziwnie to zabrzmiało, nie chciałam, żeby zapraszał mnie i brata z powrotem do Rzymu; wiedziałam, że w domu Alfonso, choć przygnębiony, jest bezpieczny. Zmiana polityki Aleksandra nastąpiła po gniewnym liście króla Federica, dotyczącym ucieczki Sforzów i zajęcia Mediolanu przez Ludwika. Nasz król wysłał Aleksandrowi jednoznaczny komunikat: „Jeśli Wasza Świątobliwość nie będzie bronił Neapolu, znajdę sojusznika w Turkach”.

Była to wstrząsająca i poważna groźba, gdyż Turcy byli największymi i budzącymi największy lęk wrogami Rzymu. Prowokacja Federica odniosła spodziewany skutek: Aleksander pośpieszył z zapewnieniem, że Rzym był, jest i zawsze będzie najwierniejszym protektorem Neapolu. Alfonso i ja

siedzieliśmy, jak wymagał tego nasz status, de Cervillon wstał, wyprężył się na baczność i jak się niebawem okazało, złożył oficjalny raport.

- Wasze Książęce Mości, król Federico osiągnął wreszcie z Jego Świątobliwością porozumienie, które jest jego zdaniem dostateczne.

Z miny Alfonsa wywnioskowałam, że słyszał już o tych negocjacjach i był poinformowany o ich przebiegu, ale ja nie.

- Na czym polega porozumienie? - zapytałam. Jako kobiecie nie wypadało mi wtrącać się do rozmowy, lecz zarówno brat, jak i de Cervillon dobrze mnie znali i nie poczuli się urażeni.

- Jego Świątobliwość osobiście gwarantuje bezpieczeństwo księciu Bi-scighe... i twoje bezpieczeństwo, Wasza Wysokość... jeśli książę wróci do swej małżonki do Rzymu.

- No, ładnie! - zauważyłam z nieskrywanym sarkazmem. - Przecież wszyscy wiemy, że Aleksander zaprosił króla Ludwika do Świętego Piotra na pasterkę. Czyżbyśmy mieli mu towarzyszyć?

- Sancho - odparł ostro Alfonso. - Wiesz, że Jego Świątobliwość zmienił stanowisko po liście króla Federica. Przeprosił nas i obiecał wspierać Neapol.

- Chciałabym, abyśmy rozmawiali zupełnie otwarcie - powiedziałam - Z czyjej inicjatywy wszczęto negocjacje? Króla Federica, Jego Świątobliwości... czy Cezara Borgii?

De Cervillon popatrzył na mnie zdezorientowany.

- Lukrecji - odpowiedział Alfonso z nutką irytacji w głosie. - Przekonywała ojca, odkąd wyjechała do Spoleto; porozumiała się też z neapolitańskim ambasadorem. Nigdy nie porzuciła nadziei.

- Rozumiem. - Pochyliłam głowę. Nie chciałam wyjść na niewdzięcznicę; sama pragnęłam znów się spotkać z Lukrecją i z Jofrem. Ze względu na Cezara ani przez chwilę jednak nie mogłam uwierzyć, że w Rzymie ja i brat będziemy bezpieczni.

Alfonso okazał się zaskakująco podejrzliwy.

- Rozważę propozycję papieża tylko wówczas, gdy otrzymam ją na piśmie.

De Cervillon sięgnął do kaftana i wyciągnął zapieczętowany zwój pergaminu.

- Oto pismo, mości książę.

Alfonso złamał pieczęć i rozwinął kartę; gdy przeczytał list do końca, na jego twarzy odmalowało się zaskoczenie.

- To podpis Jego Świątobliwości.

- W rzeczy samej - potwierdził de Cervillon.

Uparłam się, by pozwolili mi osobiście przeczytać list, choć wiedziałam, że wszystkie obietnice, które zawiera, są bezwartościowe. Glejt gwarantował bezpieczeństwo mnie i Alfonsowi, gdybyśmy zgodzili się dołączyć do naszych małżonków w Rzymie. Dodatkowo Alfonso miał dostać „rekompensatę” za wszelkie niedogodności w postaci pięciu tysięcy złotych dukatów oraz włości, które należały przedtem do Kościoła i przylegały do posiadłości mojego brata i Lukrecji w Bisciglie.

Mnie, jako że byłam tylko żoną Jofrego, nie zaoferowano żadnego odszkodowania.

Ze wzrastającym lękiem oddałam dokument Alfonsowi. Miłosna tęsknota w jego oczach świadczyła o tym, że postanowił wrócić. Była to tylko kwestia czasu.

Brat zwinął pergamin.

- Jestem wdzięczny, że przekazałeś nam te wieści, kapitanie. Proszę, podziękuj w moim imieniu królowi za jego wysiłki; w tej chwili jednak potrzebuję czasu, aby zastanowić się nad ofertą Jego Świątobliwości.

- Oczywiście. - De Cervillon strzelił szarmancko obcasami i znów głęboko się uklonił, a wyprostowawszy się, powiedział: - Chciałbym zapewnić Wasze Wysokości o głębokim szacunku, jaki dla nich żywię. Wiedźcie, że chętnie poświęciłbym życie w waszej obronie. Nie przynosiłbym takiej propozycji, gdybym sam nie był przekonany ojej szczerości.

Z jego oczu przebijały stanowczość i dobroć, które przekonały mnie, że mówił z głębi serca. Był zbyt poczciwym, prawym człowiekiem, pomyślałam, aby musieć służyć komuś takiemu jak Borgia.

- Dziękuję, kapitanie - odparłam.

- Jesteś waszmość nadzwyczaj dobrym człowiekiem - dodał Alfonso - i zawsze niezwykle wysoko ceniliśmy cię, panie. - Wstał, dając do zrozumienia, że uważa spotkanie za skończone. - Powiadomię króla Federica i Jego Świątobliwość o swojej decyzji w ciągu najbliższych kilku dni. I obu wspomnę o twojej wzorowej postawie i służbie, kapitanie.

- Dziękuję. - De Cervillon znów się uklonił. - Niechaj Bóg będzie z wami.

- I z tobą, panie - zawtórowaliśmy.

Alfonso nie wytrzymał nawet kilku dni, o których wspomniał de Cervillonowi. Tego samego wieczoru ułożył trzy listy - jeden do króla Federica, jeden do Jego Świątobliwości i jeden do żony - w których oświadczał, że wróci do Lukrecji, gdy tylko papież da mu pozwolenie.

Następnego ranka znów wybrałam się na przejażdżkę - tym razem bez świty. Specjalnie wymknęłam się donnie Esmeraldzie, służącym i straży: miałam do załatwienia ważną sprawę i nie w smak mi było towarzystwo.

Oddalając się od portu i zapachu morskiej wody, pojechałam w głąb lądu, gdzie rozciągały się zielone pola i sady, a nad nimi górował potężny Wezuwiusz, którego ciemna sylwetka odcinała się od błękitnego nieba.

Dwa razy skręciłam nie tam, gdzie trzeba; krajobraz zmienił się przez lata. Ostatecznie intuicja doprowadziła mnie do walącej się chatki przyklejonej do górskiego zbocza. Tym razem nie było ryczącego osła, tylko cichy muł i jeszcze więcej kur spacerujących po podwórzu i włączących do otwartej chaty.

Stałam na progu i zawołałam:

- Strega! Strega!

Nikt nie odpowiedział. Weszłam do środka, schylając głowę, żeby nie nabić sobie guza o niski pułap. Słońce wlewało się przez nieosłonięte okiennicami okna. Próbowałam nie widzieć pajęczyn we wszystkich kątach i kur siedzących na grubo wyciosanym stole jak na grzędzie; ich odchody pokrywały dosłownie wszystko, włącznie z siennikiem w kącie.

- Strega! - zawołałam znowu, lecz zewsząd otaczała mnie cisza; zawiedziona uznałam, że prawdopodobnie umarła już lata temu.

Odwróciłam się, żeby wyjść, lecz zanim opuściłam izbę, coś nakazało mi spróbować jeszcze raz.

- Strega, proszę! Szlachcianka pilnie potrzebuje twych usług! Zapłacę sownie!

Coś poruszyło się w głębi groty. Wciągnęłam głęboko powietrze i poczekałam, aż pojawiła się wiedźma.

Stała w mrocznym wejściu do jaskini, nadal cała ubrana na czarno i z twarzą okrytą welonem. W promieniach słońca wdzierających się do izby zobaczyłam, że schudła. Włosy jej posiwiały, a choć jedno oko pozostało bursztynowe, drugie okryło się bielmem.

Niewiasta przyjrzała mi się zdrowym okiem.

- Nie potrzebuję twoich pieniędzy, madonna.

Trzymała w dłoni oliwną lampkę i bez słowa odwróciła się, ruszając w głąb groty. Poszłam za nią. Znowu minęłyśmy łożo z puchowym materacem - czyste i ozdobne - oraz ołtarzyk ku czci Matki Boskiej, ozdobiony różami.

Gestem ręki wskazała mi miejsce przy stole okrytym czarnym jedwabiem. Postawiła na blacie lampkę.

- Madonna Sancha - powiedziała. - Dawno temu przepowiedziałam ci twój los. Czy już się wypełnił?

- Nie wiem - odparłam. Byłam zaskoczona, że mnie rozpoznała, ale uznałam, że prawdopodobnie nigdy nie widziała księżniczki aż do dnia, gdy ją odwiedziłam. Na pewno tamto spotkanie wryło jej się w pamięć równie mocno, co mnie.

- I masz... obawy.

- Tak - przyznałam. Bałam się powrotu do Rzymu, bałam się losu, który mógł tam czekać mnie i brata.

- Nie będę czytać ci z ręki - oznajmiła. - Dowiedziałam się z niej wszystkiego już poprzednim razem.

W milczeniu wyjęła talię kart i rozłożyła ją w wachlarz na czarnym jedwabiu. Nie odezwała się ani słowem, po prostu spojrzała na mnie zdrowym okiem zza czarnego welonu; drugie, zbieleńskie oko zdawało się wpatrywać gdzieś w przyszłość.

- Wybierz, Sancho. Wybierz swój los.

Karty pobrudziły się przez lata. Westchnęłam głęboko, zatrzymałam powietrze w płucach i postukałam palcem w kartę najdalej ode mnie, jakbym w ten sposób mogła odsunąć od siebie to, co ma nadejść.

Wciąż patrząc mi w oczy, strega odwróciła kartę.

Serce, przebite jednym mieczem.

Wzdrygnęłam się, widząc długą klingę i zabójcze ostrze. Wiedźma się uśmiechnęła.

- A więc wypełniłaś już połowę przeznaczenia. Teraz pozostała ci tylko jedna broń.

- Nie - szepnęłam. Powróciło wyraziste wspomnienie: to, co czułam, ściskając w dłoni sztylet, gdy podrynałam gardło niedoszłemu zabójcy Ferran-dina. Przypomniało mi się drżenie rękojeści, gdy wąskie ostrze wbiło się w ciało i chrząstki, ciepło krwi, która obryzgała mi czoło i policzki. Jeśli tamten czyn był pierwszą połową przypisanego mi przez los zadania, to jak okropnego dzieła wymagała ode mnie przyszłość?

Pocieszająco wzięła mnie za rękę, jej uchwyt był silny i ciepły.

- Nie bój się - powiedziała. - Posiadasz wszystko, czego ci potrzeba do wykonania zadania. Ale jesteś rozdarta. Musisz znaleźć jasność umysłu i serca.

Wyrwałam się jej. Wstałam i rzuciłam na stół złotego dukata, w którego się wpatrzyła, jakby był jakąś osobliwą ciekawostką; nie ruszyła się nawet, aby go dotknąć. Wybiegłam z chaty w milczeniu, wsiadłam na koń i wzburzona pogalopowałam do domu.

Byłam tamtego dnia głupia, a może duszę przytłoczył mi strach, nadal jednak odrzucałam z oburzeniem prorocstwo wiedźmy, że nie jestem bezbronna w starciu z Borgiami. Wieczorem wcześniej poszłam do łóżka i całe godziny wpatrywałam się w ciemność, zdjeta zimnym strachem.

- Nie... - szepnęłam na tyle cicho, by śpiąca obok Esmeralda i inne dworki nie usłyszały. - Nie mogę, nie wolno mi dokonać morderstwa, bo stanę się taka jak Ferrante, taka jak ojciec... oszaleję. Musi istnieć inne wyjście.

Miałam też dodatkowy powód, aby wzbraniać się przed zbrodnią. Choć nie chciałam się do tego przyznać, moje serce wciąż należało do Cezara. Czułam do niego głęboką urazę, ale gdzieś w głębi duszy zależało mi na nim i nie umiałabym wyrządzić mu krzywdy. Jak matka, byłam przeklęta: nie mogłam przestać kochać najokrutniejszego człowieka na świecie.

Wreszcie zasnęłam, wmawiając sobie, że Cezar nie ma powodu skrzywdzić mnie albo Alfonsa i że papież dotrzyma obietnicy.

Jesień-zima 1499

W połowie września wróciłam do Rzymu, a Alfonso ruszył dalej na północ do Spoleto, gdzie czekała niedługo już spodziewająca się rozwiązania Lukrecja. Spędzili tam cały miesiąc, a ja nie mogłam ich za to winić; cieszyli się swobodą i bezpieczeństwem, jakiego brakowało im w Rzymie.

Gdy tylko odświeżyłam się po długiej podróży, do mojej komnaty przybył rozpromieniony Jofre.

- Sancho! Za każdym razem, gdy na ciebie patrzę, zdaję sobie sprawę, że zapominam, jaka jesteś piękna!

Uśmiechnęłam się, wdzięczna za ciepłe, pełne miłości powitanie w tak niezręcznych okolicznościach. Objęłam go.

- Tęskniłam za tobą, mężu.

- Ja też bardzo tęskniłem. Tyle mam ci do powiedzenia, ale zostawmy to do wieczery. Chodź, zaprowadzę cię do ojca i Cezara. Na pewno ucieszą się na twój widok.

Uśmiechnęłam się uprzejmie, nie podzieliwszy się z nim moimi wątpliwościami.

Poprowadził mnie dumnie pod rękę, niepomny na drażliwą sytuację, tak mocno związaną z moją osobą. Idąc z nim z Palazzo Santa Maria przez plac Świętego Piotra, uświadomiłam sobie, że tęskniłam za wspaniałością i przepychem Rzymu. Zmierzchało, słabnący blask słońca malował na białym marmurze papieskiego pałacu i bazyliki różowe refleksy; ogrody otaczające obie budowle wciąż pstrzyły się kwiatami. Nawet szerokie zakola Tybru, który migotał niby żywe srebro, miały swój urok.

Przycisnęłam się mocno do ramienia Jofrego, gdy wkroczyliśmy do papieskiego pałacu i obficie złoconych wnętrz, pełnych olśniewających malowideł.

Tym razem, gdy weszłam do sali tronowej i pochyliłam się, by pocałować atlasowy pantofel na powitanie, spotkałam się ze znacznie mniejszym entuzjazmem niż w chwili pierwszego przybycia do Rzymu. Cezar, stojący obok ojca i ubrany w mundur naczelnego dowódcy papieskich oddziałów, przyglądał mi się z jastrzębią przenikliwością oczu.

- Witaj, moja droga - powiedział Aleksander z wymuszonym uśmiechem. - Tuszę, że twoja podróż nie obfitowała w wydarzenia. Wybacz, jeśli nie będziemy dziś mogli zjeść z tobą wieczerzy; mamy z Cezarem do omówienia mnóstwo spraw natury wojskowej. Jofre może się z tobą podzielić sprawami rodzinnymi.

Odprawił mnie lekkim machnięciem palców. Kiedy się odwróciłam, Cezar wystąpił do przodu i złożył oficjalny pocałunek na moim policzku. Gdy to czynił, szepnął mi do ucha:

- Dowiesz się od niego, że popełniłaś poważny błąd, odrzucając moje oświadczenia, madonna. Czas pokaże, jak bardzo okazałaś się niemądra.

Nie odpowiedziałam na tę jego zaczepkę, po prostu uśmiechnęłam się z chłodną uprzejmością.

Podczas kolacji, którą jadłam z Jofrem w jego komnatach, mąż wręcz zasypywał mnie świeżymi wieściami i opowiadał z takim entuzjazmem i tak długo, że ledwie tknął jedzenie.

- Ojciec i Cezar szykują wielki plan - oświadczył dumnie. - To oczywiście tajemnica. Cezar wkroczy z naszym wojskiem do Romanii. To dobry manewr nie tylko dla papieżstwa, ale także dla rodu Borgiów... - Pochylił się przez stół i zaczął szeptać niczym spiskowiec: - Z całej Romanii utworzy się księstwo dla Cezara. Ojciec wydał bullę do wszystkich lenników, którzy nie płacą regularnie, czyli prawie wszystkich. Albo oddadzą ziemię Kościołowi, albo papieska armia wydrze im ją siłą.

Odstawiłam puchar, nagle straciwszy apetyt. Wspomnienie przeniosło mnie z powrotem do chwili, gdy leżałam naga w łóżu Cezara i przyglądałam się, jak zamaszystymi ruchami kreśli wyimaginowaną mapę, a potem wskazuje wielki obszar leżący na północny wschód od Rzymu.

- Imolę - powiedziałam nagle. - Faenzę, Forli, Cesenę. Jofre spojrział na mnie zdziwiony.

- Tak - potwierdził. - Pesaro, zwłaszcza że władający miastem Giovanni Sforza rzucał tak paskudne oskarżenia przeciw Lukrecji i ojcu.

- Bez wątplenia wszystkie padną łupem Cezara i jego wojsk - zauważyłam. Zmrużyłam chytrze oczy. - Zwłaszcza teraz, gdy król Ludwik wesprze go swoją armią.

Mój mąż przelknął wino tak nagle, że się zakrztusił i zaczął kaszleć. Obserwowałam go w milczeniu. Nauczyłam się polegać na informacjach zdobywanych przez donnę Esmeraldę i jej rozległą sieć kontaktów i niedawno poznałam bardzo nieprzyjemną prawdę: od ślubu z Charlotte d'Albret Cezar zamierzał udzielić swych wojskowych usług w Mediolanie w zamian za francuską pomoc w osiągnięciu wymarzonego podboju Italii. Rozmawiając niegdyś ze mną, powiedział, że potrzebuje armii dość silnej, by mogła pokonać Francję; w końcu zapewne zdał sobie sprawę, że nigdy nie uda mu się stanąć na czele takiej armii, i zwrócił się o pomoc do samego wroga.

- To zwykła wymiana - wykrztusił wreszcie Jofre, ocierając oczy rękawem. - Cezar pomógł im w Mediolanie, a teraz oni pomogą mu w Romani. Ale oświadczyli całkiem jasno, że nie mają wrogich zamiarów wobec Neapolu. Zresztą, nawet gdyby było inaczej, Cezar nigdy by im na to nie pozwolił.

- Oczywiście - odparłam, nawet nie próbując udawać, że mu uwierzyłam.

To ostudziło entuzjazm Jofrego; dalej jedliśmy kolację w spokoju, lecz pilnowaliśmy, żeby nie rozmawiać o polityce.

Kiedy w połowie października Alfonso i Lukrecja przybyli z powrotem do Rzymu, bulla została już ogłoszona - Cezar wkroczył do Romanii z armią, w której służyło teraz dodatkowo prawie sześć tysięcy żołnierzy króla Ludwika.

Wszyscy w domu - Lukrecja i Alfonso, Jofre i ja - musieliśmy co wieczór wysłuchiwać przy wieczerzy o najnowszych działaniach Cezara. W przeciwieństwie do swego poprzednika, Juana, Cezar miał wybitne zdolności strategiczne i okazał się wspaniałym dowódcą; Aleksander nie mógł się wprost nachwalić najstarszego syna. Kiedy wieści z frontu były dobre, ledwo potrafił zapanować nad radością, gdy zaś były złe, nie umiał zapanować nad złością.

Na początku wiadomości tchnęły optymizmem. Pierwsza została pokonana Francuzka, Caterina Sforza, regentka Imoli i Forli, a zarazem siostrzenica zmuszonego do ucieczki Ludovica. Imola poddała się bez walki, gdy mieszkańcy zobaczyli rozmiary papieskiej armii. Forli, gdzie Caterina broniła się w murach warowni, wytrzymała trzy tygodnie. W końcu żołnierze Cezara wtargnęli do twierdzy, a Caterina nie zdążyła popełnić samobójstwa i została wzięta do niewoli.

Jego Świątobliwość opuścił część opowieści o schwyтaniu Cateriny, lecz ja poznałam ją z ust donny Esmeraldy.

- Hrabina Forli to odważna kobieta, mimo że francuskiej krwi - oświadczyła mi tego samego wieczoru Esmeralda, kiedy zostałyśmy same w sypialni. - Znacznie odważniejsza od łotra, który ją schwytał. - Na myśl o Cezarze zacisnęła na moment wargi, a potem podjęła: - Najodważniejsza w całej Romanii. Kiedy jej mąż został zamordowany przez buntowników, wsiadła na koń i osobiście poprowadziła żołnierzy do ataku, a potem kazała wyrżnąć zabójców w pień. I jest piękna, ma złociste włosy, a ręce ponoć tak miękkie jak sobolowe futro. Była nieustraszona, gdy nadeszli Francuzi i Cezar, stała na murach Forli i nie zważając na dym i płomienie, osobiście dowodziła obroną. Próbowwała odebrać sobie życie, zanim ją schwytali, lecz ludzie Cezara okazali się zbyt szybcy. Zażądała, żeby oddali ją w ręce króla Ludwika... a francuscy żołnierze tak ją podziwiali, że chcieli puścić ją wolno. Ale Cezar... - Skrzywiła się z obrzydzeniem i posłała mi karcące spojrzenie. -Czyż nie ostrzegałam cię, madonna, że to nikkzemnik? Jest opętany przez diabła.

- Rzeczywiście - odparłam cicho. - Miałaś rację, Esmeraldo. Nie ma dnia, bym nie żałowała, że cię wtedy nie posłuchałam.

Udobruchana, podjęła opowieść.

- Zapragnął jej dla siebie, brudny wieprz. Teraz Caterina jeździ z nim wszędzie, madonna. We dnie trzyma ją pod strażą, a wieczorami każe przyprowadzać do swojego namiotu. Traktuje ją jak pospolitą dziewczkę, zmusza do najbardziej wyuzdanych bezceństw, nastając na nią, kiedy tylko ma ochotę. A to niewiasta szlchetnego rodu... Mówią, że nawet król Ludwik jest wzburzony i osobiście skarcił Cezara za tak haniebne traktowanie branki.

Odwróciłam twarz, próbując ukryć przed Esmeraldą gniew i ból. Cezar okazał się człowiekiem równie brutalnym co brat, którego zamordował. Zamknęłam oczy i przypomniałam sobie straszliwy moment bezradnej złości, gdy Juan wdarł się we mnie, i nagle zachciało mi się zapłakać nad Cateriną. Do Cezara czułam niewymowną pogardę, a jednocześnie gniewałam się na siebie, że ukłuła mnie także zazdrość.

- Pesaro jest następne - mówiła Esmeralda. - A dla jego mieszkańców nie ma nadziei, bo ten tchórz Giovanni Sforza opuścił ich dawno temu. Cezar bez trudu weźmie miasto. - Potrząsnęła głową. - Nie ma nic, co mogłoby go powstrzymać, donna. Razem z Francuzami przemaszeruje przez całą Italię, nic nie zostanie. Obawiam się o honor wszystkich kobiet w Romanii.

Był jednak jeden powód do szczęścia w naszym gronie: Lukrecja miała urodzić lada dzień i zarówno ona, jak i dziecko - które kopało energicznie w brzuchu - cieszyli się doskonałym zdrowiem. Alfonso i ja chwytałyśmy

się tego jedyne go źródła radości i nadziei, gdyż wnuk, w którego żyłach płynęłyby krew zarówno Borgiów, jak i Aragonów, mógł nastawić Aleksandra przychylniej wobec Neapolu.

Czas rozwiązania nadszedł ostatniej nocy października. Przygotowywałam się właśnie do snu. Służki zdążyły zdjąć ze mnie suknię i strój głowy i czesały mi włosy, gdy za drzwiami przedpokoju rozległ się głos donny Marii, przełożonej służących Lukrecji.

- Donna Sancha! Moja pani rodzi i prosi Waszą Wysokość o przyjście! Esmeraldą wyjęła dla mnie sukienkę, ubrałam się i wybiegłam za donną Marią.

W sypialni księżnej Bisciglie pustą kołyskę już wymoszczono poduszką na przyjęcie szlchetnego potomka.

W kącie komnaty ustawiono stary, bogato rzeźbiony fotel porodowy, którego używała jeszcze matka Rodriga Borgii. Na nim siedziała Lukrecja z wypiekami na policzkach i czołem lśniącym od potu. W kominku huczał ogień, ale miała na sobie grubą suknię, żeby uchronić się przed chłodem; spódnice zadarto do bioder, nad otworem w fotelu, tak że jej kobiecość była odsłonięta dla oczu akuszerki. Przy nagich nogach leżało futro, aby mogła się okryć ze względu na wygodę albo wstydlivość.

Obok niej klęczała ta sama akuszerka, która zajmowała się nią rok wcześniej, podczas poronienia. Widząc, że stara kobieta się uśmiecha, poczułam ogromną ulgę.

W oczach Lukrecji wyczytałam panikę i strach, których doświadczają wszystkie młode matki podczas porodu; ale była w nich też radość - gdyż tym razem wiedziała, że cierpienia zostaną uwieńczone szczęśliwym zakończeniem.

- Sancho! - stęknęła. - Sancho, wkrótce będziesz ciotką!

- Lukrecjo - odparłam wesoło - wkrótce będziesz matką.

- Chodź! - zawołała. Puściła poręczę fotela i wyciągnęła ku mnie ramiona. Znów wzięłam ją za ręce. Tym razem nie było w nas poczucia winy ani żalu, tylko szepty oczekiwania na cud nowego życia.

Poród trwał do późna w nocy. Skurcze były intensywne, lecz nie obezwładniająco gwałtowane; akuszerka doniosła, że dziecko jest dobrze ułożone i lekko przyjdzie na świat, gdyż Lukrecja ma już za sobą jeden udany poród.

Zanim słońce wzeszło nad dniem pierwszego listopada, Lukrecja wydała głośny okrzyk i zapała się ze wszystkich sił - jedyne dziecko mojego brata wpadło z wrzaskiem w mocne i pewne ręce uśmiechniętej akuszerki.

- Lukrecjo! - zawołałam, gdy zaczerpnęła tchu i jęła znowu przeciw, żeby wydalić Tożysko. - Dziecko już tu jest! Już jest!

Odchyliła głowę do tyłu na oparciu fotela; westchnęła głęboko, a potem się uśmiechnęła. Donna Maria posłała po mamkę.

- Chłopczyk - oświadczyła dumnie akuszerka, jakby miała na to jakiś wpływ. - Masz syna, madonna.

Lukrecja i ja popatrzyłyśmy na siebie i roześmiałyśmy się głośno z radości.

- Alfonso będzie taki dumny - powiedziałam. Sama byłam tak dumna i przepełniona uwielbieniem dla malucha, jakbym to ja wydała go na świat, bo dawno zdałam sobie sprawę, że nigdy nie będę mieć własnych dzieci.

Chłopczyk został umyty i akuszerka zawinęła go w miękki wełniany kocyk. Uniosła go, przygotowana do zaprezentowania dziecka matce, ale ja zazdrośnie pochwyliłam je i zaczęłam kołysać w ramionach.

Rysy buzi wciąż były spłaszczone po porodzie, powieki mocno zaciśnięte; na czubku główki sterczał wilgotny loczek złotych włosków. Z pewnością w tym momencie życia nie przypominał jeszcze nikogo, ale patrząc na jego piąstki, roześmiałam się cichutko, gdy ziewnął, i zobaczyłam Alfonsa. Już miałam przeświadczenie, że serduszko bijące w jego piersi będzie równie dobre i przyjazne.

Wezbrała we mnie fala miłości tak intensywnej, że sama się tego nie spodziewałam - gdyż w owej chwili zrozumiałam, że kocham to dziecko bardziej niż własne życie, nawet bardziej niż brata. Dla niego z radością zrobiłabym wszystko.

Alfonso, pomyślałam czule, mały Alfonso. Obowiązywał obyczaj, że synowie otrzymywali imię ojców, ostrożnie więc przekazałam dziecko w objęcia Lukrecji i czekałam na oświadczenie, które napełniłoby mnie jeszcze większą dumą i radością.

Lukrecja spojrzała na nowo narodzonego synka z anielską miłością i uwielbieniem; nie wątpiłam, że będzie najczulszą matką na świecie. Z bezbrzeżnym zadowoleniem podniosła wzrok i popatrzyła po wszystkich dokoła, aż wreszcie oświadczyła:

- Ma na imię Rodrigo na cześć dziadka.

I natychmiast skierowała uwagę z powrotem na dziecko.

Dobrze, że nie zobaczyła gniewu malującego się na mojej twarzy: równie dobrze mogła mnie spoliczkować. Tak oto dowiedziałam się, że matka mojego ukochanego bratanka uważa go bardziej za Borgię niż za potomka Aragonów.

Brat nie posiadał się z radości i przyjął wiadomość o imieniu dziecka ze znacznie większym spokojem niż ja - powiedział mi na osobności - nieczęsto zdarza się, by dziecko miało dziadka papieża.

Zdawało się, że narodziny chłopca sprawiły, iż Alfonso i ja odzyskaliśmy poprzedni status: przyjście na świat małego Rodriga uczczono w sposób iście książęcy. Aleksander z miejsca pokochał dziecko i opisywał je wszystkim gościom z entuzjazmem i dumą, jakie wcześniej rezerwował dla podbojów Cezara; często odwiedzał i kołysał niemowlę w ramionach jak doświadczony ojciec. Nie ulegało wątpliwości, że jego czułość jest prawdziwa, i naraz on, Alfonso i ja zaczęliśmy prowadzić długie radosne rozmowy na temat małego Rodriga. Znow zaczęłam czuć się w Rzymie bezpiecznie.

Zaledwie dziesięć dni po narodzinach dziecka urządzono chrzciny, które odbyły się z wielką pompą i celebrą: Lukrecja pozostała w Palazzo Santa Maria i leżąc w łożu z ozdobami z czerwonego atlasu i złota, przyjmowała dziesiątki znamienitych i dostojnych gości, którzy składali jej gratulacje.

Potem mały Rodrigo - zawinięty w złocisty brokat obszyty gronostajem - został zaniesiony w silnych ramionach oddanego kapitana Juana de Cervil-lona do Kaplicy Sykstyńskiej. Uzmysłowiłam sobie, jak głęboki żal cierpiał mój brat w Neapolu: bez wątpienia bał się, że nigdy nie uda mu się ujrzeć na oczy własnego dziecka.

Teraz dzięki de Cervillonowi oboje mogliśmy stać się świadkami chrztu, pięknej i solennej ceremonii. W orszaku za kapitanem szli gubernator Rzymu, wysłannik cesarski oraz ambasadorowie Hiszpanii i Neapolu; Aleksander nie mógł dobitniej okazać poparcia dla domu aragońskiego.

Sam mały Rodrigo sprawował się doskonale, śpiąc w czasie całej ceremonii. Wszystkie znaki były dobre: Alfonso i ja cieszyliśmy się i odczuliśmy głęboką ulgę.

Nasza ulga trwała do dnia, gdy Cezar Borgia zostawił armię pod murami Pesaro i postanowił wrócić incognito do Rzymu z ulubionym sługą don Moralesem jako jedynym towarzyszem.

Nie widziałam ani jego, ani papieża przez dwa dni, od kiedy przybył; obaj zaszyli się na ten czas w prywatnej komnacie Watykanu, dyskutując o wojennej strategii i polityce. Nikomu nie ufano - nawet służących, którzy pracowali dla papieża od lat, odprawiano za drzwi, żeby niczego nie podsłuchali.

Lukrecja nic nie mówiła, wiedziałam jednak, iż to, że Cezar nie złożył jej choćby kurtuazyjnej wizyty ani w żaden sposób nie uznał narodzin dziecka, mocno ją zabolalo. Mimo że obaj tak okrutnie ją traktowali, zdawało się, że wciąż kocha brata i ojca i pragnie im się przypodobać. Chyba to rozumiałam; w końcu bez względu na to, jak gardziłam ojcem, zawsze potajemnie łaknęłam jego miłości.

Od urodzin małego Rodriga Aleksander codziennie widywał dziecko i zapraszał nas na rodzinne kolacje, gdzie wnuk był głównym tematem rozmów. Teraz zaczął nas unikać.

Dopiero na trzeci dzień od przyjazdu Cezara wreszcie się pojawił.

Lukrecja była troskliwą matką. Zamiast odesłać niemowlę pod opiekę mamki, jak postępowala większość szlachetnie urodzonych matek, nalegała na pozostawienie kołyski w jej sypialni, gdzie ulokowano również mamkę. Może obawiała się, że dziecku stanie się jakaś krzywda, jeśli na zbyt długo straci je z oczu - ale przynajmniej częściowo tłumaczyło się to po prostu matczyną czułością. Synek było dla niej jak Alfonso: stworzeniem, które nie pragnęło niczego bardziej od jej miłości, w przeciwieństwie do innych mężczyzn w jej życiu.

Całe dni - i czasami noce - spędzałam w sypialni Lukrecji, nosząc w ramionach małego Rodriga i pomagając w opiece nad nim, mimo że należało to właściwie do obowiązków służby.

Po południu, gdy pojawił się Cezar, byliśmy, jak to się zdarza przy opiece nad małym dzieckiem, wyczerpane i odpoczywałyśmy. Lukrecja drzemała na łóżku, oparta na poduszkach; ja siedziałam w fotelu obok z opuszczoną na piersi głową i też spałam. Mamka chrapała na podłodze, a mały Rodrigo leżał cicho w kołysce.

Zbudził mnie cichy odgłos ostrożnych kroków - nawet na wpół uśpiona rozpoznałam Cezara. Nie podniosłam głowy i wciąż oddychałam równomiernie, patrząc na niego przez rzęsy.

Nadal chodził ubrany na czarno - już nie w sutannę, lecz w dobrze skrojony aksamitny kaftan, który podkreślał jego muskularną sylwetkę. W czasie spędzonym na polu bitwy wyszczuplał i opalił się; brodę miał gęstsza i dłuższą, włosy opadały mu aż na ramiona.

Sądząc, że nikt go nie zauważył, wkradł się niczym kot do komnaty i na chwilę przestał udawać, przybierając szczery, naturalny wyraz twarzy. Poraził mnie chłód w jego oczach.

Po cichu podszedł do kołyski, gdzie spało niemowlę. Teraz, pomyślałam, twarz mu złagodnieje; nawet żołnierz, nawet morderca nie może spojrzeć na to dziecko i się nie wzruszyć.

Przekrzywił głowę i popatrzył na malca.

Kiedy pierwszy raz spotkałam Lukrecję, myślałam, że nigdy więcej nie zobaczę spojrzenia bardziej przepełnionego zazdrością i nienawiścią; myliłam się.

Wzrok Cezara był po prostu morderczy. Opierając dłonie o kolana, pochylił się nad kołyską. Okrutny wyraz wykrzywił mu wargi.

Ogarnął mnie strach. Nie miałam wątpliwości, że udusi dziecko, chwytając je za gardło, albo zaciśnie rękę na malutkim nosku i ustach. Skoczyłam na równe nogi, z ręką na ukrytym sztylcie, gotowa go dobyć i krzyknęłam:

- Cezarze!

Miał stalowe nerwy, był tak gładki i opanowany, że nawet nie drgnął; jego twarz natychmiast przybrała teraz wyraz tkliwości i dobroci. Uśmiechnął się do dzieciątka, a potem powoli, spokojnie uniósł ku mnie twarz i się wyprostował.

- Sancho! Jakże miło cię widzieć! Właśnie podziwiałem nowego siostrzeńca. Zdumiewające, jak bardzo przypomina Lukrecję, kiedy była dzieckiem.

- Cezar? - Lukrecja poruszyła się sennie. Na widok brata od razu się ożywiła. - Cezarze! - zawołała z radosnym entuzjazmem. W jej głosie i wyrazie twarzy nie było żadnej oznaki pretensji czy bólu.

Cezar podszedł do siostry, gestem ręki powstrzymując ją od wstawania.

- Leż, leż - powiedział. - Zasłużyłaś na to.

Uściskali się uśmiechnięci, a potem Cezar odsunął się od niej i odwrócił, żeby pocałować moją dłoń.

Dotyk jego warg na mojej skórze sprawił, że zadrzałam i ciarki przeszły mi po plecach. Sprawiał wrażenie troskliwego i kochającego brata: nie pozostał żaden ślad po potworze, który pochylał się nad kołyską.

- Masz pięknego syna, Lukrecjo - powiedział, a ona rozpromieniła się z dumy. - Właśnie mówiłem Sanchy, że wygląda zupełnie jak ty, kiedy byłaś dzieckiem, nie tak znowu dawno temu.

- Już wtedy opiekowałaś się mną czule - stwierdziła radośnie. - Zostaniesz z nami na dłużej, prawda?

- Niestety nie - odparł Cezar. - Miałem tylko tyle czasu, by przedyskutować z ojcem pilne sprawy. Muszę wracać na pole walki. Pesaro czeka.

Zarumieniła się lekko na wspomnienie miasta byłego męża.

- Musisz zostać! - powiedziała. - Musisz spędzić trochę czasu z dzieckiem!

Cezar westchnął, udając, że się waha.

- Serce mi się kraje - odrzekł. - Ale przyszedłem tylko przywitać się i pożegnać. Bezwzględnie wracam do swoich ludzi. Oczywiście - dodał z troską - nie mógłbym wyjechać, nie zobaczywszy ciebie i małego Rodriga. - Zerknął na mnie i dorzucił, jakby po namyśle: -1 oczywiście Sanchy.

- No, cóż - powiedziała ze smutkiem Lukrecja. - W takim razie pocałuj mnie i dziecko, zanim odjedziesz. Będę się modlić o twoje bezpieczeństwo i zwycięstwo.

- Cieszę się - odparł. Będę tego potrzebował. Bóg z tobą, siostrzyczko.

Znowu przytulił ją i pocałował solennie w oba policzki, a ona odwzajemniła mu się tym samym.

Cezar odwrócił się do mnie, niepewny; nie podałam mu ręki, tylko kiwnęłam głową.

- Ja też będę się modliła - powiedziałam, choć nie dodałam, o co.

- Dziękuję - odrzekł, a potem ruszył w kierunku kołyski. Pospieszyłam, aby dotrzeć do niej pierwsza. Wzięłam małego Rodriga w ramiona, gdy stryj pochylił się i pocałował go.

Ostatecznie to moje modlitwy, a nie Lukrecji, zostały wysłuchane.

Cezar odjechał na północ i wrócił bezpiecznie do swego obozu; zanim jednak zdążył dotrzeć do bram Pesaro, król Ludwik przyzwał do siebie użyczone papieskiemu generałowi wojska. Książę Ludovico zebrał dość ludzi, by spróbować odbić Mediolan (fakt, który bez wątpienia dał pięknej brance Cezara, Caterinie Sforzy, powód do zadowolenia).

Pozbawiony żołnierzy, po cichu przeklinając Francuzów, Cezar zmuszony był odstąpić od Pesaro.

Przy wieczerzy czerwony ze złości Aleksander opowiedział nam, co się stało, i gniewnie wyrzekął na niestałość francuskiego króla. Z trudem stłumiłam uśmiech zadowolenia.

Późna zima 1499

Z pola bitwy nadeszły wieści, że Cezar mimo oporów wynegocjował w Pesaro rozejm z Giovannim Sforzą i wraca do domu na czele papieskich wojsk i w towarzystwie uroczej branki Cateriny Sforzy, która ma zamieszkać za murami zamku Sant'Angelo. Bałam się jego przybycia.

Donna Esmeralda nieustannie przynosiła świeże, niepokojące plotki. W okolicach Rzymu modne stało się nowe wyrażenie: „terror Borgiów”. Terminem tym określano stan ducha pechowców, którzy służyli Borgiom i znali ich sekrety, gdyż cena za to stawała się coraz bardziej oczywista.

Powszechnie uważano - fakt ten był skrupulatnie ignorowany przez rodzinę - że Cezar zamordował Juana z przemożnej żądzы завładnięcia Italią. Uznawano za przeznaczenie, a nie przypadek, że ochrzczono go na cześć rzymskich cesarzy.

Nikt nie był zaskoczony, gdy pewnego hiszpańskiego konetabla - człowieka, który cieszył się niegdyś zaufaniem i szacunkiem Cezara, lecz później wypadł z łask swego pana - wyłowiono martwego z Tybru. Ze związanymi za plecami rękoma wrzucono go do worka.

Nigdy nie rozmawiałam o tym z Lukrecją ani Jofrem, zaś Jego Świątobliwość też nie wspominał o takich sprawach podczas audiencji czy coraz rzadszych rodzinnych kolacji nawet po to, by zaprzeczyć ohydny oskarżeniu przeciwko ulubionemu synowi. Zachowywał się tak, jakby nieszczęsnemu konetablowi nic się nie stało, jakby ów człowiek nigdy nie istniał.

Esmeralda mówiła o innych wypadkach śmiertelnych: dwa z nich wydarzyły się w dziwnych okolicznościach w obozowisku Cezara.

Pierwszym był tajemniczy zgon biskupa Ferdinanda d'Almaidy. D'Almaida, ponoć człowiek równie niegodziwy i ambitny co Borgiowie, niezmordowanie

podążał krok w krok za Cezarem, odkąd ten ożenił się z Charlotte d'Albret aż na pole bitwy w Romanii. Wielu podejrzewało, że jest szpiegiem króla Ludwika.

Pewnego dnia Cezar oświadczył swoim ludziom, że d'Almaidzie zadano śmiertelny cios „podczas bitwy” - nikomu jednak nie pozwolono zobaczyć ciała, które pośpiesznie pogrzebano. Służący, którzy myli zwłoki, donieśli, że biskup wcale nie był ranny; przyczyną śmierci była „gorączka Borgiów” - stan spowodowany szarobłękitnym proszkiem.

Canterella: to drugie słowo, które stało się modne, i przekazywano je sobie szeptem w całym Rzymie.

Jakiś czas później pojawiła się następna ofiara, kardynał Giovanni Borgia, zwany Młodszym. Był on kuzynem Borgiów, z innej gałęzi rodziny kardynała Giovanniego Borgii Starszego z Monreale, który był świadkiem mojej nocy poślubnej.

Cóż takiego wiedział nieszczęsny młody Giovanni, że naraził się na śmierć me umiem powiedzieć. Wiem tylko tyle, że młodzian miał spore długi i bliskie związki z potężniejszym krewniakiem. Wyjechał z Rzymu, aby spotkać się z Cezarem w Romanii - rzekomo po to, by pogratulować mu zdobycia Imoli i Forli.

Zanim jednak zdążył dotrzeć do obozowiska Cezara, opadła go nagła niemoc - bez wątpienia „gorączka Borgiów”: do objawów canterelli należały wysoka gorączka i krwotoki. Kardynał zmarł wkrótce potem.

Jego ciało wysłano do Rzymu, gdzie naprędce pochowano je w katedrze Santa Mana del Popolo. Grób był nieoznaczony.

Pewnego wieczoru przy kolacji Jofre zauważył, że śmierć kardynała to wielka strata.

Jego Świątobliwość uderzył widelcem o stół z taką siłą, że wszyscy podskoczyliśmy. Podniosłam wzrok znad talerza i zobaczyłam jego poczerwieniałą z gniewu twarz.

- Nie wspominaj tego imienia w mojej obecności nigdy więcej - ofuknął syna tak brutalnie, że na jakiś czas zamilkliśmy.

- Czy mówiłam już, co mały Rodrigo robił dzisiaj podczas obiadu? - zapytała radośnie Lukrecja, przełamując niezręczną ciszę.

To udobruchało Jego Świątobliwość; odwrócił się do córki i uśmiechnął się wyczekująco.

- Jest taki silny, ciągle wierzga nóżkami i macha rączkami... wiem, że jest na to o wiele za mały, ale dzisiaj tak mocno ciągnął mnie za rękę, że myślałam, iż sam usiądzie.

Aleksander natychmiast się roztkliwił.

- Też byłaś silnym dzieckiem - powiedział z rodzicielską dumą. - Ty i Cezar. Oboje zaczęliście siadać i chodzić bardzo wcześnie; sadzałem cię w siodle, kiedy miałaś zaledwie dwa latka.

Lukrecja odwzajemniła uśmiech, czując wyraźną ulgę, że minął mu zły humor.

Pod koniec kolacji podeszła do ojca i powiedziała półgłosem:

- Musisz wybaczyć Jofremu. Jestem pewna, że nie chciał cię trapić smutnymi myślami.

Twarz papieża znów przybrała chmurny wyraz; zmrużył gniewnie oczy.

- Rozmowa o śmierci przy jedzeniu - rzekł krótko - źle wpływa na trawienie.

Niedługo po chrzcie Rodriga Alfonso i ja otrzymaliśmy oficjalną prośbę o audiencję od kapitana Juana de Cervillona. Z radością na to przystaliśmy, gdyż był dla nas taki miły i oddał nam tak wielkie usługi.

Przyjeliśmy go w jednej z komnat Alfonsa w jasny, słoneczny zimowy poranek i niejako siłą rzeczy przypomniało mi się nasze spotkanie minionego lata w Neapolu. Miałam nadzieję, że wieści, które chciał nam przekazać, są równie dobre, gdyż wiedziałam, że póki de Cervillon będzie naszym przyjacielem, póty będzie nieustannie zabiegał o zachowanie jak najlepszych stosunków między Neapolem a papieżem.

Pojawił się przed nami znów elegancko ubrany, z szablą przy boku, z ciemnymi włosami przyprószonymi lekko siwizną i skłonił się nisko.

Uśmiechnęłam się i podałam mu rękę do pocałowania.

- Kapitanie, jest pan radosny dziś rano. Mam nadzieję, że przynosi waść szczęśliwe nowiny.

- Zarówno szczęśliwe, jak i smutne - odrzekł, lecz nie potrafił do końca ukryć radości mimo oficjalnego tonu.

- Mów, przyjacielu - powiedział Alfonso zaintrygowany.

- Wasze Książęce Mości, pragnę pożegnać się z wami oficjalnie, zanim wyjadę do Neapolu.

- Ach! - odparł Alfonso. - Więc na święta wybiera się pan w odwiedziny do rodziny?

- To nie odwiedziny - powiedział de Cervillon. - Jego Świątobliwość zwolnił mnie ze służby, abym mógł powrócić w rodzinne strony.

Poczułam jednocześnie szczerzy żal z odjazdu dobrego kapitana i samolubny strach. Gdy zabraknie Cervillona, kto stanie po naszej stronie? Twarz mojego brata wyrażała tylko smutek ze straty przyjaciela.

- Drogi kapitanie - rzekł. - Żal mi ze względu na nas, gdyż będziemy za tobą tęsknić; cieszę się wszakże ze względu na ciebie. Zbyt wiele lat spędziłeś waść z dala od żony i dzieci w służbie Jego Świątobliwości.

De Cervillon przytaknął kiwnięciem głowy.

- Zwróciłem się do króla Federica z prośbą o przyjęcie mnie na służbę.

- Neapol ma więc szczęśliwego króla - odezwał się wreszcie. - A papież stracił jednego ze swych najlepszych ludzi. - Mimo wysiłków nie mogłam ukryć zawodu. De Cervillon zauważył to i powiedział:

- Wasza Wysokość, przykro mi, że tak ją zasmucam.

- Jestem smutna i szczęśliwa, tak jak waść mówiłeś - odparłam, uśmiechając się blado. - Będę za tobą tęskniła, lecz to niedobrze, gdy człowiek przebywa z dala od rodziny. Poza tym jestem pewna, że jeszcze się spotkamy. Pan będzie przyjeżdżał do Rzymu, a ja pewnego dnia odwiedzę Neapol.

- To prawda - przyznał de Cervillon.

Alfonso wstał i tak jak podczas spotkania w Neapolu powiedział:

- Niechaj Bóg będzie z tobą, kapitanie.

- I z wami, Wasze Książęce Mości - odparł de Cervillon. Ukłonił się raz jeszcze i wyszedł. Przez kilka chwil w milczeniu wpatrywaliśmy się w drzwi, za którymi zniknął.

- Już nigdy więcej go nie zobaczymy - powiedział w końcu brat, wyrażając to, co sama przeczuwałam.

Słowa mojego brata okazały się prorocze, lecz nie tak, jak to sobie wyobrażałam. Oto jak opowiedziała mi tę historię Esmeralda.

Tego samego wieczoru, przed zaplanowanym na rano wyjazdem, kapitan udał się na przyjęcie organizowane przez jego kuzyna. Gdy wracał pieszo do domu, rozgrzany winem i myślami o domu, został napadnięty.

Nawet jeśli byli jacyś świadkowie, żaden się nie zgłosił: zakrwawione ciało kapitana, dźgnięte kilkakrotnie szpadą, znaleziono na ulicy. Atak musiał nastąpić błyskawicznie i jestem przekonana, że de Cervillon znał napastnika lub wręcz uważał go za przyjaciela - kapitan nie dobył szabli, którą miał przy boku.

Jak w przypadku innych ofiar Borgiów kościelni dostojnicy natychmiast przejęli ciało. I tym razem nie zezwolono na usankcjonowane zwyczajem obejrzenie zwłok - de Cervillona pochowano w godzinę po tym, jak znaleziono go martwego.

Przez cały dzień nie jadłam ani nie piłam na znak żałoby. Żałowałam nie tylko jego, ale nas wszystkich.

Zima - początek lata 1500

W wigilie 1500 roku urządzono wielką ucztą w *Sala dei Santi*, Sali Świętych; zaproszono rodziną oraz wielu wpływowych kardynałów i arystokratów. Wniesiono olbrzymi stół, aby pomieścić gości i podano nieprzebrane ilości smakołyków; wino lało się strumieniami. Przywykłam już do przepychu papieskiego pałacu, lecz tamtego wieczoru znów zdawał się imponujący, magiczny. Kominek i stół udekorowano girlandami gałązek świerków i pomarańczy, które wydzielały słodki zapach; ściany i nadproża obwieszono złocistym brokatem. Ogień w wielkim kominku i płomienie setek świec napełniały komnatą ciepłym światłem, sprawiając, że nasze złote puchary, złożone sklepienia i marmurowe posadzki mieniły się blaskiem. Skrzyły się nawet blond włosy świętej Katarzyny.

Jego Świątobliwość był w nadzwyczaj jowialnym nastroju. Ostatnimi czasy wyraźnie się postarzał: w oczach widać było ślady żółtaczki, włosy ze stalowoszarych stały się całkiem siwe. Fałdy skóry pod brodą obwisły, a policzki i nos zaczerwieniły się od pękniętych żyłek. Cała postać była jednak blaskiem, gdyż miał na sobie płaszcz z biało-złotego brokatu ozdobionego brylantami, a na głowie piuskę utkaną specjalnie na tę okazję ze szczerozłotej nici.

Kiedy podniósł puchar, ręka zadrżała mu lekko.

- Za rok 1500! - zawołał do licznych gości zgromadzonych przy stole. -Za rok jubileuszowy!

Uśmiechnął się niczym dumny patriarcha, gdy odpowiedzieliśmy echem na jego słowa. Potem usiadł i gestem ręki dał znak, byśmy uczynili to samo.

Jako że była to tak uroczysta okazja, Aleksander czuł się zobowiązany wygłosić krótkie przemówienie.

- Chrześcijański jubileusz - oświadczył, jakbyśmy nie znali tego terminu - został wprowadzony dwieście lat temu przez papieża Bonifacego VIII Jego podstawą jest starodawny obyczaj Izraelitów, aby czcić jeden święty rok co pięćdziesiąt lat, gdyż jest to czas wybaczenia wszystkich grzechów Nazwa nie pochodzi - dodał z pedanterią - od łacińskiego *jubilo*, jak mylnie twierdzi większość filologów, lecz raczej od hebrajskiego *jobel*, czyli baraniego rogu, w który dmie się, aby obwieścić początek święta. - Rozłożył szeroko ramiona. - Papież Bonifacy wydłużył pięćdziesięciolecie do stulecia... , tak oto zebraliśmy się w tym miejscu, zaledwie kilka godzin przed wydarzeniem, którego większość ludzi nigdy nie dożywa.

Przybrał dumny ton głosu.

- Wszystkie ciężkie prace, które podjęliśmy w ostatnim roku: poszerzenie gościńców, remonty bram i mostów, naprawy w bazylice Świętego Piotra, okazują się dziś wielce potrzebne. - Tu uczynił pauzę, gdyż kardynałowie, z których wielu doglądało robót, zaczęli bić brawo. - Rzym jest gotowy jak my wszyscy, na czas wielkiej radości i wybaczenia. Wydałem bullę stwierdzającą, że pielgrzymi, którzy odwiedzą Rzym i bazylikę Świętego Piotra podczas Roku Świętego, zmyją z siebie wszystkie grzechy. Spodziewamy się wizyty ponad dwustu tysięcy wiernych.

Słuchałam papieża uśmiechnięta, siedząc obok brata i Lukrecji, bo trudno było nie dać się ponieść nastrojowi radości i wyczekiwania, który opanował zgromadzonych; lecz moją radość mąciły obawy, a pragnienie wybaczenia tłumilił boi. Nie wiedziałam, co przyniesie nadchodzący rok, gdyż w tej właśnie chwili Cezar Borgia walczył u boku Francuzów w Mediolanie. Zerknęłam na siedzącego obok Alfonsa, a on wziął mnie za rękę i uściśnął dłoń w geście zrozumienia i otuchy.

Lukrecja nie zauważyła naszego niepokoju. Słuchała ojca z przejęciem i entuzjazmem; teraz, gdy miała przy sobie męża i dziecko, czuła się w pełni szczęśliwa. Sądzę, że nie chciała martwić się na zapas, że brat zniszczy ten stan; tak długo pozbawiano ją normalnego życia, że nie mogłam mieć jej za złe owej krótkowzroczności. Tamtego wieczoru zadowolenie widać było nawet w jej wyglądzie: była piękniejsza niż kiedykolwiek.

Na szczęście wystąpienie papieża okazało się niedługie i wkrótce rozpoczęliśmy wieczerzę. Kiedy zjedliśmy i zabrano talerze, zostałam na tańcach tylko tak długo, jak tego wymagała uprzejmość.

Wróciłam do sypialni i zastałam donnę Esmeraldę skuloną przed ołtarzykiem San Gennara.

- Esmeraldo! Co się stało?

Popatrzyła na mnie, na jej oliwkowej twarzy okolonej szpakowatymi włosami lśniły łzy.

- Błagam Boga, żeby nie zsyłał końca świata.

Westchnęłam i zapanowałam nad irytacją, jaką wzbudzała we mnie jej zabobonna wiara. Wielu wiejskich księży ubrdało sobie, że rok 1500 - data wymyślona przez człowieka - ma tak wielkie znaczenie dla Boga, iż wybrał ją na czas apokalipsy. Słyszałam, jak inne służące szeptały o tym z lękiem.

- Czemu Bóg miałby coś takiego uczynić? - zapytałam tonem pozbawionym sympatii. Nie wyświadczyłabym Esmeraldzie dobrej przysługi, utwierdzając ją w zabobonnym strachu.

- To szczególna data. Czuję to w kościach, donna Sancha; Bóg nie będzie dłużej odwlekał dnia sądu. Mijają prawie dwa lata, odkąd papież zamordował Sayonarolę... i teraz nadszedł czas na karę dla Aleksandra i całej Italii.

- Italia już cierpi - odparłam łagodniej. Cierpiała, alez rąk Cezara, a nie Boga. Zostawiłam Esmeraldę w spokoju. Rozebrałam się sama i położyłam do łóżka, słysząc jej zgębione modły jeszcze długo w noc.

Obudziwszy się pierwszego dnia nowego roku, przekonałam się, że świat nie został spalony siarką, jak wieścili kaznodzieje. Zamiast tego był chłodny zimowy dzionek i posepna donna Esmeralda ubrała mnie w jedną z najwspanialszych kreacji, ponieważ czekał mnie publiczny występ. Alfonso, Jofre, Jego Świątobliwość i ja podążaliśmy w powozie przez most SanfAngelo do miasta, w stosownej odległości za Lukrecją, która jechała na koniu do bazyliki Świętego Jana na Lateranie, poprzedzana przez kawalkadę pięćdziesięciu jezdnych, torujących jej drogę.

Stanąwszy na stopniach świątyni, olśniewająca w swej naszywanej perlami sukni z białego atlasu i długiej gronostajowej pelerynie, ze złotymi lokami spływającymi na plecy, Lukrecja wypuściła w niebo stado białych gołębi. Wyglądała uroczo, rozłożywszy szeroko ramiona w suplikacyjnym geście, z twarzą zarumienioną od mrozu, zwróconą ku zachmurzonemu niebu.

Pomodliła się krótko, prosząc Boga o szczególną łaskę dla pątników, którzy przyjdą z pielgrzymką do Rzymu.

W ciągu następnych tygodni zaczęli przybywać strudzeni wędrowcy. Most zamku SanfAngelo wypełnił się masą pielgrzymów przemierzających drogę do bazyliki Świętego Piotra i z powrotem. Ci, których nie było stać na nocleg w zajeździe albo nie znaleźli wolnej izby z powodu zbyt dużego natłoku gości, koczowali na stopniach bazyliki. Za każdym razem, gdy przemierzaliśmy plac albo udawaliśmy się na mszę, spotykaliśmy ich. Wkrótce tak przyzwyczailiśmy się do ich widoku, że przestaliśmy ich zauważać.

Była to tylko jedna z oznak szczególnej troski papieża o córkę - jak sędzę, w ten sposób chciał rozproszyć jej uwagę, aby uznała, że w jej małej

rodzinie wszystko jest w porządku. Aleksander podarował jej wiele nowych włości, włącznie z posiadłością, która poprzednio należała do neapolitańskiej rodziny Caetanich - tej samej, z której pochodził mój dawny narzeczony i kochanek Onorato.

Jeśli żywiła jakiegokolwiek obawy co do losu Alfonsa, uciekała od nich, oddając się prowadzeniu platonicznego, dworskiego romansu z poetą Bernardem Accoltim z Arezzo, który arogancko określał się mianem / *'Unico*, Niepowtarzalny.

W jego utworach nie było niczego niepowtarzalnego. Słwał Lukrecji tuziny wierszy, w których deklarował nieśmiertelną miłość, obsadzając ją w roli Laury i samemu pozując na cierpiącego Petrarę.

Lukrecja, dość nieśmiało, pokazała mi pewnego razu te liryki. Kiedy zobaczyła, że nie umiem do końca ukryć pogardy, śmiała się z nich razem ze mną - ale widziałam, że jej pochlebiają. Wydarzenie to skłoniło ją do pisania własnych poezji, które również wstydliwie mi pokazała.

Powiedziałam jej - i to szczerze - że jej wiersze są o niebo lepsze od wycopin Accoltiego. Rzadziej uciekała się do łzawych wzdychań i omdlewających wykrzyknień.

Gdy Lukrecja bawiła się na dworze, rozegrała się druga bitwa o Mediolan. Książę Ludovico przypuścił atak na francuskie wojska i został pojmany, czym skazał się na uwięzienie do końca życia; jego brat, kardynał Ascanio Sforza, też nie zdołał uciec.

Po pewnym zwycięstwie nad rodem Sforzów Francuzi jęli spoglądać łakomym okiem na Neapol, migotliwy morski klejnot, którego od tak dawna pożądali.

Zapewnienia Jego Świątobliwości zagłuszały głosy całych Włoch, odbijając się nieustannym echem w moich uszach: Francuzi zagarną Neapol. To tylko kwestia czasu.

Nie miałam wątpliwości, że Cezar Borgia będzie im towarzyszył.

Miesiąc później Cezar przybył do domu, czyniąc ze swego powrotu wielkie widowisko. W przebłysku geniuszu postanowił nie podsycać plotek o swojej arogancji i ambicji i zadbał o to, by orszak nie przypominał pompatycznego wjazdu triumfalnego.

Z loggii naszego pałacu patrzyłam, jak kawalkada sunie ulicami miasta. Przodem jechała nie mniej niż setka powozów - zarówno konie, jak i pojazdy przybrano w czerń. Wkrótce stało się jasne, że jest to kondukt żałobny ku czci zmarłego ostatnio członka rodu Borgia, kardynała Giovanniego Młodszeo, który tak prędko i tajemniczo dokonał żywota, jadąc z „gratulacjami” do Cezara.

Żaden herold nie obwieścił powrotu naczelnego wodza: trąbki milczały. Nie było wielobarwnego korowodu, bicia w bębny ani gry na piszczałkach. Żołnierze - całe zastępy, też w czerni - maszerowali w ciszy mąconej tylko przez łoskot kół i stukot kopyt.

Jako następny w orszaku jechał konno Jofre, a za nim Alfonso, którego zmuszono do wzięcia udziału w tej smutnej parodii. Ostatni pojawił się Cezar - ubrany w prostą, lecz elegancko skrojoną szatę z czarnego aksamitu.

Potem, z zachowaniem stosownego odstepu, jechali mniej ważni domownicy i szlachta.

Parada zakończyła się przy twierdzy Sant'Angelo, gdzie przetrzymywano Caterinę Sforzę. Tam stłumiony, cichy ton uroczystości nagle przerodził się w huk, gdy z wieży zamku wystrzelono sztuczne ognie.

Fajerwerki odbijające się w pobliskim Tybrze olśniewały widowiskowością. Kolejne wybuchy skoordynowano tak, że gdy wysiliło się wyobraźnię, można było rozpoznać głowę, tułów i członki człowieka. (Cezar zamierzał przedstawić wojownika, jak poinformował mnie później Jofre).

Caterina Sforza musiała to na pewno oglądać z komnaty w Castel Sant' Angelo.

Potem nastąpił gwóźdź programu: wystrzelono ze dwa tuziny rac jednocześnie.

Eksplozje były tak głośne, że zatkałam uszy. Otwarte okiennice zadrżały straszliwie i przeraziłam się, że runą na ziemię.

Cezar Borgia wrócił do domu i dopilnował, aby dowiedział się o tym cały Rzym.

Tego samego wieczoru w Sali Sztuk Wyzwolonych zorganizowano ucztę ku czci generała papieskiej armii. Obowiązki rodzinne zmusiły mnie do wzięcia w niej udziału; na szczęście liczba gości przyprawiała o zawrót głowy i udało mi się omijać Cezara przez większość wieczoru. Najwyraźniej z zazdrości o brata Jofre wcześniej się upił i jał poświęcać całą uwagę jednej z dziewczek, najętych do zabawiania męskiej części biesiadników. Ubodło mnie to; kiedyś żywiłam nadzieję, że z biegiem czasu przyzwyczaję się do flirtów Jofrego - lecz czułam, że księżnej nie wypada okazywać zazdrości w takich sprawach, pilnie więc unikałam obojga.

W zamian za to złożyłam uszanowanie Jego Świątobliwości i większości kardynałów konsystorza, a także wszystkim arystokratom. Vannozza Catta-nei też tam była, co przyjął z zaskoczeniem, bo nigdy wcześniej nie spotkałam jej na żadnym przyjęciu w papieskiej rezydencji. Powitałyśmy się ciepło, niczym stare znajome.

Kiedy nadszedł odpowiedni moment, pożegnałam się z Aleksandrem i pośpieszyłam do drzwi, dziękując Bogu, że obyło się bez spotkania z honorowym

gościem. Dałam donnie Esmeraldzie i reszcie dworek znak, aby do mnie dołączyły, i wezwałam straż, aby odprowadziła nas do domu przez zatłoczony plac.

Gdy tylko wyszłam na korytarz, ktoś łagodnie, ale stanowczo chwycił mnie za rękę. Podniosłam wzrok i ujrzałam Cezara, który właśnie dawał znak Esmeraldzie i innym, aby zostawili nas samych.

Serce zabiło mi szybciej. Już nie czułam dreszczu podniecenia, gdy dotykał mojej skóry, teraz odczuwałam tylko odrazę - i niepokój, że okażę mu, jak bardzo mnie mierzi, czym dodatkowo narażę Alfonsa i Neapol.

Cezar poprowadził mnie w głąb korytarza, z dala od hałasu i gości. Kiedy uznał, że nikt nas nie usłyszy, powiedział swoim zwykłym opanowanym tonem:

- Może teraz spostrzegłaś, jakie życie odtrąciłaś. - Badawczo zmierzył mnie wzrokiem. - Jeszcze nie jest za późno, żeby to zmienić.

Prychnęłam z niedowierzaniem.

- Oświadczasz mi się?

- A jeśli tak...? - zapytał ostrożnie.

Wyrwałam rękę z jego dłoni, wargi wykrzywiły mi się kurczowo, tak że nie mogłam odpowiedzieć. Kiedyś, zanim zamordował Juana, byłabym szczęśliwa, słysząc, że nadal darzy mnie uczuciem. Teraz czułam tylko wstręt.

Zauważył to. Kiedy znów się odezwał, w jego głosie pobrzmiwała drwina.

- Ale oczywiście wciąż jesteś wierna Jofremu. Widzę, że jak na dobrą żonę przystało, zignorowałaś fakt, że już pognął w ramionach kurtyzany.

Uśmiechnęłam się zimno, nie dając się sprowokować.

- Stajesz się coraz bardziej podobny do Juana. Żadna kobieta w Romanii nie jest bezpieczna przed twoimi niechcianymi amatorami... a najmniej Caterina Sforza.

Uśmiechnął się złośliwie.

- Jesteś zazdrosna, madonna?

Po części rzeczywiście tak było, lecz przede wszystkim czułam obrzydzenie. Nie mogłam dłużej trzymać języka za zębami.

- Zazdrosna, generale? O wrzody, które starasz się ukryć pod brodą? O pa-miątkę, którą ci zostawiły francuskie dziewczki? Twoja nowa żona będzie zachwycona, kiedy się dowie, że przywiozłeś jej z podróży taki prezent.

Stałam na tyle blisko, by zauważyć blizny i świeże czerwone wybroczyny na jego policzkach. My, Neapolitańczycy, nazywaliśmy to „francuską klątwą”; Francuzi próbowali zwinąć winę na prostytutki, które poznali w Neapolu. Czerpałam niemałą satysfakcję ze świadomości, że choroba może skrócić mu życie, a w późniejszych latach doprowadzić go do obłądu.

Oczy błysnęły mu gniewem; cios okazał się celny. Odwróciłam się zadowolona i ruszyłam z powrotem do moich dam.

Zza pleców dobiegły mnie ciche, bynajmniej nie czułe słowa: - Musiałem spróbować po raz ostatni, madonna. Teraz wiem, na czym stoję i jakie podjąć działania. Nie zadałam sobie trudu, żeby odpowiedzieć.

Cudownym zbiegiem okoliczności udało nam się bezpiecznie przetrwać całą wiosnę; król Ludwik nie wykonał żadnego ruchu przeciwko Neapolowi a życie na dworze Borgiów toczyło się jakby nigdy nic.

Wymawiając się pilnymi obowiązkami politycznymi i wojskowymi, Cezar nie pojawiał się nigdy na rodzinnych kolacjach. Nie rozmawiałam z mm od czasu ostrej wymiany zdań w dniu jego powrotu i niemal go me widywałam. Właściwie mijaliśmy się tylko w korytarzach; spojrzenia, jakie wymienialiśmy, były lodowate. Donna Esmeralda opowiadała, że gdy me snuł z posłami francuskimi lub ojcem nowych planów, spędzał noce w towarzystwie kurtyzan albo wykorzystywał biedną Caterinę Sforzę, sprowadzając ją z celi w Castel SanfAngelo do swych komnat. Gwardziści mówili, że jest piękna, o włosach jaśniejszych od słomy i cerze tak mlecznej, że lśni w nocy niczym opal. Przed pojmaniem była dość pulchna, lecz okrutne traktowanie Cezara sprawiło, że zmizerniała i wychudła. _ Nigdy nie widziałam jej osobiście, lecz zdarzało się, że wyczuwałam jej cierpiącą obecność w korytarzach, którymi kiedyś chodziłam do prywatnych komnat Cezara. W pewnej mierze jej zazdrościłam, to prawda; przeważało jednak poczucie współkrzywdy. Wiedziałam, co znaczy gorzyc i bezsilny gniew ofiary przemocy.

Cezar nie udawał publicznie ani prywatnie, że Alfonsowi czy dziecku należą się z jego strony jakieś względy. Mimo jego nienawiści wobec domu aragońskiego sam papież wciąż okazywał nam wiele ciepła i dbał o to, by Alfonso zajmował poczesne miejsce na wszystkich uroczystościach. Wierzyłam, że Aleksander w głębi duszy naprawdę popiera Neapol i Hiszpanię a gardzi Francuzami, choć okazywał taką radość, gdy najstarszy syn ożenił się z Charlotte d'Albret. Jednocześnie pamiętałam, jak Lukrecja, będąc w ciąży z dzieckiem brata, płakała z przerażeniem i przyznała, że nawet papież boi się Cezara. Problem polegał na tym, czy Jego Świątobliwość ma dość siły woli, by wytrwać w roli sojusznika Neapolu.

Wczesnym latem Aleksander padł ofiarą łagodnego ataku apopleksji, po którym przez kilka dni leżał osłabiony w łóżku.

Po raz pierwszy zaczęłam się zastanawiać nad losem tych z nas, którzy pozostaną po śmierci Rodriga Borgii. Wszystko zależało od tego, czy Cezar

zdaży ugruntować swoją pozycję świeckiego władcy Italii. Jeśli tak, Alfonso i ja zostalibyśmy w najlepszym wypadku wypędzeni, w najgorszym zaś zamordowani; jeśli nie, wszystko zależało od tego, kogo konsystorz wybierze na następnego papieża. Gdyby nowy Ojciec Święty był przyjaźnie nastawiony do Neapolu i Hiszpanii - a wszystko na to wskazywało - Alfonso mógłby bez obaw zamieszkać z Lukrecją w Neapolu, a ja i Jofre wrócilibyśmy do księstwa Squillace. Ten drugi scenariusz zdawał się znacznie bardziej pożądany od naszego obecnego położenia.

Cezar stałby się persona non grata w całych Włoszech. Musiałby się zdać na łaskawość króla Ludwika, aby ten pozwolił mu wrócić do cierpiącej długą rozłąkę żony.

Wyznaję, podczas choroby papieża po raz pierwszy od lat modliłam się do Boga; moje modlitwy były mroczne i plugawe.

„Proszę, jeśli to ocali Alfonsa i dziecko, zabierz Jego Świątobliwość do siebie już teraz”.

Aleksander oczywiście wyzdrowiał w mig.

Bóg po raz kolejny mnie zawiódł. Wkrótce jednak przemówił dobitnie, w zupełnie nieoczekiwany sposób.

Dwudziestego dziewiątego czerwca - w dzień świętego Piotra, upamiętniający pierwszego papieża - Aleksander zaprosił nas do siebie, włącznie z jego małym imiennikiem Rodrigiem.

Dzień był upalny, a niebo pełne pędzących czarnych chmur, które rychło zasłoniły wszelkie ślady błękitu. Zerwał się wichur. Kiedy wszyscy - Lukrecja, Alfonso, Jofre i ja - szliśmy ze swiątą z pałacu do Watykanu, nagły podmuch chłodnego wiatru sprawił, że skóra ścierpła mi na ramionach i karku; w tym samym momencie rozległ się grzmot pioruna.

Mały Rodrigo - ośmiomiesięczny chłopczyk duży i krzepki - rozplakał się przerażony i zaczął wierzgać tak mocno w ramionach piastunki, że Alfonso musiał go wziąć na ręce. Przyspieszyliśmy kroku, lecz nie zdążyliśmy uniknąć ulewy; zimny, siekący deszcz z gradem zaczął bić w nas, gdy wbiegaliśmy na schody Watykanu. Alfonso osłonił główkę dziecka ramionami i przygarbił plecy, chroniąc synka, jak umiał najlepiej.

Mokrzy i rozczochrani minęliśmy wartowników i wbiegliśmy do holu, znajdując wreszcie schronienie. Alfonso trzymał kwilące dziecko, ja i Lukrecja zajęłyśmy się malcem, wycierając go do sucha rękawami.

Wciąż staliśmy przy wejściu, gdy donośny huk zatrząsł ciężkimi drzwiami i posadzką pod naszymi stopami; przestraszyliśmy się, a mały Rodrigo zapłakał rozpaczliwie.

Alfonso i ja popatrzyliśmy na siebie z niepokojem. Przypomniały nam się okropne doświadczenia z Neapolu i równocześnie wyszeptaliśmy:

- Armata.

Przez moment dałam się ponieść panice i wydało mi się, że Francuzi szturmują miasto, choć było to niemożliwe. Wiedzielibyśmy o tym z wyprzedzeniem, otrzymalibyśmy doniesienia o maszerującej armii.

Potem usłyszeliśmy dobiegające z głębi budynku gorączkowe okrzyki. Nie rozumiałam słów, lecz ton hysterii był wyraźny.

Lukrecja odwróciła się, nagle jej oczy zrobiły się okrągłe.

- Ojciec! - zawołała, a potem podkasała spódnicę i puściła się pędem przed siebie.

Ruszyłam za nią, podobnie jak Jofre i Alfonso, który przekazał dziecko piastunce. Wbiegłyśmy pędem po schodach - mężczyźni szybko nas wyprzedzili, bo długie suknie kępowały nam ruchy.

W korytarzu wiodącym do apartamentów Borgiów uderzyła w nas ciemna mgła, od której zapiekły oczy i gardło; biegłam za Alfonsem i Jofrem, ale zatrzymałam się osłupiała pod łukiem, który prowadził do Sali Wiary, gdzie Jego Świątobliwość miał siedzieć na tronie i czekać na nas.

Miejsce, gdzie niedawno stał tron, było teraz spowitym w tuman kurzu stosem drewnianych belek, kamieni i cegieł: sufit powyżej runął, ciągnąc za sobą kobierce i meble z komnaty na piętrze.

Poznałam te meble - widywałam je wielokrotnie podczas schadzek z Cezarem w jego sypialni. Poczułam iskrę złośliwej nadziei: jeśli obaj, Cezar i papież nie żyją, moje obawy o rodzinę i Neapol skończą się raz na zawsze.

- Ojczy Świąty! Wasza Świątobliwość! - krzyczeli dwaj zrozpaczeni dworzanie papieża, szambelan Gasparre i biskup Kapui, pochylając się nad gruzem i próbując dopatrzeć się pod nim znaków życia. To właśnie ich głosy usłyszeliśmy - teraz dołączyli do nich Lukrecja i Jofre.

- Ojczy! Ojczy, przemów do nas! Jesteś ranny?

Ze stosu nie dobiegł żaden dźwięk. Alfonso poszedł poszukać kogoś do pomocy i wkrótce wrócił z sześcioroma pachołkami z łopatami. Objęłam Lukrecję, która wpatrywała się ze zgrozą w gruz, przekonana, że ojciec nie żyje; ja też byłam tego pewna i czułam na przemian radość i wyrzuty sumienia.

Niebawem stało się jasne, że Cezara nie było w swojej komnacie, gdyż musielibyśmy go zauważyć. Na papieża jednak zawały się co najmniej trzy stropy. Ilość gruzu była olbrzymia; czekaliśmy ponad godzinę, gdy robotnicy kopali energicznie pod kierunkiem Alfonsa.

Wreszcie Jofre, który coraz bardziej się denerwował, nie mógł się dłużej powstrzymać.

- On nie żyje! - zawołał. - Nie ma już nadziei! Ojciec nie żyje! Szambelan Gasparre, człowiek również łatwo ulegający emocjom, podjął okrzyk, załamując rozpaczliwie ręce.

- Ojciec Święty nie żyje! Papież nie żyje!

- Cisza! - rozkazał Alfonso z surowością, której nigdy przedtem u niego nie widziałam. - Uciszcie się obaj albo pogrążycie cały Rzym w chaosie!

Istotnie, poniżej słyhać już było tupot kroków gwardzystów, którzy biegli okrążyć wejście do Watykanu; słyszeliśmy głosy służby i kardynałów, powtarzające niczym echo:

- Papież nie żyje! Jego Świątobliwość nie żyje!

- Chodź - powiedziała do Jofrego, odciągając go od gruzu. - Jofre, Lukrecjo, musicie być teraz silni i nie popadać w przedwczesną rozpacz.

- To prawda - przyznał Jofre, starając się być dzielny; wziął siostrę za rękę. - Musimy zaufać Bogu i robotnikom.

We trójkę wzięliśmy się za ręce i usiłowaliśmy zachować spokój, choć piętro niżej wciąż było słyhać gorączkową wrzawę.

Od czasu do czasu robotnicy przestawali kopać i wołali papieża: za każdym razem odpowiadała im cisza. Na pewno zginął, radowałam się w duchu. Myślami byłam już w Squillace.

Po godzinie udało im się przekopać przez gruz na tyle, że odkryli rąbek złocistego płaszcza.

- Ojciec Święty! Wasza Świątobliwość! Wciąż cisza.

Lecz Bóg tylko spletał nam figla. Gdy w końcu odgarnęli kawałki drewna i złotolitych obić, odkryli Aleksandra - obsypanego pyłem, oniemiałego z trwogi i siedzącego sztywno na tronie, z potężnymi dłońmi zaciśniętymi mocno na rzeźbionych poręczach.

Skaleczenia i potłuczenia były tak małe, że wtedy ich nie zauważyliśmy.

Gasparre zaprowadził go do łóżka, Lukrecja wezwała medyka. Aleksandrowi puszczono krew, wywiązała się lekka gorączka; nie chciał widzieć nikogo oprócz córki i Cezara.

Tymczasem wszczęto dochodzenie. Na początku podejrzewano, że jakiś buntownik wystrzelił z armaty - w rzeczywistości to dach nie wytrzymał uderzenia błyskawicy i gradu. Czystym zbiegiem okoliczności Cezar wyszedł ze swych komnat zaledwie na kilka chwil przedtem.

Wielu szeptalo, że to boska przestroga, że Borgiowie powinni odpokutować za swoje grzechy, jeżeli Stwórca ma im oszczędzić ostatecznego upadku. Savonarola przemówił z za grobu.

Dla Cezara był to jednak znak, że musi zacząć grzeszyć na potęgę, aby zapewnić sobie miejsce w historii, skoro ojciec wciąż żyje.

Lato 1500

Dzięki końskiemu zdrowiu Aleksander szybko doszedł do siebie. Boski grom przypomniał Jego Świątobliwości o śmierci i wzmocnił w nim miłość życia; teraz mniej czasu spędzał z Cezarem na obmyślaniu strategii podbojów, a częściej przebywał w towarzystwie rodziny - która składała się z rosnącego jak na drożdżach małego Rodriga, Lukrecji, Alfonsa, Jofrego i mnie. Znow co wieczór jedliśmy kolację przy papieskim stole i rozmawialiśmy o sprawach domowych, a nie o polityce. Między Cezarem a Aleksandrem pogłębiała się przepaść. Inaczej rozumieli korzystne sojusze; miałam tylko nadzieję, że papież jest dość silny, by poskromić ambicje syna.

Moja osobista apokalipsa zaczęła się piętnastego lipca, zaledwie dwa tygodnie po złowróżbnym zawaleniu się sufitu. Wieczorem jedliśmy kolację z Jego Świątobliwością, a Lukrecja i ja prowadziłyśmy przyjemną z nim rozmowę, której nie chciałyśmy jeszcze kończyć, gdy Alfonso wstał i oznajmił:

- Za pozwoleniem, Wasza Świątobliwość, jestem dziś zmęczony i pragnę wcześniej udać się na spoczynek.

- Oczywiście, oczywiście. - Pochłonięty dyskusją Aleksander odprawił go zdawkowym, lecz uprzejmym gestem ręki. - Niech Bóg ześle ci dobry sen.

- Dziękuję.

Alfonso uklonił się, pocałował w rękę Lukrecję i mnie, a potem wyszedł. Nie pamiętam, o czym rozmawialiśmy, ale przypominam sobie, że popatrzyłam na niego i tknęło mnie zmęczenie malujące się na jego twarzy. Rzym i nieczne intrygi postarzyły go; widok ten przywołał odległe wspomnienie: byłam psotną jedenastolatką w pałacu Ferrantego i droczyłam się z braciszkiem, próbując go namówić na poszukiwania muzeum umarłych.

Jak możesz to znieść, Alfonso? Nie chcesz się dowiedzieć, czy to prawda?"
„Nie. Bo to może być prawda”.

Wiele było rzeczy, których wolałabym nigdy nie poznać; wiele spraw, przed którymi pragnęłam uchronić brata, aby żył w błogiej nieświadomości. To jednak okazało się niemożliwe.

Poczułam dziwną chęć zakończenia rozmowy z Lukrecją i odprowadzenia Alfonsa do domu lecz uczynić tak, byłoby niegrzecznie. Dziś mogę się tylko zastanawiać, jak zmieniłoby się nasze życie, gdybym mu wtedy towarzyszyła. Zamiast tego uśmiechnęłam się, gdy złożył pocałunek na mojej dłoni; kiedy wyszedł, odpędziłam ponure myśli jako niepotrzebne zamartwianie się.

Godzinę albo dwie później Lukrecja, papież i ja przenieśliśmy się z rozmową do Sali Świątych; nasze głosy odbijały się echem od ścian olbrzymiej, prawie pustej komnaty. Poczułam się zmęczona i właśnie pomyślałam o powrocie do domu, gdy usłyszeliśmy donośny tupot i niespokojne głosy zbliżających się mężczyzn. Zanim zdążyłam zmiarkować, co się dzieje, żołnierze weszli do sali.

Podniosłam wzrok.

Umundurowany papieski gwardzista, w towarzystwie pięciu innych, podszedł do Aleksandra. Był młody, nie mógł mieć więcej niż osiemnaście lat, jego twarz była blada ze strachu. Protokół wymagał, aby pokłonił się i poprosił o pozwolenie zwrócenia się do Jego Świątobliwości; chłopak otworzył usta, lecz nie mógł wykrztusić słowa.

W ramionach niósł bezwładnego i bladego jak śmierć Alfonsa. Pomyślałam o wizerunku Matki Boskiej podtrzymującej ciało ściągniętego z krzyża Chrystusa.

Z czoła mojego brata ciekła krew, malując złote włosy karminem i zalewając pół twarzy. Pelerynę, którą wcześniej miał na sobie, zerwano, a koszula była poprzecinana i mokra od krwi. Jedna nogawka rajtuzów również ociekała szkarłatem.

Miał zamknięte oczy, głowę odchyloną bezwładnie do tyłu. Pomyślałam, że nie żyje. Nie mogłam mówić, nie mogłam oddychać; mój największy lęk w końcu się ziścił. Brat umarł przede mną; straciłam powód do życia; nie czułam już potrzeby przestrzegania zasad moralnych porządných ludzi.

W nagłym błysku dostrzegłam głębię swojej głupoty: zawsze wiedziałam w głębi duszy, że Cezar spróbuje zabić mi brata, prawda? To był najokrutniejszy cios, jaki mógł mi zadać w zemście za odtrącenie - z pewnością większy niż odebranie mi życia.

Czyż nie groził tym podczas ostatniej rozmowy?

„Teraz wiem, na czym stoję i jakie podjąć działania”.

Lukrecja poderwała się na równe nogi, a potem zemdląła bez słowa.

Zostawiłam ją na podłodze i podbiegłam do brata. Przyłożyłam ucho do jego otwartych ust i o mało sama nie upadłam, z ulgą stwierdziwszy, że oddycha. Boże, przysięgłam po cichu, uczynię wszystko, co zechcesz. Nie będę dalej uciekać przed przeznaczeniem.

Alfonso żył - lecz był poważnie, jeśli nie śmiertelnie, ranny.

Za moimi plecami Aleksander zszedł z tronu i cucił córkę.

Przypuszczam, że to świadomość, iż jej pomoc jest niezbędnie potrzebna, natychmiast przywróciły Lukrecję do przytomności.

- Nic mi nie jest! - zawołała, złoścąc się na samą siebie, że okazała słabość w takiej chwili. - Chcę zobaczyć męża! Puść mnie!

Wyrwała się z objęć ojca i stanęła obok mnie, by obejrzyć rany Alfonsa. Chciało mi się krzyczeć, pragnęłam zemdleć jak Lukrecja, a przede wszystkim udusić Jego Świątobliwość, który udawał niewinnego, choć nie wątpiłam, że doskonale wiedział o planowanej napaści.

Wpatrywałam się w bezwładne i piękne ciało Alfonsa; tak jak jego żona, zmusiłam się do spokoju. W głowie słyszałam głos dziadka: „My, silni, musimy się opiekować słabymi”.

- Nie możemy go ruszać - powiedziała Lukrecja. Kiwnęłam głową.

- Potrzebujemy komnaty tutaj, w tych apartamentach.

Lukrecja zerknęła na ojca nie ze zwykłym uwielbieniem i ofiarnością, lecz z nadzwyczajną stanowczością. W jej szarych oczach błysnęła wyraźna groźba. Aleksander natychmiast się ugiął.

- Tędy - powiedział i skinął na żołnierza, który niósł Alfonsa, aby podążył za nim.

Poprowadził nas do pobliskiej Sali Sybillińskiej, gdzie gwardzista delikatnie położył Alfonsa na obitej brokatem ławie.

- Wezwę swojego lekarza - powiedział Aleksander, lecz zignorowałyśmy go, bo właśnie w tej chwili Alfonso zakaszłał.

Mój brat zamrugał, a potem otworzył powieki. Podniósł wzrok na mnie i Lukrecję.

- Widziałem napastników. Widziałem, kto nimi kierował - wyszeptał.

- Kto? - dopytywała się Lukrecja. - Zabiję łotra własnymi rękami! Wiedziałam, co brat powie, zanim otworzył usta.

- Cezar - wydusił i znowu zemdlął.

Lukrecja skrzywiła się boleśnie i zgięta wpół chwyciła się za brzuch, jakby sama została ugodzona szpadą; złapałam ją za łokieć, obawiając się, że

upadnie. Ona jednak zebrała się w sobie i nie okazując zaskoczenia tą straszliwą nowiną, rzekła do ojca rzeczowym, spokojnym tonem:

- Możesz wezwać swojego lekarza. Tymczasem zwrócę się z prośbą do króla Neapolu, aby przysłał własnego medyka. I natychmiast trzeba wezwać ambasadorów Hiszpanii i Neapolu.

- Każ przynieść wodę - dodałam - i bandażę. Musimy zrobić, co się da, zanim przybędzie lekarz.

Ponieważ brat wciąż krwawił, odwiązałam i zdjęłam rękawy swojej sukni, a potem przycisnęłam aksamit do broczącej rany na jego czole.

Lukrecja podążyła za moim przykładem; też zdjęła jeden z rękawów i przyłożyła go do rany na udzie.

- Poślijcie po pacholków Alfonsa i moje dworki! - zażądałam. Nagle zażądałam kojącej obecności donny Esmeraldy i towarzystwa najbardziej zaufanych ludzi z Neapolu.

W rozpaczy Lukrecja i ja nie zdałyśmy sobie sprawy, że papież osobiście słuchał naszych poleceń i przekazywał je służbie. Paru gwardzistów chciało wyjść, by wykonać nasze rozkazy, lecz spojrziałam na nich ostro.

- Zostańcie tu! Nie możecie zostawić nas bez ochrony. Życie tego człowieka jest zagrożone, a jego wrogowie są pod tym dachem.

Lukrecja nie wyraziła sprzeciwu. Kiedy zziąjany ojciec wrócił, powiedziała:

- Muszę mieć oddział co najmniej szesnastu uzbrojonych ludzi przy wejściu do tych komnat o każdej porze dnia i nocy.

- Chyba nie wierzysz... - zaczął Aleksander.

Spojrzała na niego lodowato, z miną świadcząca, że jak najbardziej wierzy.

- Muszę ich mieć!

- Dobrze - odparł dziwnie cichym głosem, jakby owładnęły nim wyrzuty sumienia, że pozwolił Cezarowi sprawić Lukrecji taki ból. Po raz pierwszy papież publicznie pokazał, że jest tchórzem: jego niestałość wynikała nie tyle z politycznych kalkulacji, ile stąd, że dawał się ciągnąć w przeciwnie strony doradcom i własnym dzieciom.

Wkrótce w naszym azylu zjawili się ambasadorzy Hiszpanii i Neapolu, papieski medyk i chirurg, służba Alfonsa i moja, a także oddział uzbrojonej straży. Nalegałam też, aby przyniesiono materace: nie zamierzałam zostawić Alfonsa ani na chwilę samego, podobnie myślała Lukrecja. Poleciałam przynieść kociołek, żeby osobiście gotować dla brata wszystkie posiłki w obawie przed canterellą.

Kilka godzin później Alfonso odzyskał przytomność na tak długo, by wyjawic imiona ludzi, którzy mu towarzyszyli, gdy doszło do napaści: byli to giermek Miguelito i dworzanin Tomaso Albanese.

Lukrecja od razu wezwała ich obu.

Albanese leczył się z ran i musiał leżeć, ale giermek Miguelito przybył niemal natychmiast.

Ulubiony pacholek Alfonsa był jeszcze młokosem, ale wysokim i mocno zbudowanym. Miał obandażowany bark, prawe ramię spoczywało na temblaku. Przeprosił, że nie odwiedził swego pana wcześniej, lecz bladeść i słabość nie pozostawiały wątpliwości, że sam był poważnie ranny. W rzeczy samej, tak niepewnie trzymał się na nogach, że zaproponowałyśmy, by usiadł. Opadł na krzesło z westchnieniem ulgi i oparł głowę o ścianę.

Lukrecja poleciła przynieść mu kielich wina; popijał je od czasu do czasu, gdy opowiadał, co się wydarzyło.

- We trzech, książę, don Tomaso i ja, szliśmy z Watykanu do Palazzo Santa Maria. Musieliśmy przejść przez plac Świętego Piotra, gdzie na schodach bazyliki spało już wielu pielgrzymów. Nic sobie z nich nie robiliśmy, madonna; może powinienem być bardziej czujny ze względu na księcia... -Przez jego pospolitą twarz o grubo ciosanych rysach przemknął wyraz świadczący o poczuciu winy. - Ale przechodziliśmy obok ludzi, którzy wydawali się zwykłymi żebrakami: było ich bodaj sześciu, wszyscy w łachmanach. Myślałem, że złożyli śluby ubóstwa. Jak mówię, nie zwróciliśmy na nich uwagi; książę i don Tomaso byli pochłonięci rozmową, a ja, przyznaję, nie miałem się na baczości. Nagle żebracy skoczyli na równe nogi i dobyli szpad. Leżeli zaczajeni na księcia, bo usłyszałem, jak jeden zawołał pozostałych, kiedy ich mijaliśmy. Natychmiast nas otoczyli. Było jasne, że to dobrze wyszkoleni żołnierze; na szczęście, jak pani dobrze wie, donna Sancha, my też jesteśmy wyćwiczeni w neapolitańskiej szkole fechtunku. Pani brat, a wasz mąż, donna Lukrecja, był najzręczniejszy i najdzielniejszy z naszej trójki. Mimo że przeciwnicy mieli liczebną przewagę, don Alfonso walczył tak wspaniale, że przez dłuższy czas skutecznie powstrzymywał wroga. Don Tomaso również bił się dobrze i zaciekle i okazał podziwu godną odwagę, broniąc księcia. Jeśli chodzi o mnie, to czyniłem co w mej mocy, lecz serce mi się kraje, gdy widzę szlachetnego księcia leżącego bez ruchu i o twarzy tak bladej. Mimo wysiłków książę został ranny. Bronił się jednak nadal, choć krwawił straszliwie z ran na barku i nodze. Dopiero gdy dostał ostatni cios w głowę, padł. Wtedy dopadli go i zaczęli ciągnąć w kierunku innych ciemno ubranych nieznanymi mi ludzi, którzy czekali z końmi. Don Tomaso i ja zdaliśmy sobie sprawę, że jeśli uda im się go uprowadzić, będzie zgubiony.

Zaczęliśmy wołać o pomoc do gwardzistów stojących przed pałacem Santa Maria. Wziąłem księcia w ramiona i zacząłem nieść w kierunku pałacu, don Tomaso walecznie bił się z trzema przeciwnikami, którzy jeszcze stali na nogach. I wtedy zobaczyłem dwóch innych mężczyzn czekających przed pałacem i groźących przejście. Jeden stał z dobytą szablą i czekał, drugi siedział na koniu...

W tym miejscu młody Miguelito zniżył głos do szeptu, a potem umilkł. Z początku myślałam, że wycieńczenie i utrata krwi wywołały w nim nagłe osłabienie, zwłaszcza po wysiłku, jakim było długie mówienie. Zachęciłam go do napicia się wina.

Wówczas zauważyłam wyraz jego oczu; to nie zmęczenie, lecz strach kazał mu milczeć.

Zerknęłam na Lukrecję, a potem zwróciłam się do giermka.

- Czy ten koń - zapytałam - był biały, podkuty srebrnymi podkowami? Popatrzył na mnie osłupiały, spojrział też na Lukrecję.

- Twój pan wskazał już Cezara jako napastnika - powiedziała ze spokojem, który wzbudził mój podziw. - Jesteś wśród przyjaciół Neapolu, a ja jestem ci głęboko wdzięczna za uratowanie męża. Przysięgam, że nie spotka cię nic złego za świadczenie prawdy.

Młody giermek kiwnął niezdecydowanie głową, a potem przyznał zduszonym głosem:

- Tak. To był Cezar, książę Walencji, to on siedział na koniu. Bałem się o życie pana, więc ruszyłem w przeciwnym kierunku, z powrotem do Watykanu, don Tomaso mnie osłaniał. We dwóch wołaliśmy tak długo, aż papieska straż otworzyła bramę i wpuściła nas; wtedy napastnicy uciekli.

- Dziękuję - powiedziała Lukrecja głuchym, matowym głosem, którego nigdy wcześniej nie słyszałam. - Dziękuję, Miguelito, że powiedziałeś prawdę.

Przez kilka następnych dni w komnacie apartamentów Borgiów - strzeżonej bez przerwy przez żołnierzy i najbardziej zaufanych ludzi Alfonsa - urządziłyśmy szczególny lazaret. Ustawiliśmy przegrody, dzieląc kolorową od fresków Salę Sybillińską na wewnętrzną komnatę i antykamerę, żebyśmy mogły mieć więcej prywatności. Kazałyśmy wnieść meble i z naszymi dworkami, włącznie z donną Esmeraldą, rozbiłyśmy w tym luksusowym wnętrzu prymitywny obóz, jakbyśmy były na wojnie.

W ciągu godziny przybył papieski lekarz. Zbadał Alfonsa i ku uldze Lukrecji i mojej stwierdził, że brat jest na tyle młody i silny, że przeżyje, „o ile będzie pod troskliwą opieką”.

Tak więc opiekowałyśmy się nim bez pytania, bo nie było na świecie pielęgniarek bardziej troskliwych niż ja i Lukrecja. Przemycowałyśmy i opatry-

wałyśmy rany własnymi rękoma; z pomocą Esmeraldy gotowałam Alfonsowi jego ulubione dania z dzieciństwa, a Lukrecja karmiła go i poila łyżeczką. Zjednoczyłyśmy się w poświęceniu dla niego do tego stopnia, że wkrótce zaczęłyśmy się rozumieć bez słów.

Alfonso szybko wracał do zdrowia, choć rany, które odniósł, były tak poważne, że zabiłyby słabszego człowieka. O zmierzchu owego pierwszego straszliwego dnia obudził się i trzeźwo zapytał o zdrowie Miguelita i Tomasa Albanese. Westchnął z ulgą, kiedy usłyszał, że obaj uniknęli śmierci.

- Lukrecjo, Sancho - powiedział z usilną przestrogą w głosie (mimo że był zbyt wycieńczony, by choćby usiąść) - nie możecie tu przy mnie siedzieć. To niebezpieczne. Jestem żywym trupem.

Lukrecja zarumieniała się i z zapamiętaniem, które nas zaskoczyło, oświadczyła:

- Przysięgam na Boga, że jesteś tu bezpieczny przed Cezarem. Nawet gdybym miała udusić brata własnymi rękami, nie pozwolę, żeby stało ci się coś złego.

Przez wzgląd na Alfonsa starała się powstrzymać od płaczu. Przytuliłam ją i jęłam uspokajać, kołysząc ją klepiąc po plecach, jakby była małym dzieckiem, a jednocześnie wyjaśniałam bratu środki ostrożności, które podjęłyśmy: ambasadorzy Hiszpanii i Neapolu siedzą w tej chwili w antykamerze, a wejścia do komnaty pilnują ponad dwa tuziny gwardzistów.

W odpowiedzi wziął Lukrecję za rękę i pocałował mimo osłabienia, a potem zmusił się do uśmiechu. Ona zaś uwolniła się z moich objęć i sama uśmiechnęła się blado. Żal było patrzeć, jak oboje starają się być dzielni, każde ze względu na to drugie.

Oboje byli przerażeni; oboje wiedzieli, że prowizoryczna sypialnia w Sali Sybillińskiej jest jedynym jasnym miejscem w mrocznym Rzymie, w którym czai się Cezar Borgia, czekając na okazję do następnego ataku.

Drugiego dnia Alfonso czuł się na tyle dobrze, że trochę zjadł; na trzeci dzień mógł już usiąść i rozmawiać przez dłuższy czas. Czwartego dnia przybyli lekarze z Neapolu: don Clemente Gactula, królewski medyk, oraz don Galeano da Anna, królewski chirurg. Przywitałam obu ciepło, bo znałam ich, odkąd byłam dzieckiem, i opiekowali się moim dziadkiem Ferrantem. Lukrecja wypytała ich, jak prędko Alfonso będzie mógł chodzić, a potem sięść w siodło i jeździć konno: wszyscy rozumieliśmy, skąd takie pytania. Im szybciej Alfonso będzie w stanie podróżować i uciec z Rzymu do bezpiecznego Neapolu, tym lepiej. A sądząc po tym, jak Lukrecja odnosiła się teraz do brata i ojca, nie wątpiłam, że tym razem nie pozwoli mężowi wyjechać bez niej.

Stan Alfonsa wciąż się poprawiał i na szczęście nie wywiązało się żadne zakażenie. Przez cały czas w komnacie byłyśmy albo Lukrecja, albo ja, a najczęściej obie; spałyśmy na podłodze o kilka centymetrów od jego łóżka i we trójkę jedliśmy wspólnie wszystkie posiłki.

Cały czas miałam się na baczności, czekając na następny zamach na życie brata.

Pewnego popołudnia, gdy pochylałam się nad kominkiem i jak kucharka podlewałam tłuszczem trzy piekące się na ruszcie bażanty, usłyszałam krzyki w antykamerze.

Lukrecja siedziała przy łóżku, czytając mężowi poezje. Wszyscy troje odwróciliśmy wzrok i zobaczyliśmy, jak Cezar Borgia wkracza do sypialni, pilnowany przez jednego z naszych zaufanych gwardzistów.

Lukrecja cisnęła oprawny w skórę tomik na podłogę i poderwała się z twarzą wykrzywioną gniewem.

- Jak mogłeś! - zawołała. W pierwszej chwili myślałam, że zwraca się do brata, lecz ona podjęła: - Jak mogłeś wpuścić tu właśnie jego!

- Książę o to poprosił, madonna - odparł potulnie żołnierz. - Przeszukaliśmy go, nie ma przy sobie broni.

- To bez znaczenia! - głos Lukrecji drżał z oburzenia. - Macie go tu nie wpuszczać nigdy więcej!

Cezar słuchał krzyków siostry z całkowitym spokojem; nawet nienawistna mina Alfonsa nie wyprowadzała go z równowagi. Wstałam i ustawiłam się między nim a bratem.

- Lukrecjo - powiedział Cezar kojąco - rozumiem twój gniew. Wierz mi, że czuję to samo i byłem nadzwyczaj wzburzony, don Alfonso, usłyszawszy o zamachu na twoje życie. Ale zostałem nikczemie i niesłusznie pomówiony przez twego giermka... Miguelita Herrere, czyż nie tak się nazywa? Zapewniam cię, mości książę, że jestem zupełnie niewinny. Pragnę poprowadzić śledztwo, żeby oczyścić się z zarzutów i odzyskać twoje zaufanie.

Kiedy Cezar skończył swoją gładką przemowę, zaległa brzemienne cisza.

- Ty głupcze - syknął Alfonso.

Odwróciłam się. Oczy mojego brata pałały nienawiścią.

- Ty głupcze - powtórzył głośnie. - Myślałeś, że skoro padłem ranny, nie rozpoznałem cię na tym wspaniałym siwym koniu ze srebrnymi podkowami?

Oblicze Cezara nachmurzyło się groźnie.

- Widziałem cię - oznajmił zapalczywie Alfonso - i ja, i don Tomaso, który jest teraz w bezpiecznym miejscu. Nie ma sensu mordować Miguelita. Wszyscy cię widzieliśmy i wszyscy w tej sali o tym wiedzą.

- Próbowałem zawrzeć pokój - powiedział niskim głosem Cezar, po czym odwrócił się do wyjścia. Strażnik wyprowadzał go, gdy Lukrecja zawołała za nim głosem pełnym jadu:

- Tak, idź sobie, morderco!

Alfonso nie skończył jeszcze rozmowy ze szwagrem, mimo że ten wychodził już z antykamery.

- Teraz musisz zabić nas wszystkich! - krzyknął za nim. - Ambasadorów, lekarzy, służących, gwardzistów, wszystkich!

Podążyłam za Cezarem aż do drzwi, czując, jak nienawiść przyciąga mnie do niego niczym magnes.

Na chwilę przed tym, zanim wartownicy rozstąpili się, żeby zrobić mu przejście, zawołałam go po imieniu.

Odwrócił się do mnie niepewny.

Chciałam wyciągnąć sztylet i rozplątać mu gardło, ale wiedziałam, że nie mam szans. Powstrzymałby mnie sam albo uczyniłby to jeden z żołnierzy, zanim zadałabym cios... a zawsze można było twierdzić, że działałam na polecenie brata. Nie przysłużyłabym się dobrze ani Alfonsowi, ani Neapolowi.

Zamiast tego splunęłam mu prosto w twarz. Ślina trafiła w brodę i skapnęła na doskonale skrojoną tunikę z najprzedniejszego czarnego jedwabiu.

Ruszył w moją stronę tak gwałtownie, że dwaj strażnicy dobyli mieczy. Jego ciemne oczy przepełniała czysta, zabójcza nienawiść. Gdybyśmy byli sami, zamordowałby mnie z rozkoszą.

Skoro jednak sytuacja wyglądała inaczej, po prostu pochylił się, wygładził mi niesforny kosmyk włosów za uchem i wyszeptał:

- Co nie powiodło się przy obiedzie, na pewno uda się przy wieczerzy. Odsunął się i uśmiechnął złośliwie, widząc moją reakcję.

Potem odwrócił się gwałtownie i pewnym krokiem odszedł w szpalerze rozstępujących się przed nim gwardzistów.

33

Po odejściu Cezara stałam w antykamerze, zbyt osłupiała i wzburzona zabójczą obietnicą, żeby się ruszyć. Chociaż moje ciało znieruchomiało, umysł pracował jak nigdy dotąd. Wiedziałam ponad wszelką wątpliwość, że jeśli nie użyję drastycznych środków, Cezar zabije mojego brata.

Nie mogłam dłużej zamykać oczu na prawdę i ślepo wierzyć w szczęśliwe zakończenie.

Jego słowa wyostrzyły mi również zmysły: widziałam otoczenie wyjątkowo wyraźnie i po raz pierwszy pojęłam jego znaczenie.

Byłam w Sali Sybillińskiej. Na ścianach przede mną malowane jaskrawym szkarłatem, lazurytem i złotem postaci starotestamentowych siwobrodych proroków zadzierały głowy ku niebiosom, uniesionymi rękami wskazując, skąd przyjdzie zbliżający się sąd nad ludźmi.

Poniżej sybille o dzikich oczach wpatrywały się w apokalipsę.

Pomyślałam o Savonaroli, ciskającym gromy z ambony, nazywającym papieża Aleksandra Antychrystem. Pomyślałam o donnie Esmeraldzie na kolanach przed ołtarzem San Gennara, płaczącej z powodu zbliżającego się Sądu Ostatecznego.

Twarz jednej wieszczki - złotowłosej i bladolicej, nieokrytej czarnym welonem - przykuła moją uwagę. W tym momencie każde słowo przepowiedni stregi wróciło do mnie, jakby na nowo wypowiedziała je wiedźma z malowidła: „W twoich rękach spoczywają losy ludzi i narodów. Dwie siły, które są w tobie, moc dobra i moc zła, muszą zostać użyte każda w swoim czasie, bo zmieniają bieg wypadków”.

A ja wykrzyknęłam: „Nigdy nie ucieknę się do zła!” Jeszcze niedawno próbowałam utwierdzić się w przekonaniu, że najgorszym złem, któremu muszę stawić czoło - a które odrzuciłam - jest ślub z Cezarem Borgia.

Strega odparła spokojnie: „W takim razie skazujesz na śmierć tych, których najbardziej kochasz”.

Podczas drugiego spotkania znów jasno ukazała mi mój los. Użyłam już jednej broni, powiedziała; muszę użyć drugiej. Zawsze wiedziałam, co to oznacza. Po prostu nie chciałam się z tym pogodzić.

Stojąc w Sali Sybillińskiej, uświadomiłam sobie, że nie mam wyboru. Mogłam się zdać na dyplomację, na łaskawość papieża, na szczęście, na mało prawdopodobne przypuszczenie, że groźba Cezara okaże się pozorna i nigdy nie dojdzie do następnej napaści.

Jeśli dam się tym omamić, Alfonso zginie.

Albo przyjmę fakt, że przeznaczenie dało mi zimną krew ojca i starego Ferrantego. Wiedziałam, że jestem silna i zdolna do czynów, których nie dopuściłby się ktoś o łagodniejszym sercu.

W tamtym momencie podjęłam decyzję: z miłości do brata postanowiłam zamordować Cezara Borgia.

Przez resztę dnia z chłodnym oderwaniem wykonywałam pielęgnarskie obowiązki, uśmiechałam się i rozmawiałam z bratem i Lukrecją, a jednocześnie zastanawiałam się, jak zgładzić wodza papieskich wojsk.

Oczywiście w grę wchodził tylko sposób, który nie ściągnąłby podejrzeń na Neapolitańczyków, co wykluczało również rychłe wykonanie, gdyż papież natychmiast obarczyłby winą Alfonsa i posłał go na śmierć. Gdyby zamach się nie powiodł, Cezar osobiście by się tym zajął. Chociaż więc niczego nie pragnęłam bardziej niż dokonać dzieła własnym sztyletem i szybko nasycić się zemstą, trzeba było zachować ostrożność. Musieliśmy poczekać. Najlepiej uderzyć, gdy Alfonso wydobrzeje na tyle, by uciec w bezpieczne miejsce.

Uznałam, że rozwiązaniem będzie płatny zabójca, z którym nawiążę kontakt poprzez licznych pośredników, co utrudni wyśledzenie zleceniodawcy.

Nawet nie pomyślałam o poproszeniu o pomoc Jofrego. Bez względu na to, jaką zazdrość żywił wobec starszego brata, brakowało mu odwagi i nie byłby w stanie utrzymać języka za zębami. Nie poprosiłam też Lukrecji, choć bez wątpienia miała odpowiednie kontakty; ochrona męża to jedno, a zabicie brata to zupełnie co innego. Wolałam nie wystawiać jej lojalności na zbyt ciężką próbę.

Była jedna osoba, która znała więcej ludzi niż ktokolwiek z nas i miała powiązania z siecią kontaktów, dzięki którym mogła uzyskać najbardziej dokładną wiedzę o każdym człowieku i wydarzeniu - była to też jedyna osoba, której ufałam nie mniej niż Alfonsowi. Ona, uznałam, będzie pierwszym ogniwem w moim łańcuchu.

Tamtej nocy, gdy Alfonso i Lukrecja spali obok siebie, obróciłam się ostrożnie na bok i wstałam. Na palcach podeszłam do materaca, na którym leżąc na wznak, drzemała donna Esmeralda.

Przykłęklam obok i szepnęłam na ucho jej imię; otworzyła oczy i drgnęła. Zakryłam jej dłonią usta, żeby była cicho.

- Musimy porozmawiać na zewnątrz - powiedziałam półgłosem i wskazałam drzwi na balkon.

Pomimo senności posłuchała polecenia i wyszła ze mną, a potem poczekała, aż zamknęłam oszklone drzwi.

- O co chodzi, madonna? - wyszeptwała.

Przysunęłam się do niej tak blisko, że musnęłam wargą jej ucho, i tak cicho, że ledwie słyszałam własne słowa, powiedziałam:

- Miałaś rację. Cezar jest niegodziwcem, a teraz nadszedł czas, żeby go powstrzymać. Dzisiaj bez ogródek oznajmił mi, że zamierza dokończyć dzieła i zabić Alfonsa.

Esmeralda cofnęła się i stęknęła przerażona; przycisnęłam palec do warg, nakazując jej milczenie.

- Musimy zachować spokój. Jestem pewna, że znasz służących, którzy mogą mnie skontaktować z kimś... z człowiekiem, którego usługi można kupić.

Otworzyła szeroko oczy; przeżegnała się.

- Nie mogę wziąć udziału w morderstwie. To śmiertelny grzech.

- Wina spadnie w całości na mnie. Rozkazuję ci to zrobić; Bóg wie, że nie ponosisz żadnej odpowiedzialności. - Umilkłam na moment. - Nie rozumiesz, Esmeraldo? Wreszcie wykonujemy dzieło Savonaroli. Kładziemy kres złu. Jesteśmy mściwą ręką Boga skierowaną przeciwko Borgiom.

Znieruchomiała, zastanawiając się nad tym.

Dałam jej chwilę czasu do namysłu, a potem jęłam znów forsować swoją sprawę.

- Przysięgam przed Bogiem; wzywam Go na świadka. Ta krew spadnie tylko na moją głowę. Pomyśl o grzechach, które popełnił Cezar: o tym, jak zamordował własnego brata, jak zgwałcił Caterinę Sforzę i wiele innych kobiet, jak sterroryzował Italię i zdradził Neapol... My nie jesteśmy przestępcami, lecz narzędziem sprawiedliwości.

Milczała. Wreszcie przybrała surową minę; podjęła decyzję.

- Jak szybko ma do tego dojść, madonna? Uśmiechnęłam się w mroku.

- Kiedy Alfonso będzie na tyle zdrow, żeby uciec. Powiedzmy, dokładnie za miesiąc od dzisiaj, nie później. - Wiedziałam, że Cezar musi się liczyć z tymi samymi ograniczeniami co ja; gdyby zaatakował ponownie zbyt szybko, nawet potajemnie, wszyscy wiedzieliby, że jest winny. A Neapol i Hiszpania podniosłyby takie larum, że Aleksander nie mógłby tego zignorować.

- Za miesiąc - potwierdziła. - Niech Bóg nas do tego czasu zachowa w opiece.

Minęły dwa tygodnie, lipiec przemienił się w sierpień. Donna Esmeralda poczyniła niezbędne przygotowania, choć nie podzieliła się ze mną szczegółami przez wzgląd na bezpieczeństwo. Zaufana służka przyniosła z moich komnat klejnot, którym miałam opłacić zabójcę.

Mimo parnego rzymskiego upału Alfonso uniknął zakażeń i gorączki -był to efekt troskliwej pielęgnacji Lukrecji i mojej. Z biegiem czasu głęboka rana w udzie zagoiła się na tyle, że mógł chodzić na niewielką odległość; często wychodził na balkon, skąd spoglądał na wspaniałe watykańskie ogrody. Ostatecznie przenieśliśmy tam fotele z otomanami, żeby mógł podeprzeć chorą nogę; siadywał tam często i wygrzewał się na słońcu.

Pewnego popołudnia siedziałam z nim i rozmawiałam. Lukrecję zmożyły niepokój i zmęczenie i spała na materacu w komnacie. Zachodzące słońce tonęło między kolumnami chmur, które jarzyły się koralową czerwienią.

- Byłem głupi, że w ogóle wróciłem do Rzymu - przyznał z goryczą Alfonso. Opuścił go przyrodzony dobry nastrój; teraz w jego głosie pobrzmiwał posepny ton porażki. - Miałaś rację, Sancho. Powinienem zostać w Neapolu i nalegać, żeby Lukrecja do mnie dołączyła. Teraz wszyscy jesteśmy zagrożeni z mojego powodu.

- Lukrecja nie - odparłam zmęczonym głosem - ani mały Rodrigo. Papież nigdy nie pozwoliłby skrzywdzić krewnego.

Alfonso popatrzył na mnie z ponurą trzeźwością w oczach.

- Papież nie ma już władzy nad Cezarem. Nie zapominaj, że nie mógł go powstrzymać od zabicia Juana.

Umilkłam. Nie powiedziałam mu, że zaczęłam przygotowania do zamachu na życie Cezara; nigdy by tego nie pochwalili. Tajemnica musiała pozostać między mną a Esmeraldą.

Jeden z gwardzistów przez wzgląd na śpiącą Lukrecję po cichu wyszedł na balkon i złożył ukłon.

- Donna Sancha - powiedział - pani mąż, księżę Saquillace, prosił o pozwolenie na spotkanie. Teraz czeka przed drzwiami apartamentu.

Zawahałam się. Zerknęłam na Alfonsa.

Ostatnio mąż w ogóle się ze mną nie kontaktował. Sądziłam, że nie pochwała działania Cezara - bez wątpienia je potępiał - ale wiedziałam też, że z natury unika gniewu starszego brata.

- Przeszukajcie go - rozkazał Alfonso.

- Już pozwoliliśmy sobie to uczynić, mości księżę - odrzekł żołnierz. - Nie ma przy sobie broni. Mówi, że pragnie tylko wejść, aby zamienić parę słów z żoną.

Wstałam, gestem ręki dając bratu znak, żeby nie ruszał się z miejsca.

- Porozmawiam z nim.

Zostawiłam Alfonsa na balkonie i przeszłam bezszelestnie przez sypialnię do antykamery. Nie było tam już tak wielu ludzi jak pierwszego dnia po napaści. Ambasadorowie Hiszpanii i Neapolu udali się do swych obowiązków, pozostawiając tylko przedstawicieli; neapolitańscy lekarze wciąż czuwali, zawsze gotowi na wezwanie.

Kiedy zbliżyłam się do otwartych drzwi, wartownicy strzegący wejścia rozstąpili się i dostrzegłam Jofrego.

- Sancho, proszę - powiedział ze zrozpaczoną miną. - Czy mogę z tobą chwilę porozmawiać?

- Wyjść do ciebie? - spytałam. To Alfonso był celem; nie bałam się o własne życie.

Jofre stał się wyraźnie nerwowy.

- Nie - odparł. - Wygodniej będzie nam tam. - Wskazał głową na anty-kamerę.

Zastanowiłam się. Przez krótką chwilę rozważałam, czy to Cezar przysłał młodszego brata w roli niebudzącego podejrzeń zabójcy, lecz potem odrzuciłam tę myśl. Znałam Jofrego, wiedziałam, że jest czasem słaby, ale jednocześnie niezdolny do nikczemności.

- Przepuście go - rozkazałam strażnikom.

Jofre wszedł i natychmiast objął mnie z prawdziwą namiętnością i żalem.

- Wybacz mi. Wybacz, że nie zjawiłem się wcześniej - wyszeptał mi na ucho. - Cezar zagroził, że mnie zabije, jeśli przyjdę, i nawet ojciec zabronił mi wizyty. Próbowałem do ciebie dotrzeć, ale dopiero teraz mi się udało.

Odsunęłam się nieco i mu się przyjrzałam. W jego głosie, wyrazie twarzy, gestach widziałam szczerłość. Uwierzyłam mu.

Lecz uwierzyć nie znaczy zaufać. Miał dobre intencje, ale nie był dość silny, by wtajemniczyć go w sprawę. Postanowiłam nie mówić mu niczego o planach wywiezienia Alfonsa, możliwie jak najszybciej, do Neapolu ani o naszej poufnej wymianie korespondencji z królem Federikiem. A już na pewno nie zamierzałam zdradzać mu, że chcę zabić Cezara. Niepokój w jego oczach sprawił jednak, że pociągnęłam go w głąb apartamentu, z dala od oczu i uszu gwardzistów i dyplomatów, obok śpiącej Lukrecji i dalej na balkon, gdzie siedział Alfonso.

- Don Alfonso - powiedział Jofre na jego widok. - Drogi bracie, wybacz mi grzechy mojego krewnego. Często szeptano, że nie jestem prawdziwym Borgią... nie, nie ma potrzeby protestować, Sancho, słyszałem wszystkie plotki. Żaden z moich braci nie słyszał nigdy z dobroci i wszyscy lżyli mnie bezlitośnie z tego powodu. Może tak być, bo nie chcę, żeby w moich żyłach płynęła krew zdolna do równie ohydnej zbrodni.

Alfonso początkowo patrzył na niego nieufnie, lecz gdy usłyszał te słowa, twarz mu złagodniała i wyciągnął do niego rękę. Jofre uścisnął ją mocno, a potem zwrócił się znowu do mnie.

- Sancho, tak bardzo za tobą tęskniłem. Nie chcę być z dala od ciebie. Nie mogę znieść, że ty i brat jesteście więźniami we własnym domu.

Pokręciłam ze smutkiem głową.

- Znasz na to radę?

- Cezar nie słucha nikogo, a mną pogardza. Próbowałem rozmawiać z ojcem, ale to na nic. Tak naprawdę... - zniżył głos - przyszedłem was ostrzec.

Alfonso prychnął sarkastycznie.

- Mamy pełną świadomość niebezpieczeństwa, które nam zagraża.

- Nie śmieję się - upomniałam go. - Wysłuchajmy, co mój mąż ma nam do powiedzenia.

- Nie chcę wiedzieć niczego o waszych planach - oświadczył Jofre. -Przyszedłem tylko po to, żeby powiedzieć Sanchy, że ją kocham i zrobię dla niej wszystko, a tobie, Alfonso, powtórzyć rozmowę mojego ojca z ambasadorem Wenecji.

Alfonso spoważniał.

- Co słyszałeś?

Wenecja była sprzymierzeńcem Neapolu i wrogiem Francji.

- Podczas audiencji u Jego Świątobliwości ambasador wspomniał, że słyszał plotki, iż to Cezar odpowiada za napaść na ciebie - odparł Jofre. - „Istotnie”, powiedział ojciec. „Cóż, jesteśmy Borgiami. Ludzie zawsze opowiadają o nas plotki”. Na co ambasador odrzekł: „To prawda, Ojciec Święty. Ale ciekawi mnie, czy Wasza Świątobliwość wierzy, że to tylko plotka... czy prawda?” Ojciec poczerwieniał na twarzy i zażądał wyjaśnień: „Oskarżasz waśc mojego syna o napaść na Alfonsa?” „Nie”, odparł Wenecjanin. „Pytam, czy księżę Walencji rzeczywiście go zaatakował, czy nie”. W końcu -dodał Jofre - ojciec zawołał z irytacją: „Jeśli Cezar zaatakował Alfonsa, to ten z pewnością sobie na to zasłużył!”

Zastanawialiśmy się nad tym dłuższą chwilę. W końcu brat powiedział cicho:

- Teraz już wiemy, po czyjej stronie stoi Jego Świątobliwość. Poczułam dreszcz strachu. Jeśli papież potajemnie popierał Cezara i tylko

udawał, że stara się pomóc Lukrecji, może nie należało zwlekać z zamordowaniem Cezara. Ale gdybyśmy zabili go teraz, papież mógłby wziąć odwet na moim bracie... Wydawało się, że sytuacja jest bez wyjścia.

- Chciałem, żebyście o tym wiedzieli - powiedział Jofre.

- To, co zrobiłeś, wymagało wielkiej odwagi - pochwaliłam go i pocałowałam z wdzięczności.

Nie mógł z nami zostać; zdawałam sobie sprawę, że jego życie też może być zagrożone. Wzięłam go za rękę i odprowadziłam do drzwi, gdzie się pożegnaliśmy.

- Chcę tylko być znowu z tobą - zwierzył się na odchodnym. Postanowiłam nie ranić go i nie powiedziałam mu prawdy: że pragnę nie

jego, lecz powrotu do Neapolu i że nigdy nie będę mogła odetchnąć spokojnie, póki Cezar nie umrze, a ja i Alfonso nie wrócimy do domu, naszego prawdziwego domu nad morzem.

Alfonso z wahaniem opowiedział żonie o tym, co zrelacjonował nam Jo-fre. Wiadomość mocno nią wstrząsnęła, lecz później przyznała, że nie dziwi jej niestałość Aleksandra.

Wkrótce potajemne ustalenia z królem Federikiem zostały potwierdzone: przed świtem Alfonso i Lukrecja mieli być razem odeskortowani przez oddział wiernych żołnierzy do rzadko uczęszczanego bocznego wyjścia. Papiaska straż przy bramie - ludzie na służbie Jego Świątobliwości, którzy mogliby wszcząć alarm - odwiedziła już nasz apartament, a Lukrecja pokazała klejnoty ze swojej kolekcji, które staną się ich, jeśli będą trzymać języki za zębami. Piastunka, która opiekowała się małym Rodrigiem, spędzającym nocę w pokoju dzieciennym z dala od rodziców, mogła sobie wybrać jeden ze szlachetnych kamieni Lukrecji i wskazała najdrogocenniejszy rubin. W zamian miała przynieść synka rodzicom o umówionej porze.

Gdy Alfonso z żoną i dzieckiem znajdą się poza murami Watykanu, miał na nich czekać oddział dwudziestu czterech neapolitańskich żołnierzy z końmi i powozem tak, aby mogli uciec z Rzymu, zanim Cezar i papież odkryją ich zniknięcie.

Postanowiłam pojechać razem z nimi i zabrać donnę Esmeraldę, choć nie powiedziałam o niczym Jofremu.

Ucieczkę zaplanowaliśmy za tydzień - przyjmując, że zdrowie Alfonsa będzie się systematycznie poprawiać.

Choć czułam się bezsilna, zmuszona do przebywania w jednej komnacie, otoczona strażą i w ciągłym lęku o życie brata, świadomość, że nasze więzienie wkrótce się skończy, podnosiła mnie na duchu. Nastrój Lukrecji też się poprawiał, w miarę jak zbliżał się termin ucieczki, zwłaszcza gdy stało się jasne, że Alfonso będzie na tyle zdrowy, żeby pojechać.

Często spoglądałam na wizerunki sybilli, szczególnie na tę o złotych włosach. Z chmurną miną wpatrywała się w odległą, przerażającą przyszłość.

W tym czasie odwiedził nas ambasador Wenecji, który osobiście potwierdził sprawozdanie Jofrego. Uprzejmie zaoferował pomoc, a my podziękowaliśmy i powiedzieliśmy, że zwrócimy się do niego, gdyby zaszła potrzeba.

Bez wątpienia jego obecność w naszej komnacie wzbudziła niepokój Jego Świątobliwości, bo wkrótce wezwał do siebie Lukrecję.

Wróciła z niej roztrzęsiona, lecz bardzo stanowcza. Alfonso spojrział na nią pytająco.

- Ojciec osobiście opowiedział mi o rozmowie z ambasadorem - rzekła.
- Twierdził, że zdenerwowały go napastliwe pytania i palną głupstwo. - Wcale mnie to nie zaskoczyło, bo papież wiedział o wizycie Wenecjanina. - Bar-

dzo żałuje, że twierdził, iż Alfonso zasłużył na cios, który zadał mu Cezar. Poprosił mnie o przekazanie ci jego osobistych przeprosin.

- Jeśli Jego Świątobliwość pragnie mnie przeprosić - odparł zimno Alfonso - czemu nie uczyni tego sam?

Lukrecja popatrzyła na męża i spostrzegłam udrękę w jej oczach. Mimo wzburzenia zamachem na Alfonsa jakaś część jej samej - ta, która łaknęła normalnej rodzicielskiej czułości - pragnęła uwierzyć zapewnieniom ojca. Poczułam ukłucie rozpaczy.

- Może wstydi się za Cezara - podsunęła. - Może nie przyszedł, ponieważ się wstydi.

- Lukrecjo... - zaczął Alfonso, lecz przerwała mu pośpiesznie.

- Zwrócił również uwagę, że jesteśmy pod ochroną jego żołnierzy i od tej pory nie spotka nas żadna krzywda. Boleje nad tym, że sądzimy, iż poparł atak na ciebie. Zaoferował wszelką pomoc, jakiej będziemy chcieli.

- Nie możesz mu ufać, Lukrecjo - powiedział cicho Alfonso. Pokiwała głową, lecz widać w niej było wewnętrzne rozdarcie.

Następnego dnia - jakby usłyszał słowa Alfonsa - pojawił się papież. Żołnierze rozstąpili się, nie sprawdzając gościa ani go nie anonując; ostatecznie to jemu właśnie służyli.

O dziwo, Aleksander przybył bez żadnej świty - a gdy Alfonso, Lukrecja i ja zaskoczeni podnieśliśmy na niego wzrok z naszych foteli w antykameryze, gdzie towarzyszyli nam neapolitańscy lekarze Galeano i Clemente - uniósł dużą, sękatą dłoń, dając znak, żebyśmy nie wstawali. Z szacunku medycy wstali, ukłonili się i wyszli.

- Nie przychodzę tu jako papież - powiedział Aleksander, gdy zniknęli za drzwiami - lecz jako ojciec.

To rzekłszy, z cichym stęknieniem - bo starość zbierała już żniwo - usiadł naprzeciwko nas i pochylił się w przód, kładąc dłonie na okrytych białym atłasem kolanach.

- Alfonso, mój synu - powiedział. - Prosiłem Lukrecję, żeby przekazała ci przeprosiny i wyjaśniła pochopne słowa, których użyłem w rozmowie z weneckim ambasadorem. Patrząc wstecz, widzę, jak okropnie można je interpretować. Pragnę, aby stało się jasne, że choć Cezar jest moim synem i naczelnym dowódcą moich wojsk, często się ze sobą nie zgadzamy. Zganiłem go surowo za udział w napaści na ciebie, choć on zaprzecza, jakoby miał z tą sprawą cokolwiek wspólnego. Cezar jest żołnierzem, ma lodowate serce, inne niż ja. - Spojrzał uważnie pośliskimi oczyma na mojego brata. - Musisz zrozumieć, że nigdy nie podniosłbym ręki na krewnego. To nie leży

w moim charakterze, nigdy bym czegoś podobnego nie poparł. Serce mi znowu krwawi, gdy słyszę, co Cezar ci uczynił.

Ostatnim zdaniem pośrednio przyznał, że Cezar był winny śmierci Juana. Wiedziałam, że starzec naprawdę ciężko przeżył zabójstwo syna, i po raz pierwszy pomyślałam, że Aleksander może mówić prawdę. Może rzeczywiście nie wiedział o planach zamachu na Alfonsa. Gdyby naprawdę wspierał Cezara, wystarczyło, aby nie wezwał swojego lekarza i odmówił Lukrecji żołnierzy. Mógł też zmusić nas obie do patrzenia, jak Alfonso wykrwawia się na śmierć.

Nie, skarciłam się w duchu, przerażona, że zaczynam ulegać argumentacji Aleksandra. Przecież robi to, ponieważ uzmysłowił sobie, że traci córkę i będzie mówił cokolwiek, byle tylko zatrzymać ją w Rzymie.

Zawiesił głos; nikt z nas się nie odezwał, bo wszystkich zdumiała jego otwartość.

- Co wieczór modłę się do Boga, aby wybaczył mojemu synowi to, co zrobił - podjął smutno Aleksander. - I modłę się, żeby miał nade mną litość, że jestem głupim starcem, który nie znalazł sposobu, by nie dopuścić do tych potworności. Mam nadzieję, Alfonso, że pewnego dnia będziesz w stanie wybaczyć mi to zaniedbanie. Na razie wiedz, że otrzymasz ode mnie każdą pomoc, jaka ci się może przydać pod moim dachem. - Ze stęknieniem dźwignął się z fotela. Alfonso również wstał, a Jego Świątobliwość znów powstrzymał go gestem ręki. - Nie - nalegał. - Siedź. Wypoczywaj.

Lecz Alfonso stał dzielnie o własnych siłach.

- Dziękuję, Wasza Świątobliwość, za wizytę i dobre słowo. Niechaj Bóg będzie z wami. - Ton jego głosu był bezsprzecznie dworny, ale znałam swojego brata. Nie uwierzył w ani jedno słowo z przemowy papieża.

- I z wami. - Aleksander pobłogosławił nas znakiem krzyża i wyszedł.

Po odwiedzinach papieża Lukrecja wyraźnie posmutniała. Może wreszcie zdała sobie sprawę, że wyjeżdżając do Neapolu, na zawsze zerwie rodzinne więzy i z pewnością nigdy więcej nie zobaczy ojca żywego. Było mi jej żal, lecz jednocześnie nie mogłam stłumić radości na myśl o rychłym uwolnieniu się od zdradliwych Borgiów; w rzeczywistości z wytęsknieniem oczekiwałam chwili, gdy usłyszę o śmierci Cezara.

Mieliśmy uciec dwudziestego sierpnia przed świtem.

Osiemnasty sierpnia, na dwa dni przed planowanym wyjazdem, zaczął się od spokojnego poranka - dla mnie pełnego błogości. W duszy pozbyłam się już wszystkich rzeczy, które posiadałam w Rzymie. Nie śmiałam ryzykować i prosić Jofrego o przyniesienie mi czegokolwiek, co mogłabym zabrać do

Neapolu. Moje odejście mogło go zranić, lecz jeśli mnie naprawdę kocha, znajdzie sposób, aby do mnie dołączyć.

Pogodziłam się z myślą, że pojedę do Neapolu z dwiema sukniami, które miałam ze sobą. Nie przejmowałam się tym, że już nigdy nie zobaczę swoich klejnotów.

Tak więc tego ranka byłam radosna, Alfonso niespokojny, a Lukrecja ponura, bo już zaczęła tęsknić za rodziną i Rzymem. Staraliśmy się zachowywać jak najbardziej naturalnie, aby żaden gość nie odgadł, iż nasz pobyt w Sali Sybillińskiej dobiega końca. Lukrecja poleciła przynieść małego Rodriga i bawiliśmy się z nim przez całe przedpołudnie: malcowi doskonale udało się oderwać naszą uwagę od innych spraw, bo już raczkował i musieliśmy biegać za nim, żeby niczego nie zbroił. W końcu chłopczyk zasnął w ramionach ojca, a Lukrecja patrzyła na nich przez godzinę z miłością tak głęboką, że się wzruszyłam.

Przed obiadem odesłała jednak małego Rodriga z powrotem do dzieciennego pokoju, aby został nakarmiony, i zostaliśmy sami z własnymi myślami.

Po południu, senna od nieprzespanej nocy, wypełnionej myślami o Neapolu, poszłam z Lukrecją do sypialni, gdzie obie padłyśmy na materace. Usnęłam prawie natychmiast, ale wątpię, czy udało się to Lukrecji; pamiętam, że tuż przed odpłynięciem w sen słyszałam, jak przewraca się niespokojnie z boku na bok.

Zbudziły mnie stukot marszowych kroków i męski głos wydający komendę – potem znowu kroki oddalających się żołnierzy. Dźwięki te tak mnie zaniepokoiły, nawet zanim w pełni oprzytomniałam, że serce zaczęło mi walić jak młotem. Wyskoczyłam z łóżka i pobiegłam do antykamery.

Papiescy strażnicy, którzy nas ochraniali, zniknęli; w ich miejsce pojawili się nieznani mi żołnierze i ciemnowłose, ubrany w czerwoną pelerynę dowódca o pełnym godności sposobie zachowania, który przypominał mi zmarłego Juana de Cervillona.

Większość żołnierzy trzymała dobyte szpady. Na moich oczach dwaj z nich podeszli do don Clementego i don Galeana i łańcuchami skrępowali im ręce za plecami.

- Madonna Sancha - rzekł uprzejmie dowódca i uklonił się nisko. - Czy mogę spytać, gdzie przebywa pani książęcy brat?

- Tu jestem - powiedział Alfonso.

Odwróciłam się. Stał w drzwiach z ręką wspartą o framugę. W drugiej trzymał sztylet, a oczy lśniły mu determinacją człowieka gotowego walczyć aż do śmierci.

Lukrecja wybiegła z antykamery, żeby przyłączyć się do męża.

- Don Micheletto - powiedziała z nieskrywaną odrazą. - Nie miałeś waść prawa odprawić naszych straży: wartownicy byli tu z rozkazu Jego Świątobliwości. Wezwij ich natychmiast z powrotem i zabierz stąd swoich ludzi.

Rozpoznałam imię, choć nie twarz: Micheletto Corella był zastępcą Cezara jako naczelnego dowódcy.

- Donna Lukrecja - odparł znowu z łagodną kurtuazją, jakby jego ludzie nieśli raczej dar kwiatów i owoców niżli miecze. - Obawiam się, że nie mogę usłuchać. Mam rozkazy od generała i muszę je wykonać. Polecono mi aresztować wszystkich mężczyzn, który tu przebywają, włącznie z księciem, pod zarzutem zmywy przeciwko rodowi Borgiów.

Zaparło mi dech w piersi, poczułam ogarniające mnie na przemian fale gorąca i zimna. Spisek przeciwko Cezarowi został najwyraźniej odkryty -i przypisany mojemu bratu.

- To kłamstwo - powiedział Alfonso - z czego doskonale zdajesz sobie waść sprawę, don Micheletto.

Micheletto nie zamierzał się bronić.

- Po prostu wykonuję rozkazy, don Alfonso. Powiedziano mi, że razem z innymi spiskowcami chcesz zamordować zarówno Cezara Borgię, jak i Ojca Świętego. Mam cię odstawić do więzienia w Castel SanAngelo.

- Mój ojciec nigdy tego nie poprze! - zaprotestowała Lukrecja. - Zagwarantowałam don Alfonsowi swoją opiekę. Co więcej, sprzeciwił się w tej sprawie Cezarowi i będzie wściekły, gdy się dowie, że próbujecie aresztować mojego męża. Jeśli go tkniesz, zapłacisz za to głową! Sama tego dopilnuję!

Micheletto tym razem jał się poważnie zastanawiać; na jego twarzy pojawiła się niepewność.

- Nie chciałbym postępować wbrew rozkazom Jego Świątobliwości, który jest moim najwyższym zwierzchnikiem. Chętnie poczekam, jeśli pragniecie zwrócić się do niego. - Nie było to pozbawione sensu, jako że Aleksander przebywał o dwie komnaty dalej. - Jeśli Jego Świątobliwość każe nam odejść, oddalę się bez więźniów.

Lukrecja ruszyła do otwartych na oścież drzwi. Mijając mnie, złapała moje ramię.

- Chodź - poleciła mi. - We dwie przekonamy ojca. Jestem pewna, że przyjdzie i rozmówi się z don Michelettem.

Wyrwałam się, zdumiona jej naiwnością: czyżby bystra Lukrecja naprawdę wierzyła, że bezpiecznie byłoby zostawić Alfonsa samego, ze sztyletem i kilkoma nieuzbrojonymi sługami na łaskę żołnierzy Cezara?

- Zostanę - oznajmiłam.

- Nie, chodź - nalegała. - We dwie możemy go przekonać.

Znów spróbowała złapać mnie za rękę.

Zwariowała, pomyślałam. Albo jest głupsza, niż sądziłam. Cofnęłam się i powiedziałam:

- Lukrecjo, jeśli jedna z nas nie zostanie, mój brat będzie stracony.

- Chodź - powtórzyła, tym razem pusto brzmiącym głosem. Jeszcze raz wyciągnęła ku mnie rękę. Zrozumiałam, o co chodzi w tej grze, i z gniewem, że mnie zdradziła, sięgnęłam po sztylet.

I nagle wpadłam w panikę: broń, którą Alfonso ofiarował mi wiele lat temu, zniknęła. Ktoś mi ją ukradł, kiedy spałam albo byłam zajęta czymś innym - ktoś, kto wiedział, że przyjdzie Corella i co się rozegra.

Tylko trzy osoby wiedziały o istnieniu sztyletu: Alfonso, który mi go dał, Esmeralda, która mnie ubierała... i Cezar, który uratował mnie tej nocy, gdy użyłam broni przeciwko pijanemu teściowi.

Spojrzałam na Lukrecję z niewymowną złością. Odwróciła wzrok.

Rzuciłam się między Micheletta i brata. Mogłam już tylko osłonić Alfonsa własnym ciałem.

Natychmiast pochwyciło mnie dwóch żołnierzy i wypchnęło na korytarz. Zatoczyłam się i padłam na twarde, zimny marmur posadzki.

Zapłątana w spódnicę, próbowałam wstać; udało mi się dopiero, gdy z sali wyszła Lukrecja.

Drzwi zamknęły się za nią z trzaskiem, rozlegającym się echem w długim watykańskim korytarzu.

Powoli osunęła się na kolana, po drugiej stronie grubych drzwi słychać było zgrzyt rygli.

Wbiłam w nią nienawistny wzrok, nie pojmując, jak mogła dopuścić się czegoś tak potwornego. Nie chciała na mnie spojrzeć. Jej oczy, skupione na jakimś odległym punkcie, były martwe, pozbawione blasku.

Krzyknęłam z taką siłą i gniewem, że poczułam piekący ból w płucach.

- Dlaczego?

Rzuciłam się na nią gdybym miała sztylet, zabiłabym ją. Zamiast tego okładałam ją pięściami - bezsilnie, gdyż żalność odebrała mi energię, sprawiając, że członki stały się ciężkie, odrętwiałe.

Nie poruszyła się, jej ciało było bezwładne jak u trupa.

- Dlaczego? - zawołałam znowu.

Ocknęła się, jakby wróciła z dalekiej podróży, i szepnęła:

- Rodrigo.

Wyrzuciwszy z siebie to pojedyncze słowo, rozplakała się. Łzy płynęły cicho po twarzy pozbawionej wyrazu, jakby lód się topił.

Początkowo uznałam, że ma na myśli papieża i wzdrygnęłam się z obrzydzenia: czy to spisek, który uknuł jej ojciec i kochanek?

Ale widząc czystość jej żalu, pojęłam z nagłą trwogą, że chodzi jej o synka. O małe dziecko. Cezar musiał ją zaszantażować, używając jedynej groźby, która mogłaby poskutkować, bo tylko jedną osobą na świecie Lukrecja kochała bardziej niż Alfonsa.

W tamtej chwili nienawidziłam jej najmocniej, a zarazem rozumiałam ją najlepiej. Wykrzykując imię brata, uniosłam ramiona i jęłam walić na próżno w drzwi, aż posiniaczyłam sobie dłonie. Lukrecja wciąż płakała cicho.

34

Długa, upiorna cisza zaległa za zaryglowanymi drzwiami apartamentu. Naruszały ją tylko moje krzyki i ciche łkania Lukrecji. Wreszcie drzwi otworzyły się i wyszedł don Micheletto. Wstałam, próbując przecisnąć się obok niego i zobaczyć na własne oczy skutek powrotu brata do Rzymu, lecz żołnierze zagroździ mi przejście.

- Donna Lukrecja - powiedział Micheletto łagodnym i współczującym tonem - wydarzył się nieszczęśliwy wypadek. Pani mąż upadł, otworzyła się jedna z ran. Przykro mi, że muszę przekazać smutną nowinę, ale księżę Bisciglie zmarł od nagłego krwotoku.

Za jego plecami, z fresków Pinturicchia sybille spoglądały niemo na tę najupiorniejszą ze zbrodni.

- Kłamca! - wrzasnęłam, nie panując nad sobą. - Morderca! Jesteś równie zły jak twój pan!

Micheletto był też równie opanowany jak Cezar; puścił wyzwiska mimo uszu, jakbym ich nigdy nie wypowiedziała, i całą uwagę poświęcił Lukrecji, która wciąż siedziała na posadzce, odwrócona plecami do żołnierza, a ciche łzy nadal płynęły jej po policzkach.

- Co za okropność! - mruknął oficer. - To dla niej zbyt wielki wstrząs. Pochylił się, by pomóc jej wstać. Ruszyłam do przodu i go spoliczkowałam.

Cofnął się, oszołomiony, lecz miał zbyt zimną krew, żeby się zaczerwienić.

- Nie dotykaj jej! - zawołałam. - Nie masz prawa, ty śmieciu, dotykać jej rękami splamionymi krwią jej męża.

Wzruszył tylko ramionami i przyglądał się spokojnie, jak pomagam Lukrecji się podnieść. Zrobiła to jak kukła, pozbawiona własnej woli.

Tymczasem żołnierze wyprowadzili aresztowanych lekarzy, Clementego i Galeana, a także służących Alfonsa. Przedstawicielom ambasadorów polecono się oddalić, a gdy Neapolitańczyk odmówił, przystawiono mu do gardła szpadę.

Potem pokazał się duży oddział papieskiej straży; ci, którzy szli po zewnętrznej stronie, starali się zasłonić ciężar, jaki nieśli ich towarzysze w środku: ciało mojego brata.

Lukrecja odwróciła się, lecz ja precyzyjnie się do przodu, by zobaczyć Alfonsa po raz ostatni; dostrzegłam tylko złociste loki obryzgane krwią i ramię zwisające bezwładnie. Kiedy mnie minęli, próbowałam za nimi podążyć, lecz dwóch żołnierzy wystąpiło do przodu i zastąpiło mi drogę. Zmusili mnie, żebym się cofnęła, po czym stanęli przy boku moim i Lukrecji; najwyraźniej stanowili naszą obstawę.

- Król Neapolu dowie się o tym! - krzyczałam. - Nie unikniecie kary. - Ledwie rozumiałam, co mówię; wiedziałam tylko, że żadne słowa nie są dość silne, by pomścić zbrodnię, która się dokonała. Don Micheletto nawet nie udawał, że się przejmuje; jeden z żołnierzy roześmiał się na głos.

Dołączyły do nas donna Esmeralda i donna Maria; strażnicy odczekali, aż ciało Alfonsa usunięto z widoku, a potem pchnęli nas w przód.

W tamtych chwilach mój umysł odmawiał przyjęcia do wiadomości tego, co się właśnie stało. Odrętwiała, nie uroniłam ani jednej łzy, gdy nas wyprowadzano. Kiedy opuściliśmy apartamenty Borgiów i znaleźliśmy się w korytarzu prowadzącym poza mury Watykanu, spostrzegłam na posadzce coś, od czego ścisnęło mnie serce: pantofel z granatowego aksamitu, jeden z tych, które Alfonso nosił podczas miesięcznej rekonwalescencji; spadł ze stopy, gdy żołnierze wynosili ciało. Pochyliłam się i podniosłam go, a potem przycisnęłam do piersi, jakby był relikwią - i w rzeczy samej był, gdyż mój brat miał serce świętego.

Strażnicy okazali się na tyle mądrzy, że mi go nie odebrali.

Ściskając w rękę pantofel Alfonsa, wyszłam na zewnątrz, na świat, który stał się nagle obcy i pozbawiony znaczenia. Głosy pielgrzymów tłoczących się na placu Świętego Piotra były jazgotliwą, niezrozumiałą paplaniną, ich ruchliwe postaci niewyraźną masą. Ogrody, bujne i zielone w wilgotnym letnim skwarze, zdawały się szydzić, podobnie jak pełny olśniewający marmurowy portal pałacu Santa Maria. Czułam się ponizona i zdradzona: jak świat mógł obnosić się ze swoim pięknem, gdy wydarzyło się najgorsze możliwe zło?

Potykałam się i kilkakrotnie o mało nie upadłam: wydaje mi się, że podtrzymała mnie donna Esmeralda. Byłam świadoma tylko tego, że ktoś pulchny, okryty czernią jest tuż obok i że obejmują mnie znajome, miękkie ramiona.

Żołnierze coś mówili: nie rozumiałam ich. Wiem tylko, że w pewnym momencie znalazłam się w komnatach Lukrecji. Ona też tam była, zapłakana, wraz z donną Marią; donna Esmeralda siedziała obok mnie i od czasu do czasu zadawała pytania, na które nie odpowiadałam.

Gdybym w tych pierwszych upiornych godzinach miała swój sztylet, poderżnęłabym sobie gardło. Nie zważałabym na to, że okazałabym tchórzostwo takie jak ojciec: nic się dla mnie nie liczyło. Ogarnął mnie mrok o wiele głębszy od tego, który panował w komnacie ojca w Mesynie.

W głębi duszy pozostałam krnąbrną jedenastolatką, sprzeciwiającą się zakazowi widywania się z Alfonsem. To niesprawiedliwe, powiedziałam wtedy ojcu, żeby brat cierpiał za coś, czego nie zrobił.

Ojciec uśmiechnął się okrutnie - tak okrutnie jak Cezar Borgia - i zakpił: „I jakie to uczucie, Sancho? Mieć świadomość, że jesteś odpowiedzialna za cierpienie kogoś, kogo najbardziej kochasz?”

Moje wysiłki, aby ocalić Alfonsa przez zabicie Cezara, przyczyniły się bezpośrednio do śmierci brata.

„Zabiliśmy go”, mówiłam do siebie z goryczą, „ja i Cezar”. Gdybym nie pozwoliła sobie na miłość do Cezara, gdybym nie odrzuciła jego oświadczeń, czy mój brat wciąż by żył?

- Skłamałaś - powiedziałam do wróżki; w myślach czy na głos, nie wiem. - Skłamałaś... Powiedziałaś, że jeśli użyję drugiego miecza, ocale go. Próbowałam tylko wypełnić przeznaczenie...

W wyobraźni zobaczyłam przed sobą streżę - wysoką, dumną, okrytą welonem. Milczała jak sybille we wspaniałych apartamentach Borgiaów.

- Dlaczego? - wyszeptałam z tą samą dziką wściekłością, którą okazałam Lukrecji. - Dlaczego? Próbowałam tylko uratować najlepszego, najłagodniejszego człowieka na ziemi...

Wreszcie początkowy wstrząs ustąpił i dotarła do mnie brutalna rzeczywistość: mój brat nie żył. Cezar i ojciec stopili się w myślach w jednego okrutnego, ciemnowłosego mężczyznę, który zabrał mi Alfonsa - tego mężczyznę, którego beznadziejnie kochałam i jednocześnie nienawidziłam.

Jako dziecko płakałam, gdy ojciec rozdzielił mnie z bratem; później przysięgam sobie, że nigdy więcej mężczyzna nie doprowadzi mnie do łez. Nie płakałam, gdy ojciec się powiesił, gdy gwałcił mnie Juan ani gdy odrzucił mnie Cezar. Lecz żalność, która wzbierała we mnie na myśl, że rozstałam się z Alfonsem na zawsze, była zbyt głęboka, zbyt brutalna, żebym mogła się jej wyprzeć. Wstrząsały mną niepohamowane spazmy płaczu; przycisnęłam twarz do kolan i płakałam z taką siłą, że czułam fizyczny ból. W ciągu kilku godzin wypłakałam łzy, które powstrzymywałam przez większość życia, tak

że przemokły mi suknie; płakałam dalej nawet wtedy, gdy Esmeralda łagodnie podniosła mnie i otarła twarz chłodną chustką, a potem położyła ręcznik na kolanach, żeby ściągnął wilgoć.

Alfonso, tylko mój kochany Alfonso był wart moich łez. W końcu opadłam z sił; dopiero wtedy zdałam sobie sprawę z głośnego zawrota głowy. Popatrzyłam na nią z mieszaniną żalu i nienawiści; była taka jak Jofre: słaba. Z pewnością słabsza, niż sądziłam. Na jej miejscu starałabym się znaleźć rozwiązanie, ocalić i męża, i dziecko...

Ale może nigdy tak naprawdę tego nie pragnęła. Może jej bezsilna miłość do Cezara była większa od mojej.

Tak czy inaczej, wszystko, co nadawało mojemu życiu sens, zostało mi odebrane. Nie miałam już siły ani ochoty przejmować się kłopotami Lukrecji. Kiedy się do mnie zbliżyła zalana łzami i spróbowała mnie objąć, błagając o wybaczenie, odepchnęłam ją zdecydowanie. Miałam dość Borgiów i ich zakłamania.

Był zmierzch, gdy w końcu zauważyłam, że donna Esmeralda wyszła do drugiej komnaty i błaga o coś gwardzistów.

- Proszę - mówiła. - Donna Sancha właśnie straciła brata, a donna Lukrecja męża. Nie odmawiajcie im możliwości zobaczenia ciała i udziału w pogrzebie.

Gwardziści byli młodzieńcami, którzy przysięgli wykonywać rozkazy swoich panów, lecz nie podobała im się nasza sytuacja. Szczególnie jeden jawnie okazywał współczucie.

- Proszę wybaczyć - odparł. - To wykluczone. Mamy wyraźny rozkaz nie pozwolić nikomu opuścić tych komnat. Nikt z domowników nie może zobaczyć ciała ani uczestniczyć w pogrzebie. - A potem zarumienił się lekko, zorientowawszy się, że wyjawiał więcej, niż życzyłby sobie dowódca, i zamilkł.

- Proszę - błagała donna Esmeralda. Nalegała tak długo, aż wartownik ustąpił.

- W takim razie niech szybko wyjdą na loggię. Jeśli staną na balkonie, będą mogli zobaczyć przechodzący kondukt.

Słyszając to, Lukrecja wstała. Z wysiłkiem uczyniłam to samo i we dwie podążyłyśmy za żołnierzami na ciepłe wieczorne powietrze.

Cienie, to wszystko, co z tego pamiętam. Może dwadzieścia pochodni otaczało trumnę niesioną przez kilku mężczyzn i dwóch księży. Wiedziałam, że ciało brata potraktowano jak zwłoki innych ofiar Borgiów: pośpiesznie umyto i wsadzono do drewnianego pudła.

Alfonsowi należał się wspaniały pogrzeb z setkami żałobników; swoją dobrocią zasłużył na najpiękniejsze modlitwy i epitafia, na orszak papieży,

cesarzy i kardynałów, lecz pochowali go naprędce, po ciemku, ludzie, którzy go nie znali.

Uznałam, że Bóg, jeśli istnieje, jest najokrutniejszy z nich wszystkich -bardziej zdradliwy niż mój ojciec, papież Aleksander i Cezar - bo stworzył człowieka pełnego miłości i dobroci, a potem zadał mu śmierć i pozbył się go w najbardziej bezduszny, bezsensowny sposób. W życiu liczyła się tylko jedna prawda: nie ma sprawiedliwości ani dla złych, ani dla dobrych.

Razem z Lukrecją patrzyłyśmy, jak niewielka procesja szła nie do bazyliki Świętego Piotra, gdzie powinien spocząć Alfonso, lecz do małej kapliczki Santa Maria delie Febbri. Tam, jak się później dowiedziałam, bezceremonialnie wrzucono trumnę do dołu i oznaczono grób niedużą kamienną płytą.

Donna Esmeralda przyniosła mi pióro i pergamin, i łagodnie skłoniła do napisania listu do stryja Federica o zamordowaniu Alfonsa; nie interesowałam się tym, co się z tym-listem stało, gdyż natychmiast pograżyłam się znowu w mroku. Nie spałam, nie jadłam ani nie piłam; wycieńczona płaczem, po prostu siedziałam, zbyt zdruzgotana, by robić cokolwiek oprócz siedzenia i wyglądania z balkonu na ogród.

Lukrecja była równie bezsilna. Rozkwitła od miłości mojego brata; kiedy został ranny, znalazła w sobie wolę i siłę, o których istnieniu nikt z nas nie miał wcześniej pojęcia. Teraz wszystko to umarło i nie pragnęła nawet zemsty. Dniami i nocami nie robiła nic, tylko płakała. Nie mogła nawet troszczyć się o małego Rodriga. Wstał świt i w drzwiach pojawiła się piastunka, trzymając za rękę krzepkiego brzdąca.

- Płakał, madonna, i pytał o panią - powiedziała do Lukrecji, lecz ona leżała w łóżku z twarzą odwróconą do ściany i nie chciała nawet spojrzeć na chłopca. - Nie widział się dzisiaj ani z ojcem, ani z panią i dlatego się niepokoi.

Ciche pochlipywanie dziecka wytrąciło mnie ze stanu głębszego i mroczniejszego niż sen. Zamrugałam i wstałam... a potem przyklekłam i rozłożyłam ramiona, po raz pierwszy wypuszczając z rąk pantofel Alfonsa.

- Rodrigo, kochanie... Twoja mama jest dziś zmęczona i potrzebuje trochę odpoczynku. Ale *tia* Sancha tu jest i tak się cieszy, że cię widzi.

Jakaś nieoczekiwana łaska pozwoliła mi się uśmiechnąć. Uradowany chłopczyk podbiegł do mnie, objęłam go czule. Kiedy wtuliłam twarz w jego włoski, zrozumiałam Lukrecję trochę lepiej; w tamtej chwili poświęciłabym wszystko dla tego dziecka.

Lecz musiał istnieć sposób, który pozwoliłby uniknąć poświęcenia kogoś równie mi drogiego: Alfonsa.

Znów zebrało mi się na płacz: jakże Rodrigo przypominał mi brata, miał te same kręcone włoski i niebieskie oczy! Ze względu na dziecko uspokoiłam się i nadal uśmiechałam.

- Wyjdziemy do ogrodu? Pobawimy się? - Uwielbiał się ścigać, jak ciotka i matka, a szczególnie lubił biegać ze mną, bo zawsze dawałam mu wygrać.

Gwardziści okazali wyrozumiałość; pozwolili nam wyjść, jeden towarzyszył nam, zachowując stosowną odległość. Wyprowadziłam chłopca do ogrodu, gdzie bawiliśmy się w chowanego między żywopłotami; w obecności bratanka znalazłam łaskę chwilowego zapomnienia. Lecz gdy nadeszła pora, by znowu oddać dziecko pod opiekę piastunki, wróciłam do pałacu i nieubłaganej żałoby. Znalazłam pantofel brata tam, gdzie go porzuciłam, i znowu przycisnęłam z rozpaczą do piersi.

Przez dwa dni pozostawałam z Lukrecją w jej komnatach, gdzie obie byłyśmy pod ścisłym i ciągłym nadzorem. W tym czasie Jego Świątobliwość ani razu nie przyszedł pocieszyć córki, nie raczył też przysłać kondolencji. Nie miałam żadnych wieści od Jofrego.

Drugiego dnia po śmierci Alfonsa Lukrecja została wezwana na spotkanie z Cezarem w Watykanie.

Nie było to zwyczajne spotkanie ani rodzinna narada: Cezar siedział z siostrą przy stole w wielkiej sali, a otaczało ich nie mniej niż stu uzbrojonych żołnierzy.

To wszystko, co Lukrecja powiedziała mi o tym widzeniu - a i to wyjawiała stopniowo, w ciągu kilku godzin. Wróciła tak głęboko wstrząśnięta, że nie śmiała płakać. Natychmiast poleciła przenieść małego Rodriga na stałe do swoich komnat. Nie wątpiłam, że Cezar znów groził dziecku śmiercią, żeby Lukrecja nie rozgłaszała tego, co wie o morderstwie, ani nie składała do ojca prośb, które mogłyby skłonić Aleksandra do sympatii dla Neapolu zamiast dla wybranej przez Cezara Francji.

Dzień po spotkaniu z Cezarem łzy Lukrecji powróciły. Odrzucała zaproszenia ojca na kolacje, a potem na audiencje, gdzie miałyby jak kiedyś siedzieć na swojej poduszce przy papieskim tronie.

Nie chciała o tym słyszeć. Zgodziła się na wszystko, żeby ocalić dziecko, lecz jej żal był zbyt wielki, rozpacz zbyt głęboka, by mogła udawać, że morderstwo Alfonsa nigdy się nie wydarzyło. Leżała w łóżku i lekceważyła wezwania ojca.

Aleksandra zdenerwowało to tak bardzo, że wysłał córce wiadomość, iż już jej nie kocha.

Lukrecji wcale to nie poruszyło; niezadowolenie ojca nie wzbudzało już w niej rozpaczliwej chęci przypodobania mu się. Oświadczyła, że razem

z dzieckiem przeprowadza się do wiejskiej posiadłości w Nepi, na północ od Rzymu.

Mówiła to tak, jakby zamierzała zostać tam na zawsze. Nikt nie śmiał wyjawić jej tego, o czym wiedziało już całe miasto: papież i Cezar planowali dla niej następne małżeństwo z myślą o politycznym przymierzu, najkorzystniejszym dla domu Borgiów. Donna Maria zajęła się pakowaniem rzeczy swej pani - wszystkich, z wyjątkiem pięknych, wyszywanych złotem i klejnotami sukni, noszonych w radośniejszych czasach. W Nepi nie będzie żadnego ceremoniału ani zabaw, tylko żałobna czerń.

Lukrecja pragnęła mieć mnie cały czas przy sobie; zastanawiałam się, czemu, skoro nie mogłam już okazywać jej takiej sympatii, jak przed śmiercią brata. Nie mogłam też jej pocieszyć, sama zatracona we własnym żalu, z którego nie mógł mnie wyrwać nikt oprócz bratanka. Może pragnęła mojej obecności, bo łaknęła bliskości wszystkiego, co przypominało jej Alfonsa; a może powodowały nią wyrzuty sumienia.

Bez względu na motywy, poprosiła, abym towarzyszyła jej do Nepi. Zgodziłam się tylko dlatego, że mały Rodrigo jechał; donna Esmeralda zajęła się pakowaniem rzeczy, których będę potrzebowała podczas długiej nieobecności w Rzymie.

Uzbrojeni żołnierze stali za otwartymi drzwiami mojego przedpokoju (od śmierci Alfonsa przez cały czas byłam ostentacyjnie pilnowana, nad Lukrecją trzymano straż bardziej subtelnie), a ja siedziałam w sypialni i nadzorowałam pracę Esmeraldy. Minał ponad miesiąc, odkąd ostatni raz weszłam do komnat, które długo służyły mi za dom. Pod moją nieobecność skradziono wiele rzeczy: ozdobne zasłony, srebrne kinkiety, futra i złocistą brokatową narzutę z mojego łóżka.

I znów nie chciałam wziąć z Rzymu prawie niczego: żadnych przepysznych strojów, tylko zwyczajne czarne suknie, które wniosłam do małżeństwa jako panna młoda i które lepiej pasowały do żałoby. Pragnęłam tylko zabrać wysłużony tomik Petrarcki, pantofel, który spadł ze stopy martwego brata, i nic więcej.

Esmeralda zajmowała się moimi ubraniami, a ja poszłam po szkatułkę z klejnotami, schowaną w sekretnej szufladzie garderoby. Uznałam, że przydadzą mi się najcenniejsze z nich - nie dlatego, że chciałam się w nie stroić, lecz ponieważ już zastanawiałam się nad możliwością ucieczki z Nepi, gdyby udało mi się przekonać Lukrecję, byśmy razem z dzieckiem pojechały do Neapolu. Przydałyby mi się na łapówkę dla gwardii i na prowadzenie domu.

Z tą myślą pochyliłam się nad szkatułą i ukryłam za dekoltem najcenniejszy klejnot.

I wówczas mój wzrok przyciągnęła niepozornie wyglądająca, smukła fiolka z zielonego szkła. Canterella.

Serce zamarło mi na chwilę. Żyłam w cieniu żałoby i wiedziałam, że towarzyszę Lukrecji tylko dzięki wyrozumiałości papieża wobec córki. Gdy Cezarowi uda się ostatecznie przekonać Aleksandra, zostanę uwięziona lub zamordowana. Nie miałam zamiaru żyć w więzieniu u Borgiów - i nie dałabym Cezarowi przyjemności zabicia mnie. Wolałam już cierpieć wieczne męki w piekle jako samobójczyni.

Wsunęłam małą fiolkę pod gorset, w specjalną kieszeń na sztylet, który mi zabrano. Pasowała jak ulał.

Sam Bóg musiał czuwać nade mną, bo gdy tylko ukryłam truciznę, usłyszałam kroki na korytarzu.

Wyprostowałam się. Biły ode mnie spokój i opanowanie, gdy obróciłam się do żołnierzy Cezara, dowodzonych przez samego don Micheletta.

- Cóż - powiedziałam. - W końcu po mnie przyszliście.

Pozne lato 1500-wiosna 1501

Odprowadzono mnie do Castel Sant'Angelo. Don Micheletto szedł koło mnie, żołnierze z tyłu i na przedzie utrzymywali od nas spory dystans, jakby po prostu zapewniali nam ochroną.

Całe zdarzenie było nierzeczywiste, jakby rozgrywało się we śnie; wszystko zdawało się fałszywe i pozorne z wyjątkiem jednego faktu: śmierci Alfonsa.

Mimo to przypominałam sobie, że jestem księżniczką aragońską, i kroczyłam z dumą i gracją, choć pojmana przez wrogów. Gwardziści zagradzali drogą rozdziawiającym usta pielgrzymom i odpychali ciekawskich na bok, gdy przemierzaliśmy plac Świętego Piotra, a potem wielki most, który prowadził do niezdobytej kamiennej fortecy Sant'Angelo.

Nie odwróciłam się, żeby spojrzeć na pałac Santa Maria; to, co tam przeżyłam, ześlizgnęło się ze mnie niczym rękawiczka z dłoni. Byłam naga, ograbiona. Zabrano mi Alfonsa, małego Rodriga, zaufanie do Lukrecji. Nawet mąż, który wcześniej zaimponował mi lojalnością, teraz mnie porzucił.

Szliśmy mostem nad wijącym się Tybrem, ciężkim i zawieszistym od niewidocznych ofiar terroru Borgiów. Modliłam się, żeby wkrótce do nich dołączyć. Don Micheletto odezwał się tonem uprzejmym i pełnym szacunku:

- Jego Świątobliwość pomyślał, że zmiana otoczenia może złagodzić żal Waszej Wysokości. Przygotowaliśmy dla was nową kwaterę. Mam nadzieję, że Wasza Wysokość uzna ją za odpowiednią.

Skrzywiłam się nienawistnie.

- Rzeknij mi waść, czy to nie plamka krwi na pańskiej dłoni?

W bezmyślnym geście podniósł ręce i rozczapierzył palce, przyglądając się im; dopiero gdy zerknął na moją posępną i hardą minę, opuścił dłonie, zawstydzony, że zrozumiał pytanie dosłownie.

- Tak myślałam - zauważyłam. - Czy Cezar kazał panu zabić mojego brata osobiście, żeby mieć pewność, że nie dojdzie do kolejnej partaniny?

Uśmiech zniknął mu z ust; aż do końca podróży nie próbował już zamienić ze mną ani słowa.

Nigdy dotąd nie byłam w Castel Sant'Angelo i znałam tylko jego złą sławę jako więzienia. Podejrzewałam, że zamkną mnie w brudnej, ciasnej celi z siennikiem, łańcuchami na nagich ścianach i rdzewiejącą stalową kratą zamiast drzwi.

Don Micheletto i ja przeszliśmy przez zadbane ogród do bocznego wejścia; tam kazał zostać wszystkim żołnierzom z wyjątkiem dwóch. Poprowadzono mnie korytarzami, które przypominały pałac, w którym tak długo mieszkałam.

Wreszcie mój przewodnik otworzył ozdobne rzeźbione drewniane drzwi do „celi”. W środku rozciągały się moje nowe apartamenty; w antykamerze stał fotel zabrany z moich komnat w pałacu Santa Maria, podłogi były wyściełane moimi futrami. W sypialni na łóżku leżała moja brokatowa kapa, w oknach wisiały moje zasłony, a na ścianie srebrny kinkiet. Dalej znajdował się mały balkonik z widokiem na ogród.

Ogarnęłam to wszystko apatycznym wzrokiem, bez słowa. Wolałabym surowsze warunki, które lepiej oddawałyby mój nastrój. Nie znajdowałam pocieszenia w luksusach i znajomych sprzętach.

Odwróciłam się do don Micheletta, który uśmiechnął się do mnie.

- Oczywiście wkrótce dołączy do pani donna Esmeralda - oznajmił. - Jeszcze pakuje rzeczy. Wasza Wysokość może bez wahania prosić o wszystko, czego sobie życzy. Z powodu niedawnych straszliwych wypadków prosimy jedynie, aby wzywała pani eskortę, ilekroć zechce wyjść na spacer do ogrodu albo odwiedzić męża w Santa Maria.

- Kto urządził to wszystko? - zapytałam. Micheletto uśmiechnął się półgębkiem.

- W najgłębszej tajemnicy mogę wyznać, Wasza Wysokość, że to pan Cezar. Książę Walencji szczerze żałuje, iż konieczności polityki sprawiły pani tyle bólu. Nie ma zamiaru dokładać Waszej Wysokości cierpień.

„Bądź dobry dla Sanchy”, powiedziała kiedyś Lukrecja. Cezar, jak twierdziła, nadal mnie kocha.

Lecz ja nie chciałam jego dobroci. Pragnęłam tylko jednego: zemsty, a oprócz niej zapomnienia, jeśli znajdę odwagę, by go w sobie szukać.

Przybyła donna Esmeralda z grupą służących, którzy nieśli resztę moich rzeczy; znosiłam ich krzątanicę w milczeniu. Postanowiłam jeszcze tej nocy odebrać sobie życie za pomocą canterelli, aby wyrazić sprzeciw wobec śmierci

brata - choć wiedziałam, że rozdzieli nas to na zawsze, o ile historie o życiu pośmiertnym są prawdziwe. On na pewno znalazł się w najwyższym kręgu niebios, ja jako samobójczyni trafiłabym do piekieł.

Nie wiedziałam, ile trucizny potrzeba, ilu ludzi można zabić za pomocą mojej małej fiołki; dlatego postanowiłam zażyć całą zawartość. Może w ten sposób odejdę szybko, bez katuszy, jakie proszek powodował. Musiałam poczekać, aż donna Esmeralda będzie czymś zajęta. Mogłam zniknąć z oczu zarówno jej, jak i straży, wychodząc na balkon.

Resztę dnia spędziłam, siedząc w fotelu w antykamerze i gładząc miękkie granatowy aksamit pantofla zmarłego brata. Służące doprowadzały do porządku komnaty. O zmierzchu przyniesiono pod drzwi wspaniałą kolację. Mimo zachęt donny Esmeraldy nie mogłam jeść, sama więc zjadała, co chciała, z mojej i własnej porcji, potem służba zabrała talerze.

Poprosiłam jednak o wino i zachowałam gąsior i puchar przy sobie. Tak jak co wieczór od śmierci Alfonsa Esmeralda próbowała mnie nakłonić, bym położyła się do łóżka; jak zawsze odmówiłam, tłumacząc, że zrobię to, kiedy będę zmęczona. Na szczęście po całym dniu pracy szybko zasnęła. Kiedy usłyszałam jej miarowy oddech, uznałam, że nadeszła właściwa pora.

Napełniłam puchar i jakby nigdy nic, żeby nie niepokoić straży za drzwiami, wstałam i przekradłam się przez sypialnię, gdzie drzemała Esmeralda. Zostawiła dla mnie zapaloną świeczkę; wyniosłam ją na balkon i postawiłam na parapecie.

Obok umieściłam puchar, a potem drżącymi palcami wymacałam fiołkę canterelli ukrytą w sukni. Wyciągnęłam ją i przystawiłam do światła.

Szkieło błysnęło zielenią niczym szmaragd. Wpatrywałam się w nie przez chwilę, przytłoczona powagą tego, co zamierzałam za chwilę uczynić.

I gdy się tak wpatrywałam, w szkle pojawił się maleńki obraz, doskonały w każdym szczególe.

Było to ciało mojego ojca wiszące na ozdobionym medalami stryczku.

Krzyknęłam. Odrzuciłam fiołkę, która upadła i potoczyła się po posadzce. Wszystko zawirowało; machając rękami, przewróciłam się i straciłam świecznik z parapetu, nagle znajdując się w zupełnych ciemnościach.

W mroku zamajaczyło nadnaturalnych rozmiarów ciało ojca. Kołysało się przede mną na balkonie; zimne sztywne nogi otarły się o moje ramiona i twarz, uciekłam od niego na czworakach, łkając.

Skuliwszy się w kącie, osłoniłam ramionami głowę.

- Musisz mi obiecać, Alfonso! - zawołałam. - Musimy sobie przyrzec, że nigdy się nie rozstaniemy... bo bez ciebie oszaleję.

Przedemną stanął brat. Wyglądał dokładnie tak jak wtedy, gdy przybył do Rzymu na ślub z Lukrecją: młody, przystojny i uśmiechnięty, ubrany w błękitny atłas.

- Z twoją głową wszystko jest w porządku. Nie musisz się obawiać szaleństwa bez względu na to, czy będziemy razem, czy nie. Po prostu próbowałam zabić nie tego człowieka, co trzeba.

Znów krzyknęłam i potykając się, wbiegłam z powrotem do ciemnej sypialni; złapała mnie tęga postać. Szamotałam się, usiłując wyswobodzić, aż zdałam sobie sprawę, że to donna Esmeralda przywołuje mnie do porządku:

- Sancho! Sancho! Wtuliłam się w nią i zapłakałam.

- Próbowałam stać się morderczynią - wyłkałam - i zamiast tego zabiłam własnego brata.

- Cicho - powiedziała Esmeralda. - Cicho. Nie popełniłaś żadnego przestępstwa.

- Bóg mnie pokarał...

- Nie bądź niemądra - nie ustępowała Esmeralda. Nie widziałam w mroku jej twarzy, lecz opierałam się policzkiem o jej obojczyk i czułam wibracje stanowczego głosu, niewzruszoną pewnością jej przekonania. - Bóg kochał Alfonsa. Wiem, że to niesprawiedliwe, że twój brat zginął, a Cezar wciąż żyje. Zbliży się dzień sądu nad Borgiami, donna. Nie płacz. - Uspokoilałam się, słuchając jej słów. Zawiesiła na chwilę głos, a potem podjęła: - Savonarola miał rację... ten papież rzeczywiście jest Antychrystem. Aleksander od początku miał zamiar pozwolić Cezarowi zabić Alfonsa, nawet kiedy przyszedł do Sali Sybillińskiej i przysiągł, że jest inaczej. Jest równie winny jak jego syn... może nawet bardziej, bo przecież w każdej chwili mógł zapobiec zbrodni.

Zaprowadziła mnie do łóżka i ułożyła do snu tak, jak stałam, w sukni, i sama położyła się obok.

- Będę leżała tuż przy tobie. Jeżeli będziesz się bała, po prostu wyciągnij rękę. Będę tutaj. Bóg jest z nami, donna. Nie zostawił nas.

Kiedy zasnęła, usiadłam na łóżku przerażona. Byłam przekonana, że znów jestem w Neapolu, a ciemności wokół skrywają mumie z muzeum mojego dziadka. Zadrżałam pod kołdrą, gdy ujrzałam przed sobą wyszczerzonego Roberta z wyprawioną skórą naciągniętą na czaszkę, lśnącymi marmurowymi oczami i strakami wyblakłych rudawych włosów.

- Proszę wejść, Wasza Wysokość... - zdawał się zapraszać zamaszystym gestem.

Rozplakałam się. Nie chciałam tego zaproszenia, nie miałam ochoty wkraczać do upiornego królestwa szaleństwa i śmierci.

Kiedy niebo poszarzało przed brzaskiem, wykradłam się na balkon i podniosłam fiolkę canterelli, a potem schowałam ją wśród swoich klejnotów, zanim Esmeralda się obudziła. Już wkrótce, powiedziałam sobie, będę dość silna, żeby jej użyć.

Żyłam w świecie wiecznego mroku. We dnie, pilnowana ze stosownej odległości przez strażnika, snułam się po przypominających labirynt ogrodach tak długo, aż padałam z wycieńczenia. Nocami przesiadywałam w fotelu, który kazałam wystawić na balkon, i wyteżonym wzrokiem wpatrywałam się w ciemność, wpadając czasem w panikę, że nie widzę Wezuwiusza. Mówiłam Esmeraldzie, że sypiam na dworze w fotelu - ale w ogóle nie spałam, a myśli przebiegały mi przez głowę z przerażającą szybkością i szaleńczą jasnością.

Pewnego dnia rozgorączkowana przemierzałam ogród, gdy usłyszałam bicie dzwonów Świętego Piotra.... i natychmiast słowa donny Esmeraldy uczepliły się moich rozedrganych myśli i nie chciały puścić. W owej chwili doznałam boskiego olśnienia: już wiedziałam, jak sprowadzić sąd na Borgiów. Potrzebny był tu podstęp. Zatrzymałam się i poczekałam, aż dogoni mnie strażnik.

- Pójdę teraz na loggię - oznajmiłam słodkim głosem. - Chciałabym popatrzeć na miasto.

Szybkim krokiem wróciłam do zamku i wspięłam się po schodach na wielką loggię z widokiem na most Sant'Angelo. Na szerokiej ulicy roiło się od pielgrzymów i kupców. Wszyscy byli na tyle blisko, że mogłam im coś rzucić, a oni z łatwością by to złapali; mogli też świetnie mnie słyszeć.

- Obywatele Rzymu! - zawołałam, przechylając się przez poręcz. - Pielgrzymi! Słuchajcie! Jestem Sancha Aragońska, mój brat Alfonso został zamordowany przez Jego Świątobliwość papieża Aleksandra VI rękami generała Cezara Borgii! Ten papież jest Antychrystem, tak jak mówił Savonarola: jest cudzołożnikiem i wielokrotnym mordercą! Zabił własnego brata, aby zdobyć tiarę, pozwolił na zamordowanie swojego syna Juana, a teraz zabił Alfonsa, księcia Bisciglie, męża Lukrecji...

Strażnik chwycił mnie za rękę i spróbował odciągnąć; wybuchnęłam śmiechem i mu się wyrwałam.

- Pielgrzymi! Rzymianie! Bóg wzywa was do obalenia Aleksandra! Ruszajcie! Ile ofiar musi jeszcze zginąć? Ilu ludzi musi umrzeć, nim zostanie ukarany za swoje zbrodnie?

Mężczyźni i kobiety na ulicy gromadzili się pod loggią, zadzierając głowy, zdziwieni. Stara zakonnica w białym habicie przeżegnała się i jęła odmawiać modlitwę; młody ksiądz w czarnej sutannie pokazał mnie palcem

towarzyszowi. Przechodnie zatrzymywali się, jedni marszczyli brwi, inni się śmiali.

Dlaczego nic nie robią? - zastanawiałam się. Dlaczego nie biegną do Pałacu Watykańskiego, by wywlec Aleksandra na ulicę? Moja wiadomość była tak jasna, tak oczywista...

Nawoływałam ich jeszcze przez jakiś czas; wreszcie obezwładnili mnie dwaj gwardziści. Popatrzyłam im w oczy, zraniona, oszołomiona.

- Nie słyszeliście, co mówię? Nie widzicie zła? Macie broń: użyjcie jej!

Oni jednak nie dobyli mieczy przeciwko papieżowi; zamiast tego zaciągnęli mnie siłą do komnaty. Jak przez mgłę pamiętam zatroskaną twarz donny Esmeraldy i medyka, który kazał mi wypić płyn, po którym poczułam się jak otępiała. Wreszcie zasnęłam.

Kiedy się obudziłam, stał przede mną Jofre. Począwszy od tego dnia, odwiedzał mnie co wieczór - częściej niż wówczas, gdy moja obecność w Watykanie była mile widziana. Przynosił mi drobne prezenty - klejnoty, pamiątki. Pewnego wieczoru przemycił miniaturowy portret Alfonsa, należący wcześniej do Lukrecji. Nie pozwolono jej zabrać go do Nepi.

Donna Esmeralda nie opuszczała mnie ani na chwilę. Teraz zabraniała mi przesiadywać w nocy na balkonie i po wypiciu gorzkiego syropu nasennego zmuszała do leżenia w łóżku. Kazała mi też jeść przynajmniej odrobinę jedzenia za każdym razem, gdy przynoszono posiłki. Dzięki tym wysiłkom odzyskałam częściowo panowanie nad sobą. Nauczyłam się odnosić uprzejmie do Esmeraldy i Jofrego, kiedy wymagała tego sytuacja, i zachowywać w ich towarzystwie pozory normalności.

Nadal całymi dniami beczynn timer walałam się po ogrodach, pilnowana przez strażnika. Tylko wówczas, z dala od męża i Esmeraldy, pozwalałam sobie na nieskrępowane szaleństwo: mamrotałam pod nosem, prowadząc długie rozmowy z Alfonsem, ojcem, a przede wszystkim ze zwodniczą wróżką.

Serce przebite jednym mieczem: oto co osiągnęłam, choć wysiłki, by użyć broni przeciwko Cezarowi, spełzły na niczym. Czułam ten miecz w sobie, jakby to był kolec; kłuł mnie i drażnił.

- Dlaczego nie dane mi było go zabić? - pytałam wiedźmę, a jedyna odpowiedź była wciąż ta sama.

- We właściwym czasie...

W nocy śniły mi się koszmary: blade, pokłute ciało Alfonsa wynoszone przez roześmianych żołnierzy.

Mijały miesiące. Przepelnione nieszczęściami lato przeszło w jesień, a potem w zimę. Jofre przysłał mi część moich najlepszych sukni, żebym mogła się wystroić, i poszłam z nim w Boże Narodzenie na mszę do bazyliki Świę-

tego Piotra, jakbym nie była więźniem. Minęłam papieża i Cezara. Żaden nie spojrzął mi w oczy ani najmniejszym gestem nie uznał mojej obecności. Po nabożeństwie nie zaproszono mnie na rodzinny obiad, na który musiał pójść Jofre, lecz zamknięto z powrotem w komnatach Castel SanfAngelo.

Czułam się, jakbym nie żyła ani nie umarła, lecz trwała w czymś na kształt czyśćca: jako Aragonka byłam przez Borgiów uważana za zbyt niebezpieczną, by żyć wśród nich i znać ich sekrety; jednocześnie jako żona Jofrego, który sam tak niewiele wiedział, zostałam uznana za nie dość groźną, by trzeba mnie było zabić.

Nadeszła wiosna. Żyłam w odrętwieniu, bez celu, codzienną nudę rozpraszały mi tylko rozmowy z umarłymi i wizyty męża. Jofre robił, co mógł, żeby mnie pocieszyć, lecz chwile bez jego obecności były rzeczywiście mroczne.

Nadal wybierałam się na długie, wielogodzinne spacerunki po ogrodzie, próbując zmęczyć ciało, żeby sen przyszedł łatwiej, a wraz z nim zapomnienie. Pewnego popołudnia, gdy szłam zwirową alejką między krzewami róż w pełnym rozkwicie, zobaczyłam jakąś arystokratkę, która zbliżała się do mnie z naprzeciwka, pilnowana ze stosownej odległości przez strażnika.

Chciałam odwrócić się i uciec. Nie miałam ochoty na towarzystwo ani lekką pogawędkę, lecz zanim zdążyłam cokolwiek zrobić, kobieta podeszła i powitała mnie ukłonem i uśmiechem. Odwróciła się do swojego strażnika i zawołała:

- Pospacerujemy trochę razem.

Młody żołnierz przytaknął i mój strażnik zdawał się nie mieć zastrzeżeń; najwyraźniej znali się, bo ruszyli obaj za nami, rozmawiając półgłosem.

Kobieta miała może dwadzieścia pięć lat. Lśniące czarne włosy otaczały klasyczną, piękną twarz starożytnego posągu.

- Jestem hrabina Dorotea de la Crema.

- A ja szalona Sancha Aragońska - powiedziałam. Nie była wcale zaskoczona; uśmiechnęła się z ironią.

- Wszystkie tutaj jesteśmy szalonymi kobietami Cezara. Mnie też więzi. - Jej głos stał się cichszy i posmutniał. - Kiedy maszerował ze swoją armią z Cervii do Rawenny, zabił mojego męża i zagarnął nasze włości. - Popatrzyła na mnie dużymi ciemnymi oczyma. - Podobno byłaś jego kochanką.

Przeżywszy wiele lat w domu Borgiów, doceniłam jej otwartość.

- Kiedyś byłam - odparłam. - Ale nie mogłam dłużej kochać człowieka, który okazał się mordercą. Teraz pogardzam nim całą duszą.

Pokiwała głową z aprobatą.

- W takim razie coś nas łączy. Po zabiciu męża wziął mnie do niewoli. Tak jak Caterinę Sforzę, która również tu jest, traktował mnie z honorami, lecz każdej nocy gwałcił. Przypuszczam, że gdybym oddała mu się po dobroci, nie sprawiłoby mu to takiej przyjemności. - Odwróciła wzrok i popatrzyła na mętne wody Tybru. - Teraz, gdy tu jestem, znudził się mną i daje mi spokój, za co jestem mu wdzięczna. Ale dopóki nie zostanie pokonany albo dopóki papież nie umrze, będą mnie tu więzić.

- Mnie też - powiedziałam łagodnie. - Przykro mi z powodu twojego męża.

- A mnie z powodu twojego brata - odparła. Najwyraźniej знаła moją historię.

Spacerowałyśmy długo tego pierwszego dnia; w następnych tygodniach zwierzałyśmy się sobie coraz bardziej otwarcie. Tak jak ja Doroteę doprowadzono do granicy szaleństwa potwornościami, które ją spotkały. Nie interesowała się już własnym losem. Bez ogródek mówiłyśmy o zbrodniach Borgiów i o swoim życiu. Czułam ulgę, że mogę wreszcie podzielić się z kimś swoimi tajemnicami, i bawiło mnie, że Dorotea i tak wiedziała już o większości spraw, które jej wyjawiałam.

W jej towarzystwie odpoczywałam od samotnego szaleństwa; lecz z dala od niej, zwłaszcza w nocy, widma wracały: mumia Roberta, Alfonso, ojciec, tajemnicza strega. Każdego dnia starałam się znaleźć w sobie siłę do zażycia canterelli; każdej nocy odkrywałam, że mi jej brakuje.

W tym czasie dostałam list od Lukrecji z Nepi. Woskowa pieczęć była złamana; przez długi czas siedziałam w antykamerze z pergaminem na kolanach, zastanawiając się, czy spalić go w kominku, czy w płomieniu świecy.

Wreszcie rozłożyłam list i przeczytałam:

Najdroższa Sancho,

po pierwsze, błagam Cię o wybaczenie, że nie napisałam wcześniej; wyznaję, że w pierwszych mrocznych dniach, które tu spędziłam, nie miałam serca chwycić za pióro. Lecz upływ czasu zagoił nieco rany i chciałam Ci powiedzieć tak prędko, jak mogłam, że okropnie tęsknię za Twoim towarzystwem. Bez Twojej wiernej przyjaźni i dobrego serca dni są długie i samotne.

Mały Rodrigo też za lobą tęskni; cały czas pyta o ciocię Sanchę. Nie poznałabyś go teraz: tak bardzo urósł/ Z każdym mijającym dniem coraz bardziej upodobnia się do ojca.

Niewiele mam wieści do przekazania: wszystkie dni są tu takie same i zlewają się ze sobą. Ale muszę donieść, że niedługo po moim przybyciu

Cezar nadjechał ze swoim wojskiem i na jedną noc rozbił obóz nieopodal. Byłam zmuszona przyjąć go wraz z jego kompaniami.

Teraz podróżuje z artystą i wynalazcą Leonardem da Vinci: Don Leonardo zjawiał się owego wieczoru na kolacji. Jest niezwykle miłym staruszką, wygląda nieco ekscentrycznie: ma zakrzywiony nos, duże, przykuwające uwagę oczy, długie siwe włosy i brodę. Mimo podeszłego wieku jest wyjątkowo bystry. Cezar mówi, że to geniusz inżynierii i że okazał się bardzo pomocny przy pracy nad materiałami wybuchowymi do wysadzania mostów. Ja wiem tylko tyle, że był bardzo miły i dowcipny. Kiedy siedzieliśmy przy stole, kazał sobie przynieść pergamin i wyciągnął pióro, które cały czas nosi przy sobie; gdy Cezar rozwoził się nad swoją kampanią wojskową, don Leonardo zaczął rysować. Pojawił się Rodrigo i bardzo się zainteresował tym rysunkiem: miałam zamiar zaprowadzić dziecko do piastunki i skarcić za przeszkadzanie gościowi, ale don Leonardo był bardzo wyrozumiały i pozwolił Rodrigowi siedzieć sobie na kolanach i obserwować, jak rysuje.

Ale o propozycji Cezara i jego kompanii muszę wspomnieć o jeszcze jednym człowieku z tego towarzystwa, jakim Niccolo Machiavellim — ponurym, oschłym typie, który ledwie tknął swoją kolację, gdyż z zapalem notował to, co mówił mój brat, jakby słowa Cezara były święte.

Brat powiedział mi, że bez trudu zajął ziemie wokół Bolonii i Florencji; oba miasta przekazały mu warownie i posiadłości w obawie przed jego armią, którą wspomaga dziesięć tysięcy francuskich żołnierzy króla Ludwika. Cezar mówi teraz, że jest niezwyciężony i może przemaszerować przez Italię i zająć wszystko, co chce.

Kiedy skończył mówić, a kolacja miała się ku końcowi, don Leonardo podarował mi ukończony rysunek. Bardzo mi pochlebił, bo naszkicował mój portret, lecz z drugiej strony zaskoczyło mnie, jak smutno wyglądam, bo ze icszystkich sił starałam się odgrywać przed gośćmi wesolą i energiczną gospodynię.

Pod portretem don Leonardo zacytował wers z Sannazara:

Per pianto la mia carne si distilla.

Moje ciało rozpuszcza się we łzach.

Don Leonardo jest bardzo mądrym człowiekiem. Potrafi odrzucić pozory i zajrzeć każdemu w głąb duszy, a na dodatek ma magiczny talent do przedstawienia tego za pomocą pióra i pergaminu. Jest jeszcze mnóstwo spraię o których mogłabym Ci opowiedzieć, lecz list nie nadaje się do przekazania tego, co pragnę Ci wyznać. Będę musiała poczekać aż do chwili, gdy znów się zobaczymy.

Modłę się o Ciebie co wieczór i myślę o Tobie z wielką sympatią. Nigdy nie miałam lepszej i wierniejszej przyjaciółki. Niech Bóg ma Cię w swojej opiece.

Twoja Lukrecja

Złożyłam list z powrotem i włożyłam go między kartki *Sonetów* Petrarke. Rozumiałam, że Lukrecja nie może się w pełni podzielić ze mną myślami; pojęłam aluzje do jej wielkiej rozpacz i przytłaczającego poczucia winy; stwierdzenie, że była „zmuszona” przyjąć brata oznaczało, że nie uczyniła tego z własnej woli. Dała do zrozumienia, że pragnie mojego wybaczenia.

Nie mogłam i nie zamierzałam jej odpisywać. Jakimi wieściami mogłam się z nią podzielić? Że oszalałam z żalu, za co ponosi częściowo odpowiedzialność? Że jedyną rzeczą, która przynosi mi radość, jest myśl o zemście na Cezarze?

Później pokazałam list Dorotei de la Crema. Jej wargi zacisnęły się, gdy go czytała, a w końcu kiwnęła głową.

- Cezar rzeczywiście zagarnia wszystkie ziemie - potwierdziła. - I wszystkie kobiety. Słyszałam najświeższe wieści; kiedy podbija nowe miasto, zabiera szlachcianki do swojego podróznego haremu. I co noc wybiera inną kobietę, aby ją zhańbić.

Takie wieści podsycaly we mnie nienawiść, sprawiały, że w nocy śniłam o tym, jak wyciągam miecz tkwiący w moim sercu i jednym mściwym ciosem ucinam Cezarowi głowę, a potem uśmiecham się, patrząc, jak czaszka stacza się z ciała i jak leje się krew.

A jednocześnie słyszałam głos brata, który powtarzał: „Po prostu próbowałaś zabić nie tego człowieka, co trzeba”.

Lato 1501 - zima 1503

Jajo pękło - powiedział Alfonso. Jak zwykle był ubrany w błękitny atlas; minę miał nadzwyczaj srogą, jakby mnie ostrzegał. - I tym razem nie da się tego naprawić.

Obudziłam się bez tchu. Był parny sierpniowy poranek, z komnaty obok słyszałam płacz Esmeraldy. Pobiegłam do niej i zobaczyłam, jak klęczy, trzymając się za serce, jakby chwycił ją rozdzierający ból.

- Esmeraldo! - Chwyciłam ją za ramiona. Była teraz starsza i bardzo otyła; natychmiast przypomniały mi się ataki apopleksji Ferrantego, pomogłam jej więc usiąść na fotelu. - Usiądź, kochana... - Wstałam, znalazłam wino, napełniłam puchar i przystawiłam jej do warg. - Masz, napij się. Zaraz każę sprowadzić doktora.

Wypiła łyk, zakaszłała, a potem machnęła ręką i wysapała:

- Nie trzeba doktora! - Popatrzyła na mnie oczami pełnymi żalu i powiedziała zgnębionym głosem: - Och, donna Sancha! Gdyby tylko doktor mógł tu coś poradzić... - Westchnęła ciężko i dodała: - Nie wołaj strażnika. Właśnie z nim rozmawiałam. Przyniósł wiadomości...

- Co się stało? - zapytałam.

- Nasz Neapol - odparła, wycierając oczy brzegiem szerokiego rękawa. -O, madonna, serce mi pęka... Twój stryj Federico został zmuszony do porzucenia tronu i do ucieczki. Król Ferdynand Katolicki i król Ludwik zawiązali sojusz i połączyli wojska. Teraz razem rządzą Neapolem, a nad Castel Nuovo powiewają dwie flagi: hiszpańska i francuska. Ferdynand został regentem miasta.

Z przeciągłym westchnieniem uklękłam obok niej. Chociaż śmierć Alfonsa odebrała mi sens i radość życia, zawsze pozostawała mglista, odległa nadzieja,

że pewnego dnia wrócę do domu - do królewskiego pałacu, do Federica i braci, do rodziny, którą znałam. Teraz i to zostało mi odebrane. Królewska dynastia aragońska przestała istnieć.

Byłam zbyt zdumiona, żeby mówić. We dwie milczałyśmy przez dłuższą chwilę, aż wreszcie z nienawiścią i przekonaniem stwierdziłam:

- A Cezar Borgia... wjechał z wojskami króla Ludwika do miasta. Popatrzyła na mnie, zaskoczona.

- Tak, madonna, ale... Skąd wiedziałaś? Nie odpowiedziałam.

Znów popadłam w stan odrętwienia i rozpacz, którego nie mogli uleczyć ani Esmeralda, ani medyk ze swoim syropem. Wytchnienie dawały mi tylko spacery z donną Doroteą - teraz to ona głównie mówiła, a ja słuchałam jej, niema i apatyczna.

Pewnego dnia przyniosła wieści o Lukrecji, która jesienią na stanowcze wezwanie ojca wróciła do Rzymu. Dorotea opowiedziała o ich spotkaniu. W sali tronowej, w obecności dworek Lukrecji, papieskiej służby i szambelana Jego Świątobliwość oznajmił jej, że wraz z Cezarem przyjrzeni się kandydatom, którzy poprosili o jej rękę. Ich wybór padł na Francesca Orsiniego, księcia Graviny. Orsini starał się o ślub z Lukrecją kilka lat temu, lecz został odrzucony na korzyść mojego brata.

Teraz Aleksander poinformował córkę, że zostanie księżną Graviny. Z punktu widzenia polityki było to najmądrzejsze rozwiązanie.

Nie, odparła Lukrecja. Nie zamierzała mieć z tym człowiekiem nic wspólnego.

Zdumiony Aleksander zapytał dlaczego.

- Ponieważ moim mężom źle się wiedzie! - oświadczyła z gniewem Lukrecja i nie spytawszy o pozwolenie, wybiegła jak burza z komnaty.

Wieści o tym rozeszły się szybko po całym Rzymie. Kiedy książę Graviny usłyszał o jej odmowie, bardzo się obraził (a może dostrzegł trafność słów Lukrecji) i natychmiast wycofał się z konkurów.

Wkrótce potem, pewnego wieczoru nie mogłam znaleźć sobie miejsca i błąkałam się po korytarzach. Zbliżała się zima i owinęłam się mocno peleryną, kierując kroki na loggię, żeby zażyć orzeźwiającego powietrza.

Zanim weszłam ze schodów na taras, usłyszałam dzwony Świętego Piotra bijące na żałobne nieszpory.

Przy balustradzie, blada jak futro, którym była owinięta, stała drobna, szczupła kobieta w białych gronostajach. W stosownej odległości od niej ustawili

się pilnujący jej gwardziści. Bicie dzwonów tak bardzo mnie rozproszyło, że prawie się z nią zderzyłam.

Była jedną z najpiękniejszych istot, jakie widziałam, piękniejsza nawet od niedawnej kochanki papieża, delikatnej Giulii. Kobieta miała alabastrową cerę, złociste włosy i błękitne oczy o blasku, który przyćmiewał wszystkie brylanty świata; z jej postaci emanowały godność i wdzięk, spojrzenie wyrażało głęboki smutek. Od razu zrozumiałam, dlaczego Cezar pragnął ją posiadać.

- Caterina Sforza - wyszeptałam.

Odwróciła się i popatrzyła na mnie. W jej spojrzeniu nie było wrogości ani pogardy, tylko żal, który graniczył z obłędem.

Odsunęła się na bok, robiąc mi miejsce przy barierce. Było to oczywiste zaproszenie, a ja przyjąłam je i stanęłam obok niej.

Przez jakiś czas milczała, patrząc na plac przed wielką kamienną sylwetką bazyliki, którym szedł powoli oświetlony pochodniami kondukt. Z liczby żałobników wywnioskowałam, że zmarły musiał być znaczną osobistością.

Donna Caterina westchnęła.

- Bez wątpienia to kolejny kardynał - powiedziała głosem silniejszym i bardziej dźwięcznym, niżbym się spodziewała - zabity, żeby Cezar mógł nadal trwonić fortunę na swoje wojny. Za każdym razem, gdy słyszę dzwony, modłę się, żeby były dla Ojca Świętego.

- A ja modłę się, żeby były dla Cezara - odparłam. - Znacznie bardziej zasłużył sobie na śmierć.

Pochyliła piękną głowę i popatrzyła na mnie bacznie.

- Byłoby lepiej, gdyby Aleksander umarł pierwszy - wyjaśniła rzeczowo. - Bo jeśli przeżyje śmierć syna, znajdzie sobie innego Cezara, który poprowadzi jego wojska, i terror Borgiów będzie trwał nadal. To tylko gra między nimi dwoma: papież udaje, że nie jest w stanie zapanować nad okrucieństwem Cezara, lecz wierz mi, lewica zawsze wie, co czyni prawica. Natomiast, gdyby Aleksander miał umrzeć... - Pochyliła się ku mnie i zniżyła głos niczym spiskowiec. - Na pewno opowiadałam ci o tym, co mi mówił dawno temu o Cezarze ambasador Wenecji.

Uśmiechnęłam się uprzejmie.

- Nigdy wcześniej nie rozmawiałyśmy, madonna. - Nie miałam jej za złe zagubienia, w końcu sama nie całkiem panowałam nad swoim umysłem.

Sprawiała wrażenie, jakby nie usłyszała moich słów.

- To było jakiś czas temu, zanim jeszcze zamordował ostatniego męża Lukrecji. Cezar badał sytuację, grając z Hiszpaniaprzeciwko Francji i z Francją przeciwko Hiszpanii i czekał, który sojusz okaże się najkorzystniejszy. -

Roześmiała się cicho. - Tak często zmieniał zdanie... W pewnym momencie udał się nawet do weneckiego ambasadora i przysiągł przymierze z Wenecją. Powiedział, że nie ufa ani Francji, ani Hiszpanii, gdyby miało się stać coś jemu albo Ojcu Świętemu. A ambasador odparł mu zupełnie otwarcie: „Z całą pewnością przyda ci się pomoc; bo gdyby coś się stało Jego Świątobliwości, stracisz wszelką władzę w ciągu trzech dni”. - Roześmiała się znowu, a potem skierowała uwagę na płonące pochodnie, poruszające się bezgłośnie ciemnymi ulicami Rzymu.

Podążyłam za jej wzrokiem i popatrzyłam na malutkie wędrujące płomyki i drobne czarne postacie, które powoli zlewały się z nocą. Zrodzony z obłędu czy nie, duch mojego brata mówił prawdę: próbowałam zabić nie tego człowieka, co trzeba.

Po raz pierwszy od przybycia do Castel SanfAngelo zaczęłam myśleć o can-terelli nie jako o środku samounicestwienia, lecz jako o rozwiązaniu problemów całej Italii. Wróciłam do swoich komnat i godzinami siedziałam, zastanawiając się nad tym. Miałam broń, lecz brakowało mi wiedzy o jej użyciu; nie mogłam również osiągnąć celu. Cały czas byłam pilnowana: trudno sobie wyobrazić, abym poszła do Watykanu i zaproponowała Jego Świątobliwości kieliszek wina. Esmeralda też była bacznie obserwowana; już nie korzystała ze swobody, która pozwoliłaby jej skontaktować się z zabójcą.

- Jestem gotowa - wyszeptałam do więdźmy w ciemnościach. - Ale jeśli mam wypełnić przeznaczenie, musisz mi pomóc. Sama nie dam rady.

Następnego dnia o zmierzchu, gdy siedziałam w antykamerze z donną Esmeraldą, czekając na podanie wieczerzy, drzwi otworzyły się bez zwykłego dwornego pukania. Odwróciłyśmy się; dwaj stojący po bokach gwardziści ukłonili się nisko, gdy najpierw donna Maria, a potem sama Lukrecja wkroczyły do środka.

Donna Esmeralda wstała i zgromiła obie kobiety wzrokiem, skrzyżowawszy ręce na piersi w niemym geście dezaprobaty dla nieproszonych gości.

Nic nie powiedziałam, tylko podniosłam się z fotela i popatrzyłam na Lukrecję. Była ubrana w błękitnozieloną jedwabną suknię z aksamitnymi rękawami i stanikiem; na jej szyi lśniły szmaragdy, a brylanty skrzyły się na złotej siateczce przykrywającej włosy. Nosila przepyszny strój rzymskiej damy, ja wróciłam do skromnej neapolitańskiej czerni.

Ale żadne błyskotki i świetność tkanin nie były w stanie ukryć bladości jej twarzy ani przywrócić iskry życia jej nieprzytomnym, pustym oczom. Żal ją wycieńczył; wszelka uroda, jaką kiedykolwiek posiadała, pierzchła.

Na mój widok uśmiechnęła się niepewnie i rozłożyła ramiona.

Nie przywitałam się. Patrzyłam na nią twardo, z rękami opuszczonymi po bokach i widziałam, jak uśmiech znika, przemieniając się w wyraz zawołanej urazy i winy.

- Czemu przyszłaś? - zapytałam. W moim tonie nie było złości, tylko brutalna szczerłość.

Gestem ręki dała donnie Esmeraldzie i donnie Marii znak, żeby wyszły na korytarz. Gdy to uczyniły, rozkazała strażom zamknąć drzwi. Uzyskawszy pewność, że nikt nie usłyszy naszych słów, odparła:

- Byłam w Rzymie. - Jej głos był cichy, brzmiał wstydliwie. - Ale nie zabawię tu długo. Musiałam na własne oczy przekonać się, jak ci się wiedzie. Martwiłam się; słyszałam, że źle się czujesz.

- To prawda, co ci mówiono - powiedziałam bez ogródek. - Zupełnie straciłam rozum. Ale wraca mi od czasu do czasu.

- To, co o mnie mówią, też jest prawdą - odrzekła z lekką ironią. - Muszę znowu wyjść za mąż.

Na odpowiedziałam. Między nami unosił się duch Alfonsa, niemy wyrzut sumienia.

Lukrecja nie patrzyła na mnie, lecz ze spuszczonego wzrokiem zdawała się spoglądać w odległy punkt z przeszłości, jakby kierowała swoje wyjaśnienia nie do mnie, lecz do mojego brata. Twarz stężała jej od odrazy i obrzydzenia do siebie.

- Najpierw odmówiłam, ale jestem zbyt cennym towarem politycznym, aby dano mi spokój. Ojciec i Cezar... Nie muszę ci mówić, jakiego nacisku użyli. - Lekki rumieniec zabarwił jej policzki, wspomnienie wywołało gniew; zebrała się w sobie i wreszcie spojrzała mi prosto w twarz. - Przekonałam ich, że sama muszę wybrać, a im pozostawię tylko zatwierdzenie wyboru. Zgodzili się. Ja wybrałam, oni to przyjęli. - Odetchnęła. - To będzie d'Este z Ferrary.

- D'Este - szepnęłam. Któryś z moich kuzynów w Romanii. Cezar nigdy nie śmiał ich atakować; mieli zbyt silną armię. Dawno temu powiedział mi, że wolałby zawrzeć z nimi przymierze.

- Cezarowi podoba się ten pomysł, bo sądzi, że zyska nowych żołnierzy - wyznała Lukrecja. - Musiałam ich odwiedzić, żeby przyszły teść mógł się przekonać, czy jestem „madonną o dobrym charakterze”, jak się wyraził. - Uśmiechnęła się lekko. - Zdałam egzamin starego Ercolego. Ale nie powiedziałam ojcu ani Cezarowi, że d'Este'owie nigdy nie dadzą się przekonać do walki dla papieżstwa. Są dobrymi katolikami, ale nie są głupi: nie ufają papieżowi Aleksandrowi ani jego generałowi. Książę Ercole nalega, abym przyjechała do Ferrary na ślub i tam zamieszkała, na co chętnie się

zgodziłam. Nigdy nie wrócę do Rzymu. Zostanę z nowym mężem, otoczona silną rodziną i armią, która nie ugnie się przed wolą Borgiów. - Jej głos drżał. - Ma na imię Alfonso.

Upłynęła chwila, zanim zdałam sobie sprawę, że wymieniła imię narzeczonego: Alfonsa d'Este, kuzyna mojego brata.

- Jak widzisz - podjęła - będzie to nasze ostatnie spotkanie, Sancho. - Popatrzyła na mnie ze smutnym przywiązaniem. - Gdybym tylko mogła jakoś ci pomóc...

- Możesz - odparłam natychmiast. - Możesz mi wyświadczyć ostatnią przysługę.

- Oczywiście - zapewniła gorliwie.

- Możesz mi powiedzieć, ile canterelli potrzeba do zabicia człowieka.

Z początku zupełnie osłupiała; potem zapanowała nad sobą i znieruchomiała. Jej zamysłone oczy i skupiona mina wskazywały mi, jak przenosi się w czasie do klasztoru San Sisto, gdzie przebywała, będąc w ciąży z dzieckiem Cezara, i była tak zrozpaczona, że chciała odebrać sobie życie.

Patrzyłam, jak przypomina sobie zaginioną fiołkę trucizny.

Potem spojrzała mi badawczo w oczy; bez obaw odwzajemniłam jej spojrzenie. W tej obyczajowej się bez słów rozmowie stałyśmy się współniczkami spisku tak pewnego, jak wszystkie uknute przez jej brata i ojca. „Do zabicia człowieka”, powiedziałam. Stanowczość w linii moich barków, zadarty hardo podbródek mówiły jej, że nie mam zamiaru użyć zawartości fiołki dla siebie.

Nigdy nie byłam tak pewna jej lojalności i wdzięczności.

- Wystarczy parę ziarenek - odrzekła w końcu. - To niezwykle silna trucizna. Jest trochę gorzkawa, więc posyp nią jedzenie, najlepiej coś słodkiego, jak miód albo konfitury, albo wsyp ją bezpośrednio do wina. Dzięki temu ofiara nie poczuje smaku.

Kiwnęłam głową.

- Dziękuję.

Chwilę później zachowywałyśmy się już tak, jakbyśmy nigdy nie rozmawiały o czymś takim. Wyraz jej twarzy zmienił się gwałtownie: w oczy wkradła się błagalna prośba. Odpowiedziałam, zanim zdążyła zadać pytanie:

- Nie prosz mnie o wybaczenie, Lukrecjo, bo nie jestem w stanie ci go dać. Ostatni płomyk nadziei w jej oczach zgasł niczym zdmuchnięta świeczka.

- W takim razie będę się modliła o to do Boga - rzekła z powagą. - I poproszę tylko, żebyś mnie pamiętała.

Wtedy się ugięłam. Podeszłam i przytuliłam ją mocno.

- To mogę zrobić. Objęła mnie.

- Do widzenia, Sancho.

- Nie - odparłam smutno. - Żegnaj, już się nie zobaczymy.

Przed wyjazdem Lukrecji do Ferrary w mieście odbywały się liczne uroczystości. W pogodne wieczory Dorotea i ja patrzyłyśmy z loggii, jak przepyszenie wystrojeni arystokraci i dygnitarze przemierzają rzymskie place i ulice w drodze do Watykanu, aby złożyć wyrazy szacunku pannie młodej. Były fajerwerki i salwy z armat; Dorotei podobały się te rozrywki, lecz we mnie podsycaly tylko nienawiść.

Pewnego ranka, gdy siedziałam w antykamerze i czytałam, otworzyły się drzwi. Podniosłam wzrok, zirytowana niezapowiedzianym wtargnięciem.

W drzwiach stał Cezar Borgia.

Wojna postarzyła go, podobnie jak francuska choroba; nawet broda, na której widać było przedwczesną siwiznę, nie skrywała wyraźnych blizn na policzkach. Włosy, które zdążyły się przerzedzić, też lśniły tu i ówdzie srebrnymi kosmykami. Pod zmęczonymi oczami malowały się cienie.

- Jesteś równie piękna, jak w dniu, gdy cię pierwszy raz ujrzałem, Sancho - powiedział tęsknie. Jego głos był miękki jak aksamit, lecz komplement poszedł na marne. Na jego widok skrzywiłam usta; obecność Cezara nie wróżyła niczego dobrego.

Wtedy zobaczyłam poważnego małego chłopca, trzymającego go za rękę i z gardła wyrwał mi się dźwięk, który był zarówno śmiechem, jak i łkaniem.

- Rodrigo!

Rzuciłam książkę i podbiegłam do dziecka.

Nie widziałam bratanka od ponad roku, lecz natychmiast go poznałam; złociste loki i błękitne oczy bez wątpienia odziedziczył po Alfonsie. Był ubrany w książęcą tunikę z granatowego aksamitu.

Uklękłam przed nim i rozłożyłam ramiona.

- Rodrigo, najdroższy! To twoja *tia* Sancha, pamiętasz mnie? Wiesz, jak bardzo cię kocham?

Chłopczyk - teraz niemal dwulatek - początkowo odwrócił się ode mnie, a potem potarł piąstkami oczy, zawstydzony.

- Podejdz do niej - mruknął zachęcająco Cezar i pchnął go w moją stronę. - To twoja ciocia, siostra twojego ojca... Była bardzo zaprzyjaźniona z twoją matką. I towarzyszyła jej, kiedy się rodziłeś.

Wreszcie Rodrigo wtulił się we mnie z czułością. Objęłam go, nie pojmując, czemu zawdzięczam tę łaskę, i na razie nie przejmując się tym wcale. Była to czysta rozkosz. Przycisnęłam policzek do miękkiej dziecięcej czupryny, a Cezar odezwał się z dziwnym zakłopotaniem:

Lukrecja nie może zabrać synka do Ferrary. - Zwyczaj sprzeciwiał się wprowadzaniu dziecka z poprzedniego małżeństwa do domu nowego męża. - Dlatego poprosiła, żebyś go wychowała. Nie widziałem w tym nic złego i go przyprowadziłem.

Mimo radości nie mogłam się powstrzymać od sarkazmu.

- Dziecko nie powinno się wychowywać w więzieniu!

- Dla niego nie będzie to więzienie, tylko dom - powiedział Cezar ze zdumiewającą łagodnością. - Przyznamy mu wszystkie przywileje; będzie mógł swobodnie wchodzić i wychodzić, i odwiedzać dziadka i wujów, kiedy tylko sobie zażyczy. Wszystko, czego mu trzeba, natychmiast dostarczymy, bez zbędnych pytań. Nająłem dla niego najlepszych nauczycieli, gdy nadejdzie czas. - Zrobił pauzę, a potem dodał chłodnym, aroganckim tonem, który tak dobrze znałam. - W końcu jest Borgia.

- Jest księciem dynastii aragońskiej - oświadczyłam zapalczywie, mocno przytulając chłopca.

Cezar uśmiechnął się bez złośliwości.

- Wkrótce zjawi się służba z jego rzeczami - dodał, a potem odszedł, pozostawiając mnie, bym mogła się zastanawiać, jak potwór może czasem okazać się ludzki.

Zawołałam Esmeraldę, żeby pochwalić się moim najnowszym, najcenniejszym klejnotem; we dwie obsypałyśmy zdziwionego chłopca pocałunkami.

Lukrecja mnie zdradziła, Alfonso umarł, lecz zostawili mi najwspanialszy prezent na świecie: swego syna.

Od tamtej chwili wszelkie ślady mojego szaleństwa zniknęły. Mały Rodri-go dał mi znowu nadzieję i cel. Uświadomiłam sobie, że nie zniszczyłam wszystkiego, co kocham, i zaczęłam zastanawiać się nad ucieczką z dzieckiem do Neapolu, gdzie rządził teraz król Ferdynand Hiszpański. Nie mogłabym wrócić do Castel Nuovo, lecz nie byłabym źle widziana w mieście, które tak uwielbiałam. Moja matka, ciotki, a nawet królowa Juana nadal tam mieszkały. Byłabym wśród rodziny. Kobiety, które znały mojego brata, teraz mogłyby poznać jego syna.

Miałam broń do osiągnięcia celu; dzięki Lukrecji wiedziałam, jak jej użyć. Pozostał tylko jeden kłopot: jak podać jaofierze. Teraz, gdy wróciły mi zmysły, byłam cierpliwa, mogłam poczekać na stosowny moment i drobiazgowo rozważyć, jak wypełnić przeznaczenie, które wywróżyła mi strega.

Dni upływały mi na opiece nad Rodrigiem. Potrzebował czasu, zanim przyjął do wiadomości, że już nigdy nie zobaczy matki; przede wszystkim zaś

tęsknił za piastunką, która wraz z dworem Lukrecji pojechała do Ferrary. Wielokrotnie nie spałyśmy z Esmeraldą w nocy, bo płakał - lecz tak naprawdę sypiałam teraz lepiej niż przed pojawieniem się dziecka. Na szczęście Jofre lubił przebywać w jego towarzystwie i wieczorami, kiedy przychodził na wspólną kolację, zanosił Rodriga do łóżka.

Minął rok; lato odeszło prędko, a zima nadciągnęła zbyt wcześnie. Chłopiec rozwijał się i rósł. Na szczęście Cezar cały czas spędzał ze swoją armią, a ja ćwiczyłam się w cierpliwości.

Minęły święta, potem Nowy Rok. Pewnego wieczora na początku stycznia Jofre przyszedł jak zwykle na wieczerę. Stał w drzwiach, blady i wstrząśnięty, bez zwykłego uśmiechu na twarzy; nawet gdy Rodrigo podbiegł, żeby go przywitać, nie podniósł chłopca, jak to zawsze czynił, lecz pogłaskał tylko po główce.

- Mężu - zapytałam zaniepokojona - źle się czujesz?

- Nic mi nie jest - odparł bez przekonania. - Muszę porozmawiać z tobą na osobności.

Pokiwałam głową i szybko poleciłam Esmeraldzie położyć dziecko do łóżka, a służącym, którzy usługiwali nam przy stole, kazałam tylko nakryć do kolacji i odejść.

Gdy zostaliśmy sami, Jofre otworzył frontowe drzwi i odprawił gwardzistów, a potem stał jeszcze przez jakiś czas na korytarzu, rozglądając się po pustym korytarzu. Wreszcie wrócił i wyjrzał na balkon, sprawdzając, czy nikogo tam nie ma. Dopiero wtedy podszedł do stołu i opadł na krzesło. Światło świec rzucało odbłaski na jego krótko przystrzyżoną miedzianozłotą brodę, która nie była w stanie ukryć zbyt cofniętego podbródka.

Podniósł puchar; ręka tak bardzo mu drżała, że gdy nalewałam mu wina, część rubinowego płynu popłynęła na stół. Jofre pociągnął długi łyk, odstawił kielich i jęknął.

- Mój brat jest szatanem. - Pochylił się do przodu, oparł łokcie o stół i złapał się za głowę roztrzęsionymi dłońmi.

- Co teraz zrobił?

- Jemu i ojcu nie wystarcza już po prostu Romania. Cezar ruszył do Mar-che i zajął Senigallię. - Nigdy nie byłam w Senigallii, ale słyszałam, że to piękne miasteczko na południe od Pesaro, na wschodnim wybrzeżu, gdzie piasek jest tak drobny, że mówiono, iż plaże są tam zrobione z aksamitu.

- Czemu się dziwisz? - wtrąciłam zjadliwie. - Na pewno wiesz, że ambicja twojego brata nie zna granic. Nigdy nie wystarczyłaby mu sama Romania.

Jofre wpatrywał się apatycznie w talerz i nawet nie tknął złocistobrazowego uduka i kasztanów.

- Nie słyszałaś więc, jak zajął miasto. Pokręciłam głową.

- Zwołał *condottieri* ze wszystkich miast Romanii, żeby z nim pojechali. Byli to przywódcy pokonanych arystokratycznych rodów; zmuszono ich do służby w papieskiej armii na czele własnych oddziałów. Wszyscy przysięgli wierność Borgiom pod groźbą śmierci. I razem pomaszerowali na Senigalię - ciągnął Jofre. - Papieska armia była tak potężna, że miasto otworzyło bramy i poddało się bez walki. I właśnie wtedy historia zmieniła się w koszmar. .. - Wzdrygnął się. - Nie mogę uwierzyć, że obaj mamy tę samą matkę; Cezar jest bardziej zdradziecki od Turków, bardziej żądny krwi od księcia wołoskiego, którego zwali Palownikiem. Za nagrodę nie wystarczyło mu samo miasto. Zaprosił w jego mury wszystkich *condottieri*, mówiąc, że pragnie, aby obejrzeni zamek i zjedli z nim uroczystą wieczerzę. Dowódcy usłuchali; nie mieli powodu spodziewać się czegokolwiek oprócz wdzięczności za swoją lojalność. Ale mój brat... kazał ich otoczyć. Bramy miasta zatrzęsnięto, oddzielając *condottieri* od ich żołnierzy. Do rana Cezar wyrzwał ich wszystkich. Niektórzy zostali powieszani, inni zadźgani albo spaleni... - Położył ramię na stole i oparł o nie czoło.

Z kamienną twarzą siedziałam naprzeciwko niego, usiłując wyobrazić sobie okropności, o których właśnie usłyszałam. Dumne, szlacheckie rody, które rządziły od stuleci, gwałtownie zostały pozbawione władzy. Borgiowie naprawdę zapanowali nad Romanią.

- Ojciec i Cezar już wcześniej wybrali nowych włodarzy, którzy czekali tylko na wiadomość, żeby przejąć rządy w każdym z miast. - Podniósł głowę i dodał zgębiony: - Kardynałowie umierają w Rzymie niemal codziennie. Ich bogactwa idą do kufrow Kościoła na finansowanie wojen. Ojciec nie chce rozmawiać o niczym innym. Jest dumny z Cezara i jego zwycięstw... Nie mogę tego znieść. - Zaczął dygotać tak gwałtownie, że wprawił w drżenie stojący przed nim talerz. - Teraz obu przepełnia arogancja i pycha, nic nie jest w stanie ich powstrzymać. Lukrecja wyjechała do Ferrary, nie mogą nią już manipulować... dobrali się więc do mnie. Wczoraj ojciec napomknął, że potrzebuje naszych majątków... na prowadzenie wojny. Mówił o Squillace i innych posiadłościach, które mam w Neapolu, a także o moim złocie i klejnotach. Stwierdził, że przydałyby się Cezarowi i Kościołowi. Groził mi. Zacząłem się bać o swoje życie... Bez pieniędzy jestem dla nich bezużyteczny. Co ich powstrzyma przed zabiciem mnie?

Nie mogłam dłużej znieść tego tchórzostwa.

- Dlaczego teraz drżysz, Jofre? Dlaczego się dziwisz? Na pewno nie byłeś przez te lata głupcem, a mimo to wolałeś pozostać ślepy i głuchy na to,

co się działo wokół! Wiesz równie dobrze jak ja, że Perotto i Pantsilea byli niewinni, a zabito ich, bo za dużo wiedzieli. Na własne oczy widziałeś, jak wieszali don Antonia, gościa kardynała Sforzy. Wiesz, że Tybr aż się przelewa od ciał ofiar twojego ojca i brata. A najgorsze, że pozwoliłeś Cezarowi zamordować swojego brata Juana i mojego brata Alfonsa i nie kiwnąłeś nawet palcem w ich obronie! Nie jęcz teraz przy mnie, swojej żonie, która mieszka w więzieniu razem z kobietami zgwałconymi przez Cezara! Jęknął znękany.

- Wybacz mi wszystko, co się stało... ale cóż ja mogę na to poradzić?

- Gdybyś był mężczyzną, uwolniłbyś mnie - syknęłam z wyrzutem. -Gdybyś był mężczyzną, już dawno temu poderznąłbyś im gardła.

Czoło marszczyło mu się od trosk, lecz oczy zapalały dziko, gdy cichym głosem wyznał:

- Chcę być teraz mężczyzną, Sancho. Chcę być wolny, wyjechać do Squil-lace i spędzić tam resztę życia w spokoju.

Powiedział to tak dobitnie i z takim przekonaniem, że zamilkłam. Był współnikiem, na którego czekałam; ale musiałam być pewna jego zdecydowania. Wolałabym kogoś o silniejszej woli. Im jednak dłużej patrzyłam mu w oczy, tym jaśniejsze stawało się, że to właśnie moja szansa.

- Mogę ci pomóc, mężu - odparłam w końcu. - Wiem, jak powstrzymać terror. Ale musisz porzucić Borgiów i przysiąc lojalność tylko mnie, na śmierć i życie.

Jofre wstał z krzesła, zbliżył się do mnie, a potem przykląkł i ucałował mój pantofel.

- Na śmierć i życie - przysiągł.

Lato 1503

Razem z Jofrem ustaliliśmy, że uzbroi się w cierpliwość i poczeka, aż Cezar powróci z wojny. Gdyby bowiem Cezar usłyszał o śmierci ojca, wkroczyłby do Rzymu i przeforsował wybór takiego papieża, który byłby zupełnie posłuszny jego woli. Nie mogliśmy uderzyć w samego Aleksandra.

Oczekiwanie zdawało się nie mieć końca, Cezar kontynuował podbój Marche.

Pewien poranek przyniósł jednak nadzieję. Obudził mnie odległy huk pioruna, lecz kiedy wstałam i otworzyłam okiennice, stwierdziłam, że niebo jest bezchmurne i słoneczne.

Znów dał się słyszeć huk. Zorientowałam się, że to nie odgłosy nadciągającej burzy, tylko echo strzałów armatnich. Pozwoliłam donnie Esmeraldzie nadal spać - zrobiła się trochę głucha - i samodzielnie się ubrałam. Potem wyciągnęłam z łóżeczka Rodriga.

Trzymając się za ręce, we dwoje wyszliśmy do antykamery i otworzyłam drzwi. Teraz pilnował mnie tylko jeden strażnik - siedemnastoletni nowicjusz o imieniu Giacomo, który lubił pogawędki i plotki prawie tak bardzo jak donna Dorotea i wiedział, że można mi ufać.

Giacomo nie stał przy drzwiach, lecz na końcu korytarza, skąd wpatrywał się przez okno w dal. Był szczupły i wysoki, a sztywność odwróconej do mnie plecami sylwetki wskazywała na niepokój.

- Giacomo! - zawołałam. - Słyszę armaty!

Obrócił się prędko, od razu zawstydzony, że przyłapałam go na zaniedbywaniu obowiązków. Wrócił pod drzwi.

- Proszę wybaczyć, madonna. To Giulio Orsini ze swoimi ludźmi. Ojciec Święty więzi krewnych Orsiniego i don Giulio wszczął bunt. Ale nie ma się

czego bać. Papież wezwał naczelnego wodza z całą armią... - w tym momencie zniżył głos i zmrużył porozumiewawczo powieki - ciekawe, czy generał dał się mu przekonać.

Od miesięcy Cezara nie udawało się namówić do przzerwania wojaczki; papież musiał sobie radzić sam z garstką żołnierzy, którzy nie wymaszero-wali w pole ze swoim generałem. Aleksander nie mógł dłużej polegać na poparciu rzymskiej arystokracji, która stała się nieufna i rozgoryczona po tym, jak Cezar potraktował *condottieri* w Senigalli. Czemu mieliby walczyć dla papieża, który mógłby ich potem wymordować?

Giulio Orsini szybko rósł w siłę i zyskiwał coraz szersze poparcie. Pewnego wieczoru Jofre popatrzył na mnie znacząco przez nakryty do kolacji stół, gdy donna Esmeralda akurat nalewała wina.

Odchrząknął nerwowo, a potem powiedział jakby nigdy nic:

- Jego Świątobliwość desperacko szuka pomocy w walce z Orsinimi. Dowiedziałem się dzisiaj od kardynała Monreale, że Aleksander zagroził Cezarowi ekskomuniką, jeśli znowu zlekceważy wezwanie ojca i nie wróci do Rzymu. Cezar opierał się i zrzędził, jak mówi kardynał, ale dzisiaj papież otrzymał wiadomość, że jest już z wojskiem w drodze.

Sięgnęłam przez stół i ścisnęłam mu dłoń; jego uścisk był zaskakująco silny i stanowczy. Jeśli Esmeralda dostrzegła coś dziwnego w ukradkowych spojrzeniach, które wymieniałam z małżonkiem, niczego nie powiedziała.

W skwarze lata, wiele miesięcy po pierwszym wezwaniu papieża, Cezar sprowadził wreszcie wojsko do Rzymu. Przez dwa tygodnie był niedostępny, obozując z żołnierzami poza miastem. Skromna armia Orsiniego nie mogła się jednak równać z oddziałami papieskimi; zbuntowanych arystokratów wkrótce pozabijano. Rozradowany Aleksander kazał bić we wszystkie kościelne dzwony.

Po zwycięstwie Jofre przybył do mnie na wieczerzę. Rodrigo podbiegł do drzwi, gdy tylko usłyszał kroki wujka. Mój mąż od razu podniósł chłopca wysoko w powietrze, tak że dziecko pisnęło z radości. Potem pocałował Rodriga i postawił na ziemi. Mimo nalegań malca Jofre nie dał się tamtego wieczoru namówić do zabawy, poprosiłam więc Esmeraldę, żeby położyła chłopca wcześniej.

Na balkonie ustawiono nieduży stolik, abyśmy podczas kolacji mogli się rozkoszować letnimi wieczorami. Dwie służące nakrywały do stołu, Jofre poprosił o kielich wina. Jedna z dziewcząt przyniosła mu trunek, a on wychylił wszystko jednym haustem.

Wstałam z fotela w antykamerze i podeszłam do niego. Miał niespokojny, rozbiegany wzrok; przycinał tego dnia brodę, lecz niezbyt dokładnie, bo na policzku zauważyłam drobne zacięcie, pokryte świeżo zaschniętą krwią.

- Przynosisz wieści, mężu - zauważyłam głosem na tyle cichym, aby kobiety na balkonie mnie nie usłyszały.

Nadal zwracaliśmy uwagę na służące, lecz słuchałam pilnie, gdy Jofre odpowiedział:

- Cezar chce opuścić Rzym możliwie jak najszybciej i wrócić do Marche. Ale ojciec przekonał go, żeby został na uroczystym przyjęciu, które wydaje jutro kardynał Adriano Castelli na cześć zwycięzców. Feta odbędzie się na świeżym powietrzu, w winnicy.

- Załatw sobie miejsce między papieżem a Cezarem - powiedziałam półgłosem.
- Potem poproś podczaszego, żeby pozwolił ci podać im pełne puchary, bo pragniesz w ten sposób wyrazić im swój szacunek. Wznies kilka toastów. - Umilkłam na moment. - Kiedy służące wyjdą, dam ci, co trzeba.

Służące zwlekały z nakrywaniem stołu, lecz w końcu się oddaliły. Weszłam do sypialni, gdzie donna Esmeralda coś przyszywała; Rodrigo spał.

- Muszę wyjąć coś z szafy - szepnęłam, a ona kiwnęła głową i mrużąc oczy, zabrała się znowu do szycia. Otworzyłam garderobę.

Otwarte drzwi zasłaniały widok Esmeraldzie, mogłam więc spokojnie otworzyć skrytkę i wyciągnąć szkatułkę. W środku spoczywały klejnoty zabrane z apartamentu w pałacu Santa Maria, a także fiołka canterelli. Wcześniej opróżniłam malutki flakonik z przezroczystego szkła, który zawierał drogocenny olejek różany z Turcji, prezent od Jofrego sprzed wielu lat.

Wzięłam jeden rubin i oba szklane pojemniki, po czym schowałam szkatułę do skrytki, bezgłośnie zamknęłam drzwi szafy i wyszłam. Przez cały czas donna Esmeralda ani razu nie podniosła wzroku.

W antykamerze Jofre przechadzał się nerwowo tam i z powrotem. Zdążył już nalać sobie następny kielich wina i prawie go wypił.

- Musisz bardziej nad sobą panować - upomniałam go - jeżeli ma się nam powieść.

- Tak, tak - obiecał, odchylił głowę i opróżnił puchar. Popatrzyłam na niego niepewnie, lecz niczego nie powiedziałam. Zamiast tego podałam mu rubin.

- Na wypadek, gdyby trzeba było kogoś przekupić.

Podeszłam do lampki oliwnej i spojrzałam na obie fiołki pod płomień. Zielone szkło rozblysło odbitym światłem. Pomyślałam o odbłaskach słońca tańczących na falach Zatoki Neapolitańskiej; pomyślałam o wolności.

Proszek w środku był matowy, szarobłękitny. Piękna canterello, powiedziałam w duchu. Canterello, wybaw mnie...

Przypomniał mi się moment, gdy zabiłam młodego żołnierza, który groził Ferrandinowi śmiercią. Nie miałam wtedy wyrzutów sumienia; teraz też ich nie odczuwałam - tylko zimną, ponurą radość.

Uważając, żeby nie trzęsły mi się ręce, otworzyłam najpierw pusty flakonik... a potem z najwyższą ostrożnością odkorkowałam fiolkę z trucizną. Jofre zaglądał mi przez ramię, jego oddech stał się krótki i nerwowy, gdy pochylił się do przodu.

- Odsuń się - ostrzegłam. - Mogę to rozsypać, nie wiem, czy nie można się zatruć, wdychając proszek.

Uśluchał i patrzył w milczeniu, jak przesypuję truciznę z większego pojemnika do mniejszego. „Wystarczy parę ziarenek”, powiedziała Lukrecja; nie pytałam, jak zdobyła takie doświadczenie. Dałam Jofremu setki, tysiące ziaren - jedną trzecią fiolki - dość, aby zdziesiątkować papieską armię.

Zatkałam obie fiolki i wręczyłam mu mniejszą - teraz na pół przezroczystą, na pół szarobłękitną. Schował ją w niewidocznej kieszeni tuniki.

- Dlaczego nie dasz mi wszystkiego? - zapytał lekko poirytowany.

- Bo jeśli nas przyłapią- odparłam spokojnie - przyda się dla nas samych.

Słyszając to, zbladł, lecz szybko opanował się i kiwnął głową. Wsunęłam szmaragdową fiolkę pod gorset.

- Na razie będę nosić to przy sobie przez cały czas, jeśli więc zostaniemy złapani...

Znów kiwnął głową, tym razem stanowczo, żeby dać mi do zrozumienia, że nie muszę kończyć zdania.

Oboje odwróciliśmy się w stronę balkonu, gdzie czekała kolacja.

- Nie byłbym w stanie nic przełknąć - przyznał Jofre.

- Ja też. Zawołam służbę, żeby zebrała talerze. Ruszył do drzwi. Chwyciłam go za rękę i powiedziałam:

- Mało mam wiary w Boga. Ale będę się za ciebie modlić. Uśmiechnął się blado, a potem nagle wziął mnie w ramiona i pocałował.

Nie był to zwyczajny, obowiązkowy pocałunek męża. Pocałował mnie jak młody mężczyzna całuje kobietę, którą namiętnie kocha.

Odchyliłam się do tyłu. W jego oczach, w wyrazie twarzy ujrzałam nieśmiałego, przepraszającego mnie wstydliwie chłopca z nocy poślubnej.

- Przepraszam, że cię zawiodłem, Sancho - wyszeptał. - Już tak nie zrobię. I tak się rozstaliśmy. Dotrzymałam obietnicy: modliłam się o niego przez całą bezsenłą noc, z dłonią przyciśniętą do serca.

Następny dzień - ten, w którym miało się odbyć przyjęcie na cześć Cezara - płynął boleśnie powoli. Tamtego wieczoru nie dostałam wieści od Jo-frego; nie spodziewałam się ich, bo efekty canterelli ujawniały się dopiero po pewnym czasie.

Gdy jednak następnego wieczoru Jofre znowu się nie pojawił, zaczęłam się denerwować. Kiedy nadszedł trzeci wieczór, byłam roztrzęsiona. Czyżby mnie zdradził? A może złapali go na gorącym uczynku?

Przez całą noc siedziałam w antykamerze, zastanawiając się, czy użyć zielonej fiołki, którą ścisakałam w garści.

Tuż przed świtem zmęczenie wzięło górę. Położyłam się do łóżka i zapadłam w niespokojny sen.

Obudziłam się i moim oczom ukazał się zupełnie nieprawdopodobny widok: z początku myślałam, że śnię. Obok mnie leżała bez ruchu donna Esme-ralda. Rodrigo spał spokojnie w kołysce.

Nade mną stały pochylone Dorotea de la Crema i Caterina Sforza, obie w koszulach nocnych.

Zamrugałam, ale zjawy nie zniknęły.

- Papier został otruty - syknęła Dorotea. - Cezar też. Usiadłam i uśmiechnęłam się szeroko, ogarnięta falą radości.

- Nie żyją?

- Nie - powiedziała Caterina. Jej blada twarz promieniała ze szczęścia. Serce o mało mi nie stanęło, gdy usłyszałam to krótkie słowo. Po chwili podjęła: - Ale obaj są bardzo chorzy i boją się. Nasi strażnicy odeszli.

- Giacomo też zniknął? - Uspokoiliam się. Plotka mówiła, że canterella wymaga czasem kilku dni, żeby poskutkować. Fakt, że gwardziści opuścili posterunki, oznaczał, że nie wierzą w wyzdrowienie Jego Świątobliwości.

- Zniknął - powiedziała radośnie Dorotea. Podeszłam do szafy i pośpiesznie owinęłam się płaszczem.

- Poszli na przyjęcie - ciągnęła Dorotea. - Nazajutrz wieczorem Aleksandra dopadła gorączka. Nikt zbyt nie przejął: w końcu to najbardziej upalny okres lata i wszyscy źle się czują, ale wczoraj rano dostał wszystkich objawów canterelli. Cezar też jest chory. Mój strażnik powiedział, że to zatrute konfitury. Ale nikt z pozostałych gości nie zachorował. Możliwe, że zatrucie nastąpiło gdzie indziej.

- Popatrz sama - zachęciła rozradowana jak dziecko Caterina, ciągnąc mnie za rękę. Poprowadziła nas przez opustoszałe korytarze na dół. Wyszłyśmy na loggię i spojrzały na drugą stronę placu, na Watykan.

Bramy były zamknięte, strzegł ich kordon uzbrojonych żołnierzy. Caterina wychyliła się przez balustradę tak bardzo, że przestraszyłam się, że wypadnie, i chwyciłam ją za ramię. Odepchnęła moją rękę niecierpliwie.

- Daj mi spokój.

- Co ty wyprawiasz? - zapytałam, a ona z najsłodszy, najbardziej niewinnym uśmiechem, jaki widziałam, odparła:

- Nasłuchują dzwonów.

Nazajutrz w południe, gdy donna Esmeralda zajmowała się Rodrigiem, a ja pakowałam w sypialni rzeczy - próbując ukoić w ten sposób nerwy -w drzwiach pojawił się Jofre. Kark uginał mu się pod niewidzialnym brzemieniem, mizerna twarz krzywiła się boleśnie. Nie przynosił dobrych wiadomości; dłoń, w której trzymałam złożoną aksamitną pelerynę, zamierzając schować ją w kufrze, zacisnęła się mocniej.

- Esmeraldo - powiedział - muszę zamienić z żoną słowo na osobności. -Bełkotał, jakby się upił, to nie wino plątało mu język, tylko strach.

Wzięła małego Rodriga za rękę i kiedy nas mijała, posłała mi dyskretne spojrzenie. Stara piastunka nie była głupia: na okrągłej pomarszczonej twarzy malowało się zrozumienie. Bez wątpienia zauważyła lęk Jofrego i mój niepokój i skojarzyła to z zamachem w Watykanie.

W jej bystrych oczach nie znalazłam nagany.

Gdy wyszła, zabierając dziecko, podeszłam do Jofrego i przesunęłam dłońmi po jego barkach i ramionach. Miał wilgotny kaftan; dygotał. Brązowe oczy były przekrwione od braku snu, na wąsach lśniły kropelki potu.

- Mów, mężu.

Roztargnionym gestem przeczesał palcami włosy.

- Nie umarli. Obawiam się, że wracają do zdrowia.

- Co się stało?

- To nerwy - odparł z takim wstydem, że nie mógł na mnie spojrzeć. -Wysypał mi się proszek. Prawie wszystko. Z kieliszkami wina schowałem się za drzewem, ale nie mogłem sobie poradzić z fiołką... Została tylko resztk.

- Jak bardzo są chorzy? - Moje pytania były lakoniczne, pośpieszne; nie miałam czasu, żeby go pocieszać.

- Ojciec jest w gorszym stanie. Czasami nie wie, gdzie jest ani z kim. Ale torsje i krwotoki ustały, a dziś rano zjadł trochę rosołu. Na przyjęciu pił czyste wino, a Cezar wylał trochę i rozcieńczył je wodą. Też jest chory i zbyt osłabiony, żeby wstawać z łóżka, ale nie aż tak, jak ojciec. Błagał, żebym przy nim siedział. Wyzdrowieje, wiem to... W końcu wymówiłem się, tłumacząc, że muszę odpocząć.

Wyciągnął ręce i nagle chwycił mnie za ramiona, bo kolana się pod nim ugięły; upuściłam aksamitną pelerynę, pomogłam mu podejść do łóżka i usiąść.

Ukrył twarz w dłoniach.

- Znów cię zawiodłem, Sancho. Teraz będziemy musieli sami się otruć... Wobec jego słabości mogłam wpaść w gniew, lecz zamiast tego poczułam

nadnaturalny spokój. Ogarnęło mnie przeświadczenie tak tajemnicze i głębokie jak wiara; wiedziałam ponad wszelką wątpliwość, że Jofre pomógł mi postawić pierwszy krok na drodze ku przeznaczeniu. Lecz sama musiałam go dopełnić.

- Nie - oświadczyłam stanowczo. - Nie stanie nam się nic złego. Potrzebuję tylko nadal twojej pomocy. Powiedz, czy pilnuje ich straż?

Pokręcił głową.

- Wszyscy gwardziści, którzy zostali, otoczyli Watykan. Reszta uciekła, tak jak i większość służby... Ale gdy usłyszą, że ojciec i Cezar odzyskują zdrowie, mogą wrócić.

- W takim razie musimy działać jak najszybciej - powiedziałam. - Kto z nimi teraz jest?

- Don Micheletto Corella siedział przy Cezarze... - Jofre skrzywił się nienawistnie. - Czekam niczym jastrzęb gotowy zaatakować, gdy tylko Aleksander umrze albo stan Cezara się pogorszy... wtedy zagarnię tyle władzy i bogactw, ile tylko zdoła. Ojciec jest sam, został z nim jedynie szambelan Gasparre, który szczerze rozpacza.

Na chwilę zrobiło mi się przykro. Przeznaczenie wymagało, abym własnoręcznie zadała ostateczny cios, lecz Jofre nie mógł wprowadzić mnie do apartamentów Borgiów, nie wzbudzając podejrzeń straży.

Wyjrzałam przez okno na niewielkie, odległe sylwetki poruszające się po placu Świętego Piotra, na ciemne fale gorąca unoszące się nad brukiem. Było lato, czas zabaw i nagle przeniosłam się we wspomnieniach na inną ucztę, w innej winnicy. Siedziałam między Cezarem a Juanem i zaintrygowało mnie przybycie tajemniczego gościa w przebraniu.

Podniosłam z posadzki pelerynę z czarnego aksamitu. Miała kaptur; mogła zakryć mi włosy. Odwróciłam się do męża.

- Potrzebuję maski - oznajmiłam. - Takiej, która zasłoni mi twarz. I sukni kurtyzany. Im bardziej wyzywająca, tym lepsza.

Jofre popatrzył na mnie, niczego nie pojmując. Zaczęłam się niecierpliwić.

- Znasz takie kobiety. Znajdziesz mi takie ubranie. Pośpiesz się, musisz zdążyć przed zmrokiem.

Maska, którą przyniósł Jofre, była piękna: ze skóry wyciętej i wytłoczonej tak, że przypominała skrzydła motyla, brązowe przy brzegach i pomalowane

na ciemny fiolet i zielonkawy odcień granatu. Zakrywała tylko połowę twarzy, zostawiając odsłonięte wargi i podbródek, mój zaradny mąż znalazł więc do kompletu wachlarz z pawich piór. Atlasowa sukienka miała krzykliwy szkarłatny kolor i nieprzystojnie głęboki dekolt - nigdy nie włożyłabym czegoś takiego. Poprosiłam donną Esmeraldą, żeby uszczknęła trochę tkaniny z obrębienia i uszyła małą kieszonkę - „taką jak na mój sztylet”. Posłuchała bez zastrzeżeń; nie powiedziała też słowa, gdy ubierała mnie w suknię kurtyzany, a potem patrzyła, jak zakładałam maskę i okrywam się czarną peleryną. Nasunęłam kaptur na włosy, rozłożyłam wachlarz, żeby ukryć podbródek i usta, i przebranie było gotowe. Pozostało tylko jedno: schowałam fiolkę z resztą canterelli do sekretnej kieszonki.

Jofre wpatrywał się we mnie z nieskrywaną żądzą; pochlebiało mi to, a jednocześnie poczułam zazdrość, gdyż jego podziw przypominał mi wszystkie dziewczki, które sobie sprowadzał w czasie naszego małżeństwa. Stłumiłam złość i podałam mu rękę.

- Przejdźmy się razem, don Jofre - powiedziałam z kokieterią. - Pragnę zakosztować wieczornego powietrza na placu Świętego Piotra.

Spróbował się uśmiechnąć, ale za bardzo się bał; zauważyłam, że tego dnia miał przy boku szpadę na wypadek, gdyby nasz plan się nie powiódł. Trzymałam go mocno za ramię, żeby dodać mu otuchy, gdy wyszliśmy z niestrzeżonego, cichego zamku SanAngelo.

Moje zmysły dziwnie się wyostrzyły, jak wówczas, gdy popadłam w obłęd: każdy krok, który stawiałam, rozbrzmiewał i odbijał się echem z bolesną intensywnością. Na moście minęliśmy niewielu przechodniów, bez wątpienia dlatego, że większość ludzi została w domach w obawie przed falą przestępstw i rozruchów, której można się było spodziewać po śmierci papieża. Patrzyłam, jak słabe światła z pałaców i łodzi odbijają się migotliwie w ciemnych wodach Tybru; jeszcze nigdy rzeka nie cuchnęła tak ohydnie, wydzielając fetor gnijących ciał, które gromadziły się tu przez całe dziesięciolecie.

Przekroczyliśmy most i weszliśmy na plac Świętego Piotra. W roku jubileuszowym, gdy prowadzono mnie do Sant'Angelo, było tu pełno ludzi, wokół roilo się od pielgrzymów. Teraz plac był pusty, jeśli nie liczyć paru przypadkowych przechodniów.

Serce zabiło mi szybciej, gdy zbliżyliśmy się do bram Watykanu, gdzie zmęczeni gburowaci żołnierze zmierzili mnie bacznie wzrokiem; było ich mniej niż rano. Ścisnęłam mocniej wachlarz, który trzymałam w dłoni, i zasłoniłam nim twarz. Rozpoznawszy Jofrego, gwardziści skłonili się i bez pytania otworzyli bramę.

Po raz ostatni weszłam po schodach papieskiego pałacu.

Z bólem przemierzałam znajome korytarze i komnaty; powietrze było ciężkie od zdrady i żaloby. Nadmiar złocen i dekoracji w apartamentach Bor-giów nie wydawał się już wspaniały czy olśniewający, ale raczej ponury.

Minęłam Salę Sybillińską, wyszorowaną do czysta z krwi i przywróconą do dawnego blasku od czasu, gdy ostatni raz ją widziałam. Odwróciłam wzrok, zmuszając się do obojętności.

- Tutaj - oznajmił Jofre, wprowadzając mnie do Sali Świątych, gdzie odbyło się tyle uczt i wesołych biesiad. Teraz komnata zmieniła się w szpital. Wniesiono wielkie łoże z baldachimem; na stolikach stały miski z wodą, butelki wina i wody, lekarstwa i pojedynczy puchar. Zgodnie z tym, co mówił Jofre, Aleksander został porzucony przez wszystkich oprócz szambelana-na Gasparrego, który drzemał w fotelu obok.

Pośrodku wielkiego materaca, pod wielobarwnym freskiem przedstawiającym Lukrecję jako mądrą świętą Katarzynę, leżał papież. Bez piuski widać było łysinę okoloną puchem rozczochranych siwych włosów, delikatnych jak u niemowlęcia. Miał na sobie tylko lnianą koszulę nocną; kołdra okrywała chude, pałkowate nogi i połowę wydętego brzucha. Też spał, chociaż oczy nie były w pełni zamknięte; powieki spuchły mu i posiniały, cera poszarzała, a policzki zapadły się, nadając twarzy wygląd trupiej czaszki.

Puściłam rękę Jofrego, który zbliżył się do szambelana, położył mu dłoń na ramieniu i szepnął coś do ucha. Nie wiem, co powiedział; cieszyłam się tylko, że kłamstwo poskutkowało, bo Gasparre wstał i wyszedł z komnaty.

Odwróciłam się do Jofrego.

- Mężu - powiedziałam. - Może będzie lepiej, jeśli też pójdziesz.

- Nie - odparł stanowczo. - Muszę cię stąd bezpiecznie wyprowadzić. Podeszłam do stołu i odłożyłam wachlarz, a potem nalałam do pucharu

trochę wina. Jofre obserwował drzwi, a ja wyciągnęłam zieloną fioletkę, wylałam połowę zawartości do kielicha i zamieszałam. Była to olbrzymia dawka, starczyłaby do zabicia pięćdziesięciu ludzi. Chociaż nie zamierzałam się cofnąć przed morderstwem, nie byłam okrutna. Chciałam, żeby Aleksander odszedł szybko, nie cierpiał.

Kiedy uznałam, że jad jest gotowy, skinęłam na męża.

Jofre odszedł od drzwi, usiadł na brzegu łóżka i delikatnie położył ojcu dłoń na ramieniu.

- Ojcze - powiedział.

Aleksander uniósł powieki; zdezorientowany popatrzył na przybranego syna.

- Juan?

- Nie, ojczu. To ja, Jofre. - Do oczu napłynęły mu łzy, twarz skrzywiła się w nagłym żalu. Z pucharem w rękę stanęłam za jego plecami.

Aleksander zamrugał i od razu mnie poznał mimo maski.

- Sancha? - Głos miał słaby, skrzekliwy, lecz pobrzmiwała w nim nuta dobrego humoru. Wydawał się zadowolony, że mnie widzi. - Sancho, przyszedłś mnie odwiedzić... Czy już czas karnawału? - Zachowywał się tak, jakby zapomniał o zamordowaniu mojego brata i skazaniu mnie na więzienie. Mówił do mnie jak do Lukrecji: oczekiwał kobiecej troski. - Sancho, gdzie jest Juan?

Wysunęłam się przed męża.

- Śpi, Wasza Świątobliwość. I Wasza Świątobliwość też powinien zasnąć. Proszę. To pomoże.

Przytknęłam brzeg pucharu do jego warg; napił się, zakrztusił się, ale po chwili przełknął jeszcze kilka łyków. Kiedy odsunęłam puchar od ust, skrzywił się.

- Gorzkie.

- Tak jak większość skutecznych lekarstw - odparłam. - A teraz proszę odpoczywać.

- Powiedz Jofremu, żeby przestał płakać - powiedział z irytacją, westchnął i zamknął sine powieki.

Grzbietem dłoni pogładziłam jego pomarszczony policzek. Skóra była miękka, cienka jak pergamin.

Westchnęłam i wydychając powietrze, poczułam przeciągły, kłujący ból w piersi, jakby ktoś wyciągał miecz. Wiedziałam już, że wypełniłam swój los.

- Gotowe - szepnęłam do Jofrego. - Bez ojca Cezar utraci rychło całą władzę. Możemy iść.

Lecz Jofre wziął śpiącego papieża za rękę i powiedział:

- Zostanę z nim.

Pocałowałam go w głowę i zostawiłam samego. Zamierzałam od razu wrócić do SanfAngelo... lecz nogi same poniosły mnie schodami na piętro, drogą, którą potajemnie przemierzałam tyle lat temu - do apartamentu Cezara.

Drzwi do przedpokoju i sypialni były otwarte. Zasłoniłam wachlarzem twarz. Spodziewałam się spotkania z Michelettem Corellą i przygotowałam sobie wymówkę, że jestem kurtyzaną tak zakochaną w Cezarze, iż muszę się przekonać na własne oczy, czy wyzdrowieje.

Ale komnata była pusta, jeśli nie liczyć mężczyzny w łóżku. Corella opuścił swego pana.

Cezar leżał nagi, z nogami i torsem zaplątanymi w pościel. Stopy posiniały mu i spuchły do rozmiarów dwukrotnie większych niż normalne. Na stoliku płonęła tylko jedna świeca, ale światło raziło go w oczy; mrużył powieki i ścisnął pękającą z bólu głowę.

Weszłam po cichu i stanęłam przy łóżku, nie wiedząc, czemu właściwie przyszłam. Nigdy nie widziałam człowieka równie bezradnego i opuszczonego; słudzy albo Corella wykorzystali jego niemoc, bo wszystkie gobeliny, złote kandelabry i futra zniknęły - zostały tylko złocone sufity i freski. Mimo to nie żałowałam go, czułam tylko zdziwienie, że kiedykolwiek mogłam kochać człowieka tak złego i że dałam się tak omamić.

Spojrzał na mnie znękany czarnymi oczami w upiornie bladej twarzy. Próbował się okryć, zachować resztki godności; chciał podnieść głowę, ale był zbyt słaby. Zrozumiałam, dlaczego nie trzeba go było zabijać: większą męką będzie dla niego życie pozbawione władzy. Bez poparcia papieża nikt nie pozostanie mu wierny. Okrucieństwo i niegodziwość wobec własnych ludzi zgotowały mu stryczek - równie dobrze mógł się powiesić, tak jak król Alfonso II po ucieczce na Sycylię.

- Kim jesteś? - stęknął.

Odpowiedziałam zza wachlarza, który stłumił i zniekształcił głos.

- Poniosłeś porażkę. Twój ojciec nie żyje.

- Kto to? - zapytał. - Kto mówi?

Opuściłam wachlarz, zdjęłam kaptur i uchyliłam maskę, odsłaniając twarz; pokazałam mu pychę godną pychy mego ojca w dniu koronacji. Pozbawiony poparcia, był po prostu żalonym tchórzem.

- Sprawiedliwość - odparłam.

38

Zbiegłam szybko po schodach i wróciłam do Jofrego. Siedział z przygarbionymi poczuciem winy i żalem plecami obok nieruchomego papieża. Zerknęłam na Aleksandra: miał na wpół otwarte, mętne oczy wpatrzone ślepo w odległy punkt poza murami; wargi rozepchnął siny, spuchnięty język. Wielka szeroka pierś nie unosiła się już ani nie opadała.

Obok nas dwoje służących - mężczyzna i kobieta - wpychało wspaniałe przetykane złotą nicią tkaniny do worka; niedługo, pomyślałam, dołączą do nich inni i kwatera Aleksandra zostanie ogołocona jak apartament Cezara. Ani ja, ani Jofre nie wykonaliśmy żadnego ruchu, żeby ich powstrzymać.

Wzięłam męża za rękę. Była bezwładna, nie odwzajemnił mojego uścisku, pozwoliłam więc jego palcom ześliznąć się z moich. Odezwał się tonem

pozbawionym uczuć, ze wzrokiem utkwionym w ciało człowieka, który przez tyle lat uznawał go za syna.

- Gasparre poszedł powiadomić kardynałów i zająć się przygotowaniami. Ktoś go umyje, a potem pochowa.

Po chwili milczenia powiedziałam łagodnie:

- Wracam do domu.

Pojął ukryte znaczenie moich słów i odwrócił głowę. Zrozumiałam, że postanowił wrócić do Squillace; od tej pory mieliśmy mieszkać osobno. Nie był na tyle silny, aby dalej żyć z kimś, kto podał jego ojcu śmiertelną dawkę / trucizny.

Pochyliłam się, pocałowałam go w czoło i zostawiłam.

Kiedy znowu dotarłam do bram Watykanu, większość gwardzistów zdążyła uciec; ci, którzy zostali, przepuścili mnie bez słowa. Na mój widok ogarnęło ich dziwne milczenie, jakby wyczuwali moją siłę.

Wyszłam przez bramę na brukowany plac Świętego Piotra, nie bojąc się ciemności, mimo że byłam nieuzbrojona. Czułam się lekko - jak Rzym, Romania i Marche, wreszcie wolne od przekleństwa Borgiów. Duch mojego brata został pomszczony i mógł spocząć w spokoju. Jak na ironię, Cezar w końcu mi dał to, co obiecywał w miłosnym uniesieniu: moje rodzinne miasto i dziecko.

W oddali, na drugim brzegu Tybru stał zamek SanfAngelo z archaniołem Michałem rozpościerającym skrzydła nad kamienną fortecą; kilka małych okien - tych należących do szalonych kobiet Cezara - jarzyło się żółtym światłem. Uśmiechnęłam się, wiedząc, że czekają tam na mnie Rodrigo i donna Esmeralda.

Za moimi plecami zaczęły bić żałobne dzwony Świętego Piotra.

Przeszłam przez most nad ciemną rzeką; tym razem czułam tylko zapach soli. Duszą byłam już w Neapolu, gdzie słońce odbija się od czystych, błękitnych fal zatoki.

Epilog

Szczegóły pogrzebu papieża Aleksandra VI są odrażające. Po śmierci jego ciało umyto i ubrano, a potem zgodnie z obyczajem wystawiono na widok publiczny w bazylice Świętego Piotra, aby wierni mogli oddać mu cześć. Na marach zwłoki papieża rozdeły się monstrualnie i poczerniały tak straszliwie, że trzeba je było zakryć. Ludzie zaczęli szeptać, że Aleksander był opętany przez diabła lub zaprzedał duszę w zamian za doczesną władzę. W asyście garstki żałobników ciało przeniesiono na miejsce pochówku - do kaplicy Santa Maria delia Febbri, gdzie kilka lat wcześniej pogrzebano Alfonsa Aragońskiego.

Właściwy pochówek okazał się straszliwy: zwłoki Aleksandra spuchły do tego stopnia, że nie zmieściły się w trumnie i trzeba je było wgnieść do środka uderzeniami szpadli. Wieko przywalono wielkim kamieniem, żeby się nie zsunęło.

Cezar ostatecznie wyzdrowiał. Został opuszczony przez wszystkich, którzy go przedtem popierali. Zdradliwy don Micheletto Corella sterroryzował papieskiego skarbnika i uciekł z papieskimi funduszami; król Ludwik też opuścił niedawnego sprzymierzeńca. Osamotniony, ścigany przez niezliczonych wrogów we Włoszech i pozbawiony poparcia we Francji Cezar został pojmany przez króla Ferdynanda Katolickiego. Do monarchy od lat zwracała się ze skargami żona Juana, która publicznie obwiniała Cezara o zamordowanie męża. Cezarowi udało się jednak uciec i znalazł rozrywkę, biorąc udział w drobnych potyczkach.

Sancha zdołała wrócić do Neapolu z bratankiem Rodrigiem, Jofre zamieszkał w Squillace. Co ciekawe, w 1503 roku Cezar przywiózł do Sanchy infanta rzymskiego, Giovanniego - nieprawego syna swojego i Lukrecji - prosząc,

aby wychowała chłopca. Można się tylko domyślać, czy wciąż darzył ją uczuciem. Sancha zgodziła się i wychowywała oboje dzieci, otoczona kobietami z rodu Aragończyków. Niestety, zmarła wkrótce potem wskutek nieznannej choroby. Historycy sprzeczzają się na temat daty jej śmierci: jedni mówią o roku 1504, inni o 1506.

Cezar umarł wkrótce potem, w 1507 roku w Viani, gdy jako najemny żołnierz nieroztropnie wyjechał za daleko przed swój oddział i został otoczony przez wroga. Wielu uznało tę śmierć za samobójstwo.

Lukrecja została w Ferrarze i urodziła Alfonsowi d'Este czwórkę dzieci. Pod koniec życia stała się bardzo religijna i zaczęła nosić włosienicę pod przepysznyimi sukniami. W 1518 roku przystąpiła do tercjarzy świętego Franciszka z Asyżu. Zmarła w 1519 roku w połogu, po urodzeniu córki, która nie przeżyła okresu niemowlęstwa.

Historycy od stuleci zastanawiają się, kto otruł Aleksandra VI i jego najstarszego syna. Tajemnica ta nigdy nie została rozwiązana.

Życie Sanchy Aragońskiej i Borgiów obfituje w pikantne szczegóły. Oto niektóre z faktów historycznych, które umieściłam w powieści: szaleństwo Ferrantego I i Alfonsa II z Neapolu; „muzeum” zmumifikowanych wrogów króla Ferrantego (tak, naprawdę do nich mówił); uczestnictwo Alfonsa II w charakterze świadka nocy poślubnej własnej córki i Jofrego Borgii; porzucenie przez Alfonsa II Neapolu i kradzież skarbu korony; stwierdzenie Savonaroli, że papież Aleksander VI jest antychrystem; lubieżne traktowanie kobiet przez papieża, włącznie z zabawą polegającą na wrzucaniu im za dekolt czekoladek i faktem, że miał nastoletnią nałożnicę Giulię; pozamał-żeńską ciąża Lukrecji i jej kazirodzce związki z ojcem i bratem; liczne morderstwa dokonane przez Borgiów na kardynałach i arystokratkach; fakt, że w okresie „terroru Borgiów” w Tybrze pływały dosłownie setki ciał; powieszenie jednego z gości kardynała Ascania Sforzy; zabicie przez Cezara brata Juana, księcia Gandii; gwałty i akty barbarzyństwa dokonane przez Cezara; morderstwo popełnione przez don Micheletta Corellę na Alfonsie Aragońskim w Sali Sybillińskiej; aresztowanie i wtrącenie Sanchy do Castel Sant'Angelo. Nie wspominam tu o innych morderstwach, żeby oszczędzić Czytelnikowi nużących powtórek.

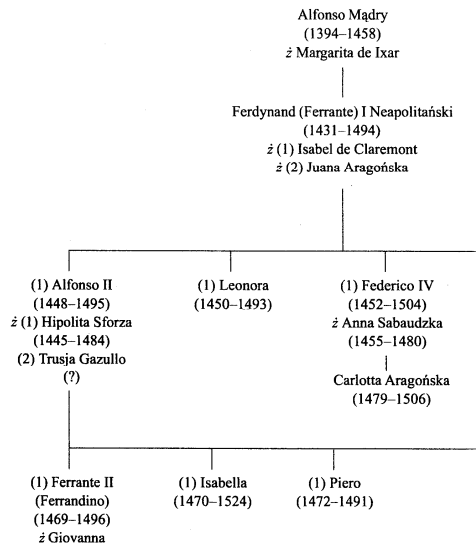
Podziękowania

Ta powieść opowiada o kobiecie zmuszonej odegrać rolę bohaterki. Bohaterowie to rzadkość, ale na szczęście ja spotkałam ich wielu. Chciałabym wymienić tu kilku.

Po pierwsze, jestem wdzięczna Jane Johnson - za nadzwyczajną cierpliwość, nieznaną granic talent redaktorski i zmuszanie mnie do dania z siebie wszystkiego, co najlepsze. Bez jej inspirujących komentarzy i sugestii tej książki po prostu by nie było. Podziękowania należą się również jej współpracownicy z HarperCollins UK, Emmie Coode. Obie przyczyniły się do nadania powieści lepszego kształtu.

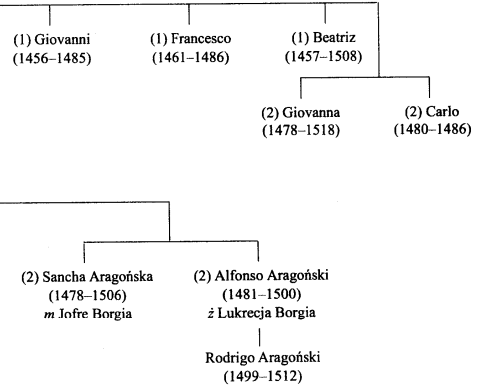
Jestem też bardzo wdzięczna mojemu agentowi literackiemu na Stany Zjednoczone, Russellowi Galenowi, za świętą cierpliwość, niezłomne wsparcie i nieustanne trzymanie ręki na pulsie. Poza tym pragnę podziękować mojemu agentowi na zagranicę, Danny 'emu Barorowi, za niezrównaną wytrwałość w walce na moją rzecz. Obaj panowie są wspaniałymi negocjatorami i cieszę się, że mam ich po swojej stronie.

A teraz największy bohater ze wszystkich: mój mąż George. George zachował dobry humor i wytrwał to, czego żaden małżonek nie powinien znosić: pomoc kapryśnej pisarce w dopracowywaniu opasłego maszynopisu. Jego umiejętność wynajdywania powtórzeń i logicznych luk jest niezrównana. Poza tym podrzucił mi wiele pomysłów (które z zachwytem wykorzystałam) na ożywienie pewnych nudnych scen w powieści (sugestie na temat nocy poślubnej Sanchy i Jofrego zdecydowanie wyostrzyły sytuację, w jakiej oboje się znaleźli). Od dwudziestu kilku lat George był wzywany przeze mnie na pomoc mnóstwo razy, na każdym etapie powstawania książki. Dziękuję ci z głębi serca, kochanie, choć wiem, że nie zadośćuczyni to przebytych trudów.

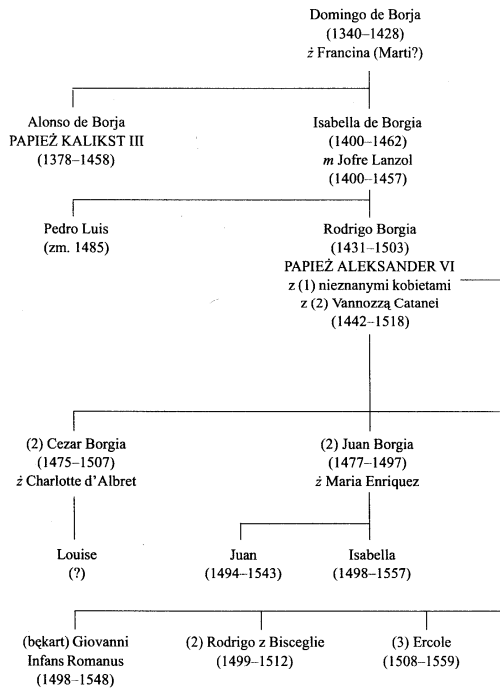


404

Dynastia Aragońska



405



Ród Borgiaów

